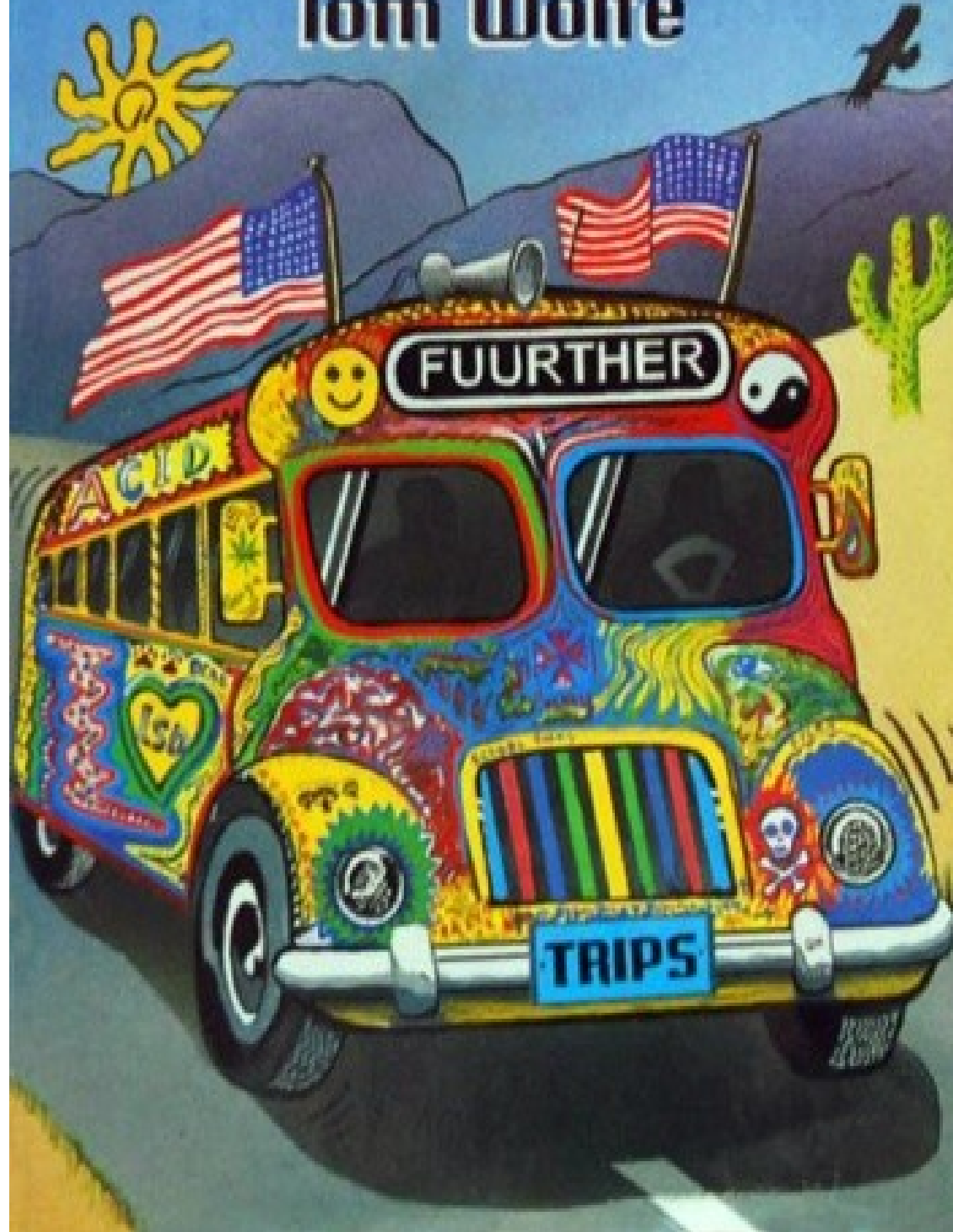


Próba Kwasu w Elektrycznej Oranzadzie

Tom Wolfe



Tom Wolfe

Próba Kwasu w Elektrycznej Oranzadzie

Tytuł oryginału:

The Electric Kool-Aid Acid Test

Przełożyli:

Richard Biały i Tomasz Tłuczkiwicz



1. Czarne, błyszczące buty FBI

Dobrze pomyślane, Cool Breeze. Cool Breeze to koleś z trzy – lub czterodniowym zarostem, który siedzi obok mnie na metalowej podłodze otwartej paki furgonetki. Podskakujemy razem. Zanurzamy się, wynurzamy, kołyszymy na boki na kiepskich resorach, jak w łódce. Z tyłu za furgonetką San Francisco oddala się w dół w podskokach. Nie kończące się szeregi wykuszowych okien, slumsy z widokiem na morze kołyszą się i płyną w dół. Elektryczne szyldy z płonącymi neonowymi kieliszkami martini – w San Francisco symbol baru – tysiące neonowych, karmazynowych kieliszków martini, jeden po drugim, kołyszą się i płyną w dół, a pod nimi setki, tysiące ludzi odwracają się, żeby spojrzeć na tę naszą dziwną, zwariowaną furgonetkę, ludzi z białymi twarzami wyciskanymi spomiędzy klap, jak miękkie białe cukierki – kołyszą się i płyną w dół – i Bóg świadkiem, że mają się na co gapić.

Dlatego śmiesz mnie, kiedy Cool Breeze mówi bardzo poważnie, przekrzykując zgiełk: – Nie wiem, kiedy wypuszczą Keseya, nie wiem, czy będę mógł pokazać się w Magazynie.

– Dlaczego nie?

– No wiesz, gliny będą się tam kręcić i panoszyć, a ja jestem na zwolnieniu warunkowym, więc nie wiem.

Dobrze pomyślane, Cool Breeze. Nie prowokuj sukinsynów. Siedz cicho – tak jak w tej chwili. W tej chwili Cool Breeze tak bardzo boi się władzy, że siedzi na oczach tysięcy zdziwionych obywateli, ubrany w kapelusz gnoma w stylu Siedmiu Krasnoludków z Czarnego Lasu, cały w piórach i fluorescencyjnych farbach. Naprzeciwko nas w furgonetce, też na oczach wszystkich, z głową odrzuconą do tyłu i promieniejącą twarzą, kłęczy półkrwi Indianka Ottawa, nazwiskiem Lois Jennings. Na środku czoła ma błyszczący, srebrny krążek, który na przemian wybucha światłem, kiedy trafi weń słońce, lub migoce tęczą dyfrakcyjnych linii. No i jeszcze w rękę trzyma colta.45 z długą lufą, ale nikt tam na ulicy nie wie, że to tylko zabawka na kapiszony, kiedy raz po raz strzela pfiuuu, pfiuuu do tych wyciskanych białych cukierkowych twarzy, jak Debra Paget w... w filmie...

– Kesey wychodzi z mamra!

Ci na ulicy gapią się jeszcze na nalepkę na tylnym zderzaku „Custer umarł za wasze grzechy” i ukochanego Lois, Stewarta Branda, chudego blondyna siedzącego za kierownicą też z błyszczącym krążkiem na czole i krawatem całym z indiańskich paciorków. Bez koszuli

natomiast, tylko w krawacie z indiańskich paciorków na gołej skórze i w białym rzeźnickim kitlu, na którym wiszą medale od króla Szwecji.

Oto piękny egzemplarz, z aktówką, niezadowoloną miną, jak to po robocie, i... w butach – jak błyszczą! – a to co za cholerne, bitnikowskie świry – i trafiony przez Lois w biały cukierek odpływa w dół w podskokach...

A furgonetka unosi się i nadyma, płonie na srebrnoczerwono, świeci farbami Day-Glo i poważnie wątpię, Cool Breeze, czy w całym San Francisco jest dziś choć jeden glina, który nie wie, że ten zwariowany wehikuł to partyzancki patrol ze strasznej krainy LSD.

Gliny połapały się już w sytuacji, nawet w kostiumach, we włosach w strąki w stylu Jezusa Chrystusa, w indiańskich paciorkach, indiańskich opaskach na czoło, koralikach, kościelnych dzwonek, amuletach, mandalach, oczach opatrności, fosforyzujących kamizelkach, rogach jednorożca, koszulach Errola Flynna do pojedynku – ale wciąż nie znajdują się na butach. Headzi znajdują się na butach. Najgorsze są czarne, błyszczące, sznurowane. Od nich zaczyna się hierarchia, choć właściwie wszelkie półbuty to brak szpanu. Od nich aż po buty, jakie noszą headzi, lekkie, fantazyjne, buty angielskich modsów, jeśli nic lepszego nie ma pod ręką, ale lepiej coś w stylu meksykańskiej ręcznej roboty z blaszanymi szpicami typu Caliente Dude Triple A. A więc rozumiesz, FBI – czarne – błyszczące – sznurowane – buty FBI – gdy FBI złapało wreszcie Keseya –

Na pace furgonetki siedzi jeszcze jedna dziewczyna, smągła, drobna, z gęstymi czarnymi włosami, zwana Black Maria. Wygląda na Meksykankę, ale mówi do mnie ze zwykłym, miękkim kalifornijskim akcentem:

- Kiedy są twoje urodziny?
- 2 marca.
- Ryby – mówi. A potem: – Nigdy nie powiedziałabym, że jesteś Rybą.
- Dlaczego?
- Wydajesz się zbyt... *solidny*, jak na Rybę.

Wiem, że ma na myśli „ciężki”. Zaczynam czuć się ciężko. U siebie w Nowym Jorku, powiem ci, Black Mario, uchodzę nawet za swojego koleśka. Ale moja granatowa jedwabna marynarka, szeroki krawat w kłowny i... para... błyszczących czarnych półbutów jakoś nie budzą euforii w świecie headów z San Francisco. Lois raz po raz strzela do białych cukierków, Cool Breeze znika we wnętrzu swego gnomiego kapelusza, Black Maria, Skorpion, błądzi po zodiaku, Stewart Brand wije się po ulicach, cekiny eksplodują – i to nic takiego, normalka, normalka w świecie headów z San Francisco, po prostu mała, rutynowa demolka paczek obywateli po drodze, po prostu psychiczny pokarm dla pięknych ludzi,

k którzy podwożą jakiegoś faceta z Nowego Jorku do Magazynu, aby poczekać na Wodza, Kena Keseya, który wychodzi z mamra.

O Keseyu wiedziałem wtedy właściwie tylko tyle, że jest bardzo poważanym, trzydziestoletnim powieściopisarzem, w ciężkich tarapatkach z powodu dragów. Napisał *Lot nad kukulczym gniazdem* (1962), z którego w 1963 roku zrobiono sztukę teatralną oraz *Sometimes a Great Notion* (1964). Zawsze wspominało go razem z Philipem Rothem, Josephem Hellerem, Bruce'em Jayem Friedmanem oraz paroma innymi, jako jednego z młodych pisarzy, którzy mogą daleko zajść. Był dwukrotnie aresztowany za posiadanie marihuany, w kwietniu 1965 oraz w styczniu 1966 roku, i uciekł do Meksyku z obawy przed surowym wyrokiem. Wyglądało na to, że za drugim razem mógł dostać aż pięć lat. Pewnego dnia przypadkowo wpadły mi w ręce listy, które Kesey napisał z Meksyku do swego przyjaciela Larry'ego McMurtry'ego, autora powieści *Horseman, Pass By*, na podstawie której nakręcono film *Hud*. Były szalone i ironiczne, w stylu pomiędzy Williamem Burroughsem a George'em Ade'em, opowiadały o kryjówkach, przebraniach, paranoi, ucieczkach przed glinami, paleniu jointów i poszukiwaniu satori w Szczurzych krainach Meksyku. Był taki fragment, napisany w stylu George'a Ade'a, w trzeciej osobie, jako parodia tego, co teraz pewnie o nim myślą tam w Stanach, w normalnym świecie:

„Krótko mówiąc, ten młody, przystojny, cieszący się powodzeniem, szczęśliwy mąż i ojciec trojga uroczych dzieci, był oszalałym ze strachu ćpunem, uciekinierem przed wyrokiem za trzy przestępstwa i Bóg jeden wie ile wykroczeń, a jednocześnie próbował wyrzeźbić sobie nowe satori – jeszcze krócej mówiąc, to kompletny wariat”.

„Ten, który kiedyś był atletą tak cenionym, że powierzono mu głoszenie sygnałów spoza ringu i awansowano do konkursów o koronę krajowych zapasów amatorskich; teraz sam nie wiedział, czy potrafiłby zrobić tuzin pompek. Kiedyś właściciel fenomenalnego konta bankowego, sypiący pieniędzmi z każdego rękawa; teraz jego biedna żona z trudem wyskrobała osiem dolarów, aby go wesprzeć w ucieczce do Meksyku. Parę lat temu pisano o nim w encyklopediach i proszono, aby przemawiał przed tak szacownymi zgromadzeniami jak Wellesley Club w Dah-la; teraz nie pozwolono by mu nawet przemówić na zebraniu Komitetu Obchodów Dnia Wietnamu. Co sprawiło, że człowiek tak dobrze zapowiadający się, upadł tak nisko w tak krótkim czasie? Cóż, przyjaciele, odpowiedź znaleźć można w jednym krótkim słowie, w czterech często używanych sylabach:

– Narkotyki!

– I chociaż niektórzy pomyleni zwolennicy tych chemikaliów mogą twierdzić, że nasz

bohater znany był ze skłonności do dragów przed swym literackim sukcesem, musimy podkreślić, że objawił literacki talent na długo przed pojawieniem się w jego życiu tak zwanych psychedeli, nie zdradzał natomiast przejawów tego lunatycznego myślenia, które potem mogliśmy u niego zauważyć!

Po czym dodał:

– (oj tak, szumi wiatr
dawno temu – dawno temu –
bębni krokiew, widzą ściany
...i są drzwi do tego ptaka
w niebie młodych drzew soczystych
dawno temu –
Oj tak chichoczą fale
dawno temu dawno temu
z podrzeczy zabitych kiedy
zło przegnano i wszystkie
znikły drzwi do ptaków
dawno temu wtedy)”.
.

Przyszło mi do głowy, żeby pojechać do Meksyku, odnaleźć go i napisać artykuł o „młodym powieściopisarzu – uciekinierze z prawdziwego zdarzenia”. Zacząłem rozpytywać się, gdzie mógłby być w Meksyku. Wszyscy z wtajemniczonego towarzystwa Nowego Jorku wiedzieli na pewno. Wydawało się, że tego lata właśnie to wypada wiedzieć. Jest w Puerto Vallarta. Jest w Ajijic. Jest w Oaxaca. Jest w San Miguel de Allende. Jest w Paragwaju. Właśnie wsiadł na parostatek z Meksyku do Kanady. I wszyscy wiedzieli na pewno.

Wciąż jeszcze się rozpytywałem, kiedy w październiku Kesey wślizgnął się z powrotem do Stanów i FBI dopadło go na autostradzie Bayshore na południe od San Francisco. Pewien agent gonił go w dół nasypu, dogonił i Kesey siedział teraz w więzieniu. Poleciałem więc do San Francisco. Udałem się prosto do aresztu powiatu San Mateo w Redwood City, gdzie poczekalnia przypominała raczej wejście za kulisy w Music Box Theatre. Była pełna wesołego oczekiwania. Był tam młody psycholog Jim Fadiman – bratanek Cliftona Fadimana, jak się okazało – Jim oraz jego żona Dorothy radośnie wciskali trzy monety do *I Ching* w grzbiet jakiegoś opasłego, tajemniczego tomu z dziedziny

orientalnego mistycyzmu i prosili mnie, abym przekazał Keseyowi, że te monety się tam znajdują. Była tam także drobna brunetka z okrągłą twarzą o imieniu Marilyn, która opowiedziała mi, że była kiedyś nastoletnią dopadaczką, która kręciła się koło zespołu rockowego pod nazwą The Wild Flowers, ale teraz była głównie z Bobbym Petersenem. Bobby Petersen nie był muzykiem. O ile mogłem się zorientować, był świętym. Siedział w areszcie w Santa Cruz, gdzie próbował walczyć z oskarżeniem o marihuanę twierdząc, że była dla niego religijnym sakramentem. Niedokładnie rozumiałem, co wobec tego Marilyn robiła w poczekalni aresztu powiatu San Mateo, jeśli nie brać pod uwagę, że jak wspomniałem, było tam niczym w pobliżu służbowego wejścia do teatru, z Keseyem w roli gwiazdy, która wciąż jeszcze przebywała w środku.

Była mała przepychanka z klawiszami co do tego, czy wolno mi wejść i go zobaczyć. Wpuszczając mnie gliny nie mogły zyskać nic specjalnego. Dziennikarz z Nowego Jorku – to oznacza tylko więcej reklamy dla tego osławionego bitnika. Tak widzieli Keseya. Był osławionym bitnikiem dwukrotnie oskarżonym o narkotyki i po co z takiego robić bohatera. Muszę powiedzieć, że Kalifornia ma niezłych gliniarzy. Wszyscy wydają się młodymi, wysokimi, krótko ostrzyżonymi blondynami z wypłowiałymi niebieskimi oczami, jakby przed chwilą zeszli z papierosowej reklamy. Ich areszty nie wyglądają na areszty, przynajmniej te części, które widzą odwiedzający, całe są w jasnym drewnie i jasnobrązowym metalu szaf z aktami, oświetlone jarzeniówkami, jak sale egzaminacyjne dla kandydatów do służby państwowej w nowoczesnym budynku pocztowym. Wszyscy gliniarze mówią z miękkim kalifornijskim akcentem, są schludni i poprawni jak kostka lodu. Zgodnie z przepisami pozwolili mi w końcu zobaczyć się z Keseyem w godzinach odwiedzin. Miałem dziesięć minut. Skinąłem na pożegnanie Marilyn, Fadimanom oraz wesołej gromadce na parterze i zabrano mnie windą na trzecie piętro.

Winda otworzyła się na wprost małej sali odwiedzin. Było tam dziwnie. Szereg czterech lub pięciu boksów podobnych do kabin w dawnych teleturniejach, każdy z grubą, pancerną szybą, za którą siedział skazany w roboczej koszuli w kolorze więziennego błękitu. Więźniowie wyglądali jak ułożone na lodzie płastugi. Przed każdą szybą był parapet, na którym stał aparat telefoniczny. W ten sposób się tutaj rozmawia. Paru odwiedzających już się garbiło nad telefonami. I wtedy rozpoznałem Keseya.

Stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi, wzrokiem utkwionym w oddali, to znaczy w ścianie. Miał grube nadgarstki i mocne przedramiona, które tak skrzyżowane wydawały się gigantyczne. Wyglądał na wyższego, niż jest naprawdę, może z powodu szyi. Miał mocną szyję z parą mięśni szyjnych, które wystawały z więziennej roboczej koszuli jak portowe

cumy. Miał masywną szczękę i podbródek. Przypominał trochę Paula Newmana, tyle że był bardziej muskularny, miał grubszą skórę i gęste blond kędziory kipiące wokół głowy. Na czubku był prawie łysy, ale jakoś pasowało to do jego mocnej szyi i ogólnej budowy zapaśnika. Potem lekko się uśmiechnął. Dziwne, ale na twarzy nie miał żadnych zmarszczek. Po wszystkich tych pościgach i tarapatach – wyglądał jak po trzech tygodniach w kurorcie; pogodnie, powiedziałbym. Potem podniosłem swoją słuchawkę, a on podniósł swoją – a to dopiero Nowoczesność. Dzieliło nas raptem pół metra, ale także tafła pancernego szkła grubości książki telefonicznej. Równie dobrze moglibyśmy być na różnych kontynentach i rozmawiać przez wideofon. Telefony trzeszczały i były naprawdę kiepskiej jakości, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że łączyły dwa światy odległe o pięćdziesiąt centymetrów. Rozumiało się samo przez się, że policja podsłuchiwała każdą rozmowę. Chciałem dowiedzieć się wszystkiego o jego życiu uciekiniera w Meksyku. Taki tytuł miał wciąż mój artykuł, „Młody powieściopisarz przez osiem miesięcy ukrywa się w Meksyku”. Ale przecież nie mógł o tym opowiadać przez to dziwaczne połączenie, a zresztą miałem tylko dziesięć minut. Wyjąłem notes i zacząłem pytać – o cokolwiek. W jakiejś gazecie znalazłem wzmiankę o tym, jak twierdził, że czas, aby ruch psychodeliczny sięgnął „ponad kwas”, więc zapytałem go o to. I zacząłem stenografować w notesie jak szalony. Widziałem, jak jego wargi ruszały się pięćdziesiąt centymetrów ode mnie. Jego głos trzeszczał w słuchawce, jakby dochodził z Brisbane. Wszystko to było idiotyczne. Wyglądało, jakbyśmy uprawiali jakąś głupkowatą gimnastykę.

– Moim zdaniem – powiedział – czas przejść od tego, co działo się do tej pory, do czegoś nowego. Fala psychodeliczna rozkręciła się jakieś sześć, osiem miesięcy temu, kiedy wyjeżdżałem do Meksyku. Przez ten czas narastała, ale się nie zmieniała. Kiedy wróciłem, wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, kiedy wyjeżdżałem. Po prostu było większe i tyle... – mówił łagodnym głosem z prowincjonalnym akcentem. Niemal czystym akcentem z prowincji, tyle że trzeszczącym i chrypiącym jak maszynka do mięsa przez te pięćdziesiąt centymetrów połączenia. – Nie było żadnej kreatywności, a wydaje mi się, że moja rola polega na tym, aby pomóc postawić następny krok. Nie sądzę, aby pojawił się jakiś odwrót od dragów, dopóki nie ma czegoś nowego, do czego można by zmierzać...

I to wszystko ze zwykłym prowincjonalnym akcentem, o czymś... cóż, szczerze mówiąc, nie miałem zielonego pojęcia, o czym to wszystko było. Czasami mówił szyfrem i aforyzmami. Powiedziałem, że słyszałem, jakoby nie zamierzał już więcej pisać. Dlaczego?

– Wolę być raczej piorunochronem niż sejsmografem – odparł. Mówił o czymś zwanym Acid Test – Próba Kwasu i o formach wyrazu, w których nie byłoby żadnego

podziału pomiędzy nim a widownią. Byłoby tylko jedno wielkie doświadczenie, ze wszystkimi zmysłami otwartymi na oścież, słowami, muzyką, światłem, dźwiękiem, dotknięciem – *błyskawicą*.

– Masz na myśli coś takiego, co robi Andy Warhol? – zapytałem.

...pauza.

– Bez urazy, ale Nowy Jork jest jakieś dwa lata do tyłu.

Powiedział to z wyrozumiałością, jakąś prowincjonalną uprzejmością, jakby... – Nie chcę być niemiły dla was, chłopcy z miasta, ale tu dzieją się takie rzeczy, które nie przysłyby ci do głowy, bracie, nawet przez milion lat twoich najdzikszych snów...

Dziesięć minut się skończyło i już mnie nie było. Nic z tego nie miałem, oprócz pierwszego kontaktu z dziwnym zjawiskiem, z tą dziwną prowincjonalną charyzmą, personą Keseya. Nie miałem nic do roboty, jak tylko zbijać baki w nadziei, że Kesey jakoś wyjdzie za kaucją i że będę mógł z nim porozmawiać, uzyskać szczegóły z życia powieściopisarza ukrywającego się w Meksyku. Wydawało się to wtedy bardzo mało prawdopodobne, jako że Kesey był już dwukrotnie oskarżony o marihuanę i już raz uciekł z kraju.

Wynająłem więc samochód i zacząłem kręcić się po San Francisco. W pewnym sensie moje najżywsze wspomnienia z San Francisco to jazda z hukiem pod górę i w dół rewelacyjnym wynajętym autem ślizgającym się po tramwajowych szynach. Ześlizgnąłem się w dół aż do North Beach, legendarnego North Beach, sławnej ojczyzny cyganerii Zachodniego Wybrzeża, zawsze pełnej nadzianych wujków, grasantów na koszt firmy, długowłosych anglosasko-protestanckich i żydowskich laseczek dymających się z czarnymi kolesiami. Teraz North Beach umierało. Nie było już nic, tylko budy z gołymi cyckami. W słynnej głównej kwaterze Beat Generation, księgarni City Lights, siedział Shig Murao, jej japoński władca, nachmurzony, z brodą zwisającą jak wiązki paproci i jałowca na architektonicznym rysunku, skulony obok kasy nad tomami Kahlila Gibrana, podczas gdy dyplomowani księgowi albo dentyści, goszczący tu na zjazdach, błędzili poszukując bitników w przerwach pomiędzy pokazami cycków. Wszystko w North Beach było topless, wszędzie naguski z biustami powiększonymi zastrzykami silikonowej emulsji.

Cała akcja – to znaczy kliki wtajemniczonych, które nadawały oryginalny ton – cała akcja przeniosła się do Haight-Ashbury. Niedługo tam także pojawią się wszelkie oznaki cygańskiej koniunktury, pełne gapiów, ciągnące zderzak w zderzak samochody, autokary – ...a teraz, proszę państwa... Gniazdo Hippiesów... o tam jest jeden – i pedały, i czarne dziwki, i księgarnie, i butiki. Wszystko kręciło się wokół Haight-Ashbury i acid headów.

Umierało nie tylko North Beach. Umierał cały staromodny luzacki styl życia – jazz, kawiarnie, prawa obywatelskie, zaprosz czarnucha na obiad, Wietnam – wszystko to naraz umierało – jak się dowiadywałem – nawet wśród studentów z Berkeley po drugiej stronie Zatoki, gdzie biło kiedyś serce studenckiej rebelii. Doszło nawet do tego, że czarni nie należeli już do wtajemniczonych kręgów, nawet jako figury z totemów. To nie do wiary. *Czarnuchy*, kwintesencja ducha luzackiego wtajemniczenia, jazzu, samego tego języka, stary i jakby, i kumasz, i cizia, i popelina, i spadać, i siema, i rewe, kwintesencja ruchu na rzecz praw obywatelskich, dyplomów z Reed College, i mieszkania w North Beach w okolicach Mason, i dymania czarnych lasek – całe to wspaniałe, wyrafinowane głaskanie, poklepywanie i otwieranie duszy na czarnucha – już koniec, skończyło się, nie do wiary.

Tak więc zaczynałem orientować się w tym całym falowaniu i konwulsjach świata cyganerii San Francisco. Tymczasem jakimś cudem trzech młodych prawników Keseya, Pat Hallinan, Brian Rohan i Paul Robertson, miało wyciągnąć go za kaucją. Zapewnili sędziów w San Mateo i San Francisco, że pan Kesey nosi się z zamiarem pewnego przedsięwzięcia o doniosłym znaczeniu społecznym. Powrócił z wygnania z wyraźnym zamiarem zwołania wielkiego wiecu headów i hippiesów w hali Winterland w San Francisco i nakazania Młodzieży, aby przestała brać LSD, ponieważ jest niebezpieczne i może usmażyć im mózgi, itd. Miała to być ceremonia – „kwasowej matury”. Mieli sięgnąć „ponad kwas”. Domyślałem się, że właśnie o tym mówił mi Kesey. W tym samym czasie sześciu bliskich przyjaciół Keseya z okolic Palo Alto zebrało pod zastaw swych domów 35 000 dolarów na kaucję dla sądu powiatu San Mateo. Przypuszczam, iż sąd zdawał sobie sprawę, że tak czy owak miał Keseya. Gdyby teraz uciekł, byłby to taki brzydki numer wobec przyjaciół, którym odebrano by domy, że Kesey straciłby wszelką wiarygodność jako narkotykowy apostoł czy ktokolwiek inny. Jeśliby nie uciekł, byłby zobowiązany wygłosić swoją mowę do Młodzieży – i byłoby jeszcze lepiej. Tak czy owak, Kesey wychodził.

W Haight-Ashbury natomiast scenariusz ten niezbyt się podobał. Prędko przekonałem się, że środowisko headów w San Francisco było już tak wielkie, że powrót Keseya oraz jego plan „kwasowej matury” powodowały pierwszy wielki polityczny kryzys w ich świecie. Wszystkie oczy zwrócone były na Keseya i jego grupę zwaną Merry Pranksters. Tysiące małolatów ciągnęło do San Francisco chcąc żyć LSD i sprawą psychodeliczną. *Sprawa* to kluczowe abstrakcyjne słowo w Haight-Ashbury. Mogło oznaczać wszystko, – izmy, sposoby życia, zwyczaje, tendencje, idee, organy płciowe; *sprawa* i *frik*; *frik* odnosiło się do stylów i obsesji, jak na przykład „Stewart Brand to indiański frik” lub „zodiak to jej frik” albo po prostu do headów w przebraniu. Nie było to określenie negatywne. W każdym razie, ledwie

parę tygodni wcześniej headzi odbyli swoje pierwsze wielkie „be-in” w Golden Gate Park, u stóp wzgórza prowadzącego do Haight-Ashbury, dla ironicznego uczczenia dnia, kiedy władze Kalifornii zdelegalizowały LSD. Był to zlot wszystkich szczepów, wszystkich komun. Wszystkie friki przyszły i robiły swoje. Zorganizował to head nazwiskiem Michael Bowen. I zjawiły się tysiące, w kostiumowej gali, dzwoniąc dzwoneczkami, zawodząc chórem, tańcząc ekstatycznie, różnymi sposobami lasując sobie mózgi i demonstrując glinom swoje ulubione satyryczne gesty, wręczając im kwiaty, zasypując sukinsynów płatkami czułości i miłości. O Chryste, Tom, było fantastycznie, sfrikowany odłot, tysiące headów, amatorów odjazdu. Robiliśmy wodę z mózgu glinom i wszystkim innym. Festyn miłości i euforii. Nawet Kesey, który wtedy jeszcze się ukrywał, odważył się i na chwilę wmieszał w tłum. I wszyscy byli zjednoczeni, nawet Kesey – a teraz, nagle, proszę, w rękach FBI i innych superglin, najważniejszy człowiek pod słońcem, Kesey, zapowiada, że czas na „kwasową maturę”. A to co, do cholery, w dupę daje, czy co? Ruch na rzecz powstrzymania Keseya nabierał rozpędu nawet w luzackim świecie.

Podjeżdżamy pod Magazyn w tej zwariowanej furgonetce i – cóż, pierwsze, co widzę, to że ludzie tacy jak Lois, Stewart i Black Maria należą do konserwatywnego, refleksyjnego skrzydła Merry Pranksters. Magazyn mieści się przy Harriet Street, między Howard i Folsom. Tak jak w prawie całym San Francisco, także na Harriet Street jest mnóstwo drewnianych domów z oszklonymi wykuszami, a wszystkie pomalowane na biało. Tylko że Harriet Street leży w dzielnicy slumsów i pomimo farby wygląda tak, jakby czterdziestu pijaczków wczołgało się tu w cień, umarło i szerniało, spuchło i wybuchło, rozpryskując się w strumienie krętków, które wkręciły się w każdą deskę, w każdą listwę, w każdą szczelinę, w każdą drzazgę, w każdy łuszczący się płatek farby. Magazyn okazuje się parterowym garażem opuszczonego hotelu, którego ostatnim komercyjnym zastosowaniem była fabryka zapiekanekek. Podjeżdżamy do tego garażu, a tam przy wejściu stoi zaparkowana ciężarówka z budą, pomalowaną Day-Glo na niebiesko, żółto, pomarańczowo i czerwono, z wielkimi literami BAM na masce. Z czarnej dziury garażu dochodzą dźwięki płyty Boba Dylana z jego rubaszną harmonijką i głosem Ernesta Tubba, charczącym przez nos stare, koślawe śpiewanki...

Wewnątrz, w ogromnym zagraconym pomieszczeniu, krąży coś, co na pierwszy rzut oka wygląda w mroku na dziesięć lub piętnaście amerykańskich flag. Okazuje się, że to grupa ludzi płci obojga, w większości w wieku około dwudziestu paru lat, w białych kombinezonach, jakie nosi personel na lotniskach, tyle że w całości obszytych kawałkami

amerykańskich flag, przeważnie w gwiazdy na niebieskim polu, ale także w czerwone paski biegnące pionowo w dół. Wokoło stoją teatralne rusztowania z narzuconymi kocami służącymi jako kotary, a całe rzędy wyrwanych teatralnych foteli piętrzą się pod ścianami razem z wielkimi kupami złomu, sznurów i belek.

Jedna kotara z koca odchyła się i z platformy na wysokości około trzech metrów wyskakuje jakaś drobna postać. Świeci. Jest to koleś o wzroście mniej więcej półtora metra, w hełmie lotniczym z I wojny światowej... świecą łuki i zwoje namalowane na zielono i pomarańczowo. Także buty. Wydaje się, że zbliża się do nas podskakując na dwóch fosforyzujących globusach. Zatrzymuje się. Ma drobną, filigranową, ascetyczną twarz z wielkimi wąsami i ogromnymi oczami. Oczy mu się zwężają i szczyrzy się do nas w uśmiechu.

– Właśnie miałem tam na górze ośmioletniego chłopczyka – mówi.

Potem zaczyna chichotać przez nos i świecąc odskakuje do kąta pomiędzy złom.

Wszyscy się śmieją. Przypuszczam, że to jakiś familijny dowcip. W każdym razie jestem jedynym, który rozgląda się po rusztowaniu za zwłokami.

– To Hermit. Trzy dni później widzę, że w kącie wybudował sobie jaskinię.

Coś większego świeci w środku garażu. Dostrzegam szkolny autobus... Świeci na pomarańczowo, zielono, karmazynowo, lawendowo, chlorkowoniebiesko, na każdy wyobrażalny fluorescencyjny odcień pasteli w tysiącach wzorów, małych i dużych, jak skrzyżowanie Fernanda Legera z Dr. Strange'em zderzających się z hukiem i wibrujących naprzeciw siebie, jakby ktoś dał Hieronimusowi Boschowi pięćdziesiąt wiader Day-Glo oraz szkolny autobus International Harvester z roku 1939 i kazał robić swoje. Na podłodze obok autobusu leży pięciometrowy transparent z napisem ACID TEST GRADUATION – Matura Kwasowa – nad którym pracuje paru Ludzi-Flag. Bob Dylan charczy przez nos, ludzie krążą, dzieci płaczą. Z boku stoi facet około czterdziestki, bardzo muskularny, co widać, ponieważ nie nosi koszuli – tylko szorty khaki i wysokie buty z czerwonej skóry – zbudowany jak wszyscy diabli – i wygląda, jakby był w jakimś kinetycznym transie. Raz po raz podrzuca w powietrze mały, kowalski młot. Zawsze udaje mu się go złapać za trzonek. Cały czas wymachuje rękami i nogami. Ramiona mu wirują, głowa podskakuje, a wszystko w urywanym rytmie tak, jakby gdzieś Joe Cuba grał „Bang Bang”, choć w rzeczywistości nawet Bob Dylan już nie gra. Z głośnika, gdziekolwiek się znajduje, dochodzi jakieś nagranie, na którym widmowy głos mówi:

„...Kopalnia Nigdzie... mamy papierki od gumy do żucia...”, w tle jakaś dziwaczna muzyka elektroniczna z orientalnymi interwałami, jak u Juana Carillo... „Przewróćmy świat

na plecy... ryjąc w Kopalni Nigdzie... dziś i codziennie...”

Podchodzi jeden z Ludzi-Flag.

– Hej, Mountain Girl! Ale odlot!

Mountain Girl jest wysoką dziewczyną, dużą i piękną, z ciemnobrązowymi włosami opadającymi na ramiona, tyle że ostatnie dwie trzecie długości tych opadających włosów wygląda jak pędzel zanurzony w kadmowej żółci. To dlatego, że ufarbowała je na blond w Meksyku. Odwraca się na pięcie i pokazuje krąg gwiazd na plecach kombinezonu.

– Kupiliśmy je w sklepie z mundurami – mówi. – Czy nie są wspaniałe! Siedzi tam taki starszy gość i powiada: „Co, chyba nie wytniecie tych flag i nie poprzerabiacie na kostiumy, prawda?” Więc mu mówię: „Nie, bierzemy trąby i idziemy na paradę”. Ale widzisz? To właśnie dlatego je kupiliśmy.

Pokazuje jeden z guzików przy swoim kombinezonie. Wszyscy pochylają się, żeby popatrzeć. Na dole, wygrawerowane w secesyjnych zwojach, widnieje motto: „Nie damy się namierzyć”.

Nie damy się namierzyć... najwyższy czas. Już tyle razy Prankstersi dali się namierzyć glinom z San Mateo, glinom z San Francisco, glinom z Mexicale Federate, glinom z FBI, glinom, glinom, glinom...

A dzieci wciąż płaczą. Mountain Girl odwraca się do Lois Jennings.

– Co robią Indianie, żeby dzieci przestały płakać?

– Trzymają je za nos.

– Coś ty?

– W ten sposób się uczą.

– Spróbuję... to brzmi sensownie... – Mountain Girl odchodzi i bierze swoje dziecko, czteromiesięczną dziewczynkę imieniem Sunshine, z przenośnej kołyski z rurek i siatki stojącej za autobusem, i siada w jednym z teatralnych foteli. Ale zamiast potraktować ją po indiańsku, rozpina kombinezon i zaczyna karmić.

„...Kopalnia Nigdzie... Nic nie czuło i krzychało, i płakało...”, brang twiiiiiiiiing – „...więc wróciłem do Kopalni Nigdzie...”

Żongler młotem kowalskim odfruva...

– A to kto?

– Cassady.

To uderza mnie jako coś cudownego. Pamiętam Cassady’ego. Cassady, Neal Cassady, był bohaterem, Deanem Moriartym z *On the Road* Jacka Kerouaca, Denver Kid, koleś, który wciąż pędził samochodem w tę i z powrotem przez Stany, goniąc i przeganiając „życie”. I oto

ten sam facet, już czterdziestolatek, w tym garażu, podrzuca młot kowalski, podryguje w rytm własnego Joego Cuby i...gada. Cassady nigdy nie przestaje gadać. Choć to nie oddaje istoty rzeczy. Cassady monologuje i wygląda na to, że nie obchodzi go, czy ktoś słucha. Po prostu włącza monolog, sam dla siebie, jeśli nie ma innego wyjścia, choć wszyscy są mile widziani. Odpowie na wszystkie pytania, choć niekoniecznie po kolei, ponieważ tu nie możemy się zatrzymać, następny parking za 60 kilometrów, rozumiecie, sieje wspomnienia, metafory; literackie orientalne i tajemne aluzje, wszystko to przedzielane wątpliwym „rozumiecie...”

2. Moczowy totem

Tak właśnie minęły mi dwa lub trzy dni w garażu, z Merry Pranksters, w oczekiwaniu na Keseya. Prankstersi nie zwracali na mnie specjalnej uwagi. Jedna z Ludzi-Flag, blondynka, która wyglądała jak Doris Day, ale znana była jako Doris Delay, powiedziała mi, że powinienem trochę... cóż, ubarwnić... swoją aparycję. To zabolalo, Doris Delay, choć wiem, że chodziło ci tylko o przyjazną sugestię. Naprawdę o to jej chodziło. Więc nie zdjąłem krawata, aby pokazać, że mam swoją dumę. Ale wszyscy mieli to gdzieś. Ja się kręciłem, Cassady rzucał młotem, widmowe taśmy grały, dzieci płakały, autobus świecił, Ludzie-Flagi łązili, friki wpadały ze słonecznej Harriet Street. Wychodziłem tylko przespać się parę godzin albo do ubikacji.

Ubikacja. No właśnie. W Magazynie nie było kanalizacji, nawet zimnej wody. Można było iść na małą pustą działkę obok, za parkanem i zająć pozycję wśród chmury oparów ludzkich sików, które unosiły się z błota, albo można było wdrapać się po drabinie przez zamykany kłapą otwór prowadzący do starego hotelu, gdzie były stare, uczęszczane przez włóczęgów korytarze, od których odchodziły pokoje wyłożone boazerią z gąbczastego, parszywego, starego drewna, które rozpadało się pod spojrzeniem i zaczynało pełzać szcurzym, wyleniałym podżyciem. Było to zbyt obrzydliwe nawet dla Prankstersów. Większość z nich chodziła do stacji Shella na rogu. Więc i ja poszedłem do stacji Shella na rogu Szóstej i Howarda. Zapytałem, gdzie jest ubikacja, a gość rzuca mi To Spojrzenie – to wściekle spojrzenie, że O.K., że chociaż nie kupujesz benzyny, ale chcesz korzystać z ubikacji – i w końcu wskazuje na puszkę w biurze. Klucz do ubikacji jest przywiązany łańcuchem do wielkiej, pustej puszkę po oleju Shella. Biorę ją i wychodzę z biura na betonowy podjazd, gdzie Elita Kart Kredytowych tankuje, prostuje nogi i wyciąga gacie z zastałych, spoconych fałd kroczy, a ja tu oburącz niosę puszkę po oleju Shella niczym moczowy totem, za róg, do toalety, i – w porządku, co z tego. Ale nagle świta mi, że Prankstersi muszą tak zawsze. Tak właśnie żyją. Mężczyźni, kobiety, chłopcy, dziewczęta, w

większości z domów klasy średniej. Mężczyźni, kobiety, chłopcy, dziewczęta, dzieci i niemowlęta. Tak właśnie żyją niektórzy z nich miesiącami, latami, w poprzek Ameryki i z powrotem, w autobusie, do Szczurzych Krain Meksyku i z powrotem, wędrując jak Cyganie od jednej stacji benzynowej do drugiej, zebrząc o wstęp do pisuaru, robiąc uniki przed wściekłymi spojrzzeniami. Okazuje się nawet, że mają filmy i taśmy z pojedynków z kierownikami stacji benzynowych w sercu Ameryki, broniącymi swoich betonowych ubikacji i pustych skrzynek na jednorazowe ręczniki przed świrami w Day-Glo...

Z powrotem w Magazynie. Wciąż dobry nastrój. Pomału nabieram coraz dziwniejszego stosunku do całej sprawy. Ale to nie tylko kwestia kostiumów, taśm, autobusu i tego wszystkiego. Mam za sobą parę weekendów z krótko ostrzyżonymi koleżkami z college'u, które wyglądały i brzmiały dziwniej, aż do szaleństwa. Poczuję to, kiedy Ludzie-Flagi zaczęli podchodzić do mnie i mówić rzeczy takie, jak wtedy, kiedy Cassady podrzucał swój młot, zanurzony z głową w kontemplacji wszechświata, w absolutnej kontemplacji i bum, to młot, chybił i wali w betonową podłogę garażu, a Człowiek-Flaga mówi: – Wiesz, Wódz powiada, że kiedy Cassady chybia, to nigdy nie jest przypadek...

Zacznijmy od określenia „Wódz”. Prankstersi mają dwa określenia na Keseya. Jeśli mówią o jakichś powszednich sprawach, wtedy jest to po prostu Kesey, jak na przykład „Keseyowi wybili ząb”. Ale jeśli mówią o Keseyu jako przewodniku albo nauczycielu całej grupy, wtedy staje się Wodzem. Na początku wydawało mi się to sztuczne. Potem jednak zrobiło się... *mysto*, w miarę jak w głowie zaczynała mi się wydzielać generalna para mistyczna. Ta para, dosłownie słyszę ją w głowie, wyraźne sssssssss, jak to, co słychać, kiedy się weźmie za dużo chininy. Nie wiem, czy innym się to zdarza. Ale jeśli dzieje się coś wystarczająco zaskakującego, niepokojącego, przerażającego, nieznanego lub po prostu wystarczająco dziwnego, coś, z czym czuję, że sobie nie poradzę, to tak, jakby włączał mi się alarm i zaczyna się to parowanie...

„...kiedy Cassady chybia, to nigdy nie jest przypadek. Coś oznajmia. Coś dzieje się pod tym dachem, coś niedobrego, jakieś złe wibracje, a on chce to rozbić”.

Mówią to poważnie. Wszystko w życiu wszystkich coś... oznacza. I wszyscy są czujni, wyglądają tych znaczeń. I tych wibracji. Jest ich nieskończenie wiele. Jakiś czas potem byłem w Haight-Ashbury z pewnym kolesiem, nie Prankstersem, z innej komuny, który próbował otworzyć starą sekreterę, taką, w jakiej otwiera się pulpit do pisania, i uszczypnął się zawiasek w palec. Tylko że zamiast wykrzyknąć, O cholera! czy coś takiego, cała ta sprawa staje się dla niego przypowieścią o życiu, i powiada:

– To *typowe*. Widzisz to? Nawet biedak, który to projektował, grał w ich grę. Widzisz,

jak to jest zaprojektowane? Otwiera się *na zewnątrz*. Zawsze *na zewnątrz*, w *coś*. Musi być *na zewnątrz*, w *twoje* życie, to stare wciskanie kitu... kapujesz?... Nawet się nad tym nie *zastanawiają*... kapujesz?... Tak się po prostu projektuje, ty jesteś tu, oni tam, i wciąż pchają się *na* ciebie. Widzisz ten stół? – Przez drzwi widać stary kuchenny stół z emaliowanym blatem. – No proszę, to jest już *lepiej zaprojektowane*, naprawdę, lepiej niż cały ten ozdobny chłam, chodzi o to, że ten stół naprawdę mnie kręci, bo cała sprawa... kapujesz?... polega na tym, że ma *przyjmować*, po to w ogóle jest. Jest bierny, a zresztą, czym, do cholery, jest stół? Freud powiedział, że stół to symbol kobiety, z rozchyłonymi nogami, dymanie, w snach... kapujesz?... A czego *to* jest symbolem? – Wskazuje na sekretkę. – To symbolizuje odpieprz się. Odpieprz się, prawda? I tak dalej, aż chce się położyć mu rękę na ramieniu i powiedzieć, kopnij ją wreszcie i ulżyj sobie.

W każdym razie dużo jest takiego gadania. Wszyscy wyłapują najdrobniejsze wydarzenia, jakby były metaforami całego życia. Życie wszystkich z minuty na minutę staje się coraz bardziej niesamowite, bardziej niż najbardziej niesamowita książka. To lipa, do cholery... ale *mysto*... i po jakimś czasie zaczyna cię to zarażać, jak świerzb, jak różyczka.

Dużo się także gada o grach. Wygląda na to, że normalny świat, tam na zewnątrz, składa się z milionów ludzi, którzy biorą udział w grach, są uwikłani w gry, których nie są nawet świadomi. Gość zwany Hassler schodzi ze słonecznego ekranu Harriet Street i, zoom, nawet nie czeka na metafory. Jeszcze nigdy w życiu nie wdałem się tak szybko w abstrakcyjną dyskusję z zupełnie obcym człowiekiem. Od razu zaczęliśmy rozmawiać o grach. Hassler to młody facet, przystojny, z szeroką twarzą i długimi włosami z grzywką, dokładnie taką, jak u Prince'a Valianta z komiksów, ubrany w półgolf ozdobiony metalowymi gwiazdkami, takimi, jakie na ramionach noszą generałowie. Powiada: – Gry tak przeniknęły naszą kulturę, że... – ple ple ple gry ego wszystko osądzają, popieprzone pranie mózgu, powiedzmy sobie... wciąż się sprzeciwiać – tu Hassler wypręża dłonie i zwierza palce jak do ciosu karate...

Ale moje myśli błądzą. Trudno mi się skupić na tym, co mówi, bo fascynuje mnie małe plastikowe pudełko ze szczoteczką i pastą do zębów, które Hassler przytrzymuje kciukiem. Lata mi przed oczami, kiedy dłonie Hasslera znaczą jego sprzeciw... Co za dziwna banda czubków. Ten gość z generalskimi gwiazdkami na swetrze prawi kazanie jak na nieszporach o grzechach rodzaju ludzkiego, a tu szczoteczka!... ależ oczywiście!... myje zęby po każdym posiłku!... Naprawdę. Myje zęby po każdym posiłku, choć żyją tu w tym garażu jak Cyganie: bez ciepłej wody, bez ubikacji, bez łóżek, jeśli nie liczyć paru materaców, w których brud, kurz, wilgoć i włosy połączyły się, stopiły z tapicerką; choć leżą pokotem na

rusztowaniach, w autobusie, na pace furgonetki, ze stęchlizną w nozdrzach.

– ...ale wiesz co? Ludzie zaczynają orientować się w tych wszystkich grach. Nie tylko headzi, ale zwykli ludzie. Popatrz w Kalifornii. Zawsze była taka piramida...

W tym momencie Hassler dłońmi rysuje w powietrzu piramidę, a ja przyglądam się zafascynowany, jak plastikowe pudełko na szczoteczkę do zębów, błysk błysk, ślizga się w górę jej krawędzi...

– ...transcendencja ponad ten kit – mówi Hassler głosem przejętym, klarownym i słodkim, jak u prymusa przemawiającego na wręczeniu matur, jakby właśnie powiedział *niech przyszłorocznym maturzyści zapamiętają nasze motto* – „transcendencja ponad ten kit...”

...plastik ładnie odbija światło, prosty, twardy błysk z przeszłości, skądkolwiek pochodzi Hassler. I znowu to robię, och, to urocze świerzbiecie, właśnie wy dobyłem metaforę, kawał transcendentnego kitu z tego cholernego pudełka na szczoteczkę do zębów...

„...transcendencja ponad ten kit...”

Do Magazynu wchodzi wysoki facet w niebiesko-pomarańczowym stroju, jak arlekin z pantomimy, i w pomarańczowej masce wymalowanej Day-Glo tak, że niebawem przypomina *The Spirit*, jeśli pamiętacie ten komiks. Podobno to Ken Babbs, były pilot helikopterów z Wietnamu. Zaczynam z nim rozmowę i pytam, jak było w Wietnamie, a on mówi bardzo poważnie:

– Naprawdę chcesz wiedzieć, jak tam było?

– Aha.

– No to chodź. Coś ci pokażę.

Prowadzi mnie w głąb garażu i pokazuje karton na podłodze, który leży sobie pośrodku tego całego śmietnika i szaleństwa.

– Tu jest wszystko.

– Tu jest wszystko?

– Właśnie, właśnie, właśnie.

Pochyliam się nad pudełkiem i wyciągam maszynopis, czterysta lub pięćset stron. Kartkuję. To powieść o Wietnamie. Spoglądam na Babbsa. Odwdzięcza się przyjaznym uśmiechem, a jego maska marszczy się i świeci.

– Tu jest wszystko? – pytam. – Więc domyślałem się, że trzeba trochę czasu, żeby się w tym połapać.

– Tak, tak, właśnie! właśnie! właśnie! – mówi Babbs wybuchając śmiechem, jakbym powiedział najśmieszniejszą rzecz na świecie. – Tak! Tak! Cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha! Właśnie! Właśnie! – a maska świeci i podryguje mu na twarzy. Odkładam powieść do

pudełka i przez następne dni będę widział książkę Babbsa o Wietnamie, jak leży na podłodze, pośród tego wszystkiego, jakby czekała na tornado, które ją porwie i rozrzuci po całym powiecie San Francisco, a Babbs będzie gdzieś w pobliżu i będzie mówił do następnej otumanionej duszy: – Tak, tak, właśnie! właśnie! właśnie!

Coraz więcej Merry Pranksters zbierało się w oczekiwaniu na Keseya. Przyszedł George Walker. Walker nie nosi kostiumu. Wygląda jak bardzo schludny blondynek z college'u, ubrany w trykotową koszulkę i sztruksowe spodnie, uśmiechnięty i serdeczny, po prostu typowy złoty chłopak z Zachodniego Wybrzeża, gdyby nie parę drobnych szczegółów, jak na przykład jego wyścigowy lotus, który stoi na zewnątrz, pomalowany pomarańczowym Day-Glo tak, że o zmroku zaczyna świecić, kiedy czterema kołami ślizga się na zakrętach kalifornijskich przedmieść. I Paul poster. Foster to podobno jakiś szalony geniusz, geniusz komputerowy, na którego polują wszystkie te firmy, które nazywają się Techniflex, pigitron, Solartex, Automaton i wciskają mu pieniądze, żeby zrobił dla nich to czy tamto... Trudno mi powiedzieć, czy rzeczywiście jest geniuszem. Na pewno wygląda jak szaleniec. Skulony w kącie, w teatralnym fotelu – wychudzona postać – w ogromnej ilości ubrań. Wygląda na to, że ma na sobie około ośmiu par spodni kłowna, jedne na drugich, jedne brudniejsze od drugich, wszystkie czarne, w sadzy, podarte, wyświechtane, sparciałe. Ma prawie całkiem ogoloną głowę i jest taki chudy, że wydaje się, iż na głowie nie ma w ogóle ciała, a kiedy zaciska szczęki, to wygląda jak animowana precyzyjna rycina anatomiczna z drobnymi mięśniami twarzy, prążkowaniami, wiązkami, wiązadłami, tkankami, węzłkami i powłokami, których istnienia nikt dotąd nie podejrzewał, które zbierają się, wystają, nabierają wyrazistości w złożonej reakcji łańcuchowej. A on ciągle zaciska szczęki, skupiony, z pochyloną głową i płonącymi oczami, skupiony nad rysunkiem, który kreśli w notesie, niezwykle małym, ale, sądząc z jego skupienia, ważnym rysunkiem...

Black Maria siedzi na składanym krześle i uśmiecha się tajemniczo, ale nic nie mówi. Jeden z Ludzi-Flag, chudy gość, opowiada mi o Meksykanach zakręconych na punkcie sandałów *huaraches*. Doris Delay opowiada mi...

– Oni lecą własnym frikiem – ciągnie Hassler – i choć nie wygląda to na nic wielkiego, dochodzą do transcendencji tego kitu. To stara trójca, Siła, Stanowisko, Władza; dlaczego mieliby wielbić starych bogów i stare formy władzy...

– Precz z Bogiem... eeehhhhh... Precz z Bogiem...

To głos zza kotary z koca gdzieś z boku. Ktoś podłącza się do tego, co powiedział Hassler.

– Precz z Bogiem. Niech żyje Diabeł.

O dziwo, to rozmarzony, senny głos. Kotara się odsłania i ukazuje się żylasty, drobny gość, podobny do pirata. Za nim, z tyłu za kotarą, piętrzą się najróżniejsze kable, instrumenty, konsolety, głośniki, błyszczący stos elektroniki i tam właśnie gra taśma... „W Kopalni Nigdzie...” Facet przypomina pirata, jak wspominałem, z czarnymi włosami ściągniętymi do tyłu w stylu Tarzana, z wąsami i złotym kółkiem w lewym uchu. Rozgląda się sennie. Tak naprawdę to Hell’s Angel. Nazywa się Freewheeling Frank. Nosi barwy Hell’s Angels, to znaczy kurtkę z insygniami, kurtkę z obciętymi rękawami i rysunkami czaszki w hitlerowskim hełmie, skrzydeł i wielu innych tajemniczych symboli.

– Precz z Bogiem – mówi Freewheeling Frank. – Precz z wszelkimi formami... formami... – a słowa gasną sennie, choć wciąż rusza wargami i tak jakoś pochyła głowę i ciężkim krokiem oddala się w mrok, w stronę autobusu, wymachując rękami, raz jedną, raz drugą, jak Cassady, i już jest na swoim tripie, jak Cassady, no i dobrze, to Hell’s Angel... a Hassler myje zęby po każdym posiłku, w samym środku ekonomii opartej na blaszanej puszcze ze stacji Shella...

I wtedy pojawia się Kesey.

3. Elektryczny strój

Poprzez słoneczny prostokąt bramy i w dół podjazdem w ów zwariowany mrok wjeżdża kryta ciężarówka, a na przednim siedzeniu siedzi Kesey. Wódz – wypuszczony za kaucją. Na wpół spodziewam się, że cały ten chaotyczny karnawał wybuchnie we fluoryzujące hura! o nieobliczalnie szaleńczych proporcjach. Tymczasem wszyscy zachowują się spokojnie. Nie ma sprawy.

Kesey wysiada z ciężarówki nie podnosząc wzroku. Ubrany jest w sportową koszulę, stare spodnie i kowbojskie buty. Wydaje się, że mnie zauważył, ale się nie wita, ani śladu, że mnie poznaje. Dziwi mnie to, ale potem widzę, że nie wita się z nikim. Nikt nic nie mówi. Nikt się do niego nie wrywa, nic takiego. Tak jakby... Kesey wrócił i o czym tu gadać.

A wtedy Mountain Girl woła:

– Jak było w pierdłu, Kesey!

Kesey wzrusza tylko ramionami.

– Gdzie moja koszula? – pyta.

Mountain Girl grzebie w śmieciach obok stosu foteli teatralnych i wyciąga koszulę z brązowej irchy, z dekoltem, sznurowaną czerwonym rzemieniem. Kesey zdejmuje tę, którą ma na sobie. Wielkie mięśnie *latissimi dorsi* nadają jego plecom wygląd skrzydeł manty, gigantycznej tropikalnej płaszczki. A potem zakłada irchową koszulę i odwraca się.

Ale zamiast coś powiedzieć przekrzywia głowę i przechodzi przez garaż do masy kabli, głośników, mikrofonów i starannie coś reguluje. „...Kopalnia Nigdzie...” Jakby teraz już wszystko było pod kontrolą i czas na ostateczne strojenie.

Z głębi garażu – nie wiedziałem nawet, że tam byli – wychodzi kobieta z trojgiem dzieci. Żona Keseya, Faye, ich córka Shannon, lat sześć, i dwaj chłopcy, Zane, lat pięć, i Jed, trzy. Faye ma długie gniadobrazowe włosy, anielski wygląd i jest jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu widziałem. Ma promienną urodę świętej. Kesey podchodzi do niej i podnosi każde z dzieci, a potem Mountain Girl przynosi swoje dziecko, Sunshine, i on na chwilę podnosi Sunshine. W porządku...

Kesey rozluźnia się i uśmiecha, jakby do jakiejś myśli. Jakby dopiero teraz usłyszał pytanie Mountain Girl, jak było w pierdłu.

– Jedyne, o co się martwiłem, to ten ząb – powiada. Przesuwa płytkę z podniebienia i językiem wypycha z ust sztuczny, przedni ząb. – Miałem straszne przecucie, że będę w sądzie, albo będę rozmawiać z dziennikarzami, a to mi wypadnie i zacznę bełkotać.

Mówiąc „zacznę bełkotać”, bełkoce dla ilustracji.

Trzy miesiące później miał wymienić ten ząb na nowy, z pomarańczową gwiazdą i zielonymi paskami, emaliowany kiel z flagą Prankstersów. Pewnego dnia na stacji benzynowej kierownik, biały gość, zainteresował się nim i zawołał pomocnika, kolorowego gościa, i mówi:

– Hej, Charlie, chodź no tu i pokaż temu facetowi swój ząb. – Więc Charlie szczyrzy się, odsłania górną szczękę i pokazuje złoty ząb z wyciętym w złocie sercem z białej emalii. Kesey rewanżuje się uśmiechem i obnaża swój ząb – kolorowy gość wpatruje się przez chwilę i nic nie mówi. Nawet się nie uśmiecha. Po prostu się odwraca. Trochę później w drodze Kesey mówi bardzo poważnie, bardzo smutno:

– Źle postąpiłem. Nie powinienem tego robić.

– Czego robić?

– Przemurzyłem go – mówi Kesey.

Przemurzył go! Kesey zachował prowincjonalizmy, takie jak „o-hidne przecucie”, przez cały college, studia magisterskie, dni literackiej chwały...

– Jak to się stało? – pyta Freewheeling Frank, mając na myśli ząb.

– Pobił się z Hell’s Angel – odpowiada Mountain Girl.

– Co?!... – Freewheeling Frank jest szczerze zaskoczony.

– Taaak! – mówi Mountain Girl. – Sukinsyn przyłożył mu łańcuchem!

– Co!?! – mówi Frank. – Gdzie? Jak się nazywał!?

Kesey posyła Mountain Girl znaczące spojrzenie.

– Niecee – ona na to.

– Jak się nazywa!? – powtarza Frank. – Jak wygląda!?

– Mountain Girl robi cię w konia – mówi Kesey. – Miałem wypadek.

Mountain Girl wygląda, jakby się wstydziła. Z Frankiem nie żartuje się na temat bójek Hell's Angels. Kesey rozbija... wibracje. Siada w teatralnym fotelu. Mówi spokojnym, zwyczajnym głosem, z pochyloną głową, jakby rozmawiał z Mountain Girl, czy kimś innym.

– To dziwne. W więzieniu są faceci, którzy spędzili tam tyle czasu, że to ich cały świat. Więzienne friki. Nauczyli się specjalnego więziennego języka... –

...wszyscy schodzą się wokół, siadają w starych teatralnych fotelach lub na podłodze. Mistyczna para zaczyna się unosić...

– ...tylko że to nie jest ich język, to język klawiszy, glin, prokuratorów, sędziów. Na wszystko mają liczby. Jeden powiada: „Co się stało z takim to a takim?” A drugi na to: „Jest w 34”, co oznacza numer celi. „Namierzyli go z 211”...określają liczbami masę spraw tak, jak słychać w policyjnym radiu... „Namierzyli go z 211, ale może się wywinąć na 213 i dostać od trzech do pięciu, półtora za dobre sprawowanie”.

– Gliny to lubią. Czują się pewniej, jeśli grasz w ich grę. Będą ścigać koleś i dopadną go, i wyciągną na niego spluwy, i gotowi są rozwalić mu łeb, gdy tylko drgnie. Ale jak już go mają w areszcie, jeden z nich przychodzi i pyta o zdrowie żony, a koleś na to odpowiada, że ma się dobrze, dziękuję, i zapyta o dzieci tamtego, tak jakby teraz, kiedy już rozegrali tę partię gry w policjantów i złodziei, mogli się nie krępować i polubić. I wielu na to idzie, bo nie znają innej drogi.

– Kiedy się ucieka, też gra się w ich grę. Byłem w Haight-Ashbury i usłyszałem, że coś za mną uderzyło o chodnik. To z okna wypadł jakiś dzieciak. Dużo ludzi podbiegło, a jakaś kobieta płakała i próbowała go podnieść. Wiedziałem, że powinienem podejść i kazać jej go nie ruszać, ale nie zrobiłem tego. Bałem się, że ktoś mnie rozpozna. A potem na tej samej ulicy widziałem gliniarza wypisującego mandaty za parkowanie i chciałem podejść i kazać mu wezwać karetkę. Ale i tego nie zrobiłem. Po prostu poszedłem dalej. Tego wieczoru oglądałem wiadomości w telewizji i mówili o dziecku, które wypadło z okna i zmarło w szpitalu.

*I to jest właśnie to, co robi z ludzi gra w policjantów i złodziei. Tylko że to ja tak myślę. Ogarniając myślą przypowieść rozglądam się po twarzach, a oni wszyscy wpatrują się w Keseya i, nie mam najmniejszej wątpliwości, że myślą sobie: *i to jest właśnie to, co robi z ludzi gra w policjantów i złodziei*. Pomimo sceptycyzmu, który przyniosłem ze sobą, nagle*

doświadczam tego samego co oni. Jestem tego pewien. Czuję się wtajemniczony w coś, czego świat na zewnątrz, świat, z którego przyszedłem, nie mógłby pojąć, i to jest metafora, cała sprawa, odwieczna i szeroka, szersza niż...

Dwóch facetów wchodzi z blasku Harriet Street – wyglądają na headów. Podchodzą do Keseya. Jeden jest młody, w bluzie, z indiańskimi paciorkami i zawieszonym na nich amuletem – inaczej mówiąc, ma standardowy wygląd acid heada. Drugi natomiast, starszy, jest zadziwiająco schludny. Ma długie czarne włosy, ale zadbane, i lekko zakręcone wąsiki, jak u muszkietera, ale zadbane, i jaskrawą koszulę w kwiaty, ale zadbaną, dobrze skrojoną i drogą, i czarną skórzaną kurtkę, ale nie kurtkę na motor, tylko skrojoną raczej jak marynarka, i parę angielskich sztybletów, które musiały kosztować 25 albo 30 dolarów. Na pierwszy rzut oka wygląda jak z późnego North Beach, luzak z tysiącem dolarów w ciuchach. Ale wygląda całkiem naturalnie. Ma szczupłą twarz o ostrych rysach i parę oczu płonących świętą prawdą. Mówi, że nazywa się Gary Goldhill i chce z Keseyem zrobić wywiad do „The Oracle”, gazety z Haight-Ashbury. Pyta, kiedy byłoby to możliwe – ale od razu widać, że ma na sercu coś, co nie może czekać.

– Chodzi o to, Ken – ma angielski akcent, akcent klasy średniej, przyjemny akcent ze środkowej Anglii – chodzi o to, Ken, że wielu ludzi bardzo przejęło się tym, co powiedziałaś, lub co gazety napisały, że powiedziałaś o awansowaniu ponad kwas. Dla wielu ludzi jesteś wzorem, Ken, jesteś jednym z bohaterów ruchu psychodelicznego – ma taką środkowoangielską manierę dzielenia długich słów na sylaby, ru-chu psy-che-de-licz-ne-go – i chcą wiedzieć, co masz na myśli. W Haight-Ashbury dzieją się piękne sprawy, Ken. Wielu ludzi po raz pierwszy otwiera drzwi swoich umysłów, ale tacy jak ty muszą im pomóc. Mamy do wyboru tylko dwie drogi, Ken. Albo zamknąć się w klasztorze, albo stworzyć religię w stylu League for Spiritual Discovery – Li-gi Stu-diów pu-cho-wych – zalegalizować kwas i trawkę jako sakramenty, żeby ludzie nie musieli bać się całymi dniami w oczekiwaniu na pukanie do drzwi.

– Traktowanie tego jako sakrament może pogorszyć sprawę – mówi Kesey.

– Nie było cię prawie rok, Ken – Goldhill na to. – Może nie wiesz, co działo się w Haight-Ashbury. To rośnie, Ken, tysiące ludzi znalazło coś bardzo pięknego. Są bardzo otwarci i wspaniali, ale strach i paranoja, Ken, oczekiwanie na pukanie do drzwi – powoduje straszne rzeczy, Ken. Po-wo-du-je dużo złych tripów. Ludzie mają złe tripy, Ken, ponieważ biorą kwas i nagle wydaje im się, że w każdej chwili mogą usłyszeć pukanie do drzwi. Musimy się trzymać razem. Musisz nam pomóc, Ken, a nie działać przeciwko nam.

Kesey odwraca wzrok od Goldhilla i spogląda w mrok garażu. Potem mówi łagodnym, beznamiętnym głosem, ze wzrokiem utkwionym w dali:

– Jeśli nie zdajecie sobie sprawy, że pomagam wam każdym włóknem swego ciała... jeśli nie zdajecie sobie sprawy, że wszystko, co zrobiłem, wszystko, przez co przeszedłem...

...unoszą się, unoszą...

– Rozumiem, Ken, ale te represje...

– Jesteśmy teraz na takim etapie, jak święty Paweł i pierwsi chrześcijanie – mówi Kesey. – Święty Paweł powiedział, że jeśli prześladują was w jednym mieście, przenieście się do następnego, a jeśli i tam będą was tępić, przenieście się do jeszcze innego...

– Rozumiem, Ken, ale ty każesz ludziom przestać brać kwas, a oni nie przestaną. Otworzyli w swoich umysłach drzwi, których istnienia nawet nie podejrzewali – i to jest piękna sprawa – a potem czytają w gazetach, że ktoś, kto był dla nich wzorem, nagle każe im przestać.

– Jest wiele rzeczy, których nie mogę powiedzieć w gazetach – mówi Kesey. Wciąż patrzy w dal ponad Goldhille. – Pewnej nocy w Meksyku, w Manzanillo, wziąłem kwas i rzuciłem *I Ching*. *I I Ching* – w *I Ching* wspaniałe jest to, że nigdy nie wysłała ci miłosnych liścików, kiedy trzeba, daje ci w twarz – powiedział, że dotarliśmy do pewnej granicy, że dalej już nie pójdziemy, że czas wybrać nowy kierunek. Wyszedłem na dwór, a tam była burza, błyskało naokoło, podniosłem rękę ku niebu, błysnęło i nagle spostrzegłem, że mam drugą skórę, z błyskawicy, z elektryczności, jak elektryczny strój, i wiedziałem, że jest w nas potencjał, żeby stać się herosami, że możemy zostać herosami albo zginąć. – Opuszcza wzrok. – Nie mogłem powiedzieć tego w gazetach, prawda? Wsadziliby mnie nie do więzienia, tylko do Pescadero.

...unoszą się, unoszą...

– Ale większość ludzi nie jest na to gotowa, Ken – mówi Goldhill. – Dopiero zaczynają otwierać drzwi w swych umysłach...

– Ale gdy już raz przekroczyło się te drzwi, to po co znowu przez nie przechodzić...

– ...i ktoś musi im pomóc przejść przez te drzwi...

– Nie każ mi wychodzić z lasu – mówi Kesey. – Nie zabraniaj mi być pionierem, nie każ mi wracać i przeprowadzać tych ludzi przez drzwi. Jeśli Leary chce to robić, świetnie, to ważna sprawa i ktoś powinien się tym zająć. Ale ktoś musi być pionierem i zostawiać znaki dla innych, którzy pójdą za nim. – Kesey znowu przenosi wzrok w mroczną dal. – Trzeba wierzyć w to, co próbuje się robić. Łatwo jest w coś wierzyć, dopóki zgadza się to z tym, co już wiesz. Ale musicie wierzyć w nas do końca. Ktoś taki jak Gleason – Gleason był z nami

aż dotąd. – Kesey rozchylił kciuk i palec wskazujący na jakieś pięć centymetrów. – Był z nami, dopóki nasze fantazje pokrywały się z jego fantazjami. Ale gdy tylko poszliśmy dalej, nie rozumiał tego, więc skierował się przeciw nam. Już... nie wierzył.

 Nie wierzył!...mgła znad zatoki zamienia się w parę, syczy w starym czerepie...

 Wierzyć! Dalej! To niesamowicie dziwne uczucie, siedzieć tu w blasku Day-Glo przy nędznej, parszywej Harriet Street i nagle zdać sobie sprawę, że w tym nieprawdopodobnym garażu byłej fabryki zapiekane znalazłem się pomiędzy Tsong-Isha-pa i komuną sanghi; Manim i bladeuszem prześladowanymi przy Bramie; Zaratustrą, Maidhyoimaonghą i pięcioma wiernymi przed Vishtapu; Mahometem, Abu Bekrem i uczniami wśród faryzejskich Koreish z Mekki; pomiędzy Gautamą i braćmi na pustyni, porzucającymi rodziny krwi ze swojej przeszłości dla tej jedynej, prawdziwej rodziny kręgu wtajemniczenia sanghi – krótko mówiąc, w prawdziwym mistycznym bractwie – tyle że w biednej, starej, plastikowej Ameryce lat sześćdziesiątych bez jednego ziarenka pustynnego piasku czy skrawka palmowego liścia, czy kęsa manny, czy owocu drzewa chlebowego nad głową, w bractwie odbierającym wibracje z taśm Ampex i podrzucanego miota kowalskiego Williams Lok-Hed; łykającym zamiast somy LSD-25, IT-290, DMT, substancje stworzone z matematyczną precyzją w laboratoriach; wyruszającym w lotniskowych kombinezonach w amerykańskie flagi i w szkolnym autobusie International Harvester – naprawdę! – pomiędzy masy białych cukierków w czarnych błyszczących półbutach...

4. Jak ci się podoba mój Budda?

 Obecna fantazja... tymczasem, późnym wieczorem, większość Prankstersów wyniosła się z Magazynu. Jedni żeby wziąć prysznic w mieszkaniu Guta, byłego Hell's Angel, który ma psychodeliczny sklep pod nazwą „Joint Ventures”, inni tu, jeszcze inni tam... W Magazynie został tylko Kesey i paru innych. Kesey stoi w mroku Centrali Panowania, z boku, wśród taśm, puszek z filmami oznaczonych samoprzylepnymi paskami, notatników, mikrofonów, kabli, cewek, głośników, wzmacniaczy. Archiwum Prankstersów...a taśma brzęczy dziwnym głosem, pełnym szumów i zniekształceń:

 „...błogie przeciwuderzenie... znacząca nowa wiadomość...”

 Znacząca nowa wiadomość... obecna fantazja...

 Fantazja to słowo, które Kesey zaczął coraz częściej stosować do wszelkiego rodzaju planów, przedsięwzięć, poglądów na świat, ambicji. To dobre słowo. Zarazem jest i nie jest ironiczne. Odnosi się do wszystkiego, od zdobycia furgonetki – „to nasza fantazja na ten weekend” – aż do przerażających spraw z wyszczerbionych skrajów... jak fantazja, która ma

być teraz ogłoszona na Kwasowej Maturze, czyli Acid Test Graduation. Ale jak to ogłosić? Kesey grzebie w puszkach z filmami i różnych... archiwaliach... To nigdy nie było możliwe – prawda – tak sobie wyjść i zapowiedzieć obecną fantazję, nawet w dawnych czasach, kiedy wydawało się to takie łatwe. Na przykład Goldhill, który był tu przed chwilą z tą swoją prawdą w oczach. Ten zbliży się bardziej niż inni. Kesey to zauważył. Goldhill był otwarty... i siedział w kisielu. Miał własną fantazję, Ligę Studiów Du-cho-wych, jednak należał do tych rzadkich przypadków ludzi, którzy byliby gotowi przyłączyć się do fantazji, jego i Prankstersów. Do tego trzeba rzadkiego przypadku, ponieważ wcześniej czy później przychodzi taka chwila, kiedy już czas poprowadzić ten pranksterski cyrk dalej ku Skrajowi. A zawsze w takich chwilach jakieś dobre dusze są zaskoczone: Hej, chwileczkę! Tak jak Ralph Gleason ze swoją kolumną w „Chronicie” i własną działką luzactwa. Gleason jest takim człowiekiem... Kesey ich wszystkich pamięta, ludzi, którzy uważali, że jest wspaniały, dopóki jego fantazja pokrywała się z ich fantazjami. Ale za każdym razem, kiedy ruszał dalej – a on zawsze ruszał dalej – tracili orientację i mieli pretensje... taśma kręci się nadal:

„...błogie przeciwuderzenie... w rabunku i stosunku... krew, która płamiła go podczas stosunku... że od dwudziestu lat wierzyliśmy w jego jabłkowy przymus...”

Tylko szczęściarze i Merry Pranksters potrafią zrozumieć te ponaddzwiękowe trele... chyba...

„...błogie przeciwuderzenie...”

...obecna fantazja... Nawet wtedy na Perry Lane, gdzie wszyscy byli młodzi, intelektualiści i analitycy, gdzie wszystko, podobno, mogło się zdarzyć – nie było mowy, aby mógł powiedzieć wprost: – Podejdźcie bliżej, przyjaciele... Co do niego, mieli swoją własną fantazję: był „nie oszlifowanym diamentem”. Cóóó, w porządku, mógł być nie oszlifowanym diamentem. Na Stanford University przyjechał w roku 1958 na stypendium literackie i przyjęli go na Perry Lane, bo był takim fantastycznym nie oszlifowanym diamentem. Perry Lane było dzielnicą stanfordzkiej cyganerii. Jak na cyganerię, Perry Lane było istną Arkadią, Arkadią tuż obok stanfordzkich pól golfowych. Był to gęszcz dwupokojowych, pokrytych spłóviałym gontem domków w dębowym lesie, ale nie tak po prostu pomiędzy drzewami i krzakami, tylko wśród winorośli, wąsów wiciokrzewu, wszędzie pąki i kielki, pnące się wici i świergot, jak w najlepszych momentach z Arthura Rackhama i Kubusia Puchatka. A w dodatku miało to prawdziwy kulturalny prestiż. Mieszkał tam Thorstein Veblen. Jak również dwaj laureaci Nagrody Nobla, o których wszyscy wiedzieli, choć nikt nie mógł sobie przypomnieć ich nazwisk. Domki były do wynajęcia za marne 60 dolarów. Dostać się na Perry Lane, to jak zostać przyjętym do klubu. Każdy, kto się tam

wprowadzał, znał kogoś, kto już tam mieszkał, bo inaczej by się tam nie dostał i, oczywiście, bardzo blisko poznawał Wszystkich innych, więc panowało tam zawsze coś w rodzaju atmosfery komuny. Nikt nigdy nie zamykał drzwi na Perry Lane, chyba że miał dość.

Było uroczo. Perry Lane to typowa cyganeria z lat pięćdziesiątych. Wszyscy przesiadywali kręcąc głowami nad amerykańską cywilizacją skrzydlatych samochodów i podmiejskich osiedli i, Boże, tam w Europie, co z tego, że mają kiepską kanalizację, skoro opanowali sztukę życia. Co jakiś czas ktoś proponował orgietkę lub trzydniową winną balangę, ale zawsze według wzoru Greka Zorby oraz romantyzmu sandałów, prostoty i powrotu do pierwszych zasad. Od czasu do czasu wybierano się z pielgrzymką 60 kilometrów na północ do North Beach, zobaczyć, jak to się robi naprawdę.

Głównymi bohaterami Perry Lane było dwoje pisarzy, Robin White, który właśnie napisał wyróżnioną później Nagrodą Harpera powieść *Elephant Hill*, i Gwen Davis, ktoś w rodzaju Dawn Powell Zachodniego Wybrzeża. W każdym razie wszyscy starzy obywatele Perry Lane poznali się na Keseyu na kilometr.

Miał wypisane na czole, że to Ambitny Wieśniak typu Martina Edena Jacka Londona, wieśniak z intelektualną pretensją. Pochodził z Oregonu – czy słyszeliście kiedyś, żeby ktoś był z Oregonu? – i cedził słowa, jak na wsi w Oregonie. Miał za dużo mięśni i odcisków na rękach, marszczył czoło, kiedy ciężko myślał, i był cudowny.

White wziął Keseya pod swoje skrzydła i zdobył dla niego i jego żony Faye domek na Perry Lane. Towarzystwu z Perry Lane od razu spodobał się ten pomysł. Zawsze można było liczyć, że będzie robił cudowne rzeczy. Tak jak wtedy, kiedy wszyscy siedzieli przy kolacji – sporo było wspólnego biesiadowania – a jakiś zaproszony gość rozwodził się nad niewysłowioną delikatnością dzieł Jamesa Baldwina, Kesey zaś, nie przerywając jedzenia, ale także próbując wcisnąć słówko, powiedział, no, bracie, czy ja wiem, nie bardzo mi to pasuje, a ten gość bardzo starannie odłożył nóż i widelec i zwrócił się do wszystkich tymi słowami:

– Z rozkoszą wysłucham wszystkiego, co pan Kesey ma do powiedzenia – gdy tylko nauczy się jeść z talerza nie przytrzymując mięsa kciukiem.

Cudownie! Wybrano go „rokującym największe nadzieje na sukces” w liceum w Springfield w Oregonie i ukończył University of Oregon, gdzie przede wszystkim zajmował się sportem i zabawami towarzyskimi, jak przystało na typowego amerykańskiego młodzieńca. Był gwiazdą zapasów w kategorii 87 kilogramów i gwiazdą uniwersyteckich przedstawień teatralnych. Po ukończeniu college’u pojechał nawet do Los Angeles i przez jakiś czas obijał się po Hollywood z zamiarem zostania gwiazdą filmową. Ale zapął do pisania, do tworzenia, przebił się jakoś przez grubą warstwę ciężkiego, amerykańskiego kitu,

jak zadziwiające kwiecie portulaki, i zaczął pisać, a nawet napisał powieść o uniwersyteckich atletach, *End of Autumn*. Nie była wydana i prawdopodobnie nie miała być, ale ciągnęło go do tej roboty. I jego pochodzenie – też było cudowne. Nie wiadomo dlaczego załoga z Perry Lane wpadła na pomysł, że jego rodzina pochodzi z Oklahomy i w czasach kryzysu wyjechała z Dust Bowl i dalej do Oregonu, dzikiego, przemokniętego Oregonu, gdzie zmagala się z ziemią i strzelała do niedźwiedzi, a rzeki były rwące i losoś skakał srebrem w wezbranych wiosną wodach.

Jego żona Faye pochodziła z podobnej rodziny, tyle że z Idaho. Byli licealną parą w Springfield w Oregonie, a na pierwszym roku college’u uciekli i wzięli ślub. Kiedyś założyli się o to, które z nich urodziło się w tandetniejszej, nędzniejszej budzie, on u siebie w La Junta, czy ona w Idaho. Był stuprocentowo pewny, że jeśli chodzi o biedę, La Junta jest nie do pobicia. Dopóki nie przyjechali do Idaho i nie przekonał się, że tym razem to ona wygrała. Faye mówiła jeszcze ciszej niż Kesey. Właściwie prawie wcale nie mówiła. Była śliczna i niezwykle urocza, prawdziwa madonna ze wzgórz. I ten ich domek w Perry Lane – cóż, domki całej reszty były zapuszczone w wyszukany, cygański sposób. Prostota, japońskie kuliste papierowe abażury, surowa bawełna, jasne słomiane maty, szwedzkie sztuce z nierdzewnej stali i bławatki sterczące z ręcznie toczonych glinianych garnków. Ich domek był po prostu nędzny. Na werandzie z tyłu zawsze rdzewiało coś takiego jak zepsuta pralka, a w ogródku pieniały się kępy lebiody, morschynu, mleczu i dzikiego grochu. Na swój sposób było... cudownie... mieć jego i Faye pod ręką i patrzeć, jak się uczą, kiedy bywalcy z Perry Lane rozprawiają o życiu i sztuce.

Wspaniale!... obecna fantazja... Ale jak im to powiedzieć? – o takich tajemnych drobiazgach jak Captain Marvel i The Flash... i samo *Życie* – i prawdziwe *Superszczeniaki* – „...znacząca nowa wiadomość... błogie przeciwuderzenie...”

...skoro mieli takie wyrażniutkie wyobrażenie o nim, jako szponiastym synu gleby Zachodu, prosto ze Springfield w Oregonie. Faktem jest, że jego ojciec, Fred Kesey, nauczył go i jego młodszego brata Joe, zwanego Chuckiem, strzelać, łowić ryby i pływać, gdy tylko mogli sobie z tym poradzić, jak również boksować, biegać, siłować się, rzucać się w wiry rzek Willamette i McKenzie na tratwach z dętek, gdy cała masa skał, wody i niechybnej śmierci pieniała się pod nimi. Ale nie po to, żeby potrafili oswajać zwierzęta, lasy, rzeki; dziki, przewrócony, wstrząsany konwulsjami Oregon. Raczej po to, aby jeszcze lepiej poradzili sobie z tym, z czym ich ojciec już nieźle sobie radził – ze zdobywaniem wszystkiego, co im się należy, z samym tym że są mężczyznami na tyle, żeby samemu brać i to wcale nie na

dzikim pograniczu, zresztą... Kesey senior należał do emigrantów lat czterdziestych z południowego zachodu – nie wywodził się z Oklahomy, ale z przedsiębiorczych protestantów, którzy patrzyli na Zachodnie Wybrzeże jak na ziemię obiecanych interesów. Wystartował w Willamette Valley prawie bez grosza i założył spółdzielnię mleczarską dla miejscowych farmerów, Eugene Farmers Cooperative, która z czasem stała się największym przedsiębiorstwem mleczarskim w okolicy, sprzedającym wyroby pod firmową nazwą „Darigold”. Odnosił jeden z najbardziej spektakularnych sukcesów w powojennej historii Valley – i skończył nie na starej farmie ze ścianami z drewna i piorunochronami, ale w nowoczesnym domu na przedmieściu, parterowym i pastelowym, przy ulicy Debra Lane. Ten niewiarygodny, powojenny amerykański elektro-pastelowy pęd na przedmieścia! – zasypał Dolinę superautostradami, samochodami ze snu, centrami handlowymi, strzelającymi w górę na dziesięć metrów elektrycznymi superrzeźbami z Federalnej Fabryki Znaków i Szyldów – osiem nowych wzorów szyldów z pleksiglasu! Fala ruchliwej swobody, samochodów i pieniędzy, aby za nie zapłacić, i czasu, aby się nimi cieszyć, i domów, w których można leniuchować w pastelowym bogactwie wykładziny dywanowej lub z hukiem przelatywać przez technologiczną krainę cudów w motorowych łodziach, a w przypadkach takich jak jego ojca, we własnych samolotach...

To, co ni stąd, ni zowąd, nagle, przypominał sobie z rodzinnego miasta... Oto, na przykład, stary, biały, drewniany domek, w którym mieszkali, a za nim, trochę dalej, stoi maszt radiostacji KORE z czerwonym, błyskającym światełkiem na szczycie – i wieczorem klękał, aby odmówić modlitwę, a tam, na niebie, błyska to światełko – i zawsze wydawało mu się, że modli się do tego czerwonego światełka. A stara droga zakręcała właśnie tu i prawie zawsze ktoś przejeżdżał około trzeciej lub czwartej nad ranem, na wpół senny i, widząc światła w mieście, tam gdzie właśnie się rozbudowywało, myślał, że droga prowadzi wprost do tych świateł, i wypadał z zakrętu, a Kesey i jego ojciec wychodzili, żeby zobaczyć, czy można pomóc mu wydostać się z rowu – pogoń za światłami samochodów! – modlitwy do czerwonego światła ostrzegawczego KORE! I drobne kłótnie w Gregg's Drive-in – tak nazywało się wtedy, teraz to Speck's, przy Franklin Boulevard koło mostu nad rzeką. To był taki duży drive-in, do którego przyjeżdżało całe liceum; z wielkim, pastelowym, neonowym szyldem o opływowych kształtach ze strumieniami opływowych superzgrabnych napisów kursywą A-22; z reflektorami, tacami do montowania na drzwiczkach samochodów, kelnerkami w luźnych niebieskich spodniach, uwijającymi się między autami; hamburgerami parującymi w papierze śniadaniowym, z plasterkami cebuli przyciskanymi do rusztu przy smażeniu, musztardą i keczupem wyciskanymi na to wszystko z plastikowych tub. Te

sobotnie wieczory, kiedy wszyscy krążą w samochodach – jakiś facet wjechał do Gregga pod prąd, więc nikt nie mógł się ruszyć. Im bardziej wszyscy trąbili, tym bardziej robił się uparty. Jakby to były jakieś zawody. Podkręca okna, blokuje drzwiczki, aby nie można się było do niego dostać, i wpycha się dalej. Ten facet przeciwko Keseyowi. Więc Kesey idzie do środka, bierze kartofel, z którego robią frytki, wraca i wsadza go gościowi w rurę wydechową, co powoduje, że silnik mu zdycha, i co, koleś, teraz już nigdzie nie jedziesz. Facet wnosi przeciwko Keseyowi skargę o zniszczenie silnika i Kesey łąduje w sądzie dla nieletnich, gdzie próbuje opowiedzieć sędziemu, jak jest w Gregg's Drive-In w sobotę wieczór: samo Życie – to szczególne *uczucie* – samo Życie – amerykańskich nastolatków w drive-inach na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych było *dokładnie* tym, o co chodziło – ale jak można o tym opowiedzieć?

Ależ oczywiście! – to szczególne *uczucie* – w mieście wieczorem, na wolności, silnik chodzi, adrenalina buzuje, krążymy w neonowej glorii tej nowej Ameryki – to istny raj być w pierwszej fali najbardziej niesamowitych dzieciaków w historii świata – tylko 15, 16, 17 lat i wystrojeni w *haute couture* różowych oksfordzkich koszul, eleganckich spodni, wężowatych wąskich pasków, szpanerskich butów – z całą mocą szczęścia albo i ośmiu cylindrów pod sobą, a całym neonowym szykiem nad sobą, co w pewien sposób wiązało się z technologicznym bohaterstwem odrzutowców, telewizji, atomowych okrętów podwodnych, ultradźwięków – przedmieścia powojennej Ameryki – cudowny świat! I niech szlag trafi tych intelektualnych obmawiaczy amerykańskiej cywilizacji skrzydlatych samochodów... nigdy nie wiedzieli, jak to jest, albo ich z tego wyprano. To szczególne *uczucie* – być prawdziwym Superszczeniakiem! Pierwszym na tym świecie pokoleniem łobuziaków – którzy czują się bezkarni ponad wszelkie zagrożenie. Ich rodzice pamiętali mózół pospolitego życia, Wojnę i Kryzys – ale Superszczeniaki nie znały nic poza wybuchem radości z powodu wielkiej wypłaty, kiedy już nic nie było pospolite – samo Życie! Cudowne miejsce, cudowny wiek, słowo daję! Prawdziwy Neo-nowy Renesans – i mitologia tamtych czasów – nie Herkules, Orfeusz, Ulisses czy Eneasza – ale Superman, Captain Marvel, Batman, The Human Torch, The SubMariner, Captain America, Plastic Man, The Flash – oczywiście! A ci na Perry Lane myśleli, że to co, śmichy-chichy? – kiedy mówił o superbohaterach komiksów, jako postaciach z prawdziwych amerykańskich mitów? To już był świat fantazji, elektro-pastelowy świat z Mamą i Tatą, i Braciszkiem, i Siostrzyczką na przedmieściu. Oto jadą, rodzinnym samochodem, białym sedanem Pontiac Bonneville – *rodzinny samochód!* Samo to wielkie, szalone, o Boże, jakie potężne, fantastyczne stworzenie, 327 koni mechanicznych, w kształcie dwudziestu siedmiu nocy lubieżnej rozpusty w luksusowej karecie – *i już tam jesteś, w*

Krainie Fantazji, więc może rusz się z samego środka swej zacisznej pikowanej pościeli i wyrwij się – wal śmiało i powiedz to – *Szazam!* – dodaj gazu, aby stało się to, co już nie może się doczekać: 327 000 koni mechanicznych, na całej długości superautostrady, wzbija się z rykiem ku... Skrajowi i ostatecznym fantazjom, obecnym i przyszłym... Billy Batson rzekł „Czary mary!” i zamienił się w Captaina Marvela. Jay Garrick wdychał pewien eksperymentalny gaz w laboratorium badawczym...

...i zaczął podróżować i myśleć z prędkością światła jako... The Flash... obecna fantazja. Właśnie. Fantazja z Keseyem jako nie oszlifowanym diamentem nie utrzymała się zbyt długo. Jego zdaniem najciekawszą osobą na Perry Lane nie był żaden z pisarzy ani żaden z literackich intelektualistów, ale student ostatniego roku psychologii – Vic Lovell. Lovell przypominał młodego wiedeńskiego psychoanalityka albo przynajmniej jego kalifornijską, uniwersytecką wersję. Szczupły, miał rozczochrane ciemne włosy, był bardzo wyrafinowany intelektualnie i jednocześnie zakręcony. Wprowadził Keseya we freudowską psychologię. Kesey nigdy przedtem nie miał do czynienia z podobnym systemem filozoficznym. Lovell potrafił wyjątkowo przekonująco pokazać, jak pospolite cechy charakteru i drobne nieporozumienia z Perry Lane mieszczą się w najbogatszej, najbardziej złożonej metaforze życia, jaką kiedykolwiek wynaleziono, a mianowicie we freudyzmie... i w odrobinie eksperymentalnego gazu... Właśnie. Lovell opowiedział mu o pewnych eksperymentach prowadzonych przez Veterans Hospital w Menlo Park z lekami „psychomimetycznymi”, czyli wprowadzającymi w przejściowe stany podobne do psychoz. Płacili ochotnikom 75 dolarów dziennie. Kesey zgłosił się na ochotnika. Wszystko było elegancko pobielone i kliniczne. Kładli go do łóżka w białej sali i podawali serie pigułek, nie mówiąc co to takiego. W jednej nie było nic, *placebo*. W innej był ditran, który powodował straszne przeżycia. Kesey zawsze wiedział, kiedy się zbliżały, ponieważ sierść koca, pod którym leżał, nagle zaczynała wyglądać jak pole odrażająco chorych cierni, więc wkładał palec do gardła i rzygał. Była także taka... pierwsze, co zauważył, to jak wiewiórka na drzewie za oknem upuściła żołądz, tyle że ze strasznym hukiem, który rozległ się, jakby to nie było na dworze, ale tu, w sali, obok niego. Zresztą to wcale nie był huk, tylko wielka powszechna obecność, widzialna, prawie namacalna, wielkie uderzenie...*blękitu*... wszędzie naokoło, i nagle znajdował się w krainie przytomności, o której nigdy przedtem nie śnił, ale nie był to ani sen, ani delirium, tylko część jego świadomości. Spojrzał na sufit. Sufit zaczął się ruszać. Panika – a jednak bez paniki. Sufit się rusza – nie wiruje jak szalony, ale płynie po własnych płaszczyznach, własnych płaszczyznach światła, cienia i powierzchni wcale nie takiej ładnej i gładkiej, jaką

zamierzył tynkarz, Pan Supergips, wspomagany niezawodnym bąbelkiem w rurce poziomnicy z mętnym miodowym syropem Karo, niestety nie tak niezawodnym, jak ci się wydawało, kolego. Tam trochę grudek, tu fałdek, kolego, i kreski, kreski jak kolce na grzbietach fal białego piasku filmowej pustyni, każda z hollywoodzkim, cieniowanym ujęciem złowieszczego A-raba nadciągającego w dalekim planie zza najbliższej wydmy, jako że tylko ten ponury Saracen zna drogę, i wcale nie wiedziałeś, ile tam zostawiłeś podrzędnych wątków, Panie Gips, kiedy starałeś się wygładzić to *do końca, do końca*, swoim bąbelkiem w miodowej rurce poziomnicy, abyśmy wszyscy tu na dole patrzyli w górę i widzieli tylko sufit, bo wiadomo co to sufit, bo tak się *nazywa*, sufit, a więc to tylko sufit – nie ma miejsca dla Arabów tam na górze w Krainie Poziomu, co? Panie Gips. Nagle Kesey staje się jak pingpongowa piłeczka w zalewie bodźców zmysłowych, z walącym sercem, tętniącą krwią, zdyszany oddechem, zgrzytającymi zębami, ręką błędzącą po perkalu pościeli, po tych tysiącach drobniotkich, gryzących włókien, jak pożar buszu, blask słońca i błysk na nierdzewnym stalowym pręcie, niezły film masz tam w tym błysku, kolego, Technicolor, z których każdy możesz wyciągnąć jak neonową kulkę gumy do żucia chwytaną czerpakiem na wesołym miasteczku, pingpongowa piłeczka w zalewie bodźców zmysłowych, całkiem zwyczajnych, ale... *ujawniających się* po raz pierwszy i zdarzających się... *Teraz...* jakby po raz pierwszy zagłębił się w chwilę swego życia i dokładnie zdawał sobie sprawę z tego, co dzieje się z jego zmysłami, teraz, w tej chwili, i przy każdym nowym odkryciu jest tak, jakby zagłębił się w nim sam, był z nim jednością. Filmowa biała pustynia sufitu zamienia się w coś bogatego, osobistego, własnego, pięknego nad wyraz, jak orgazm pod gałkami oczu, i jego Arabowie – Arabowie pod powiekami, kino pod powiekami, miejsce dla nich i wielu innych w stroboskopowych synapsach pięciu miliardów myśli na sekundę – jego A-rabscy bohaterowie, piękne wąsy z końskiej sierści zawinięte wokół *Orbicularis Oris* ich ust –

Twarz! Lekarz wraca i, rewelacja, biedny naszpanowany dupek, doktorek. Teraz Kesey może zajrzeć do niego *do środka*. Po raz pierwszy widzi, że lekarzowi drży dolna warga, ale nie tylko *widzi* to drżenie, on je rozumie, widzi, jak wszystkie włókna mięśni krzyżują się ściągając biedną galaretowatą wargę na lewo i prowadzą jedno po drugim w głąb podczerwonych czeluści ciała, poprzez wnętrzości z nerwowych splotów, jak w tranzystorowym radiu, każdy splot w stanie gotowości bojowej, jak pętelki wewnątrz tego biednego głupka, które desperacko próbują *uspokoić wreszcie* te małe wijące się sukinsyny, jestem Doktorem, a to coś przede mną to egzemplarz człowieka – biedny głupek ma tam w środku własny pustynny film, tyle że w nim każdy A-rab z końskiej sierści to zagrożenie – gdyby tylko jego warga, twarz chciały zachować poziom, tak jak zapewniał to miodowy

bąbelek Pana Supergipsa –

Cudownie! Naprawdę potrafi już *zaglądać do środka ludzi* –

No właśnie, ta mała pigułka, tak błogo prześlizgująca się przez gardło, to LSD.

Już wkrótce nadszedł czas, aby pójść dalej, przekroczyć kolejną fantazję, fantazję kliniki Menlo Park. Polegała na tym, że ochotnicy to króliki doświadczalne, które trzeba traktować obiektywnie, ilościowo. Wiadomo, że ochotnicy zgłaszający się do eksperymentów z dragami i tak zwykle bywają niezrównoważeni. Więc lekarze wchodzili w białych fartuchach, z notesami, zapisywali ciśnienie krwi i puls, pobierali próbki moczu i dawali im do rozwiązania proste zadania logiczne i matematyczne, takie jak dodawanie kolumn liczb oraz ocena czasu i odległości, choć także kazali im mówić do magnetofonu. Ci lekarze byli zupełnie obok. Sami nigdy nie brali LSD i absolutnie nie mieli o nim pojęcia, zresztą i tak nie sposób opisać tego słowami.

Czasami chciało się to namalować – kiedyś Lovell, w klinice, po LSD, zaczął rysować na ścianie wielkiego Buddę. W pewnym sensie obejmował całość... wchodzi Biały Fartuch i nawet nie spojrzy, tylko zaczyna zadawać te same stare pytania zanotowane w notesie, więc Lovell nagle przerywa:

– Jak ci się podoba mój Budda?

Biały Fartuch przygląda się przez chwilę i powiada:

– Wygląda bardzo kobieco. A teraz zobaczmy, jak szybko uda ci się dodać te liczby...

Bardzo kobieco. Ocal nas od komunałów, które blokują umysły nawet tych tak zwanych badaczy, jak rozsuwane kraty w witrynie kuśnierza – a Kesey miał ten sam problem ze swoimi doktorkami. Jeden z nich to młody gość z przylizanymi, krótko ostrzyżonymi włosami i najbardziej normalną twarzą, najbardziej normalną, bezbarwną, gładką, ohidną, poziomą jak miodowy bąbelek Pana Gipsa twarzą, jaką kiedykolwiek stworzono; wchodził i szeroko otwierał oczy, jakby chciał się upewnić, że ta muskularna kłoda jeszcze nie oszalała i wtedy przybierał zadowolony z siebie ton, który wypełniał salę jak wata przesycona kredowym pyłem wy trzepanym ze ścierki do tablicy w liceum w Springfield.

– A teraz powiem „start”, a kiedy uznasz, że minęła minuta, Powiedz „już”. Zrozumiałeś?

Aha, zrozumiał. Kesey szybował na LSD i jego poczucie czasu było *w strzępach*, a tysiące myśli na sekundę, na ułamek sekundy, przeskakiwało pomiędzy synapsami, więc co to jest minuta, do cholery – aż nagle jedna myśl zatrzymała się, utknęła... złoś-li-wość, sprawied-li-wość. Przypomniał sobie, że jego puls, za każdym razem, kiedy mierzyli, bił 75 razy

na minutę, więc kiedy Doktor Tuman powiedział „start”, Kesey sprytnie przesunął palec na puls, policzył do 75 i powiedział:

– Już!

Doktor Dym spojrzał na swój stoper.

– Niesamowite! – powiedział i wyszedł.

Racja, kolego, ale jak wielu innych, nawet nie masz bladego pojęcia jak bardzo.

LSD; jak można – teraz kiedy te wielkie, tłuste litery krzyczą z błyszczących stron w każdym kiosku... Ale to działo się pod koniec roku 1959, na początku 1960, na całe dwa lata, zanim Mama, Tata, Braciszek i Siostrzyczka usłyszeli o tych przerażających inicjałach i cmokali nad tym, że doktorzy Timothy Leary i Richard Alpert smażyli na tym mózgi chłopców z Harvardu. Nawet zanim doktor Humphrey Osmond wynalazł termin „psychodelic,” który potem zmieniono na „psychedelic”, aby pozbyć się kojarzącego się z wariatkowem „psycho”... LSD! Wpadli na niezłą tajemnicę, właściwie kawał supertajemnicy – triumf królików doświadczalnych! W niedługim czasie on i Lovell wypróbowali całą gamę dragów, LSD, psylocybinę, meskalinę, pejotl, superamfetaminę IT-290, koszmarne ditran i nasiona powoju. Byli na tropie odkrycia, którego ci w klinice Menlo Park nigdy... cóż za wspaniała ironia losu: Białe Fartuchy miały niby *ich* wykorzystać. Tymczasem Białe Fartuchy wręczyły im klucz. *A ty nawet nie masz bladego pojęcia, kolego... te dragi odmieniają percepcję na tyle, że patrzy się przez zupełnie obce źrenice. Znaczna część naszych umysłów jest zamknięta na trzy spusty. Jesteśmy odcięci od świata. A wygląda na to, że te dragi to właśnie klucz do tych zamkniętych drzwi. Ilu? – może ze dwudziestu ludzi na całym świecie było na tropie tej niewiarygodnej tajemnicy! Jeden z nich to Aldous Huxley, który brał meskalinę i pisał o tym w *The Doors of Perception*. Porównał mózg do „zaworu”. W przypadku normalnej percepcji zmysły wysyłają do mózgu przytłaczającą masę informacji, którą następnie mózg ogranicza do strumyczka, z którym może sobie poradzić, aby przeżyć w świecie konkurencji. Człowiek stał się tak racjonalny, praktyczny, że strumyczek ten zrobił się wyjątkowo błady i cienki. Sprzyja to przeżyciu, ale blokuje najwspanialszą część potencjalnego doświadczenia, a człowiek nawet nie ma o tym pojęcia. Jesteśmy odcięci od świata. Człowiek pierwotny w pełni doświadczał bogatej i barwnej masy wrażeń zmysłowych. Dzieci doświadczają jej przez kilka miesięcy – dopóki „normalne” wychowanie, nauka nie zamkną drzwi od tego świata, zazwyczaj na zawsze. W jakiś sposób, jak twierdził Huxley, dragi otwierają owe prastare drzwi. I przez nie współczesny człowiek może wreszcie wyjść i na nowo odkryć swe przyrodzone boskie prawo...*

Ale to tylko *słowa*, stary! *A tego nie dało się wyrazić słowami*. Białe Fartuchy chciały wyrazić to słowami, takimi jak *halucynacja* i *zjawiska dysocjacyjne*. Potrafiły zrozumieć wizualne fajerwerki. Gdy trafiły na klasyczny przypadek przemiany popielniczki w kwiat muchołówki, albo podpowiekowego filmu o krystalicznych katedrach, cieszyły się ogromnie, *Kluver, op.cit., str. 43 i n.* Były zachwycone. *Ale czy nie rozumiecie?* – efekty wizualne to tylko dekoracja w przypadku LSD. W istocie można przejść całe doświadczenie bez żadnych halucynacji. Najważniejsze to... *doświadczenie*... to *uczucie* nie do opisanania... Nie do opisanania, ponieważ słowa mogą tylko pobudzić pamięć, a jeśli w pamięci nie ma... *Doświadczenie* znikania bariery pomiędzy subiektywnym i obiektywnym, osobistym i bezosobowym, *Ja i nie-Ja*... to *uczuciel*... A czy pamiętasz, kiedy jako dziecko po raz pierwszy przyglądałeś się, jak ktoś przyłożył ołówek do kartki papieru, aby coś narysować... i kreska zaczęła rosnąć... to nos! i to nie tylko ślady grafitu na kartce papieru, ale sam cud tworzenia i twoje marzenia zlały się z tą magiczną... rosnącą... kreską i nie był to rysunek, ale *cud*... *doświadczenie*... a teraz, kiedy odlatujesz na LSD, znowu wraca to uczucie – tylko tym razem tworzy się cały wszechświat...

Tymczasem na Perry Lane to już nie był ten sam Ambitny Wieśniak, którego wszyscy znali i kochali. Nagle Kesey – cóż, co prawda cicho mówił, ale tryskał życiową energią. Powoli całe Perry Lane zaczęło grawitować wokół Keseya. Ochotnik Kesey poświęcał się dla nauki w szpitalu Menlo Park Vets – i w jakiś sposób dragi dostawały nóg i przechodziły na Perry Lane, przede wszystkim LSD, meskalina, IT-290. Na Perry Lane wtajemniczenie zawierało teraz pewien element, o którym przedtem nikomu nawet się nie śniło – szaleńcze, odlotowe substancje. Luz niektórych z dawnych luminarzy Perry Lane został wystawiony na próbę i pozostawił wiele do życzenia. Robin White i Gwen Davis byli przeciwni nowej dragowej modzie. W porządku, Kesey i tak miał ich dość, a moc była z Keseyem. Perry Lane popadło w coś w rodzaju rozdwojenia jaźni, w ślad za Keseyem. Czasem wyglądało jak akademik w college’u, wszyscy na dworze w miłe, jesienne, sobotnie popołudnie, na trawie, w cętkowanych cieniach drzew i wąsach wiciokrzewu, grają w dwa ognie i koszykówkę. Godzinę później natomiast Kesey i jego ludzie połykali coś, o czym na całym świecie wiedzieli tylko oni i kilku awangardowych neurofarmakologów, leki przyszłości, z owych neurofarmakologów utopijnej centryfugi, nadchodząca era...

No kurka siwa. I chyba mamy już gdzieś tę całą sztukę życia we Francji, prawda, chłopaki, niech sobie żabojady zapuszczają te swoje brzuszki, jak opowiadał Henry Miller, i niech sobie chodzą spać w piżamach z kołnierzykami i lamówkami – napiszcie no mi ten list i

wyślijcie do starego Morrisa w Morris Orchids w Laredo w Teksasie, chłopaki, zamówcie tyle pejotlowych kaktusów, żeby zasypać wszystkie rozsypujące się wdowie groby w biednym cichym Palo Alto. Właśnie. Odkryli, że można napisać do miejsca zwanego Morris Orchids w Laredo i dostać pejotl, a jedną z nowych zabaw na Perry Lane – żegnaj Robinie, żegnaj Gwen – było rozstrzygnięcie kwestii, kto pójdzie do Railway Express na stacji kolejowej i odbierze przesyłkę, ponieważ posiadanie pejotlu, w odróżnieniu od LSD, było już w Kalifornii nielegalne. Dostawali cholernie wielkie pudła tego towaru, 1000 pączków i korzeni za 70 dolarów; same pączki – trochę drożej. Gdyby cię złapali, to byłeś przegrany, ponieważ nie było żadnej wymówki. Nie było pod słońcem żadnego innego powodu, aby zajmować się tymi cholernymi, cuchnącymi roślinami, jak tylko zaprawić się jak świnia. I wszyscy brali się do roboty, żeby pokroić je na paski i wysuszyć, trwało to całymi dniami, a potem trzeba było je zetrzeć na proch albo rozgotować na klej i zapakować do żelatynowych kapsułek albo po prostu nawarzyć przekłętą, obrzydliwą polewkę, tak wstrętnej, tak niewiarygodnie ohydnej, że trzeba było ją studzić na sztywno, żeby zabić smak i pościć cały dzień, żeby mieć pusty żołądek i utrzymać w nim ćwierćkilogramową porcję. Ale potem – *odlot*. Perry Lane, Perry Lane.

Kilometry

Kilometry

Kilometry

Kilometry

Kilometry

Kilometry

Kilometry

na wspaniałej roślinności z Morris Orchids i wizje

Twarzy

Twarzy

Twarzy

Twarzy

Twarzy

Twarzy

Twarzy

tak wiele twarzy przesuwających się pod powiekami, twarzy nie widzianych nigdy przedtem, z widmowymi kośćmi policzkowymi, zapuchniętymi oczami, żyłastym, obwisłym podbródkiem, i – ni stąd, ni zowąd – Wódz Szczota. Nie wiadomo,

dlaczego pejotl tak właśnie działa... Keseyowi pod powiekami zaczynają wyświetlać się twarze, całe galerie dziwacznych twarzy pojawiają się pod powiekami, twarzy znikąd. Nic nie wie o Indianach, nigdy nie poznał żadnego Indianina, a tu nagle Indianin w całej okazałości – Wódz Szczota – rozwiązanie, pieprzony klucz, do powieści...

Nawet nie miał zamiaru jej pisać. Pracował nad inną, zatytułowaną *Zoo*, o North Beach. Lovell zasugerował, żeby poszedł do pracy jako nocny sanitariusz na oddziale psychiatrycznym w Menlo Park. Zarobiłby trochę, a ponieważ na oddziale w nocy niewiele się działo, mógłby pracować nad *Zoo*. Ale życie oddziału psychiatrycznego pochłonęło go. Cały system – gdyby chcieli wynaleźć idealne Antylekarstwo na dolegliwości ludzi na tym oddziale, nie znaleźliby nic lepszego. Trzymać ich w stanie zastraszenia i uległości. Wygrywać słabości, od których im odbiło. Oglupiać sukinsynów lekami uspokajającymi, a jeśli wciąż podskakują, wlec do „warsztatu wstrząsowego” i karać. Cudownie –

Czasem chodził do pracy na fazie po kwasie. Zaglądał *do środka* ich twarzy. Czasami pisywał, a czasami rysował pacjentów i gdy końcówka długopisu wciskała w papier rysy ich twarzy, widział... *wnętrza* tych ludzi, objawiały się w ich rysach, w rowkach po długopisie, było to niesamowite uczucie, udręka i ból wychodziły na jaw i napływały w szczeliny ich twarzy i w rowki po długopisie, te same – jedne! – szczeliny teraz czarne szpacze nozdrza, czarne szpacze oczy, ślepy czarny szpaczy głupekowaty krzyk każdej twarzy: „Ja! Ja! Ja! Ja! Tu jestem – Ja!” – widział to w nich jasno. I – jak to opowiedzieć? powiedzą, że sam jesteś czubkiem – ale później, kiedy już nie był na fazie, wciąż potrafił zaglądać *do środka* ludzi.

Owa powieść, *Lot nad kukulczym gniazdem*, opowiada o wędrownym robotniku nazwiskiem Randle McMurphy. To wielki, zdrowy bydlak, który postanowił symulować chorobę psychiczną, żeby uciec przed krótkim wyrokiem, jaki odsiadywał na więziennej farmie, w zacisze tego, co wyobraża sobie jako jedwabne życie w stanowym szpitalu psychiatrycznym. Przychodzi na oddział, gęste rudawoblond kędziory wymykają mu się spod czapki, dowcipkuje i próbuje trochę rozruszać tępych dupków w wariatkowie. Nie mogą mu się oprzeć. Nagle chcą coś *robić*. Wielka Oddziałowa, która jak tyran rządzi oddziałem, nienawidzi go za to, że podkopuje... jej Władzę i System. Po jakimś czasie wielu pacjentów ma mu za złe, że zmusza ich, aby znowu zachowywali się jak ludzie. W końcu Wielka Oddziałowa zmuszona jest zagrać swoją atutową kartę i załatwić McMurphy’ego wysyłając go na odmóżdzenie. Ale to ukrzyżowanie inspiruje pewnego Indianina – schizoida, zwanego Wódz Szczota, aby powstał, wyrwał się ze szpitala i wrócił do zdrowia: a mianowicie uciekł jak z piekła w otwartą przestrzeń.

Wódz Szczota. Właśnie on. Z punktu widzenia warsztatu, Wódz Szczota był jego najbardziej natchnionym pomysłem. Gdyby opowiedział tę historię ustami McMurphy'ego, wyszłoby na to, że ten kawał drania wygłasza kazania o swoich domorosłych teoriach terapii psychiatrycznej. Tymczasem kazał ją opowiedzieć Indianinowi. W ten sposób mógł przedstawić schizofrenię tak, jak ją odczuwa schizofrenik, Wódz Szczota, a jednocześnie bardziej subtelnie zreferować Metodę McMurphy'ego.

Morris Orchids! Napisał kilka fragmentów książki pod wpływem pejotlu i LSD. Namówił nawet kogoś, żeby potajemnie zaaplikował mu elektrowstrząsy, aby opisać, jak Wódz Szczota wraca z „warsztatu wstrząsowego”. Zajadając pąki z Laredo mógł pisać jak szalony. Gdy z tego wychodził, zdawał sobie sprawę, że wiele z tekstów, które napisał, nadawało się na śmietnik. Ale niektóre pasáže – jak na przykład Wódz Szczota w swoich schizofrenicznych mgłach – to prawdziwe *wizje*, mała próbka tego, co widać, jeśli otworzyć drzwi percepcji, przyjaciele...

Natychmiast po zakończeniu *Lotu nad kukulczym gniazdem* Kesey wynajął swój domek na Perry Lane i razem z Faye powrócili do Oregonu. Było to w czerwcu 1961 roku. Spędził to lato pracując w mleczarni swego brata Chucka w Springfield, żeby zgromadzić trochę pieniędzy. Potem on i Faye przeprowadzili się do małego domu we Florence w Oregonie, około osiemdziesięciu kilometrów na zachód od Springfield, w pobliżu oceanu, w krainie drwali. Kesey zaczynał zbierać materiał na drugą powieść, *Sometimes a Great Notion*, o rodzinie drwali. Zaczął jeździć *crummies* wczesnie rano i późno wieczorem. Były to ciężarówki przewożące drwali do leśnych baz i z powrotem. Wieczorami kręcił się po barach uczęszczanych przez drwali. Mówił ich językiem wystarczająco dobrze, aby się z nimi dogadać. Po około czterech miesiącach ruszyli z powrotem na Perry Lane, gdzie zamierzał wziąć się za pisanie.

Lot nad kukulczym gniazdem został wydany w lutym 1962 roku i natychmiast zyskał mu literacką sławę:

„Wspaniałe osiągnięcie” – Mark Schorer

„Nowy, wielki amerykański pisarz” – Jack Kerouac

„Potężny realizm poetycki” – „Life”

„Zdumiewający debiut” – „Boston Traveler”

„Wyjątkowo wartościowa pierwsza powieść” – „New York Herald Tribune”

„Jego narracja jest tak skuteczna, styl tak wartki, a charakterystyka postaci tak pewna, że aż porywa czytelnika... To wielki i żywy talent, napisał wielką i żywą książkę” – „Saturday Review”.

Na Lane zaś – cały ten sukces uznano za potwierdzenie wszystkiego, co razem z Keseyem robili. Po pierwsze – stara paranoja w związku z dragami – obawa, że szalony, nie zbadany dragowy odjazd będzie stopniowo... *rozkladać im mózgi*. I oto odpowiedź. Wódz Szczota!

I McMurphy... ależ oczywiście. Obecna fantazja... był kimś w rodzaju McMurphy’ego, który próbował zmusić ich, aby ruszyli się ze swego zacisznego środka, z puszystej gierki w niby-śmiałków i niby-życie, gierki intelektualistów z klasy średniej i przenieśli się ku... Skrajowi... gdzie straszło, ale ludzie byli prawdziwymi ludźmi. A jeśli dragi były tym, co otwiera te drzwi, pozwala to zrobić i zrealizować cały własny potencjał, niech i tak będzie...

Nawet na Perry Lane nie wydawało się, że uchwycili sens jego nowej książki, *Sometimes a Great Notion*. Opowiada o głowie klanu drwali, Hanku Stamperze, który przeciwstawia się związkowi zawodowemu, a więc całej okolicznej społeczności, nie przerywając pracy podczas strajku. Jest to niezwykła książka. To powieść, w której strajkujący są czarnymi charakterami, łamistrajk zaś jest bohaterem. Jej styl jest eksperymentalny i czasem trudny. Głównym źródłem „mitologicznych” referencji jest nie Sofokles, ani nawet Sir James Frazer, ale... właśnie, Captain Marvel. Przywódco związkowi, strajkujący i ludność miasta, wszyscy byli tarantulami, składającymi radosną przysięgę: „Zemsta i przekleństwo wszystkim, którym nie jesteśmy równi... a »wola równości niech będzie odtąd imieniem naszej cnoty; a krzyk nasz podnieśmy przeciw wszelkiej mocy!” Hank Stamper stał się, zupełnie celowo, Captainem Marvelem. Niegdyś znanym jako... *Übermensch*. Obecna fantazja...

...na Perry Lane. Wieczorem tego dnia, kiedy on, Faye i dzieci wrócili na Perry Lane z Oregonu i podjeżdżali do swego starego domku, tam, w ogródku, stała jakaś dziwna postać, uśmiechała się i kręciła ramionami w tę i we w tę, potrząsała rękami raz w tę, raz w tamtą, jakby do zupełnie innego rytmu, innego rytmu, rozumiecie, zaprawiona po uszy, w gruncie rzeczy... no i, cześć Ken, tak, no cóż, *nie było was*, właściwie, rozumiecie, bieg luz bieg, bieg luz bieg, powiedzieli mi, że nie będziecie mieli nic przeciw temu, hojność nie zna żadnych... hmmm... właśnie, sam miałem kiedyś pontiaca z czterdziestego siódmego, trzymał się drogi jak prehistoryczny ptak, rozumiecie... no i właśnie, w starym domku pojawił się Neal Cassady, jakby właśnie wyskoczył spomiędzy kartek *On the Road*, i... co dalej, Wodzu? Ach... wiele frikowskich zawijasów z Day-Glo...

Wokół Perry Lane zaczęli się gromadzić najróżniejsi ludzie. Prawdziwa... *podziemna* sensacja w Luzackiej Kalifornii. Kesey, Cassady, Larry McMurtry; dwaj młodzi pisarze, Ed McClanahan i Bob Stone; tancerka Chloe Scott, malarz Roy Seburn, Carl Lehmann-Haupt, Vic Lovell... i sam Richard Alpert... cały czas wpadali najróżniejsi ludzie, bo było o tym głośno, tak jak miejscowi bitnicy – wciąż używano tego terminu – banda koleśi z mety zwanej Chateau, kudłaty koleś nazwiskiem Jerry Garcia oraz Trupowaty Kowboj, Page Browning. Wszystkich ściągały odloty, o których tyle słyszeli... legendarne *chili* z sarniny a la Lane, gulasz Keseya z sarniny przyprawiony LSD, który się jadło, a potem, wieczorem, rozwalało się na materacu w rozwidleniu wielkiego dębu w samym środku Lane i grało się gwiazdami na fliperze nocnego nieba... Perry Lane.

Zaglądało wiele zdziwionych duszyczek... zrazu były oczarowane. Lane było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Było jak Walden Pond, tyle że nie płatali się tu żadni mizantropi w rodzaju Thoreau. To raczej wspólnota inteligentnych, bardzo otwartych, out-front ludzi – out-front to określenie, którego wszyscy zaczęli używać – ludzie out-front szczerze troszczyli się o siebie nawzajem, *dzielili się* ze sobą... nawet na najdziwniejsze sposoby i zdecydowani byli na pewien rodzaj... życiowej przygody. Boże, zabawne było patrzeć, jak próbowali namacać to coś, a... potem... stopniowo uświadamiali sobie, że nie mają z tym nic wspólnego... tak jak ta dziewczyna tamtego popołudnia w czyimś domku, kiedy wpadł Alpert. Od roku współpracował z Timothyem Learym. Poznała Alperta parę lat temu, kiedy był stuprocentowo poważnym młodym psychologiem klinicznym – legiony szczurów i kotów w klatkach, z rdzeniami mózgowymi, *corpora callosa* i nerwami optycznymi pokrojonymi, powiązаныmi, posiekаныmi i zamrożonymi w imię Nauki. Teraz siedział na podłodze w Perry Lane w klasycznej cyganerskiej pozycji lotosu i bardzo poważnie rozprawiał o niemowlęciu, które po omacku raczkuje po pokoju. Po omacku? Co to znaczy, po omacku? To dziecko to zmysłowo bardzo wrażliwe stworzenie... to dziecko widzi świat w takiej pełni, której my już nigdy nie zaznamy. Jeszcze nie zamknięto jego drzwi percepcji. Wciąż doświadcza chwili, którą właśnie przeżywa. Nieunikniona gównoprawda jeszcze nie spowodowała zatwardzenia rdzenia pacierzowego. Wciąż widzi świat taki, jakim jest naprawdę, podczas gdy nam zostaje tylko mętna historyczna wersja sfabrykowana dla nas ze słów i oficjalnej gównoprawdy, itp., itd. i Alpert odlatuje w pętłach Ouspensky'ego nad tym dzieckiem, podczas gdy, z tego co widzi ta dziewczyna, dzieciak po prostu kołysze się, ślini, przechyla i kiwa na podłodze... Ale czegoś się dowiedziała... że świat jest zdecydowanie podzielony na doświadczonych i niedoświadczonych – tych, co przekroczyli próg drzwi, i tych, co...

Dziwnie czuły się wszystkie pocziwe duszyczki, gdy nagle uświadamiały sobie, że właśnie tu, w drewnie i pod strzechą Perry Lane, wśród wiciokrzewu, ważek, gałęzi i liści, w tysiącu drobnych prześwielonych słońcem plamek, podczas gdy tuż obok zwyczajni, ochwaceni śmiertelnicy z eukaliptusowego tunelu Stanford University człapali na pole golfowe naprzeciwko – trwał ten niezwykle eksperyment na świadomości, na pograniczu, o którym ani oni, ani nikt inny nigdy przedtem nie słyszał.

Palo Alto, Kalifornia, 21 lipca 1963 roku – a potem pewnego dnia nastąpił koniec ery, jak lubią pisać gazety. Jakiś inwestor wykupił większość Perry Lane, zamierzał zburzyć domki i postawić nowoczesne domy. Buldożery były już na horyzoncie.

Prasa zjawiała się, aby opisać ostatnią noc na Perry Lane, szacownym starym Perry Lane, i miała w pogotowiu ten stary frazes, Koniec Ery, spodziewając się zastać pogrążonych w myślach intelektualistów typu Thorsteina Veblena składających dźwięczne, gorzkie oświadczenia na temat zmechanizowanej cywilizacji, która pożera tradycję.

Tymczasem zastała jakichś czubków. Leżeli na materacu, na drzewie zaprawieni jak stodoły i częstowali każdego, wszystkich reporterów i fotografów, czymś w rodzaju *chili* z sarniny, ale w tym wszystkim było coś podejrzanego...

a kiedy przyszedł czas na sentymentalne, gorzkie oświadczenia, to zamiast tego wielki chłop, Kesey, wytargał z domu pianino i wszyscy wzięli się za siekiery i rąbali jak wszyscy diabli, a potem je spalili nazywając „najstarszą żywą istotą na Perry Lane”, tyle że z chichotem i dzikimi okrzykami.

zaprawieni jak stodoły czymś dziwnym, wszyscy, szaleni pod rozgwieżdżonym niebem, cholernie trudno było o przyzwoity artykuł do gazety o Końcu Ery, jeśli się miało do czynienia tylko z tym dziwacznym materiałem typu Olsen & Johnson,

ale udało się wrócić z artykułem, który sobie wymyślili, Koniec Ery, frazes nietknięty, tym, którzy potrafili zagłuszyć wciąż jeszcze dźwięczące im w uszach okrzyki *chi-li z sar-ni-ny*...

...a żaden i tak nic by z tego nie zrozumiał, nawet gdyby ktoś wytłumaczył im, co jest grane. Kesey kupił już nowy dom w La Hondzie w Kalifornii. Proponował już tuzinowi ludzi z Lane, żeby pojechali razem z nim, przenieśli całą zabawę, całą obdartą, maniakalną Erę tam, do...

Wersalu, jego obdartego Wersalu, za górami, za lasami w La Hondzie w Kalifornii. Tam gdzie... gdzie... w blasku:..... chwały:..... i neonowym pyle...

„...znacząca nowa wiadomość... błogie przeciwuderzenie...”

5. Szalowy – kolorowy pył neonowy

Karta bardzo bożonarodzeniowa,
Nowy dom Keseya koło La Hondy
Chata z bali, górski strumień, drewniany mostek
Dwadzieścia pięć kilometrów z Palo Alto za
Cahill Ridge tam gdzie droga 84
Przecina wąwóz w sekwojowym lesie...
Sekwojowy las za ogród!
Karta bardzo bożonarodzeniowa.

Oraz...

Strategiczne oddalenie.
Żadnych sąsiadów w pobliżu.
La Honda żyje po kowbojsku. Ruch jak w ulu,
Mnóstwo domów,
Ale schowanych za lasem.
Nie widać żadnych twarzy
Z malowniczej starej drogi 84
Tylko dwie przydrożne gospody z Dzikiego Zachodu, Baw's
General Store,
The Hilltom Motel, Dziki Zachód dla Turystów.
Z brązowymi drewnianymi sztydami obciętymi na końcach nierówno,

Ale starannie, rozumiecie,
Jakby chciały powiedzieć:

Oto Przygoda na Dzikim Zachodzie, zmotoryzowani przyjaciele.
Ale z odkazonymi deskami klozetowymi
Krażki amoniaku w każdym pisuarze
Naszym celem jest higiena twojego Dzikiego Zachodu...
Kto podbił Zachód Dziki?
Chyba antyseptyki.

La Honda zawdzięcza podobno swój kowbojski styl
Rewolwerowcom Younger Brothers.
Schowali się w tym mieście
I czyż nie odpłacili za gościnność
Jak na dobrych sąsiadów przystało.
Postawiły wielki drewniany skład,
Te słynne dranie.
Ale to tylko Younger Brothers
Zwykli rewolwerowcy.
A ten Kesey
Ze swoimi Wesołymi Numerantami...

– w:..... blasku:..... chwały:.....

Na początku roku 1964, jak na razie mała grupa. Popołudniami – Faye, ta wieczna, anielska żona pionierska, w domu, przy piecu, przy maszynie do szycia, z dziećmi, Shannon i Zane, czepiającymi się jej spódnicy. Obok, w drewnianej chatce nad strumykiem Kesey postawił biurko i maszynę do pisania i kończył właśnie poprawiać *Sometimes a Great Notion*, teraz już prawie 300 000 słów. Jest z nimi George Walker, przyjaciel Keseya z Oregonu, dwudziestoparoletni blondyn o typowej amerykańskiej urodzie, dobrze zbudowany, syn bogatego inwestora budowlanego. Walker ma tak zwany pogodny sposób bycia o wciąż powtarza Reewelacja! w najbardziej entuzjastyczny ze wszystkich możliwych sposobów. Oraz Sandy Lehmann-Haupt. Sandy jest młodszym bratem Carla, znajomego Keseya z Perry Lane. To przystojny koleś, dwudziestodwulatek, wysoki, szczupły, nerwowy. Sandy poznał Keseya trzy miesiące temu, 14 listopada 1963 roku, przez Carla, kiedy Kesey przyjechał do Nowego Jorku na premierę scenicznej wersji *Lotu nad kukułczym gniazdem*. McMurphy’ego grał Kirk Douglas. Sandy porzucił New York University i pracował jako realizator dźwięku. Był geniuszem, jeśli chodzi o taśmy, nagrania, systemy dźwiękowe itd., ale przechodził ciężki okres. Doszło do tego, że pewnego dnia próbował się dostać na oddział psychiatryczny, ale Carl mu to wyperswadował i zabrał na premierę *Lotu nad kukułczym gniazdem*. A tam był Randall McMurphy... Kesey... i Carl poprosił go, aby zabrał Sandy’ego ze sobą na zachód, do La Hondy, żeby wyrwał się z tego nowojorskiego bagna. Jeśli w ogóle było jakieś miejsce, gdzie można się wyleczyć z Nowego Jorku, to właśnie tam, za domem Keseya w blasku:..... chwały:..... altance:..... na końcu ścieżki za domem, na wzgórzu w sekwojowym lesie. Sandy trafił nagle na niesamowitą altankę, jak wielka, zamknięta kopuła, jak to, co mają na

myśli ludzie mówiąc o „sosnowej katedrze”, tylko że sekwoje są jeszcze bardziej majestatyczne. Prześwietlone promieniami słońca sekwoje sprawiały wrażenie, jakby ich pnie i gałęzie rozciągały się na setki metrów nad głową. Zawsze było tam jednocześnie słońce i przyjemny chłodek, przez cały rok jak w piękny, jesienny dzień. Słońce przebijało się przez płataninę gałęzi i rozbijało się jak na pointylistycznym obrazie. Głęboka zieleń i plamiste cienie, ale i jasny blask w przestronnej, ciemnozielonej superaltance, stały zielony blask, zielonozłote popołudnie, bezruch, prostopadły spokój, woń drzew, pneumatyczne efekty dźwiękowe samochodów na drodze 84, sziii-uuuu, jak łagodny wietrzyk. Nic tylko spokój bardzo kojący.

Od czasu do czasu Sandy, Kesey i Walker chodzili z siekierami do lasu, aby narąbać trochę drewna do domu – ale nie na tym polegała tu zabawa. Sandy zauważył, że Kesey nie był w gruncie rzeczy miłośnikiem świeżego powietrza. Nie zależało mu tak bardzo na dziewiczej Przyrodzie. Las traktował raczej jako fantastyczną, teatralną scenerię... w której każdy dzień to happening, dzieło sztuki...

Na dachu domu umieścił kolumny z głośnikami, i nagle we wspaniałym bożym, zielonym ozonie wybucha czarny maniak, który dmie w plastikowy saksofon, mianowicie Ornette Coleman z płyty. Nasi trzej drwale wybrali sobie nieco dziwaczną ścieżkę: zwariowane mobile zwisają z dolnych gałęzi, a do pni przybito mnóstwo szalonych malowideł. A potem ogromne drzewo z wielką dziuplą, a w środku, w zielonkawym mroku połyskuje blaszany koń, wygięty tak, że to groteskowe zwierzątko kłęczy przechylone, jakby było w marnym stanie. Terytorium, które tak naprawdę interesowało Keseya, to wnętrze domu. Zbudowany był z bali, ale bardziej przypominał duży dom niż chatkę. Główny pokój miał wielkie oszklone drzwi, odsłonięte belki i wielki kominek z kamieni. Kesey otoczył się najróżniejszym sprzętem, magnetofonami, kamerami i projektorami filmowymi, do którego Sandy dodał jeszcze więcej, dość wyrafinowane systemy retransmisyjne i inne, podobne. Często przyjeżdżali ludzie z Perry Lane, choć na razie nikt się tu jeszcze nie przeniósł. Ed McClanahan, Bob Stone, Vic Lovell, Chloe Scott, Jane Burton, Roy Sebum. Czasami z Oregonu przyjeżdżali brat Keseya Chuck z kuzynem Dale'em. Obaj przypominali Keseya, ale byli drobniejsi. Chuck był bystrym, choć cichym człowiekiem. Luźnym i swojskim. Dale był mocno zbudowany i jeszcze bardziej swojski niż kuzyni. Kesey próbował rozwijać różne formy spontanicznej ekspresji. Na przykład... wszyscy kładli się na podłodze i zaczęli gadać ze sobą, a Kesey wkładał sobie w rękawy po magnetofonowym mikrofonie i jak czarodziej machał rękami w powietrzu nad ich głowami, a ich głosy pojawiały się i nikły

wraz z ruchem mikrofonów. Nieraz rezultaty były całkiem...

...cóż, dla normalnych ludzkich uszu najpewniej szalonym szwargotaniem. Natomiast dla wrażliwego, standardowego intelektualisty, który słyszał o Armory Show z roku 1913, Eriku Satie, Edgardzie Varese i Johnie Cage'u, mogło to brzmieć... jakby *awangardowo*, rozumiecie. Ale w istocie, jak wszystko tutaj, wyrastało to z... doświadczenia, z LSD. Cały, inny świat, na który LSD otwiera umysł, istnieje tylko w danym momencie – Teraz – i wszelkie próby planowania, kompozycji, orkiestracji, scenariusza odcinały się tylko od tego momentu, pozostając w świecie tresury i szkolenia, gdzie mózg działa jak zawór...

Wobec tego próbowali coraz dziwniejszych improwizacji... jak Ludzkie Taśmy, wielkie rolki papieru pakowego rozwijane na podłodze. Brali świecowe kredki w różnych kolorach i kreślili dla siebie nawzajem symbole do improwizacji: dla Sandy'ego różowe uderzenia w bęben, więc wydawał dźwięki takie jak *czii-uunk-czank, czii-uunk-czank* i tak dalej, a dla Keseya gitara ze strzałkami, *dzianga dzianga brang brang*, dla Jane Burton serie nut śpiewanych seatem, dla Boba Stone'a opowiadki do nałożenia na tło Ludzkiego Jazzu – wszystko to nagrane na magnetofon – a potem wszyscy odlatywali na... na czym?... na kwasie, pejotlu, nasionach powoju, cholernie paskudnych po połknięciu, miliardach gazopędnych ziaren puchnących w żołądku jak wilgotne mleczko, z wzdęciami – ale odlatujesz! – czy na IT-290 lub dexedrynie, benzedrynie, methedrynie – speedzie! – lub speedzie i trawce – czasami można było zastosować kombinację speedu i trawki i otworzyć te... drzwi w umyśle unikając przechodzenia przez nie kontrolowany tumult po LSD... Sandy bierze LSD i blask::::::: chwały::::::: i magiczna altanka zamienia się w... *neonowy pył*... pointylistyczne cząsteczki, teraz już na pewno. Złote cząsteczki, jaskrawe cząsteczki leśnej zieleni, każda odbijająca światło, wszystkie błyszczące i przelewające się jak elektroniczna mozaika, czysty kalifornijski neonowy pył. Nie da się opisać, jakie to piękne odkrycie, po raz pierwszy dosłownie widzieć atmosferę, w której żyło się od lat, i czuć ją także *w środku*, wypływającą z serca, z piersi, do mózgu, jak elektryczna fontanna... i... IT-290! – on i George Walker na wielkim drzewie przed domem, dosiedli konaru, a on doświadcza... intersubiektywności – wie *dokładnie*, co myśli Walker. Nie trzeba mówić, jak ma wyglądać całość, a tylko podzielić się robotą.

– Ty maluj pajęczyny – mówi Sandy – a ja pomaluję liście nad nimi.

– Rewelacja! – mówi George, ponieważ wie oczywiście, że wszyscy ślizgamy się w tę i z powrotem w kombinacje wzajemnej świadomości, intersubiektywności. Idziemy do chatki przy strumyku, z magnetofonami i zaczynamy rapowanie – formę wymiany swobodnych skojarzeń, jak rozmowa jazzowa albo nawet monolog, w której wszyscy, ktokolwiek,

chwytamy słowa, symbole, idee, dźwięki i przerzucamy się nimi w tę i z powrotem ponad... murami konwencjonalnej logiki... Ktoś znajduje garść drewnianych figur szachowych. Są rzeźbione niczym starożytne figurki, każda figura to stary rzeźbiony człowiek, tyle że ktoś zostawił je na dworze i zmokły, i pokręciło je, co otworzyło je na ich prawdziwe natury. Jednemu sterczą genitalia, choć ubrany jest w togę i dzierży włócznię...

– Widzieliście moją córkę? Twierdzi, że robię jej wstyd... Twierdzi, że cały świat widzi, iż mam piczkę na myśli. W moim wieku...

– Tak, panie, mamy tu raport. Pańska córka to mała puszczańska suczka, ale jako król nie mam wyjścia i muszę kazać obciąć ci jaja...

– Królu, rzućmy o nie monetę...

– O twoje jaja?

– Właśnie! Tymi złotymi deklami, które ze sobą nosisz...

Właśnie! *A właściwie nie do wiary*. Każdy z nas ma w ręku szachową figurkę i staje się nią i nawijamy, jak osoby, które w nich widzimy, i zaczynamy myśleć to samo w tych samych chwilach. *Ja również widziałem złote samochodowe dekle w śmiesznych małych krążkach pod ręką tej figurki nie większych niż główki pinezki... właśnie to miałem powiedzieć...*

To najdziwniejsze uczucie w moim życiu – intersubiektywność, jakby nasze świadomości otworzyły się i zlały w jedną, i wystarczy teraz spojrzeć na drgnienie czyichś ust, oczu lub figurki, którą trzyma w ręku...

– Nie dałbyś wiary dziewczynie z cyckami z elektrycznych węgorzy, prawda, Królu?

– Tymi samymi, które zjonizowały miecz Króla Artura pod bagienną wodą?

– Dokładnie tymi samymi. Wymionami z tysiącem maleńkich przyssawek. Obawiam się, że chutliwa, cycasta z niej dziewczynka. Dwieście dwadzieścia woltów rozkoszy i prokurator na karku, o ile znam się na rzeczy...

...i jak, skutkiem choćby najdziwniejszego działania losu, mogłoby przyjść nam naraz do głowy coś takiego, jak dwieście dwadzieścia woltów rozkoszy i prokurator na karku...

Ale są i bagna – to już nie jest ten Rajski Ogród i wspaniałe odkrycia starej załogi z Perry Lane. Właściwie nawet trochę się szemrze w magicznej dolinie. Kesey zaczyna *kierować naszymi tripami*. Osobiście rozdaje dragi, to dla ciebie, a to dla ciebie... i właśnie kiedy położyłeś się wygodnie i lecisz swoją ścieżką, on wtrąca się – Hop! Hop! Wszyscy wstajemy! i zarządza wycieczkę do lasu...

Już po wszystkim niektórzy proszą Keseya o trochę kwasu i IT-290, chcą je zabrać ze sobą do Palo Alto. – Neeeeeeee – mówi Kesey i tak przekrzywia głowę, jakby ważył słowa,

bo to delikatna sprawa. – Uważam, że lepiej będzie, jak przyjedziecie tu, żeby to brać...

Potem, w drodze powrotnej, ktoś powiada: „kiedyś byliśmy równi”. Teraz to trip Keseya. Przyjeżdżamy do niego. Bierzymy jego kwas. Robimy to, czego chce.

Ale czego on chce? Stopniowo, mgliście zaczyna im świtać, że fantazja Keseya znowu się przesunęła, nawet poza ich, starego Perry Lane, fantazję. W każdym razie nikt nie ma ochoty na plan Keseya, że Powinni wszyscy przenieść się do niego, do namiotów itd., transplantując całą sprawę z Perry Lane do La Hondy. Zaczynają patrzeć na dom Keseya jak na górski Wersal, z Keseyem jako Królem Słońce, coraz większym, z potężnym szczęką profilem na tle sekwoi i górskich szczytów. A jednak nie rozwinęło się to nigdy w otwarty bunt czy choćby rozczarowanie. Robią się tylko niespokojni. Odnoszą wrażenie, że Kesey zmierza gdzieś dalej, ku jakiejś fantazji, a oni nie wiedzą, czy chcą w niej brać udział.

U Keseya zaczęli się pojawiać nowi ludzie i w tym tkwiła część problemu. Niektórzy z załogi Perry Lane niezupełnie wiedzieli, co sądzić o Cassadym. Oto on w Wersalu Keseya, jak się rozpycha, bez koszuli, wymachuje ramionami, a skośne mięśnie brzucha sterczą mu na boki jak u ciężarowca... Kapujemy, szanujemy święty prymityw. Ale Kesey sugeruje, że należy *uczyć się* od Cassady'ego, że *przemawia do nas*. I to była prawda. Cassady szukał intelektualnego kontaktu. Ale intelektualiści chcieli, aby był świętym prymitywem, koleśkiem z Denver, *prawdziwie* pomiędzy nimi. Czasami Cassady wyczuwał, że pod względem intelektu nie akceptowali go, i odchodził w kąt, nie przerywając maniackiego monologu, mamrocząc: – W porządku, mam swój trip, pójdę własnym tripem, to mój trip, rozumiecie...

Albo Page Browning. Trupowaty Kowboj także znalazł drogę przez góry. Wtedy na Perry Lane był to tylko zwykły typ, który od czasu do czasu wpadał po drodze. A teraz Kesey sugeruje, że można się uczyć od Page'a Browninga. Kesey widzi pewną lojalność, odwagę i kreatywność, kreatywność w tej trupiej gębie, jabłku Adama i w czarnej motocyklowej kurtce niczym pozostałości po jazdach z Hell's Angels – i w jego grubym głosie smolucha z kanału samochodowego warsztatu. Ci pierwotni ludzie z kanałów... czy to mogło być to, ta odrobina strachu przed klasą robotniczą, między nami luzakami... elegancikami... intelektualistami? Odrobina tego, co Arthur Koestler nazywał Odwiecznym Strachem, od dzieciństwa – mały elegancik z przedmieścia podjeżdża rowerem do stacji benzynowej, a tam w kanale, gdzie smaruje się samochody, w kucki siedzą twardziele, opowiadają kawały o dupach, co jakiś czas wtrącając kliniczne odnośniki do wypróżnienia i krepitacji i, Boże, pamiętasz ich ręce oplecione bazaltowymi żyłami jak chirurgicznymi rurkami nabrzmiałymi niedostępną mocą twardzieli z klas niższych, która w każdej chwili może podnieść wzrok i zauważyć nas...

eleganckie małe mięczaki. Ale Kesey uwielbiał ten element. Zawsze był gotów pobujać się z nimi. Przyjdzie czas, kiedy będzie się bujał z potworami z samego dna Odwiecznego Strachu z samochodowych kanałów, Hell's Angels we własnych osobach...

Właściwie tylko nieliczni z nowej świty, która przyjeżdżała do La Hondy, pochodzili z niezamożnych rodzin, ale i tak panowała tam atmosfera bardziej swojska niż na Perry Lane.

Zjawił się stary przyjaciel Keseya, Kenneth Babbs, prosto z Wietnamu, gdzie latał helikopterami jako kapitan Marines. Babbs z wyróżnieniem ukończył anglistykę na Miami University. W swoim czasie był również świetnym sportowcem. Kesey poznał go na kursie literackim w Stanford. Babbs był wysoki, silny, prawdziwie rabelezjańska postać. Po powrocie z wojaczki przyciągał uwagę jak wielki serdeczny niedźwiedź grizzly huczący kosmicznym śmiechem. Niekiedy całymi dniami nosił lotniczy kombinezon, gdziekolwiek się znajdował, *przeleć mnie...* A Babbs potrafił naprawdę niesamowicie odlecieć. To jemu kolonia Keseya zawdzięczała wiele ze swego nowego stylu... Właśnie. To on wymyślił *pranks*, numerasy, czyli przewrotną błazenadę na wielką publiczną skalę...

I przyjechał Mike Hagen. Hagen to znajomy Keseya z Oregonu, przystojny, małowówny, dobrze ułożony, z dobrego domu, dość bogatego. Jeden z tych, do których uśmiechają się tatusiowie, gdy zabierają ich nastoletnie córki na pierwszą randkę. No, no, wychowałem ją jak należy, muszę przyznać. Żadnej hołoty dla mojej córeczki, tylko przyzwoici chrześcijańscy chłopcy, którzy mówią tak, proszę pana, tak, proszę pani, i czeszą włosy zmoczonym grzebieniem. W dziesięć minut po przyjeździe do Keseya Hagen zbudował sobie Chatkę Kopulatkę z tyłu domu, wiatę obitą starymi deskami i wyposażoną w skrawki wykładziny, w materac z narzutą w indyjski wzorek, świece, błyszczące szklane klejnoty, kolumnę z głośnikami – wszystko to ku radości i wygodzie Dziewczynek Hagen. Och, Boże, te Dziewczynki Hagen i zamieszanie, jakie powodowały – Stark Naked, Anonymous – ale o nich później. Hagen był niezłośliwym, ale natchnionym, uroczym przewalaczem. Miał specjalny dar targowania się handlu wymiennego i kombinowania. Potrafił zjawić się w samochodzie wyładowanym błyszczącymi magnetofonami, sprzętem filmowym, mikrofonami, głośnikami, wzmacniaczami, a nawet sprzętem wideo, więc Poziom techniki audio-wizualnej zaczął się podnosić...

Potem, pewnego dnia na przykład, stary znajomy Keseya z Perry Lane, pisarz Gurney Norman, przyjechał na weekend z Fort Ord, bazy wojskowej, i przywiózł kolegę z wojska, dwudziestoczteroletniego podporucznika piechoty nazwiskiem Ron Bevirt. Początkowo wszyscy olali Bevirta, bo wyglądał totalnie wojskowo. Był gruby, niechlujny, wyjątkowo paskudnie ostrzyżony na wojskowego jeża i był zupełnym prostakiem. Oni natomiast

spodobał się Bevirtowi i zaczął przyjeżdżać co weekend i przywozić mnóstwo jedzenia, którym z przyjemnością dzielił się ze wszystkimi, ciągle śmiał się i uśmiechał, więc nie mogli się oprzeć i w końcu go polubili. W swoim czasie skończył służbę i przyjechał na dobre. Nawet zaczął chudnąć, nabierać formy, włosy urosły mu jak Prince'owi Valiantowi z komiksu, zrobił się z niego całkiem przystojny facet i przepadał za... kisiem. W swoim czasie stał się znany jako The Hassler, a jego prawdziwe nazwisko zostało zapomniane...

W swoim czasie, oczywiście, mieszkańcy La Hondy, i nie tylko, zaczęli się zastanawiać... co te czubki tam *robią*? Jak to powiedzieć? Ale nie było jak im powiedzieć o *doświadczeniu*. Brak na to słów. A tamci mieli wciąż tę samą fantazję, znaną jako fantazja patologiczna. Te czubki to patologiczne przypadki. Niekiedy była to fantazja psychopatologiczna – skąd oni się wzięli, z rozbitych rodzin, czy co? Kiedy indziej, socjopatologiczna – czy oni są wyalienowani? Czy nasze społeczeństwo gnije od środka? Nie mogli wiedzieć o doświadczeniu z LSD, ponieważ te drzwi nigdy się przed nimi nie otworzyły. Stali na progu... Boże, jak im opowiedzieć o naszym życiu? Młodzież zawsze miała tylko trzy wyjścia: chodzić do szkoły, chodzić do pracy albo siedzieć w domu. Jakież to nudne w porównaniu z doświadczeniem... nieskończonego.. i życiem, którego przedmiot nie jest ani scholastyczny, ani biurokratyczny, ale... Ja i My, nastroszeni wśród nie-muzykalnych tłumów czarnych błyszczących butów, Ja – ze wzrokiem utkwionym w tej nieomal niewidzialnej dziurze tam w s-s-s-sekwojowym niebie...

Pewnego wieczoru Bob Stone siedział w domu w Menlo Park – wciąż studiował na kursie literackim w Stanford – kiedy zadzwonił Babbs od Keseya z La Hondy.

– Przyjedź do nas – powiedział – coś będziemy kręcić.

– Nie – powiedział Stone. Nie miał wielkiej ochoty. Był trochę zmęczony. – To godzina jazdy tam i godzina z powrotem, może innym razem...

– Nie przesadzaj, Bob – mówi Babbs. – Jaka godzina. Możesz tu być za trzydzieści minut.

Babbs jest w świetnym humorze, w tle słychać muzykę i jakieś głosy. Rzeczywiście coś tam kręca.

– Wiem, jak to daleko – mówi Stone. – Czterdzieści pięć minut, albo godzina, w nocy raczej godzina.

– Słuchaj! – mówi Babbs, śmieje się i prawie krzyczy do słuchawki! – Nieustraszony

Podróżnik zrobi to w trzydzieści minut! Nieustraszony Podróżnik zrobi to z prędkością światła!

Babbs słyszy, jak z tyłu parę głosów podchwytuje:

– Nieustraszony Podróżnik! Nieustraszony podróżnik!

– Nieustraszony Podróżnik! – krzyczy Babbs. – Nieustraszony Podróżnik po prostu wstaje, wychodzi i już tu jest!

I tak dalej, aż Stone ulega, wsiada do samochodu i rusza w drogę. Przyjeżdża; po godzinie właśnie.

Gdy tylko wysiada przed domem, słyszy Wielki Rap, z głębi domu, z głębi lasu, jakby waliły bębny, ryczały trąby, a Prankstersi zawodzą i skandują:

– Nieustraszony Podróżnik!

– Nieustraszony Podróżnik!

– Nieustraszony Podróżnik!

– Nieustraszony Podróżnik!

– Nieustraszony Podróżnik!

Wchodzi przez oszklone drzwi; szalone, ochrowe, niesamowite światła, gongi, flety, bębny, gitary uderzane jak perkusja...

– Nieustraszony Podróżnik! –

– Nieustraszony Podróżnik – podróżnik w mgnieniu oka!

– Nieustraszony Podróżnik –

– prostuje zakręty!

– Nieustraszony Podróżnik –

– zakręca proste!

– Nieustraszony Podróżnik –

– promień świetlny!

– Nieustraszony Podróżnik –

– światło promienne!

– Nieustraszony Podróżnik –

– zwiera obwód!

– Nieustraszony Podróżnik –

– skraca fale!

– Nieustraszony Podróżnik

– i jego banda Merry Pranksters!

– Nieustraszony Podróżnik!

– i jego banda Merry Pranksters wyruszają w podróż na Wschód.

6. Autobus

Nie mógłbym powiedzieć na pewno, kto z Merry Pranksters wpadł na pomysł autobusu, ale trąci to Babbsem. W każdym razie był to supernumeras. Pierwotna fantazja, wiosną roku 1964, polegała na tym, że Kesey i czworo lub pięcioro Prankstersów pojedą dużym autem do Nowego Jorku na Wystawę Światową. Po drodze mogliby trochę pofilmować, trochę ponagrywać, trochę pofilmować na Wystawie i zobaczyć, co się wydarzy. Byliby także pod ręką w Nowym Jorku, kiedy na początku lipca wyjdzie druga powieść Keseya, *Sometimes a Great Notion*. Tak wyglądała pierwotna fantazja.

A potem ktoś – Babbs? – zauważył ogłoszenie o sprzedaży szkolnego autobusu International Harvester rocznik 1939. Autobus należał do pewnego faceta z Menlo Park. Facet miał duży dom, mnóstwo ziemi, elegancki garnitur z tweedów i flaneli oraz jedenaścioro dzieci. Wyposażył autobus dla tych dzieci. Były w nim piętrowe łóżka, ławki, lodówka, zlew, szafki i półki oraz dużo innych rzeczy przydatnych do życia w drodze. Kesey kupił go za 1500 dolarów – w imieniu przedsiębiorstwa Intrepid Trips, Inc.

Na sygnał Keseya Prankstersi rzucili się na autobus pewnego popołudnia. Zaczęli go malować, zakładać przewody, wycinać dziurę w suficie i urządzać dach tak, żeby można było na nim usiąść na świeżym powietrzu i muzykować, nawet na perkusji i elektrycznych gitarach i tak dalej, albo po prostu sobie jechać. Sandy zabrał się do roboty i zainstalował system, przez który mogli nadawać z wnętrza autobusu, z taśm lub przez mikrofony, na zewnątrz, z hukiem potężnych głośników na dachu. Założył również mikrofony na zewnątrz, które zbierały odgłosy z drogi tak, aby słyszeć je było wewnątrz. W środku autobusu był także system dźwiękowy, który pozwalał porozumiewać się ponad hukiem silnika i jazdy. Można było również nadawać przez kamerę pogłosową tak, że można było coś powiedzieć, usłyszeć to w sekundę później lub z regulowanym opóźnieniem i rapować z tym, jeśli się miało ochotę. Można było także założyć słuchawki i rapować jednocześnie z dźwiękami z zewnątrz w jednej słuchawce i z wewnątrz w drugiej. Miało nie być ani jednego cholernego dźwięku w całej podróży, na zewnątrz autobusu, wewnątrz autobusu, czy wewnątrz własnej rozszalałej krtani, którego nie dałoby się złapać i obrapować.

Roboty malarskie natomiast, z udziałem całej załogi, w szale pierwotnych kolorów, żółci, pomarańcza, błękitu, czerwieni, były strasznie niechlujne, z wyjątkiem części pomalowanych przez Roya Seburna, pięknych maniakałnych mandali. Cóż, było to niechlujne, ale jedno trzeba było przyznać, dramatycznie wyfrikowane. Manifest, przystanek

docelowy nad przednią szybą, głosił: „Furthur”, przez dwa u, wbrew ortografii, co znaczyło mniej więcej tyle co „Daalej”.

Wybrali się na próbną jazdę na północ Kalifornii i od razu okazało się, że ten dziki pojazd z dzikimi pasażerami świetnie nadaje się do budzenia konsternacji i niejasnych pretensji wśród spokojnych obywateli. Prankstersi ruszyli pomiędzy nich i było to bardzo podniecające – patrzcie, jak się gapią, sukinsyny – święty terror miał zapanować nad krajem. Ale także znajdują się ludzie, którzy wyrzą ze swoich nędznych zaharowanych żywotów w jakichś mieścinach, jakiś starszy gość, czyjś stenograf, i zobaczą autobus i poczują... zachwyty lub po prostu czyste, życzliwe zdziwienie. Jedni i drudzy, zdaniem Nieustraszonych Podróżników, rokowali nadzieje. Nie byli zupełnie obojętni. Autobus miał również ogromny potencjał odmiany zwykłej kolei rzeczy. Weźmy, na przykład, takich gliniarzy.

Pewnego popołudnia, kiedy Prankstersi odbywali próbną jazdę w lesistej okolicy na północy, wybuchł pożar lasu. Z lasu zaczął wypęczać dym i w ogóle. Wszyscy w autobusie wzięli kwas i byli nieźle zaprawieni. Kwas mieli w soku pomarańczowym w lodówce, wypijało się papierowy kubek i odjeżdżało. Za kierownicą Cassady, grzał przez płonące lasy, kręcił kółkiem w tę i z powrotem we własnym wewnętrznym rytmie, przez który przebiegało się zawodzenie syreny.

Syreny? To drogowy policjant, który natychmiast wydaje się czymś najzabawniejszym w dziejach świata. Dym wali z lasu, wszyscy zeglują poprzez liściaste eksplozje na niebie, a glina nie ma innych zmartwień, tylko ten pokrecony autobus. Każe zjechać na pobocze i zaczyna badanie stanu technicznego wielkiego, niezdarnego pojazdu, podczas gdy z lasu wyłaniają się coraz większe kłęby dymu. Człowieku, tablica rejestracyjna jest w złym miejscu, nie ma nad nią światełka, ten kierunkowskaz kiepsko wygląda, a jak z hamulcami, sprawdzmy ręczny. Cassady, kierowca, wygłasza facetowi długi monolog, tyle że dorzuca mnóstwo prośbę panów: – No właśnie, proszę pana, tu mamy ząbkowany, dwuzaworowy hamulec Hammonda, pan rozumie, proszę pana, założyli mi go na ciężarówkowym ro-de-o w Springfield w Oregonie, musiałem cofać slalomem pomiędzy butelkami dla niemowląt i żółtymi pieluchami, w egzystencjalnej kulminacji Oregonu, mają tam mnóstwo miłośników sławojek, pan rozumie, proszę pana, to taki punktualny stan, proszę pana, tak jest, proszę pana, utrzyma 14 000 kilo, 14 000 kilo, niech pan spojrzy, proszę pana, sprawdzony przez czystej krwi mechanika stacji Shella w Springfield w Oregonie, zimą sześćdziesiątego drugiego, gumki w ogóle mu nie zamarzały, pan rozumie, proszę pana, trzyma 14 000 kilo, o proszę – i w tym momencie szarpie za ręczny hamulec, jakby był połączony z czymś, z

czym wcale nie jest, po prostu sobie dynda, i z całą siłą naciska stopą normalny hamulec, a autobus drga, jakby hamulec ręczny żarł jak wszyscy diabli, ale glina i tak jest już całkowicie skołowany, bo, po pierwsze, monolog Cassady'ego zbił go z tropu, a w ogóle co, do cholery... robią ci *ludzie*. Tymczasem bowiem wszyscy wysiedli z autobusu, turlają się w brunatnej przydrożnej trawie, śmieją, chichoczą, pokrzykują, zaprawieni kwasem jak bąki, ponieważ, stary, lasy płoną, cały świat stanął w płomieniach, a monolog Cassady'ego na temat bezpieczeństwa pojazdów mechanicznych bije mu z gardła jak dym z rusztu, jakby wielki bóg Speed smażył się w jego bebechach, a glina, przedstawiciel ludu Kalifornii, w obliczu tej totalnie sfrikowanej sytuacji zawziął się na ręczny hamulec, który i tak w ogóle nie istnieje. Nie widzi nic, tylko bandę wariatów w jaskrawopomarańczowych i zielonych kostiumach, w maskach, chłopców i dziewczęta, mężczyzn i kobiety, dwanaścioro czy czternaścioro, leżą w trawie i wydają okropne, szalone dźwięki – Boże Wszechmogący, dlaczego to na niego wypadło... Więc odwraca się na pięcie i pyta:

– A wy kto tacy, cyrkowcy?

– No właśnie, panie władzo – mówi Kesey. – Jesteśmy z cyrku, ciężka harówka, proszę mi wierzyć, ciężka harówka, ale to taki interes.

– No dobra – mówi glina – zróbcie z tym porządek... – Zaczyna wycofywać się w stronę swojego wozu, obrzucając tych szaleńców ostatnim spojrzeniem. – ...I żeby mi to było ostatni raz... – Odjeżdża z szumem.

I o to chodzi! Jak wlepić mandat bandzie ludzi turlających się w brunatnej trawie, w maskach z Day-Glo, nieomal z greckiej tragedii, tyle że z fosforyzującym, śmieciarskim zadęciem, chichoczących, wyjących, w kostiumach i własnym świetle, podczas gdy bóg Speed, jak frytki na specjalne zamówienie, skwierczy we flakach jakiegoś gościa, który nie przestaje gadać nawet dla zaczerpnięcia oddechu. Mandat? Prankstersi czuli się jeszcze bardziej nietykalni niż kiedykolwiek przedtem. Nie widzieli już powodów, aby pozostawać w izolacji, na zaropiałych, jajowatych oczach mieszkańców La Hondy. Mogli ruszyć w Amerykę, mącić ludziom w głowach, ale tylko na chwilę, autobus pojedzie dalej, a cała ta szalona piana z powrotem opadnie na dno czaszek.

Tak więc autobus Hieronimusa Boscha wyruszył z domu Keseya, z napisem „Daalej” jako znakiem stacji docelowej z przodu i napisem „Uwaga: dziwny ładunek” z tyłu. Rzeczywiście dziwny. Na pokładzie panowała euforia, gdy śmigali w lipcowym, kalifornijskim słońcu, mieli ze sobą wszystko, nad czym pracowali u Keseya, i jechali Dalej. Zresztą jointy krążyły i przyjemnie było tak przyprawiać tu, na szosie w Ameryce. Gdy

wyjeżdżali, Cassidy był za kierownicą, a z tyłu Kesey, Babbs, Page Browning, George Walker, Sandy, Jane Burton, Mike Hagen, Hassler, brat Keseya Chuck i jego kuzyn Dale, pewien gość zwany Braciszek John i troje nowych, którzy zabrali się na wycieczkę albo po prostu chcieli się dostać do Nowego Jorku.

Jednym z nich był młody, dość przystojny koleś – wyglądał trochę jak wczesny, szczupły Michael Caine w *Zulu* – nazwiskiem Steve Lambrecht. Był szwagrem adwokata Keseya, Paula Robertsona, i jechał do Nowego Jorku, zobaczyć się ze znajomą dziewczyną imieniem Kathy. Nowa była także dziewczyna nazwiskiem Paula Sundsten. Była młoda, pulchna, wylewna i bardzo seksowna. Kesey znał ją z Oregonu. Nowa była również dziewczyna, którą Hagen z Chatki Kopulatki poderwał w North Beach w San Francisco. Była odwrotnością Pauli Sundsten – szczupła, miała długie ciemne włosy, bywała markotna i milcząca w jednej chwili, a zaraz potem nerwowa i zrzędząca. Była ładna urodą czarownicy z telewizyjnego serialu.

Gdy dojechali do San Jose, zaledwie 50 kilometrów od domu, atmosfera wyprawy była już z grubsza ustalona. Była noc, wiele dusz fruwało w obłokach, a autobus się zepsuł. Zajechali do stacji obsługi i wkrótce jeden z mechaników wsadził nos pod maskę, w silnik, podczas gdy Cassidy odpalał, a światła jarzeniowych latarni wokół stacji odbijały się od autobusu w dziwacznych fosforyzujących chlapnięciach, szosą przelatywały światła samochodów, Cassidy dodawał gazu, a z autobusu dobiegało dziwne, głośne zawodzenie, z głośników lub wprost przez okno. Paula Sundsten znalazła mikrofon podłączony do kamery pogłosowej i odkryła, że może wydawać niesamowite, rechoczące odgłosy jak z radia dla duchów, zawodzić jak zwiastująca śmierć zjawia i krzyżeć: – Na samym dnie-e-e-e... w San Jose-e-e-e – a regulowane echo kamery łapało to e-e-e-e i powtarzało, dwukrotnie, czterokrotnie, ośmiokrotnie. Nieskończony rykoszet echa – a pod nim, cały czas, ten dziwaczny, lekko histeryczny śmiech i zdesperowana, plumkająca mandolinka dziewczyny Hagen, która leżała na ławce w środku, plumkała na mandolinie i śmiała się – jak...

Jakiś typ, miejscowy, podszedł do autobusu, ale kłopot w tym, że autobus wcale nie robi na nim wrażenia, po prostu musi zrobić to, co robi każdy Prawdziwy Amerykanin, kiedy komuś zepsuje się samochód – podejść i wygłosić swoją diagnozę.

Więc powiada do Keseya i Cassidy'ego:

– Wiecie, czego wam, moim zdaniem, trzeba? Moim zdaniem trzeba wam dobrego mechanika. Cóż, nie jestem dobrym mechanikiem, ale... – i oczywiście przystępuje do wygłoszenia swojej diagnozy, a Paula zawodzi, wydaje odgłosy nie z tego świata, a Cudna Wiedźma Beauty Witch wyje i jęczy... i...

– ...jak mówię, potrzeba wam dobrego mechanika, ja nie jestem dobrym mechanikiem, ale...

No i – oczywiście! – Nie-ludzie. Cały ten cholerny świat był wypełniony ludźmi, którzy koniecznie musieli powiedzieć, że nie mają kwalifikacji do tego czy tamtego, ale zdeterminowani byli nie ustępować i zrobić to mimo wszystko. Kesey postanowił, że będzie Nie-nawigatorem. Babbs był Nie-lekarzem. Autobusowa wyprawa stawała się alegorią życia.

Zanim skierowali się na wschód, w poprzek kraju, zatrzymali się u Babbsa w San Juan Capistrano, na południe od Los Angeles. Babbs i jego żona Anita mieli tam dom. Wstawili autobus do garażu i zasiedli do ostatecznej, wielkiej narady przed wyruszeniem na wschód.

Kesey zaczyna po swojemu cedzić słowa z miękkim oregońskim akcentem i wszyscy cichną.

– Oto co, mam nadzieję, wydarzy się na tej wyprawie – mówi. – Co, mam nadzieję, będzie się dalej wydarzać, bo już się zaczęło. Wszyscy zaczynamy robić swoje i tak będzie nadal, zupełnie otwarcie i nikt nie będzie sprzeciwiał się temu, co robi ktoś inny.

– Gówny prawda – mówi Jane Burton.

Keseya zatkało na chwilę, ale sobie poradził.

– Oto cała Jane – mówi. – I właśnie robi swoje. Gówny prawda. To jest jej i ona to robi.

– Nikt z nas nie będzie sprzeciwiać się temu, co robią inni. Jeśli ktoś robi swoje mówiąc gówny prawda, to niech sobie mówi. Jeśli ktoś lubi kopać w dupę, to na tej wyprawie będzie kopał w dupę. Będzie to robił zupełnie otwarcie i nikt nie będzie miał do niego o to pretensji. Po prostu powie: „Przepraszam, że kopnąłem cię w dupę, ale nie żałuję, bo jestem od kopania w dupę. Tym się zajmuję, kopię ludzi w dupę”. Wszyscy będą tymi, kim są naprawdę, i, kimkolwiek są, nie będą musieli za nic przepraszać. Na tej wyprawie będziemy tymi, kim jesteśmy.

Ruszyli dupy i całą resztę poprzez Południowy Zachód. Wszystko jest na filmie i taśmie. Lodówka, kuchenka, zlew, koje, koce, kwas, speed, trawka – Hagen obsługuje kamerę filmową, wszyscy przy mikrofonach, a muzyka grzmi ponad hukiem autobusu, rock'n'roll, Jimmy Smith. Cassidy tak zakręcony, jakim go jeszcze nie widzieli, bez koszuli, w słomianej wersji kowbojskiego kapelusza na głowie, podskakuje w fotelu kierowcy, zmienia biegi – bieg luz bieg, bieg luz bieg, wali w kierownicę i dźwignię zmiany biegów, nawija do

mikrofonu umocowanego przy swoim fotelu jak maniakalny przewodnik wycieczek, opisuje każdy przejeżdżający samochód,

– ...oto fryzjer pędzi szosą i strzyże sobie włosy z prędkością 500 kilometrów na godzinę, państwo rozumieją...

– Więc zapamiętajcie te wyrazy, ofiary, na chwałę i na darmo! – mówi Babbs.

– Żarcie! Żarcie! Żarcie! – mówi Hagen.

– Wyciągnijcie maść do warg, sierżancie! – krzyczy Babbs do Steve’a Lambrechta. – Jedyne lekarstwo na przyklejenie jointa do wargi to błyskawiczna maść do warg...

...i tak dalej, ponieważ Steve ma zawsze jointa przyklejonego do ust i rzeczywiście, bardziej niż ktokolwiek wśród żyjących na tym świecie zaprawia się wszystkim, cokolwiek wpadnie mu w ręce, więc dostaje na tej wyprawie imię Przyprawiacza – Zonkera.

– ...maść do warg dla Zonkera!

– a potem Babbs parodiuje Cassidy’ego –

– ...a oto cadillac Marie Antoinette... –

...i głośniki wyją, i mandolina wyje, i dzikie śmiechy wyją, i kamera pogłosowa wyje-je-je-je-je i ktoś – kto? – cholera, *wszyscy* wyją,

– ...wreszcie się ruszamy po trzech pieprzonych dniach!

Drugiego dnia dotarli do Wikieup, starej oazy z Dzikiego Zachodu w środku pustyni Arizony przy drodze 60. Wszędzie szarobrazowa pustynia, słońce i jezioro, jak wielki szlamiasty, zarośnięty wodorostami staw, ale powietrze było cudowne. Sandy czuł się wspaniale. I wtedy Kesey zwołał drugą odprawę. Tu właśnie mieli wziąć pierwszy kwas w tej wyprawie i zrealizować pierwszą poważniejszą produkcję filmową. On, Babbs i ta zachwycająca, seksowna Paula Sundsten mieli wziąć kwas – *łyk Wikieup!* – a reszta miała rejestrować to, co się wydarzy. Hagen i Walker mieli filmować, Sandy miał zająć się dźwiękiem, a Ron Bevirt miał robić zdjęcia.

Sandy czuje pierwsze ukłucie... czego? że niby co... ma być tylko Kwas Pod Kontrolą. Że niby... mają być podzieleni na artystów i roboty, gwiazdy i kulisy. Że niby... są lepsi i gorsi. To nie miało sensu, ponieważ Hagen i Walker z pewnością byli bliżej Keseya niż inni Prankstersi, z wyjątkiem Babbsa, a też byli „robotami”, ale tak to odbierał. Choć nic nie mówił. Nie... out-front.

Kesey, Babbs i Paula łykają trochę soku pomarańczowego z kwasem z lodówki i

czekają na wibracje. Paula jest w fantastycznym humorze. Jeszcze nigdy nie brała LSD, ale wygląda na nieustraszoną, odporną i gotową na wszystko, więc bierze spory łyk. Czeka na wibracje... i oto nadchodzą.

Babbs trzyma spory kij, rodzaj laski, wymachuje nim na lewo i prawo i wszyscy troje, Babbs, Kesey i Paula, ruszają biegiem z zadartymi kolanami i wrzaskiem w stronę jeziora, Paula daje nura – i wyłania się z głową w mule i wielkich strąkach śliskiej, jeziornej zieleni – i jarzy się tak, jakby promieniowała ponad lustrem jeziora i pustyni. Wynurzyła się w euforii

–

– Ooooooch! Jak świeci!

– rozdziela rękami długie strąki oślizgłych włosów, zachwyca się i szaleje nad nimi –

– Ooooooooooch! Jak świeci!

– paciorki wody na jej śliskich strąkach wydają się jej diamentami i od razu wszyscy łapią jej falę, nawet Sandy –

– Ooooooooooch! Jak świeci!

– wynurzyła się w euforii! W euforii długich, tłustych girland jeziornych wodorostów, najszcześniejszy oślizgły frik Zachodu –

– a Babbs jest także w jej euforii –

– Gretchen Fetchin Oślizgła Królowa! – krzyczy i macha w niebo swoją trzcina.

– Ooooooooooooooooooch! Jak świeci!

– Gretchen Fetchin Oślizgła Królowa!

– Jak świeci!

– Gretchen Fetchin!

Jest pięknie. Wszyscy wpadają w szal i euforię, jak w wielką wspólną falę, naraz jakby wszyscy wzięli kwas. Kesey na sportowym odlocie atakuje paprocie i inną oślizgłą zieleninę w jeziorze. Babbs i Paula – Gretchen Fetchin! – zawodzą pod niebiosa. Hagen gorączkowo filmuje to wszystko, Sandy rozciągnął wiązkę poważnie wyglądających kabli do samego brzegu jeziora, łapie dźwięk, a Ron Bevirt wali zdjęcia. Babbs i Paula – Gretchen Fetchin! – i Kesey raz po raz rzucają się w mulistą treść jeziora.

– Wracajcie! – krzyczy operator Hagen. – Nie łapię was!

Ale Babbs, Paula i Kesey nie słyszą. Kręcą młynka coraz dalej w rajski szlam –

– Jak świeci!

– Gretchen Fetchin – Oślizgła Królowa!

Tymczasem Cudna Wiedźma Hagen, wiedziona chwilą, zakradła się do lodówki i wzięła trochę kwasu, wysiadła z autobusu na pustynny piasek, ubrana w czarną bluzkę ze

wzorem skóry węża i czarną peleryną, czarne włosy opadają jej na ramiona jak na prerafaelickim obrazie; z kosmicznym uśmiechem na wiedźmobiąłym obliczu kładzie się na podłodze pustyni, przybiera pozy i deklamuje kuplety. Nawalona jak stodoła, ale nadaje wyłącznie kupletami, dzikimi, szaleńczymi elżbietańskimi kupletami:

– Jak sądzę, Panie, pomoże trawy łyk
Co zaraz się zdarzyło
padł na ziemię z węgorym krzykiem
Podbił me serce swobodnym bykiem –

– i tak dalej. Cóż, z miejsca podbiła maniackie serce Hagen, który wycofuje się z Jeziora Oślizgłej Euforii i zajmuje pozycję, w rozkroku, nad nią, z kamerą, a ona leży i deklamuje na podłodze pustyni, w kadrze kamery niczym Maria Montez w scenie miłosnej – Cudna Wiedźma już całkiem odjechała na swoje...

Z powrotem w autobusie i w drogę do Phoenix z oślizgłą, euforyczną pewnością, że oni i ich film – Film! – liczne alegorie życia – że teraz już musi im się udać. Hagen wciąż filmował, godzinami, w podskakujących wnętrznościach autobusu. Były takie chwile w Historii Filmu, że wszyscy odpadali. Na przykład w Phoenix. Był to czas gorączki wyborczej z 1964 roku i rodzinne miasto Barry’ego Goldwatera, więc powiesili na autobusie transparent: „Głos dla Barry’ego to głos dla zabawy”. I obwiesili autobus amerykańskimi flagami. Cassady jechał tyłem główną ulicą miasta, Hagen kręcił film, a flagi łopotały do tyłu w strumieniu powietrza. Obywatele byli należycie zaskoczeni, oburzeni, zachwyceni, zamroczeni, odwracali się ze zdziwieniem albo starali się trzymać szpan, spoglądając z ukosa, jakby żaden taki *dziwaczny kit* nie robił na nich wrażenia – a kilku uśmiechnęło się tak szczerze, jakby chcieli powiedzieć, jestem z wami – och, gdybym tylko mógł!

Wszyscy byli na fazie po speedzie, trawce lub tyłu ich mieszankach, że sami stracili rachubę, więc wydawało im się, że żyją wspaniałym, tajemniczym życiem. Bo było to wspaniałe, tajemnicze życie. Zamroczeni obywatele widzieli tylko zewnętrzne objawy niesamowitej akcji, która działa się im w czaszkach. Wszyscy już byli postaciami w swoich własnych filmach albo w Wielkim Filmie. Przybierali nowe imiona i nazywali się nimi.

Steve Lambrecht to Zonker, Przyprawiacz. Cassady to Speed Limit, Granica Prędkości. Kesey to Swashbuckler, Pirat. Babbs to Intrepid Traveler, Nieustraszony

Podróżnik. Hagen, który podskakuje z wielką kamerą, szybuje nawet w huku autobusu, to Mal-Function, Awaria. Ron Bevirt odpowiadał za cały sprzęt, narzędzia, przewody, wtyki i w ogóle, stał się znany jako Equipment Hassler, Kombinator Sprzętu, a później po prostu Hassler, Kombinator. George Walker był Hardly Visible, Ledwo Widoczny. A Paula Sundsten została... Gretchen Fetchin the Slime Queen, Oślizgłą Królową, rzecz jasna...

Zeszyt! – zwykły dziecinny zeszyt dla każdej nowej postaci w Filmie i każda postać w rzeczonym Filmie może sama pisać w swoim zeszycie albo może go wziąć ktoś inny i coś napisać – kto wie, co kto napisał? – a u Gretchen Fetchin napisano:

Pochowajcie ich w szlamie!

Zawołała, miotając się po ogrodzie –
Z pędzelkiem pietruszki ściśniętym w
dłoniach – który zawsze
tak dusiła.

To dziwna sprawa,
I coraz dziwniejsza,
Powiedziała, owijając nieco na
Palcu, bo zawsze znajdziemy
wilgoć w jej dłoni... „Naturalnie”

Powiedziała. „Te korzenie sięgają głęboko”.

Nic w tym dziwnego, ale
trochę ją ciekawiło
a

TO

Co jest do diabła
Po czym zrobił się bardzo
niezdarny, chichotał w zaufaniu,
i przewrócił się o jej cień,
co przeniosło ich oboje w

krainę nieobliczalnej przygody

Ledwo tydzień w drodze, a piękna, bujna, seksowna Gretchen Fetchin Oślizgła Królowa jest już *wsynchowana*. Kesey, sam Pirat we własnej osobie, zagina na nią parol i na tym powinno być się skończyć, ale ona ma względy dla – Babbsa – kto przewrócił się o jej cień? – Hmmmmmmmmm? Tyle cieni i blasków słońca południowego zachodu wskakuje przez okna na podłogę, na ławki i koje i wyskakuje z szalonym hukiem silnika i w tych podskokach dwie pary oczu Gretch dwie pary oczu Babbsa cztery pary oczu Gretch cztery pary oczu Babbsa osiem par oczu Gretch osiem par oczu Babbsa, śmieją się wszystkie, wibrują, wskakują pomiędzy siebie, co przenosi ich oboje w krainę nieobliczalnej przygody, ma się rozumieć. Kesey trochę się obraził – Kesey we własnej osobie – ale nawet ta obraza podskakuje i rozpada się w południowo-zachodnich błyskach słońca. – *Jeździłem polnymi drogami w Utah, plymouthem z czterdziestego szóstego, górnozaworowym* – mówi Cassady. Drzwi do lodówki jęczą, glug, glug, zakwaszony sok pomarańczowy, palce lizać, Hagen i jego Cudna Wiedźma łykają po kubku zakwaszonego soku pomarańczowego i słodka buzia Hagena wiruje spiralnie jak u uroczego chrześcijańskiego chłopca zgodnie ze wskazówkami zegara i jak u uroczego cwaniaka z Chatki Kopulatki – przeciwnie do wskazówek. W tę i z powrotem, aż oboje znikają, w podskokach po drabinie przez otwór wjazdu na dach gdzie, pod ogromnym, ciężkim słońcem południowego zachodu, stową na godzinę... Niedługo potem Hagen schodzi z powrotem po drabinie prosto do lodówki, wychyla następny kubek soku pomarańczowego i szczyrzy się do wszystkich, chrześcijański chłopiec i cwaniak z Chatki Kopulatki, wiruje w tę i w tamtą – i znowu wspina się na dach, aby...

AWARIA

Gdybym tylko miał 10 dolców, moglibyśmy
podzielić się z Margo po połowie ritaliną – Jadam Ritalinę jak aspirynę
A teraz chodźmy czarować Brooks Brothers –
i co, kaptcie wam spadły?

Nocami ten przeklęty autobus wciąż podskakuje, a srebrzysty błękit południowego zachodu wpada może nie w podskokach, ale wślizguje się i osuwa snopami, chora sprawa, a strugi światel samochodów i długie, szalone cienie od strug światel samochodów ślizgają się

dziwacznymi lukami po wnętrzu autobusu, po koi miłości. O ile trzymasz szpan, to wcześniej czy później wylądujesz w koi miłości. Na jednym piętrze leży śpiwór, do którego wczolguje się każdy, kto ma ochotę na te rzeczy, zrób swoje, koleś, i to zupełnie out-front, nie krępuj się, a Sandy zagląda i widzi ludzką... jak podryguje w górę i w dół w tym śpiworze, po którym ślizgają się strugi świateł samochodów, a silnik huczy, ta wspaniała koja miłości, i każdy – *synch, synchronizacja* – widzi, jak ten śpiwór dosłownie wypełnia się spermą, te małe czorty pływają jak szalone tam w środku, w tym mule, wsiąkają w ten tandetny, kudłaty fajans, którym nadziewa się śpiwory, miliony, miliardy, biliony, śmigają wokół, małe cwane baciki, walczą o *punkty*, co jest całkiem naturalne, i gdyby jakaś patentowana dziewica z tej planety wlaźła do tego śpiworu na poobiednią drzemkę, w ciągu trzech minut stałaby się ciężarnym cudem natury – ale czy nigdy nie skończy się to cholerne *podskakiwanie*...

Jako że to autobus szkolny, a nie Greyhound, resory i amortyzatory są fatalne i pieprzony, zgrzytający, ochwacony silnik roznosi je w drobny mak, a potężne wibracje w dysonansie z wszelkim życiem z tej ziemi poniewierają wszystkimi na ławkach i kojach. Spanie jest niemal niemożliwe, dni i noce następują swym własnym, chorym cyklem. Cały dzień oślepiające słońce, a nocami dziwaczne strugi świateł samochodowych i cienie, co ślizgają się chore i powolne. I cały czas ten huk. Jane Burton prawie bez przerwy cierpi na nudności. Nikt nie może spać, więc aby sobie jakoś radzić, biorą coraz więcej kwasu, psychicznych stymulantów takich jak ritalina, czegokolwiek, a potem palą jeszcze trochę trawki, żeby złagodzić tachykardialne ostrze speedu, i łykają kwas, aby przemienić to wszystko w coś jeszcze innego. Do tego wszystko zaczyna miotać się jak wahadło pomiędzy wykańczającym, gwałtownym, dzikim pędem po autostradzie – i niewytłumaczalnymi spóźnieniami, postojami, nieznośną frustracją na poboczu drogi, gdzie diabeł mówi dobranoc, gdy tymczasem brak snu zamienia ciała i czaszki w wyschnięte w środku wytloki, a kwaśny, tłusty dym, jak z pożaru slumsów, kłębi się w głowach. Muszą zajeżdżać na stacje benzynowe, żeby pójść do ubikacji, pozbyć się moczu lub kału – uwaga na regularność, koledzy – więc dwunastka – ile, czternastka? – czy zgubiliśmy kogoś, czy znaleźliśmy kogoś? – wysiada z autobusu, który sam w sobie wygląda dziwnie, a te cudaki, no nie mogą – kierownik stacji i jego Prawa Ręka przyglądają się temu – murzyńska muzyka wali z głośników, a ci dziwni ludzie wylązą, połowa w kostiumach, w jaskrawych koszulach w czerwono-białe pasy, niektórzy z dziwnymi malunkami na twarzach, jak Indianie z komiksów, z wielkimi kręgami pod oczami, czerwonymi oczami, nosami nie niebieskimi, nawet wcale nie niebieskimi, ale z oczami czerwonymi – wszyscy maszerują w kierunku

mogłoby być lepiej. Na co czekamy, czekamy, czekamy, czekamy, przekomarzamy się ze zgredami ze stacji benzynowych. Cóż, między innymi czekamy na Sandy'ego. Gdzie, do diabła, jest Sandy. Sandy nie śpi od paru dni i czuje nieokreślony przymus, żeby *wysiąść z autobusu* – ale nie żeby się przespać, tylko żeby wysiąść – po – co? – zanim:::::::::: co? Sandy poszedł tam, do motelu, bada ten elektro-różowy klocek, stojący gdzie diabeł mówi dobranoc – wreszcie ktoś znalazł go i przyprowadził z powrotem. W Wielkim Filmie nadano mu imię Zerwał.

– Będą takie momenty – powiada Kesey – kiedy nie będziemy mogli na kogoś poczekać. Więc albo jesteście w autobusie, albo poza autobusem. Jeśli ktoś jest w autobusie, to jak pojedziemy bez niego, pewnie dołączy później. A jeśli i tak nie było go w autobusie... no to w sumie nic się nie stało. – Nikomu nie trzeba było tego tłumaczyć, wszyscy rozumieli. Wszystko stawało się alegorią, ogarnianą przez grupowy umysł, szczególnie to: „Albo jesteś w autobusie... albo poza autobusem”.

Z wyjątkiem dziewczyny Hagena, Cudnej Wiedźmy. Chyba nawet nie wysiadała na siusiu. Siedziała sobie na tylnej ławce, naga, jeśli nie liczyć koca na łonie, z nogami wciśniętymi w kąt, z małymi, nagimi piersiami, milcząca, wyglądała nadzwyczajnie wiedźmowato. Czy ona jest w autobusie, czy poza autobusem? Od jakiegoś czasu nic na sobie nie nosi oprócz koca, a i ten zrzuca, kiedy się jej spodoba. Może to jest właśnie jej sprawa, robi swoje i *odlatuje na tym*; autobus odjeżdża w kierunku Houston w Teksasie, a ona zostaje Stark Naked, Całą Gołą w Wielkim Filmie, raz zaprawiona w dym, choć z otwartymi oczami, jakby się zagapiła, a za chwilę roześmiana i kontaktowa, ożywiona Cała Goła; i wszyscy starają się do tego przyzwyczaić, ale teraz przyglądają się jej, nie dlatego, że jest goła, do licha, to nic takiego przecież, ale dlatego, że nabiera coraz większej mocy wyjątkowo niesamowitego ESP, postrzegania pozazmysłowego. Co chwilę podchodzi do kogoś, kto nie mówi ani słowa, zagląda mu w oczy tym wszechogarniającym spojrzeniem totalnego kwasowego zrozumienia, nasze umysły to jeden umysł, więc *odwiedzajmy się*, ty i ja, i powiada: – Ooooooooooch, naprawdę tak uważasz, wiem, co masz na myśli, ale czy tyyyyyyyyyyyyyyy – i kończy odlotowym, wibrującym śmiechem, jakby właśnie odczytała twoje myśli i znalazła tam najdziwaczniejsze z dziwacznych rzeczy, w tych twoich myślach yyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyy –

CAŁA GOŁA

w czarnym kocu
Wyciągając rękę do samej siebie
obudziła się pewnego poranka
i odkryła, że jest napastowana ze wszystkich
stron przez WIELKICH
MĘŻCZYZN
co otaczają ją i grożą
głosami, obecnością, stałą żądzą
sięgającą w głąb samej siebie
co dotyka lubieżnie jej
żądzy i doprowadza ją do śmiechu
i
ŚMIECHU
swą wybitną
śmiesznością...

– ale nikt ani przez chwilę nie miał jej za złe ani tej nawalonej paranoi z wytrzeszczonymi oczami, ani tego maniakalnego, piskliwego kontaktowania, nikt nie miał jej za złe, mogła sobie odjeżdżać, nikt nie próbował studzić tego rozpalonego mózgu, który sączył się Cały Goły w te cholerne, podskakujące – *dość tego!* – prądy autobusu pędzącego z hukiem sto na godzinę w Teksas, ponieważ było tak, jak zapowiedział sam Kesey, wtedy w San Juan Capistrano obowiązywała skala reakcji, od negatywnych do pozytywnych, i nikomu nie wolno na nic reagować negatywnie, trzeba traktować wszystko pozytywnie – *idź z prądem* – luz każdego będzie wystawiony na próbę i krzyknąć Nie! – na cokolwiek, co się wydarzy – oznacza porażkę. I czyż Kesey pierwszy nie przeszedł tej próby? Czyż Babbs nie zabrał mu Gretchen Fetchin, a on nie miał o to żalu do żadnego z nich? I czyż to nie Walker dzwonił do La Hondy z każdej stacji benzynowej Ameryki? Wszystko to prawda, idźmy z prądem. I poszli z prądem, z całym tym przeklętym amerykańskim prądem. Autobus wtacza się na roгатki płatnych superautostrad, mikrofony na dachu chwytają szcęk i brzdęk, i mamrotanie kasjera, pisk hamulców, zmianę biegów, wszystkie odgłosy prawdziwej Ameryki wszędzie indziej ignorowane. Wszystko to wracało wzmocnione do środka autobusu, podczas gdy kamera Hagena łowiła twarze, twarze z Phoenix, twarze gliniarzy, właścicieli stacji benzynowych, tych maruderów i bohaterów Ameryki, w mozołach ich filmów, i to wszystko, uchwycone i zachowane, piętrzyło się na kupie w autobusie. Pędzą przez Amerykę,

mikrofony chwytają wszystko, cały huk, aż tu jednemu z mikrofonów na dachu gwałtownie odbiło i skakkkkkkkkkkkkk szoruje i klekoce o asfalt i *puk*, już go nie ma, nic nie słychać. Spadł jakoś z dachu, uderzył o jezdnię i włókł się, aż całkiem się urwał – a Sandy nie może w to uwierzyć. Wciąż czeka, aż ktoś każe Cassidy’emu zatrzymać się, cofnąć i zabierze ten mikrofon, ponieważ to było coś, co Sandy montował nie oszczędzając czasu i miłości, to była jego sprawa, jego udział w mocy – tymczasem wszyscy nawijają i cieszą się tym dźwiękiem – Jezuuuuuuuu! Słyszeliście... Jezuuuuu – jakby wszyscy naraz załapali się na coś niesłychanego, coś zupełnie wyjątkowego, odgłos przedmiotu, mikrofonu, gdy uderza w amerykański asfalt, na prostej drodze, z prędkością 100 kilometrów na godzinę, że to było na taśmie i będą mieli tę chwilę, ten moment, gdy coś, gdy *ktoś*, wypada z prądu i wali o Wielką Superautostradę przy stu na godzinę – a oni *mieli* to na taśmie – i odtwarzali z regulowanym echem skakkkkk-akkkkk-akkkk-akkkkooooooooo.

ooooooooooooooooooooooooo – Cała Goła robi się coraz bardziej szalona, trzęsie się skulona pod czarnym kocem, potem idzie, podskakujące widmo. Jej małe karminowe sutki podskakują w wariackich wibracjach – w końcu dojeżdżają do Houston i kierują się do domu Larry’ego McMurtry’ego. Podjeżdżają pod dom na przedmieściu, otwierają się drzwi i wychodzi McMurtry, drobny, lekko pobladły, miły, nieśmiały koleś, idzie z małym chłopczykiem, synem, a Cassidy otwiera drzwi autobusu, żeby ich wypuścić, i nagle Cała Goła wrzeszczy:

– Frankie! Frankie! Frankie! Frankie! – jako że to imię jej własnego, straconego w rozwodzie synka – zrzuca koc i wyskakuje z autobusu wprost na przedmieście Houston w stanie Teksas, cała goła, podbiega do chłopczyka McMurtry’ego, chwytą go i przyciska do swoich chudych piersi, z płaczem i krzykiem.

– Frankie! Och, Frankie! Mój mały Frankie! Och! Och! Och!

– McMurtry za Boga nie wie, co począć, niepewnie sięga ku jej gołym ramionom i mówi:

– Proszę pani! Proszę pani! Chwileczkę, proszę pani! –

– a Prankstersi, którzy wysypali się z autobusu – stają jak wryci. I autobus stoi jak wryty. Żadnego huk, żadnych wariackich podskoków i wibracji, żadnych strug samochodowych świateł, żadnych nagrań, żadnych mikrofonów. Tylko Cała Goła, z cudzym synkiem w ramionach, podskakuje i wibruje.

I właśnie tam, wśród sielskich topoli w Houston przy Quenby Road, zaświtało im wszystkim, że ta kobieta – kto z nas właściwie ją zna? – dotarła do kresu swojej podróży. Poszła z prądem. Cała oszalała.

7. Kwas poza kontrolą

Cała Goła, Cała Goła, cisza, ale cóż... to, że ta lub parę innych wpadek, które przydarzyły się Prankstersom, miały cokolwiek wspólnego z beztroską zabawą w Koks, nie przychodziło im wówczas do głowy. *Szaleństwo* nie było absolutem. Wszyscy na ochotnika podjęli wyprawę i stan świadomości według zwykłych kryteriów „szalone”. Ta wyprawa, a właściwie cała ta sprawa, była ryzykownym i brawurowym skokiem w nieznaną i po prostu zakładali, że coraz więcej z tego, co tkwiło w nich w środku, będzie się ujawniać i rozwijać, na chwałę albo hańbę. Cała Goła zrobiła swoje. Odleciała z hukiem w próżnię, skąd pozbiali ją gliniarze, zamknęły się za nią drzwi oddziału psychiatrycznego i to by było na tyle, bo Prankstersi już dawno odjechali.

Wyprawa zaczęła się jako wspaniały desant z leśnej twierdzy La Hondy w sam środek nie podejrzewającej niczego Ameryki. I, dla Sandy’ego przynajmniej, to właśnie wtedy była najlepsza, kiedy Prankstersi trafiali pomiędzy ludzi, a obywatele tego kraju gapili się i starali reagować jak należy na... a cóż to, na Boga, robią ci wariaci. Ale działały się także inne rzeczy. Na długich odcinkach amerykańskich superautostrad, pomiędzy przedstawieniami, autobus przypominał garnek do gotowania pod ciśnieniem, tygiel, jak jedna z komór, w których pierwsi fizycy atomowi zagęszczali ciężką wodę, zbliżali cząsteczki coraz bliżej do siebie, aż wybuchały ich atomy. W autobusie wszelkie ślady dziwactwa, współzawodnictwa, żalu, czy czegokolwiek innego, ulegały nasileniu. Wszystko zupełnie otwarcie.

Jane Burton, znana teraz jako Generally Famished, Ogólnie Wygłodzona, i Sandy – Dis-Mount, Zer-wał – wszędzie tam, gdzie mieli okazję, tak jak w Houston, zaczęli chodzić najadać się porządnie. Porządnie pod każdym względem. Szli prosto do jednej z Porządnych Amerykańskich Restauracji o wielkich oszklonych witrynach z tandetnymi plastikowymi wiatraczkami reklamującymi piwo Heinekena i z nalepkami Diners Club i American Express na oszklonych drzwiach, wchodzili i zjadali porządny befsztyk z porządnymi frytkami, wygotowaną marchewką z groszkiem i sosem A-i. Jane, wyczerpana brakiem snu i cały czas głodna jak wilk, ogólnie wygłodzona lub cierpiąca na niestrawność, zastanawiała się, co, do cholery, robili na południowym skraju Stanów, taki kawał drogi od Nowego Jorku. Sandy’ego męczyła podświadoma chęć, aby wyjść poza autobus, a jednocześnie być w *autobusie* – w *tamtym* sensie – a żadne z nich nie wiedziało, co myśleć o Keseyu – zawsze ten Kesey...

I ten upał. Z Houston ruszyli na wschód, poprzez Głębokie Południe, a Głębokie Południe w lipcu to po prostu... lawa. Powietrze wpadające przez otwarte okna autobusu było gorące i szorstkie jak niewidzialny dym, a kiedy się zatrzymywali, spadało na nich jak istna

lawa. Odpoczynek w Houston niewiele pomógł, ponieważ wraz z upałem wszystko zaczęło się od nowa, nikt nie spał i nawet z pomocą speedu, trawki i kwasu ledwo udawało im się przebić przez tę lawę.

Odetchnęli w Nowym Orleanie, ponieważ wysiedli i przechadzali się po Dzielnicy Francuskiej i porcie, w koszulach w czerwono-białe paski, pomalowani Day-Glo, a ludziom odbijało na ich widok. Kiedy byli na nadbrzeżu, zjawili się gliniarze, jak komediowy antrakt, ponieważ gliniarze to już dla nich chleb z masłem. Glinom z miasta wcale nie lepiej udawało się odgrywać swój Gliniarski Film niż glinom ze wsi. Hassler przemawiał do nich słodko, jak uniwersytecki prymus na uroczystości wręczenia dyplomów, Kesey przemawiał do nich słodko i swojsko, a Hagen filmował to wszystko, jakby to był szalony eksperyment z *cinema verite*, więc gliny uciekły w stadzie nowych fordów radiowozów z wirującymi światłami na dachach. *Sayonara* wam wszystkim. Więc po prostu spacerowali sobie po Nowym Orleanie w pasiastych koszulach i szortach i wszyscy mogli podziwiać potężne muskularne nogi Keseya, jak u piłkarza, kiedy rwał do przodu, jakby to on był tu właścicielem, jakby to oni byli tu właścicielami, i wszystkim poprawiały się humory. Pojechali nad jezioro Pontchartrain na północnym skraju Nowego Orleanu. Wszyscy wzięli kwas, choć małą dawkę, około 75 mikrogramów – wszyscy szczęśliwi i zaprawieni kwasem, a rock'n'roll grzmi, Martha and the Vandellas i Shirley Ellis, wszystkie stare przeboje. Jezioro Pontchartrain jest jak wspaniały, wielki, piękny, przestronny – przestrzeń! – park na wodzie. Zajechali na parking, a tam naokoło ładne drzewa i bezkresna piękna woda, więc przebrali się do kąpieli. Walker, pięknie zbudowany, wkłada czerwono-żółto-czarne kąpielówki, Kesey, pięknie zbudowany, wkłada kąpielówki niebiesko-białe, a Zonker, pięknie zbudowany, choć smuklejszy, zakłada kąpielówki pomarańczowe, błękit wody zaś, wypalona zieleń trawy oraz liści i – leciutka bryza? – wszystko to pływa przed ich zakwaszonymi oczami jak topniejąca widokówka – woda! Nie wiedzą natomiast, że to plaża tylko dla Murzynów. Czarnuchy siedziały na ławkach i gapiły się na białych wariatów, jak wysiadają z dziwnego autobusu i walą wprost do nowoorkańskiej, z trzydziestego równoleżnika, z Głębokiego Południa, wody dla Murzynów. Zonker jest tym razem naprawdę zaprawiony, upał aż kipi, około 40 stopni, więc daje nura, odpływa i wkrótce spostrzega, że jest otoczony przez ciemnopomarańczowych ludzi, Murzynów, którzy tkwią nieruchomo w wodzie wokół niego i ślą mu groźne spojrzenia. Jeden ma z przodu złoty ząb z wyciętą gwiazdą tak, że w samym środku tego złota widać białą gwiazdę z emalii, ma z przodu złoty ząb z wyciętą gwiazdą, ząb który zaczyna rzucać na niego słoneczne odbłaski – *cziiiakkk* – w rytm bicia serca, coraz szybszy, te cholerne błyski powidoków złota i białej gwiazdy, a Złotousty powiada:

- Strasznie dużo śmieci dziś w wodzie, stary.
- Racja, stary – mówi drugi.
- Kurewsko dużo śmieci, stary – mówi następny i tak dalej.

Naraz Złotousty zwraca się wprost do Zonkera:

- Co tu robią te śmieci w tej wodzie, chłopie?

Zonker jest mocno zakłopotany, częściowo dlatego, że z powodu kwasu wszystko wydaje mu się pomarańczowe – pomarańczowe kąpielówki, pomarańczowa woda, pomarańczowe niebo, pomarańczowe groźne czarnuchy.

– Co ty tu robisz, chłopie! – nagle bardzo ostro mówi Złotousty Pomarańczowy i wielki, z pomarańczowymi szerokimi, tęgimi plecami) wielkimi jak pomarańczowa płaszczka manta. – Wiesz, co teraz zrobimy? Utniemy ci jajeczka. Zabierzemy cię na plażę i damy ci popalić!

- He-hehhhhhhhhhhhhhh! – pozostali buchnęli zawodzącym, jęklwym śmiechem.

Z jakiegoś powodu jednakże Zonker się uśmiecha. Czuje, jak uśmiech rozszerza mu się na twarzy, jak wielki pomarańczowy plasterek pomarańczowej galaretki w cukrze. Tkwi tam zawieszony w wodzie i szczyrzy się, podczas gdy Złotousty błyska, błyska i błyska.

A wtedy Złotousty powiada:

– No, to jakiś niezwykły śmieć – i zaczyna się śmiać, tyle że tym razem przyjaźnie, wszyscy się śmieją, a Zonker śmieje się i płynie z powrotem do brzegu.

Przez ten czas wokół szalonego autobusu zebrał się wielki tłum Murzynów. Z głośników wali czujna muzyka, płyta Jimmy’ego Smitha. Zonker wsiada do autobusu. Wygląda, jakby naokoło tańczyły tysiące Murzynów, tańczyły rock’n’rolla i swoje sprośne boogie. Wszystko jest pomarańczowe, spogląda na wijącą się masę Murzynów, za każdym oknem nic, tylko wijący się Murzyni, stłoczeni naokoło autobusu i wijący się i wszystko to zaczyna zmieniać się z pomarańczowego na brązowe. Zonker nabiera poczucia, że znalazł się w środku gigantycznego jelita wstrząsanego perystaltycznymi skurczami. Czuje, jak cały trip zamienia się w koszmar. Nawet Kesey, który niczego się nie boi, wygląda na zaniepokojonego. – Lepiej stąd spadajmy – mówi. – Ale jak, wyciśnięci? – w koszmarnych, brązowych, perystaltycznych skurczach? Na szczęście dla Zonkera, a może dla wszystkich, w tym momencie zjawiają się białe gliny, rozpędzają tłum i każą białym wariatom odjeżdżać, to plaża dla Murzynów. Chociaż raz nie wyskakują z autobusu i nie próbują popsuć Gliniarskiego Filmu. Idą z prądem Gliniarskiego Filmu i zabierają stąd swój film.

Dalej w głąb równin Missisipi i Alabamy, Biloxi, Mobile, drogą U.S.90, wśród

równin, pól i upału, który nigdy nie popuszcza. Kierują się na Florydę. Sandy nie śpi od wielu dni:..... ilu:..... to jak totalna bezsenność i wszystko *wygina się* w krzywych, skisłych liniach. Słońce i równiny. Przekłety upał – i wszystko dzieli się na przeciwne bieguny. Tu nieruchome, porażone letnim upałem Głębokie Południe – a serce Sandy’ego nieustannie galopuje, a mózg ucieka, jakby najważniejsza była... *jazda, Cassidy...* ale Cassidy jest dwóch. Raz Cassidy wygląda, jakby miał 58 lat i był szalony – *speed!* – a za chwilę, jakby miał 28 i był całkiem spokojny – *kwasy* – i Sandy potrafi natychmiast odróżnić spokojnego Cassidy’ego od szalonego, ponieważ nos robi mu się... długi, gładki i prawie patrycjuszowski, podczas gdy dziki Cassidy wygląda, jakby życie dało mu się we znaki. A Kesey – *zawsze ten Kesey!* Sandy patrzy... a Kesey jest stary, wynędzniały i z koślawą twarzą... a potem patrzy i Kesey jest młody, pogodny, z twarzą bez zmarszczek, okrągłą i gładką jak u dziecka, które siedzi godzinami nad lekturą komiksów, pogrążone w głębokiej purpurze Dr. Strange’a wystrojonego w peleryny i światłocien Steve’a Ditko. Dr Strange powiada: – Skąd mogli wiedzieć, że ten klejnot to przyrząd do przekraczania WYMIARÓW! To sposób, aby z naszego świata wkroczyć do przerażającego PURPUROWEGO WYMIARU! – Sandy może sobie błędzić... poza autobusem, ale i tak wszystko to nadal Kesey. Dr Strange! Zawsze widzi dwóch Keseyów. Keseya Prankstersa i Keseya manipulatora. Pędzą poprzez opary południowej Alabamy pod koniec czerwca, a Kesey wznosi się z komiksu i staje się Captain Flag, Kapitanem Flagą. Zakłada różową kieckę jak minispódniczka, różowe skarpetki, lakierki i różowe okulary słoneczne; owija głowę amerykańską flagą niczym wielkim turbanem, przytrzymuje ją wbity z tyłu strzałą; wychodzi na dach autobusu mknącego z hukiem przez Alabamę i zaczyna grać dla przechodniów na flecie. Alabamczycy wciągani w RÓŻOWY WYMIAR oglądają się dwa razy, żeby się upewnić, i *rewelacja!* jak mawia George Walker, pieprzona rewelacja. Zajeżdżają na stację benzynową w Mobile i połowa Prankstersów wyskakuje z autobusu, rażą czerwono-białymi paskami i jak szaleni rozrzucają wokół czerwone, gumowe piłeczki, jak w jakimś maniakałnym balecie na temat szpanerskiej, zwiewnej dekoracji stacji, podczas gdy facet nalewa do pełna i przygląda się najpierw im, potem Kapitanowi Fladze, a potem samemu autobusowi, a kiedy już odbierze należność za benzynę, popatrzy na Cassidy’ego za kierownicą, pokręci głową i powie:

– Nic dziwnego, że tak kochacie czarnuchów w tej Kalifornii.

FORNI – FORNI – FORNI – FORNI – FORNI – FORNI – FORNI – FORNI, jak było słyhać w środku autobusu, przez kamerę pogłosową, co wszystkich rozbawiło do łez.

Tak to było, kiedy było dobrze... rzeżą dalej przez Alabamę i nagle Sandy widzi

Keseya starego, wynędniałego i manipulatora. Sandy widzi go, jak schodzi po drabinie z dachu autobusu spoglądając na niego ponuro, i wie – intersubiektywności – co Kesey myśli. Nie jesteś z nami, Sandy, nie jesteś otwarty, możesz tu sobie siedzieć, huczeć i rżęzić z nami przez Alabamę, ale jesteś... poza autobusem... i podchodzi do Sandy'ego, zgarbiony pod niskim sufitem autobusu, przypomina mu człekokształtną małpę z potężnymi, zwisającymi ramionami, jak Incredible Hulk, Niesamowity Olbrzym, i naraz Sandy podskakuje, przyjmuje małpią pozę wymachując ramionami i przedrzeźniając go – a Kesey nagle szczerzy się w szerokim uśmiechu, obejmuje Sandy'ego i ściska...

Akceptuje! Kesey mnie akceptuje! Wreszcie na coś *zareagowałem*, nie skrywałem niczego, nawet jeśli to żal, zrobiłem coś, zrobiłem swoje – i poprzez samo to działanie, tak jak nas uczył, ten żal zniknął... i jestem z powrotem w autobusie, podłączony do reszty...

Zawsze ten Kesey! I w tym przyplynie euforii – *Kesey akceptuje!* – Sandy zdał sobie sprawę, że Kesey jest kluczem do wszystkiego, co w tej wyprawie działo się dobrego i wszystkiego, co działo się złego i że nikt, żaden z tych, którzy podjęli tę wyprawę, którzy znaleźli się w tym filmie, nie miałby odwagi podejść do Keseya i oświadczyć kategorycznie: Jestem poza autobusem. To tak, jakby powiedzieć, jestem poza tą... Niewypowiedzianą Sprawą, za którą się wzięliśmy...

Pensacola na Florydzie. 43 stopnie w cieniu. Jakiś znajomy Babbsa ma mały domek niedaleko oceanu, zajeżdżają tam, ale nad oceanem wcale nie jest lepiej. Powietrze faluje w upale jak nad kaloryferem. Większość Prankstersów jest w domu lub w ogrodzie. Kilka dziewczyn smaży mięso na rożnie koło autobusu. Sandy siedzi sam w autobusie, w cieniu. Ta bezsenność go wykańcza. Musi się trochę przespać albo gdzieś się stąd ruszyć. Nie może tak tu sterczeć w zawieszeniu, z walącym sercem. Idzie do lodówki i wyjmuje sok pomarańczowy. Ten kwas w Nowym Orleanie, tamte 75 mikrogramów, to za mało. Właściwie jeszcze się porządnie nie zaprawił w tej podróży, nie przeżył nic... błogiego. Więc łyka wielki haust Kwasu Poza Kontrolą i rozsiada się wygodnie.

Chciałby doświadczyć czegoś miłego i spokojnego, pogrążony w cichym odosobnieniu autobusu. Zakłada słuchawki. Lewa słuchawka jest Połączona z mikrofonem wewnątrz domu i słyhać, jak kuzyn Keseya Dale gra na pianinie. Wbrew wszelkim pozorom prowincjusza, Dale wiele lat uczył się muzyki, gra biegle i nuty dobiegają jak krople ciekłego ametystu wibrujące bez końca w... kwasowej atmosferze i to jest całkiem przyjemne. Prawa słuchawka jest połączona z mikrofonem zbierającym odgłosy na zewnątrz domu, głównie trzaski ognia pod rożnem. A więc *concerto* Dale'a i trzaski ognia w tych wielkich wyściełanych

sluchawkach otaczają jego głowę... tyle że dźwięki wymykają się jakoś spod kontroli. Brak im synchronizacji. Tak, jakby walczyły o jego głowę. Rożen trzeszczy i bulgoce, ametystowe zaś kropelki krystalizują się w tłuczone szkło, a potem w blachę, blaszane pianino. Słuchawki wydają się rosnać, wielkie wyścielane muszle już prawie zamykają się wokół jego głowy, twarzy, nosa – chaotyczne dźwięki dominują nad nim, jakby wszystko miało się skończyć właśnie tu, wewnątrz wyścielanej kuli – *panika* – zrywa się z ławki, ucieka parę kroków, w słuchawkach wciąż uciskających czaszkę, potem zdziera je z głowy i wypada z autobusu – wszędzie naokoło Prankstersi w popołudniowym słońcu, w koszulkach w czerwono-białe paski. Babbs ma moc, reżyseruje film i próbuje coś nakręcić – Kwasowy Flecista. Sandy rozgląda się. Nie ma komu powiedzieć, że wziął kwas na własną rękę i że ma zły trip, nie może się do tego przyznać... wpada do domu, ściany wyskakują tak cholernie blisko, a wszystkie krawędzie naprężone do granic, jakby miały pęknąć. Jane Burton siedzi sama w domu i cierpi na niestrawność. Jane jest jedyną osobą, której mógłby powiedzieć.

– Jane – mówi – wziąłem trochę kwasu... i bardzo dziwnie się czuję... Ale mówienie kosztuje tyle wysiłku...

Fale upału twardnieją w powietrzu jak smugi w szklanej dziecinnej kulce, a perspektywę całkiem szlag trafił, ściany gwałtownie zbliżają się, a potem zapadają daleko w głąb, jak w sali biesiadnej na obrazie Tycjana. I ten upał – Sandy musi coś zrobić, żeby się pozbiierać, decyduje się na kąpiel. Zdejmuje ubranie, wchodzi pod prysznic i... dźwięki fletu, Babbs! Dźwięki fletu tryskają z sitka, a upał jest w nim w środku, mógłby spojrzeć w dół i zobaczyć, jak tam płonie, więc spogląda w dół, dwie gołe nogi, jakiś tors wznosi się ku niemu, jakby po raz pierwszy je zauważył. Istnieją osobno, jakby należały do innego człowieka, takie dziwne skręty i kąty przyjmują wśród strumieni fletu, wypukłości i kościstości, jakby nic z tego przedtem nie widział, tego ciała, tego nieznanego. Wpada w zachwyty – tylko że to nie jest nieznanomy, to jego... matka... i nagle znajduje się z powrotem w tym cieple, tyle że to ciało jego matki – a za chwilę jego ojca – stał się swoją matką i swoim ojcem. Nie ma żadnej różnicy pomiędzy Mną i Tobą w strugach fletów na wybrzeżu Florydy. Zakręca wodę, flety ustają. Znowu jest sobą – uciekać przed paniką – nie udało się, *mam cię* – ubiera się i wraca do salonu. Jane wciąż tam siedzi. Porozmawiaj z kimś, na Boga – z Jane! – ale pokój znowu zaczyna się ruszać, perspektywa chwieje się dziwnie, cała jedna strona pokoju podjeżdża wprost do jego twarzy, potem odjeżdża z powrotem tam, gdzie była – Jane! – Jane tuż przed oczami, o mały kroczek, potem z powrotem na kanapie, potem znowu podjeżdża, wszystko miota się w tę i z powrotem w otępiającym upale – Sandy! – ktoś szuka go w domu, Hagen? Kto to? – podobno Babbs chce go do filmu. Prankstersi w czerwono-

białe paski płoną w słońcu. Podobno Babbs ma pomysł na sekwencję filmu. W scenie tej Babbs jest Czarodziejskim Flecistą, poświstuje na flecie, a wszystkie dzieci w czerwono-białe paski gonią za nim w barwnym tanecznym korowodzie. Wręczają Sandy'emu pranksterską koszulę, choć wcale jej nie chce. Jest o dużo za duża. Wisi na nim w luźnych fałdach, jakby wysechł na słońcu. Wychodzi na słońce – koszula błyska mu przed oczami wybuchami promieni słonecznej czerwieni i słonecznej srebrobieli, jakby poruszał się w aurze promiennego gwałtu. Babbs daje mu znak, więc rusza w szalony taniec wzdłuż sznura do suszenia bielizny, a kamera terkoce. Czuje, jak na twarzy pojawia mu się szalona mina, a gałki oczu przewracają się białkami do góry, lekkie błyski czerwieni i srebrobieli wybuchają pod powiekami... i ten oszołomiający upał, tańczy jak wariat w słońcu, wirując oddala się na bok.

Nagle bardzo ważne jest, żeby nikt nie dowiedział się, że wziął Kwas Poza Kontrolą. Jane można zaufać... to nie jest zbyt out-front, ale musi trzymać szpan. Wokół ogrodu maszeruje Chuck Kesey dmąc w tubę, trąbiąc *buup buup a buup buup* bardzo nisko i głośno, podchodzi do Sandy'ego, przygląda mu się, uśmiecha zza ustnika i trąbi *bup bup bup bup* bardzo czule i cicho i – intersubiektywności – *wie i rozumie* – i to miło, bo Chuck to najmiłszy człowiek pod słońcem i Sandy może mu zaufać. Gdyby tylko udało mu się zachować szpan...

W pobliżu autobusu leży puszka, a w niej ćwierć kilo trawki. Sandy rusza na czworakach, zaczyna mu się podobać ta zabawa w słońcu, niechcący przewraca puszkę i trawka rozsypuje się w mialki brązowy piasek. Wszyscy się przejęli, a Hagen schyla się i próbuje oddzielić trawkę od piasku. Sandy na czworakach ryje palcami w ziemi i stara się wykopać trawkę, tyle że kiedy już zaczął ryc, ziemia w miarę rycia robi się coraz bardziej brązowa i ten brąz mu się podoba, taki brązowy, taki głęboki, taki bogaty, aż zapomniał o trawce i kopie głębiej w ziemi, a Hagen mówi:

– Hej, co się z tobą, do cholery, dzieje?

I Sandy wie, że powinien po prostu otwarcie powiedzieć, zaprawiłem się, stary, a ten brąz jest taki fajny, i wtedy byłoby out-front i po wszystkim. Ale nie może się do tego zmusić, nie może się zmusić do takiego otwarcia. Więc robi się jeszcze gorzej.

Podchodzi Kesey z piłką i puszką Day-Glo. Chce, żeby Sandy pomalował ją Day-Glo, a on, Babbs i paru innych zabiorą ją nad wodę o zmierzchu i trochę sobie porzucąją. Sandy zaczyna na nią pryskać, tylko że to jedno i to samo, piłka i ręka Keseya, więc rozpyła farbę po ramieniu Keseya z najwyższym poświęceniem i uwagą, a Kesey na to:

– Hej, co się z tobą, do cholery, dzieje...

I w tym samym momencie, kiedy to mówi, *wie*, a Sandy'emu nagle robi się bardzo nieprzyjemnie.

– Jestem... zaprawiony – mówi Sandy. – Wziąłem trochę kwasu, no i... wziąłem za dużo i bardzo źle ze mną.

– Chcieliśmy zostawić ten kwas na drogę powrotną – powiada Kesey. – Chcieliśmy mieć trochę na Góry Skaliste.

– Nie wziąłem *aż tyle* – próbuje się tłumaczyć, ale z głośnika na autobusie gra płyta Beatlesów, spada mu na głowę jak deszcz igieł – choć marnie ze mną.

Kesey wydaje się zirytowany, ale próbuje go pocieszyć.

– No, cóż... trzymaj się. Posłuchaj muzyki...

– Posłuchać muzyki! – krzyczy Sandy. – Boże! Przecież nie mam innego wyboru!

Kesey mówi bardzo spokojnie:

– Wiem, jak się czujesz, Sandy. Sam to przeżyłem. Po prostu musisz się trzymać – co poprawia Sandy'emu humor: *on jest ze mną*. A wtedy Kesey powiada: – Jeśli jednak wydaje ci się, że będę twoim przewodnikiem w tym tripie, to się grubo mylisz – i idzie sobie.

Sandy'ego dopada paranoja. Odchodzi spod domu i trafia na jakąś zieloną leśną polankę. Babbs i Gretchen Fetchin leżą na trawie w cieniu, po prostu się wylegują, ale nogi Babbsa się unoszą, a ramiona poruszają i nogi Gretch się unoszą, a Sandy widzi Babbsa i Gretch w *stawie*, jak pływają leniwie. *Wie*, że są na ziemi, a jednak są w *wodzie* – więc pyta:

– No, jak tam?

– Mokro! – odpowiada Babbs.

...i... cudownie... to bardzo przyjemne... jakby Babbs dokładnie wiedział, o czym on myśli – *synch* – i podłączył się.

Wszyscy jesteście jednym wielkim mózgiem i wszyscy jednak jesteście w autobusie. I nagle tam, na polance na Florydzie, znowu wspaniale jest być Prankstersem.

Wrócił do domu po zmroku, wszedł do ogrodu, a tam miliony gwiazd na niebie, jak maleńkie neonowe lampki, wyglądają spomiędzy liści na drzewach, drzewa wydają się obsypane milionami maleńkich neonówek, a autobus zamienił się w rzeźbę z neonówek, milionów lampek zebranych w kształt autobusu, jak cała noc neonowego pyłu, a każdy pyłek to neonówka i wszystkie wibrują jak wielki przyjazny kosmos neonowych cykad.

Schodzi do wody, gdzie nad małą zatoczką zebrali się wszyscy Prankstersi, jest ciemno i cicho, wchodzi do wody i idzie, aż woda sięga mu prawie do ust, robi się bardzo bezpiecznie, ciepło, błogo, spogląda na gwiazdy, a potem na most w oddali. Z całego mostu

widać tylko światła, falujące łańcuszki świateł, w górę, w górę, w górę – i właśnie w tym momencie pod pływa do niego Chuck Kesey, uśmiechnięty jak wielka przyjazna ryba. Chuck wie i to jest bardzo przyjemne – a światła mostu wciąż wznoszą się, w górę, w górę, aż łączą się z gwiazdami i most prowadzi wprost do nieba.

8. Trele dla Mas

W Georgii zjechali z szosy na parking koło jeziora. Braciszek John założył kapelusz Robina Hooda, wyśpiewał mnóstwo pieprzonych piosenek i dostał nagrodę NOT, za Najbardziej Obrzydliwy Trip. Babbs przybił laleczkę-bobaska do słupa, pomalował ją Day-Glo, wbił w nią masę gwoździ, podpałił i także dostał NOT. Potem stało się coś, co bardzo ucieszyło Sandy'ego. Przyszło mu do głowy pomalować sobie rękę Day-Glo w różne wzorki, wejść do wody, a potem wyskoczyć z niej z ręką wyciągniętą w stronę kamery filmowej Hagena tak, że na filmie będzie widać ogromną dłoń w Day-Glo zbliżającą się w gorączkowym perspektywicznym skrócie. Wszyscy się zachwycili i zaczęli go naśladować, a Sandy poczuł, że teraz ma swój udział w mocy. Wszyscy malowali sobie jedną rękę Day-Glo i wystawiali wielkie, otwarte, wibrujące dłonie w Day-Glo na pocziwy świat przepływający obok w chorobliwym uśpieniu...

Kesey zarządził następną naradę i bez zbędnego gadania wszyscy poczuli, że wyprawa stawała się jakąś... misją. Kesey powiedział, że chce, aby wszyscy robili swoje i byli Prankstersami, ale także, aby byli absolutnie kompetentni. Tak jak z czerwonymi gumowymi piłeczkami, które rozrzucali, kiedy wysiadali z autobusu. Sprawa z czerwonymi gumowymi piłeczkami polegała na tym, że każdy Pranksters zawsze powinien być gotowy do złapania takiej piłeczki, nawet jeśli nie patrzy w stronę, z której do niego zmierza. Zawsze powinni być tak czujni, zawsze żyć obecną chwilą, zawsze głęboko świadomi przynależności do grupy i zawsze absolutnie kompetentni.

No właśnie, absolutnie kompetentnym Prankstersem okazał się Cassidy. Pędzili wzdłuż wschodniego brzegu na północ, do Nowego Jorku, i pęd był tym, o co tu chodziło. Cassidy nigdy nie był w lepszej formie. Każdy, kto miał względem Cassidy'ego jakiegokolwiek zastrzeżenia, zdążył już o nich zapomnieć. Cassidy był opoką tej wyprawy, osobą, na której można totalnie polegać.

Kiedy wszystkich innych poniewierało zmęczenie, czy inne ciśnienia, na Cassidy'ego wciąż można było liczyć. Tak, jakby nigdy nie sypiał i wcale tego nie potrzebował. Prowadził jak szalenciec, ale zawsze się wyrabiał, uciekając z opresji ostatnią wolną szczeliną, jakby wiedział, że zawsze ją znajdzie, i faktycznie zawsze znajdował. Kiedy autobus się psuł,

Cassady nurkował w jego starożytnych wnętrzościach i naprawiał go. Zmieniał koła, szarpał, dźwigał, targał i rygłował, a jego fantastyczne mięśnie przęły się, prążek po prążku, a jego bazaltowe żyły nabrzmiwały krwią i speedem.

Kiedy przejeżdżali przez Góry Błękitne, wszyscy byli zaprawieni kwasem, Cassady także, i to właśnie wtedy postanowił, że zjedzie w dół najbardziej stromą, najbardziej groźną, najbardziej krętą górską drogą w dziejach świata nie używając hamulców. Autobus widmo zaczął się turlać zboczem Gór Błękitnych w Wirginii. Kesey wlaź na dach, żeby nic z tego nie uрониć. Siedział tam i czuł, jak autobus przechyla się na zakrętach i jak droga faluje i wije się przed nim, jakby ktoś wymachiwał biczem. Czuł także totalną synchronizację z Cassadym. Czuł, że gdyby spanikował, spanikowałby Cassady i panika ogarnęłaby autobus, jak fala energii. Choć wcale nie panikował. To tylko abstrakcyjna myśl. Totalnie wierzył w Cassady'ego, choć było to coś więcej niż tylko wiara. Było tak, jakby Cassady, tam za kierownicą, był w stanie satori, tak totalnie obecny w tej chwili, Teraz, jak tylko obecny może być śmiertelnik, i przez tę chwilę wszyscy dzielili z nim tę obecność.

Do Nowego Jorku dotarli w połowie lipca, jak konie na ostatniej Prostej toru. Wszyscy czuli się świetnie. Paradowali Czterdziestą Drugą Ulicą i w górę Central Park West z hukiem głośników i nawet Nowy Jork musiał się zatrzymać i gapić. Prankstersi wyciągali pomalowane Day-Glo ręce w uroczystym pozdrowieniu, Kesey i Babbs wleźli na dach w czerwono-biało pasiastych koszulkach i trylowali ludzi. To trylowanie stało się regularnym numerem i polegało na tym, że wchodziło się na dach autobusu i *grało* ludzi, jakby byli partyturą, biedny, uśpiony świat na zewnątrz. Jeśli jakiś grubas spoglądał wściekłym wzrokiem, grało się na flecie dźwięki zdychającego słonia. Jeśli jakaś kobieta patrzyła w górę z nerwowym zmieszaniem, grało się nerwowo i histerycznie. Mówiło się im wprost, w oczy, otwarcie, a oni nigdy nie wiedzieli, jak się zachować. A Nowy Jork – cóż to za żałobny lament. Całe miasto pełne było srogich, wykończonych, zirytowanych ludzi przekopujących się przez łajno wzdłuż chodników. Kopacz łajna to gość ze zmarszczonymi brwiami i wzrokiem wbitym w ziemię, brnie naprzód powłócząc nogami po bruku, jakby kopniakami torował sobie drogę wśród końskiego łajna mówiąc, że też właśnie mnie musiało się to przydarzyć. Kopacze łajna ślali im wiele obrażonych spojrzeń i to był prezent od Prankstersów dla kopaczy łajna. Mogli popatrzeć na autobus i mówić, to wszystko przez *tę* holotę, całe to łajno. Zajechali na rozległy podjazd przed „Tavern on the Green”, wielką restauracją w Central Parku, i tam trylowali ludzi. Tym czy innym sposobem wciągali do swego filmu to pokręcone miasto, całe miasto na taśmie w kamerze Hagena.

Chloe Scott ze starej załogi z Perry Lane załatwiła im na Madison Avenue przy Dziewięćdziesiątej Ulicy mieszkanie swoich przyjaciół, którzy wyjechali na lato. Zaparkowali autobus przed domem i nieźle się zabawiali. Cassady rozglądał się za dawnymi koleśkami z czasów *On the Road*. Dwaj z nich to Jack Kerouac i Allen Ginsberg.

Wyprawili prywatkę w mieszkaniu przy Madison i Dziewięćdziesiątej, na której obecni byli Kerouac i Ginsberg. Pojawił się także jakiś facet mówiąc, cześć, jestem Terry Southern, a to moja żona Carol. Był to dość zabawny gość i nawijał bez przerwy nadzwyczaj uprzejmie. Dopiero po tygodniu odkryli, że nie był Terry Southernem, ani nawet nie był do niego podobny. Był to po prostu dziwny numer jakiegoś gościa i zadowoleni byli, że poszli na całość i podłączyli się. Kesey i Kerouac niewiele ze sobą rozmawiali. Tu Kerouac, tam Kesey, a pomiędzy nimi dwoma Cassady, niegdyś Merkury Kerouaca i całego Beat Generation, a teraz Merkury Keseya i całego... czego?... czegoś jeszcze dzikszego i dziwaczniejszego na drodze. Było to jak powitanie i pożegnanie. Kerouac to dawna gwiazda. Kesey to dzika nowa kometa z Zachodu zmierzająca Bóg jeden wie dokąd.

Ukazało się *Sometimes a Great Notion*, a recenzje wahały się *od* bardzo dobrych do bardzo złych. W dzienniku „New York Herald Tribune” Maurice Dolbier napisał: „To sekwoja górująca nad puszcza powieści”. Granville Kicks stwierdził: „W swej pierwszej książce *Lot nad kukułczym gniazdem* Ken Kesey pokazał, że jest przebojowym, nowatorskim i ambitnym pisarzem. Wszystko to w jeszcze wyższym stopniu ujawnia *Sometimes a Great Notion*. To fascynująco opowiedziana fascynująca historia”. John Barkham z „Saturday Review” zauważył: „Pisarz o niezwykłym talencie i wyobraźni... potężna, burzliwa saga...” „Time” uznał, że to wielka powieść – ale przegadana i nieudana. Niektórych krytyków najwyraźniej zdenerwowała leśna, proletariacka, rubaszna sceneria i sztafaż powieści oraz jej niezwykle temat konfrontacji heroicznego łamistrajka i nikczemnych działaczy związkowych. Leslie Fiedler napisał w „Book Week”, dodatku do „Herald Tribune”, ambiwalentną recenzję, choć jednak była to długa recenzja na pierwszej stronie, pióra czołowego krytyka. „Newsweek” stwierdził, że książka „odrzuca obowiązki sztuki i dlatego okazuje się przegadany, przeładowany szczegółami, pseudoepickim, barczystym falsyfikatem życia”. Orville Prescott nazwał ją w „The New York Times” „męczącą literacką katastrofą” i oświadczył: „Ta monstrualna książka jest najbardziej niezdolnie pretensjonalną i najbardziej totalnie wyczerpującą czytelnika powieścią, jaką przeczytałem od wielu lat”. Keseya określił jako osobę „typu bitnikowskiego”, która była pierwowzorem Dana Moriarty’ego w *On the Road* Kerouaca, myśląc go z Cassadym. Prankstersi nieźle się z tego uśmiali. Pokręciło się staruszkowi i... może zezłościła go sprawa z autobusem, ten wielki szturm na Nowy Jork:

powstrzymać tych Hunów...

A zresztą, niech to wszyscy diabli... Kesey rozprawiał już o tym, że pisarstwo to przestarzała i sztuczna forma i pokazywał wszystkim, którzy chcieli patrzeć... autobus. Lokalna prasa, w tym kilka mniejszych, bardziej odjazdowych gazetek, dała się namówić, ale tak naprawdę nikt nie ogarniał biegu wydarzeń, za wyjątkiem tego, że to prywatka. Bo to była prywatka, ani słowa. Ale w lipcu 1964 roku nawet luzacki świątek Nowego Jorku był nie całkiem przygotowany na fenomen bandy ludzi, buszujących po amerykańskim kontynencie w autobusie pokrytym wirującymi mandalami z Day-Glo, wystawiających kamery filmowe i mikrofony na każdą pokręconą rzecz w tym pokręconym kraju, podczas gdy Neal Cassady zawijał autobusem wzdłuż ostrych zakrętów jak Super Hud, a naród Stanów Zjednoczonych płynął poprzez przednią szybę, jakby to była jakaś przeklęta panoramiczna kamera *Cinemascope*, która skręca nerwy wzrokowe jak gumową taśmę w dziecięcym samolociku, więc łknijmy sobie jeszcze trochę speedu i kwasu i zapalmy trochę trawki, jakby to wszystko brało się wprost z własnego automatu z gumą do żucia pranksterskiego boga Cosmo...

Cosmo!

Daalej.

9. Trup Trip

Jeśli był na świecie ktoś, kto mógłby zrozumieć, o co chodziło Prankstersom, to był to Timothy Leary i jego grupa League for Spiritual Discovery, Liga Studiów Duchowych, w Millbrook w stanie Nowy Jork. Leary i jego grupa byli przeganiani to z Harvardu, to z Meksyku, to stąd, to stamtąd, aż wreszcie zadomowili się w wielkiej wiktoriańskiej willi w Millbrook, w prywatnej posiadłości bogatej nowojorskiej rodziny Hitchcocków. Tak więc autobus wyruszył do Millbrook.

Ruszyli spodziewając się superentuzjastycznego przyjęcia. Dziś, z perspektywy czasu, trudno jest zapewne opisać, jak entuzjastycznym je sobie wyobrażali. Prankstersi uważali siebie i grupę Leary'ego za dwa wyjątkowo tajemne stowarzyszenia, jako jedyne na świecie zaangażowane w najbardziej fantastyczny ze wszystkich eksperymentów, jakie przeprowadzono na ludzkiej świadomości. Cała ta sprawa była absolutnie nowa. A teraz te dwa sekretne stowarzyszenia, przenoszące ów przyływ energii z nowego świata, miały się spotkać.

Prankstersi wkroczyli na kręte, soczystozielone, neogotyckie terytorium Millbrook z rozwiniętymi flagami. Autobus w amerykańskich flagach, głośniki grzmiały rock'n'rollem przez krętą, polną drogę, poprzez gąszcz zielonych zarośli, obok stawów i polanek, jak

rozwrzeszczany cyrk na kółkach. Kiedy znaleźli się w polu widzenia wielkiej piernikowatej willi, całej w wieżach, wieżyczkach i fantazyjnie powycinanych gontach, Sandy Lehmann-Haupt jął ciskać z dachu autobusu zielone granaty dymne, wspaniałe huki i pęki eksplodowały wzdłuż autobusu jak epifity, kiedy złowrogo toczył się i trząsał na zakrętach. Przyjechaliśmy! Jesteśmy!

Prankstersi spodziewali się, że Learyici wysypią się z domu jak niedobitki oblężenia Chartumu. Tymczasem nawet te parę figurek z trawnika prysnęło z powrotem do domu. Prankstersi zatrzymali się przed frontem, oto ten wielki dom, rozsiadł się grobowy i gotycki – a oni wyskakują z autobusu, wydzierają się nabuzowani jak cholera. W końcu materializuje się kilka dusz. Peggy Hitchcock, Richard Alpert i Suzan Metzner, żona dr. Ralpha Metznera, jednej z czołowych postaci w grupie Leary’ego. Alpert ogląda autobus z góry na dół, kręci głową i powiada: – Ke-n-n-n Ke-e-e-esej... – jakby chciał przez to powiedzieć, że można się było domyślać, kto jest autorem tego kolegiального wpustu. Są mili, ale trochę tu jakby... chłodno, przyjaciele. Są Maynard Ferguson, słynny trębacz jazzowy, z żoną Flo, im autobus się podoba, ale inni... panuje generalna wibracja... typu: Zajmujemy się tu sprawami dość głębokimi i medytatywnymi, a wy, kalifornijskie cudaki, jesteście jak wół do karety.

W końcu Peggy Hitchcock zaprasza kilkoro z nich do domu, wielkiego nowoczesnego domu zwanego Bungalowem, z dala od piernikowej plebanii. Jednym z zaproszonych jest Babbs. Babbs i Prankstersi nie piszą się na leniwe popołudnie na wsi, wszystko jedno, medytatywne czy nie. Na ścianie w Bungalowie Babbs natknął się na wielką, oprawioną fotografię, która wyglądała jak klasowe zdjęcie z Yale z roku 1903, kupa koleś siedziała warstwami w rzędach, *en face* wpatrzonych w obiektyw.

– To Cassidy! – mówi Babbs.

– To Hassler!

– To Kesey!

– To Sandy!

Odnaleźli co do jednego wszystkich facetów z autobusu, pod tolerancyjnym okiem Learyitów, a Babbs wpadł na pomysł „Gniazda rodu Prankstersów”.

Learyici zamierzali wycieczkę po wspaniałym piernikowym pałacu, ale okazało się, że była to wycieczka Babbsa. Zaczął ją oprowadzać.

– Uwaga, panie i panowie, witamy na pierwszej dorocznej wyprawie szlakiem „Gniazda rodu Prankstersów”. Tu oto, może zechcecie zauważyć – wskazuje na wielki, żałobny portret olejny, czy coś w tym rodzaju, na ścianie – jeden z wielkich antenatów Prankstersów, legendarnej linii kość, krew i szpik, legendarny lew, Sir Edward Frik. Sir

Edward Frik, niezły numer w swoim czasie. Słyszałem, że jak się napalił) mógł zafrikować parę ulic naraz. Sir Edward Frik...

...i tak dalej, Learyici sunęli jak cienie, wyglądali coraz srożej, jakby węszyli katastrofę, a Babbs jakby się coraz bardziej rozkręcał, nawijał o wszystkim, o rodowej klatce schodowej, rodowej boazerii, rodowym kominku, oczy rozjarzały mu się do 300 voltów...

...a wtedy zeszli do jednego z czterech „punktów medytacji”, małych sanktuariów, gdzie Learyici wycofywali się w celu zawodowym, czyli medytacji nad rzeczami wewnętrznymi...

– ...a teraz, na naszym szlaku, Trup Trip... – Prankstersi zaczęli rapować Trup Trip, a Babbs zaczął parodię *Tybetańskiej Księgi Umarłych*. To jeden z najbardziej przez Learyitów poważanych tekstów. – To tu właśnie zabieramy naszych wyznawców, żeby ich prostować, kiedy są na fazie – mówi Babbs – to właśnie Trup Trip. – Co znaczyło, a pieprzyć was w tym Millbrook, za wasz pieprzony mróz.

Inni Prankstersi bawili się przy małym wodospadzie w lesie. Kathy, dziewczyna Zonkera, którą poderwał w Nowym Jorku, siedziała pod wodospadem, a woda przyklejała do niej bikini, stanik i majteczki, czy cokolwiek miała na sobie, przyklejała bardzo ładnie do ciała, a Hagen to filmował. Została Sensuous X, w Wielkim Filmie.

Gdzie jest Leary? Wszyscy czekali na wielkie spotkanie Leary’ego i Keseya.

No cóż, doniesiono, że Leary siedzi na górze, zaangażowany w pewien bardzo poważny eksperyment, trzydniowy trip, i nie można go niepokoić.

Kesey nie był zły, ale bardzo rozczarowany, nawet dotknięty. Niewiarygodne – to było Millbrook, przecież to jedno wielkie nadęte zatwardzenie. Prankstersi jeszcze kilka razy zamierzali się, żeby ruszyć z miejsca sprawy w Millbrook, ale wyglądało tak, jakby każdy tam chował się do jakiegoś kąta. W końcu pojechali sobie. Przedtem Kesey poprosił Alperta, czy nie mógłby dać im trochę kwasu. Odpowiedział, że nie, kwasu by nie mógł, ale mógłby nasion powoju. Nasiona powoju. Sama myśl o błocie z nasion powoju w brzuchu, jak worek nadgniętej fasoli podskakujący, potrząsany, skręcający się i wychylający z autobusu na zakrętach, przekraczała ludzką wytrzymałość. W każdym razie dziękujemy bardzo i *Sayonara* wam wszystkim, Ligo Studiów Duchowych.

10. Wojny senne

Z powrotem na zachód wybrali drogę północną, przez Ohio, Indianę, Illinois, Wisconsin, Minnesotę, Dakotę Południową...

Dakota Południowa! 382 kilometry w Dakocie Południowej...

...po pierwsze, chłodniej przynajmniej... W rzeczy samej droga powrotna była jak psychiczny cadillac, wyśmienita, rajcowna maszynka i wkrótce okazało się, że wszyscy odlatują na grupowej świadomości. Teraz mogli zapomnieć o wszystkich niepowodzeniach i po prostu jechać sobie Daaalej! w autobusie. Zonker, na przykład, zamierzał zostać w Nowym Jorku, ale wracał z nimi. Nie mógł się odłączyć od grupowej świadomości na starcie, od Niewypowiedzianej Sprawy, różności w jedności... Zabrał ze sobą prześliczną, blond, telepatyczną koleżankę Kathy, która od razu poczuła wychylony, senny na jawie, płynny w śmietance rytm autobusu i od razu brawurowo, zaraźliwie i ultra-infra-seksownie została jedną z nich: najbardziej falującym Prankstersem w ich szeregach. Pranksteri nazwali ją Sensuous X, Zmysłową X, promienną koleżanką rezolutnie zmierzającą... Daaaalej... Kesey oparł oko na Zmysłowym horyzoncie – spodobało mu się! W autobusie. Następnie zostaje Zonkerową Zmysłową X – stracił ją! W autobusie. Na początku się wściekł, uznał, że to... przewał! Ale potem, dzięki sentymentowi dla pranksterskich eksperymentów, zrozumiał, że nie ma powodu do pretensji. Nie ma miejsca na złości, kiedy wszystko dzieje się otwarcie, w autobusie.

Zostało już bardzo mało LSD, więc jechali głównie speedem i trawką, szybowali przez Północne Krainy na Speedzie. Jeśli chodzi o Sandy'ego – w Millbrook pewien Główny Guru zabrał Sandy'ego i Jane na bok i wyznał: Dobrze by było, gdybyście Millbrook trip odbyli sami... to znaczy, zapewne, bez tych waszych niesfornych kompanów, czyli poza autobusem, i Sandy znowu się... Zerwał, wrócił do Millbrook, z Jane, i Główny Guru potraktował go DMT, 30-minutowym tripem jak na LSD, ale z niepohamowaną, krasno-szaloną intensywnością – cząstki! Sandy ma obłąkane poczucie, że świat rozpadł mu się pod powiekami na skorupki witrażu. Wszystko jedno, otworzy oczy czy zamknie, świat buchał elektrycznymi drzazgami, a Główny Guru powiadał: – Chciałbym przeniknąć do twojej duszy metafizycznej. Ale Sandy'emu – paranoja! – wydał się malowanym lolem napalonym na Sandy'ego odbytą płycizną, zawziętym miłośnikiem chłopców, a tu świat wybuchał i nie było lekarstwa na to raketowanie, raketowanie, raketowanie, raketowanie... Wrócili do Nowego Jorku i Jane zwolniła się z autobusu, została, ale Sandy czuł, że musi dojechać w autobusie do końca, z resztą Prankstersów, na zachód, raketowanie, raketowanie, raketowanie Daaalej... I teraz na Środkowym Zachodzie było tak, jakby ten trip DMT w Millbrook był ostatnim członem rakiety i cała jego psyche była teraz nastawiona na prędkość i ruch, więc koniecznie trzeba dalej pruć przez Północne Krainy. Pewne wibracje w autobusie pomieszały mu trochę w mózgu i naraz powróciła sensacja z raketującego tripu DMT, więc koniecznie trzeba było przyspieszyć i zasuwać. Ta słodka, pszenicą i mlekiem płynąca

Ameryka żeglujecie na przepięknej, wiejskiej, pofalowanej zieleni, Sandy ogląda jej pogodnie piękno... a potem zdarzyło mu się spojrzeć w wielkie, wsteczne lustro na zewnątrz autobusu i pola stają – w płomieniach::::: falują i warzą się w sterczące, odrażające, oranżowe płomienie::::: Więc odwraca głowę i patrzy do tyłu tak daleko, jak się da i jeszcze trochę, po horyzont, a tam nic, tylko płaskie, słodkie i zielone znowu pogodnie żeglujecie mimo. Patrzy w lustro – i płomienie znowu strzelają, szybowanie; kukurydza i lespedeza brązowieją jak palony kolorowy film, kiedy projektor nagrzejecie się zanadto i staje w płomieniach; kukurydza, pszenica, lespedeza brązowieją w parzącą falę, śmiertelny łukdupek, krwawą brzeczkę, dziki irys, modry sztandar, tłuste drewno, trującą mamkę, monastyczną mandragorę, księżycowe ziarno, ziele passo, ziele tutu, chaotyczną musztardę, wilczomleczipokrzywę, kojoci tytoń, oko kraba wybuchają płomieniem – *morze płomieni* – lustrzane odbicie morza płomieni, Narcyz, Księżyc, bliźniaki, teza i antyteza, niemoc życia, tak jakby na zawołanie musiał znieść wizualne objawienie paleopsychicznej tajemnicy – więc Sandy odrywa wzrok i zmusza się, aby nie patrzeć w stronę wstecznego lustra i znowu jest tylko słońce i zielony brzuch Ameryki żeglujecie mimo...

...pogodnie. Pewne rzeczy działały gładziutko na wszystkich poziomach. Na przykład to, że lepiej umieli prowadzić autobus, nawet jeśli Cassidy musiał wrócić przed czasem samochodem z Hasslerem, który miał się zameldować w Fort Ord. Prankstersi zmieniali się za kierownicą. Zdobywanie jedzenia, pozbywanie się uryny, kręcenie filmu, nagrywanie taśm – radzili sobie jak drużyna. Kiedy tylko rozwiązano kilka drobnych problemów osobistych – otwarcie – autobus przekroczył Missisipi i byli już kawał drogi na zachód – wtedy wszystko zlało się w Świadomość Grupową i zrobiło się bardzo psychicznie...

Intersubiektywności

...Sandy we własnej osobie posuwa autobusem przez srogą ruską Południową Dakotę, gdzie chłodne cienie omiatają zielone i złote łąki. Nie ma już morza płomieni, tylko morze zielone i złote, pogodnie, wypływające ze strumienia samych Północnych Krain – a sen nic nie znaczy, bo nie ma czasu, tylko Teraz, idealne doświadczenie doskonałego *momentum* doskonale odmierzanego stopą na pedale gazu – 382 kilometry, które przejechał, według licznika. Potem idzie na tył autobusu, gdzie na suficie przylepiona jest mapa Stanów i – uwaga! – na mapie jest czerwona kreska, aż wyskakuje, i to są dokładnie te same 382 kilometry, które przejechał, połyskują na suficie autobusu. Rozgląda się, zaczyna pytać, bardzo podekscytowany – i Zmysłowa X mówi, że to ona zrobiła tę kreskę...

– Dlaczego!

Zmysłowa nie wie. Tu nie ma żadnego dlaczego. Po prostu miała kredkę i zrobiła

kreskę...

...ale niczego nie trzeba wyjaśniać. Telepatyczna Kathy! To tylko jedna kreska, jeden prąd płynący przez cały autobus. Grupowa Świadomość i Kosmiczne Sterowanie, w autobusie...

A potem autobus skręcił do Kanady, do Calgary, na calgaryjskie rodeo. Nienasycony Hagen z Chatki Kopulatki zasadził się podczas rodeo na jakąś laskę na chodzie i wrócił do autobusu ze śliczną dziewczynką o ustach tak lubieżnych, jak haust oranżady, w wieku co prawda delikatnym, ale nie bój się, pójdzie na całość, więc jest już w autobusie, ochrzczona Anonymous, Anonimowa, rozebrana po sam stanik i majtki, bo tak woli. Kanadyjscy Królewscy Konni dostali meldunek o zbiegłej, czy porwanej, dziewczynce z Rodeo, więc blokują drogi i zatrzymują autobus...

– Dlaczego nie, prosimy do środka, panowie, rozejrzyjcie się...

...a Hagen miele ich kamerą...

...a Szef Konny odczytuje obszerny rysopis, metr sześćdziesiąt dwa, włosy ciemne, itd. i porównuje z widokiem Zmysłowej X, Gretch i Anonimowej w oknach...

...Anonimowa czyta rysopis ponad ramieniem Konnego, wychylona przez okno i śmieje się radośnie z tej śmiesznej dziewczyny – sama ma już całą buzię pomalowaną w pranksterskie desenie, jak również połowę oranżadowego ciała, więc niezupełnie przypomina tego ładniutkiego, bezradnego podrzutka, jakiego Babcia opisała Konnym, więc Konni machają, żeby sobie jechali, i wypatrują następnych.

Następnie do Boise w Idaho i wszędzie Kesey i Babbs na dachu autobusu, z fletami, bezlitośnie trylują amerykański naród, który tłoczy się wokół autobusu i nawet się w tym powoli wyrabia. To tu, to tam grymas na twarzy, gdy jakaś przestraszona muszla z populacji ujarzmionej trzeszczącymi, czarnymi, błyszczącymi butami orientuje się, na sto procent, że to właśnie *jego* wybrali – oni grają moją piosenkę, rozpaczliwą ścieżkę dźwiękową z mojego filmu – a Kesey i Babbs zbierają punkt za punktem, jak legendarni łucznicy Zen, bo już nie grają do ludzi, ale w nich, w *środku*. Grają w ich środku, o bezlitosny nurcie. I wiele się w tym nurcie wyjaśnia. Są ponad masą, spoglądają w dół z Daalszych wyżyn autobusu i miliard oczu Ameryki miota na nich błyski jak elektryczne jądra, a jednak rajcuje ich ta szerokoekranowa Ameryka i płyną z jej nurtem w łopocie amerykańskich flag na autobusie i pobierają energię, jak ze słonecznego upału, z jej mechanicznego konia i jej neonu i nie ma granic ten Amerykański Trip. Bingo! – o to chodzi! – kłopot z Learym i jego grupą polega na tym, że skręcili *do tyłu*. Ależ oczywiście! Skręcili do tyłu w starożytny, nowojorski intelektualizm, dali nurka z powrotem w romantyczną przeszłość, odpadli od

Amerykańskiego Tripu. Nowojorscy intelektualiści zawsze szukali... innego kraju, ojczyzny umysłu, gdzie jest lepiej i bardziej filozoficznie, czyściej, nie ma gadżetów, jest prościej i rodowodowo: Francja czy Anglia zazwyczaj – och, ta sztuka życia we Francji, chłopcy. Learycy robili to samo, tyle że u nich to... Indie... Wschód... z Wszystkimi tracącymi stęchlizną dyrdymałami z Gautamy Buddy czy z Rigwedy, a Leary apeluje o uprawianie trawy-niewidy na ulicach Nowego Jorku i rozporządza, że każdy powinien mieć takie miejsce zamieszkania o prostym i czystym wnętrzu, gdzie wszyscy trwają w kucki wśród słomianych mat i zasłon w paislejowski rzucik, a sam Gautama Budda z roku 485 przed Chrystusem mógłby wpaść i od razu poczuć się jak w domu. Przede wszystkim bądź cicho, na miły Bóg, nie hałasuj, szepcz, jęcz, mamrocz, medytuj i, na litość boską, żadnych gadżetów – żadnych taśm, wideo kaset, telewizji, filmów, elektrycznych gitar basowych Hagstroma, kamer pogłosowych, amerykańskich flag, żadnych neonów, buicków electr, szalonych stacji benzynowych o twarzach z księżycowego kamienia i żadnych nawiedzonych autobusów, na Boga, szybujących, bieg-luz-bieg bieg-luz-bieg, ku najdalszemu Zachodniemu skrajowi...

W Boise przebili się przez pogrzeb czy wesele, czy coś takiego, tylu wystrojonych ludzi w słońcu, gamoniowato wpatrzonych w Prankstersów zgromadzonych przy jakiejś fontannie i wygłupiających się w słonecznych plamach, a jakiś chłopak – zatrylowali jego piosenkę, spodobała mu się – biegnie do autobusu, a oni wgramolili się i odjeżdżają, tuż przed nim, biegnie za autobusem, a Kesey zwalnia, a potem ucieka tuż przed nim, jakieś sześć czy osiem przecnic, a potem na dobre dodają gazu, ale jeszcze go widzą, jak rozplywa się w tle, nóżki wciąż biegną, jak zapowiedź...

...alegoria życia!...

...tych mas, które wkrótce... same... zechcą dostać się do autobusu...

Z powrotem u Keseya w La Hondzie,
Po uszy w mrocznym, neonowym pyle
Bardziej zestrojeni
Niż kiedykolwiek przedtem
Po uszy w Niewypowiedzianej Sprawie
Prankstersi, teraz ustawieni rzędem
Wzdłuż granicy stromej:
Przed autobusem i
Po autobusie,
W autobusie czy

Poza autobusem,
Stromy dyluwialny podział:
Czy byłeś na tej Epokowej Przejazdźce
W jedną stronę bilet do nirwany chwilek
Tej eks-sekwojowa *cathedra* Niewypowiedzianej Sprawy
Najspokojniejsze podłączenie,
Błogie bachanalia
Dla wszystkich...

...z wyjątkiem Sandy'ego. Dla Sandy'ego autobus się zatrzymał, a on nie. Tak, jakby autobus walnął w mur, a on wyleciał przez okno i trwał w zawieszony, nieskończonej chwili, zanim *on* walnie... w co? Nie wiedział. Wiedział tylko, że będzie kraksa, o ile Prankstersi nagle nie odzyskają *momentum* i nie zrównają się z nim tak, jak Flash we wszechobecnych u Prankstersów komiksach chwytając pociski w locie wstrzeliwszy się dokładnie w ich prędkość, wyciągając rękę i wygarniając je jak jajka...

Sandy krążył z rozszerzonymi oczami, zdenerwowany, w nieustannym wirze zajęć, których zrazu nikt nie rozumiał. Autobus parkował przed domem. W środku Kesey coś robi, a Sandy, po drugiej stronie drzwi, nagle wszczyna z nim dyskusję nad jakąś ezoteryczną kwestią dotyczącą systemu dźwiękowego. Te nagrania Keseya, powiada, są prostackie. Na przykład Kesey szeleści celofanem przed mikrofonem, żeby nagrać „ogień” itp., itd. Tyle pretensji. Wreszcie Kesey rozkłada ramiona na ścianie autobusu w geście Chrystusa na Krzyżu – czyli robi dokładnie to, co zwykł był robić jeden z braci Sandy'ego, kiedy Sandy zaczynał narzekać, a to doprowadza go do szału – *Pieprzę cię!* – wrzeszczy i pokazuje Keseyowi sterczący środkowy palec. Kesey wyskakuje z autobusu i rozpina Sandy'ego na bocznej ścianie – i już po wszystkim, natychmiast. Sandy'emu zaparło dech w piersi. Jeszcze nie widział, aby Kesey użył przeciwko komuś swej ogromnej siły, a to zapiera dech w piersiach, sama taka myśl. Ale już jest po wszystkim. Kesey jest już znowu spokojny i zaprasza Sandy'ego do chatki z tyłu domu, nad strumykiem. Chce z nim porozmawiać.

No i idą tam i Kesey rozmawia z Sandy'm o jego postawie. Sandy wciąż jest *Zerwał*, wciąż wysiada z autobusu, dlaczego? – Ty tego nie rozumiesz – mówi Sandy. – Nie rozumiesz mego zrywania się. To jest jak górską wspinaczkę. Czy wolałbyś się wspinać na górę, czy żeby cię tam opuścili z helikoptera? Ta ciągła wspinaczka, to ciągle wsiadanie, *rwanie się od nowa*, wzbogaca doświadczenie i tak dalej. – Kesey kiwa głową w oderwany nieco sposób i mówi: – O.K., Sandy...

A Sandy poczuł paranoję... co oni *naprawdę* o nim myślą? Co knują? Jaki znowu zdradziecki numer? Nie może wybić sobie tego z głowy, że oni kombinują wpust na wielką skalę, jego kosztem. Monstrualny Numer... Nie może spać, mózg bez przerwy pomyka z szaloną prędkością autobusu na szosie, jak na wiecznym speedowym tripie.

Potem Kesey wynalazł grę w „Moc”. Wziął tarczę do strzałek, pokrył ją płytą paździerzową, w środku umieścił obrotową wskazówkę, podzielił tarczę promieniami na wycinki koła, po jednym dla każdego Prankstersa. Każdy wycinek opatrzony był pranksterskim imieniem, Nieustraszony Podróżnik u Babbsa, Awaria u Hagena, Granica Prędkości u Cassady’ego, Kombinator u Rona Bevirta, Gretchen Fetchin u Pauli – po prawdzie jej dawne imię i persona całkiem odeszły w zapomnienie i była teraz nową osobą znaną jako Gretchen Fetchin albo Gretch. Sandy spojrzął i na swoim kawałku znalazł „ze-RWAŁ”, z akcentem na Rwał, dokładnie tak, jak wyjaśnił Keseyowi wtedy w chatce. Ogarnęła go ulga i wdzięczność. Kesey wiedział! Kesey rozumiał! Był z powrotem w autobusie.

Wszyscy mieli wypisać jakieś „zadanie” na skrawkach papieru, które zebrano razem na jedną kupę. W ruch szła wskazówka i jeśli trafiło na ciebie, sięgałeś do kupy i wyciągałeś „zadanie”, które potem musiałeś wykonać, a pozostali przyznawali ci punkty stosownie do tego, jak wywiązałeś się z zadania, w skali od jednego do pięciu, pięć jako najlepsza ocena. Wiele z zadań było zakręcone, jak na przykład „włóż na siebie jakąś część cudzego ubrania”. Była tablica wyników i każdy przesuwiał swój wskaźnik w górę skali, w miarę jak zdobywał punkty. Wskaźnik każdy zrobił sobie sam. Sandy zrobił swój z Metalorzeźby. Rozciągnął go do pajęczych rozmiarów, potem nagle ścisnął we wstrętny zwitek, bo właśnie tak się poczuł. Więc Page wziął to i przerobił na zgrabną, małą formę, podobną do mostu i wszyscy uznali, że tak to właśnie powinno być zrobione – a Sandy poczuł powracającą paranoję...

Nagrodą dla zwycięzcy była Moc. Trzydzieści minut mocy absolutnej, kiedy każde twoje słowo było prawem i wszyscy musieli robić, co im kazałeś. Bardzo alegoryczna gra. W końcu Babbs wygrał i kazał wszystkim przynieść do dużego pokoju wszystko, co mieli. Rozeszli się, wyciągali cały swój fajans, z sypialni, namiotów, przyczep kempingowych, śpiworów, autobusu i znosili go na lachmaniarską górę ubrań, butów, zabawek, puszek farby, szczoteczek do zębów, książek, pudełek, pigulek, schowanek, listów, śmieci, złomu. Usypana pośrodku pokoju, cudowna Szczurza góra gnoju. – A teraz – powiedział Babbs – dokonamy redystrybucji dóbr. – I wyciągał stamtąd jakąś sztukę i pytał: – Kto chce jedną szczoteczkę do zębów Gretchen Fetchin z roku 1964? – ktoś podnosił rękę i rzecz trafiała do niego, a ktoś inny starannie wszystko to katalogował na kancelaryjnym papierze.

Potem wskazówka wskazała na Sandy'ego. Losuje zadanie na pasku papieru. Zapisany pismem Gretch oznajmia: „Idź na dwór i rozpal ognisko”. Czyta na głos i nadal się weń wpatruje. Wszyscy patrzą na niego, czekają, aż wstanie, wyjdzie na dwór i ułoży ognisko. Czuje te spojrzenia i naraz już wie... to bardzo sprytna intryga, żeby pozbyć się go z domu, wysłać go na dwór w mrok i wtedy wyciąć mu ten Monstrualny Numer...

Więc wszystko im wygarnia. *Nie zrobię tego. Nie widzicie, jak to jest? Robi się strasznie – nie mogę spać i wszystko jest tak jakby:*

Przykrywa palcami jednej dłoni palce drugiej układając je w kratę i wygląda przez nią, aby pokazać, jak wszystko ciągle się dzieli na kawałki, całe pole widzenia, cały czas od tego tripu DMT w Millbrook i to morze płomieni, i ta paranoja, nieustająca paranoja, wygarnia im to wszystko, wszystkie swoje kompleksy, co rakietają go ku... czemu?

Nagle w domu z bali robi się bardzo cicho. Wzrok wszystkich Prankstersów zwrócony jest na niego, skupieni, obdarzają go totalną... Uwagą. Przeszedł długą drogę, ale się otworzył. Szaleńczy ruch ustaje i nagle odczuwa::::: pokój.

– Ile punktów mu damy? – pyta Kesey.

I wszyscy wokoło odpowiadają:

– Pięć! – Pięć! – Pięć! – Pięć! – Pięć!...

– Trzy – powiada Gretch, która przecież wypisała to zadanie, a Sandy'emu drobny mikrogram paranoi wpełza z powrotem jak robaczek...

Prankstersi uświadamiają sobie teraz, jak marnie jest z Sandym. Kesey miał takie porzekadło: „Karmić głodną pszczołę”. Więc Prankstersi biorą się za rozpylanie... Uwagi na Sandy'ego, aby poczuł się w samym spoko-centrum całej sprawy. Ale on wciąż opacznie rozumie ich gesty. Dlaczego się tak gapią? Jego bezsenność staje się coraz cięższa. Pewnej nocy wybrał się drogą do osiedla mieszkalnego Redwood Terrace, spróbować pożyczyć trochę sominexu. Miał po prostu zamiar w środku nocy podejść do jakichś drzwi, zastukać i poprosić o trochę sominexu. Jakoś pozostało mu stare wyobrażenie nowojorskiej kamienicy, gdzie przechodzi się na drugą stronę korytarza i pożyczka kubek cukru, choćby i od nieznajomych ludzi. Więc zaczyna stukać do drzwi i prosić o sominex. Oczywiście wszyscy albo wpadają w panikę i ryglują drzwi, albo każą mu się odpieprzyć. Mieszkańcy Redwood Terrace sami mieli lekką paranoję z powodu świrów, tam u Keseya.

Za dnia wcale nie było lepiej. W miarę jak pogarszała się bezsenność, widział wszystko jeszcze bardziej pokawałkowane i w końcu... spogląda na odjazdowo pomalowany autobus i ten koszmarny chaos wirujących kół zmienia się w... tunel! Tunel, przez który

przejechali, długi tunel, w którym dopadła go gwałtowna klaustrofobia i paranoiczna pewność, że już nigdy nie wyłonią się z tego tunelu, a teraz ten tunel pojawia się tu, na boku autobusu, ze wszystkimi przeraźliwymi detalami. Odwraca się... oto cicha altanka w blasku światła, sekwojowa katedra, pogodny spokój... powoli zwraca się do autobusu:..... TO WCIĄŻ TU JEST! TUNEL!..... AUTOBUS!..... TERAZ JAKBY POMALOWAŁ GO JAKIŚ MISTRZ, JAKIŚ TYCJAN:..... JAKIŚ HIERONIMUS BOSCH:..... JAKIŚ MATTHIAS GRUNEWALD:..... W NAJBARDZIEJ PRZERAŻAJĄCE SCENY Z MOJEGO ŻYCIA.

Zbawienie? Kesey ogłasza, że z powrotem wsiadają do autobusu – znowu w drogę – i jadą do Esalen Institute w Big Sur, cztery godziny jazdy na południe. Esalen było tak zwaną eksperymentalną szkołą życia, czymś w rodzaju kurortu bez wygod usadowionym na klifie 300 metrów powyżej Pacyfiku. Bardzo dramatyczny kawałek Natury w gęście dziewiętnastowiecznych pejzaży morskich. W dole trzaskają fale, w górze musuje powietrze i widać pół świata, góry, ocean, niebo, przedstawienie, jednym słowem, z którego słynie Big Sur. Był tam duży dom, basen, pasmo murawy aż po krawędź klifu i kilka gorących źródeł siarkowych niecałe sto metrów dalej, także na skraju klifu, w których można się kąpać i wyglądać na wieczny ocean. Z tyłu budynku stały rzędy niewielkich chat i kilka mieszkalnych przyczep. Czekwały na klientelę. Klientela zaś..- mówiąc wprost Esalen było miejscem, gdzie latem przyjeżdżali wykształceni dorośli z klasy średniej, żeby spróbować wyrwać się z Koleiny i trochę przewietrzyć zadek.

Głównym teoretykiem był w Esalen pewien psycholog typu Gestalt nazwiskiem Fritz Perls. Perls był wielkim mężczyzną z kocią bródką, po siedemdziesiątce, chodził w kombinezonie z błękitnego frotte. Otaczała go aura bardzo uczonego, godnego i władczego błękitnego niedźwiedzia. Perls był ojcem Now Trip, Tripu Teraz. Jego teoria twierdziła, że większość ludzi żyje w świecie fantazji. Żyje całkowicie w przeszłości albo w kategoriach tego, czego spodziewają się po przyszłości, a co generalnie biorąc sprowadza się do lęku. Perls starał się nauczyć swych pacjentów, uczniów i klientów Esalen, jak dla odmiany żyć Teraz, w czasie terażniejszym, jak nabrać świadomości swego ciała i wszystkich informacji, których dostarczają zmysły, jak odsunąć lęk i zawładnąć chwilą. Przechodzili przez „maratony spotkań”, w których grupa pozostawała razem przez kilka dni i wydobywała wszystko na światło dzienne, koniec z chowaniem się za obyczaj, mówimy to, co naprawdę czujemy – wrzaski, oskarżenia, uściski, łyzy – czysta rozkosz, rzecz jasna: – Czy chcesz wiedzieć, co naprawdę o tobie myślę... Jednym z ćwiczeń w Esalen był Trip Teraz, w którym

katalogowało się informacje w danej chwili dostarczane przez zmysły. Wygłaszało się serię szybkich zdań rozpoczynających się od słowa „Teraz”: – Teraz czuję, jak wiatr chłodzi pot na moim czole... – Teraz słyszę, jak podjazdem zbliża się autobus na niskim biegu... – Teraz słyszę płytę Beatlesów z głośnika...

Autobus? Płyta Beatlesów? To, proszę Teraz Triperów, przyjechali Prankstersi. Kesey został zaproszony do Esalen, aby poprowadzić seminarium zatytułowane „Trip z Kenem Keseyem”. Nikt chyba jednak nie liczył na cały ansambl Prankstersów w pełnej gotowości bojowej. Klienci Esalen wiele przeszli przez ostatnie tygodnie i wielu zaczynało wyglądać ponad krawędź Koleiny. I co widzą... bywa groźnie w tej Krainie Wolności. Prankstersi byli mili, ale świecili w ciemności. Świrowali jak najęci w sielskich cieplicach Hot Springs. Bardzo niewielu klientów zapisało się na trip z Keseyem, choćby tylko w formie seminarium.

Sandy, tymczasem, huśtał się dziko od poczucia paranoi, do poczucia boskiej... Mocy. A trip to zawsze autobus. Najpierw pomalowany był w sceny w stylu Hieronimusa Boscha z jego najtajniejszego Piekła. Za chwilę – to on rządzi w autobusie. Pewnej nocy odkrył, że potrafi odbarwić autobus samym spojrzeniem. Ma moce psychokinetyczne. Jego wzrok niesie moc życia i śmierci. Fale trzaskają pod esaleriskim klifem – a on patrzy na autobus i...*odbarwia go*. Odziera cały jeden bok aż do oryginalnej, słonecznej żółci szkolnych autobusów. Znikła cała pranksterska skorupa. Umysłowa sztuczka? Odwraca wzrok w dal nad Pacyfik i na gwiazdy – potem nagle skręca w stronę autobusu::::: NADAL NIE POMALOWANY::::: NADAL DZIEWICZO SZKOLNO-AUTOBUSOWO ŻÓŁTY.

Ma tę moc – ale czy to wystarczy do obrony przed Monstrualnym Numerem? Prankstersi jadą autobusem do Monterey, do kina na *Noc iguany*. Usiadł z tyłu, żeby ich mieć na oku. Gdyby któryś próbował jakichś sztuczek, jednym spojrzeniem może go... Wchodzą do kina, zostaje z tyłu, potem siada kilka rzędów za nimi. Żeby mieć oko na... Na ekranie kreskówka *Tom i Jerry*. Myszka Jerry wykiwała kota Toma, a kot przelatuje ponad skrajem klifu i spada, rozplaszczony w eksplozji gałek oczu, tysięcy oczu. Wszyscy się śmieją, ale Sandy’ego mdli od tej niewiarygodnej brutalności. Zrywa się, wybiega z kina i błądzi po Monterey przez półtorej godziny, czy coś koło tego. Potem wlecze się z powrotem do kina. Przed kinem stoi Hagen.

– Gdzieś ty, do cholery, był? Kesey wszędzie cię szuka.

Sandy biegnie do kina. *Kesey!* Podnosi wzrok na ekran – a tam myszka Jerry wykiwała kota, Toma, a kot przelatuje ponad skrajem klifu i spada, rozplaszczony w eksplozji gałek oczu, tysięcy oczu... Sandy znowu ucieka. Tym razem Kesey czeka na zewnątrz. Zwabia Sandy’ego do autobusu i ruszają z powrotem do Esalen.

Z powrotem w Esalen, w swoim domku, Sandy zapada w... WOJNY SENNE! Jego moc przeciwko Keseyowi, tak jak Dr Strange przeciwko Aggamonowi i jeden zabije drugiego w Wojnach Sennych... Sięga po najwyższą energię psychiczną... otwiera oczy i dostrzega w domku jakąś maszynę – grzejnik? *Wygląda* jak grzejnik, ale to śmiertelny przyrząd Keseya, a w tej chwili termostat włącza maszynę i zapala się mała czerwona lampka – laserowa splota Keseya – triumfuje, *zabiła* go i Sandy spada z łóżka, martwy, leży na podłodze i porzuca swe ciało dla projekcji astralnej i żeglują z esaleńskiego klifu na jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt mil, wzbija się ponad Pacyfikiem, a wiatr dyszy powiewami, fuffffffffhfff, fuffffffffhfff, fuffffffffhfff i to on jest tym wiatrem, nawet nie kompaktowym duchem latającym, ale całkowicie rozprzestrzenionym istnieniem, rozpuszczonym w górnych eterach i widzi cały oświetlony księżycem ocean i Esalen tam z tyłu, w oddali. Wreszcie wraca do siebie i leży na podłodze domu ciężko dysząc fuffffffffhfff, fuffffffffhfff, fuffffffffhfff.

– San-dy! San-dy! Sand-dy! – światło dnia, są na zewnątrz domku, wołają go, Prankstersi... co za Monstrualny Numer?...

W rzeczywistości Kesey wydał instrukcje, aby udzielić Sandy'emu totalnej Uwagi, starać się go sprowadzić, umieścić go w centrum wszystkiego. Sandy wychodzi, widzi, jak się gapią, ale bierze to za spojrzenia spođe łba i za agresję... Tak czy owak – do autobusu i jadą w słońcu przez Big Sur. Kesey i Prankstersi przygotowali długi dokument pt. *Sandy*, dwanaście stron tekstu i rysunków, bardzo fantazyjny, jak psychiczny protokół, co wydobywa na światło dzienne wszystkie obawy Sandy'ego i rozprasza je z koleżeńską serdecznością – i to zaczyna działać. A potem, kiedy toczą się szosą wzdłuż klifu, Kesey bierze Sandy'ego na dach autobusu na Trip Teraz. Siadają w słońcu i strumieniach wiatru, a Kesey tripuje na wzorki na masce autobusu: – Teraz widzę zieloną węzowatą formę przechodzącą w czerwień, a jej krawędzie rozpuszczają się w... – i tak dalej, aż Sandy załapuje się na Trip Teraz Keseya – Kesey! – Totalna Uwaga! – i chyba w końcu wraca, znowu czuje się *w autobusie*. I wtedy postanawia, że teraz on zabierze Keseya na Trip Teraz, żeglując wzdłuż nadbrzeżnej szosy. – Teraz – mówi Sandy – widzę ocean jak taflę lodu nachyloną ku brzegowi... Teraz widzę trzy słońca... – naprawdę! wibracja autobusu wtrąciła go w reakcję po DMT. Z powodu wibracji i wstrząsów autobusu widzi potrójnie, ale zamiast skupić się na jednym ze słońc, nadal ogląda trzy. Kesey podnosi wzrok w niebo i powiada: – Taaaa, taaa – rajcuje się, od czego Sandy'emu robi się przyjemnie...

Ale potem noc. – San-dy! San-dy! Znowu próbują go wywabić z chatki. Po – co? Cóż, Monstrualny Numer, ma się rozumieć, ale... on ma Moc. Oni tam na dworze – mają świece –

znaczy Prankstersi, i ruszają w marsz przy blasku świec w dół rozpadliną, która przecina klif aż do wody. Po – co? Cóż, ten Monst... Ale wtedy właśnie zbliża się żona Keseya, Faye, bardzo cicha, uśmiechnięta i kochana, podaje

świecę i zapala ją, a Faye jest jak kompletna prawość i miłość, więc Sandy rusza, idzie za nimi w dół ścieżką, trzymając świece, a fale huczą z dna parowu. Dlaczego chcieli, żeby dołączył do tej nawiedzanej procesji? Dlaczego, dla najbardziej Monstrualnego Numeru – żeby go *zabić* nad wodą, ale to *on* ma moc – świeca przygasa na wietrze, a potem wraca do siebie, do pełnego płomienia – ale to nie wiatr, to Sandy – to on potrafi ją skurczyć i ściemnić samym tylko spojrzeniem, psychokineza, potem znowu rozpalić, samym umysłem, może całkowicie kontrolować płomień, a on jego, bo są jednym i tym samym, *Boże*, i wlecze się w dół parowu i robi się coraz mocarniejszy – ale zatrzymała się przed nim dziewczyna imieniem Lola. Zbliżyła się, a ona tak wywija swoją świecą, że wosk kapie jej na palce, kręci nią, że wosk kapie jej na palce, szczerzy się w uśmiechu, ale jej ręka, cała w wosku, robi się biała i martwa, szkielet, a jej uśmiech, oświetlony od spodu świecą, robi się woskowy i wilkołaczy – TU ZACZYNA SIĘ ŚMIERĆ – i Sandy zrywa się jak z procy pod górę parowem...

...nie wiedząc, że cała ta procesja miała być ceremonią miłości, tripem miłości, dla niego, żeby go sprowadzić na ziemię, uroczystością na cześć Sandy'ego przy świecach nad wodą...

...ale jego od dawna już nie ma, biegnie teraz klifem w stronę Monterey, biegnie, aż poddadzą się płuca, potem idzie, potem podbiega do świateł w domach na klifie ponad wodą, lotnisko w Big Sur, wali w drzwi, wykrzykuje coś bez składu o skakaniu z klifów, aż zjawia się policja. Mamy go! Co jest głupim żartem, jako że kiedy tylko mu się spodoba, może ich unicestwić psychokinetycznym promieniem...

Wsadzają go na tylne siedzenie, mkną drogą i w stronę Monterey, kręcą się na zakrętach, coraz szybciej...

– Nie pędźcie tak! – mówi Sandy.

– Że co?

– Nie pędźcie tak!

– Słuchaj no – mówi glina. – Zwolnię, jeśli przestaniesz wpatrywać mi się w tył głowy.

– Achhhhhhhhhh.

– Wyjrzyj przez okno, czy co. Podziwiał krajobraz. Nie gap się na tył mojej głowy.

Więc odrywa wzrok od dekla gliniarskiej czaszki. Dwa wgłębienia. Za chwilę...

Policja z Monterey trzymała go w areszcie, dopóki z Nowego Jorku nie przyjechał jego brat, Chris. Chris wpadł w areszcie na Keseya.

– Musimy go stąd wyciągnąć – powiada Kesey.

– Co to ma znaczyć?

– Musimy go zabrać z powrotem tam, gdzie jego miejsce, do Prankstersów.

Chris zabrał go z powrotem do Nowego Jorku na leczenie. Sporo czasu minęło, zanim Chris dowiedział się, o czym Kesey, do cholery, gadał.

11. Niewypowiedziana Sprawa

Jak to powiedzieć!... obecna fantazja... Nie słyszałem, aby jakiś Pranksters użył słowa *religijne* dla opisanego mentalnej atmosfery, którą dzielili po wyprawie autobusem i dziwnych dniach w Big Sur. W gruncie rzeczy unikali nazywania tego słowami. A jednak...

Wsiedli do autobusu i ruszyli z powrotem do La Hondy. Było stare, dobre lato w Big Sur, wysoko w lodowatym blasku słońca i nikt nie musiał tego mówić: wszyscy byli po uszy w jakimś *dziwnym* stanie, jak woleli to nazywać, aby odczarować... Niewypowiedzianą Sprawę. Robiło się bardzo *psychicznie*. Tak jak wtedy, kiedy Sandy przejechał 382 kilometry w Dakocie Południowej, a potem spojrzął na mapę na suficie autobusu i dokładnie te same 382 kilometry były zaznaczone na czerwono... Sandy::::: tam, w krainie ElektroEnceFalo, Białe Fartuchy i za milion lat nie pojmą, skąd właśnie wraca... czyli stamtąd, gdzie teraz byli oni wszyscy, co zwano także Miastem Na Skraju... z powrotem w chałupie Keseya w La Hondzie, wszyscy porozsiadali się wieczornie w dużym pokoju, na dworze robi się chłodno, więc Page Browning myśli sobie: *Chyba zamknę to okno* – a dokładnie w tej samej chwili inny Pranksters podnosi się i zamyka je zamiast niego, uśmieeeeecha się i nic nie mówi... Niewypowiedziana Sprawa – takie rzeczy zdarzają się raz po raz, cały czas. Wybrali się na wycieczkę do High Sierras, Cassidy skręcił z głównej szosy pod górę połą dróżką – zobaczymy, dokąd prowadzi. Droga była taka stara i opuszczona, że nie miała już połowy jezdni, a oni pną się i kręcą donikąd, jest przyjemne powietrze i równo na grzbiecie wzniesienia autobus bryknął, zakrzuszył się i zatrzymał. Po prostu stanął. Okazuje się, że skończyło się paliwo, bardzo elegancko, ponieważ właśnie zapada zmrok, a oni utknęli mniej więcej nigdzie, pięćdziesiąt, a może siedemdziesiąt kilometrów od najbliższej stacji benzynowej. Nic tylko wbić się do autobusu i iść spać... hmmmmmm... skorpiony w butach, czerwone kapcie do spania w TWA w klasie Royal Ambassador w śpiworze na podłodze

marmurowej willi na pustyni. ŚWIT

Wszystkich budzą wyraźne odgłosy ciężkiej jazdy, zmiany biegów, zgrzyt i rżenie pod górę o jedno wzniesienie niżej i oto ponad grzbietem wzgórza wylania się

CHEVRON

cysterna z benzyną, potwór nie tankowiec, który zatrzymuje się po prostu, jakby wszyscy się już skądś znali, leje im pełen bak i bez słowa rusza przed siebie w Sierrę ku absolutnie

NICZEMU

Babbs – *Kosmiczne sterowanie, co Hassler!*

Kesey – *Dokąd ona zmierza? Nie sądzę, aby były tam już przedtem jakieś istoty ludzkie. Podlegamy sterowaniu kosmicznemu i to już od jakiegoś czasu; za każdym razem to się wzmacnia, jest coraz większe i coraz silniejsze. A wtedy uświadamia się sobie... Cosmo i odkrywa, że to ono dowodzi...*

Niewypowiedziana Sprawa; rola Keseya i ogólny kierunek, jaki przyjęli Prankstersi – każdy z nich był tego świadom, ale jak mówię, nikt nie nazywał tego słowami. O to chodziło, żeby nie nazywać tego słowami. Samo w sobie było to jedną z niewypowiedzianych reguł. *Jeśli nazwiesz coś tym, nie będzie mogło być tamtym...* Kesey bardzo się starał, aby jego rola pozostawała nie sprecyzowana. To nie on miał autorytet, to kto inny: „Babbs powiada...” „Page powiada...” Nie był przywódcą, był „nie-nawigatorem”. A także nie-nauczycielem. „Zdajesz sobie sprawę, że jesteś tu za nauczyciela?” Kesey mówi tylko: „Przesada, przesada”, i odchodzi... Formalne nauki Keseya zawsze były tajne, metaforyczne; przypowieści, aforyzmy: „Być w autobusie albo poza autobusem”. „Karmić głodną pszczołę”, „Nic nie jest wieczne”, „Patrz uszami, słuchaj oczami”, „Przyłóż się tam, gdzie będzie z ciebie największy Pożytek”, „Co powiedziało lusterko? To tylko ludzie”. Pod tym względem przypominało to buddyzm Zen z jego nieodgadnionymi koanami, w których nowicjusz pyta, „Jaki jest sekret Zen?”, a Hui-neng, mistrz, odpowiada: „Jak wyglądała twoja twarz, zanim począłeś się ze swych rodziców?” Nazwać słowami, zdefiniować, to ograniczyć. Jeśli coś jest *tym*, nie może być *tamtym*... A jednak było! Każdy miał swoją własną sprawę, którą się zajmował, ale wszystko mieściło się we wspólnej sprawie, „Niewypowiedzianej Sprawie”, powiedział Page Browning i nikt niczego więcej nie spodziewał się po słowach.

Nie było tam żadnej teologii, żadnej filozofii, przynajmniej jeśli chodzi o – *izmy*. Nie było celu w postaci wyższego ładu moralnego na tym świecie, ani wyższego ładu społecznego, ani słowa o zbawieniu, a już na pewno o nieśmiertelności, czy życiu potem. Potem! To dopiero żart. Jeszcze nigdy żadna grupa nie poświęciła się tak totalnie sprawie tu i

teraz, jak Prankstersi. Pamiętam, jakie mi się to zdało zagadkowe. Było tam coś tak... *religijnego* w powietrzu, w samej atmosferze pranksterskiego żywota, a jednak przeciekało między palcami. Z pozoru to po prostu ludzie, których łączy niezwykle stan psychiczny, doświadczenie LSD...

No właśnie! *Doświadczenie* – to było to słowo!, i wszystko zaczynało pasować. W istocie żadna z wielkich religii, chrześcijaństwo, buddyzm, islam, dżinizm, judaizm, zaratustryzm, hinduizm, żadna z nich nie zaczęła się od zrębów filozofii, czy nawet od jakiejś centralnej idei. Wszystkie zaczynały się od zapierającego dech w piersiach *nowego doświadczenia*, które Joachim Wach nazwał „doświadczeniem bóstwa”, a Max Weber, „boskim nawiedzeniem,” poczucia, że jest się naczyniem boskim, naczyniem Wszystkojednego. Pamiętam, że pierwszy raz czytając o tych sprawach nie rozumiałem właściwie, o co im chodziło. Po prostu trzymałem ich za solidne niemieckie słowo. Jezus, Mani, Zaratustra, Gautama Budda – na samym początku przywódcy nie oferowali kręgowi swych zwolenników lepszemu statusu potem, czy wyższemu łańdzu społecznego, ani żadnej nagrody innej niż pewien „psychologiczny stan tu i teraz”, jak określa to Weber. Nie pojmowałem, obawiam się, że miał na myśli faktyczne doświadczenie mentalne, przez które oni wszyscy przechodzili, krótko mówiąc, ekstazę. Według świętych pism i legend w większości przypadków zdarzało się to w przebłyskach. Mahomet pościł i medytował w górzystej okolicy Mekki i – *błysk!* – ekstaza, rozległe objawienie i początek islamu. Zaratustra wiózł drogą wodę haoma i – *błysk!* – wpada na płomienne wcielenie Archaniola Vohu Mano, wysłannika Ahury Mazdy, i zaczyna się zaratustryzm. Saul z Tarsasu szedł drogą do Damaszku i – *błysk!* – słyszy głos Pana i staje się chrześcijaninem. Oraz Bóg jeden wie, ile drobniejszych postaci przez następne 2000 lat, Christian Rosenkreuz i jego „boskooswiecone” bractwo Różokrzyżowców; Emanuel Swedenborg, któremu umysł „otworzył się” nagle w roku 1743; Mistrz Eckhart i jego uczniowie Suso i Tauler, a w wieku dwudziestym Sadhu Sundar Singh w – *błysku!* – wizja w wieku lat szesnastu i wiele razy później; „...często, kiedy wychodzę z ekstazy, myślę, że cały świat musi być ślepy, skoro nie widzi tego, co ja widzę; wszystko jest takie bliskie i klarowne... nie ma słów na wyrażenie tego, co widzę i słyszę w tym duchowym świecie...” Nawija jak acid head. To, co wszyscy oni dostrzegali w... przebłysku, to rozwiązanie podstawowego predykamentu losu istoty *ludzkiej*, osobistego *Ja*, *Mnie*, schwytanego w pułapkę, śmiertelnej i bezradnej w wielkim, bezosobowym *Tym*, świecie wokół. Nagle! – Wszystko w jednym! – płyną razem, *Ja* wpada do *Tego*, *To* do *Mnie* i w tym przepływie ujawnia się moc, taka bliska i taka klarowna, a cały świat jest na nią ślepy. Wszystkie współczesne religie, a także zresztą okultystyczne tajemnice, mówią o Innym

Świecie – czy tam, gdzie Brahma, czy tam, gdzie latające talerze – na który ślepy jest nasz racjonalny, zagoniony świat. Ten – *tak zwany!*, przyjaciele – racjonalny świat. Gdybyż tylko *oni*, Mama&Tata&Braciszek&Siostrzyczka, nasze kochane zgredy, gdybyż tylko poznali *kairos*, najwyższą chwilę... Historycznie *wizje* wyjaśniano na wiele sposobów, jako skutek epilepsji, autohipnozy, zmian w przemianie materii spowodowanych postem, albo faktycznej interwencji bogów – lub dragów: zaratustryzm narodził się we wspaniałej kąpieli w wodzie haoma, czyli w tym samym, co hinduska soma, która niewątpliwie była dragiem. *Doświadczenie!*

A w ślad za tym *doświadczeniem* – po tym, jak poznałem Prankstersów, wróciłem i przeczytałem napisany przez Joachima Wacha w roku 1944 paradygmat zakładania religii, który, zestawiony z tym, co wiedziałem o Prankstersach, wydał mi się dziełem okultystycznego jasnowidzenia:

*W ślad za głębokim nowym doświadczeniem, które dostarczyło nowego oświecenia tego świata, założyciel, osoba o wielkiej charyzmie, zaczyna gromadzić uczniów. Zwolennicy stają się nieformalnym, ale ściśle ze sobą Powiązaniem stowarzyszeniem, zjednoczonym nowym doświadczeniem, którego naturę ujawnił i zinterpretował założyciel. Stowarzyszenie to można nazywać kręgiem, co wskazuje na jego orientację ku centralnej postaci, z którą każdy ze zwolenników pozostaje w osobistym kontakcie. Zwolenników można uważać za towarzyszy założyciela, związanych z nim osobistym poświęceniem, przyjaźnią i lojalnością. Rosnące poczucie solidarności zarówno wiąże ich ze sobą, jak odróżnia od wszelkich innych form organizacji społecznej. Członkostwo tego kręgu wymaga zupełnego zerwania ze zwykłymi sprawami świata i radykalnej odmiany w stosunkach społecznych. Więzy rodziny i krwi oraz różnego rodzaju lojalności ulegają przynajmniej chwilowemu rozluźnieniu lub zerwaniu. Niewygody, cierpienia i oskarżenia zagrażające tym, którzy związali swój los z taką grupą, równoważone były przez ich wielkie nadzieje i stanowcze oczekiwania... i tak dalej. O samym zaś założycielu: miewa „wizje, sny, transy, częste ekstazy... niezwykłą wrażliwość i intensywne życie uczuciowe... gotowy jest interpretować boskie objawienia... jest w nim coś pierwiastkowego, niezłomna postawa oraz archaiczne maniery i mowa... Jawi się jako odnowiciel utraconych więzi z ukrytymi siłami życiowymi... zwykle nie pochodzi z arystokracji, ludzi wykształconych czy kulturalnych; często wyłania się z prostego ludu i pozostaje wierny swym korzeniom nawet w zmienionych okolicznościach... mówi tajemniczo, słowami, znakami, gestami, wieloma metaforami, symbolicznymi aktami o różnym charakterze... oświeca i interpretuje przeszłość oraz przewiduje przyszłość w kategoriach *kairos* (najwyższej chwili)”...*

Kairos – doświadczenie

...według Maxa Weбера na jeden z dwóch sposobów: jako prorok „etyczny”, tak jak Jezus i Mojżesz, który określa reguły życia swych zwolenników i opisuje Boga jako superosobę, która ocenia wywiązywanie się ludzi z przestrzegania tych reguł. Lub jako prorok „wzorcowy”, jak Budda: dla niego Bóg jest bezosobowy, to pewna siła, energia, jednoczący nurt, Wszystko jeden. Prorok wzorcowy nie dyktuje reguł życia. Jako wzór dla zwolenników przedstawia własne życie.

Wszystkie takie religijne kręgi nabierają spójności rozwijając swe własne symbole, terminologię, style życia i, stopniowo, proste praktyki kultowe, *ryty*, często w rytm muzyki i sztuki, wszystkie wyrosłe z owego *nowego doświadczenia* i dla tych, którzy go nie przeszli, dziwaczne i niezrozumiałe. Na tym etapie także... „ulegają silnej pokusie, aby nieść tę dobrą nowinę do wszystkich ludzi”... wszystkich ludzi... Wewnątrz religijnego kręgu status był sprawą prostą. Świat był podzielony na „wtajemniczonych”, którzy doświadczyli bycia boskim naczyniem i wielkiej masy „niewtajemniczonych”, „niemuzykalnych”, „nie nastrojonych”. Czyli: *jesteś albo w autobusie, albo poza autobusem*. Wtajemniczeni nigdy świadomie nie zdradzali wobec Niewtajemniczonych żadnego snobizmu, ale w rzeczy samej większość z wielkiej meduziej plamy normalnych dusz jawiła im się jako beznadziejne przypadki – *a od dźwięków twojego fletu z dachu autobusu jeszcze bardziej sztywnieli*. Ale grupy takie traktowały każdego, kto wykazał się możliwościami, kto był potencjalnym bratem, z wielkoduszną troskliwością...

...ci potencjalnie nastrojeni... Piękni Ludzie zaczęli zjawiać się u Keseya w La Hondzie i nikomu nie odmawiano gościny. Mogli się zatrzymać, zamieszkać, jeśli... wyglądali na nastrojonych. Mountain Girl, Dziewczyna Z Gór, czekała przed domem Keseya, kiedy autobus wyłonił się z ostatniego zakrętu drogi 84, prosto w sekwojową gardziel. Mountain Girl to rosła brunetka na czarnym motocyklu, ubrana w trykotową koszulkę i drelichowe, robocze spodnie. Miała tylko osiemnaście lat, ale była duża, ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, mocnej budowy; hałaśliwa i kanciasta w ruchach, jeśli o to chodzi. Ale była zabawna... miała piękne zęby i uśmiech, od którego robiło się cieplej na sercu... Nazywała się Carolyn Adams, ale natychmiast została Mountain Girl. O ile mi wiadomo, nikt już potem nie nazywał jej inaczej, dopóki dziewięć miesięcy później wobec niej i jedenaściorga innych Prankstersów formalnych kroków nie przedsięwzięła policja...

To Cassidy zainteresował Mountain Girl domem Keseya. Pracowała jako technik w jakimś laboratorium biologicznym w Palo Alto. Miała chłopaka, który – cóż, na swój

zgredziarsko-luzacki sposób uważał się chyba za „bitnika”. Tylko że on nigdy nic nie robił, ten jej chłopak. Nigdzie nie bywali. Nigdzie nie chodzili. Więc poszła sobie sama. Pewnej nocy wylądowała w St. Michael’s Alley, jednej z grzęd cyganerii z Palo Alto, na przyjęciu z okazji urodzin Cassady’ego. Cassady powiedział, że to, o co chodzi, mieści się za górami, w sekwojowych lasach.

Mountain Girl od pierwszej chwili była u Prankstersów przebojem. Zawsze wydawała się absolutnie otwarta, wcale nie trzeba jej było na to namawiać. Jeden wielki ładunek witalności. Oto nadchodzi Mountain Girl ■- i to było coś, co podnosiło na duchu, gdy tylko zobaczyłeś, jak jej buzia rozszerza się w ogromnym uśmiechu, a wielkie brązowe oczy otwierają się, otwierają, otwierają, otwierają, aż niemal eksplodują jak plamy na Słońcu wprost przed twoim nosem i wiedziałeś, że ten cudowny, śpiewny głos zawoła coś takiego:

– Hej! Wiecie co? Właśnie byliśmy u Bawa – w supermarkecie – weźmiemy trochę nasion i posiejemy trawkę w skrzynce na oknie u Bawa! Macie pojęcie! Za pół roku całe miasto się załapie! – i tak dalej.

Ale wychodziło na to, że pod całą rubasznością okazywała się najinteligentniejszą chyba ze wszystkich dziewcząt wokół, może z wyjątkiem Faye. Faye niewiele mówiła, więc nie można było tego rozstrzygnąć. Okazało się, że Mountain Girl pochodzi z wielce poważanej rodziny z wyższej klasy średniej w Poughkeepsie w stanie Nowy Jork, rodziny unitarian. W każdym razie wszystko łąpała w lot. Była zdecydowana i odważna jak mało kto. A także co dzień piękniejsza. Wystarczyło kilka tygodni ryżu, gulaszu i nieregularnych posiłków u Keseya, starej dobrej mimowolnej diety makrobiotycznej, a zaczęła szczupleć i pięknieć. Nic z tego nie uszło uwagi Keseya. On był Mężczyzną Z Gór, a ona Dziewczyną Z Gór. Akurat dla niego...

Mountain Girl wprowadziła się do namiotu na małej wyżynie na zboczu wzgórza za domem pod sekwojami. Także Page Browning miał tam namiot. Jak również Babbs i Gretch. Mike Hagen miał tam Chatkę Kopulatkę. Ta Chatka Kopulatka była klasyczną – *Awaria!* – produkcją Hageny. Ani jedna deska nie leżała równo i ani jeden gwóźdź nie był wbity tak naprawdę do końca. Deski zdawały się trzymać kupy mocą jakiegoś tymczasowego porozumienia. Pewnego dnia Kesey wziął młotek i raz puknął w gwóźdź na czubku chatki, a cała chatka legła w gruzach.

– *Mc nie trwa wiecznie, Hagen!* – zawołała Mountain Girl, a jej śmiech grzmiał wśród sekwoi.

A Jaskinia Hermita, pustelnika... Pewnego dnia Faye wyjrzała przez okno w kuchni, a tam u stóp wzgórza za domem sterczało jakieś nieduże stworzenie, wyglądało z lasu niczym

zagłodzone zwierzę. Był drobnym, chudym chłopcem, miał ledwie półtora metra wzrostu, ale nosił wielką czarną brodę, jak jakiś g-nom z Gór Ozark od Barneya Google'a. Po prostu stał tam, wielkimi oczami głodomora wytrzeszczonymi spomiędzy dzikich czarnych kudłów przyglądał się domowi. Faye wyszła do niego z talerzem tuńczyka. Wziął bez słowa i zjadł; a potem został na zawsze. Ten Hermit!

Ten Hermit niemal zupełnie nic nie mówił, ale okazał się absolutnie piśmienny i rozmawiał z ludźmi, którym ufał, tak jak z Keseyem. Miał dopiero osiemnaście lat. Mieszkał z matką gdzieś koło La Hondy. Miał mnóstwo kłopotów w szkole. Wszędzie miał mnóstwo kłopotów. Pokręt z niego, ekscentryk. W końcu uciekł do lasu i żył tam na bosaka, w trykotowej koszulce i lewisach, jadł to, co upolował i złowił ościeniem. Od czasu do czasu widywali go ludzie, a dzieciaki z liceum próbowały go tropić, demolować jego szałas i dokuczać mu na inne sposoby. Włócząc się dotarł aż do lasu za domem Keseya, skrawka puszczy oznaczonego jako „Sam McDonald Park”, nigdy jednak nie uporządkowanego.

Hermit zbudował sobie Jaskinię Hermita w jamie w ciemnym, zielonym, stęchłym, porośniętym mchem jarze, który opadał od ścieżki w las. Wypełnił ją przedmiotami, które mrugały, migotały i gdakały. Był także strażnikiem komunalnego kwasu zadołowanego w jego jaskini. I miał jeszcze inne sekrety, takie jak dzienniki... Memuary Hermita, gdzie prawdziwe życie i Hermicie fantazje biegły ramię w ramię krętymi rzekami małych chłopców i zbłąkanych myśliwych, których tylko Hermit mógł uratować... Nikt nie znał jego faktycznego nazwiska, dopóki jak już powiedziałem, kilka miesięcy później nie zajęła się tym policja...

Kiedyś Babbs odkrył Day-Glo, fosforyzującą farbę, i zaczął malować nią pnie sekwoi w wielkie bryzgi zieleni, pomarańcza, żółci. Do diabła, pomalował nawet liście i obejście Keseya. Zaczęło świecić w nocy. I rozbrzmiewać zgiełkiem. Coraz więcej ludzi zjawiało się z długą lub krótką wizytą. Cassady sprowadził pewną blondynkę w stylu skandynawskim, która zawsze opowiadała o kompleksach. Każdy ma kompleksy. Została June the Goon. A dziewczyna, która nosiła wielkie, miękkie czerwone kapelusze i babcine okulary, pierwsze, jakie kiedykolwiek widziano, została Marge the Barge. Dalej pewien rzeźbiarz nazwiskiem Ron Boise, chudy facet z Nowej Anglii z nosowym akcentem jak u Titusa Moody'ego, tylko że to był Titus Moody, który przemawiał językiem luzactwa: „Stary, jakby, typu, kumasz”, itd. Boise przywiózł rzeźbę wisielca, więc spuścili ją na stryczku z konaru drzewa. Zbudował także wielkiego Czar-Ptaka, wielkiego potwora z dziobem w stylu Thora i Wotana, z bursztynową kopułą z tyłu, do której można było wejść. W środku były potężne druciane nitki, za które można było pociągać, a kiedy się pociągało, Czar-Ptak skrzeczał w leśnej

gardzieli jak najstraszniejsza w dziejach świata, wibrująca, basowa bestia. Potem przywiózł rzeźbę Kamasutry, ogromnego blaszanego faceta z twarzą w blaszanej pachwinie blaszanej kobitki. Jej lewa noga sterczała w powietrze. W środku była pusta, Babbs przeciągnął przez nią ogrodniczy wąż, podłączył go do wody, trysnęła strugą, więc zostawili ją tak, wiecznie tryskającą. Wyglądało, jakby miała wieczny orgazm w lewej stopie.

No i... Sssss – ssss – ssss – Bradley. Bradley, czyli Bradley Hodgeman, w swoim czasie był gwiazdą uniwersyteckiego tenisa. Był niski, ale bardzo muskularny. Pojawił się, czy raczej wystąpił – Bradley zawsze występował – zachowywał się tak dziwnie, że ludzie zatrzymywali się, aby na niego popatrzeć, nawet u Keseya. Mówił skrzepami słów, „padł na mecie u pijaczków – nierozpuszczalne obiekty latające, azotanowo-plisowane zielenie z tylnego ganku – Raya Bradbury’ego międzywiersz o samotnym chromowanym nozdrzu, rozumiecie” – sunął bokiem przez pokój z nieokreślonym uśmiechem i włosami zaczesanymi na oczy jak u surfera, zgarbionymi plecami, a potem przechodził w dławiony śmiech, ssss – sssssss – ssss – aż ktoś przerwał mu sekwencję pytaniem, jak tam tenis, a on wyszczerzał się jeszcze bardziej, otwierał oczy na horyzont o rozległym znaczeniu i powiedział: – Pewnego dnia puknąłem piłkę w powietrze... i już *nigdy nie spadła*... Sssss – ssss – ssss...

W istocie rzeczy we wczesnych latach sześćdziesiątych sporo było młodzieży... tak jest, *nastrojonej*. W myślach nazywałem ich Pięknymi Ludźmi z powodu listów o Pięknych Ludziach, jakie zwykli byli wysyłać do rodziców. Kręcili się głównie po Los Angeles, San Francisco i Nowym Jorku. Krążyli po stałym obwodzie, ruch z miasta do miasta był spory. W większości pochodzili z klasy średniej, ale nie z superburżujów, raczej z małych burżujków, jeśli ta stara dobra klisza wytrzyma, że się jej jeszcze raz użyje, z domów z Kulturą, ale bez pieniędzy albo z pieniędzmi, ale bez Kultury. Przynajmniej tak mi to wyglądało, sądząc po Pięknych Ludziach, których znałem. Kultura, Prawda i Piękno były dla nich ważne... „Sztuka to wyznaczenie wiary, a nie sztuka”, jak ktoś powiedział... Młodzi, Odporni! Boże, jakimś cudem w powietrzu fruwało dość pieniędzy, że można było to robić, żyć razem z innymi dzieciakami... robić swoje – w swojej własnej sferze statusu, bez przymusu chodzenia *do pracy* i żyjąc na własnych warunkach – My! i ludzie W naszym wieku! – to jest... *piękne*, to... *inne poczucie*, a normalny świat nigdy tego nie zrozumie, jak to jest, kiedy ma się własną sferę statusu i tylko dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata; nie startuje się bezradnie z dołu drabiny, nic a nic, do diabła z tą całą drabiną – bo jest się już na pewnym... poziomie, który wprowadził normalny świat w pokręcone *zakłopotanie!* Normalny świat zawsze starał się wykombinować, co tu *nie grało* – ponieważ oni sami nigdy nie mieli

takiego poczucia. Normalny świat nazywał ich bitnikami. Spodziewam się, że Piękni Ludzie utożsamiali się z ożywieniem Beat Generation z późnych lat pięćdziesiątych, ale faktycznie ich szczególna cygańska sfera statusu miała zupełnie nowy motyw: a mianowicie dragi psychedeliczne.

El... Es... De... po-ci-chu... Timothy Leary, Alpert i kilku chemików takich jak Al Hubbard i incognito „Dr Spaulding” pompowali LSD w luzacki obwód z prawdziwie mesjańskim przekonaniem. LSD, peyotl, meskalina, nasiona powoju stawały się tajemną nową *sprawą* we wtajemniczonym, luzackim życiu. Mnóstwo dzieciaków, które się załapały, zalegało w amputowanych mieszkaniach, jak je nazywałem. Siedzenia, stoły, łóżka – żadne z nich nie miały nóg. Komunalne życie na podłodze, można powiedzieć, choć nikt wtedy nie używał terminów „komuna”, „szczep” ani żadnych takich. Nie mieli żadnej konkretnej filozofii, trochę marnych resztek buddyzmu i hinduizmu z czasów *beatu*, plus teoria Huxleya o otwieraniu drzwi umysłu, nie mieli odrębnego stylu życia, z wyjątkiem beznogiej mody... Byli... no, *Pięknymi Ludźmi!* – nie żadnymi „studentami”, „urzędnikami”, „sprzedawczyniami”, „praktykantami dyrektorskimi”. – Boże, po co mi te etykiety z gry w zawody! jesteśmy Pięknymi Ludźmi, unosimy się ponad waszym składem robociego złomu:::: i w takiej chwili zwykle siadali i pisali do domu list o Pięknych Ludziach. Zwykle dziewczęta pisały te listy do matek. Matki w całej Kalifornii, całej Ameryce, jak sądzę, nauczyły się listu o Pięknych Ludziach na pamięć:

”Kochana Mamo,

Zamierzałam napisać do Ciebie już wcześniej i mam nadzieję, że się nie niepokoiłaś. Jestem w [San Francisco, Los Angeles, Nowym Jorku, Arizonie, w Rezerwacie Indian Hopi!!! w stanie Nowy Jork, Ajijic, San Miguel de Allende, Mazatlan, Meksyku!!!] i jest tu naprawdę pięknie. To piękne miejsce. Jesteśmy tu już od tygodnia. Nie chcę cię zanudzać całą tą sprawą, jak to się stało, naprawdę się starałam, bo wiedziałam, że ty sobie tego życzysz, ale zwyczajnie mi nie wyszło ze [szkołą, college'em, pracą, mną i Dannym], no i przyjechałam tu, a tu jest naprawdę pięknie. Nie chcę, żebyś się o mnie martwiła. Spotkałam PIĘKNYCH LUDZI i...

...i sercem najmniej nawet zorientowanej mamusi w całych Stanach Zjedn. A. P. instynktownie szarpał adrenalinowy skurcz: bitnicy, włóczęgi, czarnuchy – *narkotyki*.

Dni u Keseya zaczynały się... kiedy? Nie było w pobliżu zegarów, a nikt nie nosił zegarka. Kiedy się budziło, blask opadał musując pomiędzy sekwojami. Pierwsze odgłosy to zwykle Faye wołająca dzieci – Jed! Shannon! – albo zatraskiwana szafka w kuchni, albo patelnia wkładana do zlewu. Faye, wieczna... Potem może jakiś samochód przejedzie drewniany mostek i zaparkuje na piaszczystym placu przed domem. Czasami to ktoś z regularnych, jak Hagen, z powrotem. Zawsze dokądś wyjeżdżał. Czasami to nieustający goście, Bóg wie skąd, znajomi znajomych znajomych, poszukiwacze przygód, niektórzy z nich to poszukiwacze towaru, niektórzy studenci z Berkeley, nigdy nie było wiadomo. Ludzie w obejściu właśnie zaczynali wstawać. Wyłania się Kesey w gatkach, idzie prosto do strumyka i nurkuje w sakramencko zimną wodę, żeby go szarpnęło i obudziło. Na ganku, w samych lewisach siedzi George Walker, sprawdza swoje mięśnie, ręce, ramiona i tors, wszystkie mięśnie, palcami, szukając skaz, zdrapując strupki, trochę tak jak kot. Późnym popołudniem rusza fala aktywności, ludzie pracują nad różnymi projektami, z których najbardziej, wyglądało na to, że nieskończenie, skomplikowany był Film.

Prankstersi spędzili większość jesieni roku 1964 oraz zimę i wczesną wiosnę 1965 na pracy nad... Filmem. Mieli około czterdziestu pięciu godzin kolorowego filmu z wyprawy autobusem i kiedy już zebrali się, żeby to przejrzeć, okazało się, że to potwór. Kesey wiele obiecywał sobie po tym filmie, w każdym sensie. Był to pierwszy na świecie film kwasowy, nakręcony w warunkach totalnej spontaniczności, w pędzie poprzez serce Ameryki, rejestrujący wszystko *teraz*, w tym momencie. Obecna fantazja to... całkowity przełom w kategoriach wyrazu... ale także coś, co może zadziwić i zachwycić wielu z mas, film, który może być rozpowszechniany komercyjnie, równie dobrze jak w ezoterycznym świecie headów. Ale ten Film, jak mówiłem, to potwór. Sama praca i nuda przy montażu czterdziestu pięciu godzin taśmy były niewyobrażalne. A poza tym... wiele zdjęć było nieostrych. Hagen, jak wszyscy inni, fruwał przez większość czasu, a podskakiwanie autobusu też specjalnie nie pomagało – *ale to był taki trip!* Choć... Ponadto było tam bardzo niewiele ujęć określających, pokazujących, gdzie był autobus, kiedy działo się to czy tamto. Ale komu potrzebny Hollywood dalekich planów, średnich, zbliżeń, starannych cięć, ruchu w poziomie i pionie, żurawi z kamerą, cały ten przestarzały kit. Choć... zagłębianie się z nożyczkami w kilometry podskakującego, rykoszetującego, płonącego żywym blaskiem filmu było jak krok w dżunglę, gdzie zielone pnącza rosą prędzej, niż można je przed sobą wyrąbać.

Film kosztował już oszałamiającą kwotę 70 000 dolarów, głównie za wywołanie. Kesey włożył w Intrepid Trips Inc. wszystko, co dostał za dwie powieści plus teatralną adaptację *Lotu nad kukulczym gniazdem*. Jego brat Chuck, który miał dobrą firmę mleczarską

w Springfield w Oregonie, zainwestował trochę. Ojciec George'a Walkera założył dla niego fundusz powierniczy, z pewnymi warunkami, ale i on dokładał się, kiedy mógł. Według książki Faye na koniec roku 1965 Intrepid Trips Inc. wydało 103 000 na różne pranksterskie przedsięwzięcia. Wydatki na utrzymanie całej grupy sięgały w tamtym roku 20 000, niewiele, jeśli zważyć, że rzadko pod opieką bywało mniej niż dziesięć osób i zwykle dwa lub trzy pojazdy. Wikt i opierunek Kesey brał na siebie.

Garnek pieniędzy we frontowych drzwiach... Na regale w salonie rosła dziwna biblioteczka, książki science fiction i o innych tajemniczych sprawach, można było wziąć niemal każdą z nich i trafić na naprawdę dziwne wibracje. Wszystko tutaj bardzo przypominało jedną z książek z półki Keseya, powieść Roberta Heinleina *Stranger in a Strange Land*. To niesamowite. Tak, jakby Heinleina i Prankstersów łączył jakiś niewytłumaczalny, aprzyczynowy związek. Jest to powieść o Marsjaninie, który przybywa na Ziemię, prawdziwym Superherosie, w rzeczy samej zrodzonym z ziemskich rodziców po locie kosmicznym z Ziemi na Marsa, ale wychowanym przez istoty nieskończenie wyższego rzędu, Marsjan. Istoty na innych planetach w książkach science fiction są zawsze nieskończenie wyższego rzędu. W każdym razie wokół niego gromadzi się mistyczne bractwo, oparte na tajemniczej ceremonii zwanej dzieleniem się wodą. Mieszkają w – *La Honda! U Keseya!* Ich siedziba nazywa się Gniazdem. Ich życie transcenduje wszelkie potoczne ziemskie rozgrywki o status, seks i pieniądze. Nikt, kto kiedyś podzielił się wodą i żył w Gnieździe, nie przejmuje się już takim banalnym współzawodnictwem. We frontowych drzwiach jest garnek z pieniędzmi dostarczonymi przez Superherosa... W Gnieździe gra się w absolutnie otwarte karty – nie ma sekretów winy, zazdrości, krytykowania kogokolwiek za cokolwiek „...otwarte związki – grupowa teogamia... A więc, cokolwiek się wydarzyło – albo właśnie miało się wydarzyć... było sprawą prywatną, nie publiczną. »Czyżby był tu ktoś jeszcze oprócz nas, bogów?« – jak można się obrazić? Bachanalia, podmianki bez skrupułów, życie w komunie... wszystko”.

Teraz Kesey miał nagłośnienie nie tylko w autobusie, ale także w lesie. W górę zbocza, w las biegły przewody do mikrofonów, które zbierały przypadkowe odgłosy. Wysoko w lesie, na szczycie klifu po drugiej stronie szosy, wisiały wielkie głośniki do nagłaśniania kin, które mogły zalać dźwiękiem całą kotlinę. Roland Kirk i jego pół tuzina rur buja się w starych, klinoidalnych, saksofonowych zatokach sekwojowego lasu.

Zmierzch! Wielkie paski zielonego i pomarańczowego Day-Glo biegną w górę wznosząc się wraz z lasem i świecą w zmierzchu, jakby Natura wreszcie powiedziała, A niech to, i sama odleciała. Za domem, w górę, wzdłuż parowu, mijając Jaskinię Hermita, maski z

Day-Glo, pudła i maszynerie oraz rzeczy, które świecą, mrugają, mruczą, świszczą, ryczą i mikrofony słyszą zwierzęta, pustelników, wszystko i nadają z wierzchołków drzew, jak zwariowane rezusie szwargotanie w tle starych dobrych audycji radiowych z Jungle Jimem z dżungli. *Zmierzch!* O zmierzchu można włożyć coś takiego jak pilotka z I wojny światowej, tyle że pomalowana krzyczącym Day-Glo, i z twarzą pomalowaną w konstelacje Day-Glo, Niedźwiedzica, Koziorożec; można jak wspaniały Day-Glo heros kroczyć w rozkosznym mroku i w leśnej głuszy na zboczu wzgórza wygłaszać, tyle że tonami spektralnymi, tak jak Shadow, Człowiek-Cień, dowolne komunikaty, coś jak: *Tu wieża kontrolna, tu wieża kontrolna, opróżnić pas startowy numer jeden, nadciągają mikroby pumy, wszystkimi porami krwawią w antyczne szarpie i błagają o wysokooktanową, uwaga, uwaga wszyscy śpiący w koszarach przy głównym pasie, te grudy w waszych materacach to mięsożerne zarodki, weneryczne motyle zesłane przez Kombinat, aby uodpornić wasze mózgi na mole, po jednym zestawie zawodowym w każdym gniazdku od światła. – Blokujcie gniazdko od światła! Mikroby pumy wkraczają jak armia mrówek...* – dobrze wiedzieć, że ktoś, ktokolwiek, może odpowiedzieć z domu, albo skądinąd, przez inny mikrofon grzmiący ponad wzgórzami La Honda: *SOS, SOS, rozebrać maszty, schować się do składanych reguł, kalibrować mózgi do remanentu głów...* I Bob Dylan rzeźił i prychał w oddali, w klinoidach, albo czort wie gdzie...

Noc zastaje Prankstersów w domu, krążą jakieś jointy, ślina-lina-lina-lina-lina, cała sprawa tak jakby pograżała się jeszcze głębiej w *tym momencie*, a ludzie pracują nad taśmami, odtwarzają, zatrzymują, przewijają, znowu odtwarzają, klik plastikowej dźwigienki, znowu zatrzymują... i rusza drobna kolejka speedu – cóż za wielkopański przyptyw energii w sekwojowym lesie! – głównie tabletki benzedryny oraz dexedryny i startujesz w wir pracy i nawijania po nocy... pierwszeństwo mają wszelkie eksperymenty, jak na przykład przyłożenie kontaktowego mikrofonu do gołego brzucha i słuchanie bulgotania enzymów. Brzuchy większości Prankstersów robią *gurgl-galumpf-blub* i tak dalej, ale brzuch Cassady'ego robi *ping!-dingaping!-ting!* jakby nastawiony był na 78 obrotów na minutę, a wszyscy inni na 33, czyli mniej więcej tak, jak można się tego spodziewać. A potem grają taśmę pod program telewizyjny. To znaczy włączają obraz w telewizorze, powiedzmy „Ed Sullivan Show”, ale wyłączają dźwięk i grają taśmę, powiedzmy Babbsa i jeszcze kogoś, jak rapują do siebie nawzajem. Obraz „Ed Sullivan Show” i słowa na taśmie zmuszają umysł do poszukiwania skojarzeń pomiędzy tymi dwoma, tak różnymi trybami doświadczenia. Na ekranie Ed Sullivan w uniesieniu ściska dłoń Elli Fitzgerald w swoich dłoniach, jakby to były pierwsze wiosenne drozdy, porusza wargami, mówi zapewne: – Ellu, to było cudowne! Naprawdę cudowne! Panie i panowie, nie szczędźcie braw dla tej wielkiej, wielkiej damy! – ale głos,

który słyhać, mówi do Elli – *idealnie zsynchronizowany*: – Te grudy w waszych materacach to mięsożerne zarodki, weneryczne motyle zesłane przez Kombinat, aby uodpornić wasze mózgi na mole, po jednym zestawie zawodowym w każdym gniazdku od światła – Panie i Panowie, blokujcie gniazdko od światła! Mikroby pumy wkraczają...

Idealnie! Prawdziwy przekaz! –

...choć postronnym każda taka dziwaczna synchronizacja wydawała się zazwyczaj zwykłym zbiegiem okoliczności albo tylko umiarkowanym błazeństwem, w każdym razie czymś pozbawionym sensu. Nie mogli zrozumieć, co Prankstersów tak w tym rajcowało. Ku nieuniknionemu mieszaniu nie nastrojonych – jak większość unikalnych praktyk Prankstersów – i ta wywodziła się z doświadczenia LSD i bez niego była niezrozumiała. Po LSD to naprawdę się udawało, *Ego* i *Nie-Ego* zaczynały się stapiać w jedno. Niezliczone rzeczy, które wydawały się oddzielne, również zaczynały się jednoczyć: jakiś dźwięk stawał się... *barwą!*, błękitem... barwy stawały się zapachami, ściany zaczynały *oddychać* jak dolna powierzchnia liścia, własnym oddechem. Jakaś zasłona stawała się betonową kolumną, a jednak zaczynała się marszczyć, taka niewiarygodna masa betonu pomarszczona w harmoniczne fale, jak most nad Zatoką Pugeta przed katastrofą, a ty to *czujesz*, wszystkie harmoniczne z widma wszechświata, od najpotężniejszych do najdrobniejszych i najbardziej osobistych – *presque vu!* – wszystkie płyną razem w dokładnie tym momencie...

Ten aspekt doświadczenia LSD – *poczucie!* – zgodny był z teorią synchronizmu Junga. Jung próbował wytłumaczyć występujące w naszym życiu znaczące zbiegi okoliczności, których nie można wyjaśnić spekulacją przyczynowo-skutkową, jak np. zjawiska postrzegania pozazmysłowego ESP. Wysunął hipotezę, że podświadomość postrzega pewne archetypowe schematy, które umykają świadomemu umysłowi. Schematy te, sugerował, jednoczą zdarzenia subiektywne lub psychiczne ze zjawiskami obiektywnymi, *Ego* z *Nie-Ego*, tak jak w medycynie psychosomatycznej albo w zagadnieniach mikrofizycznych fizyki współczesnej, gdzie oko obserwatora staje się integralnym elementem eksperymentu. W przeszłości tę samą ideę próbowali zaprezentować niezliczeni filozofowie, prorocy, pierwsi uczeni, nie wspominając o alchemikach i okultystach, Plotinus, Lao-Tse, Pico della Mirandola, Agrypa, Kepler, Leibnitz. Według tej idei każde zjawisko i każda osoba to mikrokosmos o pełnym schemacie wszechświata. Tak jakby każdy człowiek był atomem w molekuła paznokcia jakiejś gigantycznej istoty. Większość ludzi trawi życie na próbach zrozumienia mechanizmów tej molekuły, w którą się wrodzili, i wszystko, czego mogą być pewni, to przyczynowo-skutkowe mechanizmy jej atomów. Kilku świątłych ludzi ogarnia strukturę całego paznokcia. Paru geniuszy, jak Einstein, może nawet zauważyć, że jest częścią jakiegoś

swego rodzaju palca. – A więc *przestrzeń* równa się *czasowi*, *hmmmmmm...* Tymczasem jednak wielu ludzi od czasu do czasu dostrzega błysk innego paznokcia z innego palca, albo nawet cały palec, czy nawet powierzchnię twarzy gigantycznej istoty i instynktownie uświadamia sobie, że to element schematu, w który wszyscy są zaangażowani, choć absolutnie bezradni, gdyby trzeba było wyjaśnić to na gruncie przyczyn i skutków. Aż nagle – jakiemś wizjonerowi, jakimś przypadkiem...

...przypadkiem, Mahaviro?...

...dzięki jakiemś kaprysowi przemiany materii, a może jakiemś *dragowi*, na chwilę otworzą się drzwi percepcji i nieomal widzi – *presque vu!* – całą istotę i po raz pierwszy zdaje sobie sprawę, że to jest zupełnie... *inny schemat...* Każda chwila jego życia ledwie przelotnie odnosi się do łańcucha przyczyn-i-skutków w jego małym molekularnym świecie. Każda chwila, gdyby tylko potrafił ją przeanalizować, objawia cały schemat ruchu owej gigantycznej istoty, a jego życie jest z nim precyzyjnie zsynchronizowane...

...A KIEDY CYSTERNA CHEVRON PODĄŻA ZA AUTOBUSEM DO... NIKĄD...
MOŻNA DOSTRZEC TEN SCHEMAT, PEWIEN NOWY POZIOM... WIELE
POZIOMÓW...

Prankstersi nigdy nie nazywali synchronizmu po imieniu, ale coraz bardziej zestrajali się z tą zasadą. Według niej człowiek nie ma, rzecz jasna, wolnej woli. Nie ma pożytku z poświęcenia się życiowemu współzawodnictwu w celu zmiany struktury tego mikrośrodowiska, w którego pułapce wydaje się tkwić. Ale można zobaczyć szerszy schemat i ruszyć *zgodnie z nim* – *Płyń z prądem!* – zgodzić się nań, wznieść ponad bezpośrednie środowisko, a nawet je zmieniać poprzez akceptację owego generalnego schematu i rajcowanie się nim. – *Przyłóż się tam, gdzie będzie z ciebie największy pożytek!*

Stopniowo postawa Prankstersów nabiera tego, co zawsze odczuwali religijni mistycy, co łączyło hinduistów, buddystów, chrześcijan, także teozofów, a nawet czcicieli latających talerzy, a mianowicie *doświadczenia* Innego Świata, wyższego poziomu rzeczywistości. I percepcji kosmicznej jedności wyższego poziomu. I poczucia beczasowości, poczucia, że to, co znamy jako czas, to tylko skutek naiwnej wiary w przyczynowość – Przekonanie, że A w przeszłości *spowodowało* B w teraźniejszości, które *spowoduje* C w przyszłości, podczas gdy faktycznie A, B i C należą do schematu, który naprawdę zrozumieć można tylko otworzywszy drzwi percepcji i *doświadczając go...* w tym momencie... tym najwyższym momencie... tym *kairos...*

Długo nie mogłem zrozumieć pewnej ulubionej przez Prankstersów orientalnej praktyki rzucania monet *I Ching*. *I Ching* to starożytny tekst chiński. Nazywa się go „Księgą

Przemian”. Zawiera 64 przepowiednie, wszystkie bardzo metaforyczne. Zadaje się Księdze pytanie, sześciokrotnie rzuca trzy monety i dostaje heksagram oraz liczbę, która wskazuje na jeden z ustępów tekstu. To jest „odpowiedź” na pytanie... no tak; ale *I Ching* nie wydawało mi się pasować do Prankstersów. Nie zgadzało mi się z zakreconą, powiewającą amerykańskimi flagami, wymalowaną elektro-pastelowym Day-Glo jazdą wielką amerykańską superautostradą. Choć – oczywiście! *I Ching* było ostateczną księgą *Teraz*, tego momentu. Ponieważ, jak powiedział Jung, to, jak spadają monety, jest nieodłącznie związane z jakością całego momentu, w którym spadają, z całym schematem i „składa się na jego część – część, która dla nas jest nieistotna, dla umysłu chińskiego zaś ma znaczenie ogromne”... takie sprawy

KTÓRE SŁYSZĄ TYLKO SZCZĘŚLIWE PSY I WESELI PRANKSTERSI – i tyle tajemnic owego *synch* od tamtych czasów... Na półce w dużym pokoju Keseya jest jeszcze jedna książka, do której wszyscy zdają się zaglądać, mała książeczka zatytułowana *Podróż na Wschód* pióra Hermana Hessego. Hesse napisał ją w roku 1932, a jednak... *synch!*... jest to książka o... dosłownie... o Prankstersach! i ich wspaniałej autobusowej wyprawie z roku 1964! „Przeznaczeniem mym było dołączyć do wielkiego doświadczenia” – zaczyna się ta książka. – „Jako szczęśliwemu uczestnikowi Ligi dany mi był udział w jedynej w swoim rodzaju podróży”. Dalej opowiada o dziwacznej, okrężnej wyprawie przez Europę na Wschód, którą podjęli członkowie tej Ligi. Rozpoczęła się zapewne jako zwykła podróż w celu przedostania się stąd tam, ale stopniowo nabierała głębokiego, choć niemożliwego do sklasyfikowania znaczenia: „Mój stan szczęśliwości brał się zaiste z tego samego sekretu, co szczęśliwość w snach; ze swobody równoczesnego doświadczania wszystkiego, co wyobrażalne, łatwej zamiany z zewnątrz do wewnątrz, poruszania Czasem i Przestrzenią jak sceneriami w teatrze. A jako że my, bracia w Lidze, podróżowaliśmy bez aut i statków, jako że swą wiarą podbijaliśmy ten strzaskany wojną świat i przekształcali go w Raj, twórczym aktem sprowadzaliśmy przeszłe, przyszłe i zmyślane do obecnej chwili”. Chwila obecna! Teraz! *Kairos!* Tak jakby ten gość sam był na kwasie i w *autobusie*.

Co piątek wieczorem odbywali odprawy. Odprawa to termin Babbsa z wietnamskiej wojaczki. Faye robi ryż, fasolę, mięso, jakiś gulasz na kolację, wszyscy idą do kuchni, sięgają do rondli, nakładają na talerze i jedzą. Krąży parę jointów, ślina-lina-lina-lina-lina. Potem wszyscy idą do jednego z namiotów na wyżynce, do Page’a, tłoczą się tam, siedzą jak się da, z kolanami pod brodą, i zaczynają rzucać hasła do omówienia. Co ciekawe, w pewnym sensie jest tak, jak na letnim biwaku, Rada Turnusu spotyka się w lesie po kolacji, wszystko pachnie

zwęglonym drewnem i wilgotną od rosy pałatką, koniki polne i cykady brzmią z oddali, a ludzie klepią się po kostkach z powodu komarów, muszek i w ogóle. Z drugiej strony, ten zapach dymu ze świeżo strzyżonej trawki i... te liczne poziomy... nie wyglądają za bardzo na letni biwak. Zwykle czekają, aż Kesey zacznie. Zaczyna zwykle od czegoś konkretnego, czegoś co widział, co robił... i zmierza ku temu, co myślał.

Zaczyna mówić o systemach pogłosowych, które próbuje połączyć z magnetofonami. W swojej chatce ma urządzenia pogłosowe o zmiennym czasie opóźnienia, w których mikrofon nadaje przez głośnik, a przed głośnikiem jest drugi mikrofon, który zbiera to, co właśnie się nadaje, ale troszeczkę później. Jeśli założyć słuchawki połączone z tym drugim głośnikiem, można bawić się dźwiękiem tego, co się właśnie powiedziało, tak jak echem. Albo można robić różne rzeczy z taśmami, puszczać taśmę po głowicach dwóch magnetofonów, zanim nawinie się ją na rolkę albo użyć trzech mikrofonów i trzech głośników, czterech magnetofonów i czterech głowic itd., aż totalnie opanuje się sens opóźnienia...

Człowiek ma w sobie wbudowane najróżniejsze opóźnienia, mówi Kesey. Pierwsze, podstawowe, to opóźnienie zmysłowe, różnica czasu pomiędzy tym, kiedy twoje zmysły coś przyjmują, i tym, kiedy jesteś w stanie zareagować. Jeśli jesteś najczujniejszym z ludzi, trwa to jedną trzydziestą sekundy, a u większości osób jest znacznie wolniejsze. Cassidy, na przykład, zbliża się do granicy 1/30 sekundy. Zasuwa tak Prędko, jak to możliwe u istoty ludzkiej, ale nawet on nie może jej pokonać. Jest żywym przykładem tego, jak można się zbliżyć do granicy, a i tak nic się na nią nie poradzi. Nie można już prędzej zasuwać. Nie można pobić opóźnienia samą tylko prędkością. Wszyscy jesteśmy skazani, aby spędzić życie oglądając z niego *film* – zawsze gramy w tym, co właśnie przestało się dziać. Działo się co najmniej 1/30 sekundy temu. Wydaje się nam, że żyjemy w czasie terażniejszym, ale to nieprawda. Czas terażniejszy, jaki znamy, to tylko film z przeszłości i naprawdę nigdy nie będziemy zdolni kontrolować terażniejszości zwykłymi środkami. To opóźnienie trzeba pokonać jakoś inaczej, drogą totalnego przełomu. A obok tego pierwszego są jeszcze najróżniejsze inne opóźnienia. Są opóźnienia historyczne i społeczne, kiedy ludzie żyją według tego, jak postrzegali świat ich przodkowie albo ktoś inny, mogą być dwadzieścia pięć albo pięćdziesiąt lat, a nawet całe wieki do tyłu, a nie można być kreatywnym, jeśli na samym wstępie nie pokonało się tych opóźnień. Tyle można zdziałać intelektem, teorią czy studiami nad historią itd. i tym sposobem prawie dostać się do terażniejszości. Nadal jednak pozostaje jedno z najgorszych opóźnień, psychologiczne. Emocje są do tyłu z powodu wychowania, wykształcenia, okoliczności dorastania, blokad, kompleksów itp. i w rezultacie umysł czegoś

chce, a emocje nie...

Odzywa się Cassady: – Niebieskie nosy, czerwone oczy i tyle na ten temat. – I tym razem na tym kończy.

Ależ oczywiście! – *cale to emocjonalne opóźnienie* – i Cassady, ten mowny Król Wulkan, nagle zamknął wszystko w jednym wyraźnym wizerunku, jak poemat Zen albo wczesny Pound – *małe, gorące, czerwone, zwierzęce oczka* emocji nabite w butelkę *małych, zimnych, niebieskich nosów* kompleksów...

Uczeń Cassady'ego, Bradley, powiada: – Bóg jest czerwony – i nawet *on* na tym kończy. Tym razem *trafił*, sukinsyn, w sedno – wszystko zawiera się w tych trzech słowach, jeszcze krótszych niż kwestia Cassady'ego, jakby Bradley wcale nie musiał tego wymyślać, samo wyszło, zabawa ze zdaniem *Bóg jest martwy*, tyle że dla nas, którzy zwracamy uwagę na analogie, Bóg nie jest martwy, Bóg jest czerwony, Bóg jest tym czerwonym zwierzęciem nabitym w butelkę w środku każdego z nas, całym, wszechczułym, kompletnym, otwartym, tylko martwym z powodu wszystkich opóźnień...

Kesey chichoce pod nosem i mówi: – Dzisiaj chyba naprawdę ześmy się zsynchronizowali...

Ktoś opowiada o jakimś znajomym koleśiu, którego związali za posiadanie trawki, gliny powiedziały coś do niego, on powiedział coś do glin i gliny zaczęły go bić. Wszyscy litują się nad biednym, wtrąconym do więzienia koleśiem i komentują niefortunną tendencję glin do bicia ludzi, a Babbs powiada: – Taak! Taak! Właśnie! Właśnie! Właśnie! – ale to jest w jego filmie.

W jego filmie – właśnie właśnie właśnie – i wszyscy się tym zachwycają. A wtedy wszystko robi się jasne, nikt nie musi tego mówić. Każdemu, ale to każdemu i wszędzie, kręci się jego własny film, według własnego scenariusza i każdy gra w tym filmie jak szalony, tyle że większość ludzi nie wie, że właśnie na to dali się złapać, na swoje małe scenariuszyki. Wszyscy rozglądają się po namiocie i nikt nie mówi tego głośno, ponieważ nikt nie musi. I tak wszyscy od razu wiedzą::::: jakoś to się wiąże, *synchronizuje* wprost z tym, co właśnie powiedział Kesey o filmowym ekranie naszej percepcji, który odcina nas od własnej rzeczywistości::::: i jakoś *synchronizuje* się wprost, równocześnie, dokładnie w tym momencie, z faktycznym, fizycznie istniejącym filmem, Filmem, tym samym, nad którym się tak naślęczeli, z wielkim filmem-grzędawiskiem, całymi kilometrami spirali pociętej i poklejonej taśmy filmowej, co kłębi się wokół nich jeszcze ciepłymi sklejkami tak, jak tyle poprzeplatanych ze sobą, zsynchronizowanych, ale wciąż chaotycznych i zaganianych ludzkich żywotów, ich żywotów, całego pieprzonego świata – *dokładnie w tym momencie* –

Cassady w swoim filmie pt. *Speed Limit... Granica prędkości*, jest zarówno headem, którego działka to speed, to znaczy amfetamina, oraz niepowtarzalną osobą, która goni za Prędkością, prędej, do cholery, spirala, drgawką, kopnięciem, migotaniem przedsionków, jak najbliżej 1/30 sekundy filmowej bariery zmysłów, aby dostać się do... *Teraz* –

– Film *Mountain Girl* nosi tytuł *Duża Dziewczynka*, a w jej scenariuszu główna rola należy do dziewczyny, która dorastała jako duża, zamaszysta, silna dziewczynka w dystyngowanym otoczeniu; och, ten *fin de siecle* Poughkeepsie w stanie Nowy Jork; och, te uczennice z Vassara; i która nie pasowała do tego, co wymyślono dla delikatnych dziewczynek w samodziałowych sweterkach w prążki, wśród klejnotów ze słońca w kroplach wody z polewaczek subtelnie terkocących na zielonych trawnikach Poughkeepsie; dużej dziewczynki, która musi się stamtąd wyrwać i robi się dość hałaśliwa i pyskata, aby wyjść na swoje w nierównych zawodach – a w miarę rozwoju intrygi przekonuje się, że jest większa na zgoła inny sposób, bystra i piękna...

...Rozglądają się i widzą Hermita, skulonego w kącie namiotu, Hermita, którego wszyscy kochają, ale działa im na nerwy – dlaczego? – i mówią, Odpieprz się, Hermit, po czym tego żałują, więc jego film nosi tytuł *Twój zły trip*. Dla wszystkich jest jak zły trip, bierze to na siebie, bierze na siebie twój zły trip zamiast ciebie, najgorszy z tych, których się spodziewałeś...

A Page, w czarnej kurtce z Żelaznym Krzyżem, ma film pod tytułem – oczywiście – *Ze-lota*. Tak, jakby wszyscy tam wachając paloną trawkę nagle przypomnieli sobie film, który Page, jak im powiedział, śnił na pryczy w więzieniu w Arizonie, gdzie trafił za, no... rozprowadzanie Obywateli Wymiarowym KREEMO, no cóż, właśnie – we śnie do pewnego miasta przybywa ubrany na czarno młody człowiek imieniem Ze-lota i rozpala w jego mieszkańcach ochotę na wszelkie sekretne szatańskie sztuczki, o których sama myśli, że mogliby sobie na nie pozwolić, zawsze przerażała ich najbardziej, jak na przykład, żeby rozwalić okno w Pysznej Bizuterii Co., Inc. i wy-y-y-y-y-garnąć ją do czysta, żeby uganiać się za małymi Mulatkami o sterczących dupkach, wszystkie zabronione sprawy, ośmieleni przez płonącego, błyszczącego, czarnego jeźdźca, Ze-lotę, pod jego wodzą, naprzód, w górę... Po czym, następnego, paskudnie zimnego, niebieskiego poranka, wszyscy patrzą na siebie nawzajem – *kto to zrobił?* – kto narobił tego wszystkiego, tych całych narkotyków, grabieży i dyszlowania? – co nas, na Boga, napadło? – co naszło to miasto? – cóż – *cholera!* – to nie my, to on, to on zakaził i rozpałił nasze mózgi, ten przeklęty gad, Ze-lota – i ruszają w dół ulicy, naprzemian bijąc się w piersi i w łyse łby, wrzeszczą o skórę Ze-loty, wykrzykują jego imię w najwyższej niesławie – a Ze-lota odjeżdża niedbale wprost w czarne południe, a oni

mogą sobie tylko popatrzeć na jego czarny kark i czarny zad jego konia oddalające się za następne wzgórze, dalej z kruczają... do następnego miasta...

...tak...

– Taaa, no to żeśmy się dzisiaj zsynchronizowali –

– i, rzecz jasna, wszyscy w namiocie spoglądają na Keseya i zastanawiają się. O czym jest jego film? Cóż, na początek można go zatytułować *Randle McMurphy*. McMurphy, który pogania, nęci, prowadzi wszystkich, aby zrobili własny film trochę większy, żeby się zadziało, przenosi akcję z beznadziejnie martwej, zacisznej zatoki. Spodoba ci się w Mieście Na Skraju, kolego. Ale nawet tam się nie zatrzymuj...

...i wszystko to odgradza nas od terażniejszości, mówi Kesey, od naszego własnego świata, naszej własnej rzeczywistości i dopóki nie dostaniemy się do swego własnego świata, dopóty nie będziemy mieli nad nim kontroli. Jeśli kiedyś dokonasz takiego przełomu, rozpoznasz go. Będzie tak, jakbyś miał pianolę, która gra kilometr na minutę, klawisze chowają się przed tobą w fantastycznych akordach, a ty nigdy przedtem nie słyszałeś tej pieśni, ale tak cię to wzięło, że palce same biegają po klawiszach jak należy. Kiedy dokonasz tego przełomu, wtedy zaczniesz grać na tym pianinie –

– *i nieść tę dobrą nowinę do wszystkich ludzi...*

12. Nalot

SKORO Na to wygląda, że ta cała La Honda i jej Dzika Zachodnia sława to zasługa niecných braci, co strzelali, jeśliś płacił Younger Brothers.

SKORO Tu uciekli pogoni, czadu dali, ale niech ich dobry Bóg broni, bo oni za gościnę sąsiedzką odplacili z nawiązką.

SKORO Postawiły rzezimieszki nowoczesny skład kupiecki Younger Brothers, choć to tylko zwykłe zbóje.

SKORO Teraz ten Kesey

i ci jego giganci, ob-sceneria cholerna, ćpuny i wariaci, bitniki ze śmietnika, ci, co drzewa barwią fosforyzującą farbą...

SKORO Wałą z blachy tarabany a koleś blaszany wypiął z blachy połędwicę i twarz blachę zanurzył pod blaszaną spódnicę blaszanej Marioli co popuszcza do woli z lewego palucha.

SKORO Tym wariatom odbiło, kukają i wyją, świrują, aż świerzbią dłonie, prowadzą się nieprzystojnie, gorsi niż tamte zbóje.

SKORO Dobrze wiemy, co tam się dzieje...

MACIE ZATEM PEŁNE PRAWO:.....

Prankstersi nabrali już takiego *momentum*, że poczuli się odporni na pewne bardzo oczywiste zagrożenie, mianowicie na gliny.

Obywatele La Hondy coraz bardziej zdecydowani byli zrobić porządek z Keseyem i Prankstersami, podobnie jak szeryf powiatu San Mateo i federalni agenci narkotykowi. Nie mieli pojęcia, jak, do cholery, wytłumaczyć wariactwa u Keseya, najwyraźniej więc uznali, że musi się tam używać twardych dragów – heroiny, kokainy, morfiny. Pod koniec roku 1964 wzięli teren Keseya pod obserwację. Prankstersi wiedzieli o tym i bawili się z glinami. Najważniejszym federalnym agentem narkotykowym w okolicy był Chińczyk z San Francisco, agent William Wong. Prankstersi zrobili wielki transparent i umieścili go na domu:

JESTEŚMY CZYŚCI, WILLIE!

Fajne były te zabawy z gliniarzami. Gliny całymi nocami siedziały w lesie koło strumyka, kiedyś któryś z nich wlaź do wody, zamoczył sobie nogi i coś powiedział. Prankstersi łapali to wszystko mikrofonami na drzewach, po czym głos Mountain Girl nadającej z chatki kpił sobie przez wzmacniacz w sekwojowy las: – Hej! Wy, gliniarze, chodźcie do domu i wysuszcie sobie nogi! Dajcie spokój tej zabawie w policjantów i wpadnijcie na smaczną, gorącą kawusię!

Gliny grały po prostu w odwieczną gliniarską grę. Tylko tyle myśleli o tym Prankstersi.

Około 21 kwietnia 1965 roku Prankstersi dostali cynk, że podpisano nakaz i gliny zrobią nalot. Cudownie! Gliny naprawdę chcą odegrać swoje, aż do oporu. Prankstersi umieścili na frontowej bramie wielki napis:

WSTĘP WZBRONIONY.

PIĘCIODNIOWE ODLICZANIE W TOKU

jakby wzięli się za najbardziej w dziejach świata zakazane, najbardziej ohydne orgiastyczne przeginanie pały za pomocą narkotyków. W rzeczywistości wzięli się raczej za czyszczenie z nich obejścia. Nalot nastąpił trzeciego dnia odliczania, 23 kwietnia 1965 roku o godzinie 10:50 wieczorem. O Boże, nikt jeszcze nie rozegrał lepszej partii gliniarskiej gry. Oto oni, absolutnie idealni gliniarze do gry w gliniarzy, szeryf, jego siedemnastu ludzi, agent federalny Wong, osiem policyjnych psów, samochody, furgonetki, spluwy, ochotnicy, liny,

walkie-talkies, megafony – Cosmo! cały pieprzony nalot jak się patrzy – i aż do końca Prankstersi grali w tym, co widzieli, a mianowicie w odlotowej farsie, operze buffo. Gliny twierdziły, że złapały Keseya na próbie spłukania marihuany w sedesie. Kesey utrzymywał, że tylko malował kwiaty na muszli. Łazienka i tak była jak jeden wielki kolaż fotografii, wycinków z gazet, fresków, mandali, wszystkiego cudacznego na tym świecie, jak ich autobus w miniaturze i pod dachem, gliny się włamały i agent Wong chwycił Keseya od tyłu. Kesey został później oskarżony między innymi o sprzeciwianie się aresztowaniu, na co odpowiedział, że był w łazience, a tu zjawił się jakiś nie zidentyfikowany osobnik płci męskiej i objął go od tyłu, więc przyłożył mu, rzecz jasna. Śmiechu było co niemiara. Opór Keseya, jak twierdził agent Wong, pozbawił go równowagi i wtrącił do wanny wprost na Page’a Browninga, który właśnie się kąpał. Browninga także aresztowali za sprzeciwianie się aresztowaniu. To była przesada.

Nawet kiedy gliniarze mieli już wszystkich, trzynaście osób, ustawionych pod ścianami i szukali u nich narkotyków, była to najbardziej wariacka gra w policjantów, w jaką kiedykolwiek grały jakiegokolwiek gliny. Jeden z nich sięgnął do kieszeni Hagen’a i kiedy wyciągał rękę, trzymał w niej fiolkę z jakimś przezroczystym płynem, na co wszyscy Prankstersi zaczęli wołać: – Hej! Grajcie czysto! Nie faulujcie! Zachowujcie się jak przyzwoite gliny! Grajcie ostro, ale czysto! – i tak dalej. O tej fiołce, czymkolwiek była, czy też miała być, słuch zaginął. W skrzynce z narzędziami na dworze najeźdźcy znaleźli strzykawkę pełną jakiegoś płynu – który okazał się Olejem Trzy-W-Jednym do oliwienia maszynarii magnetofonów – Kesey zaś i dwanaścioro innych, wśród nich Babbs, Gretch, Hagen, Walker, Mountain Girl, Page, Cassidy i Hermit, zostali spisani i postawiono im wiele zarzutów, w tym posiadanie marihuany i narkomariskich akcesoriów (to ta strzykawka), sprzeciwianie się aresztowaniu oraz deprawowanie nieletnich (Mountain Girl i Hermit). Nawet wtedy cała sprawa była tylko zwykłą grą w gliny-areszt-sędziego i adwokata, z tak efektownymi epizodami jak ten, kiedy wszyscy, wykupieni za kaucją, wyłonili się z mamra w San Mateo i pojawiła się matka Hermita. Hermit, jak odkryli w policyjnym rejestrze, nazywał się Anthony Dean Wells. Nikt nigdy nie pytał Hermita o nazwisko. Ale i tak jego matka spoliczkowała Keseya egzemplarzem *Lotu nad kukułczym gniazdem* w wydaniu kieszonkowym i wrzeszczała: – Wracaj do swojej kukułczej meliny! Powinieneś zostać w swoim gnieździe, zamiast z niego wylatywać, ty kukuło!

No cóż, to wszystko była przesada. Kiedy gliny ich spisywały, Babbs podał jako swój zawód „producent filmowy”, a Mountain Girl powiedziała, że jest filmowym technikiem. Więc w lokalnej prasie Babbs wystąpił uroczyście jako wielki producent filmowy, w

rezultacie nalotu przyłapany razem z wielkim pisarzem Keseyem. To było coś. Sprawą żywo zainteresowały się gazety z San Francisco, wysłały ludzi na wywiady z Keseyem w Jaskini Narkomanów i po raz pierwszy, choć tylko pośrednio, wieści o pranksterskim stylu życia dotarły do publiczności.

Nie mogli mieć lepszej reklamy, przynajmniej jeśli chodzi o kręgi wtajemniczonych intelektualistów, wśród których mogli liczyć na bezpośredni rezonans. Oskarżyć kogoś o posiadanie marihuany, to jakby powiedzieć o nim: „widziałem go, jak pociągał z kieliszka”. Keseya nazywano kimś w rodzaju „luzackiego Chrystusa”, „współczesnego mistyka”, na kształt Jacka Kerouaca i Williama Burroughsa. Jak można było zwyczajnie przeczytać w prasie, Kesey poszedł jeszcze dalej. Rzucił pisanie. Aktualnie pracował nad wielkim eksperymentalnym filmem zatytułowanym, jak z namaszczeniem donosiły gazety – „Nieustraszony Podróżnik i jego Weseli Prankstersi udają się na poszukiwanie spokojnej okolicy”. – Pisarze – powiedział pewnemu reporterowi – są więźniami sztucznych reguł. Jesteśmy więźniami składni. Jesteśmy podporządkowani wyimaginowanemu nauczycielowi z czerwonym długopisem, który stawia dwóje za najłżejsze nawet naruszenie tych reguł. Nawet *Lot nad kukulczym gniazdem* wygląda jak wyszukane ogłoszenie reklamowe.

LSD nie wspomniano ani słowem. Kesey wyszedł na wizjonera, który poniechał bogactwa i sławy pisarza, aby zgłębiać nowe formy wyrazu. W prasie kalifornijskiej awansował ze zwyczajnego znanego literata na znakomitość. Jeśli nalot miał na celu wykurzyć narkomanów, trudno sobie wyobrazić bardziej odwrotny skutek.

Po wypuszczeniu Keseya i Prankstersów za kaucją rozgrywki prawne ciągnęły się bez końca – ale wszyscy pozostawali na wolności. Sprawą zajmował się zespół agresywnych, bystrych, młodych prawników Keseya, szwagier Zonkera Paul Robertson z San Jose oraz Pat Hallinan i Brian Rohan z San Francisco. Hallinan jest synem adwokata Vincenta Hallinana, słynnego bohaterskiego obrońcy uciśnionych. Stopniowo odstępowano od zarzutów wobec wszystkich z wyjątkiem Keseya i Page’a Browninga, a nawet oni skończyli z jednym tylko oskarżeniem o posiadanie marihuany. Według rachunków Rohana, w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy 1965 roku piętnaście razy wyprawiali się do Redwood City, stolicy powiatu San Mateo. Ciągnęło się to bez końca, ale wszyscy pozostawali na wolności...

Tak jest! A headzi, młodzież, oszołomy, najróżniejsi umysłowi turyści zaczęli ściągać do Keseya do La Hondy.

Powrócił nawet Sandy Lehmann-Haupt. Minął prawie rok, był już znowu O.K. i przyleciał do San Francisco. Kesey i czterech czy pięciu innych Prankstersów wyjechało przywitać go na lotnisku. W drodze do La Hondy Sandy radośnie zdał zwięzły raport z tego,

co działo się z nim w Big Sur, zanim się zerwał.

– ...a wtedy zaczęły mi się śnić wojny senne z... – powiedział Sandy. Nie chciał mówić z kim.

– Taaak, wiem – odparł Kesey – ze mną.

Wiedział!

I mgła mysto znowu zaczęła napływać znad zatoki...

Norman Hartweg i jego przyjaciel Evan Engber przyjechali do La Hondy z Los Angeles z zamiarem spędzenia paru tygodni na sprawach tybetańskich i sprawdzeniu, o co w nich chodzi. To dziwny pomysł, zajmować się sprawami tybetańskimi u Keseya. Niemniej jednak taki właśnie był pomysł Normana. Norman był dwudziestosiedmioletnim dramaturgiem z Ann Arbor w Michigan. Był chudy, mierzył metr sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, miał szczupłą twarz, ostre rysy i brodę. Oraz lekko zadarty nos, który nadawał mu chłopięcy wygląd. Z trudem wiązał koniec z końcem pisując felietony do „Free Press”, tygodnika wydawanego w Los Angeles jako miejscowy ekwiwalent „Village Voice”, robiąc awangardowe filmy i mieszkając w pokoju położonym pod parkietem pewnej dyskoteki na Sunset Strip. Wpadł gdzieś na przyjaciółkę Keseya Susan Brustman, a potem na samego Keseya, który zaprosił go do La Hondy, aby pomontował Film i... pożył trochę razem z nimi... Nie wiadomo dlaczego Norman wyobrażał sobie, że ludzie u Keseya będą podobni do, no wiecie, jakichś mnichów w nowicjacie; dużo medytacji ze skrzyżowanymi nogami, chóralne melorecytacje, do jedzenia ryż, przeżywanie wibracji, subtelne przechadzki po lesie i poważne ambicje. Bo niby dlaczego mieliby siedzieć gdzieś w lesie, gdzie diabeł mówi dobranoc?

No i Norman przyjechał z L.A. z Evanem Engberem, reżyserem teatralnym od czasu do czasu, a później członkiem „Dr. West’s Jug Band” oraz, prawdę mówiąc, mężem aktorki filmowej Yvette Mimieux. Jechali szosą wzdłuż wybrzeża, kalifornijską drogą i, w San Gregorio skręcili na drogę 84 i dalej w głąb sekwojowych lasów; zakręt i są u Keseya. Ale, Boże, to jakoś nie wygląda zbyt tybetańsko. Nawet nie chodzi o wisielca na drzewie ani o posąg faceta, który się wgryza. Do diabła, Tybetańczycy też żyją na tym świecie. Chodzi raczej o jakiś dziwny szczegół tu czy tam. Skrzynka pocztowa Keseya na przykład, czerwono-biało-niebieska, w Gwiazdy i Paski. I wielki oprawiony w ramy szyld na szczycie domu: WROBILI NAS. I frontowa brama po drugiej stronie drewnianego mostu. Zrobiona z wielkich brzeszczotów pił do ścinania drzew, z trupa czaszką i wielkim, długim na prawie pięć metrów napisem: Merry Pranksters witają Hell’s Angels. Z głośników na dachu domu

wali muzyka, jakaś płyta Beatlesów – *Help, I ne-e-e-ed somebody...*

I w tej chwili, właśnie w tej chwili, Engber czuje ból przeszywający mu lewe ramię.

– Nie wiem, co się dzieje, Norman – powiada – ale ledwo żyję.

Przejeżdżają przez most, wysiadają i wchodzą do domu w poszukiwaniu Keseya. Brunatne psy zrywają się z chmar pcheł przed domem, kaszląc owocowymi muszkami. Engber łapie się za ramię. W środku jaskrawe zielono-złote strugi światła wpadają przez oszklone drzwi wprost w niesamowitą rupieciarnię. W dużym pokoju ze stropowej belki zwisają wielkie rury, cały rząd, niczym ogromny pionowy ksylofon. I lalki, z krokwi zwisają lalki, lalki przemontowane, lalki z głową sterzącą ze stawu biodrowego, z nogą wystającą z szyi, ramieniem z drugiego biodra, nogą z łopatki itd. i pępkim pomalowanym Day-Glo. I balony oraz butelki po chianti powtykane w belki pod dziwaczными kątami, jakby nagle zamaryły w trakcie spadania na podłogę. A na podłodze, na krzesłach, na stołach, na kanapie wszędzie zabawki i magnetofony i części magnetofonów i części części magnetofonów i sprzęt filmowy i części części sprzętu filmowego, taśmy dźwiękowe i filmowe poniewierają się po całym domu, poupychane pomiędzy przewodami i gniazdkami, wszystko to w ogromnych spiralnych zwojach, wielkich celuloidowych bałwanach, a do ściany ktoś przyklepił wielki kawał gazety z nagłówkiem:

CHWAŁA WSZELKIM SKRAJNOŚCIOM...

Wśród tego wszystkiego siedzi sobie z boczku tykowata dziewczyna, wygląda bardzo po skandynawsku, brzdąka na gitarze, na której nie umie grać, podnosi wzrok na Normana i mówi:

– Wszyscy mamy jakieś kompleksy... i musimy się ich pozbyć.

Taaak... taaak... Chyba tak. Oto po drugiej stronie drobna postać z ogromną czarną brodą. Ten mały g-nom spogląda na Normana. Oczy mu się zwężają i popada w szeroki, niewytłumaczalny uśmiech, patrzy prosto na niego, a potem na Engbera, aż wreszcie czmycha drzwiami mamrocząc pod nosem i chichocząc do samego siebie. Taaak... taak... Chyba tak, mnie też się tak wydaje.

– Nie wiem, co mi się, do cholery, stało – mówi Engber – ściskając się za ramię – ale jest coraz gorzej.

Norman nadal krąży po domu, aż trafia do łazienki. Tyle że to dom wariatów, a nie łazienka. Ściany, sufity, wszystko to jeden wielki kolaż, niesamowite plamy czerwieni i oranżu, niesamowite ogłoszenia i niesamowite kolorowe fotosy z pism, kawałki plastyku,

tkaniny, papieru, smugi farby Day-Glo oraz z sufitu w dół jednej ze ścian dzika, ukośna swawola nosorożców, jakby tysiąc malutkich nosorożców goniło się nawzajem po Niesamowicie Zwariowanej Krainie. Powyżej górnej części lustra nad umywalnią widnieje pomalowana Day-Glo mała trupia czaszka. Czaszka wisi na zawiasach, Norman podnosi ją, a pod spodem do lustra przylepiona jest wypisana na maszynie wiadomość:

„Teraz, skoro już zwróciłam na siebie Twoją uwagę...”

Norman i Engber wychodzą z domu i ruszają ścieżką pod górę do lasu, poszukać Keseya. Przechodzą obok pni drzew krzyczących Day-Glo, jakichś namiotów tu i tam i czegoś w rodzaju dziwacznej pieczary w ścianie jaru z jakimiś obiektami jarzącymi się Day-Glo u wejścia, potem soczyście zielonymi przecinkami idą w promieniach światła sączących się poprzez sekwoje – i wciąż trafiają na dziwaczne przedmioty. Nagle kompletne łóżko, staromodna, żelazna rama, materac, narzuta, ale wszystko błyszczy szalonymi smugami i wirami pomarańczowego, czerwonego, zielonego Day-Glo. Potem zwariowany konik-zabawka przytwierdzony do pnia drzewa. Dalej telefon – *telefon* – na szczycie pniaka, świeci w głębokiej zieleni różnokolorowymi, sterczącymi kablami. A potem telewizor, tyle że z szalonymi deseniami wymalowanymi Day-Glo na ekranie. Potem polanka, błysk słońca, a z boczem schodzi Kesey. Wygląda na dwa razy większego niż wtedy, kiedy Norman widział go w L.A. Ubrany jest w białe levisy i białą trykotową koszulkę. Idzie wyprostowany jak strzała, swobodnie wymachuje potężnymi, muskularnymi ramionami. Sekwoje pną się wokół.

Norman mówi:

– Cześć...

Ale Kesey ledwie kiwa głową i uśmiecha się blado, jakby chciał powiedzieć, mówiliście, że przyjdziecie, no i jesteście. Kesey rozgląda się wokół, a potem w dół zbocza, ku wyżynom z namiotami, ku domowi oraz szosie i powiada:

– Działamy tu na wielu poziomach.

Engber ściska się za ramię i mówi:

– Nie wiem, co to jest, Norman, ale nie wyrabiam. Muszę wracać do L.A.

– Cóż, dobrze, Evan...

– Wrócę, kiedy mi przejdzie.

Norman tak jakby wiedział, że Evan nie wróci i nie wrócił, ale sam chciał się tu trochę pokręcić.

No dobrze, Panie Montażysto Filmowy, Pisarzu Artykułów, Uczestniczący Obserwatorze, przyjechałeś. Do dzieła z tym twoim... montowaniem, pisaniem,

obserwowaniem. Ale Norman jakoś nie zaczyna montować filmu ani pisać swoich felietonów. Niemal natychmiast ogarnęła go owa dziwna atmosfera tego miejsca. Jest to atmosfera – jak by to opisać? – wszyscy się tu czymś zajmujemy, albo bierzemy w czymś udział, ale nikt nie chce ci tego opisać słowami. Opisać słowami – problem polega już na tym, że bardzo trudno jest tu, w tym domu w lesie, nawiązać rozmowę. Wszyscy są bardzo przyjaźni, przeważnie otwarci. Ale wszyscy mówią o – jak by to opisać? – o... *życiu*, o tym, co dzieje się wokół nich, o tym, czym się zajmują – albo o rzeczach z natury tak abstrakcyjnych i metaforycznych, że ich też nie można ogarnąć. Potem uświadamia sobie, że naprawdę chodzi o to, iż oni nie są zainteresowani żadnym z podstawowych artykułów umysłowej wymiany, z których składają rozmowy intelektualistów w modnym światku L.A., żadnym ze standardowych tematów, książek, filmów, nowych tendencji politycznych... Całymi latami on i jego znajomi rozmawiali wyłącznie o produktach umysłu, ideach, kombinacjach, łakociach dla mózgu, cieniach życia, jak o namiastce samego życia; tak jest. Tu się nawet nie używa zwykłego intelektualnego słownictwa, tu się głównie po prostu mówi *sprawa*.

Sprawa Cassady'ego to – Boże Wszzechmogący, sam Cassady – i to Cassady'emu zawdzięcza pierwsze wrażenie codziennej alegorii tu u Keseya, alegorycznego życia, demonstrowania lekcji życia w każdym działaniu – tak jak w przypadku Szkoły Jazdy Gestalt Cassady'ego – ale to już *twoja* nazwa... Kiedy trzeba gdzieś pojechać samochodem, prowadzi Cassady. To *sprawa* Cassady'ego, przynajmniej na pewnym poziomie. Jadą pod górę, aż do Skylondy, na szczyt grzbietu Cahill, jadą po coś. W drodze powrotnej, w dół, Norman siedzi z tyłu, dwoje czy troje innych siedzi z przodu i z tyłu, Cassady prowadzi. Toczą się z góry coraz szybciej, drzewa migają jak na przejażdżce w wesołym miasteczku, tyle że Cassady nie patrzy na drogę. Ani nie trzyma kierownicy. Prawą ręką przelatuje stacje gałką radioodbiornika. Przebija się jakiś rock'n'rollowy numer – *I'm nurding ut noonh er-lation* – potem jakiś inny, o tu na skali – *wronnh ba-bee suckoo pon-pon* – cały czas Cassady lewą dłonią wali w rytm w koło kierownicy i wydaje się, że cały samochód przechodzą od tego ciarki – głowę odwrócił całkiem do tyłu, patrzy Normanowi prosto w oczy i szczerzy się, jakby prowadził z nim najsympatyczniejszą, najrozkoszniejszą konwersację, tyle że mowę trzyma wyłącznie on, jak niewiarygodne oralne, słowne migotanie przedsióneków, wariacka nostalgia – plymouth z czterdziestego szóstego, rozumiesz, biegi wchodzą jak w wózku mleczarza, stoimy równo z chryslerem z czterdziestego siódmego, a ten mały nerwusik, biały, miękki cukiereczek, miał tam automatyczną skrzynię biegów, chciał zaszpanować, rozumiesz – wprost do Normana z najradośniejszym pod słońcem uśmiechem...

Ciężarówka – ty idioto –

– dosłownie w ostatniej chwili Cassady zamachnął jakoś ogonem samochodu i wcisnął go w zakręt, a ciężarówka przeleciała obok czystym ciosem jak wielka, 10-tonowa, rozpędzona łaź smoły – Cassady wciąż gada, wisi na kierownicy, rytm wybija i nawija. Norman przerażony; Norman przygląda się reszcie, czy oni... ale wszyscy siedzą sobie podczas tej maniackiej jazdy, jakby nie działo się nic nadzwyczajnego.

A może to właśnie o to chodzi... po raz pierwszy dopada go Horror, paranoja... może to właśnie to, może dał się zwabić w pułapkę bandzie zaprawionych szaleńców, którzy dla jakichś nieznanych powodów zrobili sobie z niego zabawkę...

Z powrotem w domu postanawia wcielić się w rolę Dziennikarza Reportera Obserwatora. Przynajmniej zajmie się czymś i będzie *na zewnątrz*, zdrowy, na dystans. Zaczyna wypytywać o to i owo, o Cassady'ego, o Babbsa, o te *sprawy niewymowne*, o to dlaczego...

Naraz wybucha Mountain Girl.

– Dlaczego! Dlaczego! Dlaczego! Dlaczego! Dlaczego! Dlaczego! – mówi, wymachując rękami i potrząsając głową z taką stanowczością i przekonaniem, że Norman wymięka.

Później zjawia się Kesey i powiada przy jakiejś okazji: – Cassady nie musi już myśleć – i odchodzi. Tak, jakby z jakichś względów dostarczał Normanowi brakujący kawałek układanki.

Kesey stale robi takie rzeczy. Jakby sterowany radarem materializuje się w krytycznym momencie, w chatce, przed domem, za domem, w lesie. Kryzys może dotyczyć kogoś osobiście albo całej grupy – ni stąd, ni zowąd wyskakuje Kesey jak Captain Shotover w sztuce Shawa *Hearstbreake House*, wypowiada jakąś kwestię – zwykle coś tajemnego, alegorycznego czy banalnie opisowego, nigdy oświadczenie czy osąd. Najczęściej cytuje maksimum jakiegoś miejscowego mędrca – Page powiada, Cassady powiada, Babbs powiada – *Babbs powiada, jeśli nie wiecie, jaka będzie następna sprawa, nie pozostaje wam nic innego, tylko...* i tak samo ni stąd, ni zowąd już go nie ma.

Na przykład – no cóż, wygląda tak, jakby nigdy nie było tu żadnych różnic zdań, żadnych konfliktów, pomimo wszystkich różnych, a w niektórych przypadkach dziwacznych, osobowości rykoszetujących wokół, rozgadanych, rozpędzonych. A jednak to tylko iluzja. To tylko to, że nie muszą załatwiać tego ze sobą sami. Idą z tym do Keseya, wszyscy wiecznie czekają na Keseya, krążą wokół niego.

Jeden młodzieniec zwany Pancho Pillow nałogowo psuł humory wszystkim wokół. Po prostu robił się nieznośny, w dowolny sposób, jaki mu tylko przyszedł do głowy, po czym ty

powinieneś go pogonić, po czym on mógł poczuć się skrzywdzony i mieć pretensję do ciebie o... *wszystko*. Taki był jego film. Pewnego wieczoru Pancho siedzi w domu z książką na temat orientalnych dywanów, pełną przepięknych barwnych ilustracji i w kółko nawija o tych dywanach...

– ...tak jakby, stary, ci goście odjechali już dziesięć wieków temu, totalnie, robili takie mandale, że w pale się nie mieści – nie? – popatrz no, stary, odpadniesz, no popatrz, tylko raz...

...i podtykał tę książkę pod jakiś pranksterski nos... a tam piękna kolorowa fotografia isfahariskiego kobierca, jaskrawe czerwienie, pomarańcze, złoto i wibrujące linie w kształcie gwiazdy, promieniujące od medalionu w samym środku...

– Nie, dzięki, Pancho. Już to widziałem.

– Daj spokój, stary! Rozumiesz, ja jakby muszę *podzielić się tą sprawą*, musisz to obejrzeć, nie mogę trzymać tego wszystkiego tylko dla siebie! Tak jakby, no wiesz, chodzi o to, że ja chcę *podzielić się* tym z tobą – kapujesz? – no to popatrz na to tutaj...

I tak dalej wciskał tę cholerną książkę wszystkim, czekał, aż ktoś powie mu, żeby się odpieprzył, a wtedy będzie mógł oddalić się uroczyście, spełniony.

Nakarmić głodną pszczołę – ale jak Boga Kocham, taka menda to jednak przesada. Więc wszyscy Prankstersi biorą na *przeczekanie*, czekają na jedno, czekają, aż pojawi się Kesey. Za jakiś czas otwierają się drzwi i to właśnie Kesey.

– Słuchaj, stary! – woła Pancho i śpieszy ku niemu. – Musisz popatrzeć na to, co tu znalazłem! Muszę cię tym zatrypić, stary! Powaga, naprawdę muszę, zobaczysz, odpadniesz! – i podtyka Keseyowi książkę pod nos.

Kesey spogląda na fotografię isfahanu czy shirazu, bakhtiari, czy cokolwiek to jest, jak gdyby badawczo. A potem mówi, cicho, po oregońsku cedząc słowa:

– Dlaczego miałbym się wpuszczać w twój zły trip?

...nie podnosząc wzroku, tak jakby to, co mówi, miało jakiś związek z tym romboidalnym medalionem na zdjęciu albo z tym szlaczkiem z żółwi i palm...

– Zły trip! – wrzeszczy Pancho. – O co ci chodzi, dlaczego zły trip! – i ciska książkę na podłogę, ale Kesey zniknął już w głębi domu. I Pancho uświadamia sobie, że cała ta sprawa to w gruncie rzeczy wcale nie jest dzielenie się pięknem dywanów, ale po prostu złym tripem i *oni* wszyscy wiedzą, o co tu chodzi, i on *wie*, że oni wiedzą, więc zabawa skończona, bywaj zdrów, Pancho Pillow.

A jednak Norman zaczynał myśleć, że nawet Pancho bardziej należał do grupy niż on. Czuł się niepotrzebny. Nigdy nie zabrał się za montaż filmu. Kesey i Babbs namawiali Normana, żeby go trochę poprzykrawał. Ale on chciał najpierw zobaczyć cały film, przejrzeć cały materiał, żeby zobaczyć, w którą stronę to zmierza. Tak samo było z grupą. Chciał ją całą przepuścić od początku przez swą maszynkę do montażu i zobaczyć, jak przedstawia się jej pełny obraz, jej cel. Cały czas wyglądało, jakby go sprawdzali, sprawdzali, sprawdzali, szukali słabych punktów. Bradley, że też właśnie on, napadł go pewnego poranka, nawrzucał mu, co tylko przyszło mu do głowy, najwyraźniej aby go sprowokować. Norman czytał właśnie podręcznik sanskrytu, próbując uczyć się alfabetu. Doszedł do wniosku, że równie dobrze może się zająć tym, skoro nie ma nic innego do roboty. A także palił papierosa. Bradley startuje.

– Za każdym razem, kiedy czytasz książkę albo palisz papierosa – krzyczy – trafia mnie szlag. Spójrz na Pancha. Pancho pracuje. Pancho cały czas pisze wiersze i codziennie przynosi mi jakiś poemat...

...co jest śmiechu warte, wiersze Pancha są takie marne. To w istocie taka bzdura, że sam Bradley śmieje się z tego. Tak czy owak, zarzut padł. Że Norman się leni, że jest „osobisty”. Czytanie dostarcza przyjemności wyłącznie czytającemu. Grupa nic z tego nie ma. Także palenie papierosów – jest to coś, co nie służy nikomu poza palącym. Więc on wytyka Normanowi, że jest leniwy i że się nie przyczynia. *To prawda. Ma rację.* Ale on chce się o to pokłócić, czy coś takiego, co wydaje się Normanowi zabawne, więc śmieje się z Bradleya – *Bradleya* – i choć to tylko Bradley, wszystko wskazuje, że to próbka tego, co czuje reszta. W przeciwnym razie Bradley prawdopodobnie siedziałby cicho. Norman coraz bardziej zamyka się w sobie, milknie. I chyba się z niego śmieją...

– *Nie z ciebie, a do ciebie* – wciąż powtarza mu Kesey, próbując żartem wymanewrować go spod jego haków i kompleksów niższości. Ale naprawdę pomogło dopiero to, że pojawił się Paul Foster.

Foster to wysoki, kędzierzawy facet, wówczas pod trzydziestkę, który okropnie się jąka. Jest matematykiem i pracował w Palo Alto jako Programista komputerowy, najwyraźniej zarabiając kupę pieniędzy. Potem zaczął się kręcić z muzykami i to dzięki nim zetknął się z kilkoma... środkami poszerzania świadomości. Odtąd życie Fostera wydawało się podzielone na okresy starego, poczciwego programowania komputerowego, kiedy to nosił krawat oraz opalizujący, zielony jak cyraneczka garnitur z cyrkonopoliesteretylenu i był poważnym gościem w normalnym świecie, oraz na okresy życia na... Speedzie, Wielkim Bogu Wirniku, kiedy zakładał swój Płaszcz Ważności. Była to kurtka, którą zamienił w kołaż.

Cała pokryta licznymi warstwami wstążek, guzików ze sloganami i innymi błyskotkami, spiętrzonymi jedne na drugich i trzepocącymi na wietrze tak, że w końcu wyglądała jak kaftan z bufiastymi rękawami prosto z dworu Ludwika XV. Wprowadził się na drzewo. Sandy zbudował dom na drzewie, platformę, na której rozbił namiot. Trochę niżej Paul wybudował drugą taką; O.K., piętrowy domek na drzewie. Paul Foster przybył z niesamowitą ilością dobytku, wszelkiego dobra. Sprowadził wszystko i założył na drzewie domowe gospodarstwo. Założył na drzewie okno, drzwi wejściowe i półki na książki. Miał dziwne książki. Jakąś encyklopedię, tyle że z 1893 roku i książki w najdziwniejszych językach, w tagalogu, w urdu i najwyraźniej miał o tych językach jakieś pojęcie... i coraz więcej *fajansu*. Miał wielki wór gadżetów, który nosił ze sobą, pełen najdziwniejszych rzeczy, połyskujących szkiełek i blaszek, obudów tranzystorowych odbiorników radiowych, ale tylko obudów, gwoździ i śrubek, pokrywek i tubek, a w środku tego wora z dziwnym fajansem mieścił się mały worek, miniatura dużego wora, który zawierał *drobny* dziwny fajans... i można było sobie wyobrazić, że gdzieś tam w środku mieścił *bardzo* mały woreczek, który zawierał *bardzo* drobny dziwny fajans i tak dalej w nieskończoność... Miał także mnóstwo długopisów, kolorowe mazaki z filcową końcówką. Siadywał w domku na drzewie, stary, niezmordowany Wir-ryjnik, dobry bożek Speed, zeskrobywał kalambury, kalambury, kalambury, kalambury ze ścian mózgu i wymyślał znaki, takie jak ten, który umieścił przy wjeździe do domu tam, gdzie podjazd skręca od drogi 84 na mostek, znak z napisem: „Nie zaprawionym skręt w lewo wzbroniony”. Potem zjawiali się jacyś ludzie i zabawiał ich w swym domku na drzewie, który nocami świecił jak szalony, połyskiwał smugami Day-Glo, a on siedział tam i rysował, rysował, rysował, rysował albo pracował nad swoim ogromnym, szalonym albumem wycinków z gazet...

Norman i Paul Foster mieli wiele wspólnego. Obaj byli niezłymi artystami, obaj dysponowali pewnym zasobem erudycji, erudycji, erudycji. Foster, który jękał się strasznie, cenił sobie odrobinę prywatności pośród tego wszystkiego, tak samo jak Norman. Oczywiście Foster sprawdził się jako Pranksters o wiele prędzej niż Norman. To było dość dziwne. Nie było żadnych reguł. Nie było żadnego oficjalnego okresu próbnego, żadnego głosowania, czy on albo ona jest, czy też nie jest, jednym z nas, żadnej promocji, żadnego pasowania uderzeniem w ramię. A jednak był czas na sprawdzenie się, wszyscy o tym wiedzieli i nikt nigdy nie mówił na ten temat ani słowem. W każdym razie Norman mógł sobie pogadać z Fosterem i wszystko się od tego odmieniło. Nie czuł się już tak przeraźliwie samotny. Zauważył też naraz, że to nie tylko o niego chodziło – Prankstersi poddawali próbie wszystkich, skłaniali do ujawnienia kompleksów aż tak otwarcie, żeby można było

zachowywać się totalnie szczerze, żyć chwilą, spontanicznie, a jeśli trzeba było wbić ci parę szpilek, abys przebył całą tę drogę...

Foster właśnie peroruje w domu, opowiada swoje zwariowane zagadki logiczne, tylko koszmarnie się jąka:

– Przy-pu-pu-pu-pu-ścmy, że wszystko, co po-postrzegamy, to tylko... – jakaś długa, skomplikowana sprawa. Wcina się Mountain Girl:

– A-a-a-ale P-P-P-P-Paul, nie łapię se-se-se-sensu całej tej per-per-per-per-per-cepcji. Staram się, a-a-a-ale t-t-t-to tylko s-s-s-s-słowa. Mógłbyś to po-po-po-po-powtórzyć!

Foster oczom i uszom nie wierzy. Zamarł, stoi i tylko wytrzeszcza oczy, wytrzeszcza, wytrzeszcza, wytrzeszcza, aż wybucha:

– I to miało być śmieszne! Ty masz gorsze kompleksy, niż jąkanie się, Mountain Girl! Masz niewyparzoną gębę i nie umiesz się nią posługiwać! Szpetota – to jest twój trip, szpetny trip! Cóż, wiem tylko tyle...

– No widzisz! – woła Mountain Girl. Szczerzy się w tryumfalnym uśmiechu, śmieje się niemal i klaszcze w dłonie, taka jest uradowana tym, co wywołała. – Nie jąkasz się, kiedy się wkurzysz!

Foster znowu zamiera. Nie spuszcza z niej wzroku. Potem odwraca się na pięcie i znika za drzwiami bez słowa.

Najśmieszniejsze, że ona miała rację.

Co to było?... coś takiego jak... no tak! *terapia grupowa*, jak spotkaniowy maraton w terapii grupowej, kiedy wszyscy są razem całymi dniami, wszyscy wystawiają na próbę swoje słabości, wystawiają wszystko na światło dzienne, zupełne otwarcie. Tyle że to była terapia grupowa nie dla ludzi w średnim wieku, sponiewieranych życiem, ale dla Młodych! i Odpornych! – nie jak łatanie wraków, ale jak ekwipowanie żywych na jakiś niewiarygodny przełom *ponad katastrofą*. Zawsze dotąd najpoważniejsze ludzkie obawy dotyczyły jakiejś katastrofy, choroby, wojny, nędzy, zniewolenia, zawsze ci jeźdźcy Apokalipsy. Ale co począć w tej przerażającej pustce *ponad katastrofą*, gdzie wszystko podobno ma być możliwe? Norman natknął się na następną z dziwnych, proroczych książek na półce Keseya, *Childhood's End* Arthura Clarke'a, w której... na Ziemi rodzi się pokolenie Totalnego Przełomu i już w niemowlęctwie dzieci te znacznie górują intelektem nad rodzicami. Same zakładają kolonię, jednakże nie jako jednostki, ale jako jedna wielka kolonialna istota, w

biologicznym sensie kolonialnego zwierzęcia, aż w końcu Ziemia, wypełniwszy swą misję, w konwulsjach rozpada się na kawałki, a one, te dzieci, mówią: „Coś zaczyna się dziać. Gwiazdy ciemnieją. Jakby podnosiła się wielka chmura, bardzo prędko, wszędzie na całym niebie. Ale to nie jest chmura. Wydaje się mieć swego rodzaju strukturę – można dostrzec niewyraźną sieć linii i pasm o stale zmieniających się pozycjach. Prawie tak, jakby gwiazdy uwięzły w sieci jakiegoś upiornego pająka. Sieć zaczyna świecić, pulsować światłem, dokładnie tak, jakby była żywa... Ponad zachodni horyzont sięga wielka kolumna płomieni, jak drzewo ognia. Jest daleko stąd, dokładnie po drugiej stronie świata. Wiem, skąd bije: to oni stają się wreszcie częścią Ponadświadomości. Zakończył się okres ich próby: porzucają ostatnie szczątki materii... Cała okolica stoi w ogniu – jest jaśniej niż w dzień – po niebie gonią się czerwienie, złocistości i zielenie – och, brak mi słów, to chyba nie jest w porządku, że tylko ja jeden to widzę – nie sądziłem nigdy, że takie kolory...”

Krótko mówiąc, zaprawieni, że się w naszych najukochańszych dyńkach nie mieści, stary, i w drodze do... Miasta na Skraju, absolutnie i naprawdę żeśmy się dziś zsynchronizowali.

– ale żadnego mi tu lania wody, cherubinów z *Academie Francaise* i dzieci, które rosną na drzewach; ani żadnych świątobliwych, trzepoczących płótnem tóg Orientali Gautamy Buddy tchnących wonią starego roquefortu duchowej separacji. Oni bowiem spróbują samym środkiem głównej autostrady; osiem pasm ruchu, czaploszyje lampy łukowe wznoszą się do granic wzroku; a oni nadają na wszystkich falach, powiewają amerykańskimi flagami; w blasku Day-Glo i neonów elektro-pastelowej Ameryki lat sześćdziesiątych; spróbują okablowanym i nagłośnionym, pędzonym 327 000 koni mechanicznych autobusem marzeń z filmu science fiction; zapraszają na pokład wszystkich, wszystko jedno jak niewiarygodnie nędznych czy obrzydliwych...

13. Aniołowie Piekieł

Wątpię, czy poza Keseyem ktokolwiek z Prankstersów naprawdę rozumiał Mountain Girl. Zawsze była tak stuprocentowo otwarta, tak wyszczekana oraz tak bezpośrednia i szczerza jak ciężarówka Mack, że nikomu nie przychodziło do głowy, iż może mieć jakieś ukryte oblicze. Nikomu z wyjątkiem Keseya, jak powiedziałem. Czasami Kesey i Mountain Girl znikali w domku z tyłu domu, leżeli na materacach i rozmawiali, Kesey opowiadał, co myślał o najróżniejszych sprawach, o życiu, o losie, o Teraz... gdy tymczasem Mountain Girl... torowała drogę pewnej myśli poprzez cichy potok słów Keseya tam, na materacu... no tak, cóż... i opowiedziała mu tak szczerze, jak tylko potrafiła, historię ostatnich czterech czy

pięciu lat swego życia. Kesey nic z tego nie rozumiał. A dokładniej nie rozumiał tego, że czasami bywała samotna jak wszyscy diabli.

Samotna? Dlaczego, na miłość boską? Mountain Girl, która w każdej sytuacji wyrabiała się na luzie jak na lianie, jak Sheena, Królowa Dżungli. Stała już wysoko w pranksterskiej hierarchii. Nikt, często wydawało się, że nawet Faye, nie był bliżej Keseya. Ale tak to właśnie było; Kesey... Kesey był kluczem do sensu całego życia Mountain Girl wśród Prankstersów. Bez niego i bez Hasslera górę mogłaby wziąć porażająca samotność... Jedyńą poza Keseyem osobą, z którą mogła rozmawiać, był Hassler. Bez Hasslera... Ależ w takiej komunie potrafi być gęsto pod spodem, na pewnym poziomie jest pięknie, ale czasami trzeba się troszkę przyłożyć, żeby tak pozostało.

To naprawdę zabawne. Tego popołudnia na trawnikach Poughkeepsie terkotały spryskiwacze całe w kropelkach i w pretensjach. Sierpniowe słońce wypala brązowe plamy tam, gdzie nie pada cień drzew, wiecie Państwo. Zresztą, nieważne. Tak się składa, Doktorze, że nasze rozwiązanie nazywa się Kesey. A ten dźwięk, Doktorze, który przebija się ponad to terkotanie, przyprawiłby zapewne pańskie biedne, nitkowane serduszko o palpacje. Dźwięk jak lokomotywa wśród sekwojowych lasów na zakrętach drogi 84 ze Skylondy. To Aniołowie Piekieł, Hell's Angels w szyku bojowym, dokładniej zaś dziesiątki potworów na harleyach-davidsonach 74. Panna Carolyn Adams z Poughkeepsie w stanie Nowy Jork ma właśnie stanąć twarzą w twarz z pierwotnym niebezpieczeństwem i warczeć lipne komendy do Hell's Angels, a oni będą słuchać, ponieważ błyski słońca jej oczu będą eksplodować na ich oczach i oślepić ich potwory. Ta energia płynie od Keseya, Doktorze, i nic nie jest w stanie zagrozić spokojowi pańskiego serduszka.

Kesey poznał Hell's Angels pewnego popołudnia w San Francisco przez Huntera Thompsona, który pisał właśnie o nich książkę. Nawiasem mówiąc okazała się znakomitą książką, pod tytułem *Hell's Angels, a Strange and Terrible Saga*. W każdym razie Kesey i Thompson wypili po parę piw, Thompson powiedział, że musi iść do warsztatu zwanego Box Shop zobaczyć się z paroma Aniołami, a Kesey zdecydował się mu towarzyszyć. Nad swymi motorami pracowali Hell's Angel imieniem Frenchy i jeszcze czterech czy pięciu innych. Kesey od razu się im spodobał. Był takim samym twardzielem jak oni. Właśnie dorwano go za marihuanę, co w oczach Aniołów uchodziło za certyfikat Swoich Ludzi. Oświadczyli mu, że nie można wierzyć człowiekowi, który nie siedział, a on był właśnie na najlepszej drodze do odsiadki. Kesey powiedział później, że sprawa z marihuaną zrobiła na nich wrażenie, natomiast zupełnie ich nie wzruszyło, że jest pisarzem. Ale i o tym wiedzieli, więc był

sławnym człowiekiem, życzliwym i zainteresowanym, choć przecież nie ciotą, reporterem ani żadnym z przymilnych plazów, które kręciły się wokół nich tego lata.

A tego lata roku 1965 kręciło się ich sporo. Hell's Angels byli niesławnymi bohaterami kalifornijskiego sezonu letniego. Ustanowili swój rekord wszechczasów złej sławy. Seria incydentów, po których nastąpił niewiarygodny cykl artykułów w gazetach i magazynach, w tym *w „Life” i „Saturday Evening Post”, sprawiła, że ludzie na Dalekim Zachodzie wyobrażali sobie każdy weekend w życiu Aniołów jako inwazję Hunów gwałcących małe dzieci. Intelktualiści z San Francisco, szczególnie na University of California w Berkeley, zaczęli ulegać ich romantycznemu urokowi w kategoriach „alienacji”, „zbuntowanego pokolenia” itp. Coraz częściej kontaktowano się z Thompsonem z prośbą o zaaranżowanie spotkania z Aniołami – ale nie z całą bandą, Hunter, może z jednym lub dwoma na początek. Kesey nie potrzebował żadnego jednego lub dwóch na początek. Sztachnął się z chłopcami parę razy jointem i Hell's Angels byli już w autobusie.

Następne, co dotarło do mieszkańców La Hondy, to wielki transparent na domu Keseya, długi na cztery i pół metra, wysoki na metr, czerwono-niebiesko-biały.

MERRY PRANKSTERS WITAJĄ HELL'S ANGELS

Sobota 7 sierpnia 1965 roku była na bożym świecie La Hondy w Kalifornii jasnym, czystym, promiennym, słonecznym letnim dniem. Miejscowa ludność szykowała się nań zabijając gwoździami drzwi swoich domostw. Gliny szykowały się grzejąc silniki w brygadzie dziesięciu wozów patrolowych wyposażonych w błyskające światła i ostrą amunicję. Prankstersi szykowali się łapiąc fazę. Siedzieli w swojej zielonej czeluści, w chatce i wokół niej, u stóp sekwoi i przyprawiali, że się im w dyńkach nie mieściło. Biła im także poważnie z łaski bożej adrenalina. Nikt tego głośno nie mówił, ale tak się składało, że nadciągali najprawdziwsi Aniołowie, około czterdziestu, na w pełni profesjonalną „akcję”, czyli taką wycieczkę, na jakich Aniołowie robią swoje, wszystkie swoje niecodzienne sprawy, nadciągali w całej swej świerzbącej, obrzydliwej, rozwalającej łby, sikającej w ogień, zawadiackiej masie. Z tej okazji Prankstersi mieli mnóstwo gości. Byli prawie jak publiczność oczekująca na pojawienie się głównych aktorów. Zjawili się sporo ludzi ze starej załogi z Perry Lane, Vic Lovell, Ed McClanahan i inni. Był Allen Ginsberg, jak również Richard Alpert i wielu intelektualistów z San Francisco i Berkeley. *Tachykardia* wam wszystkim – ale Kesey był spokojny, nawet trochę się śmiał, wyglądał na silnego jak tur w irchowej koszuli, Człowiek Z Gór, sprawiał, że wszystko wydawało się normalne i

nieuniknione, nieunikniona faza przelotu, dokładnie w tym momencie. Do diabła, jeśli społeczeństwo powiatu San Mateo w Kalifornii postanowiło uznać ich za wyrzutki z powodu czegoś tak niewinnego jak marihuana, to mogli z powodzeniem pójść z prądem i pokazać społeczeństwu, co to naprawdę są Wyrzutki. Aniołowie nadali wspólny rytm wielu sprawom. Wyrzutki Społeczeństwa to z definicji ludzie, którzy porzucili martwy środek i wynieśli się do jakiegoś Miasta na Skraju. Piękne było, że Aniołowie zrobili to, tak jak Prankstersi, z własnej woli. Najpierw zostali wyrzutkami – w celach *badawczych*, sukinsynu – a potem zaczęto ich za to ścigać. Trip Aniołów to motocykl, a trip Prankstersów to LSD, ale i jedni, i drudzy przekraczali niesamowity próg orgazmicznego momentu, teraz, i nie minie czterdzieści osiem godzin, a także i Aniołowie zabiorą kwas ze sobą na pokład. Prankstersi poznają, co to... Horror, odwieczny strach chłopców z klasy średniej przed Hell's Angels, *Hell's Angels* we własnych, plugawych osobach; a jeśli udałoby się im sprowadzić tę mroczną, gruntowną sprawę na swoją orbitę...

Kesey! Co, do cholery... tachykardia wam wszystkim...

Głos Boba Dylana smucił i rzeził starymi, kulawymi śpiewankami z głośników wielkiej mocy na szczytach sekwoi aż po piaszczysty klif po drugiej stronie szosy – *He-e-e-ey Mis-ter Tam-bou-rine Man* – w ramach programu Nie-Stacji KSLD Sandy'ego Lehmann-Haupta, niepokonanego disc-frik-dżokeja Lorda Byrona Styropiana we własnej osobie. Sandy przemawia przez mikrofon z chatki i nadaje – Cassady podkreślił się tak ostro jak rozpędzony, ludzki mechanizm zapadkowy – Mountain Girl gotowa – *Hej, Kesey!* – Hermit szczyrzy zęby w uśmiechu – Page w ogniu – mężczyźni, kobiety, dzieci, pomalowani i w kostiumach – rykoszetują po prześwietlonej słońcem leśnej dolinie – *Argggggghhhh* – usłyszeli około trzeciej po południu.

Huczało jak lokomotywa z odległości mniej więcej piętnastu kilometrów. To Hell's Angels na harleyach-davidsonach 74 w „szyku bojowym” zbliżają się zza wzgórz. Aniołowie byli gdzieś tam, kluczyli zakrętami drogi 84, redukowali biegi – *tragggggggh* – i podjeżdżali pod górę, a huk lokomotywy nasilał się, aż nie słysząc już było rozmowy ani charkotu Boba Dylana i – *tragggggggh* – oto biorą ostatni zakręt, oto Hell's Angels, na motorach, brodaci, długowłosi, w dzinsowych kurtkach bez rękawów z insygniami śmierci i w ogóle w pełni dumnej i plugawej gali, jeden za drugim śmigali drewnianym mostkiem aż pod dom, zatrzymywali się z poślizgiem w tumanach kurzu, jak na jakimś filmie – każdy ze zbirów podskakiwał i grzmiał na mostku z ramionami rozpiętymi mocnym łukiem nad kierownicą, a potem hamował zarzucając tylnym kołem, jeden po drugim, jeden po drugim.

Aniołowie ze swej strony nie wiedzieli, czego się spodziewać. Jeszcze nikt ich nigdzie

nie zaprosił, przynajmniej nie jako całą grupę. Nie figurowali na zbyt wielu listach gości. Wyobrażali sobie, że się rozejrzą, co tu jest grane i o co właściwie chodzi, a potem, zanim się wszystko skończy, wdadzą się zapewne w bójkę jak wszyscy diabli, z głów poleje się krew, bo przecież taka jest zwykła kolej rzeczy. Aniołowie zawsze wkraczali w nieznane sytuacje gniewni i podejrzliwi, wężąc wroga, ale w tym miejscu niczego takiego nawet nie poczuli. Tylu ludzi było tu po czymś na fapie, że praktycznie wymiękało się z miejsca. Wyglądało na to, że Prankstersi mieli z milion działek ulubionego dragu Aniołów – piwa – i LSD dla wszystkich, którzy chcieli spróbować. Piwo bardzo ucieszyło Aniołów, a LSD dziwnie ich pacyfikowało, czasami do katatonii włącznie, w przeciwieństwie do Prankstersów i innych kręcących się wokół intelektualistów, którzy na nim odlatywali.

June Goon dała Hell's Angelowi imieniem Freewheeling Frank trochę LSD, które uznał za jakiś rasowany speed, czy coś takiego – i przeżył najbardziej zdumiewające doświadczenie swego życia. O zmroku wdrapał się na sekwoję i zagnieździł oparty o głośnik podpalając się dźwiękami i wibracjami *The Subterranean Homesick Blues* Boba Dylana.

Pete, kierowca wyścigowy, Hell's Angel z San Francisco, uśmiechnął się szeroko grzebiąc w wannie z piwem i powiedział: – Stary, tu jest po prostu wspaniale. Kiedy tu jechaliśmy, nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać, ale wszystko świetnie się udało. Tym razem jest cha-cha-cha, a nie łup-łup-łup. Wkrótce dolinka huczała tym szczególnym śmiechem, jaki z głębi brzuchów wydają rozbawieni, opici piwem Aniołowie, coś jak: Hau! – Hau! – Hau! – Hau! – Hau! – Hau!

Sandy Lehmann-Haupt, Lord Byron Styropian, dorwał się do mikrofonu i jego disc-frik-dżokejskie teksty grzmiały z sekwojowego lasu aż na drugą stronę szosy: – Tu Nie-Stacja KLSD, 800 mikrogramów pod sufitem, stacja, która ma zamiar przegiąć wam pały i rozwiązać wam sznurówki, prosto z czubków sekwoi tu na Wenus! – A potem podjął długie bluesowe parlando o Hell's Angels, około pięćdziesięciu zwrotek, niektóre to mętna kwasowa gadka, niektóre – niesamowite legendy o żółwiach miażdżonych na szosie, takie zakręcone kawałki, a każda zwrotka kończyła się refrenem:

*Och, ale Aniołem być jest wspaniale,
I nigdy nie myć się wcale!*

A to co, do cholery – jakiś koleś o cudacznym wyglądzie ma odwagę nadawać na wszystkie autostrady Kalifornii, że Aniołowie nigdy się nie myją – ale jak temu, do cholery, nie ulec, to takie pokręcone i takie szalone – i po chwili Aniołowie i cała reszta połączyli się

w chór:

*Och, ale Aniołem być jest wspaniale,
I nigdy nie myć się wcale!*

A potem przed mikrofon trafił Allen Ginsberg z miniaturowymi czynelami w dłoniach, tańczył wokół z brodą po pas i recytował do mikrofonu hinduskie zaklęcia roznoszące się po całym Zjednoczonym Stanie Kalifornia:

*Hare Krishna hare Krishna hare
hare Krishna hare hare*

– co to, do cholery, takiego ta *hare Krishna* – i co to za kudłaty frik – ale nic na to nie poradzisz, wbrew sobie samemu musisz świrować z tym gościem. Ginsberg naprawdę zbił Aniołów z pantałyku. Miał wiele z tego, czego nie znosili, był Żydem, intelektualistą, nowojorczykiem, ale w pale się nie mieścił, był największym, najnormalniejszym z nienormalnych gości, jakich kiedykolwiek spotkali.

I nigdy nie myć się wcale!

Te świńskie świry – o zmroku gliny ustawiły się wzdłuż szosy, w sznur samochodów tuż za strumieniem po drugiej stronie bramy, zastanawiając się, o co tu, do ciężkiej cholery, chodzi. Naprawdę robiło się coraz dziwniej. Prankstersi uruchomili cały swój elektroniczny arsenał, rock'n'roll grzmiał pośród szczytów drzew, dolinkę przecinały strugi świateł reflektorów, stacja KLSA huczała i ryczała nad głowami glin, ludzie w dystynkcjach z Day-Glo błyskali i zataczali się w mroku, Aniołowie pohukiwali *Hau – Hau – Hau – Hau*, Cassady w samej tylko zabójczej muskulaturze, tylko to, te jego mięśnie jak wszyscy diabli, macha ramionami i terkoce naokoło w świetle reflektora na ganku plebanii z drewnianych bali, jedną ręką potrząsa butelką piwa jak cepem, drugą wymachuje w stronę glin:

– Wy podstępne sukinsyny! Co wam jest, do cholery! Chodźcie no tu i sami zobaczcie, co was czeka... a zresztą, niech szlag trafi wasze zasrane dusze! – śmieje się, podryguje i terkoce. – Odepierście się ode mnie, synowie gównojadów. Chodźcie no tu. Dostaniecie dokładnie to, co się wam należy.

Rzecz w tym, panowie, że na naszych oczach zerwała się i bryka potężna, nieprzyzwoita kupa degradacji, deprawacji i obrazy prawa, do tego ci Hell's Angels, a my nic

nie możemy zrobić, tylko się przyglądać. Z praktycznego punktu widzenia mogliby wtargnąć z powodu obnażenia się Cassidy'ego, czy czegoś w tym rodzaju, ale nie złamano żadnych faktycznych praw, za wyjątkiem wszelkich praw boskich i ludzkich – więc mimo wszystko wydawało się, że najlepiej będzie tylko się przyglądać. Natarcie na tych czubków siłą dziesięciu wozów pełnych uzbrojonych glin z powodu wykroczenia tak błahego, jak nieprzyzwoite obnażenie się – to zbyt groteskowe, nie do pomyślenia. Więc wirowały światła na wieżyczkach gliniarskich samochodów i miotaly na piaszczysty klif błyski jak czerwony stroboskop, a otwarte na oścież radiostacje łączące ich auta z główną kwaterą trzeszczały w głos groźnymi, kolczastymi, 220 woltowo-elektrycznymi barytonami i sykami zakłóceń – *He-e-e-ey Mis-ter Tam-bou-rine Man* – dla dopełnienia totalnie delirycznego obrazu doliny La Honda.

Tymczasem Aniołowie odkrywali coś naprawdę niesamowitego. Zwykle wszędzie, gdzie udawali się na wyprawy, poddawali próbie zimną krew obecnych tam ludzi. A ty na co się tak gapisz, palancie? Gdy tylko zauważali niepokój albo nagi strach, byli szczęśliwi. A jeśli nie pojawiał się niepokój ani strach, ktoś natomiast próbował śmiało się odgryźć, wtedy był czas rozwalania głów i wrywania wszystkim po nowej dziurze w zadku. Ale ci pieprzeni Prankstersi byli odporni na tę próbę. Aniołowie nie wiedzieli, co to takiego tolerancja, dopóki nie trafili na Keseya i jego *Idź z prądem!* Największym, najgroźniejszym, najtwardszym i najstraszniejszym z wyglądu ze wszystkich Hell's Angels był wielki potwór imieniem Tiny. Drugim z kolei największym, najgroźniejszym, najtwardszym i najstraszniejszym z wyglądu Hell's Angel był kościsty koleś zwany Buzzard, Myszołów, smagły, ciemnowłosy i ciemnobrody, cały kudłaty i zarośnięty brudem, z nosem sterczącym jak dziób i jabłkiem Adama zwisającym o stopę, po prostu jak ogromny myszołów. Tiny i Buzzard mieli zwyczaj podchodzić do siebie, kiedy byli wśród nie-Aniołów, wywalać języki i lizać je sobie nawzajem, wielkie, mokre chlipu-chlap, ot tak, żeby zatkało zgredów, bo to naprawdę szokowało – więc podeszli wprost do wysokiej dziwki Keseya, Mountain Girl, chlipu-chlap... i nie mogli uwierzyć własnym oczom. Ona po prostu spojrzała prosto na nich, wyszczerzyła zęby w uśmiechu, z oczu buchnęły jej słoneczne błyski i zaczęła się z nich śmiać, *Hau – Hau – Hau*, jakby mówiła im prosto w oczy: A to dopiero bzdura. To po prostu niesamowite. Potem ktoś puścił w koło jointa, oni podali go jej, ona zahuczała:

– Nie, do cholery. A wam co odbiło, żeby wsadzać tego czystego jointa do waszych brudnych paszczy! To czysty joint, a wy wsadzacie go do swoich brudnych paszczy! – Nikt, jak długo żyję, nie odmówił macha z jointa podanego przez Anioła, przynajmniej nie ze względów higienicznych, nikt z wyjątkiem tej szalonej dziewczuchy, która wciskała im kit w

żywe oczy, a oni byli zachwyceni.

Doszło nawet do tego, że Mountain Girl zauważyła, jak Tiny z paroma puszkami piwa zmierza do zwariowanej łazienki, tak jakby chciał się tam schować i wypić te parę puszek w spokoju, ale to jest łazienka, której używają wszystkie miejscowe dziewczyny, więc Mountain Girl wrzeszczy do Sonny'ego Bargerera, najwyższego szefa wszystkich Hell's Angels – Hej, Sonny! Powiedz tej wielkiej kupie gnoju, żeby trzymał się z daleka od naszej czystej łazienki! – bajeranckim tonem, rzecz jasna – a Sonny podchwytuje: – Taaak, ty wielka kupo gnoju! Precz od tej czystej łazienki! Nie chcą cię tam! – i Tiny wynosi się chyłkiem na dwór, też po bajerancku, ale się wynosi...

No właśnie! Stało się. Hell's Angels są w naszym filmie, złapaliśmy ich. Mountain Girl i wielu Prankstersów wpadli na kombinację idealną do traktowania Aniołów. Byli im przyjaźni, być może bardziej niż ktokolwiek w ich życiu, ale się ich nie bali i nie dawali sobie wciskać kitu. To była właśnie idealna kombinacja, ale Prankstersi nawet nie musieli myśleć o tym jak o kombinacji. Po prostu robili swoje i na to właśnie wychodziło. Wszystkie reguły, nad którymi pracowali i które omawiali w izolacji La Hondy, całkiem nieźle się *sprawdzały*.

Płyn z prądem – jakim prądem – ci kolesie, ci Prankstersi – na takich wielkich imprezach Aniołowie często bawili się w inną grę zatytułowaną *Kogo by tu wydymać?* – ale zanim do tego doszło, jakaś nieznajoma blondyna, ktoś z gości z daleka, po prostu jeden wielki mięciutki, słodziutki, hormonalny koktajl, niedwuznacznie dała do zrozumienia trzem Aniołom, że jest gotowa do jazdy, więc oddalili się do domku z tyłu za domem i odbyli radosną rundkę. Dość prędko wszyscy Aniołowie dowiedzieli się o „nowej mamusce” z tyłu za domem i wielu z nich się tam tłoczyło, pociągali piwo, śmiali się, czekali na swoją kolejkę, dzielili się najróżniejszymi komentarzami. Dziewczyna miała czerwono-białą sukienkę zadartą pod szyję, a dwóch czy trzech siedziało na niej naraz, między nogami, na twarzy, w chorym, ochrowym półmroku domku, wśród chlupotu, spojrzeń z ukosa, bulgotania i chrząkania, w janowcach jej łonowego owłosienia, podczas gdy pot i nasienie połyskiwały na wzniesieniach jej brzucha i ud, a ona miotła się i jęczała, nie w proteście wszakże, a raczej w jakimś pijanym widzie Bóg jeden wie czego, a wokoło stali mężczyźni bez spodni, żartowali sobie, przekomarzali się, czekali na swoją kolejkę, na swoją drugą kolejkę, albo na trzecią, aż posunęli ją w różne miejsca co najmniej z pięćdziesiąt razy. Jacyś Aniołowie poszli i przyprowadzili jej byłego męża. Kluczył i błąkał się wokół, zaprawiony, przyprowadzili go tam w błyski spojrzeń z ukosa i piżmo chuci, co zapierało dech w tym szalacie rui, i kazali mu brać się do dzieła. Wszyscy zamilkli – cholera, to chyba przesada – ale dziewczyna podnosi się oszołomiona i prosi, aby ją pocałował, co czyni, połyskującą sekrecjami, a potem pochyła

się, dosiada jej i wciska się w nią, a Aniołowie rechoczą *Hau Hau...*

...bo to jej film, naprawdę, więc poszliśmy z prądem.

Tyle piwa... które dla Prankstersów jest dość egzotyczną hulanką, piwo. Mountain Girl i Kesey są na górze, w prześwietlonej altance, a księżyc w pełni świeci poprzez sylwetki czubków drzew. Gawędzili sobie w blasku księżyca, aż zabłąkał się tam Sandy i usiadł z nimi, zaprawiony kwasem, spogląda w dół, a leśna podłoga marszczy się w świetle księżyca, ziemia iskrzy się i toczy jak strumień w magicznym buduarze, a oni siedzą sobie po prostu... jakiś *myszolów!* Zboczem ciągnie ku nim Buzzard i w blasku księżyca w mroku w tej magicznej altanki on... *jest* myszolowem, największym, jaki kiedykolwiek się narodził, ten dziób, ta śmiertelna czerń, ta obwisła gardziel, ten opancerzony kuper i zwisające skrzydła, te włókniste, guzelkowate łapy – Kaaawwwwwww! – Kesey podskakuje i zaczyna wymachiwać na niego ramionami, tak jak przegania się myszolowy i powiada: – Aaaaagh! Myszołów! Hej! Wynoś się, ty myszolowie! Zabierzcie stąd tego myszolowa!

Oczywiście jest to gest na niby – a Buzzard-myszolów śmieje się – *Hau! Hau! Hau!* – to nieprawda, ale to... *prawda*, prawdziwy myszolów, można wszystko to zobaczyć na dwa sposoby – Kaw Kaaawww – Buzzard podskakuje i wachluje ramionami – a cały ów... związek, ów synch pomiędzy tym przydomkiem, tym człowiekiem i tym ptakiem wiąże się właśnie w tej chwili i wszystko jedno, czy on jest myszolowem czy człowiekiem, ponieważ wszystko to połączyło się razem i wszyscy to widzą...

Wszyscy tak wiele widzą. Buzzard odchodzi i Sandy odchodzi, a Kesey i Mountain Girl zostają w falującej księżycowej altance. Powoli – gdzie? – Kesey i Mountain Girl – i tyle splywa ze światła i z delirium i ze świszczących zakłóceń tam w dole, tyle jest jasnego, tyle płynie jak należy, tej nocy, przy pełnym księżycu, ponad cepami i wrzaskami tam w dole...

Zabawa z Hell's Angels przeciągnęła się na dwa dni, a gliny nie wkroczyły. Wszyscy, Aniołowie i Prankstersi, dobrze się bawili i nikomu nie rozbito głowy. Było jedno załogowe bzykanie, ale dziewczyna była ochotniczką. To był jej film. W istocie przez następne sześć lub siedem tygodni trwała jedna wielka balanga z Aniołami. Pogłoski rozeszły się w intelektualno-luzackich kręgach okolic San Francisco i Berkeley jak legenda. W kręgach tych, w każdym razie, legenda ta raz na zawsze wyniosła Keseya i Prankstersów ponad kategorię jeszcze jednej grupy cudaczných intelektualistów. Przełamali najgorszy znany intelektualistom kompleks – kompleks *prawdziwego życia*. Intelektualistów zawsze prześladowało poczucie, że nie biorą się za bary z prawdziwym życiem. Prawdziwe życie należało do wszystkich cwanych czarnuchów, zawodowych pięściarzy, pogromców byków,

dokerów, zbieraczy winogron i nielegalnych imigrantów z Meksyku. *Nostalgie de la boue*. Cóż, Hell's Angels to prawdziwe życie. Trudno o coś bardziej prawdziwego i Kesey sobie poradził. Ludzie z San Francisco i Berkeley zaczęli ściągać do La Hondy tłumniejsz niż kiedykolwiek przedtem. Stała się nieomal intelektualną atrakcją turystyczną. Kesey opowiada o Aniołach.

– Zapytałem Sonny'ego Bargerę, jak wybiera nowych członków, nowych Aniołów, a on odparł: „My ich nie wybieramy. My ich *rozpoznajemy*”.

I wszyscy się zachwycali.

Oczywiście zastawali tam także Hell's Angels. Aniołowie dopisali LSD do bogatej listy swoich ulubionych przelotów, takich jak piwo, wino, marihuana, benzedryna, Seconal, amytal, nembutal, tuinal. Niektórzy miewali okropnie złe tripy – *bummers*. *Bummer* to określenie Aniołów na nieudaną wyprawę motocyklową i bardzo prędko rozpowszechniło się w światku wtajemniczonych jako nazwa złego tripu po LSD. Jedyne przykry moment w domu Keseya miał miejsce pewnego dnia, kiedy jakimś Aniołowi odbiło po pierwszej, gwałtownej fali oszołomienia i na stopniach frontowego ganku próbował udusić swoją kobietę. Ale był już wtedy zbyt wyczerpany, aby jej naprawdę zrobić coś złego.

Tak więc był to cudowny i niebывały, diabelski alians, Prankstersi i Hell's Angels, i o każdej porze dnia i nocy można było usłyszeć Hell's Angels, jak redukują biegi i kluczą drogą 84 do domu Keseya, a obywatele La Hondy czuli się tak, jakby spadła na nich plaga i nic nie można było na to poradzić. Także niejeden z Prankstersów miał swoje zastrzeżenia. Aniołowie byli jak bomba zegarowa. Na razie jest wspaniale – pewnego dnia nawet pozamiatali i wysprzątaali całe obejście – ale w każdej chwili byli w stanie przystąpić do rzezi. To ścisnęło gardła adrenalinowym skurczem. Zagrożenie było całkiem realne, ponieważ, prawdę mówiąc, niewielu Prankstersów potrafiło dogadać się z Aniołami – głównie Kesey i Mountain Girl. Zwłaszcza Kesey. Kesey był tym magnesem i tą siłą, człowiekiem z obu światów. Aniołowie poważali go i nie mieli zamiaru wycinać mu żadnych numerów. Był jednym z najbardziej opanowanych ludzi, na jakich kiedykolwiek trafili. Wreszcie pewnego dnia i jego zimną krew wystawili na próbę i był to dziwny moment.

Kesey, Prankstersi i Aniołowie zwykli chadzać na dwór za dom, siadać wielkim kręgiem i oddawać się pranksterskim zajęciom, nawijać w tę i we w tę oraz śpiewać, zaprawieni trawką, i nigdy nie było wiadomo, w którą pójdzie to stronę. Zwykle wychodziło wspaniale. Aniołowie od razu polubili pranksterskie sprawy. Wyglądało na to, że natychmiast, intuicyjnie chwyтали kierunek, w jakim rozwija się akcja. Pewnego razu Kesey zaczął grać na zwykłej gitarze, a Babbs na czterostrunnej, wzmocnionej gitarze basowej i

Kesey zaintonował pieśń, wprost z kapelusza, o „wibracjach”, blusową pieśń, a Aniołowie przyłączyli się i przez chwilę zrobiło się wręcz religijnie, kiedy wszyscy śpiewali „Och, te wibracje... och, te wibracje...”

A potem Kesey, kilku Prankstersów i mnóstwo Aniołów, wśród nich Sonny Barger z Oddziału Oakland, najwyższy wódz wszystkich Aniołów, rozsiedli się za domem, podawali sobie jointy i gawędzili. Tematem byli „ludzie bez sensu”.

Pewni ludzie są bez sensu i zawsze można ich rozpoznać, powiedział Kesey, a Aniołowie potakiwali kiwając głowami, że owszem, że to święta prawda.

– Weźmy takiego – powiedział Kesey, wspominając jednego z nieobecnych Aniołów.
– Ten facet jest bez sensu.

Bez sensu... a to dopiero, stary...

– Słuchaj, Kesey – mówi Barger, stuprocentowy Hell’s Angel – to Anioł i nikt, ale to *nikt*, nie będzie mówił o Aniele, że to człowiek bez sensu.

– rękawica została podjęta. Czas jakby stanął w miejscu, wszyscy wbili wzrok w twarz Keseya i słyszą, jak krew strzyka im w żyłach. A Kesey nie mrugnął nawet powieką i głos nie drgnął mu nawet o pół tonu, dalej cedzi jak w starym, dobrym Oregonie:

– Ale ja go *znam*, Sonny. Gdybym go nie *znał*, nie mówiłbym, że jest bez sensu.

Noooo... taaaaak – wszyscy, i Aniołowie, i Prankstersi – skoro Kesey go *zna* – nie pozostaje nic innego, jak zachwycić się tym oświadczeniem, więc wszyscy siedzą, nie ruszają się, starają się zachwycić i po sekundzie ta chwila, kiedy rozwała się głowy i sika na ogień, mija... *No-o-o-o-o... ta-ak...*

Po dwóch czy trzech dniach do paru Prankstersów dociera, że *nadał* nie wiedzą, o co, do cholery, temu Keseyowi chodziło, kiedy to powiedział. Że *zna* tego faceta. To nie ma sensu. To koncept bez dna... ale co z tego! W chwili kiedy to mówił, to było idealne, jedyne, co mógł Powiedzieć. Kesey był tak totalnie w tej chwili, że mógł wyskoczyć z czymś takim, że udało mu się przerwać tę historyczną sekwencję oko za oko, no i co no i nic, i natychmiast było po wszystkim, choć zadki były już w pogotowiu.

Prankstersi zbliżyli się bardzo z kilkoma z Aniołów z osobna. Szczególnie z Gutem, Frankiem Freewheelingiem i Terryem Trampem. Co jakiś czas ktoś zabierał jakiegoś Anioła na górę do chatki na drzewie i udzielał mu prawdziwej psychodelicznej inicjacji. Mieli spory zapas DMT. Jak ktoś kiedyś powiedział, LSD to tak jakby wyruszyć na długą, dziwną

wyprawę; DMT to jak wystrzelić się z armaty. W domku na drzewie, pośród migocących szpejów, dawali Aniołom DMT, a Mountain Girl widziała paru z nich, jak np. Franka Freewheelinga, kiedy już zeszli na dół. Chodzili wokół bez celu, w lekkim przechyle, wytrzeszczali szeroko otwarte, szklane oczy.

– Byli tacy nagusieńcy, że już bardziej obnażyć Anioła się nie da – powiedziała Keseyowi.

14. Cud w siedem dni

Och, te wibracje...

Och, ci unitarianie...

Apostaci seminarzyści...

Patrzcie, jacy fajni

Prankstersi i Aniołowie Piekieł...

Jacy Aniołowie? –

Skąd ta konsternacja?

Powstańcie przedpotopowcy,

Ruszcie się z

Prankstersami i Aniołami Piekieł...

Cel podróży Noego

To tam, gdzie:

Dziś w programie w Mount Ararat

Apis Byk w *Apres le deluge*,

Fajny film, momentów tysiąc:

Jacy Aniołowie? –

Hell's Angels...

Dobry Boże, przygotuj się do odpalenia

W Anielski błękit.

Och, te wibracje...

Wśród tych, których zaciekawiły tajemnice La Hondy

Byli pewni unitariani duchowni znani jako Młodzi Gniewni; Bob Kimball, Dick Weston i Paul Sawyer powiedzieli, wypnijmy się

na nasze umysłowe klasztory i
Wynurzymy się! Zobaczmy, jak działa ta rzekomo przepalona trawką kесеjowa magia.
Młodym Gniewnym wydawało się, że unitarianie stają się duchowymi seminarzystami,
Wysuszonymi Kantyczykami odciętymi od Wczesnego Chrześcijaństwa.
Och, jakieś sto lat temu byliśmy w awangardzie, gromiliśmy prostackich
nikczemników

Fundamentalizmu – a dziś? – Młodzież *ziewa* na naszą głupotę.

Och, te wibracje...

Och, ci unitarianie...

Apostaci seminarzyści...

Patrzcie, jacy fajni

Prankstersi i Aniołowie Piekieł...

Jacy Aniołowie? –

Sawyer znalazł naszych herosów Day-Glo na plaży w Pescadero
Pewnego słonecznego popołudnia z Allenem Ginsbergiem w jego najlepszej brodatej
formie. Kipiało od energii, a jednak panowała tam jakaś dziwna pogoda
Nawet kiedy zjawili się Hell's Angels, *ordynarni*, ale najszczerzej serdeczni.

Sawyer był tam ze swoją nastoletnią córką, która obawiała się, że coś mogłoby się
wydarzyć, coś... *złego*.

Kiedy Kесеy zarządził, *Do autobusu!*, ona powiedziała: – Tatusiu, ja... nie chcę tym
jechać.

Więc córka została, ale Sawyer zdecydowany był odkryć

Ów sekret tej rozedrganej wspólnoty: Anielskiej Czerni z Pranksterskim

Day-Glo.

Och, te wibracje...

Och, ci unitarianie...

Apostaci seminarzyści...

Patrzcie, jacy fajni

Prankstersi i Aniołowie Piekieł...

Jacy Aniołowie? –

Po autobusu! i było tak miło, z Aniołami dzbanami sączącymi wino Zachwycać się
blyszczącym w słońcu oceanem, jak euforyczni

wyznawcy Natury

Popalać jointy i Hau! – Hau! – Hau! – Hauczeć! przekrzykując ich

ochrypły gwar –

Od dawna znana z Wczesnej Kościelnej Gnozy sprawa: *Ekstacyjny Pokój!*

Kesey dobrze wie, czego chce! To nie żadna bitnikowska popijawa na motocyklach.

Ale trip ważniejszy niż cała kantowska paplanina tego świata.

Osiągnął nieosiągalne! Uczył i *uczył się* nienauczalnego!

Młodzi Gniewni winni byli swemu Kościołowi to, żeby zapuścić pranksterski trip.

Och, te wibracje...

Och, ci unitarianie...

Apostaci seminarzyści...

Patrzcie, jacy fajni

Prankstersi i Aniołowie Piekieł...

Jacy Aniołowie? –

Skąd ta konsternacja?

Powstańcie przedpotopowcy,

Ruszcie się z

Prankstersami i Aniołami Piekieł...

Cel podróży Noego To tam, gdzie:

Dziś w programie w Mount Ararat

Apis Byk w *Apres le deluge*,

Fajny film, momentów tysiąc:

Jacy Aniołowie? –

Hell's Angels...

Dobry Boże, przygotuj się do odpalenia

W Anielski błękit.

Och, te wibracje...

I tak Kesey został zaproszony do udziału w dorocznej konferencji Kalifornijskiego Kościoła Unitariańskiego w Asilomarze, pięknym nadmorskim parku krajobrazowym w

Monterey. Tegorocznym tematem były: „Wstrząsy u podstaw”.

Fakt, że Kesey był niedawno zatrzymany pod zarzutem posiadania narkotyków, nie miał najmniejszego znaczenia dla zebranych nad morzem, na zielonych polankach Asilomaru unitarian, nawet dla tych starszych. Unitarianie mieli długą tradycję liberalizmu w takich sprawach i w istocie w Kalifornii byli w awangardzie ruchu na rzecz praw obywatelskich. W związku z tym mieli doświadczenie w cywilnym biernym oporze i przepychankach z policją; tak jest, proszę państwa. Ale coś *takiego*...

...*takiego*... Unitarianie zebrali się w masach Intelktualno-Sportowo-Koszulowych, inteligencji na biwaku, rozumiecie, w sportowych koszulach z krótkimi rękawami i w niezobowiązujących spodniach z elastilu z przestronnymi siedzeniami i talią gdzieś w okolicy żeber, pociągając, niezobowiązująco, z fajek. A tu wkracza Kesey. I to, tak się składa, wcale nie sam. Przyjechał autobusem, całym upačkanym w wiry z Day-Glo, z Prankstersami w pełnej kostiumowej gali, powiewającymi z każdej dziury. Na twarzy wszystkich unitarian w średnim wieku, którzy ubijali swoje fajki na miły tydzień Sportowych Koszul w swobodnej atmosferze, rysowała się konsternacja, kiedy obserwowali, jak dziwaczny pojazd wbijał się i miksował na kempingu. Sprawy się... skomplikowały od pierwszej chwili, kiedy tam dotarli.

To chyba coś w rodzaju próby ogniowej, myślał Kesey. Ci unitarianie są za prawem do odmiennych poglądów, nonkonformizmu i mnóstwem innych dobrych rzeczy, no to ich wypróbujemy, my – banda przyprawiaczy, paru po wyrokach, jeden homoseksualista, mężczyźni i kobiety koczujący w autobusie...

Ale unitariańska... Młodzież, te nastolatki, wcale nie były skonsternowane. Stłoczyły się wokół autobusu, gdy tylko się tam pojawił. Co, rzecz jasna, przysparzało jeszcze konsternacji ich rodzicom. O zmroku Kościół Unitariański w Kalifornii podzielony był na dwa obozy: tych w autobusie i tych poza autobusem.

Pierwsze pojawienie się Keseya na mównicy tak skonfundowało trzy czwarte Sportowych Koszul, że konferencja omal się nie rozleciała. Główne imprezy odbywały się na kempingu, w rustykalnym budynku w rodzaju teatru letniego. Kesey wkroczył na podium w świecącej kurtce Jin-Jang. Była to mieniąca się kurtka z wielkim symbolem Jin-Jang wymalowanym na plecach na czerwono, biało i niebiesko.

– Zamierzamy spędzić tu siedem dni – powiedział Kesey – więc w te siedem dni spróbujemy dokonać cudu...

...i to nie gadając o nim, staruszk, ale robiąc go, wszyscy razem, a także bynajmniej nie tak, że ja będę mówił do was, ale wszyscy będziemy robić swoje, otwarcie i odjazdowo.

Wiele pań z konferencji zaczęło przyglądać się, urzeczonych, temu szorstkiemu,

męskiemu człowiekowi czynu, który właśnie zajmował miejsce za pulpitem. Sportowe Koszule także nie omieszczały zauważyć przeblysku oczarowania na ich ryjkach.

Siedzący w pierwszym rzędzie Paul Sawyer zdawał sobie sprawę z narastającego napięcia; ale na razie wszystko było w porządku. Hasłem konferencji były „Wstrząsy u podstaw”, no to właśnie są. Sawyer siedział obok Mountain Girl. Cóż to za zadziwiające stworzenie! – siedzi tu koło niego w sutej fioletowej szacie. Niezwykłym zbiegiem okoliczności – zbiegiem okoliczności? – ona sama wychowała się jako unitarianka i należała kiedyś do organizacji będącej wielką nadzieją tego Kościoła, do Liberalnej Młodzieży Religijnej. A teraz... ale czy naprawdę daleko zbczyła od tego, czym powinna być Liberalna Młodzież Religijna? To rzecz do dyskusji...

Na scenie Kesey, nie przemawia w oficjalny sposób, raczej *gra*, uprawia magię – opowiada, jakich używamy symboli, w jakich uczestniczymy rozgrywkach i jak nie można naprawdę poznać żadnego uczucia, dopóki nie doświadczy się go z obu stron, po czym chwyta ze sceny wielką amerykańską flagę i *depce po niej*, poniewiera ją o podłogę...

...potężny jęk dobiega z widowni pełnej nastoletniej młodzieży...

Sawyer czuje już sprawę i widzi, co próbuje robić Kesey – nie tyle opisywać jakieś uczucie, ale je budzić, poprzez manipulację symbolem sprawiać, aby go doświadczyli, jako że czasami musimy dochodzić do świadomości kuchennymi schodami. Sawyer słyszy *szlochy*, odwraca się na krześle, widzi za sobą grupę nastolatków z Salt Lake City, zagląda im w oczy, dostrzega przepelniające ich przerażenie. – *To Flaga!* – i czuje maniakalną energię z tego zwariowanego czegoś, co już w tym Wieku zapakowano tym dzieciom, wibrację jak echo innego wymiaru czasu, histerię polowania na czarownice w Salem, pierwotny zew *Giń, Niewierny!* – i przecież nie może ich tak zostawić. Więc wstaje, odwraca się twarzą do widowni i powiada:

– Chwileczkę, chwileczkę. Ta flaga to symbol, z którym wiążemy nasze uczucia, ale sama nie jest uczuciem, nie jest tym, na czym nam naprawdę zależy. Czasami nawet nie uświadamiamy sobie, na czym zależy nam naprawdę, tak bardzo angażują nas symbole. Pamiętam, że kiedy chodziłem do szkoły, śpiewaliśmy *O piękna Ameryko*, a jeden z uczniów maszerował nawą auli niosąc flagę. Zawsze chciałem nieść tę flagę, ale nigdy mi się nie udało. No i co takiego naprawdę czułem? Patriotyzm? Czy może...

Ale nie dane mu było dokończyć. Jakiś głos krzyczy:

– Zrób to teraz!

...co takiego?

– Zrób to teraz! – To Mountain Girl promienieje ku niemu z fałd fioletu, zachwycona

takim obrotem wydarzeń.

Zanim zdał sobie z tego sprawę, podrywa ich wszystkich do śpiewu. O *piękną Ameryko* i *O piękne twe przestronne niebo* grzmi w sali, a on wiernie dzierży w dłoniach flagę i maszeruje w górę nawy, a potem w dół nawy, na znak... czego? Wszystko jedno! Ale właśnie tak! Nie wyjaśniaj! *Zrób to teraz!*

Tak jak większość konferencji i ta miała starannie przygotowany i wydrukowany rozkład posiłków, dyskusji, seminariów, zajęć w grupach. Prankstersi narobili w tym niezłego bigosu. Oni nie mieli rozkładu zajęć i dawali do zrozumienia, że nikt inny także nie powinien go mieć. Sportowe Koszule zaplanowały wielkie seminarium w celu zawładnięcia wyobraźnią Młodzieży – coś jak „Bunt studencki w erze przeciętności: Wyzwanie i odpowiedzialność” – tyle że o wyznaczonej godzinie Młodzież, zbuntowani studenci w erze przeciętności, byli na plaży wokół przekłętego autobusu, gdzie swój własny program realizowali Prankstersi, bez żadnego rozkładu, przyjaciele i sąsiedzi, wszystko wydarza się o godzinie *Teraz* i wszyscy mogą przyłączyć się do zabawy w Moc:::

Ktoś zdobywa Moc i zarządza mecz piłki nożnej na plaży z tym tylko, że piłką ma być Hermit. A więc cała grupa, Prankstersi, duchowni, uczestnicy konferencji, chwytają chichoczącego Hermita i podają jak rasowe quarterbacki, wydzierają sobie jak piłkę i tak dalej. Ale zaraz dopada ich żalosna refleksja – *alegoria!* – jak to ludzka istota zostaje żetonem w grze o Moc, zawsze najslabsza... Achhhh! Jeden z duchownych, Młody Gniewny, ma teraz Moc i rozkazuje, aby wszyscy zeszli nad brzeg Pacyfiku i umyli sobie nawzajem nogi. Rytuał pokory, alegoria życia, ale nie trzeba ani słowa wyjaśnienia i wszyscy siadają po prostu na brzegu i myją sobie nawzajem stopy, Hermitowi najskrupulatniej, a Prankstersów rajcuje to szczerze. Uważają, że to wspaniałe. A dzieciaki patrzą teraz na Młodego Gniewnego, który to wymyślił, innym wzrokiem. Udało mu się. Spodobał się Prankstersom!

Młodzi Gniewni spędzają coraz więcej czasu z Prankstersami, późno w nocy, kiedy w autobusie gra muzyka, a Prankstersi przynieśli z oceanu wielkie pasma wodorostów, wymachują nimi i wałają w boki autobusu, jak w wielki bęben, grają w Moc, bawią się w Trip Teraz, w niegry życiowe i nawijają, nawijają, choć to coś więcej niż nawijanie, to *bycie*, *bycie żywym* – Młodzi Gniewni naprawdę byli w autobusie. Od niewyspania, od tego rytmu i dziwnego wstrząsania podstawami, zaczynają najdogłębniej odczuwać owo *mysto*.

Pewnego ranka o siódmej Paul Sawyer szedł właśnie do łóżka po całej nocy spędzonej z Prankstersami, kiedy wyszła mu naprzeciw delegacja konferencyjnych oficjeli. Mieli już dość. Chcieli poprosić Keseya i Prankstersów, żeby się wynieśli. Kesey może jest szczerzy,

mówili, a może nie. Ale w każdym razie zakłóca przebieg konferencji i powoduje schizmę wśród jej uczestników oraz stanowi skandaliczny przykład dla młodzieży. Wyglądało na to, że dr _____, jeden z najwybitniejszych liberałów w ich Kościele i przywódca ruchu na rzecz praw obywatelskich, opuścił już konferencję na znak protestu i zabrał ze sobą paru duchownych.

– Zaraz, zaraz – mówi Sawyer. – Zwołaliśmy tę konferencję, aby wstrząsnąć podstawami. No i właśnie zaczynają się trząść i czas sprawdzić, czy mamy odwagę na miarę naszych przekonań.

– No tak, Paul, ale oni robią takie *rzeczy*, a i władze parku są dość zaniepokojone. Przede wszystkim zachodzi poważne podejrzenie, że oni używają marihuany. Wokół tego autobusu unosi się bardzo szczególny smród. Ale zostawmy to na boku. W każdym razie, ten autobus to rzeczywiste zagrożenie dla zdrowia, tylu ludzi mieszka razem tuż nad wodą. To wbrew zasadom higieny. Ale i to zostawmy na boku. Jest jeszcze incydent w natryskach. Personel parku przyłapał dwoje... *Prankstersów* razem pod prysznicem, mężczyznę i kobietę, w męskim natrysku. Cóż, *my* moglibyśmy przymknąć oko na takie sprawy, ale jakież to przykład dla młodych ludzi? A ta, którą nazywają Mountain Girl. Za każdym razem, kiedy widzi dr. George'a Washingtona Henry'ego, który jest przecież jednym z naszych najwybitniejszych murzyńskich duchownych, wrzeszczy: – *Watermelon Henry!*

– *Watermelon Henry?*

– Owszem, chodzi chyba o to, że widziała go któregoś dnia, jedzącego arbuza i „smakowało mu”, jak utrzymuje z uporem, więc teraz, za każdym razem, kiedy go widzi, wyśpiewuje na głos „Watermelon Henry!” A wiesz przecież, jaki ona ma głos. Domyślam się, że to jest owo „robienie wszystkiego otwarcie”, czy jak oni to nazywają... ale *naprawdę* – *Watermelon Henry...*

Koniec końców chcą ich wszystkich wyrzucić. Ale Sawyer się nie daje i mówi, że jeśli Kesey i Prankstersi zostaną wydalen, on także wyjeżdża. To grozi niebezpieczeństwem wycofania się Młodych Gniewnych, co może spowodować jeszcze gorszą schizmę. Więc starszyzna zgadza się jakoś z tym wytrzymać.

– Uważamy, że robisz błąd, Paul. Kesey *manipuluje* tą konferencją.

Kesey był teraz rzeczywiście ogromnie zainteresowany całym zjawiskiem... Panowania. Odkrył, że Prankstersi byli w stanie panować nad przebiegiem konferencji nie poprzez jakiś makiaweliczny plan, ale wciągając ją po prostu do swego filmu. Konferencja odbywała się zgodnie z rozkładem, ale Prankstersi zawsze przybywali... *Teraz* i natychmiast

wszyscy stawali się aktorami w ich filmie. Kesey zaczął odbywać codzienne odprawy z Prankstersami.

– Od tej chwili – powiada – musimy codziennie trzymać się tych samych kostiumów. Każdy Pranksters musi mieć wyraźną dla każdego tutaj tożsamość tak, aby wszędzie tam, gdzie idzie i widzą go, był jak na scenie, to pomoże im załapać się na wasze sprawy, na to, co robicie.

Kesey nosi kurtkę Jin-Jang. Mountain Girl nosi fioletową szatę. Babbs nosi niebywałe spodnie z wielokolorowych pasków uszyte przez Gretch. I tak dalej.

Mountain Girl się sprzeciwia.

– Uważam, że powinniśmy olać te tożsamości i te kostiumy i po prostu robić swoje i uważać, żeby się nie ograniczać do jakiejś jednej sprawy.

– Tak jest, ale nie będzie z tego żadnego pożytku, jeśli oni nie będą mieli klarownego pojęcia, co to jest to „twoje”.

Więc trzymają się swoich kostiumów i to przynosi skutek. Godzina po godzinie stawało się jasne, że Prankstersi są na tropie sekretu... Panowania nad każdą sytuacją.

Kesey miał idealne wyczucie czasu. Do piątku sporo przemawiał ze sceny, spoza sceny, koło autobusu i doszło do tego, że ludzie mogliby zacząć szemrać, no tak, jak na faceta, który twierdzi, że mówieniem nic się nie wskóra, strasznie dużo się nagadał. Tego popołudnia Kesey wynurzył się z autobusu z wielkim kawałkiem samoprzylepnej taśmy na ustach. Cały dzień tak chodził, milczący, zaklejony, jakby chciał powiedzieć, właśnie skończyłem z mówieniem.

Wszystkie dzieciaki w Asilomarze uznały, że to także jest wspaniałe. Coraz ich więcej kręciło się wokół autobusu, podczas gdy Prankstersi na wszystkie strony wymachiwali wodorostami i sami bawili się jak dzieci. Zapada noc, a jedna z dziewcząt naprawdę poczuła bluesa i niczego na świecie nie chce bardziej, jak tylko odlecieć z Prankstersami na kwasie. Nigdy przedtem go nie brała. Więc dają jej trochę i kilkoro z nich też bierze, koło autobusu, nad oceanem i, Boże, jej odbija! Zaczyna wyć. Tylko tego brakowało. To jedno może zrujnować wszystko, co dotąd zrobili. Więc Kesey natychmiast każe udzielić jej totalnej Uwagi. Gromadzą się wokół niej, wszyscy Prankstersi, i kąpią ją w miłości i Uwadze, a ona przebija się poprzez swój odlot, przechodzi na drugą stronę, zaczyna ją rajcować i jest pięknie. Tak jakby wszystkie teorie i wierzenia Prankstersów wystawiono na próbę w zewnętrznym świecie, z dala od La Hondy, i okazało się, że działają, a oni... Panują.

Ostatniego dnia, w niedzielę, dzieciaki z konferencji wystawiają przedstawienie, co

najwyraźniej jest tradycją tych spotkań. Ale tym razem całe przedstawienie jest o Prankstersach. Niemal każdy Pranksters ma swoje dziecięce wcielenie. Najbardziej udał się im Hermit, przemykający się chyłkiem, z chichotem. Ale był także Kesey, Babbs i kilku innych. Wielkim finałem był numer muzyczny *Kelp I Need Somebody!* (dla uczczenia skłonności Prankstersów do *kelp*, wodorostów), śpiewany na melodię *Help* Beatlesów.

Sportowe Koszule patrzyły i trzymały. Jakoś wytrzymały i przynajmniej uniknęły schizmy. Tylko czy na pewno? Hm...mmmm...

Paul Sawyer patrzył na Keseya... i widział proroczą postać. On nie *nauczał* i nie *wygłaszał kazań*. Kreował raczej... doświadczenia, przebłyśki świadomości, które sięgały głębiej niż podświadomość. Na swój sposób nawiązywał do tradycji wielkich proroków. Współczesny świat zna proroków tylko ze sztywnych, pełnych szacunku tekstów i uczonych opisów w różnych religiach. Kesey zaś wytworzył profetyczną *aurę*, a dzięki Prankstersom wielu uczestników konferencji nie tylko było świadkami mistycznego braterstwa, ale *doświadczyło* go, nawet jeśli było takie dziwaczne... cud w siedem dni.

Następnego roku odbyły się dwie konferencje Kościoła Unitariańskiego. Jedna jak zwykle w Asilomarze. I jak zwykle zebrały się tam Sportowe Koszule. Druga w High Sierras. W High Sierras, wysoko, w rozrzedzonym powietrzu, swoją własną konferencję zwołali Młodzi Gniewni. A jednak to nie było to, czego się spodziewali. Brakowało psychicznych decybeli. W każdym razie skończyły się czasy wciskania kitu. Na dobre byli w autobusie. Następnego roku Sawyer na miesiąc zamieszkał w Haight-Ashbury, aby zbadać możliwości nowego typu duszpasterstwa dla młodzieży; w autobusie, tak jakby.

Och, te wibracje...

Tak się złożyło, że jedna z delegatek na ową unitariańską konferencję w Asilomarze wydrukowała własne, krótkie podsumowanie i rozesłała je pocztą. Prankstersi czytali je na głos w dużym pokoju u Keseya:

„A więc zjawił się przed nami Prorok Kesey” i zrobił tak i tak.

„I Prorok Kesey powiedział” to czy tamto.

„I Prorok Kesey zrobił znak” oznaczający Bóg wie co.

„No i chwała Panu, jako że Prorok Kesey powiada”...

...powtarzała w kółko tego Proroka Keseya i ozdabiała biblijną retoryką... zupełnie

serio! Poważnie! Oczarowana! Szczera wyznawczyni! I pewnie sądziła, że Prorok Kesey ucieszy się, kiedy to zobaczy.

Więc wszyscy Prankstersi patrzą na Keseya. Zwiesił głowę i powiada z melancholią w głosie:

– My nie jesteśmy na chrystusowym tripie. To już było i się nie sprawdza. Dowodzi się swoich racji, a potem przez 2000 lat trwa wojna. Wiadomo, dokąd to prowadzi.

Niemniej jednak był to szczególny moment. Kochana kobitka, postarała się ubrać w tak wiele słów rolę Keseya i kierunek, w którym zmierzali Prankstersi. Wszyscy Prankstersi... *jesteśmy na pewnym tripie, Bóg świadkiem*. Dla nich wszystkich była to religia, oczywiście. Tak jakby... pranksterska sprawa zdążyła do swego rodzaju konkluzji, pewnego... podniesienia, a nikt nie mógł nazwać tego po imieniu, aby nie stracić opinii zdrowego na umyśle. Jakiś wielki słup ognia sięgający ponad zachodni horyzont, być może...?

Sam Kesey był jak nawiedzony. Od tego, co tam się wyprawiało, można było dostać szału. Porobiło się jak w cyrku, zjawiały się friki z całej Kalifornii, headzi, włóczęgi, studenci, obdarte panienki w poszukiwaniu mocnych wrażeń, w poszukiwaniu kwasowych odlotów, czy Bóg jeden wie po co. Trafiały się nawet czarnuchy, jak Heavy, który wyrósł w środku nocy pomiędzy namiotami, rechocąc jak żaba: *Nie ma sprawy, nie ma strachu, oto Heavy palacz haszu...*

Nawet Babbs zaczął mieć dość tej błazeńskiej zbieraniny.

– To jakieś zoo! – mówi do Keseya. – Oto, do czego prowadzi zawracanie głowy miłością!

Ale Kesey odpowiada:

– Kiedy ma się coś takiego, jak to, co mamy my, nie można sobie na tym ot tak, siedzieć. Trzeba się ruszyć. Nie można siedzieć sobie i cieszyć się, że się to ma, trzeba się ruszyć i udostępnić to innym. To działa tylko wtedy, kiedy wprowadzić w to innych ludzi.

Więc każdy, kto chciał, Pranksters nie Pranksters, mógł zostać – im ich więcej, tym lepiej, komu to szkodzi. Do tego Kesey musiał stawiać się przed sądem i stawiać czoło tak wielu kłamstwom, donosom, fingowanym oskarżeniom, politycznym zagrywkom ze strony stróżów prawa, że aż trudno w to uwierzyć – wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć lat w ciągu trzech miesięcy. Był teraz w jakimś nieokreślonym wieku pomiędzy trzydziestką a czterdziestką. Brał mnóstwo speedu i palił mnóstwo trawki. Wyglądał na wymizieranego, a kiedy tak wyglądał, wydawało się, że twarz mu się wykrzywia. Pewnego razu wyszedł potykając się z tylnego ganku i Sandy widział, jak jednym okiem spoglądał w jedną stronę, a drugim w drugą, jakby go coś okropnie pokręciło... choć i Sandy'ego znowu zaczynały

dopadać jego koszmary...

Nie ma odwrotu, stary! Jesteśmy w statku kosmicznym, lecimy na... Panowaniu... i Uwadze... idziemy z prądem i nie możemy unikać dziwaczych numerów, wszystko jedno, jak byłyby dziwaczne. Kesey łykał kwas jak najęty, brał 500, 1000, 1500 mikrogramów zamiast zwykłych 100 czy 250. Zawsze dotąd był temu przeciwny. Wszystkim kwasowym rekordzistom, frikom, którzy prześcigali się w tym, kto weźmie więcej kwasu – wyglądało na to, że całej tej rasie – w końcu mąciło się w głowach. Ale teraz było tak, jakby nie można było uchylić się od żadnego eksperymentu. Pewnego wieczoru Kesey wziął około 1500 mikrogramów, a kilku Prankstersów mniejsze dawki, położyli się na podłodze i uruchomili Radio Humanoidalne. Zaczęli paplać, próbowali echolaliów, pohukiwać, wszelkich pozawerbalnych środków wyrazu, mówili jak gdyby nieznanymi językami. Idea polegała na próbie wbicia się w ten strumień i ten tryb, który umożliwiłby porozumiewanie się z istotami na innych planetach, w innych galaktykach... Oczywiście wszyscy byli na ostrej fazie, ale jedna myśl przenikała ten maniackalny, dendrytowy mowotok jak podświadoma legenda: *Co będzie jeśli – i nigdy się nie dowiesz, dopóki tego nie zrobisz, jeśli masz...*

Moc! Siedzą wokół okrągłego stołu w dużym pokoju u Keseya. Jest to wielki drewniany stół, teraz cały pocięty inicjałami i inskrypcjami Hell's Angels, „Ralph z Oakland” itd., grają w Moc. Wygrywa Page Browning i zarządza: Teraz wszyscy weźmiemy DMT i siedząc kołem przy stole chwycimy się za ręce.

I juuuuuuuużżż, fantastyczne neonowe bąbelki pędzą z serca prosto w ludzkie wytłoki i wybuchają w... *zwierciadłach czaszki!* wprost z nippońskiego kalejdoskopu przez drzwi ze słomkowej mozaiki zapisują się w wyciętych w stole inskrypcjach Hell's Angels wobrażonych do *Filmu* ponieważ teraz Hondo tu w kosmicznym pojeździe możesz mieć do czynienia z *każdym* wciel się tak totalnie w tę *chwilę* że gdziekolwiek ruszysz cała chwila ruszy wraz z tobą niczego nie *powodując* koleżko po prostu *płynąc... Płyn z prądem... Płyn*

NA ZEWNĄTRZ

Kesey słyszy jakiś głos, który każe mu wstać od stołu, więc wstaje, a Page i inni Prankstersi, zaprawieni po dziurki w nosie, trzymają się za ręce i... zawodzą, z zamkniętymi oczami, bo po DMT *nic się nie zmienia, jeśli otworzyć oczy*, te podpowiekowe filmy wciąż wylewają się na pokój, a Kesey wychodzi na zewnątrz, w mrok i chłód sekwojowej doliny i teraz...

JA JESTEM ASEM, A FAYE TO CZERWONA KRÓLOWA
ŁUBUDU?

odzywa się raptem w ciemności bojler z tyłu domu – *co znaczy że* – jeśli uczyni gest,
to bojler

WYBUCHNIE

czyni gest i bojler wybucha, rozlatuje się na kawałki, to dopiero wybuch – a głos
powiada

WYJDŹ NA SZOSĘ

więc idzie drewnianym mostkiem na drogę 84, po ciemku, ledwie widać światełka z
domu i zrywa się wiatr. *A to co za numer*, Majorze, tu nigdy nie ma wiatru w tej czeluści, tyle
tych drzew i wzgórz naokoło, dziwne, że wiatr podnosi się pod piersiowym pudłem i każdym
wypukłym liściem i balonowo sklepioną katedralną altaną i teraz; on; jest

BOGIEM

To szaleństwo i delirium, i odlot, i rzeczywistość, jedna połowa śródmózdzia mówi

ZAPRAWIŁEŚ

a druga, Ale mimo wszystko

JESTEŚ BOGIEM

Jakiś samochód jedzie w dół z La Hondy, bierze ostatni zakręt drogi 84, reflektory
omiatają sekwojowy las

WRÓG

mierzy wprost w niego z prędkością 80 kilometrów na godzinę, a on balansuje,
stopami ubijając ziemię na samym środku szosy. Wszelako nie ma obawy, prosimy nie
wpadać w niestosowną panikę. Przecież wystarczy jego jeden

GEST

samochód zwalnia i przepęłza omijając go, a on dygoce na dziwnym wietrze,
próbuje wziąć się w garść w obliczu

TEJ FALI

i jest absolutnie pewny, że ma... całą Moc tego świata, może zrobić, co zechce z
Wrogiem we wszelkiej jego postaci – wyrzuca ramię w

GEŚCIE

samochód staje. Wróg wygląda. Teraz może zrobić wszystko

ZNISZCZYĆ

STWORZYĆ

OŻYWIĆ

ODWOŁAĆ

WYSŁAĆ

– wystarczy się zdecydować – moc to zbyt wielka, aby jej użyć, i zbyt niesamowita, aby roztrwonić. Idzie z powrotem do domu, wiatr cichnie. Zwierciadła czaszki... *dzwonią*...

Potem zdał sobie sprawę, że to był tylko drag. A jednak – dokładnie w tym samym momencie Walker jechał w pobliżu Skylondy i poczuł nagły podmuch wiatru i powiedział: – A to co za dziwy! Przesada!

Tak, tak, Majorze, to był drag, rozumiecie – a jednak – on cały był w nagiej Łykułudzie tamtej chwili, tam wtedy i tam::: była wtedy Moc i Powołanie, a ten film jest wystarczająco wielki, aby pomieścić cały świat, milionową obsadę, miliardową przesadę... Wieża Kontrolna do Orbitera Jeden.

PANOWANIE

15. Chmura

Potężny, ogromniasty transparent na bramie wjazdowej:

MERRY PRANKSTERS WITAJĄ THE BEATLES

Beatlesi mieli wystąpić w Cow Palace na przedmieściach San Francisco wieczorem 2 września. Gazety, radio, TV tylko o tym trąbiły. Pomysł Keseya, obecna fantazja, polegał na tym, że po koncercie Beatlesi przyjadą do La Hondy na niezłą, zakręconą balangę z Wesołymi Prankstersami. Jeśli zaś chodzi o to, jak miało do tego dojść...

Przyznać jednak trzeba, że transparent robił wrażenie

MERRY PRANKSTERS WITAJĄ THE BEATLES

Na drodze 84 Mama&Tata&Braciszek&Siostrzyczka w *coupe* typu Wściekły Ocelot 400 zwalniali, zatrzymywali się i gapili. Z powodu poprzedniego napisu, MERRY PRANKSTERS WITAJĄ HELL'S ANGELS, większość z nich zaledwie zwalniała. Pomijając wszystko inne, nie było wiadomo, *kiedy* to nastąpi. Być może za 30 sekund – setki bestii nadciągną zza wzgórza w deszczu krętków białych i miedzi, wypluwając szpik kostny z orgii kanibalo-gwałcicieli gdzieś tam wcześniej po drodze.

Cóż, z Hell's Angels podziałało. Wywiesili transparent MERRY PRANKSTERS WITAJĄ HELL'S ANGELS i, proszę bardzo, Hell's Angels zjawili się bez problemu, niebawem straszyciela klasy średniej we Własnych osobach i we własnych bogatych, dojrzałych, cuchnących, anielskich osobach wzięli udział w pranksterskim filmie. Więc wywiesili transparent MERRY PRANKSTERS WITAJĄ THE BEATLES i może Beatlesi też

się zjawia. Oczywiście jest pewna drobna różnica. Kesey *znał* Hell's Angels. Zaprosił ich osobiście. Och, ale czas już wystawić na próbę parę prawd wiary. Panowanie, Uwaga, Wyobraźcie sobie tych bzików do naszego filmu...

Kesey nawija z Mountain Girl w domku z tyłu. Leżą na materacach, Kesey nawija w kółko, a Mountain Girl stara się przyswajać. Od czasu Asilomaru Kesey poważnie zajął się religią. Cuda – Panowanie – *Teraz* – Film – gada i gada do Mountain Girl tam w domku, a są to przecież sprawy bardzo głębokie i oddalone. Mountain Girl stara się skoncentrować, ale jego słowa płyną jak potężne fale... Słowa płyną obok, słyszy ich brzmienie, ale jej kora mózgowa tak jakby nie była nastrojona na ich treść. Jej myśli wciąż krążą i wirują wokół innego zestawu danych, zawsze tego samego. Wokół owej odwiecznej, desperackiej kalkulacji. Krótko mówiąc Mountain Girl jest w ciąży.

A jednak, mimo krążenia i wirowania desperacji, coś z tego, co on mówi, pozostaje. Takie niesamowite, a jednak takie wiarygodne są marzenia Keseya. To tylko sprawa wyobrażenia ich sobie do swojego filmu. The Beatles. To jakby eksperyment we wszystkim, czego dotychczas się nauczyli. Nie możemy *zmusić* Beatlesów, aby przyszli do nas. Nie możemy w zwykłym sensie *spowodować*, aby to zrobili. Ale możemy wyobrazić ich sobie do naszego filmu i zrobić ich w wielki prąd aprzyczynowych koneksji, a wtedy stanie się to samo. MERRY PRANKSTERS WITAJĄ THE BEATLES i nasz film staje się ich filmem, Mamy i Taty, Braciszka i Siostrzyczki, i wszystkich małolatów z Berkeley, wszystkich headów i proto-headów półwyspu San Francisco, aż nasza fantazja stanie się fantazją Beatlesów... Ciekawe, kiedy oni to poczują... Pomimo krążenia, wirowania i w ogóle, Mountain Girl nie może nie podziwiać obecnej fantazji, ponieważ, jak dotąd, tyle... dziwnych rzeczy... się sprawdziło. Sprowadzenie Aniołów, tak jak zrobił to Kesey, najbardziej przerażających demonów Ameryki... i znalezienie wśród nich Swoich Ludzi, takich jak Buzzard, Sonny, Tiny, Frank, Terry Tramp, takich, co Się Wyrabiają, i Pięknych Ludzi, jak Gut... A te biedne, umęczone intelektualne aniołki w Asilomarze, od Watermelona Henry'ego po zakręconą Rachel – w ciągu tygodnia Kesey zaczarował, jak gdyby *zaczarował*, i opanował cały kalifornijski Kościół Unitarianiski. Już nigdy nie będą tacy jak przedtem, i bardzo dobrze. To prawdziwy *Cud* w gruncie rzeczy, ponieważ tacy jak przedtem byli już tak cholernie długo. Panowanie::::: jakże wiarygodnie brzmiało to w pewnych, po oregońsku cedzonych słowach Keseya. Tak niewiele istot ludzkich miało dość *tupetu*, aby poddać ten prąd swej woli, może nie więcej niż czterdzieści naraz na całej planecie. Świat *jest* płaski i podparty przez czterdziestu, a może czterech, ludzi, po jednym w każdym rogu, jak kosmiczne żółwie i słonie w mitologicznych książkach, ponieważ nikt inny się na to nie

waży. Mountain Girl ma osiemnaście lat i jest w ciąży, ale to Kesey...

A *cuda*! Jeszcze nie wiesz, co to cuda, stary, dopóki nie zobaczysz, jak Prankstersi wciągają Beatlesów do swojego filmu.

2 września. Pierwsze, co wszyscy słyszą po przebudzeniu, to maszyna do szycia Faye. Faye i Gretch wyciągnęły wielki kufer z kostiumami, pełen najróżniejszego teatralnego demobilu, zawadiackich mieczy, kapeluszy z piórkiem, koszul Errola Flynna do pojedynku, butów Robina Hooda, kołczanów, przepiórczych masek, kamizelek Day-Glo robotników drogowych, szarf, medali, sari, sarongów, okularów słonecznych, dziobów, dzwonek, hutniczych kasków, pilotek z I wojny światowej, pelerynek Dr. Strange'a, kordelasów, przepasek na biodra, spadochroniarskich kombinezonów, futbolowych trykotów, fartuszków, krawatek ascot, peruk, czarodziejskich grzechotek, bryczesów Jungle Jima, epoletów Kapitana Easy, rajtuzów Fearless Four – i specjalnych pranksterskich farb Page'a Browninga do malowania twarzy. Merry Pranksters sposobią się, aby na ostrej fazie ruszyć wprost w największe, najbardziej pomyłone zbiegowisko w historii San Francisco, jadą zobaczyć Beatlesów w Cow Palace.

Jeden z pranksterskich, by tak rzec, satelitów, koleś z Palo Alto zwany C_____, skombinował jakoś trzydzieści biletów na koncert Beatlesów, choć podobno już ich nie było. C_____ był dla Prankstersów jednym ze źródeł kwasu. Innym był starszy gość, znany jako Mad Chemist, Szalony Chemik, genialny chemik amator, a także frik broni palnej. W każdym razie ten C_____ jakoś skombinował bilety, a także dość kwasu dla wszystkich na tę wyprawę. Zanim Prankstersi, ich bliźsi i dalsi satelici oraz dzieci, wdrapali się do autobusu, wyszczerzony w uśmiechu Kesey rozdawał kwas. Był w kapsułkach, tak bardzo skondensowany, że ledwie pokrywał część ich wewnętrznej powierzchni, co wyglądało, jakby nic w nich nie było. Prankstersi nazwali to kwasowym gazem. No więc wszyscy wzięli kwasowy gaz i wsiedli do autobusu. Cassady gdzieś wyjechał, więc prowadził Babbs. Kesey siedział na dachu i reżyserował film. Dość kolorowy był to film. Autobus superuzbrojony, cały sprzęt dźwiękowy, płyty i taśmy, na dachu dwa wielkie głośniki oraz cała pranksterska orkiestra, bębny George'a Walkera, basówki, gitary i puzony, z okien sypią się pióra, błyska Day-Glo, trzepocą epolety, wariackie, błyszczące epolety, z głośników wydzierają się Beatlesi z płyty z filmu *Help!*, na dachu Kesey, Sandy, Mountain Girl, Walker, Zonker i nowa Pranksterka, drobniutka dziewczyna zwana Mary Microgram, gitary i perkusja – *H-e-e-elp I ne-e-e-e-ed somebody* – powiewający, pohukujący, pełen karnawału autobus podskakuje, miota pasażerami i maceruje ich po drodze pod górę do Skylondy, Cahill Ridge i w dół przez

Palo Alto do autostrady Harbor Freeway w stronę San Francisco, raz jeszcze ten przeklęty cyrk na kółkach. Wszyscy nieco odlecieli na kwasie, *sponiewierali się* w gruncie rzeczy i zaczęli, jedno po drugim, Mountain Girl, Sandy i Norman, który siedział w środku, nabierać poczucia, że ruch i huk autobusu oraz puls muzyki i jej dźwięk, wszystko łączy się w toczące się razem jedno, Babbs prowadzi dokładnie w tempie i z prędkością muzyki Beatlesów, jako że wszyscy oni łączą się razem w jedno, zaprawieni jak pawiany, mijają zakręcone motele, neonowe reklamy, światła-strachy na mewy w Burlingame koło lotniska i strzelających w górę iglic superamerykańskiego motelu „Hyatt House” – opadając i unosząc się, tocząc się i grząc *dokładnie* w rytm muzyki Beatlesów, jako ścieżki dźwiękowej do swego filmu, rozumiecie – a potem z autostrady zjazdem do Cow Palace i w dół krętej – *ne-e-e-ed some-body* – pochyłości, dalej w dół, wzdłuż stoku, w stronę zmierzchu, z rozgorączkowanymi milionami samochodów ciekących autostradą na południe i słońcem jak bomba nisko ponad wzgórzami, zaprawionym w rzeczy samej. Dozgrzytali do czerwonego światła, brzdęk, hamulce brzmią jak A pod górnym C kutego w żelazie fletu – i w tej właśnie chwili, w tej samej chwili, kiedy autobus się zatrzymał – kończy się piosenka Beatlesów *Help!*, dokładnie w tej chwili, i zaczyna się kocia muzyka z kawałka filmu, kiedy Arab wślizguje się za Ringo, i w tej niesamowitej chwili nad autostradą zrywa się wiatr, a po prawej stoi opuszczona fabryka, z cegieł i szyb, głównie z szyb, wspaniałe fabryczne okna z lat dwudziestych, a wszystkie dziwacznie kiwają się na wietrze i błyskają połączeniami ogromnego, popołudniowego słońca jak ogromny stwór o tysiącu oczu pulsujący eksplozjami słonecznego blasku *dokładnie* W rytm kociej, arabskiej muzyki... i w tej właśnie chwili Kesey, Mountain Girl, Sandy, Zonker, wszyscy – nawet nie musieli na siebie patrzeć, bo nie tylko *wiedzieli*, że widzą to wszyscy naraz, oni *czuli*, czuli ten prąd w jednym mózgu. Atman i Braman, wszystkojedni w autobusie i wszystkojedni z wykrzywającym, ogromnym, słonecznym reflektorem, pomarszczonymi pryzmatami słonecznej bomby, z cegłami, szybami, z całą ich masą, Prankstersi i Beatlesi i słoneczne bomby błyskające arabską muzyką – a wtedy, w *tych* właśnie momencie, wszyscy, wszystkojedni, prąd jednego mózgu, zobaczyli na tle nieba ponad tym budynkiem zarys rozsypującego się napisu:

CHMURA

Nagle wydało się, że Prankstersi mogliby wciągnąć cały wszechświat... do swego filmu...

A potem, o dziwo, w rzeczy samej, na tak niesamowitej fazie – Mountain Girl myśli sobie, a to co, do ciężkiej cholery. Wygląda na rzeźnię. Rzeczywiście, jest to krowi pałac, Cow Palace. Nie może nawet skupić się na samym wielkim, niezgrabnym budynku z powodu płotów otaczających go kilometrami i niezliczonymi boksami, płotów jak w rzeźni, kolczastych drutów i miliona samochodów tłoczących się i włączanych w chłodny koniuszek zmierzchu. O dziwo, nie przeraża to jednak Mountain Girl. Rzeźnia to rzeźnia i tyle.

Ale dla innych Prankstersów – to obóz koncentracyjny. Idziemy do więzienia na resztę życia. Wszyscy gramolą się z autobusu, wszystko wciąż rusza się wraz z ziemią i płotami z obozu koncentracyjnego kiwającymi się w makabrycznym zmroku, a biliony małolatek cisną się obok, wrzeszczą i świrują. W dłoniach trzymają bilety, jakby to był ostatni ocalały rożek zbawienia, ale nie są w stanie nawet sukinsynów przeczytać. Tacy są zmarnowani. Litera na biletach warzą się i odlatują z prądem małolatek. Trzydzieścioro zdesperowanych Prankstersów w pełnych, trzepocących epoletach i pióropuszcach patrzy, jak małe bileciki znikają z ich dłoni w kolczastych zagrodach poprzedzających obóz koncentracyjny. Zaraz nas aresztują i zamkną na resztę życia. To wydaje się dość oczywiste, prawie tak jakby, no, jakby właśnie po to tu przyjechali. Trzydzieścioro acid headów, z niewinnymi dziećmi pod pachą, w pełnej pranksterskiej gali, nawaleni koszmarnym LSD jak stodoły, wiercą się, ślaniają w delirycznym słonecznym pulsie. Publicznie, z czaszkami dymiącymi LSD, nie tylko publicznie, ale w tym historycznym, histerycznym zbiegowisku z powodu Beatlesów, wśród 2000 glin gotowych do akcji w obronie prawa, w pełnej a-niech-was-szlag kostiumowej krasie – *zlikwidować te potwory* –

...ale... nikt nie kładzie na nich łapy, ani słowem nie reaguje, tysiące glin i ani jednej zadymy... ponieważ jesteśmy *zbyt* oczywiści. Nagle Norman zdaje sobie z tego sprawę z niesamowitą jasnością. Jesteśmy *zbyt* oczywiści i porozwalaliśmy im paczki. Nie mogą się na nas skupić – albo – wessaliśmy ich do filmu i *rozpuścili* drani –

W środku Cow Palace panuje istne hałaśliwe piekło. Kesey i Babbs prowadzą jakoś swoich Day-Glo szaleńców na miejsca. Prankstersi siedzą w wielkiej kupie, na szurniętej grzędzie, wysoko, pod dziwnym kątem, bardzo wysoko, jakby wisieli nad estradą i milionami rozwrzeszczanych małolatek. Te małolatki, dziesiątki tysięcy młodych dziewcząt, już w szale, pomimo że Beatlesi jeszcze nie wyszli. Inne grupy, preliminaria, paradują jedna za drugą, *A teraz – Martha and the Vandellas*, a zelektryfikowany dreszcz i brzdęk wibruje w górę aorty i czyści kości jak dźwiękowy odkurzacz, małolatki wrzeszczą – ogromne ściany wrzasku jak deszczu podczas nawałnicy – i *fiuuu, fiuuu, pam, pam, pam* – ależ cudownie, ależ zmyślnie, myśli Norman. Spod tej hordy wrzeszczących małolatek tu w Cow Palace pojawia się

cudowny i zmyślny pokaz świetlny, setki świateł eksplodujących wśród reflektorów wielkiej mocy, obijających się o wszystko rykoszetami, ależ cudownie i zmyślnie urządzili to dla naszej...

– Mountain Girl uśmiecha się... te niesamowite eksplodujące światła wybuchają na wprost niej, ich wielkie morze, a potem na jej siatkówce, jak wielkie słoneczne, siatkówkowe, siarkowe rakiety, widoki i powidoki, których nie zapomni, póki żyje, po prawdzie –

...dla naszej rozrywki i upływa dwadzieścia albo trzydzieści minut, zanim Norman, zaprawiony, uświadomi sobie, że to lampy błyskowe, setki, tysiące małałatek z aparatami fotograficznymi i lampami błyskowymi wymierzonymi w estradę albo odpalanymi ot, tak sobie w optycznym orgazmie. Ściany wrzasku, rock'n'roll, *blam blam*, morze lamp błyskowych – kompletne szaleństwo, ma się rozumieć.

– Mountain Girl szczyrzy zęby w uśmiechu i łapie to wszystko w –

Inni Prankstersi, zaprawieni, z wolna tracą luz wszelako, nawet Kesey i Babbs. Tu są bardzo złe wibracje, w powietrzu wisi trujące szaleństwo –

Z każdą grupą muzyków schodzących z estrady horda myśli, teraz to już Beatlesi, ale Beatlesi nie wychodzą, pojawia się jakaś inna grupa, morze dziewcząt robi się coraz bardziej burzliwe i niecierpliwe, wrzaski coraz dziksze, a w starganą cepami błysków szypułkę mózgu Normana wślizguje się myśl::: to jest wszystko, co mogą osiągnąć ludzkie płuca::: a jednak kiedy ten głos mówi, *A teraz – The Beatles* – bo cóż innego mógł powiedzieć? – i wychodzą na scenę – *oni* – John i George, i Ringo, no i ten jeszcze jeden – wobec tego, jakie to miało mieć znaczenie, mogłyby to równie dobrze być cztery importowane winylowe lalki – ten dźwięk, o którym myślał, że nie może już być dzikszy, podwaja się, bębni w uszach dzwonią mu od niego jak tłoczona blacha i nagle *Ghhhhhhwoooooooowwwww*, jakby to wszystko trzasnęło i cały frontowy sektor hali staje się spazmatyczną, kipiącą masą małałatek wymachujących w powietrzu ramionami, masą różowych ramion, tylko tyle widać, jak jedno wielkie kolonialne zwierzę powiewające tysiącem różowych czułek.

...wibrujące, trujące szaleństwo wypełniające wszechświat wydartą z siebie małaletnią agonią. Keseyowi świta: to jest *jedna istota*. Wszyscy zamienili się w jedną istotę.

Mountain Girl szczyrzy się w uśmiechu i dopinguje ich – wrzask nie słabnie ani na chwilę, w trakcie, po czy pomiędzy numerami, Beatlesi mogliby udawać, że grają, tak niewielkie ma to znaczenie. Ale coś innego... ma... znaczenie... i Kesey to widzi. Jeden z Beatlesów, John, George, Paul pochyla długą szyję swojej elektrycznej gitary w jedną stronę, a małaletnia horda faluje dokładnie wzdłuż linii energii, jaką wyznaczył – a potem w inną stronę, dokładnie wzdłuż tej linii. Śmieją się z tego, John, Paul, George i Ringo, że tak falują

tą biedną, ogromną, zakreconą, małąletnią bestią w tę i we w tę –

Panowanie – to absolutnie oczywiste – sprowadzili tę masę ludzkich istot do punktu, w którym jest jednym, poza swymi czaszkami, jedną psyche, i bezwzględnie nad nią panują – ale nie wiedzą, co tu, do licha, z tym panowaniem zrobić, nie mają zielonego pojęcia i je utracą. U Keseya ta wibracja to straszne przewidywanie trzaśnięcia –

Ghhhhhhwoooooooooowwwww, tysiące małąletnich ciał wali ku scenie i barierze przed nią, solidny szereg gliniarzy walczy, aby odeprzeć szturm, a Beatlesi poruszają ryjkami i wiercą biodrami, jakby się zawzięli na pantomimę wśród powszechnego wrzasku. Na fali tego przyływu, kiedy zdawałoby się, że nie przebiję się już żaden dźwięk wszechświata, słycać naraz – *trrraaachhh – trrraaachhh* – odgłos składanych krzesel przewracanych na podłogę hali i łamanych, a ich szczątki tam, w dole, wśród różowych czułek, kruszone na miazgę, kawałeczki i drzazgi, które były kiedyś składanymi krzesłami, złom podawany z rąk do rąk, przemieszcza się ponad różowymi czułkami, od jednego do drugiego, jak jakieś obrzydliwie chore, ślaniające się, monstrialne karaluchy. A wtedy dziewczęta zaczynają mdleć, duszone i tratowane, i tam, w dole, zaczynają podawać sobie ich ciała, karaluszy złom krzesel i ciała małąlatek ekspediowane wzburzonym morzem jak zmiażdżone wszy złapane na bestii, która wrzeszczy, mdleje i znowu wali *Ghhhhhhwoooooooooowwwww* gliniarski płot, podczas gdy Beatlesi szczerzą się i mizdrzą w swym niemym filmie, zupełnie niezdolni do falowania nimi, czy czymkolwiek innym, pozbawieni resztek panowania –

RAK – Keseyowi wystarczy jedno spojrzenie i jest zupełnie pewien – wszyscy, małąlatki i Beatlesi, są jednym stworzeniem w stanie najczystszej, trująco szalonego raka. Beatlesi są głową. Małąlatki to tułów. Ale głowa straciła panowanie nad tułowiem, tułów się zbuntował i dostał amoku i to jest właśnie rak. Ta wibracja bije w Prankstersów, w kupie, zaprawionych, że w dyńkach się nie mieści, przyprawiającymi o mdłości falami. Kesey – Babbs – wszyscy od razu to czują – i Norman.

– Mountain Girl wygląda na zaskoczoną. Chce zobaczyć to do końca. Ale Kesey i Babbs postanowili, że wszyscy muszą wyjść – zanim nastąpi Monstrialne Trzaśnięcie, wielka rakowata konkluzja tego procesu.

– Poczekajcie jeszcze chwilę – mówi Mountain Girl.

Ale Prankstersi podnoszą się w kupie i szeleście pióropuszy, epoletów i Day-Glo, zaprawieni kwasem do utraty zmysłów i inni ludzie też się podnoszą – ale jak... *beton*. Im bliżej wyjścia, tym bardziej czują klaustrofobię zagród, nieskończonej serii zagród. Śpieszą długimi korytarzami, całymi z betonu, już setki ich tłoczą się w tych korytarzach, wszyscy wyglądają, jakby mieli dość – ponieważ – łapią od nich ową totalną wibrację – wszyscy czują

jedno i to samo: przypuścimy, że to wszystko trzaśnie właśnie *teraz*, wybuchnie panika, wszyscy rzucą się do wyjścia, ale tu nie ma wyjścia, tylko betonowe ściany i betonowe sufity, które ważą z tysiąc ton i rampy – donikąd – w dół – a potem pod górę, jak ogromny garb – potem w dół, na zewnątrz tam, gdzie jest niebo, ale niebo jest czarne, jest już noc i brunatno-żółte latarnie i na razie trafili tylko do kolejnej zagrody, jeszcze jeden plot z wysokiej siatki i kolczasty drut naokoło rozgorączkowanych, sponiewieranych ludzi – wszyscy *uciekają* – kotłują się w środku jak szczury, próbują przedostać się do wyjścia, a w wyjściu jest kołowrót, sterczący pionowo kołowrót z prętami, jak średniowieczna żelazna panienka do tortur, i trzeba w to wejść do środka, totalnie, po jednym naraz, z obu stron gorączkowy ścisk i nawet wtedy trafia się do jeszcze jednej zagrody, jakiegoś parkingu, z następnym siatkowym płotem i kolczastym drutem, teraz tłoczą się tu małodatki i samochody, wszyscy starają się wydostać, siedem czy osiem aut naraz próbuje przecisnąć nosy przez bramę szeroką na jeden. Klatki, klatki, klatki i końca nie widać. Nawet na zewnątrz, dalej, dokąd uciekły samochody, w rzędzie z zapalonymi reflektorami – w pułapce ze wzgórz, które są kolejną ogromną zagrodą zamykającą całą okolicę w... w... Prankstersi cali milczący i zdrętwiali z obawy przed zbliżającym się Wielkim Rakowym Trzaśnięciem...

...jeśli nie liczyć tego, że Mountain Girl mówi: – Poczekajcie jeszcze chwilę...

...a Zonker, z szerokim, euforycznym, zonkerskim uśmiechem, jak szalony brata się ze wszystkimi wydostającymi się na zewnątrz małodatkami i powtarza wszystkim, którzy chcą słuchać: – Potem Beatlesi jadą do Keseya... Beatlesi jadą do Keseya... – a wiadomość rozchodzi się w tłumie w najbardziej deliryczny sposób...

Kesey zanurza się z powrotem w poszukiwaniu niedobitków. Patrzy, czy w środku nie ugrzęźli jacyś Prankstersi. Reszcie każe iść do autobusu i tam zostać, a sam zanurza się z powrotem. Prankstersi dotykają autobusu i duch w nich nieco odżywa. Podkręcają wzmacniacze i głośniki, wspinają się na dach w zwariowanych kostiumach i zaczynają brzdąkać na perkusji i elektrycznych gitarach. Tysiące zmarnowanych dziewczynek wciąż wylewa się na parking, wciąż napalonych jak motocykl, żadnej ulgi i oczywiście widzą autobus i dziwnych ludzi w Day-Glo. Jakaś grupa młodzieży protestuje przeciw temu, że biznes muzyczny to oszustwo, niosą transparenty, wznoszą okrzyki i wyobrażają sobie, że Prankstersi ich popierają – Prankstersi szczerzą się w uśmiechach i też do nich machają – wszystkim się wydaje, że ci dziwni ludzie w Day-Glo są po ich stronie. Zaczynają tłoczyć się wokół autobusu, małe małodatki, i obrzucać go gradem cukrowych fasolek, tych twardych, tych, które przyniosły, aby rzucać nimi w Beatlesów. Prankstersi siedzą na dachu autobusu, fasolki grzechocą o jego ściany, a rozochocone małodatki cisną się z piskiem. – Więc to

właśnie *to* czują Beatlesi, tę bezmyślną falę obłąkanej energii walącą na nich po... co?

W końcu wraca Kesey z ostatnią, którą trzeba było ratować, Mary Microgram. Wygląda jak krajobraz po długiej i zacieklej bitwie, i Kesey mówi, bierzmy dupy w troki. Babbs rusza i odjeżdżają, z wolna torując sobie drogę ku wolności.

Rak! Widzieliśmy go. To był rak. Złe wibracje, powiadają wszyscy. Klatki bez końca. Wszyscy bujają się i kołyszają, zaprawieni kwasem.

Cholera, myśli Mountain Girl, że też musiałam tu przyjść z bandą starców, którzy jeszcze nigdy nie byli na rockandrollowym koncercie.

W powrotnej drodze znowu puszczają taśmę Beatlesów, *Help!*, ale niewiele to pomaga. Zanadto im wszystkim siła siadła. Wszystkim z wyjątkiem Mountain Girl i Zonkera. Mountain Girl mówi, że chciała zostać i zobaczyć koncert do końca. No co, do ciężkiej cholery. Zonker uśmiecha się na myśl o wizycie Beatlesów. Zresztą i tak powiedział już o tym całemu światu. A gdzież indziej mieliby stąd, do licha, pójść? W istocie obecna fantazja – przyjazd Beatlesów – ani im, ani nawet Keseyowi, nie była w głowie przez ostatnią godzinę. Wyośmy się stąd, do cholery, o to głównie chodziło. Gdzie są Beatlesi? Kto to, do diabła, może wiedzieć. Winyłowe laleczki wyszczerzyły się zapewne i wymizdrzyły w jakiś inny wymiar czasu... W każdym razie, nie było już tak strasznie pewne, że przyjadą do La Hondy...

W końcu autobus ze zgrzytem pokonuje ostatni zakręt naokoło góry i zajeżdża do Keseya, wciska nos przez mostek, reflektory biją W podwórko – które przedstawia sobą widok makabryczny i komiczny zarazem. Jak superwersja koszmaru faceta, który właśnie wrócił do domu i chce iść spać. Prankstersi mają gości. W rzeczy samej mają trzystu lub czterystu gości. Wszyscy tłoczą się na dużym podwórku pomiędzy głównym domem i tylnym domkiem, mają wielkie, gorzkie oczy jak lizaki. Tak, jakby wszystkie heady, friki, bziki i cudaki z całego Zachodu zebrały się w jednym miejscu na dziki odlot, z paroma setkami małolatek na dodatek. Połowa z nich siedzi w kucki, z oczami jak lizaki zwróconymi w górę, jakby ktoś wypluł ich na ścianę domu, a oni ślizgają się w dół ku ziemi jak ślimaki. Oczywiście wszyscy przyszli na wielką balangę z Beatlesami. Na przyjęcie. Zonker odwalił robotę w najlepszym pranksterskim stylu. Transparent wciąż wisi nad bramą:

MERRY PRANKSTERS WITAJĄ THE BEATLES

Kesey nie jest w nastroju na żadne takie i wali prosto do domu. Cała ta headowo-bzikowo-cudako-ślimacza ciżba gapi się na niego, wszystkie te oczy jak lizaki, jakby miał

wyciągnąć Beatlesów z rękawa. Potem zaczynają szemrać jak banda więźniów, którzy nie dostali jedzenia, ale nie wiedzą, czy jest już czas na bunt w więzieniu czy jeszcze nie. To klęska, tyle że tak cholernie komiczna. Ten wyraz ich twarzy.

To i pojawienie się Owsleya.

Pewny siebie facecik, niski, ciemnowłosy, ubrany jak acid head w normalne luzackie ciuchy, ale z dziwnym, napalonym nosowym głosem, jak head z talentami przedsiębiorcy z wesołego miasteczka – drobna postać materializuje się z cudako-ślimaczej masy tuż przed Keseyem i ogłasza:

– Jestem Owsley.

Kesey nie odpowiada, cześć, jestem Kesey. Po prostu patrzy na niego, jakby chciał powiedzieć, w porządku, jesteś Owsley, stoisz tu – no i co z tego?

Owsley wygląda na zaskoczonego – *Jestem Owsley*. W istocie Kesey nigdy o nim nie słyszał. Tak, jakby Owsley, jeśli nagle znajdzie się gdzieś, gdzie nikt o nim nie słyszał, nie wiedział, co ze sobą zrobić. On i Kesey stoją więc wymieniając spojrzenia, aż wreszcie Owsley wyciąga swój woreczek, otwiera go, a tam pełno kapsulek kwasu. To Owsley, największy fabrykant kwasu na świecie, co okazuje się chyba prawdą, nawet jeśli uwzględnić Sandoz Chemical Corporation.

Mountain Girl przygląda się i uśmiecha tylko. Coraz weselej na tym beatlesowskim patrolu! On ma worek kwasu. Mountain Girl z miejsca widzi, że to niezły mądrala. Kesey patrzy na worek kwasu. Jedno jest pewne, ten mały mądrala ma kwas.

Największy fabrykant kwasu na świecie, na całym bożym świecie, sterczy po ciemku gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc, pośród cudako-ślimaczych mas, w cieniu sekwojowego lasu.

Powoli udaje im się pozbyć większości cudako-ślimaków, którzy w ciemnościach suną drogą pod górę w poszukiwaniu Bóg wie czego, skoro Beatlesi jednak nie przyjechali. Kesey, Owsley i Prankstersi zasiedli wokół ogniska koło wielkiego pniaka. I któż to się zjawia, jeśli nie Szalony Chemik. Obwąchują się i przyglądają sobie nawzajem z Owsleyem. Tak, jakby gładki, bystry, młody geniusz neurologii z Kliniki Mayo spotkał się twarzą w twarz ze starym, czerstwym, swojskim, wiejskim doktorem – nad najbardziej zagadkowym i trudnym przypadkiem w historii medycyny. Owsley i Szalony Chemik podejmują ostrą dyskusję na temat dragów. To jest jak publiczna debata. Nikt z Prankstersów, nawet Kesey, się nie wtrąca, a ci dwaj zaczynają sobie przykładać. Załatw tego małego mądralę, Szalony Chemiku, myśli Mountain Girl i większość Prankstersów czuje podobnie. Ale to Owsley, ten mały mądrala,

roznosi go w proch i pył. Owsley jest młody, bystry i sprytny, a Szalony Chemik... Szalony Chemik jest starym człowiekiem, który naćpał się w życiu za dużo towaru. Poluźniły mu się klepki. Próbuje argumentować, ale mózg chodzi mu jak mucha w smole. Owsley, myślą sobie Prankstersi – cóż, sam może nawet nigdy nie brał kwasu. Albo może wziął raz. Coś tak im się widzi. A biedny, stary Szalony Chemik, tyle się naćpał – pięści swe rewolwery i łyka towar – poluźniły mu się klepki i Owsley po prostu roznosi go w proch i pył. Szalony Chemik się załamał. Już więcej nie przyszedł, może tylko z raz czy dwa, takie to było upokorzenie. Tak więc Prankstersi mieli na głowie małego mądrałę Owsleya, czy się im to podobało czy nie. Ale on robił pierwszorzędny kwas i miał pieniądze. To właśnie oni, Owsley i Prankstersi, mieli rozprzestrzenić LSD na całą powierzchnię globu.

Powoli odkrywali dzieje Owsleya. Miał 30 lat, choć wyglądał młodziej, i nosił długie, dźwięczne nazwisko: Augustus Owsley Stanley III. Jego dziadek był senatorem USA z Kentucky. Owsley miał najwyraźniej dość skomplikowane dzieciństwo, zmieniał jedną prywatną szkołę po drugiej, potem poszedł do państwowego liceum, zerwał się stamtąd, ale trafił na wydział inżynierii Uniwersytetu Wirginii, najwyraźniej z powodu smykałki do nauk ścisłych, potem zerwał się także i stamtąd. W końcu wylądował jako student Uniwersytetu Kalifornii w Berkeley, gdzie spiknął się ze znającą się na rzeczy, przystojną studentką chemii imieniem Melissa. Porzucili uniwersytet i Owsley założył swą pierwszą fabrykę kwasu, w Berkeley przy Virginia Street pod numerem 1647. Prowadził interes na dużą skalę, kiedy 21 lutego 1965 roku miał nalot policji. Wywinął się jednak, ponieważ do października roku 1966 prawo w Kalifornii nie zakazywało produkcji, brania czy posiadania LSD. Przeniósł firmę do Los Angeles, na Lafler Road 2205, nazwał ją Baer Research Group i zapłacił Cycle Chemical Corporation 20 000 dolarów w studolarowych banknotach za 500 gramów monohydratu kwasu lyzergowego, podstawowego materiału do produkcji LSD, który mógł przerobić na 1,5 miliona dawek po 1 do 2 dolarów w hurcie. Kupił następne 300 gramów od International Chemical and Nuclear Corporation. Jego pierwsza większa dostawa trafiła na rynek 30 marca 1965 roku.

Miał smykałkę, ten Owsley. Powoli wyprodukował i sprzedał kilka milionów dawek LSD w kapsułkach i tabletkach. Nosily różne dziwaczne emblematy oznaczające moc. Najślynniejsze wśród headów były Owsley Blues – Błękity Owsleya – z wizerunkiem Batmana, 500 mikrogramów superherosa wprost do dyńki. Headzi rozprawiali o Owsley Blues tak samo, jak starsi headzi od gorzały marudzili o owym słynnym jednorazowym wypusku z rodzinnego terytorium Owsleya, z Wirginii, Fairfax County Bourbon, butelkowanym po minimum czterech latach leżakowania, z gwarancją jakości. Owsley robi w

porządku kwas, powiadali headzi. Osobiście nie startował w plebiscytach popularności ani wśród headów, ani wśród glin. Jest tak jakby arogancki, mądrała z niego, ale ten arogancki, mały mądrała robi w porządku kwas.

W istocie kwas Owsleya zdobył międzynarodową sławę. Kiedy kwasowa moda pod koniec roku 1966 i w roku 1967 dotarła do Anglii, najbardziej czujną, poufną wiadomością, jaką można było puścić w obieg, było to, że jest się w posiadaniu „kwasu Owsleya”. W świecie kwasu to Właśnie był towar butelkowany, z gwarancją, z certyfikatem i z górnej półki. To w tym świecie headów... Beatlesi po raz pierwszy wzięli LSD. Zaś, aby trochę wyprzedzić bieg wydarzeń, po tym, jak Owsley zderzył się z Keseyem i Prankstersami, założył zespół muzyczny zwany Grateful Dead. Poprzez doświadczenia Deada z Prankstersami narodził się styl nazywany „acid rock”. I to właśnie ten styl podchwycili Beatlesi po tym, jak zaczęli brać kwas i nagrali słynną serię acid-rockowych albumów, *Revolver*, *Rubber Soul* i *Sergant Pepper's Lonely Hearts' Club Band*. Na początku roku 1967 Beatlesi wpadli na fantastyczny pomysł. Weszli w posiadanie wielkiego, szkolnego autobusu, wbili się weń wraz z trzydziestoma dziewięcioma przyjaciółmi, kluczyli i knuli po brytyjskiej prowincji, zaprawieni, że się w dyńkach nie mieściło. Mieli zamiar... nakręcić film. Nie jakiś zwyczajny film, ale totalnie spontaniczny, kręcony ręcznymi kamerami, rejestrujący wydarzenia w ich trakcie – prosto z kapelusza! – dokazując, nawijając, odlatując w obecną chwilę, wizjonerski chaos – sen na jawie! czarna sztuka! chaos! Skończyło się na całych kilometrach taśmy filmowej, na jakimś potworze, istnym grzęzawisku, całym drżącym i nieostrym – błogi Oszołom! – co uznali za totalny przełom w kategoriach ekspresji, ale także za utwór komercyjny – był emitowany w brytyjskiej telewizji – który mógł znaleźć uznanie także poza ezoterycznym światem headów –

FILM

– pod tytułem *Magical Mystery Tour*. A... wielki transparent łopotał na pranksterskich wrotach tej nocy na falach i międzygalaktycznych bałwanach wspaniałej, jęczącej, owslejowsko elektro-szalono-chemicznej synchroniczności...

MERRY PRANKSTERS WITAJĄ THE BEATLES

16. Skamieniały jug band

Tu chodzi o synchroniczność!

– Prankstersi rozsiedli się wieczorem w dużym pokoju u Keseya, gawędzą o różnych dziwnych zdarzeniach. Takich, jak wielki Blackout w Nowym Jorku, wielka awaria elektryczności, która powaliła metro, windy, światło, klimatyzację, telewizory, zegary, budynki i całą resztę fajansu w wielkiej rakowatej stolicy Wschodu. Prankstersów rajcuje ten kataklizm, zachwyca ich. Taka konsternacja w stolicy raka! Potężna *fala* elektryczności nagle przetoczyła się drutami i *wywalila* dosłownie wszystko. W firmie energetycznej nie wiedzieli, co *spowodowało* tę falę, ale – nie bój się – zaangażowali ekspertów, którzy to odkryją, i nic takiego nigdy się już nie powtórzy.

Fala, Mahaviro?...

Tymczasem w gazetach pojawiła się opowiadka, która kręciła Prankstersów najbardziej. Podobno jakiś dzieciak w Nowym Jorku zerwał się tego dnia na wagary, potem poszedł do kina, około 15:15 wyszedł z kina i poszedł do domu, już z wyrzutami sumienia, wyjął patyk ze śmietnika i zaczął okładać nim parkometry. Kiedy doszedł do rogu, przyłożył wielkiemu słupowi energetycznemu i

DOKŁADNIE W TYM MOMENCIE

zgasły wszystkie światła w Nowym Jorku

TERAZ

a dzieciak pobiegł po ciemku do domu, z płaczem, wszystko wyznał matce – *To ja, to ja to zrobiłem, ale ja nie chciałem...*

Keseya i Prankstersów to rajcowało. Najśmieszniejsze, że dzieciak miał rację. Albo przynajmniej tyle samo racji co firma energetyczna. Niewątpliwie bowiem była to *wielka fala*, proszę koleżeństwa, która przeszła przez tego dzieciaka tak samo, jak przez wszystko i wszystkich, co istniało w tym momencie. To właśnie wtedy Severen Darden zdmuchnął świeczki na swym urodzinowym torcie, *dokładnie w tym momencie* – a ci zaglądali do wszystkich transformatorów firmy Con Edison w całej sieci i nigdy nie znaleźli *przyczyny*. COSMO!

– *a kiedy odkryjesz Cosmo, to wiesz, że to ono tu rządzi...* Tak, jakbyśmy byli wiązkami drutu poprzepłatanymi w ogromnym kablu, który biegnie przez jakiś otwór, Prankstersi, Beatlesi, Komitet Dnia Wietnamskiego – *Komitet Dnia Wietnamskiego?* – biegną poprzez jakiś otwór, a wszystkimi drutami wibruje Cosmo. Ludzie przeważnie wiodą dwuwymiarowe żywoty. Widzą tylko płaszczyznę otworu, przekrój, więc druty wyglądają jak masa osobnych małych kółek, mniejszych lub większych, zależnie od tego, z jak bliska patrzeć. Nie widzą – nie mogą widzieć, że te „kółka” to tylko przekrój przez druty, które biegną w przód i tył bez końca i że przez cały kabel przenika jakaś wielka fala i że każdy, kto

naprawdę uświadamia sobie pełną, nagą istotę tej sprawy...

W garnku jest strawa.

Mam zawistnych towarzyszy.

Ale nie mogą mi zaszkodzić.

Dobry los.

– *I Ching*

...skłonny jest sprzeciwiać się politycznemu chaosowi, ponieważ chodzi mu o głębokie doświadczenie religijne, najgłębsze źródła życia, bieżąca polityka nie ma dla niego znaczenia.

– Joachim Wach

To właśnie w takiej sytuacji, a mianowicie stojąc wobec ostatecznego i nieskończonego, Kesey został zaproszony przez organizację pod nazwą Komitet Dnia Wietnamskiego do wygłoszenia przemówienia na wielkim wiecu antywojennym w Berkeley, na kampusie Uniwersytetu Kalifornii. Nie wiem, co za geniusz to wymyślił, żeby zaprosić Keseya. Oni sami też potem nie wiedzieli. Albo przynajmniej żaden z nich nie chciał się przyznać, pomimo rozległego śledztwa, wzajemnych oskarżeń i ogólnego bicia piany. „Kto, do cholery, zaprosił tego sukinsyna!”, taki był dokładny tekst. Trochę się poprzytykali. Prawdziwy problem Komitetu Dnia Wietnamskiego polegał na tym, że nie widzieli nic ponad tym cudownym politycznym halo, które upichcili. Zresztą, dlaczego mieliby wiedzieć? Z ich punktu widzenia jesienią 1965 roku wyglądało na to, że zaraz zagarną cały kraj. Berkeley, Nowa Lewica, Ruch Wolności Słowa, Mario Savio, Zbuntowane Pokolenie, Rewolucja Studencka, w ramach której studenci mieli opanować uniwersytety, tak jak w Ameryce Łacińskiej, i podłożyć trochę żaru pod zakalcowatą kiszkę stolcową amerykańskiego życia – mogłeś sobie o tym poczytać we wszystkich magazynach. A jeśli nie wierzysz, to chodź i przyjrzyj się nam, panie Jones – itd.

Jak powiedziałem, nigdy nie wyglądali ponad to, zresztą i tak nie byłoby z tego pożytku. Pewnie nie było na świecie takiej siły, której udałoby się uświadomić Komitetowi Dnia Wietnamskiego, jak ich hecę widzieli Kesey i Prankstersi. *Maszerujemy wszyscy razem przeciwko wojnie w Wietnamie* – z kosmicznego punktu strategicznego, jaki zajęli Prankstersi, widać było tyle powodów, dla których ta szaradka była żałosna, że nie wiedzieliby, od czego zacząć...

A jednak zaproszono Keseya i właśnie tak zaczęła się afera. Uczestnicy marszu ścigali do Berkeley z siedemdziesięciu jeden miast i dwudziestu ośmiu stanów, cokolwiek znaczą takie liczby – w każdym razie tysiącami studentów i wykładowców ze wszystkich stron. Cały dzień miały się odbywać seminaria, a także całodzienny wiec od rana, z trzydziestoma czy czterdziestoma mówcami, którzy będą podbijać bębny, a potem o 7:30 wieczorem, kiedy gorączka dojdzie do zenitu, wszyscy ruszą z kampusu w Berkeley i pomaszerują do Oakland, zwartą kolumną piętnastu lub dwadziestu tysięcy dusz, pomaszerują na Oakland Army Terminal. To z Oakland Army Terminal wysyłano ludzi i zaopatrzenie do Wietnamu. Żeby było trochę pikantniej – właśnie skradziono znaczny zapas nitrogliceryny i wszyscy wyobrażali sobie Oakland, Berkeley, San Francisco, całą tę kupę badziewia, jak wylatuje w powietrze w nitroglicerynowym trzęsieniu ziemi, jak również glin, pacyfistów, faszystów Bircha oraz prawdopodobnie czarnuchów, niewinnych kobiet i dzieci. Nikt nie miał pojęcia, która drużyna ukradła nitroglicerynę, choć dzięki temu było jeszcze weselej.

To chyba nitroglicerynowe zagrożenie natchnęło Keseya do tego numeru. Kesey bronił się tym, że nigdy nie był poważny, kiedy mógł coś powiedzieć kosmicznym żartem. Fantazja Keseya na tę okoliczność polegała na tym, żeby najechać ogromny antywojenny wiec odlotową militarną inwazją. To było prawdziwe natchnienie, ta fantazja. Mieli uzbroić autobus jak fortecę na kółkach w sterzące działka, a wszyscy Prankstersi mieli się ubrać po wojskowemu. Następnie mieli wziąć samochody osobowe i tak samo je wyposażyć, na czele zaś całego konwoju pojedą... Hell's Angels w szyku bojowym, obwieszeni swastykami. *Swastykami*. Zupełnie im wszystkim odbije, a przynajmniej ich spoko-luz poddany zostanie próbie, jakiej jeszcze nie było.

Najpierw pomalowali autobus na brudnoczerwono, właściwie na kolor zaschłej krwi. Najbardziej aferalny deseń w dziejach Day-Glo pokryło czerwone błoto. Ale kogo to obchodzi. *Sztuka nie jest wieczna*. Potem na tej zaschłej krwi zaczęli malować symbole militarne, swastyki, amerykańskie orły, Krzyże Żelazne, krzyże wikingów, Czerwone Krzyże, sierpy i młoty, czaszki i piszczele, cokolwiek, o ile wyglądało obrzydliwie. Tej właśnie nocy zaczęła się pora deszczowa i jak powiedział Wódz, sztuka nie jest wieczna. Wszystkie farby zaczęły puszczać, aż zrobił się syf tak smętny, jak tylko można to sobie wyobrazić. Ale jakoś jeszcze bardziej pasował. Następnego dnia pojawili się Gut i jego dziewczyna Little People. Gut był jak gdyby w okresie przejściowym pomiędzy Aniołami a Prankstersami. Miał na sobie starą dzinsową kurtkę Hell's Angels bez rękawów, ale zdjął z niej insygnia, napisy, emblemat czaszki w hełmie, choć widać było, gdzie to wszystko było przedtem, bo pod spodem dzins był ciemniejszy. Można to było nazwać kurtką „żegnajcie Hell's Angels, nigdy

was nie zapomnę”. W każdym razie Gut zadziwił Prankstersów malując na autobusie pięknego, amerykańskiego orła, trochę prymitywnego, ale sugestywnego. Miał talent, anioleczek. Wszystkim Prankstersom podobało się jak diabli. Czuli, że, na swój sposób, to oni to z niego wydusili. Gut dodał wszystkim czadu. Zbudowali na autobusie wieżyczkę artyleryjską i uzbroili ją w dwa wielkie, szare działa, którymi można było manewrować. Norman zrobił z drewna i tektury karabin maszynowy i pomalował go na brunatno-oliwkowo. Inni zbijali drewniane karabiny najróżniejszych absurdalnych typów. Furczała maszyna do szycia Faye. Prankstersi, bliżsi i dalsi, zjeżdżali się zewsząd. Lee Quarnstrom, jeden z dalszych, zjawił się z ogromną dostawą wojskowych insygniów, naszywek na rękawy i na ramiona, dystynkcji, belek, gwiazdek, naramienników. Kesey zbroił autobus w taśmy, mikrofony, wzmacniacze, słuchawki i elektryczne gitary. Hagen szykował swoje 16-milimetrowe kamery i taśmy filmowe. Bob Dylan, Beatlesi, Joan Baez, Roland Kirk i Mississippi John Hunt buczeli i grzmieli z wielkich głośników ze szczytu piaszczystego klifu. Potem pojawił się Allen Ginsberg z Big Sur ze swym kompanem Peterem Orlovskym i anturazem białych Hindusów z liceum Chestera A. Arthura. Ginsberg całą noc śpiewał mantry, dzwonił dzwoneczkami i miniaturowymi czynelami. Cassady leciał na speedzie i przechodził sam siebie ze stojącego startu, podskakiwał, miotał się, tańczył – tak jakby poruszał się w rytm maszyny do szycia na długim szwie. Ginsberg zawodził tak jakby w rytm dzinijskiej miotłki. Cassady wprawiał swe struny głosowe we włókienkowe skurcze, coraz szybsze i szybsze, aż, niech to diabli, jeśli by je kurczył jeszcze prędzej, całkiem by się rozwibrował, jak powiada poczciwy Charles Fort, i natychmiast oddalił w pozytywny absolut. Była to niezła, dzika prywatka.

Nazajutrz, 16 października, w dzień akcji – Prankstersi przegapili, rzecz jasna, poranek, wybici z rytmu różnymi wydarzeniami ubiegłej nocy, opóźnili wymarsz do Berkeley. Sztuka nie jest wieczna, proszę kolegów. Plan przewidywał spotkanie z Hell’s Angels w Palo Alto i jazdę autostradą w huk i szyku. Włączyli pranksterskie taśmy, Cassady zasiadł za kierownicą. Wszyscy wdrapali się do środka, ubrani w szalone, militarne kostiumy, Hassler, Hagen, Babbs, Gretch, Zonker, June Goon, Roy Seburn, Dale Kesey i najróżniejsi ludzie, nawet Szalony Chemik – tym razem się pojawił – i, w ostatniej chwili, Mary Microgram. A wtedy wsiadł Kesey. Kesey ubrany był w obszerną pomarańczową kurtkę, z rodzaju tych, jakie noszą robotnicy drogowi, żeby widziały ich samochody. Na rękawach miał dystynkcje i coś w rodzaju sflaczałych epoletów powiewających na ramionach. Na głowę włożył wielki hełm z I wojny światowej pomalowany Day-Glo na pomarańczowo. Hełm był taki wielki i tak nisko opadał mu na czoło, że oczy miał jak dwie błyskowe lampki pod tą

pokrywką. Kesey zasiadł w wieżyczce artyleryjskiej i wyruszyli. Zanim dotarli do Palo Alto, dokładniej biorąc w Woodside, zatrzymały ich gliny, czepiały się i szczegółowo ich przeszukały. Prankstersi jak zwykle wyskoczyli z kamerami, mikrofonami na wysięgnikach i magnetofonami, filmowali i nagrywali wszystko, co mówiły gliny, więc gliny ich zostawiły, ale stracili sporo czasu.

– Aha – powiedział Szalony Chemik – pierwsza potyczka.

– Alarm pranksterski ogłoszony – powiedział Babbs.

Całkiem słusznie. Nadal byli zatrzymywani, czepiano się ich, szczegółowo przeszukiwano, tracili czas. Dotarli na *rendez-vous* w Palo Alto – a tu ani śladu Hell's Angels. Czekali i czekali na Aniołów, aż dali za wygraną i ruszyli autostradą do Berkeley.

Na kampus w Berkeley dotarli prawie o zmierzchu, a ich przyjazd nie zrobił zrazu większego wrażenia. Cóż, z całą falangą Hell's Angels, wyglądających jak skrzyżowanie gestapo z Tontonem Macoute – byłaby inna sprawa, na pewno. A także więcej hałasu. Tymczasem autobus wjechał na parking obok budynku Unii Studentów, Prankstersi rozrabiali jak tylko mogli, ta-tatali z drewnianych automatów do ptaków i samolotów. Wielki wiec trwał już cały dzień. Było ich około piętnastu tysięcy cyganerki w budrysówkach na wielkim trawniku, czy też placu, na kampusie, głośniki systemu nagłaśniającego wyły, huczały, warczały im ponad głowami. Dla mówców ustawiono wielkie podium.

Było ich około czterdziestu, wszyscy wydzierali się albo grzmieli albo nieodparcie argumentowali, co zawsze było najgorsze. Na takich imprezach chodziło o to, aby bez przerwy budować *momentum*, ciśnienie i grozę, aż wreszcie, kiedy przyjdzie czas na sygnał do działania – w tym przypadku do wymarszu – żeby poderwał wszystkich jako jedno wielkie, pospawane ciało wyznawców gotowych maszerować, dostać po łbie pałką i na całą resztę atrakcji.

Byli tam wszyscy przodownicy pracy językiem, mówcy tacy jak Paul Jacobs i M. S. Arnoni, który na występ ubrał się w więzienny uniform, ponieważ jego rodzinę zgładzono w niemieckim obozie koncentracyjnym w czasie II wojny światowej – a przed nimi morze studentów i innej Młodzieży, cyganeria w budrysówkach, budrysówki, juchtowe kozaczki, prawa obywatelskie, precz z wojną w Wietnamie – ...gdyby tylko mogli zawołać was ze swych grobów albo z pól i rzek, nad którymi rozrzucono ich prochy, błagaliby to pokolenie Amerykanów, aby nie milczało w obliczu zbrodni ludobójstwa popełnianych na narodzie Wietnamu... – a słowa płynęły przez głośniki pełnym krasomówczym gazem.

Pierwszym z kręgu Komitetu Dnia Wietnamskiego, który zauważył Keseya zbliżającego się do podium dla mówców, był Paul Krassner, redaktor magazynu „The Realist”. Większość Prankstersów była jeszcze w autobusie, wyglądała się z karabinami mając przypadkowych gapiów. Kesey, Babbs, Gretchen Fetchin i George Walker podeszli do podium, Kesey w pomarańczowej kurcie w Day-Glo i hełmie z I wojny. Krassner prowadził swój magazyn jako w gruncie rzeczy jednoosobowe przedsiębiorstwo i wiedział, że Kesey był jego subskrybentem. Więc nie zdziwiło go, że Kesey go zna. Tknęło go natomiast, że od razu zaczął z nim rozmawiać tak, jakby od dawna prowadzili konwersację, coś im przerwało, a teraz do niej wracali... To dziwna sprawa. Czuje się charyzmę faceta, żeby tak to nazwać, natychmiast, jak bije nawet przez zwariowane Day-Glo, albo może wsysa do środka tak, jak ktoś kiedyś napisał o Gurdjieffie: „Nie można się było oprzeć przyciąganiu, nieomal fizycznemu, ku niemu... jakby cię wsysał ogromny, duchowy odkurzacz”. Krassner miał jednak wtedy na myśli Flasha Gordona.

– Popatrz na to – mówi Kesey, wskazując na podium.

A tam stoi Paul Jacobs. Jacobs i tak ma krasomówcze skłonności, a z mówcami coś dziwnego dzieje się pod wpływem mikrofonu i głośników. Słyszysz swój głos płynny i donośny, potężny jak u Wotana, ponad oceanem nastawionych uszu i ochoczych twarzy, stajesz się wszechmocny i z minuty na minutę coraz bardziej kwiecisty, górnolotny i piorunujący. – *Zostało to zapisane, ale powiadam wam... szakale historii-rii-rii-rii...* Tam gdzie stoją, z boku podium, prawie nie słychać, co Jacobs mówi, ale słychać dźwięki, szczekliwe, huczące, rozbrzmiewające echem i słychać, jak tłum huczy w odpowiedzi i wyje w pogotowiu i widać Jacobsa, grubego i przysadzistego, zgarbionego nad mikrofonem, z rękami emfatycznie rozdającymi razy na boki, a wreszcie, o zachodzie słońca, na tle rumianego nieba rysuje się kształt jego zuchwy sterczącej jak kantalupa...

Kesey mówi do Krassnera:

– Nie słuchaj słów, tylko brzmienia, i patrz na gestykulację... kogo widzisz?

I naraz Krassner bardzo chce zgadnąć. To zew dawnej charyzmy. Chce podać prawidłową odpowiedź.

– Mussolini...?

Kesey kiwa głową, właśnie, właśnie, właśnie, ale nie spuszcza wzroku z wysuniętej paszczyki.

Tymczasem więcej Prankstersów podeszło do podium. Znaleźli jakieś gniazdka z prądem i przeciągnęli długie przewody na podium, do gitar, basówek i rur. Kesey jest przedostatnim mówcą. Po nim będzie jeszcze jakiś finałowy Waligóra i Wyrwidąb mównicy,

a potem – finałowa fala i marsz na Oakland.

Od pierwszej chwili, od kiedy tam wszedł, Kesey był tam dziwnym zgrzytem. Jego kurta świeciła w mroku, a także jego hełm. Za nim ustawiło się jeszcze trochę świrów w Day-Glo, ubranych w pilotki i gogle, lotnicze kombinezony i wojskowe bluzy, Babbs, Gretch, Walker, Zonker, Mary Microgram i małe dzieci w Day-Glo, co drugie niesie elektryczną gitarę albo jakąś trąbę, kłębią się i kręcą w smugach Day-Glo. Następny zgrzyt to głos Keseya, jest taki nie-krasomówczy. Zaczyna cicho, cedząc słowa po oregońsku, jakby sobie gawędził z 15 000 ludzi:

– *Wiecie co, nie zatrzymacie tej wojny tym wiecem, marszami... To jest to, co robią oni... To oni zwołują wiece i oni maszerują... Oni prowadzą wojny od dziesięciu tysięcy lat i nie powstrzymacie tego w ten sposób... Dziesięć tysięcy lat, a to jest właśnie gra, w którą grają, aby sobie wojować... wiece i marsze... i to ta sama gra, w którą i wy gracie... ich gra...*

Po czym sięga do wielkiej, świecącej Day-Glo kurty, wyciąga z niej organki i zaczyna grać wprost do mikrofonu *Home, home on the range... Dom, dom na prerii*, rzępoli na tym cholernym gracie – *Dom... Dom... na pre-e-e-erii rzępu-rzępu...*

Tłum stoi, nagle jak wryty, większość zastanawia się, czy dobrze usłyszała, przekrzywiają głowy i kręcą nimi do siebie nawzajem. Przede wszystkim, ten ni stąd, ni zowąd rozmowny ton, a potem przypadkowe nuty wypruwane z elektrycznych gitar przez świrów Day-Glo z tyłu za nim i ogólny szmer zgromadzenia przedostający się do mikrofonu – czy ktoś to usłyszał –

– a tymczasem Kesey wciąż stoi i rzępoli na zakręconych organkach. *Dom, dom na pre-e-e-erii* –

– achhhhh, rozumiem – wyobrażają sobie, że to jakiś wykalkulowany sceniczny greps, to granie *Dom, dom, na prerii* – prowadzący do czegoś takiego, jak, No taaak! Wiemy, co to za *dom!* Wiemy, co to za *preria!* Ten zgniły dom USA i ta zgniła USA preria –

– ale zamiast tego ten sam swojski, ospały głos –

Właśnie przyglądałem się mówcy, który stał tu przede mną... nie słyszałem, co mówił... ale słyszałem brzmienie jego głosu... i słyszałem, jak wy brzmieście w odpowiedzi... i widziałem tę gestykulację –

– i Kesey zaczyna parodiować pchnięcia małych rączek Paula Jacobsa, jego zgarbioną posturę i jego –

– *i widziałem, jak sterczała mu szczeka, o tak... na tle nieba... i wiecie, kogo zobaczyłem... i kogo usłyszałem?... Mussoliniego... zobaczyłem i usłyszałem Mussoliniego, o tu, zaledwie kilka minut temu... Taaaa... gracie w ich grę...*

Znowu zaczyna rzępolić, rzępoli i rzępoli *Dom, dom na prerii* w starym, smętnym rytmie ogniskowego zapiewają – a Prankstersi wspierają go na swoich instrumentach, Babbs, Gretch, George, Zonker, wplatając się w wielki Day-Glo odlot

– i co, do diabła – parę gwizdów, ale głównie zmieszanie – co, na Boga, te cudaki –

– *Wszyscy słyszeliśmy już i widzieli to wszystko, ale wciąż to robimy... w zeszłym miesiącu wybrałem się na koncert Beatlesów... I słyszałem, jak dwadzieścia tysięcy dziewcząt wrzeszczało na nich chórem... wtedy też nie słyszałem tego, co wrzeszczały... Ale to wcale nie jest konieczne... One wrzeszczały Ja! Ja! Ja! Ja!... Ja tu jestem!... To jest właśnie jęk ego i to jest jęk tego wiecu! Ja! Ja! Ja! Ja!... I to dlatego walczy się na wojnach... ego... dlatego, że wystarczająco wielu ludziom chce się wrzeszczeć. Zwróćcie uwagę na mnie... Taaaa, wy gracie w ich grę...*

– i jeszcze trochę *rzępurzępurzępurzępu* –

– a tłumowi zaczyna siadać siła. Tak, jakby wiec, cały ten dzień, był jednym wielkim pompowaniem helu do jakiegoś balonu, przygotowaniem do startu – i nagle ktoś wyciągnął korek. I nie chodzi o to, co on mówi. To dźwięki i zakręcony widok, i przeklęte żałobne organki, i durna chińska muzyka frików, którzy stoją tam za nim. Tego jednego nie potrafi znieść bojowy duch – zgrywy, numeranctwa, bzdury, grania na nosie.

...Komitet Dnia Wietnamskiego kipi na skraju podium: – Kto, do cholery, zaprosił tego sukinsyna! – To *ty* go zaprosiłeś! – A niech to, sądziliśmy, że jako pisarz będzie przeciwko wojnie! – Czy nie mieliście dość mówców? – pyta Krassner. – Żeby przyciągnąć ludzi, potrzeba tyle sławnych nazwisk, ile się da zebrać. – No i właśnie macie za swoje, łowcy znakomitości – powiada Krassner. Gdyby mieli taką pętlę, jak na rewiach dla amatorów w czasach teatrzyków *variete*, od razu ściągnęliby go z podium. Więc dlaczego ktoś po prostu nie pójdzie tam i go nie przegoni! On wszystko popsuje. Ale wtedy widzą tych wszystkich szaleńców w Day-Glo, mężczyzn, kobiety i dzieci, rozedrganych i pod prądem, jak drapią swoje gitary, trąbią w trąby, połyskują obłąkańczo o zachodzie słońca... I obraz największego w historii Ameryki wiecu antywojennego zakończonego burdą w Day-Glo na melodię *Home, home on the range*...

– nagle rzępolenie na zakręconych organkach ustaje. Kesey pochyla się do mikrofonu

–

Jest tylko jedno wyjście... tylko z jednego może być jakiś pożytek... Kiedy wszyscy na to popatrzą, popatrzą na tę wojnę, odwrócą się plecami i powiedzą... A ja to pieprzę...

– *rzępurzępurzępurzępu* –

– Dobrze to usłyszeli. Dźwięk tej frazy – A ja to pieprzę – brzmi tak dziwnie, tak

wstrząsająco, nawet tu, w cytadeli Wolności Słowa, kiedy dochodzi z megafonu, grzmi nad głowami 15 000 narodu...

Dom, dom na prerii rzepurzępurzępurzępu, a Prankstersi grzeją teraz jak szaleni na swych instrumentach za tymi organkami, brzmią jak Juan Carillo z obłąkanego honky-tonku, który wymyślił 96 tonów na tylnym siedzeniu jeepa willysa, oszczędzał grosiki przez całą wojnę, aby to sobie kupić, rozumiecie, miedziane grosiki, aż mu się zrobiły niebieskie parchy za paznokciami cytrzysty, rozumiecie...

– Po prostu popatrz, odwróć się plecami i powiedz... A ja to pieprzę...

– powiedz... Pieprzę...

Rzępurzępupieprzę... drodzy przyjaciele...

Nie było sposobu, żeby udowodnić, że to przez Keseya. A jednak coś uleciało z tego antywojennego wiecu. Waligóra i Wyrwidąb przemówił, potem Komitet Dnia Wietnamskiego podjął ostatnią zmasowaną próbę natchnienia tłumu starym dobrym duchem, dano sygnał i wielki marsz na Oakland ruszył w zmierzch. Piętnaście tysięcy dusz... ramię w ramię, jak na starych plakatach strajkowych. Na granicy Oakland-Berkeley czekała na nich uformowana w strzałę falanga policji i Gwardii Narodowej. Komitet Dnia Wietnamskiego rozgorączkowaną kupą maszerował na czele, próbując podjąć decyzję, czy iść w zaparte, wybrać *konfrontację fizyczną*, porozbijane głowy, bagnety – czy też zawrócić, kiedy im kazano. Wyglądało na to, że nikt nie miał dość determinacji. Ktoś powiedział: Nie mamy wyboru, musimy zawrócić – a ktoś inny nazwał go Martinem Lutherem Kingiem. W owym czasie było to najgorsze, co można było powiedzieć o kimś z Nowej Lewicy. Martin Luther King zawrócił w krytycznym momencie na moście w Selmie. Nie możemy wystawiać czaszek naszych wiernych na ryzyko pogruchotania i pohańbienia przez tych, którzy nie cofną się przed tchórzliwym pokazem zbrojnej siły, powiedział, ciągnąc grobowym głosem jak Murzyn z podręcznika socjologii – wielki, uroczysty Wuj Tom z ambony. Taaak! ty Wuju Tomie Siwe Jajka, ty swojski Bookerze T. Washingtonie z mównicy ceremonii wręczania medali Nagrody Nobla, ty – *Wuju Tomie* – a kiedy było po wszystkim, Martin Luther King został dla Nowej Lewicy Łbem W Chusteczce Do Nosa Z Supelkami z bzdurnego music-hallu – no i właśnie, oto przezywali się nawzajem Martinami Lutherami Kingami i innymi niebywałymi przezwiskami – ale nikt nie miał dość poczciwego, niezłomnego, żelaznego zapału, żeby doprowadzić sprawę do końca. – Och, gdzież jest nasz Ze-lota, kto podajgłował i popieprzył nam w głowach – i nie pozostało nic innego, jak popsioczyć na Gwardię Narodową i zawrócić, co też zrobili. Co nam się, do cholery, stało? Kto to zrobił? Jak to, przecież to Człowiek W Masce –

Tak więc wielki marsz zawrócił i ruszył w stronę Parku Miejskiego w Berkeley i stał tam, jadł hamburgery i słuchał muzyki jakiegoś jug bandu – grupy, która później znana była jako Country Joe and the Fish – i zastanawiał się, co się, do cholery, stało. Potem ktoś zaczął rzucać gaz łzawiący z jakiegoś dachu i Bob Scheer odważnie kazał wszystkim położyć się na trawie, ponieważ gaz łzawiący unosi się w powietrzu – ale ten jug band stał tam jednak, skamieniały, z dłońmi na instrumentach zamarłymi w tych samych pozycjach co wtedy, kiedy dopadł ich gaz. Zdaje się, że jug band był na jakiejś fazie i kiedy dopadł ich gaz, kombinacja gazu i tego, na czym już przedtem byli – sparaliżowała ich i stali w kompletnie zeszywniałych *medias res*, jakby pozowali do rzeźby Iwo Jimy największego wiecu antywojennego w historii narodu amerykańskiego. Cały ten wiec wyglądał teraz jak jeden wielki półdupek, ze skamieniałym jug bandem jako symbolem tego, jak daleko zaszli.

17. Odjazdy

PRZYGOTUJCIE SIĘ NA MEKSYK

I napisał Kesey te słowa tajemne

na Pranksterów tablicy w domu z bali:

Abyśmy każdą myślą, całym swym pędem, na Meksyk się gotowali.

Każdym kąskiem jedzenia, każdą książką czytana, każdym lotem i każdym dołem,
każdą smugą Day-Glo...

Choć nie zdradził tej wyprawy przyczyny

ani dnia jej ani godziny.

MOUNTAIN GIRL WRACA DO POUGHKEEPSIE

Mountain Girl zaś, entuzjastka pranksterskiego odlotu

Radiometr ich superpsychicznego toku

Nikt tak bez reszty nie poddał się hazardowi psychedelii

Ani równie promiennie nie błyszczał w zwichrowanej wewnętrznej przestrzeni.

Ale nawet sama Izys nie jest nieczuła na kryzys

Co odciska się na psyche kobiecie, kiedy ma powić dziecię

Nie będzie jej łatwo przecie od Keseya o trzy tysiące milek...

Ale musiała powiedzieć Dość!

Spróbować

w garść się wziąć... i powrócić na Wschód na chwilę

SANDY WRACA DO NOWEGO JORKU

Ścieżką miękką jak aksamit, a jednak usłyszał, jak się zbliża

Horror! jak wznosi się, cielesnie z mgieł jego nabożeństwa.

Demon Speed zaczyna się rzucać, porzuca Sandy'ego w strachu i rozterce złego tripu,

Od nowa oślepionego na wpół szaleńczą demoniczną implozją DMT

Co budzi psychosomatyczne, psychocydyczne syndromy korowe,

A nawet synartretyczny paraliż wzdłuż jego pociągłej twarzy

Próbuje sam się leczyć, oczyścić z psychicznego jadu,

Ale bezradna jest – cała pranksterska sztuka tego rozświetlonego magią miejsca.

Nawet *I Ching* mówi o skanowaniu mózgu, o EEG, o wszystkich

klinicznych sztuczkach,

Co kosztują pieniądze – Kesey! Pozwól mi zastawić Ampex,

Za czterysta dolarów magnetofon, przecież to ja go przyniosłem

Tu przede wszystkim – a potem – tkwi w jego synartretycznej korze Ta myśl: Kesey nie dał mu Ampexu, świętej maszyny Prankstersów Wraca na Wschód na kliniczne sztuczki, ale nie skończy się na tym,

Rycerzu Snów...

18. Tasmańskie diabelstwo Cosmo

- CZY TY PRZEJDZIESZ PRÓBĘ KWASU? – Idzie zew

W gałkach pranksterskich oczu rzeźbiony gotykiem Lincolna

Gdy tak lamentujemy

Na tym cmentarzu wśród kamieni nagrobnych z księżycą filozofując z wolna

To *twoja* rasa –

Czy *ty* przejdiesz Próbę Kwasu?

Babbs i Kesey się bujają

Na Kalifornii cmentarzu wyją z głębi czasu Naraz

LSD dali w gaz aż po skraj stromy swego

Misjonarzy losu

Czy ty przejdziesz Próbę Kwasu?

Kamienie nagrobne!

Grobowce, trumny i nagie, węglem datowane kości Snów transfuzja

Z Komunalnego Zapasu:

Czy ty przejdziesz Próbę Kwasu?

Grupowa świadomość,

Co odleciała wysoko, Majorze, ale wszystko widzi w księżycowym blasku

Natchniona

Ceremonią konieczną

w księżycowym błysku

Aby rozniósł się

Manifest Prankstersów po krańce

Ziemi. Mentalne święto w księżycowym statku Próba Kwasu...

...i wynurzył się Kesey z niesamowitej nocy na cmentarzu z wizją podłączenia dosłownie całego świata i z niezwykle praktycznym sposobem na to, znanym jako

THE ACID TEST, czyli PRÓBA KWASU

Bowiem, jak napisano: *...narasta w nim pilna potrzeba dotarcia z dobrą nowiną do wszystkich ludzi... kształtuje rytuały, często angażujące muzykę, taniec, liturgię i ofiarę, aby osiągnąć zbiektywizowany i stereotypowy wyraz owego oryginalnego, spontanicznego doświadczenia religijnego.*

Chryste! Ileż ruchów przed nimi natknęło się na ten sam problem. Każda wizja, każde wtajemniczenie... oryginalnego kręgu pochodzi zawsze z tego *nowego doświadczenia...* z owego *kairos...* i jakże to opowiedzieć! Jak przekazać je masom ludzi, którzy sami nigdy go nie przeżyli? *Nie można zawrzeć tego w słowach.* Trzeba stworzyć okoliczności, w których odczują pewne przybliżenie *tamtego wrażenia*, owego wzniosłego *kairos*. Trzeba wprawić ich w ekstazę... buddyjscy mnisi pogrążają się w kosmicznej miłości poprzez post i kontemplację; hinduiści odlatują w bhakti, czyli żarliwą miłość w boskim opętaniu, ekstatyczne zatopienie się w Krishnie, poprzez seksualne orgie albo bachanalie ucztowania; chrześcijanie trafiają do Miasta Na Skraju poprzez gnostyczny onanizm albo Serce Jezusowe albo Dzieciątka Jezus ze

swoją krwawiącą raną – albo –

PRÓBĘ KWASU

I naraz Kesey spostrzega, że oni, Prankstersi, mają już wiedzę i maszynę, aby kreować stany rozszerzonej świadomości, jakich świat nie widział, totalnie zakręcone, podpalone, wzmacnione i... opanowane – mają najskuteczniejszy z dotychczas wymyślonych kluczy do otwierania drzwi umysłu tego świata: a mianowicie LSD Owsleya.

Całymi miesiącami Kesey pracował nad... fantazją... Kopuły. Miała to być wielka, złożona z czterościanów, kopulasta konstrukcja na walcowatej podstawie. Wyglądałaby jak ogromny grzyb. Wiele poziomów. Ludzie wspinaliby się schodami w górę walca – *kupowali bilet?* – *no cóóóóóó* – a kopuła miałaby wspaniałą podłogę z gumowej pianki, na której mogliby się położyć. W gumowej piance, poniżej poziomu podłogi, umieszczono by projektory filmowe, odtwarzacze wideo, rzutniki światła. Wszędzie, w całej kopule, zainstalowano by głośniki, mikrofony, magnetofony, urządzenia do transmisji na żywo, do odtwarzania nagrań, regulowanego echa. Ludzie mogliby brać LSD, speed albo palić trawkę, kłaść się i przeżywać, co dusza zapagnie, zamknięci i zanurzeni w planecie światła i dźwięków, jakich nie zna wszechświat. Światła, filmy, wideo, wideo ich samych, połyskujące i wirujące po całej kopule wiązki reflektorów bijących z podłogi pomiędzy ich ciał. Dźwięki rozbrzmiewające w kopule jak tajfun. Filmy i taśmy z przeszłości, taśmy dźwiękowe i wideo, transmisje i projekcje teraźniejszości, taśmy i humanoidalne odgłosy przyszłości – ale wszystkie razem wprowadzane *teraz* – tu i teraz – *kairos* – w rozszerzoną korę mózgową...

Kopuła była, oczywiście, inspiracją Buckminstera Fullera, projekcje świetlne przede wszystkim Gerda Sterna z grupy USCO, choć Roy Seburn zrobił już z nimi wiele rzeczy, a Page Browning objawiał talent, który wszystkich zaskakiwał. Ale magiczna kopuła, nowa planeta, to pomysł Keseya i Prankstersów. Idea sięgała ponad to, co później znane było jako rozrywki multimedialne, obecnie standardowa praktyka w „dyskotekach psychodelicznych”. Prankstersi mieli do dyspozycji supermedium, czwarty wymiar – kwas – Cosmo – Wszystkojedność – Panowanie – Film –

Ale dlaczego kopuła? Oto odpowiedź na wszystkie pranksterskie fantazje, publiczne i prywatne, kompletne rozwiązanie – już je znaleźli, a mianowicie prywatka z Hell's Angels. Ten dwudniowy raut był nie tyle prywatką, co spektaklem. A nawet więcej niż spektaklem. Była to niewiarygodna koncentracja energii. Nie tylko Prankstersi, ale ludzie zewsząd, headzi, nie-headzi, intelektualiści, poszukiwacze przygód, nawet gliny, zjawili się i porwała ich niewiarygodna energia tej sprawy. Znaleźli się w filmie Prankstersów. Był to jeden spektakl, bez podziału na artystów i klientów, którzy kupują bilety i mówią, no dobra, teraz proszę nas

bawić. Na prywatce z Aniołami wszyscy razem przyprawiali, każdy robił swoje i bawił wszystkich innych, Aniołowie jako Aniołowie, Ginsberg jako Ginsberg, Prankstersi jako Prankstersi, a gliny jako gliny. Nawet gliny robiły swoje, błyskając tymi tłustymi, złymi, wirującymi, czerwonymi światłami spod piaszczystego klifu, warcząc, ujadając i zaczepiając samochody.

CZY
TY
PRZEJDZIESZ
PRÓBĘ KWASU?

Każdy mógłby wziąć LSD po raz pierwszy i przejść przez to bez paranoi... Leary i Alpert głosili zasadę „wystroju i nastroju”. Wszystko, co dotyczy brania LSD, owocnego, wolnego od paranoi doświadczenia, zależy od nastroju i wystroju. Powinno się brać kwas we wnętrzu o pogodnym i atrakcyjnym wystroju, w domu lub mieszkaniu urządzonym przedmiotami o rzetelnej jakości, z turkomariskimi gobelinami, greckimi dywanami z koźlich skór, błękitną ceramiką ze sklepu Cost Plus, łagodnym światłem – ale nie w japońskich papierowych kulach, lecz w chińskich abażurach z bawełnianej surówki – krótko mówiąc, w wiejskim odludziu Cyganerii Z Dzielnicy Willowej, najlepiej takim za 60 000 dolarów rocznie, z *Requiem* Mozarta sączącym się ze stereo z liturgiczną powagą. „Nastrój” to stan umysłu. Należy przygotować się do tego doświadczenia medytując nad własną kondycją i zastanawiając się, co ma się nadzieję odkryć lub osiągnąć podczas podróży do własnej jaźni. Należy także mieć przewodnika, który brał już LSD i orientuje się w różnych stadiach tego doświadczenia, kogoś, kogo zna się i darzy zaufaniem... i Pieprzyć to wszystko! To tylko zatwardza to zatwardzenie z przeszłości, odwieczne *opóźnienia czegoś*, co powinno zdarzyć się *Teraz*. Niech wystrój będzie tak niespokojny i niesamowity, jak jest to możliwe za sprawą sztuk pranksterskich, niech twój nastrój będzie tylko taki, jak to, co masz w swoim... *mózgu*, stary, i niech twoim przewodnikiem będzie, niech cię w zaufaniu trzyma za rączkę i niech ci zmienia pieluszki na główce, banda szaleńców w Day-Glo, mających za motto: „Nigdy nie ufaj Prankstersowi”. Próby Kwasu będą jak prywatka z Aniołami plus wszystkie idee, które złożyły się na fantazję Kopuły. Wszyscy będą brali kwas, kiedy tylko zechcą, na sześć godzin przed Próbą albo kiedy się zjawią, w dowolnym punkcie tripu wtedy, kiedy zechcą wkroczyć na nową planetę. W każdym razie i tak będą na nowej planecie.

Ach, te tajemnice synchroniczności! Jakie to dziwne... Próba Kwasu okazała się w

istocie formą sztuki przepowiedzianą w dziwnej książce *Childhood's End* i nazwaną „totalną identyfikacją”: „Wskazówkę do działania odnaleźli w historii kinematografii. Najpierw dźwięk, potem kolor, potem stereoskopia, dalej *Cinerama* coraz bardziej upodabniały pocziwe stare kino do rzeczywistości. Gdzie jest kres tego rozwoju? Z pewnością w ostatnim stadium publiczność zapomni, że jest publicznością, i weźmie udział w akcji. Wymagać to będzie pobudzania wszystkich zmysłów, a może także hipnozy... Osiągnięcie tego celu oznaczać będzie ogromne wzbogacenie ludzkiego doświadczenia. Człowiek będzie mógł zostać – na jakiś czas przynajmniej – dowolną inną osobą i będzie mógł wziąć udział w każdej wyobraźalnej przygodzie, rzeczywistej czy wyimaginowanej... A kiedy skończy się »program«, pozostanie wspomnienie tak żywe, jak doświadczenie faktycznego życia, nie do odróżnienia zaiste od rzeczywistości jako takiej”.

Nic dodać nic ująć!

Pierwsza Próba Kwasu skończyła się raczej jak dawna kwasowa balanga w La Hondzie, to znaczy jako sprawa prywatna i niemal pozbawiona formy. Miała być imprezą publiczną, ale Prankstersi nie byli mistrzami świata, jeśli chodzi o mechanikę spraw, jak choćby wynajem sali. Pierwsza Próba miała się odbyć w Santa Cruz. Ale nie udało im się na czas wynająć sali. Musieli ją zrobić w domu Babbsa, miejscu znanym jako Spread, na przedmieściach Santa Cruz, w dzielnicy pod nazwą Soquel. Spread przypominało zrujnowaną fermę kurzą. Dzika wyka i pędy kaniańki z każdą chwilą zdobywały nowe tereny, przynajmniej tam, gdzie tereny nie były wypalone czy ubite w gliniaste błoto. Były tam tłuste, brunatne psy, zrujnowane pojazdy, rdzewiejące maszyny, gnijące koryta, bieżnikowane opony oraz mały domek z linoleum na podłogach i tego typu starymi, wyświechtanymi, klubowymi fotelami, nad którymi unoszą się chmury natrętnych much, które odlatują na trzy centymetry, kiedy machnąć na nie ręką. Ale były tam także na ścianach i sufitach kreacje Babbsa z Day-Glo, obiekt był prywatny i na uboczu. W każdym razie, został im albo Spread, albo nic.

Prawie cała reklama, jaką udało im się zrobić, ograniczyła się do samego dnia Próby. Norman Hartweg wymalował na kawałku tektury napis, przymocował go do tablicy używanej przez Babbsa jako plansza z instrukcjami reżyserskimi przy kręceniu filmu i ustawił w Hip Pocket Bookstore. CZY TY PRZEJDZIESZ PRÓBĘ KWASU? Hip Pocket Bookstore było księgarnią książek kieszonkowych, którą Hassler i Peter Demma, jeden z satelitów Prankstersów, prowadzili w Santa Cruz. Tego popołudnia zostawili w sklepie wiadomość, że impreza odbędzie się u Babbsa. Paru lokalnych luzaków zobaczyło ją i przyszło, ale tego wieczoru w Spread pojawili się głównie Prankstersi i ich znajomi, wśród nich wielu ludzi z Berkeley, którzy przyjeżdżali do La Hondy. Plus Allen Ginsberg ze swym anturazem.

Zacząło się jak prywatka, z kawałkami filmu migocącymi na ścianach, światłami, taśmami, muzyką w wykonaniu samych Prankstersów, żeby nie wspomnieć o LSD. Dziwna, atonalna, chińska muzyka Prankstersów a la John Cage rozbrzmiewała na wszystkich częstotliwościach. W zasadzie była to po prostu prywatka w stylu La Hondy – ale potem, około trzeciej nad ranem, coś się wydarzyło... Niewtajemniczeni, ci, którzy przyszli po prostu na balangę i nie doświadczali żadnego Kierownictwa, tak jak ludzie z Berkeley, wszyscy poszli sobie około trzeciej i Próba zawężała się do swego rodzaju rdzenia... Skończyło się na tym, że Kesey zajął miejsce w jednym końcu saloniku Babbsa, a Ginsberg w drugim, cała reszta zaś usadowiła się wokół tych dwóch biegunów, jakby to był magnes, wszyscy ludzie Keseya w jego stronę, wszyscy ludzie Ginsberga w stronę Ginsberga – super-Zachód i super-Wschód – i tak się złożyło, że przedmiotem dysputy był Wietnam. Kesey wyłożył swą teorię całych mas ludzi podających sobie ręce i kupą wycofujących się z tej wojny. Ginsberg powiedział, że wszystkie sprawy, wojny, to rezultat nieporozumień. Nikt z walczących nigdy nie *chciał* tego robić i gdyby tylko mogli usiąść w przyjaznej atmosferze i pogadać, dotarliby do sedna swych nieporozumień i załatwili je – a wtedy z końca kontyngentu Keseya dobiegł głos jedyne go człowieka w tym pokoju, który znalazł się w promieniu tysiąca kilometrów od tej wojny, Babbsa – Tak, to wszystko jest tak *bardzo oczywiste*.

To wszystko jest tak bardzo oczywiste...

Jak magiczny wydał się w tej chwili ten komentarz! W magicznej ósmej godzinie kwasu – jakie to teraz wszystko było jasne – Ginsberg to powiedział, a Babbs, wojownik, potwierdził, wszystko narastało do tego stadium i naraz stało się takie... bardzo... jasne...

Próba Kwasu w Spread była, rzecz jasna, zaledwie próbą Próby. Tak naprawdę nie... dotarła do świata... Ale! Już wkrótce... Rolling Stones, druga z najostrzejszych grup z Anglii, zjeżdżała 4 grudnia do San Jose, sześćdziesiąt kilometrów na południe od San Francisco, na koncert w Civic Auditorium. Kesey widział to już przedtem i wie, jak będzie wyglądać teraz. Widzi nagrzane, nawiedzone małodlatki i najróżniejsze masy ludzi wylewające się z Cow Palace po koncercie tamtego wieczoru, tę pokawałkowaną bestię z różowymi czułkami, wylewającą się, wciąż rozedrganą ekstazą i cukrowymi fasolkami, nabitą, gotową do strzału, choć nie wycelowaną, bez prądu, któremu dałaby się ponieść... To tak bardzo oczywiste.

Przez trzy lub cztery dni Prankstersi poszukiwali sali w San Jose i nie mogli trafić na żadną – naturalnie – to naprawdę wydawało się naturalne i nieomal właściwe, że aż do ostatniej minuty nic nie było wiadomo. Pewne było tylko to, że w ostatniej minucie coś znajdą. Przynajmniej tyle można się było spodziewać po Filmie. A jeśli masy do ostatniej chwili nie będą *wiedziały*, gdzie ma się to odbyć? Cóż, ci, co mieli się tam znaleźć – ci, którzy

tkwili w kisielu – ci tam trafią. Jest się albo w autobusie, albo poza autobusem i stosuje się to do całego świata, nawet do San Jose w stanie Kalifornia. W ostatniej minucie Kesey namówił przedstawiciela lokalnej cyganerki znanego jako Big Nig, aby udostępnił im swoje wielkie, stare domostwo.

Kesey spiknął się z zespołem rock'n'rollowym The Grateful Dead, którego liderem był Jerry Garcia, ten sam przegrany młodzieniec, który mieszkał kiedyś w Chateau w Palo Alto z Page'em Browningiem i innymi takimi, którzy wyglądali na nicponi, lumpenbitników, których trzeba było przeganiać, kiedy przychodzili i próbowali nieproszeni wbijać się na prywatki na Perry Lane. Garcia pamiętał – jak tam przychodzili i bywali wykopywani „przez Keseya i tych winożłopów”. *Te winożłopy* – cyganeria z klasy średniej z Perry Lane. Obaj, Kesey i Garcia, cały czas, choć z różnych stron, zmierzali do kisielu, a teraz Garcia był, tak, tak, pięknym człowiekiem, spokojnym, za kisielom i wspaniałym gitarzystą. Na początku Garcia nazwał swą grupę The Warlocks, co znaczy czarodzieje lub magicy, i ledwie wiązał koniec z końcem grając do piwa w knajpach jazzowych i tym podobnych w okolicy Palo Alto. Dla The Warlocks muzyka do piwa, nawet jeśli nazywano ją jazzem, była po prostu zgredziarsko-luzacka. Oni także czuli tę różnicę. Grając dla Keseya, mogli grać, co chcieli, robić swoje.

The Dead mieli organistę zwanego Pig Pen, który grał na elektrycznych organach Hammonda, więc wnieśli te organy do wiekowego domu Big Niga, plus wszystkie zelektryfikowane gitary i basówki Grateful Dead i zelektryfikowane gitary, basówki, flety, trąby, rzutniki, projektory filmowe, taśmy, mikrofony i aparaturę nagłaśniającą Prankstersów, które piętrzyły się w obłakanych zwojach drutu, błyskach nierdzewnej stali i migoczących wskaźników wzmacniaczy przed niedowierzającymi oczami Niga. Jego dom jest stary i ma instalację elektryczną, która z trudem wytrzymuje toster. Prankstersi wystroili się w komplet pranksterskich insygniów. Paul Foster nosi Płaszcz Ważności, a na głowie ma teraz szopę kędziorów i wspaniałe zakręcone wąsy z wielkimi, kędzierzawymi bokobrodami sterczącymi z twarzy. Page Browning jest królem makijażu. Zmienia się w pełnowymiarowego Diabła z jaskrawopomarańczową twarzą i oczami pośrodku dwóch wielkich srebrnych gwiazd namalowanych na tym pomarańcu, z włosami srebrnymi od srebrnego proszku i ustami uszmiękowanymi srebrną pomadką. Tego wieczoru wszyscy Prankstersi zasiedli do pastelowych kredek oraz kolorowych flamastrów i w niesamowitym tempie produkowali ulotki formatu kartki maszynopisu z tekstem *CZY TY PRZEJDZIESZ PRÓBĘ KWASU?* i adresem Big Niga. Gdy nabite cukrowymi fasolkami masy zaczynają wylewać się z koncertu Rolling Stonesów w Civic Auditorium, Prankstersi ruszają pomiędzy nie. Pomarańczowo-

srebrny Diabeł, dziki człowiek w płaszczu ze znaczków – Prankstersi. Prankstersi! – wręczają ulotki z wyzwaniem, niczym demony, czarownicy zaiste, którzy przyszli ukierunkować dziką, bezsensowną energię, którą w środku nabuzowali Rolling Stonesi.

Przyszli, tłoczą się u Big Niga i nagle wszędzie zapanował kwas i szal, elektryczne organy wibrują we wszystkich trzewiach w okolicy, dzieciaki tańczą, bynajmniej nie *rockowe* tańce i nie żadne twisty, mamusiu, ale tańczą *ekstazę*, skaczą, derwiszują, wyrzucają ręce ponad głowy jak gorliwi, zaufani dworzanie Tatki Grace’a – tak jest! – światła Roya Seburna zmywają wszystkie głowy, Cassady nawija, Paul Foster wręcza ludziom dziwne małe przedmioty ze swego Ekscentrycznego Wora, stare gwizdki, blaszane świerszcze, zniszczone klucze, widmowe uchwyty z plastyku. Oczy jarzą się wszystkim jak żarówki, wylatują bezpieczniki, ciemno – ooooojjjeejjj! – coś trzęsie się, wibruje, zbiera się i odlatuje w ciemności – a potem ktoś zakłada nowe bezpieczniki i stare domiszcze dygoce od nowa, przewody elektryczne wiją się i rozlatują na kawałki jak liniejące węże, organy znowu wibromasują bebechy, bezpieczniki wylatują, umysły wrzeszczą, głowy eksplodują, sąsiedzi dzwonią na policję, dwustu, trzystu, czterystu ludzi wciągniętych do Filmu, przynajmniej na skraj kisielu, masa bardziej zwarta i bardziej zaprawiona niż jakakolwiek inna w dziejach, jak się niewątpliwie wydaje, a Kesey dokonuje delikatnych regulacji, jakiś drobny pstryczek elektryczek, smarujemy Wazeliną nr 634-3 rozrzedzoną tri, a oni *falują*, Majorze, *falują*, ale z sensem, czterystu z nastrojonej masy zmierza w stronę kisielu, pierwsze doświadczenie kwasowe na masową skalę, świt Psychedelii, Pokolenia Dzieci Kwiatów i całej reszty, a Big Nig chce na czynsz.

– A wy, jak na tym wychodzicie?

Jak na tym wychodzicie...

– No wiesz, bo to niby jest tak, no wiesz – mówi Big Nig do Garcii. – Ja nic nie kasuję od Keseya za to miejsce, że niby *za frajer*, rozumiesz? Ale układ jest taki, że każdy tu się *zrzuca*, stary, na czynsz.

Na czynsz –

– No właśnie, no wiesz, jakby... – mówi Big Nig. Big Nig wpatruje się w Garcie spojrzeniem z najgłębszej głębi ducha czujnego, czarnego autorytetu, jaką sobie tylko można wyobrazić, jak również uprzejmym i gorliwym...

No właśnie, no wiesz, jakby – Garcia jednakże ze swej strony nie wie, co wybuchnie najpierw, muzyka czy pomarańczowy śmiech. Kącikami oczu widzi swoje czarne włosy wokół twarzy – takie długie, do ramion, sterczą jak u sudańskiego żołnierza – a potem wielka, przejęta, czarna twarz Big Niga tuż przed nim zatrzepotała i komicznie rozmyła się w

połyskującym, uradowanym kwasem, czerwonym morzu twarzy z tyłu za nimi oboma, w galaktycznych, czerwonych jeziorach na ścianach...

– No właśnie, no wiesz, jakby, na ten *czynsz*, stary – powiada Big Nig – *wywaliliście* już sześć bezpieczników.

Wywaliliśmy! Sześć bezpieczników! Garcia wsadza rękę w elektryczną gitarę i wypuszcza dźwięki jak wielki pomarańczowy śmiech, z jakim elektryczna iskra ze wszystkich wywalonych bezpieczników przeskakuje kolorowo ponad połyskującym morzem twarzy. To dopiero śmiech i pół. Nowa gwiazda się rodzi, jak żarówka w łonie, a Big Nig chce na *czynsz* – nowa gwiazda się rodzi, nowa planeta powstaje, Ahura Mazda jarzy się w łonie świata, tu na naszych oczach – a Big Nig, ten biedny, żalony czarnuch, chce na swój *czynsz*.

To niesamowite. Wielki, czujny czarnuch wygląda żałośnie i po *zgreadowsku*. Przez dwadzieścia lat nigdy w luzackim życiu Murzyni nie *wyglądali* po *zgreadowsku*. Byli archetypami dusz wcielonych. Ale cóż ma Dusza czy Czuć, Luz czy Cizia do tego nowego świata ekstazy, do tego *Wszystkojednego*... do tego *kairos*...

Gdyby tylko mieli dobre miejsce, wystarczająco duże dla mas i wystarczająco izolowane, aby uniknąć glin z ich godzinami policyjnymi i wiecznymi pretensjami. Wkrótce potem znaleźli takie miejsce, przez przypa...

Przez przypadek, Mahaviro?

Trzecia Próba Kwasu została zaplanowana w Stinson Beach, 25 kilometrów na północ od San Francisco. Stinson Beach było już punktem zbornym miejscowych headów. Można tam było mieszkać całą zimę w małych domkach na plaży prawie za darmo. Była tam ładna, solidna, murowana sala sportowa, wszystko to bardzo ładne – ale w ostatniej chwili cała transakcja zakończyła się fiaskiem i przenieśli się do Muir Beach, kilka kilometrów na południe. We wszystkich alternatywnych środowiskach San Francisco rozdali już ulotki, *CZY TY PRZEJDZIESZ PRÓBĘ KWASU*, reklamujące wodewil Cassady'ego & Ann Murphy i znakomitości, które *mogłyby* się tam znaleźć, w tej liczbie wszystkich, którzy byli właśnie w mieście albo mogliby doń *ściągnąć*, The Fugs, Ginsberg, Roland Kirk. Retorykę pranksterskich ulotek zawsze cechowało eleganckie, koronkowe wykorzystanie trybu warunkowego oraz innych przyszłych zależności, ale któż mógł zaprzeczyć, że każdy *mógłby* zostać wciągnięty do Filmu...

Tak czy owak, w ostatniej chwili zmienili kierunek na Muir Beach. To, że wiele osób nie dowie się o tej zmianie, pojedzie do Stinson Beach i zwyczajnie zamarnie w

ciemnościach nigdy nie znalazłszy właściwego miejsca – jakoś nikogo nie martwiło. Należało do pewnego dziwnego porządku wszechświata. Norman Hartweg łyknął LSD – tego wieczoru było w kwasowo-gazowych kapsułkach – i rozmyślał o Gurdjieffie. Gurdjieff do ostatniej chwili nie zapowiedziałby takiego spotkania. Zbieramy się dziś wieczór. Ci, co dotarli, dotarli, i to samo w sobie ma pewien sens. Oczywiście sens następujący: *jest się albo w autobusie, albo poza autobusem.*

Ci, co byli w autobusie, nawet jeśli nie byli Prankstersami, jak Marshall Efron, pizaty Merkury znajdującej się na rzeczy Kalifornii, albo Hell's Angels... wszyscy się jakoś znaleźli. Gliny, natomiast, nie. Najwyraźniej ulotki ze Stinson Beach zbiły ich z tropu.

W Muir Beach był wielki pawilon z drewnianych bali przeznaczony na tańce, bankiety itp. Pawilon był zbudowany na palach ponad nieużytkiem zarosłym sztywną, bagienną trawą. Wielka, pusta plaża zimowym wieczorem. Trochę małych drewnianych chatek dla turystów z niebieskimi drzwiami po obu stronach, wszystkie puste. Pawilon miał około trzydziestu metrów długości i trzy duże sale, cały z drewnianych bali i nagich belek, zwięzła konstrukcja z ciemnego drewna i „polowe warunki”. Grateful Dead rozłożyli się ze swoim sprzętem i Prankstersi ze swoim, który zawierał teraz organy Hammonda dla Gretch i wspinała lampę stroboskopową.

Stroboskop! Lampa stroboskopowa, albo stroboskop, została oryginalnie wynaleziona do badań nad ruchem, na przykład ruchem nóg u człowieka w biegu. W zaciemnionym pomieszczeniu na nogi biegacza kieruje się jasne światło zapalające się i gasnące na przemian. Światło to błyska bardzo prędko, może nawet trzykrotnie szybciej od normalnego bicia serca. Za każdym razem kiedy się zapala, widać nowe stadium ruchu nóg biegacza. Następujące po sobie obrazy mają tendencję do pozostawania w umyśle, ponieważ światło wyłącza się, zanim dotrze doń zwykle zatarcie linii obrazu spowodowane ruchem. W świetle acid headów stroboskop ma pewne magiczne zastosowania. Przy określonych prędkościach lampy stroboskopowe są tak zsynchronizowane z rytmem fal mózgowych, że mogą powodować ataki u epileptyków. Headzi odkryli, że stroboskopy mogą przyprawiać ich o wiele sensacji doświadczanych po LSD, bez LSD. *Stroboskop!*

Ludziom stojącym pod niesamowitym stroboskopem wszystko wydaje się pokawałkowane. Ekstacyjni tancerze – dłonie odpływają im od ramion, wiszą w powietrzu – rozpadają się ich połyskujące twarze – błyszcząca elipsa zębów tu, para sterczących w ostrym świetle kości policzkowych tam – wszystko łuszczy się i rozlatuje na obrazy, jak w starym, mrugającym kinie – człowiek w plasterkach! – cała historia poprzypinana jak motyle w gablocie; *doświadczenie*, oczywiście. *Stroboskop*, projektory, mikrofony, taśmy,

wzmacniacze, Ampex z regulowanym pogłosem – wszystko to ustawiono w skłębionej, migocącej masie w pawilonie Lincoln Log, w jednej, wielkiej kupie; Babbs kręcił gałkami, mówił na próbę do mikrofonów. Zaczynali ściągać headzi. Marshall Efron i Norman, Norman już nieźle zaprawiony... A potem głównym wejściem wkracza Kesey...

Wszyscy go obserwują. Ma skupioną twarz, lekko przekrzywioną głowę. Zamierza coś *robić*; wszyscy się przyglądają, ponieważ wydaje się to strasznie ważne. Od razu wciągnął ich ten charyzmatyczny odkurzacz. Kesey rusza do aparatury, nic do nikogo nie mówi, sięga w galaktykę gałek, dokonuje... jednej, drobnej regulacji... tak! jeden wyłącznik, dwubiegunowy, jednopozycyjny, dwuprzerwowany, jako alegoria Panowania...

Jest tam Babbs, na fazie, ale radzi sobie z połyskującymi, poplątanymi zwojami taśm, projektorów i całą resztą. Każdy z Prankstersów, na fazie, ma do wykonania dość precyzyjne zadanie. Norman gapi się na gałki – nawet nie widzi numerków, tak jest zaprawiony, numerki wiercą się jak wielkie, świecące pasożyty pod mikroskopem – ale – *funkcjonować na kwasie*, Babbs mówi: – Robimy to między innymi po to, aby nauczyć się funkcjonować na kwasie. Oczywiście! Przygotowujcie się na ten Dzień – kiedy całe masy, miliony, całe cywilizacje będą na kwasie, w poszukiwaniu satori, to już się zbliża, fala się rozchodzi.

Wszyscy headzi, około trzystu osób, siedzą na podłodze. Głową w wir! Tak jest. U Big Niga w San Jose wiele z dzieciaków, które Prankstersi zgarnęli u wyjścia z koncertu Rolling Stonesów, nie brało tamtej nocy LSD, choć było tam wystarczająco wielu headów zaprawionych najróżniejszymi substancjami, aby wytworzyć tę spolegliwą wibrację znaną jako „faza kontaktowa”. Ale tym razem jest inaczej. Prawie każdy, kto odnalazł to miejsce po zmianie ze Stinson Beach, jest wystarczająco dobrze zorientowany, aby wiedzieć, co znaczy „kwas” w Próbie Kwasu. Wielu z nich wzięło kwas około czterech godzin temu, pierwsza fala już przeszła i są gotowi... aby teraz trochę się podrażcować... Oba projektory wyświetlają Film. Autobus i Prankstersi toczą się po ścianach pawilonu, Babbs i Kesey nawijają, Autobus rośnie, wibruje, podskakuje w wielkich wirach głów i kolorów – Norman, zaprawiony, siedzi na podłodze, na poły przerażony, na poły w ekstazie, choć gdzieś, w zakamarkach umysłu, świta mu, że taka jest właśnie jego metoda na Próbę Kwasu, siedzieć i patrzeć, trzymać się w godzinach szczytu, do jakiejś trzeciej lub czwartej nad ranem, do magicznej pory, a potem tańczyć – ale ten szczyt taki ogromny tym razem! Film i maszyny świetlne Roya Seburna rozlewają intergalaktyczne, czerwone morze science fiction aż po najdalsze kąty pawilonu, olej z wodą i barwnikami spożywczymi ściśnięte pomiędzy płytkami szklanymi i wyświetlane w ogromnym powiększeniu tak, że sam szlam komórkowego Stworzenia wydaje się ektoplazmować w sfery eteryczne, a wtedy wchodzą The Dead z niezmiernym, podwodnym

wibratem, wibrującym – *dziadziang* – od skał Aleutów po gryfie klify Zatoki Kalifornijskiej. Te niesamowite dźwięki Deadów! Agonia-w-ekstazie! Jak gdyby podwodne, często mętne, strasznie głośne, jakby siedziało się pod wodospadem, jednocześnie pełno w nich wibracji jak z balu wampirów, jakby każda struna ich elektrycznych gitar była długa na pół ulicy i brzęczała w przestrzeni wypełnionej naturalnym gazem, żeby nie wspomnieć o ich wspaniałych elektrycznych organach Hammonda, które brzmią jak kinowy Wurlitzer, maszyna do diatermii, CB-radio i śmieciarka Auto-Grind, która miele śmieci o czwartej nad ranem, wszystko na tej samej częstotliwości... A potem nagle inny film.

ŻABMAN

Babbs, Gretch i Hagen nakręcili go w Santa Cruz, jest to historia Babbsa Żabmana, który wyłonił się z Pacyfiku, od płetw po owadzie gogle odziany w czarny żabmański kostium z syntetycznej, gumowej pianki i zakochał w Księżniczce Gretch, z mnóstwem klatek skądinąd – z Filmu Autobusowego? – stroboskopowe zbliżenie na Żabmana, jak zaleca się, zdobywa ją i traci na rzecz Potworów Pacyfiku w podmorskiej projekcji.

BABBS! GRETCH!

Norman nigdy jeszcze na kwasie nie oglądał filmu, a w tym filmie pogłębia się, pogłębia, pogłębia perspektywa, najbardziej trójwymiarowy film wszechczasów, aż stają tu wprost przed nim, w swych pianogumowych, baśniowych ogonach, a Pacyfik tak daleko na horyzoncie, gaśnie ponad bagnami wokół pawilonu w Muir Beach, aż Babbs i Gretch znajdują się w środku, we własnych osobach w dwóch osobnych punktach, tu na moich oczach na tej plaży i tu, dokładnie w tej sali, dokładnie w tym pawilonie na tej plaży, Babbs przy mikrofonie, a Gretch tuż obok przy nowych organach Hammonda – cóż za *synch!* Żeby tak opowiadali i aranżowali własne żywoty, z regulowanym pogłosem, jedna warstwa pogłosu na drugiej.

HIIIIIIII

któż to pojawia się w samym środku tego wiru, jak nie Owsley. Owsley, wystrojony w headzie ciuchy za 600 dolarów, wynurzył się ze swego podziemia szpiegostwa i paranoi, aby na własne oczy zobaczyć ów pranksterski eksperyment i pośród przyprawiającej o zawrót głowy zarazy bierze LSD. Nigdy przedtem nie widzieli, żeby brał. Bierze i SSSRRRRRRRRUUUUUUUU

wir porywa go i zakręciwszy nim strąca w stroboskopowo stereoskopowe pranksterskie panopticum z pełnym regulowanym pogłosem

TAKIE KREATURY

Hell's Angels wchodzą chwiejnym krokiem, rażą Day-Glo, walą się kupą na podłogę

pod ultrafioletową lampą, a potem z błogością najłagodniejszego Buddy podają sobie nawzajem różne anielskie ezoterya, łańcuchy, Krzyże Żelazne, noże, guziki, medale, kluczyki, klucze nasadkowe, świece, podziwiają arkana mrugające w Day-Glo. Pomarańczowo-srebrny diabeł szybuje pomiędzy tancerzami szczerząc się zelockim uśmiechem w każdą twarz, a Kesey przycupnął pośród połyskujących zwojów w centrum

PANOWANIA

spogląda ponad stroboskopowym wirem – tancerze! miotają się i są miotani! w ekstazie! kręcą się w koło! kwitują! ludzie w plasterkach! w pingpongowych piłeczkach! w czystej, śmietankowej esencji i wszystko to osiąga

SYNCH

jakiego jeszcze nie widział. Oto headzi z całego kwasowego świata, Wszyscy wkręcają się wprost w kisiel. A teraz zobaczmy, co to jest

PANOWANIE

Kesey bierze za stroboskop i przekręca rtęciową dźwigenkę

W GÓRĘ

i wszyscy przyśpieszają

TERAZ wir, tak głęboko w tym tkwią. Tańczą prędkiej, w stroboskopowych błyskach dłonie lecą z ramion jak konfetti, uszczęśliwione twarze rozpadają się i wymieniają, ja bowiem jestem tobą, a ty mną w tasmańskim diabelstwie Cosmo. A teraz

W DÓŁ

i zwalniają – czy też My zwalniamy – To – Cosmo – zwalnia, wciąż w idealnej synchronizacji, jeden mózg, jedna energia, pojedynczy strumień intersubiektywności. To jest *możliwe*, ta alchemia tak wymarzona przez wszystkich headów. Właśnie dzieje się na ich oczach

PANOWANIE

Ciekawe, że po pierwszym wybuchu, na tej Próbie Kwasu zdarzały się długie okresy najdotkliwszej nudy. Dotkliwej, ponieważ tak nieoczekiwanej po ogólnym szaleństwie. Nic się nie działo, przynajmniej w zwykłym sensie. Ci, co nie byli... w autobusie... mogli dojść do wniosku, że nie ma tam żadnego planu. Grateful Dead nie grali setami, żadnych ośmiu numerów na set, potem dwadzieścia pięć minut przerwy i tak dalej, cztery albo pięć setów i do domu. Dead mogli grać jakiś numer przez pięć minut albo przez pół godziny. Kto by pilnował czasu? Kto byłby *w stanie* pilnować czasu, kiedy historię kroi się na plasterki. The Dead potrafili się zaprawić tak samo, jak wszyscy inni. Ci... nie-zestrojeni rozglądali się

wokół, a tam headzi najróżniejszych maści, wśród nich ci, którzy prowadzili tę rewiew, Prankstersi, rozprysnęli się po ścianach jak kisiel. Czekają, choć nie wygląda na to, aby ktoś miał znowu zaczynać. Ci, którzy nie mieli ochoty czekać, oddalali się, zaprawieni czy nie, i Próba krzepła w kisiel. Zespół Prankstersów podjął swoją dziwną, chińską kakofonię, Gretch zawodziła na nowych elektrycznych organach. Norman podniósł się do tańca, przyszła już na niego pora. Nawet powyglądał się trochę z własnym, niewielkim pokazem świetlnym, choć nie uważał, żeby było to dość dobre, ale magiczne godziny podływały jak elektryczny aksamit. Kesey mówił cicho do mikrofonu. Byli w oku huraganu, w kisielu.

Świt – cóż za niesamowite chłodne światło w bagiennej trawie i na plaży. Fioletowy cień nad całym oceanem, jak wielki, zimny niczym lód, siniak. Nagle główne drzwi otwierają się z impetem i staje w nich Owsley.

Owsley siania się na nogach po omacku i skrzeczy:

– Przeżyłem!

Co brzmi jak gwizd pary przeciskającej się przez wąską szczelinę.

– Przeżyłem!

Owsley, Król Kwasu, w headzim kostiumie za 600 dolarów, brnie po omacku przez smętny, siniakowaty świt, z oczami jak kraterzy po wybuchu, sycząc:

– Przeżyłem!

Widok Keseya najwidoczniej jednak razi go falą adrenaliny, ponieważ odzyskuje głos i zwraca się do niego:

– Kesey!

Chodzi mu o to, że Kesey nie może już więcej tego robić. To koniec. Próby Kwasu się skończyły. Kesey to maniak, te Próby są maniackie i wszystko wali się na głowę. Branie LSD w tak monstualnej grupie uruchamia zbyt wiele sił, zbyt wiele obłąkanej energii, powoduje, że dzieją się bardzo chore i destrukcyjne rzeczy i tak dalej. To jego kwas i on oświadcza, że to koniec. Nikt nie może dokładnie zrozumieć, co mówi. Tylko tyle, że mu odbiło i że to wina Keseya.

Powoli składają to do kupy. Niezły trip miał Owsley na własnym LSD. Wychodzi na to, że Owsley wziął LSD, niezłą dawkę najwyraźniej, błyski stroboskopu i niewiarygodne warstwy pogłosu zaczęły nim wstrząsać i kołysać i wpędziły go w inny albo równoległy wymiar czasu. Headzi zawsze rozprawiali o takich sprawach. Potrafili cytować poważnych

myślicieli, nawet uczonych, jak C. D. Broada i jego teorię *drugiego wymiaru czasowego* – „zdarzenia rozdzielone w czasie w jednym wymiarze mogą sąsiadować ze sobą bez żadnej przerwy w innym, tak samo jak dwa punkty na powierzchni ziemi, które różnią się długością geograficzną, mogą mieć identyczną szerokość” – albo J. W. Dunne’a teorię serializmu czy też nieskończonego regresu – albo Maurice’a Maeterlincka. Headzi zawsze rozprawiali o takich sprawach, więc Owsley był w nie wprowadzony. No i zaprawił się. Potem wpadł w wir, zakręciło mu się w dyńce od tych wszystkich specjalnych efektów z pranksterskich kamer pogłosowych – i legenda następująco opisuje jego ostateczny trip:

Cofnął się do osiemnastego wieku, hrabia Cagliostro! Już nie zwykły Giuseppe Balsamo z Palermo, z Oakland Morza Śródziemnego, ale ów poczciwy hrabia, alchemik, jasnowidz, czarownik, mistrz prognozy, przepowiedacz numerów loteryjnych, alchemiczny kreator, z podstawowych elementów... *ten brylant*, największy i najbardziej olśniewający w dziejach – *proszę*, kardynale Louis de Rohan – *ale!* – oskarżony o cudotwórstwo – wtrącony w ów zawrotny, ciemny loch, do Bastylli, nasiąkniętej trupio bladą wodą, skisłym mchem i drgającymi, szczurzymi członkami, rozbitej na atomy w błyskach światła brylantu, w który nie chciano wierzyć, jakieś szczurze śródstopie tu, jakieś szczurze śródrezcze tam, szczurze zęby, szczurze oczy, szczurze ogony podskakujące i zamarłe w powietrzu jak miejskie latarnie – hałas – jakaś zadyma na ulicach – albo wybawienie – albo – Bastylia zaczyna się rozpadać na nawilgłe wojłokowe kostki –

– i tak dalej. Świat zaczął rozlatywać się na kawałki. Zaczął rwać się na strzępy, dzielić na części składowe, a jeszcze nie powrócił nawet do dwudziestego wieku, utknął – gdzie? – Paryż w roku 1786? – Cały świat walił się w gruzy, molekula po molekule, i pływał jak oka tłuszczu w filiżance kawy, wszystko wokół znikało w intergalaktycznym szlamie i gazach, nawet jego własne ciało. Stracił skórę, szkielet, żyły płucne – wyslizgiwały się na zewnątrz w szlam, jak węgorze, jego żyły, cuchnęły fosforem, jego nerwowe zwoje – rozplątywały się jak gorące robaki i wiły się w dół galaktycznego ścieku, cała jego substancja rozpuszczała się w gazową nicość, aż wreszcie została z niego jedna komórka. *Jedna ludzka komórka*, jego komórka; oto co pozostało po całym znanym nam świecie i jeśli straci panowanie nad tą jedną komórką, nie zostanie już nic. Cały świat *skończy się tak jakby*. Musi gigantycznym aktem woli odbudować samego siebie i cały świat z tej jednej komórki – to zbyt przytłaczające. Od czego zacząć? Od drogi Kalifornia 1, aby mógł wynieść się stąd swym samochodem? Czy może okazać się, że to po prostu plugawa *Rue Ventru*, gdzie czeka bastylski motłoch? Czy zacząć od samochodu? Dyferencjału? Jak się robi takiego drania? A może od plaży? Od wszystkich smutnych ziarenek piasku? Bagiennej trawy? Kempingowych

domków? Trzeba z powrotem wstawić te *wszystkie* niebieskie drzwi? Może od oceanu? Albo może pozostawić go suchym? Nie trzeba by było robić tych wszystkich ohydnych, ślepych, czarnych, batosferycznych zwierząt tam na dole... może od nieba? Jak daleko to sięga? Wielka Niedźwiedzica? Ursa Minor? Delfinium? A gdyby rzeczywiście nieskończone, żelatynowe wibracje podwodne były dziełem nieskończonych, koncentrycznych sfer z kryształu? Dead? Prankstersi? Kesey, z Keseyem *koniec* na dobre, z Keseyem i batosferycznymi bestiami... w każdym razie z nadludzkim wysiłkiem bierze się do roboty. Ale kiedy już od nowa zrobił siebie samego, poczuł, że ma dość. To zbyt wyczerpujące. Robi swój samochód. Robi parking i początek drogi na zewnątrz. Resztę będzie robił w trakcie jazdy. *Olej to! Spadaj!* Zostaw resztę świata, niech sobie radzi sama, tam gdzieś wśród gazów. Wskoczył do samochodu, odpalił i rozbił się o drzewo. O drzewo, którego jeszcze nie zdążył nawet posadzić z *powrotem*. Ale kraksa jakimś cudem sprawia, że świat wskakuje na swoje miejsce. Oto jest, z powrotem z bulgoczącego tłuszczem szlamu. Samochód roztrzaskany, ale on się uratował. Przeżył! PRZEŻYŁ!

I rzuca się w stronę pawilonu, poszukać maniaka Keseya. *Ten* sukinsyn też pewnie zaskoczył z powrotem.

19. Festiwal Tripów

Owsley odleciał! Samego Owsleya opadło to jak obsesja. Ilekroć sprawa dotyczyła doświadczeń z LSD – co w otoczeniu Owsleya zdarzało się bardzo często – powracał do relacji przeżyć z Muir Beach. Wyglądało na to, że przeraża go to i zarazem intryguje – te chore, ale cudowne szczegóły. Wszyscy słuchają... czy coś takiego jest w ogóle możliwe? W każdym razie wychodziło na to, że Owsley uważa Keseya za demona i zamierza pozbawić go dostaw LSD.

Richard Alpert też nie cieszył się z Prób Kwasu. Alpert, tak jak Timothy Leary, w imię ruchu psychedelicznego poświęcił swą akademicką karierę psychologa. Proste maszy i tak niełatwo było ustrzec od hysterii w związku z LSD, nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach – a co dopiero, kiedy używano go do maniackich, dzikich orgii w publicznych miejscach. Headzi skłaniający się ku Leary'emu i Alpertowi nie mogli wprost uwierzyć, że Prankstersi kręcili takie numery. Spodziewali się, że w każdej chwili wybuchnie jakaś afera, jakaś masowa paranoja, że prasa rzuci się na nich i na zawsze pogrzebie ruch psychedeliczny. Policja przyglądała się im uważnie, choć poza okazjonalnymi zatrzymaniami z powodu marihuany niewiele mogła w tej sprawie zrobić, jako że w owym czasie prawo nie miało nic przeciwko LSD. Prankstersi kontynuowali Próby w Palo Alto, Portland, Oregonie,

dwie w San Francisco, cztery w Los Angeles i okolicach oraz trzy w Meksyku – i nie złamano żadnego prawa, Poruczniku – *jeśli nie liczyć wszelkich praw boskich i ludzkich*. – Krótko mówiąc, to skandal, ale jesteśmy bezsilni –

Próby Kwasu były jedną z tych afer, jednym z tych *skandali*, które kreowały nowy styl czy też nowy pogląd na świat. Wszyscy cmokają, wściekają się, zgrzytają zębami nad upadkiem dobrego smaku, moralności, nad zuchwalstwem, wulgarnością, niedojrzałością, lunatyzmem, okrucieństwem, nieodpowiedzialnością, oszukaństwem i, w istocie, wpędzają się w stan takiego podniecenia, takiej dramy, takiego ślinotoku, że nie mogą się od tego uwolnić. Staje się to ich absolutną obsesją. A teraz pokażę wam, jak *powinno się* to robić.

Próby Kwasu wyznaczają całą *epokę* stylu psychedelii i praktycznie wszystkiego, co się nań składało. Chodzi nie tylko o to, że Prankstersi robili to jako pierwsi, a raczej, że wszystko to pochodzi wprost z Prób Kwasu, w prostej linii prowadząc do Festiwalu Tripów w styczniu roku 1966. Impreza ta wyprowadziła całą sprawę na światło dzienne. Rozrywki „multimedialne” wzięły się bezpośrednio z kombinacji projekcji świetlnej i filmowej, stroboskopów, taśm, rock’n’rolla, światła ultrafioletowego rodem z Prób Kwasu. „Acid rock” – brzmienie albumu Beatlesów *Sergeant Pepper* oraz odjazdowo-wibrujące, elektroniczne dźwięki Jefferson Airplane, Mothers of Invention i wielu innych grup – za swych rodziców mają Grateful Dead i Próby Kwasu. Dead byli dźwiękowym odpowiednikiem projekcji świetlnych Roya Seburna. Wiele z tego to, pośrednio, zasługa Owsleya. Owsley otrząsnął się z Odlotu i zaczął pompować pieniądze w Grateful Dead, a zatem także i w Próby. Być może uświadomił sobie, że Próby to pieśń przyszłości, wszystko jedno, czy on sam odleciał czy nie. Może uznał, że „acid rock” to muzyka przyszłości, a on może zostać kimś w rodzaju Briana Epsteina dla Grateful Dead. Nie wiem. W każdym razie zaczął kupować Grateful Dead sprzęt, jakiego jeszcze nigdy nie miał żaden rock’n’rollowy zespół, z Beatlesami włącznie, wszelkiego rodzaju tunery, wzmacniacze, odbiorniki, głośniki, mikrofony, przystawki, taśmy, kinowe kolumny nagłaśniające, statywy, reflektory, gramofony, instrumenty, miksery, tłumiki, automatyczne wielobarwne filtry, wszystko, cokolwiek było na rynku. Dźwięki przechodziły przez tyle mikrofonów, przeciągano je przez tyle mikserów i kamer pogłosowych, podbijało je tyle wzmacniaczy, miotały się po tylu głośnikach, sprzęgały się przez tyle mikrofonów, że wszystko to przypominało rafinerię chemiczną. W brzmieniu Dead było coś całkowicie nowego i delirycznie niesamowitego i praktycznie wszystko, co nowe w rock’n’rollu i jazz-rocku, jak się to podobno nazywa, wzięło się stamtąd.

Nawet szczegóły takie, jak psychodeliczna grafika plakatowa, rozdęte liternictwo *quasi-art nouveau*, wzory i rozedrgane kolory, elektro-pastele i widmowe Day-Glo, pochodzą

z Prób Kwasu. Później inni impresariowie i artyści będą odtwarzać styl Prankstersów z wyrafinowaniem, o jakim im samym nawet się nie śniło. *Sztuka nie jest wieczna, koledzy*. Plakaty stały się dziełami sztuki zgodnymi z akceptowaną kulturową tradycją. Inni będą grali muzykę Dead z większym powodzeniem, komercyjnym przynajmniej, niż sam Dead. Inni będą uprawiać multimedia, aż staną się czystą ambrozją w cukierku dla mózgu, za każdym razem ze śmietankowym nadzieniem. Na co Kesey będzie mówił: – Oni wiedzą, *gdzie* to jest, ale nie wiedzą, *co* to takiego.

To Stewart Brand wymyślił ów wspaniały Trips Festival ze stycznia 1966 roku. Brand i pewien artysta z San Francisco nazwiskiem Ramon Sender. Brand miał 27 lat i był eks-biologiem, który w Arizonie i Nowym Meksyku natknął się na indiański kult pejotlu. Założył organizację pod nazwą Ameryka Potrzebuje Indian. A potem pewnego dnia wziął LSD, tuż po tym, jak satelita Explorer wyruszył, aby sfotografować Ziemię, i kiedy poczciwe synapsy zaczęły rzucać mu się po czaszce z prędkością 5000 myśli na sekundę, poraziło go jedno z tych pytań, od których ludzkie mózgi stają w płomieniach: *Dlaczego nie widzieliśmy jeszcze fotografii Calej Ziemi?* I przejechał przez całą Amerykę z Berkeley w Kalifornii na Sto Szesnaście Ulicę w New York City sprzedając guziki z tym hasłem lewicowcom, prawicowcom, fundamentalistom, teozofom, malkontentom, wszystkim zdrowym na umyśle, z lekką paranoją, a także poczuciem humoru przy duszy...

On i jego przyjaciel Sender wpadli na pomysł, aby zjednoczyć wszystkie nowe formy ekspresji, które aktualnie pojawiały się tu i tam w luzackim świecie i odbyć Superpróbę Kwasu przy całkowicie otwartej kurtynie. Wynająć salę i zwołać masy. Znaleźli dla tej sprawy impresaria, Billa Grahama, nowojorczyka, który cieszył się wielkim poważaniem w alternatywnym San Francisco jako członek San Francisco Mime Troupe, grupy teatralnej regularnie nękanej przez policję z powodu politycznych pantomim wystawianych w parku, i tego typu spraw. Festiwal Tripów został wyznaczony na piątkowy, sobotni i niedzielny wieczór, 21-23 stycznia, w Longshoremen's Hall w San Francisco. The Trips Festival był zapowiadany jako wielka celebracja, która miała wywołać doświadczenie LSD bez LSD, głównie poprzez zastosowanie efektów świetlnych i muzyki. Wieczór galowy, w sobotę, miał być zatytułowany „The Acid Test – Próba Kwasu z Kenem Keseyem i Merry Pranksters w rolach głównych”.

Kesey i Prankstersi przygotowywali się do Festiwalu. Nawet Mountain Girl była pod ręką. Pozbyła się tamtych myśli i była z powrotem w autobusie. Prankstersi odbyli właśnie Próbę Kwasu w Fillmore Auditorium, wielkiej sali tanecznej w samym środku jednego z

większych czarnych slumsów San Francisco, dzielnicy Fillmore. Była to szalona noc. Zjawiły się setki headów i luzaków z całej okolicy, zaprawionych po dziurki w nosie. Paul Krassner był z powrotem w mieście i usłyszał, jak mówiono w... Branży. Wszyscy będą „pakować kwas” około piątej czy szóstej po południu, aby przygotować się na Próbę Kwasu, która zacznie się tego wieczoru o dziewiątej w Fillmore Auditorium. Krassner przybywa i – o cholera! – widzi:

...salę taneczną surrealistycznie kipiącą paroma tysiącami ciał zaprawionych w totalny dym, w zwariowanych kostiumach i obscenicznym makijażu, z jakimś ochryplym zespołem rock'n'rollowym, stroboskopowymi światłami, maszyną do robienia grzmotów, balonami, headami, wstęgami, aparaturą elektroniczną i plecami jakiegoś gościa oświadczałymi: Proszę nie wierzyć w magię jakiejś roztańczonej dziewczynie z dziesięciocentymetrowymi rzęsami, tak że nawet ci cholerni porządkowi byli na kontaktowej fazie.

Kesey zaprasza go, aby wziął mikrofon i przyłączył się do bieżącego komentowania wydarzeń.

– Wiem tylko tyle – ogłasza przekrzykując hałas – że gdybym był gliną i wszedł tutaj, nie wiedziałbym, od czego zacząć.

Cóż, gliny weszły i nie wiedziały, od czego zacząć. Weszły, aby zamknąć Próbę o drugiej w nocy, zgodnie z miejscowymi przepisami, a cała sprawa osiągała właśnie swój najbardziej szalony szczyt. Mountain Girl dorwała się do mikrofonu i wykrzykiwała dodając ducha miotającym się tancerzom. Babbs mierzył z reflektora punktowego w błakających się, zaprawionych headów i przez drugi mikrofon zadawał im widmowe pytania: – Hej, powiedz no, co cię gryzie – czyżby ci się *u-u-r-r-w-w-a-a-a-l-l-l f-i-i-i-l-m!* Page Browning był wyszczerzonym w uśmiechu Ze-lotą. Gliny zaczęły krzyczeć na nich, żeby kończyli, ale nie mogli się przebić, więc zaczęli wyciągać wtyczki z mikrofonów, głośników, stroboskopów, wzmacniaczy – ale było tam tyle tych cholernych wtyczek, najbardziej monumentalna węża jama przewodów i wtyczek w historii, że gdy tylko wyciągnęli osiem wtyczek, Mountain Girl z powrotem wsadzała dziesięć i ostatecznie schowała się z mikrofonem gdzieś na balkonie, skąd wykrzykiwała instrukcje dla tancerzy i gliniarzy – *głośniej muzyka, jeszcze wina* – a oni nie mogli jej znaleźć. W końcu kazali Prankstersom zacząć opróżniać salę, co zrobili, z wyjątkiem Babbsa, który usiadł na krześle i ani drgnął.

– Powiedzieliśmy ruszać się – powtórzyły gliny.

– Ja nie muszę – odparł Babbs. – Ja jestem tu szefem. Oni pracują za *mnie*.

– *Taaaak?* – i jeden z gliniarzy łapie Babbsa za świecą kamizelę, którą ma na sobie,

ale udaje mu się tylko oddzielić go od niej.

Babbs szczyrzy się po maniacku, ale nagle robi się bardzo poważnie i nieprzyjemnie.

– Jesteście aresztowani!

– Za co?

– Sprzeciwianie się.

– Sprzeciwianie się czemu?

– Pójdziecie spokojnie, czy mamy was zabrać?

– Jak sobie życzycie – mówi Babbs, teraz już szczyrzy zęby w najbardziej przerażającym uśmiechu tak, jakby następnym krokiem miało być osiem ciosów karate w gardziele i podroby. Naraz robi się meksykański remis – obie strony piorunują się wzrokiem, ale na razie żadna nie wyprowadza ciosu. Oczywiście to poważna zadyma. W ostatniej chwili na scenę wkracza paru prawników Keseya i wszystkich uspokajają, perswadują glinom, perswadują Babbsowi i cała sprawa rozchodzi się po kościach jako element *Totalzadymy*.

Prawnicy – owszem. Marihuanowe oskarżenie Keseya z czasów wielkiego aresztowania w La Hondzie od dziewięciu miesięcy obija się rykoszetem po systemie sądowym powiatu San Mateo. Prawnicy Keseya zaatakowali nakaz, który upoważnił owych wszelkiej maści stróżów prawa do nalotu. Sprawa zaczęła się od przesłuchania przed Grand Jury, co jest rzecz jasna procedurą poufną. Oskarżenie twierdziło, że dysponuje najróżniejszymi dowodami świadczącymi, jakoby Kesey i Prankstersi podawali narkotyki nieletnim. Prawnicy Keseya próbowali wywrócić całą sprawę na podstawie tego, że oryginalny nakaz tamtego nalotu był sfałszowany. To się nie powiodło i Kesey miał teraz do wyboru: albo stawić się przed sądem i na mnóstwie koszmarnych przesłuchań, albo zrezygnować z otwartego procesu i pozwolić sędziemu rozstrzygnąć sprawę na podstawie protokołu z postępowania przed Grand Jury. Ostatecznie ustalono, że Kesey podda się rozstrzygnięciu sędziego. Najprawdopodobniej dostanie łagodny wyrok. Później i tak będzie mógł wnieść apelację na podstawie tego, że nakaz był lipny. Cała sprawa z sędzią była, pośrednio, ekwiwalentem wniosku o poniesienie sporu. 17 stycznia 1966 roku, na cztery dni przed Trips Festival, sędzia przykładowie uznał Keseya za winnego i skazał go na sześć miesięcy pracy przymusowej oraz na trzy lata dozoru sądowego. Tego mniej więcej spodziewali się jego prawnicy. To nie było takie straszne. Jak na ironię obóz mieścił się tuż obok La Hondy i więźniowie znaczną część pracy odbywali przy wyrębie skrawka lasu z tyłu obejścia Keseya. Było w tym coś bardzo zabawnego. Seledynowe polanki dla pracujących mas. Było w tym jeszcze więcej ironii. McMurphy z *Lotu nad kukulczym gniazdem* zaczął

swe przygody od wyroku skazującego go na sześć miesięcy w obozie pracy. Od czterech lat Kesey był McMurphym na wolności. Teraz może będzie McMurphym za kratkami, na dobre. Może... w każdym razie nie był to jeszcze żaden cholerny koniec świata. A wtedy zdarzyła się głupia sprawa.

Wieczorem 19 stycznia, na dwa dni przed Festiwalem Tripów, Kesey, Mountain Girl i kilkoro Prankstersów wybrali się do domu Stewarta Branda w North Beach w San Francisco, aby naradzić się przed Festiwalem. Trochę po północy Kesey i Mountain Girl wyszli na dach budynku, rozłożyli starą, niebieską matę, którą wyjęli z czyjegoś auta, i wyciągnęli się na niej, napawając się spokojem resztek North Beach. To miła i swojsko cygańska osobliwość, to North Beach. Slumsy z widokiem na morze. W dali światła zatoki, łodzie rybackie, honky-tonki i następne światła wspinające się na wzgórze San Francisco, a bliżej asfaltowe kwadraty dachów, różne poziomy, drabiny – podziwiali ten układ, ładny, pogodny i trochę artystowski, ale takie jest North Beach. Mountain Girl, masa ciemnych, brązowych włosów i wielkie brązowe oczy, które nadawały jej wyraz prostoduszny i figlarny – Keseyowi przychodzi na myśl – *to raczej oczy szczenięcia irlandzkiego setera, który właśnie przechodzi od niezgrabnych, beztroskich figli do obowiązków wierności.*

Mountain Girl entuzjazmuje się Festiwalem Tripów.

– Z tym wielkim nowym głośnikiem – mówi – uda nam się nagłośnić to miejsce tak, że będzie słyhać, jak *pchły* pierdzą!

Od niezgrabnych, beztroskich figli do obowiązków – Kesey czuje się staro. Kiedyś ogier o tak wspaniale prężnej muskulaturze – czuje, jak twarz wykoślawia mu ciśnienie... wiecznej przepychanki, prawniczych sztuczek, usankcjonowanych prawem kłamstw po obu stronach, politykowania, podlizywania się, wysłuchiwanie pouczeń, wykrzywania się w tych starych, dyplomatycznych uśmiechach...

– Słyhać, jak *pchły* pierdzą!

– Nie mów hop – powiada Kesey.

– Mając tyle dni na ustawienie? Zawsze dotąd wchodziliśmy do sali tego samego wieczoru i wszystko się nam udawało.

Itp., itd. – Kesey i Mountain Girl leżą na brzuchach z podbródkami w dłoniach, gapią się cztery piętra w dół w uliczkę pod nimi i od czasu do czasu zgarniają żwir z dachu i rzucają w dół...

...no tak... hmmm... o 1:53 w nocy gliny z 19 Komisariatu odbierają telefon od jakiejś kobiety spod 18 przy Margrave Place, stwierdzający, że pijani chuligani, czy ktoś taki, rzucają

w jej okno kamieniami. Niedługo po drugiej w uliczkę wjeżdża policyjny samochód. Więc Kesey i Mountain Girl przyglądają się rozbawieni. Aha, policyjny samochód na dole, policja przyjechała samochodem. Na podjeździe na stoku wzgórza, o jakieś pięćdziesiąt metrów stąd, błyska czerwone światło. Błyska czerwone światło i policyjny samochód turla się uliczką. Och, znowu ten *synch*, proszę kolegów. Gliny wchodzą do domu. Ciekawe po kiego grzyba. *Czy ja kiedyś zmądrzeję? Czy raz jeszcze będę leżał nawalony i oczom nie wierzył, podczas gdy dwóch gliniarzy wspina się pięć piętér, żeby zabrać mnie do dolka...* Och, ta logika czadu i synchu. Kesey i Mountain Girl naraz widzą to wszystko, teraz, tak jasno. To takie oczywiste, że aż fascynujące. Widzą to, zamilkli z podziwu. – *Wynoście się, spadajcie, zrywajcie się, uciekajcie, schowajcie się, zniknijcie, zmywajcie się* – sygnał alarmowy jest tak bardzo wyraźny, błyska i błyska, czerwono, nic, czerwono, nic, czerwono, nic, czerwono, nic, ale *wynosić się? I darować sobie to wszystko?* Co tak wolno obraca się w interferometrycznym synchronizmie? Tak jak tamtym dziwnym razem, kiedy startował w olimpijskich eliminacjach w zapasach w roku 1960 w San Francisco Olympic Club, pierwsza runda przeciwko zwałistemu ogierowi, i wziął parę witamin przed walką, na podkręconych obrotach, podkręconych obrotach, nie na żadnym *koksie*, och mamotato&braciszku&siostrzyczko&drodzy-ale-ciemni, wszyscy olimpijczycy ćpają, przymusowi pigułoheadzi, patrzcie, jak ich prowadzą, całych wspaniałych w blasku żylastej muskulatury i króciutkich języków, jak ich prowadzą do stołu, a przy każdym nakryciu zestaw kapsułek, jak kieliszki do wina na wystawnej kolacji, kapsułki z żelazem, kapsułki z wapnem, kapsułki, które ścisną ci okrężnicę i rozluźnią ci serce, kapsułki z B12, potężnym jak czysta amfetamina, co zamieni ci naczynia krwionośne w czarne węże, kapsułki, abyś był zawzięty i brutalny w szczękach, abyś był silny i sprężysty w barach, abyś miał szyję szalonej małpy, ostre kły, splot słoneczny pantery; rząd króciutko ostrzyżonych hodowlanych buhajów, spreparowanych z chemikaliów wciskanych do gardła siłą, codziennie, przy każdym nakryciu – podkręcone obroty, podkręcone obroty, podkręcone obroty w oczekiwaniu na sędziego, aby machnął ręką w powietrzu na znak rozpoczęcia walki, *machnął...* to takie fascynujące... jest jak motor na pełnych obrotach z wyłączonym sprzęgłem... to intrygujące, wcale nie onieśmielające, gdy wspaniały ogier chwyta go ogromną dłonią powyżej kolana i ciągnie w dół – Kesey jest dwojgiem ludzi, podkręca obroty tu na macie i podkręca w eterze jako ciało astralne, przygląda się – a to ciekawe! – niemożliwe, by ktoś był taki silny jak ten facet i dokonał przyziemienia ciągnąc w dół za kolano – nie ma obawy, drodzy przyjaciele, po prostu fascynacja – i w ten sposób facet zdobył trofeum za najszybsze zwycięstwo przez położenie na łopatkę na tym turnieju, podczas gdy jego motor nabierał obrotów w takt innego

wahadła –

– *fascynujące!* – więc –

– ze sfatygowanego, artystowskiego włazu na dach wychodzą dwaj gliniarze. Funkcjonariusze Fred Par delia i Thomas O'Donnell z 19 Komisariatu, jeśli chodzi o ścisłość

–

To, co wydarzyło się zaraz potem, stało się później, po wielu miesiącach ucieczki, przedmiotem dwóch spraw sądowych w San Francisco, obu nie rozstrzygniętych na skutek niejednomysłności ławy przysięgłych, w drugiej sprawie w stosunku ii do i przeciwko Keseyowi. Według funkcjonariuszy Pardelli i O'Donnella, odnaleźli oni podejrzanego Keseya, dziewczynę Adams i plastikowy woreczek zawierający pewną ilość brązowawej roślinności. Po czym funkcjonariusz O'Donnell przystąpił do zabezpieczenia dowodu, Kesey zaś powstrzymał go od tego siłą, wyrzucając woreczek na sąsiedni artystowski, prostokątny dach, a bardzo mało brakowało, żeby funkcjonariusza Pardellę razem z nim, po czym funkcjonariusz O'Donnell wyciągnął spluwę i aresztował zarówno Keseya, jak dziewczynę. Odzyskany następnie plastikowy woreczek zawierał 3,54 grama marihuany.

A to się dopiero porobiło, nie ma co. Ponowne oskarżenie o posiadanie marihuany niosło ze sobą automatycznie wyrok pięciu lat bez możliwości zwolnienia warunkowego. W każdym razie czekały go teraz co najmniej całe trzy lata wyroku w powiecie San Mateo, jako że jednym z warunków tamtejszego sędziego było zerwanie stosunków z Prankstersami. Mountain Girl gotowa była wziąć na siebie całą gadkę.

– Właśnieśmy się rozstawali – powiedziała prasie. – On nie miał się już zadawać z nami, niesfornymi lekkoduchami. Mieliśmy go już więcej nie zobaczyć. Cóż... starała się. Kurator Keseya w sądzie powiatu San Mateo radził mu, żeby, na miłość boską, trzymał się z daleka od Festiwalu Tripów albo będzie po nim, ale cała sprawa była już o wiele dalej, o wiele bliżej starego dobrego Miasta Na Skraju, w gruncie rzeczy.

Kesey wyszedł z Sądu Miejskiego w San Francisco 20 stycznia razem z Mountain Girl i Stewartem Brandem, wprost do autobusu pełnego Prankstersów, aby przejechać się po mieście i zareklamować Trips Festival. Wysiedli na Union Square. Kesey nosił białe levisy z pośladkami ozdobionymi inskrypcjami GORĄCO po lewej, ZIMNO po prawej, a TYBET pośrodku – i parę niebieściutkich, wysokich butów. Wszyscy pobawili się „Maszyną do grzmotów” Rona Boise'a wibrującą opętanymi dźwiękami na Union Square, w samym sercu miasta.

Pomijając wszystko inne, drugie aresztowanie Keseya było wspaniałą reklamą

Festiwalu Tripów. Trafiło do wszystkich gazet w San Francisco. W luzackich, intelektualnych, a nawet towarzyskich kręgach miasta wiadomość o Festiwalu rozchodziła się jak febra. *Ten straszny narkotyk LSD. Acid heads. Doświadczenie LSD bez LSD*, jak to ogłaszano i czemu – co więcej – rzeczywiście dawano wiarę. Ale przede wszystkim dało się odczuć powiew nowego stylu życia. Czy sądzisz, że to jest ta – *nowa fala...*?

I kupuje się bilety, o Boże – dla Normana Hartwega sama ta myśl jest absurdalna – *i mamy profesjonalnego organizatora* – wszystko to absurd, ale tysiące ludzi ciągną do Longshoremen's Hall na Trips Festival, tysiące nawet pierwszego wieczoru, głównie indiańskiego, na dziwactwo wystawione przez organizację Branda, Ameryka Potrzebuje Indian, a teraz, w sobotę wieczór, ogromna ciżba wali na Próbę Kwasu. Norman jest kompletnie zaprawiony LSD – a przyjrzyjcie się tylko tym bzikom, którzy tu pędzą. Norman nie jest jedyny. „Doświadczenie LSD bez LSD” – śmiechu warte. W rzeczywistości headzi ściągają setkami, nawaleni, że w dyńkach się nie mieści, setki headów po raz pierwszy wychodzą na światło dzienne, tak jak wtedy, kiedy Prankstersi pojechali na koncert Beatlesów w pełnej kostiumowej gali, wyglądali tak niesamowicie i tak totalnie *oddaleni*, że nikt nie mógł w to uwierzyć. Nikt publicznie nie *zaryzykowałby czegoś takiego*. No cóż, dzieciaki po prostu przeżywają doświadczenie LSD bez LSD i tyle, tak to po prostu wygląda. Ogromny, oszalały wir. Bardzo ładnie. Reflektory i projektory filmowe omiatają salę, chodzi pięć projektorów filmowych i Bóg jeden wie ile rzutników światła, interferometri, intergalaktyczne morza science fiction na wszystkich ścianach, głośniki, którymi sala naszpikowana jest wszędzie wokół jak płonącymi kandelabrami, eksplodują stroboskopy, lampy ultrafioletowe z umieszczonymi pod nimi obiektami w Day-Glo i z farbą Day-Glo do zabawy, światła uliczne u każdego wejścia błyskają na czerwono i żółto, dwa zespoły, Grateful Dead i Big Brother and the Holding Company, stadko dziwnych dziewczyn w gimnastycznych trykotach skacze wokoło i gwizdże w gwizdki do tresury psów – i Prankstersi. Paul Foster owinał całe buty czarną taśmą izolacyjną i wyżej, kostki, nogi i biodra, aż po żebra, gdzie zaczynała się biała koszula, i zabandażował na białą całą twarz i czaszkę, zostawiając tylko szparki na oczy, na które założył ciemne okulary. Ponadto chodzi o kuli i nosi znaczek z napisem: »Ty należysz do Pokolenia Pepsi, a ja jestem pryszczatym frikiem!» Wirnik! A także headzi z różnych stron, w ponczach i naszyjnikach, z mandalami, w indiańskich opaskach na głowach i w indiańskich koralikach, wielki sezon na to wszystko, a jeden w skórzanym kaftanie bez rękawów z wypisanym szablonem na plecach napisem: „Wódz Indian Mojo Cwana Dupa”. Mojo! Och te pokręcone stroboskopy, które zamieniają każdą szypułkę mózgu w kalafior wybuchający pomarszczonymi, pingpongowymi piłeczkami

– *nie wytrzymam* – i jakaś dziewczyna rwie na sobie bluzkę i tańczy z nagą piersią, a jej wielkie cyce rozpadają się w bezkresną strugę czerwonych jak rubin, sterczących sutek, bijących strumieniem ze wspianego mleka-z-miodem w stroboskopowym świetle. Tańczą w ekstazie, niezły makaron podrygujących biustów bez staników, kręcących się tyłków jak świeże bułeczki i zwielokrotnionych ramion wijących się i wymachujących wokół. Tysiące zwykłych intelektualistów i inteligentów oraz zgredo-hippiesów w stylu North Beach gapią się i uczą. Przygląda się dr Francis Rigney, Psychiatra Beat Generation i wszyscy Wujaszkwowie, niedobitki z okresu Beatu, Erie „Big Daddy” Nord i Tom „Big Daddy” Donahue oraz prasa, wibrują pod maszyną Rona Boise’a do robienia grzmotów. Wielki raut trwa, sami rozumiecie.

A pośrodku sali – wieża centrum Panowania Prankstersów. Do tego doszło i było idealnie. Babbs nadzorował budowę wielkiego rusztowania z rur i platform w samym środku sali. Rosła i rosła ta wieża, w miarę jak Prankstersi dodawali sprzętu, mikrofonów, wzmacniaczy, punktaków, projektorów i całej reszty, właściwej architektury Panowania, koniec końców. Babbs przy gałkach, Hagen na górze kręci film, Film trwa nadal. Kesey natomiast zajął jeszcze wyższy poziom Panowania, wysoko na balkonie, w srebrnym kosmicznym kombinezonie z wielkim bąblem kosmicznego hełmu. Na początku wymyślił to sobie jako przebranie, aby mógł być obecny nie narażając sądów na zły humor i oburzenie, ale oczywiście natychmiast wszyscy rozpoznali Kosmonautę, więc usadowił się wysoko ponad tym wirem, z rzutnikiem, za pomocą którego różne rzeczy napisane na celofanie można wyświetlać w mamucich rozmiarach na ścianach.

Zonker tańczy w zawirowaniu czystej, niczym nie zmaconej rozkoszy, na takiej fazie, na jakiej nie był jeszcze nigdy w życiu, co w przypadku Zonkera oznacza poważną fazę. Norman, strzaskany, ale z misją. Norman ma krążyć pomiędzy masami z kamerą filmową. Tyle że nie ma zasilacza, więc musi włączać kamerę do gniazdek w ścianie i krążyć z wielkim, długim sznurem. Wizjer przycisnął do oka i powoli cały wir wpada do tego jednego oka, jedność, ja, naczynie wszechobejmujące, Atman i Brahman, niech wszystko wpływa do środka, aż – *satori* – osiągnie stan idealny, a on uświadomi sobie, że jest Bogiem. Przemierzył całe kilometry przez wijącą się, makaronową, ekstatyczną masę i czy kamera może być wciąż jeszcze włączona do prądu? – albo czy to może mieć jakieś znaczenie? *deus ex machina*, a świat wpływa do jednego oka. Zasadniczo ważne staje się, aby dotrzeć do Węzła Centralnego, Wieży Panowania, do wielkiego elektrycznego żurawia kierunkowego mikrofonu, który sterczy ze szczytu zbudowanej z rusztowań wieży i zbiera zespół – i *oto jest* – wszystko jest w tym momencie. Zaczyna gramolić się na rusztowanie, wciąż z wielką kamerą na ramieniu i

przy oku, wszystko wpływa jak do lejka, kabel i wtyczka ciągną się za nim poprzez masy jak wąż. A kimże mogłyby być te wściekle formy? – prawda, to Babbs i Hagen, Babbs pokazuje Normanowi na migi, żeby wynosił się z platformy, tylko tu przeszkadza, *tu nie ma miejsca, wynoś się stąd, do cholery* – kosmicznego śmiechu warte, jako że, oczywiście, oni nie zdają sobie sprawy z tego, kim on jest, to znaczy Bogiem. Norman, potulny, łagodny, nie narzucający się, zza linii autu, śmieje się z nich kosmicznym śmiechem i dalej lezie. W każdej chwili, w pełni zdaje sobie z tego sprawę, może sprawić, że znikną w... jego oku, to tylko dwa skrzepy w strumieniu świata, Babbs i Hagen.

– Norman, jeśli się stąd, do cholery, nie zabierzesz, to cię *strącę!* – Babbs wydaje się ogromny i nieposkromiony w tej samej pozie, jaką przyjął wobec glin w Fillmore i myśli Normana rozszczepiają się nieco wzdłuż jego chiazmy, jak uskok San Andreas, na niezniszczalny, źródłowy lęk przed straceniem i skruceniem jego, Normana, karku i na ten drugi, Kosmiczny Boży Śmiech z tego, jak daremna jest poza Babbsa; wibruje delikatnie pomiędzy Bogiem i nie-Bogiem, ale potem ów śmiech nadciąga falą, jako prosty kosmiczny fakt, że on, Norman, właśnie ośmiela się rzucić *wyzwanie*, ten nowy *on*, i naprawdę nic nie mogą na to poradzić – Babbs wpatruje się w wyszczerzoną w uśmiechu, zaprawioną postać z wielką kamerą, która gramoli się na rusztowanie. Babbs rozkłada ręce, poddaje się, Norman się wspina. *Bóg! W Wieży Panowania. Cóż, jeśli jestem Bogiem, potrafię opanować to wszystko.* Wpatruje się w wir pod sobą. Czyni gest – i staje się ciałem! – oto tłum faluje *tu*, jeszcze raz, i oto faluje *tam* – tak jasne jest to, co ma się stać, że on potrafi to przepowiedzieć, wielka erupcja ekstatycznego tańca w *tamtej* grupie, w świetle stroboskopów, *zaraz wybuchnie*, i wybuch, rzecz jasna – wibracja wzdłuż tej szczeliny, uskoku, tu chodzi o *synchronizację*, my tu sobie żartujemy, ale oni to *robią – zaczynają muzykę!* – i zaczyna się – satori, w Węzle Centralnym, jak zostało zapisane – ale zaprawdę, powiadam wam – i dokładnie w tym momencie na ścianie pojawia się wielki, czerwony napis:

KAŻDY, KTO WIE, ŻE JEST BOGIEM,
NIECH WEJDZIE NA SCENĘ

Każdy? – Chiazmatyczne połówki wibrują, Bóg i nie-Bóg, a potem uświadamia sobie: to napisał Kesey. Kesey, tam na balkonie, w kosmicznym kombinezonie, napisał to na rzutniku i wyświetlił na ścianie, dokładnie w tym momencie. Co mam robić, ja Archanioł, Norman z niedowierzaniem wytrzeszcza oczy – z niedowierzaniem w co? – a na scenę wspina się jakiś czarnuch z dziką czupryną prawdziwych czarnuchowatych włosów, z opaską

związaną u ich nasady tak, że buchają jak wielki szary mlecz, luźna koszula powiewa w światłach, to Gaylord, jeden z niewielu czarnuchów na sali, błyska blaskiem uśmiechu na kwasowym przelocie i pomalutku zaczyna sobie ślicznie, pobożnie tańczyć, Bóg Gaylord... Co, do diabła. Norman czyni gest nad tłumem, a ten nie faluje. Ani tu, ani tam. Przepowiada, że *tamta* grupa uniesie się w ekstatycznej lewitacji, a ona się nie unosi. W istocie opada ku podłodze, jakby ktoś tam napluł, żalosne księżycowe oczy smętnie wznoszą się w kwasowym spojrzeniu. *Sayonara, Boże. A jednak... a jednak...*

Wielki, dziki karnawał trwał przez trzy noce. Była to wielka sprawa, pod każdym względem. Pod tym choćby, że Trips Festival w ciągu tych trzech dni przyniósł 12 500 dolarów wpływów brutto, niemal bez kosztów administracyjnych, oraz że narodził się nowy *genre* zabawy klubowej i tanecznej. Dwa tygodnie później Bill Graham otworzył w Fillmore Auditorium interes, urządzał Festiwale Tripów co weekend i miał komplety. Dla samych acid headów Trips Festival był jak pierwszy krajowy zlot ruchu alternatywnego, który egzystował dotąd na zasadzie cicho-sza, wasza grupa naszą grupę... Headzi byli zaskoczeni tym, jak liczne stały się ich szeregi – i nie posiadali się z euforii z powodu tego, że mogli wyjść na światło dzienne, nawaleni jak stodoły i ani niebo, ani prawo nie zważyło się im na karki. Prasa podtrzymywała przekonanie, że było to doświadczenie LSD bez LSD. Nikt w alternatywnym świecie San Francisco nie miał takich złudzeń i w tamten weekend rozpoczęła się era Haight-Ashbury.

Festiwal Tripów wiele zmienił. Ale gdy tylko opadło zawirowanie, Kesey był z powrotem tam, skąd zaczął, jeśli chodzi o wyszczerzony w koślawej dezaprobachie świat wymiaru sprawiedliwości powiatów San Mateo i San Francisco. Sukinsyny ryły już pod nim więzienny dołek. Już go wykopali z domu w La Hondzie. Werdykt sędziego de Matteisa nakazywał Keseyowi między innymi wynieść się z La Hondy, sprzedać dom komuś, kto nie ma nic wspólnego ani z nim samym, ani z jego sprawami, nie przekraczać granic powiatu San Mateo, z wyjątkiem spotkań z kuratorem sądowym czy podróży tranzytową autostradą Harbor Freeway albo samolotem nad terytorium powiatu oraz wycofać się osobiście, a także wycofać wszelkie swoje wpływy, z terenu rzeczzonego powiatu. Tak więc Kesey, Faye i dzieci przenieśli się do Spread, domu Babbsa w Santa Cruz. Kiedy skradał się tam 23 stycznia, czekał już na niego nakaz aresztowania z powodu naruszenia warunków zawieszenia kary.

Cóż, to ich Film, Tonto, i wszyscy wiemy, jak się kończy. Trzy lata w lochu San Mateo plus pięć, osiem lub dwadzieścia, które dołożą mu w San Francisco, aby, póki żelazo jeszcze gorące, dać nauczkę wszystkim ćpunom, tripom i festiwalom. Kesey natychmiast

zwołał odprawę i pamiętacie tę drobną wzmiankę sprzed paru miesięcy o przygotowaniach do Meksyku...?

Więc zebrali się w Spread.

– Jeśli społeczeństwo chce, żebym był wyjętym spod prawa bandytą – mówi Kesey – to będę bandytą i to jeszcze jakim. Ludzie potrzebują czegoś takiego. Ludzie zawsze potrzebują bandytów.

Prankstersi zrozumieli to od razu.

Taka jest więc obecna fantazja: dziś w nocy Kesey zrywa się do Meksyku. Przejedzie granicę na pace furgonetki Rona Boise'a. Boise był wtedy u Babbsa i miał furgonetkę, która służyła mu za coś w rodzaju ruchomej pracowni. Mieścił się tam jego cały sprzęt do spawania, Palniki acetylenowe, tym podobne rzeczy. Pracował z tyłu za domem na błotnistym placu, przekształcając stare samochodowe błotniki w erotyczne pozy z Kamasutry. Ostatecznie psychodeliczny samochód Roya Seburna, jego minibus, także tam trafił pod palnik, jako że zepsuł się na dobre. Nic nie trwa wiecznie. Sztuka nie jest wieczna. Ruszą w stronę Puerto Vallarta. Weźmie ze sobą prawo jazdy innego Prankstersa, na wypadek gdyby potrzebował dowodu tożsamości. Tymczasem, dla zmylenia przeciwnika, ostatni wielki numer. Trip Samobójczy.

Kesey napisze list samobójczy. Potem D_____, który z wyglądu niezwykle go przypomina, ubierze się tak jak on, wsiądzie w starą ciężarówkę, która się tam poniewierała, pojedzie wzdłuż wybrzeża w stronę Oregonu, wybierze odpowiednie miejsce na klifie, rozwali ciężarówkę o drzewo, wysiądzie i na brzegu zostawi buty, żeby wyglądało na to, że wskoczył do wody, popłynął w morze i już nie wrócił do swego bagna trosk. Pomysł polegał na tym, że D_____ jest wystarczająco podobny do Keseya, zwłaszcza w pranksterskim kostiumie, aby każdy, kto zobaczy go po drodze, zapamiętał go jako odpowiadającego rysopisowi Keseya. Niech sobie to wyjaśniają. Nawet jeśli nie dadzą się nabrać, może przynajmniej zelży ciśnienie. Po co mamy zadawać sobie tyle trudu – *może* ten świr rzeczywiście leży sobie na dnie oceanu, ach te cholerne ćpuny...

– Mam nadzieję, że D_____ nie da w d_____ powiedziała Mountain Girl. Ale była dobrej myśli. Cała ta sprawa miała mnóstwo *elan du Prank*.

Tego wieczoru Kesey i Mountain Girl upalili się trawą i zaczęli układać wielki samobójczy list.

„Ostatnia wola. Głos dla Barry'ego, to głos dla zabawy. Ja, Ken Kesey, będąc (no, no) zdrowy na ciele i umyśle, niniejszym zostawiam cały fajans Faye, Korporację, gotówkę i dzieła (właśnie wydaje mi się że nikt nie kupi tego numeru i właśnie wydaje mi się, że to

podoba mi się jeszcze bardziej)...”

O cholera, ale jaja. W mózgach bulgotał im wpust za wpustem i wszystkie bajeranckie metafory przeznaczenia, wszystkie bajeranckie teksty, na które wpadłby każdy przyzwoity poeta bajerant, gdyby zjrzą Pani Kostusze w zadek:

– Wietrze, wietrze, nie zsyłaj mi wszakże tego miejsca, dalej...

Więcej! Więcej! Głośniej muzyka, jeszcze wina!

– ...Oceanie, oceanie, oceanie, w końcu cię pobiję, tym razem cię powalę. Przejdę przez twoje głodne żebra na piętach...

I tak to szło, jako aktualna relacja z przyszłej szalonej jazdy wzdłuż wybrzeża, poszukiwania ulubionego klifu, z którego można by skoczyć, zapewne, sytuacja bulgotała mu w mózgu, a także w mózgu Mountain Girl, na wytartym dywanie w dużym pokoju u Babbsa. Do diabła, dorzucmy trochę kwasu – *uwierz*, że ten cholerny, nawiedzony ćpun wziął to straszne LSD i na dobre skręcił sobie kark – i, do cholery, trzasnął zakręconym wehikułem w drzewo, zbrzytał krwią wiarygodności całe kalifornijskie wybrzeże:

– ...znowu zgubiłem ocean. Pięknie. Jadę setki kilometrów w poszukiwaniu mego jedyne go klifu, wpadam w pułapkę kwasu tak, że nie mogę odnaleźć oceanu, w końcu ląduję na jakiejś sekwoi...

Pięknie. Gotowe, Ron? Wsiada do furgonetki Boise’a i ruszają na południe w stronę San Diego, granicy z Meksykiem, Tijuany i krainy wszystkich zawodowych Bandytów.

20. Próba kwasu w elektrycznej oranżadzie

To, co zdarzyło się Prankstersom po ucieczce Keseya do Meksyku, przypominało bardzo wypadki w Lidze z książki Hermana Hessego *Podróż na Wschód* po tym, jak opuścił ją Leo – cóż, to niesamowite, ten szczególny *synch*... dokładnie... Prankstersi! I ich wspaniała autobusowa wyprawa z roku 1964! Ich film. Nie, to trwało nadal. Fantazja Hessego zgadzała się z ich fantazją co do joty. To trwało nadal, co do joty... aż po ten dziwny podział...

Przywódca Ligi w *Podróży na Wschód* miał na imię Leo. Oficjalnie nigdy nie występował jako przywódca, tak jak Kesey był nie-nawigatorem tego bractwa. I nagle wycofał się „w samym środku groźnej czeluści *Morbio Inferiore*”, właśnie kiedy Ligę najbardziej pochłonęła jej *Podróż na Wschód*, w tej krytycznej fazie wyprawy, gdy na przemian wypierano się jej i zachwycono nią. „Od tej pory pewność i jedność nie istniały już w naszej wspólnocie, choć ta wielka idea wciąż wiązała nas razem. Jakże dokładnie pamiętam pierwsze dysputy! Były czymś tak nowym i niesłychanym w naszej, dotychczas idealnie zjednoczonej Lidze. Prowadzono je z respektem i uprzejmością – przynajmniej na początku.

Na początku nie wiodły ani do drastycznych konfliktów, ani do osobistych wyrzutów czy zniewag – na początku wciąż byliśmy niepodzielnym, zjednoczonym wobec całego świata bractwem...” Stosunki psuły się coraz bardziej i narrator, „H.”, wycofał się po owym *Morbio Inferiore*. A narrator Hartweg wycofał się po...

To niesamowite, ten *synch.*’

Po odejściu Keseya przywódcą został Babbs. Nie było żadnego zebrania, żadnego głosowania, nawet żadnego słowa na do widzenia od Keseya. Babbs zostaje przywódcą – ich... grupowa świadomość wiedziała to od razu, bez cienia wątpliwości. Zapakowali wszystko z La Hondy i zabrali do Oregonu, do domu rodziców Keseya. Archiwum złożyli w Spread, a później w domu Chucka w Oregonie. To i owo przekazali, jakby w testamencie, innym headom, jak na przykład wielki, okrągły stół, pocięty inskrypcjami Hell’s Angels. Oddali go nowej grupie psychodelicznej, Anonimowym Artystom Ameryki, z siedzibą na tak zwanym Rancho Diablo w Skylondzie. Wszystko, co mogło przydać się do Prób Kwasu, zabrali ze sobą.

Babbs przeniósł Próby Kwasu do Los Angeles i tam potelepał się autobus. Jeszcze tam nie dotarli, a już zaczęły się szemrania – „pewność i jedność nie istniały już w naszej wspólnotcie, choć ta wielka idea wciąż wiązała nas razem. Jakże dokładnie pamiętam te pierwsze dysputy!” *Babbs za dużo rozkazuje* – Kesey, nie-nawigator, wyrażał po prostu swą wolę i po prostu czekał, aż utworze sobie drogę w Grupowej Świadomości. *Babbs rządzi się jak w wojsku... jak w harcerstwie...* Wpusty Babbsa nagle wydały się czystą złośliwością. Jego tajemnicze uwagi, jego bezpośredniość wydawały się okrutne. Niektórzy z Prankstersów zaczęli nawet sympatyzować z nieszczęsnymi biedakami takimi jak Pancho Pillow, ten wszem i wobec gnojony kwasowy oszołom Pancho.

Pancho, zawsze w spazmach samobiczowania, wciąż desperacko chciał być w *autobusie*. Wszystko, co miał przy duszy, wydał, nieszczęsny, co do grosza na podróż z San Francisco do Los Angeles i pewnego dnia dogonił autobus w Lemon Grove. Pancho podszedł z wolna z szerokim uśmiechem braterstwa na twarzy, jął wspinać się po stopniach, a w drzwiach autobusu zastąpił mu drogę Babbs.

– Nie sądzę, aby ktokolwiek chciał cię tutaj – powiedział Babbs.

– O co ci chodzi? – pyta Pancho. – Nie mogę wsiąść do autobusu?

– W autobusie nie ma nikogo, kto chciałby cię tu widzieć.

Uśmiech Pancha znika rzecz jasna, oczy zaczynają śmigać jak kulki w stołowym bilardzie próbując dostrzec, kto jest w środku w autobusie – *przecież znacie mnie wszyscy, to ja, Pancho!*

– Cóż... wiem, że niektórym działam na nerwy – powiada Pancho – ale przejechałem taki kawał drogi, żeby być z wami, wydałem wszystkie Pieniądze, żeby się tu dostać...

– Nic nas to nie obchodzi – odzywa się czyjś głos w *autobusie*.

– Słuchajcie – mówi Pancho – będę siedział cicho. Będę robił, co tylko zechcecie. Chcę pomagać przy Próbach. Będę robił wszystko...

– Nic nas to nie obchodzi – *następny* głos w *autobusie*.

– ...wszystkie polecenia, będę na posyłki, tam musi być tysiąc spraw...

– Nic nas to nie obchodzi.

Pancho stoi jak wryty, mowę mu odjęło, twarz płonie mu czerwienią.

– Sam widzisz – powiada Babbs – tak jak mówiłem. Nie sądzę, aby ktokolwiek chciał cię tutaj.

Odrętwiały Pancho wycofuje się ze stopni i powłócząc nogami znika w Lemon Grove.

Cóż, nieźle się uśmieiali. Ten pokręcony Pancho Pillow! Klasyczny frik złych tripów! Maksymalny upierdliwiec! Ludzki koszmar::::: ale był to śmiech o metalicznym posmaku, ten śmiech z numeru z Pancha:::::

Babbs wykombinował w L.A. starą willę zwaną Sans Souci, wspaniały, niebywały, rozpadający się w pył stary dom z kulistym sklepieniem i kamienną balustradą, niemal w gruzach, ale z klasą. Kiedy właściciel zastał w środku bandę *bitników*, odbiło mu, ale to było potem. W każdym razie, pewnego dnia siedzieli tam wszyscy i pewien Prankster powiedział coś bardzo niepranksterskiego. Powiedział do wszystkich:

– Chcę powiedzieć głośno coś takiego: nie mogę znieść Margie i nie chcę jej tutaj.

Niewiarygodne wprost. Mówił o Marge the Barge. Więc wszystkie oczy kierują się na Babbsa, na którego spadła teraz rola Keseya w rozwiązywaniu wszystkich problemów. Babbs zwraca się do Marge the Barge i pyta:

– Co ty na to?

Marge odpowiada:

– Ja na to, że to jakaś bzdura – z tak spokojnym, niezłomnym przekonaniem, że nikt nic nie mówi.

Drobna chwilka – jeszcze jedna na drodze do schizmy, zwolennicy Babbsa przeciwko mamy-Babbsa-dość. Potem uświadomili sobie, że w wielu przypadkach po prostu obwiniali Babbsa o tajemnicze zagubienie sensu ich przedsięwzięcia. Rozglądali się wokół za jakimś wytłumaczeniem i Babbs był właśnie Tym. To, co stracili, rzecz jasna, to magiczny cement charyzmy Keseya. „Wyglądało na to, że im bardziej pewni stawali się tego, że go utracili, tym bardziej wydawał się niezbędny; bez Lea, jego przystojnego oblicza, dobrego humoru i

piosenek, bez jego zapachu do naszego wielkiego przedsięwzięcia, samo to przedsięwzięcie zdawało się w tajemniczy jakiś sposób tracić na znaczeniu”.

W istocie rzeczy Babbs prowadził Próby Kwasu w Los Angeles z zadziwiającą determinacją. Prankstersi byli teraz poza rodzimym terytorium, rejonem San Francisco, ale działali ze skutecznością, o jaką sami siebie nigdy dotąd nie podejrzewali. Tak jakby do wszystkich dotarło napomnienie Babbsa sprzed miesiący: – Musimy nauczyć się funkcjonować na kwasie. Sami odlatywali, że się w dyńkach nie mieściło, ale Próby Kwasu udawały im się tak, jakby były rozpisane na głosy.

Babbs był w świetnej formie, jak mówiłem, a także spiknął się z wybitnym headem nazwiskiem Hugh Romney, poetą, aktorem, komikiem, który przebył całą drogę, zaczynał w czasach Beat Generation, a teraz poświęcił się LSD i „odkrył Kierownictwo”, jak sam powiadał, „a kiedy odkryje się Kierownictwo, nie pozostaje już nic, jak tylko pracować dla niego”. Tak więc Romney i jego przyjaciółka Bonnie Jean byli teraz w autobusie i wszyscy zajęli się tym, aby – ni mniej, ni więcej – *poddać Los Angeles Kierownictwu...* Taaaak... Pierwsza Próba odbyła się w kościele Paula Sawyera w Northridge, tuż pod Los Angeles, w San Fernando Valley... Sawyer nigdy nie stracił woli eksperymentowania i sam jest w autobusie. I gdyby Sportowe Koszule mogły widzieć te... *nowe eksperymentalne rytę... z udziałem muzyki, tańca i ofiary* – ofiary? – cóż... nie była to dokładnie rzecz biorąc Próba Kwasu, a raczej „happening”, co w kręgach Kulturalnych stało się nieszkodliwym i nie budzącym groźnych skojarzeń terminem, nawet w unitariańsko-uniwersalistycznym Kościele u Sawyera w Valley. Był to cudowny, nowoczesny budynek w kształcie ogromnej cebuli bermudzkiej, wielkiej strzelistej... Kopuły, o fantastycznej akustyce, sam przez się jakby stworzony do obecnej fantazji. Więc Prankstersi wprowadzili się tam, uzbroili i omotali to miejsce, na „happening” przybyły setki, częstowały się pranksterską magią i ananasowym *chili*, którą to konkocję serwowali Prankstersi, o smaku raczej paskudnym, niemniej jednak *ananasowe chili*, samo W sobie pomyślony pomysł. Cassady złapał za mikrofon i zaczął nawijać, Romney złapał za mikrofon i zaczął nawijać i był świetny, a Babbs i Paul Foster latali z Boskim Wirmikiem i Paul nie jękał się ani trochę... Ludzie tańczyli w ekstazie i zaszli tak daleko w sprawie, nawet proste masy, że nawet *oni* łapali za mikrofony i nagle nie było już żadnego podziału na zabawiających i zabawianych, nic z tej no-to-przyjrzyjcie-się-sobie-zaskoczony-zgredy protekcyjności zwyczajnych happeningów. Setki wessało *doświadczenie*, które rosło jak senny tajfun, spokój na gładkim skraju napełnionej wirującym płynem centryfugi. Krótko mówiąc, wszyscy byli w filmie, w autobusie i było pięknie... Byli,

jakby... gotowi! Prankstersi – teraz gotowi, aby wciągać do *tego nowego doświadczenia* setki, tysiące, miliony, które masowo zjawiają się w najbliższym czasie::::

::::: Clair Brush, na przykład. Owszem. Była dziewczyną około dwudziestki, ślicznym rudzielcem, pracowała dla Arta Kunkina, redaktora „Free Press”, alternatywnego tygodnika z Los Angeles. Stary przyjaciel Doc Stanley zadzwonił do niej przed Próbą w kościele Sawyera i powiedział, Clair, w pewnym kościele unitariariskim w Valley ma się odbyć happening, który naprawdę powinnaś zobaczyć i tak dalej... Ale jedno z zadań Clair we „Free Press” polegało na zestawianiu kalendarza imprez w alternatywnej branży, a że był to sezon urodzaju na „happeningi”, zaliczyła ich już z tuzin, a każdy zawsze zapowiadano jako pieśń przyszłości i oczywiście każdy był koszmarem. Więc nie poszła. Hmmmmm::::: Niemniej jednak:::::

::::: Usłyszawszy tych, którzy poszli, postanowiła jednak wybrać się następnym razem:::::

::::: który przypadał w Watts, w urodziny Lincolna, 12 lutego 1966 roku. Watts! To samo Watts, gdzie ledwie pięć miesięcy temu wybuchła zakręcona rewolucja czarnych, symbol wszystkiego, co beznadziejne i katastroficzne w amerykańskim życiu i *co to za dziwny pojazd kosmiczny zbliża się właśnie do Watts, do samego centrum Rozwoju Młodzieży – Rozwój Młodzieży! – w podróży ponad katastrofę:::::*

:::: – Wydaje mi się, że zdecydowałam się – Clair wspomina na mój użytek – gdy ktoś opisał mi, jak spontanicznie i z jaką radością w tamtym wieczorze w kościele wziął udział Art Kunkin. Większość obecnych ludzi poddała się improwizacji, jak się tego po nich spodziewano, ale i Arthur, i ja w tłumie czujemy się skrępowani.

– No tak. To miejsce w Watts – faktycznie było to Compton, wyodrębnione miasteczko na peryferiach Watts – wybrano z nie znanych mi powodów. Najlepszy z domysłów, jakie na ten temat słyszałam, miał związek z polityką sprowadzania takich grup w okolice dotknięte ostatnio jakimś nieszczęściem, na znak przyjaznych intencji; to jednak dość zabawne – paradoksalne? – miejsce na taką imprezę.

– Był to budynek magazynu, należał do ośrodka Rozwoju Młodzieży, ale wciąż stał pusty. Oni – ludzie z Ośrodka – używali go, albo zamierzali użyć, na warsztat rzemieślniczy, może samochodowy? Przystosowanie zawodowe, itp. Został formalnie wynajęty przez grupę Keseya na 24 lub 48 godzin, za pieniądze, i przez cały czas Próby Kwasu obecny był administrator z ośrodka.

– Zapowiadano to w zwyczajny sposób, w kalendarzu „Free Press” i KPFK itp. i przyszło około 200 osób. Kiedy się tam zjawiłam, nic się jeszcze nie zaczęło... ludzie siedzieli małymi grupkami na matach i kocach pod ścianami. Sala, główna sala, była ogromna...

niezbyt sobie radzę z oceną odległości w metrach, ale powiedziałabym, że miała może jakieś 45 na 20. Na wschód od niej była mniejsza sala, na zachód łazienki, a wzdłuż południowej ściany biegł korytarz z otwartymi, nie oszklonymi oknami na wysokości pasa... przez które można było zaglądać do środka.

– Przyjechałam swoim samochodem, podwoziłam jakichś dwoje ludzi, ale od razu ich zostawiłam... poszłam przyłączyć się do znajomych, którzy mieli trochę wina *rose* i siedzieli na jakiejś macie na podłodze. Jak powiedziałam, jeszcze się nic nie zaczęło... ale wkrótce ktoś zapowiedział (chyba Neal Cassady, choć nie znałam go wtedy), że impreza się zaraz zacznie. Na południowej ścianie wyświetlano filmy z komentarzem... filmy z Daalej, z autobusu, z ludźmi w autobusie... komentarz był dość nudnawym sprawozdaniem z podróży, a sam film wydawał się raczej bez pomysłu i sensu.

– Pamiętaj, że byłam nowicjuską. Nigdy nie byłam „na fazie” na „trawce”, na żadnych pigułkach ani niczym takim... moje najbardziej zaawansowane doświadczenia dotyczyły alkoholu. Znałam kilku „headów”, ale cała sprawa nie interesowała mnie zbytnio... kilka razy próbowałam trawki, ale nie robiło to na mnie wrażenia, jeśli nie liczyć nieprzyjemnego smaku.

– To może tłumaczyć, dlaczego wielu ludziom podobał się ten film, śmiali się, a także dlaczego wielu ludzi w ogóle tam przyszło... Jestem pewna, że należałam do mniejszości, do tych, którzy nie wiedzieli, czego oczekiwać. Musiały krążyć jakieś pogłoski, ale do mnie nie dotarły. Myślę także, że wielu z obecnych słyszało o sprawkach Keseya i dobrze wiedziało, co jest grane. Ale nie cicha licha Clair. Ze mną tak zawsze.

– Film trwał nadal, pokazano jakieś slajdy kwiatów i wzorków, różnych takich... potem na środek sali wniesiono wielki plastikowy kubek i zaproszono wszystkich, aby się z niego częstowali oranżadą Kool-Aid. Nikt się specjalnie nie wrywał... ludzie sobie podchodzili, podawano to w papierowych kubkach, a ponieważ Kool-Aid to normalka w domach Del Close, Hugh Romneya i innych moich znajomych, uznałam za całkiem naturalne, że się je tam podaje... wypiałam jeden kubek, wypiałam drugi, położyłam i porozmawiałam trochę, wypiałam jeszcze jeden...

...Jak na ironię, w każdym razie dla Clair, to był pomysł Romneya, owo Electric Kool-Aid, Elektryczna Oranżada, jak ją nazwał. Całą... tak, tak... doprawili ją od serca i bogato LSD. Po części był to wpust, ale przede wszystkim naturalna kulminacja Prób Kwasu. Był to gest, bezinteresowna szczodrość, rozdać kwas, prawdziwe podłączenie całego świata, otwarte zaproszenie do udziału w pranksterskiej ekstazie Wszystkojedni... wszyscy, unisono, stajemy się boskimi naczyniami, a wszystko zawarte jest w Kool-Aid i papierowym kubku. Cassady

natychmiast wypił ze cztery litry. Faktycznie były dwa wiadra. Romney wziął mikrofon i powiedział: – To tutaj jest dla małych, a tamto tam dla dużych. To tu dla kotków, tamto tam dla tygrysów – itp., itd. Jeśli o niego chodzi, zrobił wszystko, brakowało tylko, żeby zaznaczył zaprawioną porcję literami LSD. Sam Romney był tak po uszy w kisielu, iż nawet nie przyszło mu do głowy, że jakieś bardziej naiwne duszyczki mogły zabłąkać się na ten nieprawdopodobny przystanek w Watts i zwyczajnie nie wiedzieć... albo pomyśleć sobie, że jego zawoalowane instrukcje odnoszą się zapewne do ginu, jak to bywa z dwiema kryształowymi wazami ponczu na dwóch końcach długiego, biało nakrytego stołu na weselnym przyjęciu... albo po prostu tego nie usłyszeć, tak jak Clair Brush...

– Był tam Severn Darden i Del Close, ma się rozumieć, znałam ich z Second City w Chicago. Severn i ja staliśmy pod lampą stroboskopową (pierwszy raz widziałam coś takiego, daje czadu) i coś tam sobie improwizowaliśmy... on był zazdrosnym mężem, ja niewierną żoną, coś prostego i śmiesznego. On dusił mnie i ciskał mną naokoło (delikatnie, rzecz jasna) i nagle zaczęłam się śmiać... i śmiać... a ten śmiech był bardziej pierwotny, bardziej wykręcał bebechy, niż cokolwiek, z czym miałam dotąd do czynienia. Brał się skądś tak głęboko w środek, że nigdy nic takiego nie czułam... i tak to trwało... i nie dało się tego opanować... i było cudowne. Coś mnie tknęło i uświadomiłam sobie, że nie ma tam nic śmiesznego... nic do śmiechu... z czego więc się tak śmiałam?

– Rozejrzałam się wokół, a ludzie mieli zniekształcone twarze... wszędzie błyskały światła... na ekranach (prześcieradłach) na końcu sali szły trzy albo cztery filmy naraz, a stroboskop błyskał szybciej niż przedtem... zespół, Grateful Dead grał, ale nie słyszałam muzyki... ludzie tańczyli... ktoś podszedł do mnie, zamknęłam oczy, a on za pomocą jakiejś maszyny wyświetlał obrazy na wewnętrznej stronie moich powiek (naprawdę myślę, że działa się coś takiego... zapytałam później i była tam taka maszyna)... nic nie trzymało perspektywy, ani śladu normalności czy rzeczywistości... bałam się, bo szczerze myślałam, że to wszystko dzieje się w moim umyśle i że w końcu do reszty mi odbiło.

– Rozglądałam się za kimś, komu ufam, zatrzymywałam ludzi i pytałam, co się dzieje... przeważnie śmiali się, nie wierzyli, że o niczym nie wiedziałam. Spotkałam faceta, którego nie znałam zbyt dobrze, ale do którego od pierwszego spotkania poczułam sympatię. Zapytałam go, co jest grane i czy tu chodzi tylko o mnie, a on się roześmiał, przytulił mnie i powiedział, że ta oranżada była „rasowana” i że właśnie zaczynam swoje pierwsze doświadczenie z LSD... i że nie ma się czego obawiać, ale ani tego nie przyjmować, ani nie odrzucać... nie zamykać się, nie walczyć z tym i nie starać się tego powstrzymać. Potrzymał mnie tak dłuższą chwilę i staliśmy się sobie bliżsi niż to możliwe między dwojgiem ludzi...

nasze kości zwały się w jedno, skóra stała się jedną skórą, nie było takiego miejsca, gdzie można by nas oddzielić, gdzie on się kończył, a ja zaczynałam. Nie można opisać tej bliskości inaczej, jak tylko w kategoriach melodramatycznych... a jednak czułam, że połączyliśmy się i stali jednym w prawdziwym sensie, że nic nie mogło nas rozdzielić i że znaczenie tego przerasta wszystko, co zdarzyło się dotychczas. (Zauważ, że rok i dwa miesiące później... trzy miesiące... czytałam potem o „imprincie” i że możliwe było, że nadal będziemy wiele znaczyć dla siebie nawzajem, niezależnie od okoliczności... myślę, że to prawda... osoba, o którą chodzi, pozostaje kimś szczególnym w moim życiu, a ja w jego, choć nie mamy ze sobą kontaktu i rzadko się widzimy... łączy nas coś, co pozostanie. Do diabła! Nie da się mówić o tym, żeby nie brzmiało naiwnie).

Nie bałam się już i zaczęłam rozglądać naokoło. Działo się to w mniejszej sali, oświetlonej tylko lampą ultrafioletową, której światło nadaje ludziom piękną barwę i fakturę. Zobaczyłam jakieś dziesięć osób siedzących wprost pod tą lampą, osłoniętą białą (wtedy fosforyzująco lawendową) płachtą, i malujących coś fosforyzującą farbą na kalekich manekinach... i na sobie nawzajem, na swoich ubraniach itp. Stałam pod lampą, a krople farby kapnęły mi na stopę i sandał i to było niesamowite. Często wracałam pod tę lampę... było tam spokojnie i nad wyraz pięknie. Moja skóra nabierała w tym świetle głębi i faktury... jak aksamitny fiolet. Pamiętam, jak chciałam, żeby zawsze była tego koloru. (Nadal chcę).

– Wiele działo się w dużej sali. Ludzie tańczyli, zespół grał – ale ich nie słyszałam. Nie pamiętam ani jednej nuty, takie intensywne były wibracje. Jestem wrażliwa na muzykę – sama śpiewam, gram na różnych instrumentach itp. – i dlatego wydaje mi się to niezwykle. Stałam blisko zespołu i dawałam się ogarnąć tym wibracjom. Zaczynały się w palcach stóp i drgał nimi każdy cal osoby... odbywały podróż poprzez mój system nerwowy (pamiętam, jak wyobrażałam sobie siebie jako jeden z tych rysunków, które pokazują sieć połączeń nerwowych studiowanych na biologii), wędrowały każdym jego najdrobniejszym skrawkiem, sięgając w końcu czubka głowy, gdzie wybuchały fantastycznymi formami barw i kształtów... może tak, jak na rysunkach Steinberga?... Pamiętam intensywne kolory, ale zawsze obramowane na czarno... niezupełnie desenie, ale o różnych kształtach i fakturach.

– Stroboskop zgasł nagle... myślę, że coś w nim zepsuli... ale przyniosło to ulgę, ponieważ ciągnęło mnie do niego, a on nękał tę część mnie, która starała się trzymać rzeczywistości... zabawa z poczuciem czasu, coś, czego nigdy dotąd nie robiłam... wydała mi się nieodparcie atrakcyjna, choć przerażająca.

– Kool-Aid podano o dziesiątej czy coś koło tego. Prawie od samego początku w wejściu tłoczyli się wchodzący i wychodzący ludzie i policja. Było tam, przez całą wieczór,

co najmniej sześć różnych grup policjantów... począwszy od policji z Compton, potem drogówka, ludzie szeryfa, Los Angeles Police Department i patrol obyczajowo-narkotyczny. Pamiętam chyba, że byli w grupach po pięciu czy sześciu, stawali w drzwiach, rozglądali się, czasami rozmawiali z przechodzącymi obok, ale nie robili nieprzyjaznych gestów i nikomu nie grozili. Teraz wydaje mi się, iż musieli zdawać sobie sprawę, że cokolwiek tam się działo i tak nie można było sobie z tym poradzić... a areszt pełen 150 ludzi na kwasie stanowczo nie był nikomu potrzebny... więc przyglądali się, komentowali, szli sobie, przychodzili następni... i tak przez całą noc.

– Zjawili się lokalni dygnitarze... Chyba około północy, ale kiedy działo się to wszystko, nie miałam poczucia czasu, aż do około szóstej rano, kiedy wreszcie usiadłam (chodziłam, tańczyłam, albo stałam przez cały czas od dziesiątej wieczór, nie chciało mi się siadać... nie mam pojęcia, z jakiego powodu). Dwie albo trzy kobiety, około siedmiu mężczyzn. Jeden z nich ubrany był w biały garnitur i nosił czapkę Shrinera – myślę, że był to Elijah Muhammed. Uśmiechali się, rozglądali, rozmawiali z jakimiś ludźmi... zostali przez jakieś pół godziny i poszli, życząc nam dobrej zabawy. O tej porze nie było już śladu po Kool-Aid, rzecz jasna... zabrano je natychmiast. Ludzie z sąsiedztwa byli czarni, oczywiście. Wyglądało na to, jakby nie mieli pojęcia, że chodzi tu o coś innego niż młodzieżowa zabawa i wydawali się radzi powitać nas w tej okolicy. Pamiętam, że jedna z kobiet niosła dziecko i wielu ludzi przystawało, żeby się z nim pobawić... chyba dwuletni chłopczyk.

– Zarządca budynku był obecny przez cały czas. Chyba wracał do części biurowej, aby chwilę się przespać albo po prostu usuwał się z hałasu i zamieszania... ale co jakiś czas sprawdzał, czy wszystko jest w porządku. Był miły, cieszył się, ale był bardzo, bardzo zmieszany z powodu dziwnych akcji.

– W zasadzie uważam Próbę Kwasu za mistrzowską produkcję. Wszystko było starannie zaplanowane i wykalkulowane, aby wywołać efekt LSD, tak więc nie mam pojęcia, gdzie kończyła się produkcja, a górę brała moja własna wyobraźnia. Filmy były tak sugestywne, wizerunki i detale kwiatów i drzew, a często po prostu barwne plamy obrysowane czarnymi liniami, szybko przesuwane krajobrazy, detale dłoni i takie... no, ale starałam się nie przyglądać im zbyt uporczywie...

– Ludzie stali na dworze... była chłodna, pogodna noc... ktoś spanikował, wskoczył do samochodu i oddalił się w smrodzie palonej gumy... Chciałam wrócić do domu, ale wiedziałam, że jazda samochodem to szaleństwo. Bonnie (dziewczyna Hugh Romney) stała samotnie... zwałyśmy dłonie i uśmiechnęły się ze zrozumieniem, troską... Daalej stał zaparkowany na ulicy. Podeszłam sama, usiadłam w autobusie, usłyszałam i zobaczyłam

duchy ludzi, którzy w nim mieszkali... my (autobus i ja) wyruszyliśmy w podróż przez czas i poznałam ich tak dobrze... Z powrotem weszłam do środka i znalazłam mężczyznę z twarzą pomalowaną pół na pół na złoto i srebrno, z czupryną kręconych włosów, który wcześniej wydawał się groźny i dziwny –

– był to Paul Foster – spojrzałam na niego i zrozumiałam. Kostiumy Merry Pranksters wydawały się dziwaczne, a teraz były piękne i na miejscu. Przypomniałam sobie plakat, który mieliśmy na suficie we „Free Press”, kiedy nasze biura mieściły się w Fifth Estate... był to plakat do przedstawienia *The Beard* i wydrukowano na nim „Grah roor ograrh... lew lwica... och grahr...” (właśnie tak) i w tamtym momencie dokładnie zrozumiałam, co to znaczyło.

– Spłynął na mnie wspaniały przeblysk wtajemniczenia. Teraz już to zapomniałam, ale była taka chwila, kiedy wszystko trafiło na swoje miejsce i miało sens, a ja powiedziałam na głos: „Ach, oczywiście!”... dlaczego nie widziałam tego dotychczas, dlaczego nie potrafiłam zdać sobie sprawy z tego wszystkiego i tak bardzo się przed tym nie bronić. To nie trwało długo i minęło bezpowrotnie.

– Była tam czarownica, bardzo miła, która wysyłała najlepsze serdeczne i urocze vibracje. Ubrana była w czerwony aksamit, starsza już dama, naprawdę czarownica w najlepszym gatunku. Cieszyłam się, że tam była, a ona uśmiechała się, rozumiała, dobrze się bawiła i matkowała tym nielicznym, którzy nie czuli się dobrze.

– Była taka dziewczyna, która wzięła się za bary z Bogiem. Była z przyjaciółmi i chyba przysłała do siebie po paru godzinach. Był taki facet, który kompletnie odjechał... Chciałoby się powiedzieć katatonik, bo próbowaliśmy go z tego wyciągnąć, ale zupełnie nie udawało się nawiązać z nim kontaktu... trochę go znałam i poczuwałam się do odpowiedzialności za doprowadzenie go z powrotem do miasta... miał za sobą pobyt w szpitalach psychiatrycznych, brak kontaktu z rzeczywistością itp. i kiedy zdałam sobie sprawę z tego, co się stało, błagałam go, żeby nie pił Kool-Aid, ale na próżno... to było bardzo groźne. To jedyni ludzie, o których wiem, że mieli złe doświadczenia, ale na pewno nie miałam do czynienia ze wszystkimi.

– Powiedziałam ci o nagraniu na taśmie („Kogo to obchodzi?... Mnie to nie obchodzi...”) i jak użyto go przy następnej imprezie. Show biz.

– Show biz – *taaaaaak* – i nieeeeeee – Clair szybowiała na LSD, zastanawiając się, co się z nią dzieje, czy traci zmysły i tak dalej, a tu rozległ się szaleńczy wrzask:

– Kogo to obchodzi!

A potem: – Ray!... Ra-a-a-ay!... Kogo to obchodzi!

Nawet takiego maniackiego wrzasku nie dałoby się usłyszeć w ogólnym hałasie i

gorączce, jak to zwykle na Próbie, ponad czadem Grateful Dead, a już na pewno nie tak klarownie, gdyby nie to, że złapał go mikrofon, wzmocniono go i nagłośniono przez potężne kinowe głośniki...

– Kogo to obchodzi!

Było to coś dla uszu takich jak Clair, Clair, która myślała, że to *ona* dostaje szału – głos kobiety, której odbija, która traci świadomość, wzmocniony, jakby wrywał się z bebeczów i wydostawał przez mózgi wszystkich obecnych. Więc opiekun Clair i jej *improptu* przewodnik znowu objął ją ramieniem i powiedział: – „To taśma, nagrali to. To tylko wpust. To robota Hugh Romneya”. Cóż, to wydawało się prawdopodobne. Hugh był aktorem, wspaniałym satyrykiem i parodystą oraz numerantem... W samej rzeczy, pomiędzy wrzaskami słyhać było niewątpliwie głos Hugh dochodzący przez mikrofon:

– Panie i panowie, w sąsiedniej sali jest gliniarz, który rozleciał się na kawałki! Czy ktoś zechciałby pójść tam i złożyć go z powrotem!

– *Ray! Ra-a-a-ay!... To wspaniale, aż za bardzo!*

A potem znowu głos Romneya: – Czy ktoś ma jakieś środki uspokajające? W sąsiedniej sali jest ktoś, kto ma drobne problemy.

Sąsiednia sala to przedpokój dużej sali, od której zaczęła Clair. Siedziała tam na podłodze jakaś dziewczyna, której kompletnie odbiło. To było coś dla kwasowych weteranów. Takie rzeczy się zdarzają, należy tylko... a Prankstersi i inni hierofanci kwasowego świata słyszeli o tej dziewczynie, która siedziała i wrzeszczała. *Kogo to obchodzi!* I świrowała. Poszli tam Norman Hartweg i Romney, a tam siedzi całkiem ładna dziewczyna, gdyby tylko nie wykrzywiała tak twarzy, z chromą nogą i wrzeszczy: *Kogo to obchodzi!* oraz *Ray-a-a-ay*. Ray, tylko Ray, osobiście, Romney patrzy na Raya i od razu widzi, co się dzieje. Ray to potężny facet, krótko ostrzyżony, w trykotowej koszulce i kurtce bez rękawów, kamizelce, czy czymś takim, co nieźle demonstruje jego muskuły. Wygląda jak marynarz, który zaplątał się z bandą hippiesów i zastanawia się *teraz*, co tu, do licha, się stało...

– *Ray!*

Ostatni facet pod słońcem, aby zająć się Panną Kogo To Obchodzi. To robota dla fachowców, a właśnie ich tu mamy, paru największych na świecie fachowców od kwasu, Romneya, Normana, Hasslera – właśnie wchodzi – a oto zbliża się Babbs – i wszyscy zbierają się wokół niej gromadą – *Uwaga!* – pamiętacie Rachel Rightbred! – wtedy jej przeszło! – i udzielają jej instrukcji na wypadek odlotu:

– ...nie walcz z tym...

- ...idź za tym...
- ...nie zgadzaj się ani nie protestuj...
- ...płyn z prądem...
- ...jesteśmy z tobą...
- ...jesteś w rękach fachowców...

– *fachowców* – i Prankstersi nawijają nad nią, fraza za frazą słów – a potem Romney zdobył trochę thorazyny, środka uspokajającego, który nadaje się do powstrzymania złych tripów na LSD i powiada: – Proszę, weź to...

– *weź to* – Panna Kogo To Obchodzi i Ray patrzą na ukostiumowane dziwadło w grupie ukostiumowanych dziwadeł, wszyscy zaprawieni, dziwadło próbujące wcisnąć jej pigułkę Bóg wie czego – *diabolizm* – i Ray wyrzuca thorazinę i Panna Kogo To Obchodzi ją wyrzuca, pigułki sypią się po podłodze, a Panna Kogo To Obchodzi zaczyna:

– harruummmppparummmpparrumpppparruuuuuumparumpauharummpa – mamroce, raz po jednej, raz po drugiej stronie odlotu, chichoce ciurkiem, a oni mówią, no tak, wychodzi z tego i wtedy: – Kogo to obchodzi!... Ray!... Ra-a-a-ay!... Ach, po co to wszystko!... Seks!... Ray! Seks!... Kogo to obchodzi!

– *To zdanie!* – grzęźnie w pamięci Romneya. Nie może się go pozbyć. Jej wrzaski grzmiały po całej sali, ponieważ Babbs przyniósł mikrofon, trzyma go koło niej, tuż przed Rayem, troskliwie, tak, jakby to miało załatwić sprawę. Ray rozgląda się bezmyślnie. Babbs chwyta wszystko do mikrofonu, aby było *częścią próby* – nie odosobnionym zdarzeniem – a Wszystkojednym, anachoretycznym odlotem – *Kogo to obchodzi!* Romney spogląda na Babbsa i Kogo To Obchodzi! – cóż, Babbsa obchodzi, jedną jego część, ale drugą poświęcił sprawie Prób, Archiwum, odlot do Archiwum, odleciało na taśmie do Archiwum, Kogo To Obchodzi w Archiwum Prankstersów i krzyk niesie się po sali, do każdego mózgu, także do mózgu Clair...

Romney nie może uwolnić się od obłąkanego wrzasku, *Kogo to obchodzi*, odtąd będzie to dla niego Próba Kogo To Obchodzi, wraca do mikrofonu, teraz już ogarnięty misją, skanduje:

– Słuchajcie, ta dziewczyna odchodzi od zmysłów! I kogo to obchodzi? Ona się rozlatuje na kawałki! I kogo to obchodzi? Rozpada się na chrupki! I kogo to obchodzi? Tarza się w pyle, ma gałki oczne w plastikowej wykładzinie! I kogo to obchodzi?

– to było jasne. Każdy, kogo to obchodzi, zrobi coś, przynajmniej skieruje na nią strumień Energii, utoczy dla niej Wymiarowego Kreemo, jeśli naprawdę go obchodzi. To stało się dla Romneya próbą, czuł to, zgłębić, jak bardzo go to obchodzi...

Kogo to obchodzi! – wydziera się.
Jego obchodzi! Czuję to i czuję, jak rośnie...
...podczas gdy to wszystko nawija się na taśmę.

W końcu nawet na Próbie w Watts siada im siła i ci, którzy nie są w kisielu, zaczynają się wykruszać, zostają najbardziej zawzięci Prankstersi i garstka odkrywców, takich jak Clair Brush i Norman poznaje, że nadchodzi magiczna godzina, Hassler podnosi się w niebieskim kostiumie boya i tańczy piękny, powolny taniec do muzyki wprost idealnej... a Page działa za nim z projektorami, projektorami filmowymi i rzutnikami slajdów i zestawia coś w rodzaju naprawdę cudownego kolażu, ruchomą projekcję ponad projekcją nieruchomą... Prankstersi siedzą zdumieni i zachwyceni, a on zmienia powoli abstrakcyjne wzory na projekcję slajdów i... *wszystko pasuje do siebie... wszystko...*

Około szóstej rano jeszcze raz policja, tym razem narkotykowcy, sześciu w cywilu – a jeden z zagorzałych odkrywców z godziny trzeciej nad ranem podchodzi do nich i oznajmia z miną totalnej szczerości mieniającej się od kwasowego nawalenia:

– Słuchajcie, mam teraz tyle Świadomości, tyle... Świadomości w paznokciu małego palca... Moja Świadomość jest o tyle wyższa od waszej, że... ach... – a połyskujące na jego twarzy napięcie świadczy dowodnie, że to nie metafora, żaden czczy koncept, który można uwarzyć z angielskiego języka wystarczająco niezmiernego, aby wyrazić dokładnie o *ile* wyższa, więc twarz zapada mu się z powrotem w wyraz słodkiej szczerości, nieco już znużonej, i powiada: – Nie znaleźlibyście dla nas kilku papierosów? Nic nam już nie zostało.

Dziwne, ale jeden z nich znalazłby, wrócił bardzo prędko z kartonem kooli, puszcza je w obieg. Około dziewiątej zostają już tylko Prankstersi, Clair i kilkoro innych – oraz nowi policjanci – i w końcu mówią Babbowski, że powinien już wszystkich wyrzucić, słońce wstało nad L.A., poczciwe czarnuchy z Watts idą do roboty... i Prankstersi ruszają gromadą w blask słońca L.A., Diabeł z pomarańczową twarzą i srebrnymi gwiazdami, wysoki, rozczochrany facet z połową twarzy srebrną, a połową złotą, oszołomy w Day-Glo maszerują w światło dnia o dziewiątej rano z ponurej wylęgarni Pandemonium...

I Clair Brush: – I to chyba tyle... Strasznie się nagadałam... Czy coś z tego zostało? Czy się zmieniłam? Nie pamiętam. Chyba tak, ale nie jestem pewna. Kiedy stanę pod ultrafioletem albo stroboskopem, to powraca, takie żywe...

– Del Close powiedział mi potem, że błędziłam wokół i wyglądałam „fantastycznie... w tym znaczeniu, że byłam jak fantazja”. Nie mogę sobie wyobrazić lepszego opisu.

– Od tej pory brałam LSD dwukrotnie. Za każdym razem było inaczej i znacznie mniej

dramatycznie, bardziej osobiście, łagodniej. Jedyne wyraźne podobieństwo polega na efektach fizycznych, na które, jeśli o mnie chodzi, składają się skurcze, zupełnie jak przy porodzie, i drżenie końcówek nerwowych... w oczekiwaniu... przez dłuższe okresy czasu, uczucie, jakby było się na skraju orgazmu, zupełnie bez żadnego kontaktu... takie sprawy pojawiały się za każdym z tych trzech razy. Poza tym za każdym razem było inaczej.

– Czy wezmę znowu? Och, pewnie kiedyś... ale nie pali się, najmniejszego gwałtu, żeby biec na róg do ulubionego handlarza. Myślę, że najlepiej byłoby wziąć to razem z kimś kochanym, ale kimś takim, kogo chce się zatrzymać żywego w pamięci przez długi, długi czas. A takich nie ma wielu. To zbliżenie, jakiego niełatwo się pozbyć.

– No dobra. Wystarczy, mam nadzieję.

Około pierwszej po południu w mieszkaniu Romneya dzwoni telefon, budząc go:

– Romney, należałoby was wszystkich rozstrzelać!... Siedmiu ludzi u czubków!... Odbiło im!... Afera!

I wreszcie telefon z policji L.A.:

– Wy jesteście Romney? Słuchajcie, mamy tu takiego *dwubarwnego kolesia*...

Och, to Wy-mia-ro-we Kree-mo... To przecież Paul Foster. Cztery, pięć, sześć setek ludzi przez całą noc w tym domu wariatów oddawało się jakimś cholernym orgiom – a gliny nie mogły położyć na nich łapy. A więc – kiedy w kefirowatym blasku słońca o dziewiątej rano zobaczyli wychudłego jegomościa, który wytoczył się z tego budynku niczym Druid, z połową twarzy złotą, połową srebrną, to związali sukinsyna za to, że był... no... pijany w miejscu publicznym, czy coś równie prawdopodobnego. Ale o pierwszej po południu zapragnęli, żeby ktoś, do cholery, zabrał już od nich tego *dwubarwnego kolesia*...

Chryste, chłopie! To przesada, nawet dla nas! Umywamy od tego ręce::::: Ohyda:::::

::::: co... dokładnie takiego zrobiliśmy? I:::::

::::: nawet dla niektórych Prankstersów, dla frakcji antybabbowskiej, ta Próba była klęską. Z jednej strony podawali w wątpliwość etyczny sens zaprawienia Kool-Aid kwasem, z drugiej uważali, że to, co zrobiono Pannie Kogo To Obchodzi nadając jej odlot przez głośniki, było okrutne. Wkrótce po powrocie do L.A. z La Jolli Schizma wybuchła naprawdę i na dobre, otwarcie. Było to wielkie, małe, własne *Morbio Inferiore*, Podział z Magazynu „Life”.

Próba z Watts w L.A. na dodatek do Festiwalu Tripów w San Francisco sprawiła, że gwałtownie wznosząca się fala psychedelii eksplodowała z alternatywnego podziemia w

sposób, o jakim nikt nawet nie marzył. Leary, Alpert i ich eksperymenty cieszyły się sporym zainteresowaniem mediów, ale wyglądało to na sprawę dość jednostkową, z paroma harwardzkimi doktorkami u steru, wszystko razem dość namaszczone i ezoteryczne. Ta nowa sprawa z San Francisco – L.A. z szurniętymi dzieciakami i delirycznym rock'n'rollem sprawiała wrażenie, że straszne LSD rozpanoszyło się wśród młodzieży jak zakaźna choroba – co w istocie miało miejsce. Bardzo niewielu zdawało sobie sprawę, że wszystko to emanowało z jednego źródła: od Keseya i Merry Pranksters.

Pojawiła się załoga z magazynu „Life” pod wodzą fotografa Larry’ego Schillera, który interesował się światkiem LSD i fotografował na Próbie w Hollywood. Przeprowadzili wywiady z Prankstersami, robili zdjęcia i powiedzieli, że zamierzają zamieścić obszerny materiał na temat sceny kwasowej oraz jak dobrze pójdzie, dać Prankstersów na okładkę. Sprowadzili więc autobus do wielkiego studia fotograficznego i Schiller zwołał ich wszystkich. A wtedy Babbs powiedział, że nie wchodzi do środka. Ale reszta, Norman, Hagen, Cassady, cała grupa, poszli i Schiller zrobił masę zdjęć. Normanowi wydawało się to zgrebstwem. Przede wszystkim facet pracował na materiale czarno-białym, a sprawą najbardziej charakterystyczną dla Prankstersów był kolor, Day-Glo, im jaskrawiej, tym lepiej, im więcej wibracji, tym lepiej. Potem Schiller kazał im wszystkim usiąść w grupie na tle czarnego horyzontu, a Cassady’emu stanąć w środku i machać ramionami w górę i w dół, jak wrona. Fotografował w świetle stroboskopu, co sprawiło, że Cassady wyglądał, jakby miał wiele ramion, jak wielki bóg Sziwa. Efekt stroboskopowy był wtedy nowością w fotografii psychodelicznej i mass media nigdy nie miały go dość. Odtwarza doświadczenie kwasowe itp. Potem Schiller kazał pewnym ludziom zostać na indywidualne zdjęcia, barwnym postaciom takim jak Cassady, Paul Foster z niesamowitymi bokobrodami i Płaszczem Ważności i Normanowi, może dlatego, że miał brodę. Normalka... Reszta wyszła na zewnątrz, gdzie czekał Babbs. W końcu ci, którzy zostali na indywidualne zdjęcia, też wrócili, ale kiedy wyszli na dwór, autobusu już nie było. Ani śladu. Babbs, Mountain Girl, Zonker, Walker i inni – zerwali się.

Hagen nie mógł uwierzyć własnym oczom. – Coś takiego – wycięli nam *numer!* – powiedział.

Prankstersi, numeranci – a wycięto im numer.

Skoro sprawy miały się tak, jak się miały, numer ten nabrał fundamentalnego znaczenia. Ci, którym go wycięto, dostali się w końcu z powrotem do rozpadającego się Sans Souci, ale Babbs i S-ka zdążyli się zwinąć także stamtąd, z całą kasą i prowiantem. Babbs zostawił wiadomość, że oni, ścisła czołówka, wyjeżdżają zrobić Próbę na własną rękę i

Kesey siedzi w małym pokoiku na górze w ostatnim domu przy plaży, za 80 dolarów miesięcznie, nad rajsko-niebieską zatoką Bandarias, w Puerto Vallarta, na zachodnim wybrzeżu Meksyku, w stanie Jalisco, o krok od wiotkiego, zielonego listowia dżungli, gdzie pienia się bujne, parne, pawianie, chutliwe paranoje – Kesey siedzi w małym, rozpadającym się pokoiku na górze z łokciem na stole, z przedramieniem pionowo pod kątem prostym, a w dłoni trzyma małe lusterko tak, że przedramię i lusterko są jak wielka podpora wstecznego lustra z boku ciężarówka, a więc on może wyglądać przez okno i widzi ich, oni jego zaś nie –

NO CO TY, STARY, TRZEBA CI SCENARIUSZA, ŻEBY SIĘ PRZEKONAĆ, O CO CHODZI W TYM FILMIE? ZOSTAŁO JESZCZE 40 SEKUND, ZANIM PRZYJDĄ I CIĘ DOPADNĄ

– jakiś volkswagen krąży już czas jakiś w górę i w dół ulicy bez żadnego na tym świecie powodu, z wyjątkiem tego, że oczywiście współpracuje z lipnymi monterami telefonów po drugiej stronie okna, którzy pogwizdują –

ZNOWU IDĄ

– pogwizdują jak tępawi, brunatni, meksykańscy dniówkowi robole w sandałach, bez żadnego na tym świecie powodu, z wyjątkiem tego, że oczywiście są w synchu i w cynku z volkswagemem. A teraz ulicą nadciąga beżowy sedan minus tablica rejestracyjna, ale plus biały numer z szablonu – *zupełnie jak numery w więzieniu* – a w środku policja i dwóch gości bez marynarek, obaj w białych koszulach, więc nie więźniowie –

JEDEN ODWRÓCIŁ SIĘ I SPOJRZAŁ!

GDYBYŚ OGLĄDAŁ TO WSZYSTKO W KINIE, WIESZ, JAK BYŚ ZAREAGOWAŁ, Z TRZECIEGO RZĘDU, Z USTAMI PEŁNYMI POPCORNU: „NA CO JESZCZE CZEKASZ, PALANCIE! ZRYWAJ SIĘ STAMTĄD...”

– Ale on właśnie łyknął pięć dexedrynek i pocziwy motorek wiruje pośpiesznie z najwyższą przyjemnością i euforycznie zafascynowany, nie da się przecież porzucić tej uroczej, zacisznej przystani za 80 dolarów miesięcznie nad rajsko-niebieską zatoką Bandarias właśnie teraz, kiedy w żyłach śmiga miła struga speedu. To taka drobna szpiegowska scenka, to co widzi w ręcznym lusterku. Może je obrócić i widzi własną twarz w entropii napięcia, obróć raz jeszcze – jakiś znak! – to wróbel, tłusty i lśniący, nurkuje przez słabnące słońce do dziurki w jednym z latarnianych słupów, do domu.

WIĘCEJ FURGONETEK TELEFONO! TYM RAZEM DWA GŁOŚNE GWIZDY – BEZ ŻADNEGO NA TYM ŚWIECIE POWODU, Z WYJĄTKIEM TEGO, ŻEBY PRZYJŚĆ I CIĘ DOPAŚĆ. ZOSTAŁO CI JESZCZE 35 SEKUND

– Na ścianie wisi i czeka na Keseya Uciekinierska Kurtka model Cornel Wilde,

rogatka na superautostradzie, wielki betonowy plac i rząd dziesięciu czy piętnastu budek celników dla samochodów ciągnących do Tijuany z San Diego i kierunków północnych, wszystko z betonu i zielonego plastyku, jak cała reszta podmiejskiej, superautostradowej Ameryki. Więc przejechali przez granicę z Keseyem ukrytym w budzie starej furgonetki Boise'a i nawet serce specjalnie nie załomotało. Poprawiły się nastroje, trochę pranksterskiego ducha powróciło w kosmos. Prawdziwie po prankstersku wydali jedną trzecią posiadanych pieniędzy na samochodowe stereo Madman Muntz wraz z wszystkimi frykasami, jak magnetofony i mnóstwo taśm.

Następnym problemem może być wiza, ponieważ zanosi się na dłuższy pobyt. Załatwić ją dla Keseya w Tijuanie może być ryzykownie, bo Tijuana jest jak aneks Kalifornii, naprawdę, slumsy San Diego, i mogą świetnie wiedzieć o całej sprawie.

– Załatwimy to w Sonoicie, stary – mówi Boise. – Tam mają to gdzieś. Wystarczy wyciągnąć parę dolców, a zapominają o bożym świecie.

Sonoita jest gdzieś na wschód od Tijuany, nieco na południe od granicy z Arizoną. Kesey używa lewego dowodu tożsamości i nie ma problemu w Sonoicie. Ścigany! – naprawdę i teraz już na pewno.

Potem na południe tak zwaną drogą 2 i tak zwaną drogą 15, podskakując i zgrzytając wśród brunatnego pyłu, kościstych kurcząt i oparów zwierzęcego łajna zachodniego Meksyku, przez miasteczka Coyote, Caborca, Santa Ana, Querobabi, Cornelio, El Oasis, hi, Hermosillo, ha, Pocitos Casas, Cieneguito, Guaymas, Camaxtli, Mixcoatl, Tlazolteotl, Quetzalcoatl, Huitzilopochtli, Tezcatlipoca, nawiedzając skrzyżowania Dairy Queen i Rat Queen, królowych śmietanki i szczurów, pod postacią Szczura, szczura z chaszcy Popoucati, Tetzcotl, Yaotl, Titlacahuan, któregośmy niewolnikami, księżo-Anielski odlot z Ochpaniiztl na motocyklu z wazelinowej skórki krzyżówki Załogowej Towaresy z Białą Hołotą... Konfetti czaszek i śmierci w zachodnim Meksyku, Szczurzej Krainie. Nie ma to nic wspólnego z malowniczymi osiołkami i szalami ani z kapeluszami *Nova Zapata*, ani różowymi jak z kolorowego TV plasterkami arbuza, ani z wodnymi liliami, ani złotymi piórami, ani długimi rzęsami, ani wysokimi grzebieniami, ani z *tortillas*, *tacos* i pudrem *chili*, ani ze sprzedawcami fletowego *camote*, ani z *muletas*, ani *torreros*, ani z *ole*, ani z muzyką *marachi*, ani krwią *dalii*, ani cynowymi *cantinas*, ani z ponczami, ani z filmowymi *black marias* o lśniących czarnych włosach i małych, sterczących, krągłych, małoletnich tyłkach pod parą. Nic ze starego, dobrego Meksyku, który znamy i kochamy z trzytygodniowej wycieczki. Tylko pieprzony, brunatny pył i wzdęte, szczurze truchła wzdłuż drogi, kozy, krowy, kurczęta wszystkimi łapami do góry i meksykańskie skrzyżowania, w rozsypce jak

czaszka Tezcatlipocana.

Kesey widział, że ucieka na jakąś beznadziejną, zapchlona pustynię. Ale dzięki Boise'owi można to było znieść. Boise zawsze *wiedział*. Boise był wysuszony, miał chudą twarz i najohidniejszy, wysoki, płaski jękliwy głos z Nowej Anglii, miał niewiele wspólnego z tym, co tu i w pobliżu, ale był *tu*, teraz i *wiedział*. Furgonetka psuje się po raz czternasty –

– Nie ma sprawy, stary. Wepchamy ją tyłem na skałę, stary... Zdejmiemy oponę i naprawimy.

Nadal płaska, Szczurza Kraina, komary i pchły, prosto w totalny nikodem, jak osie perspektywy w obrazach surrealistów, ale Boise uświadamia, że to wszystko jedno, tu czy tam. Boise lubieżnie skanuje ulice, kiedy podskakują przez miasteczka kurzych zwłok, jakby to był sobotni wieczór na Broadwayu w North Beach, namierza dorodną *gringa muchacha*, która snuje się bokiem drogi na zdrowych łydkach.

JESZCZE 25 SEKUND, GŁUPCZE!

I powiada: – Weźmiemy ją i *bzykniemy*, stary? – tym samym nowoangielskim skowytym, jakby pytał, chcesz może coś? Kesey przygląda się pooranej bruzdami twarzy Boise'a, jego wąskim ustom; wygląda starożytnie, tyle że z oczu bije mu blask, uroczy i sprośny, śmiertelnie pewny i szaleńczo żywy zarazem. I Boise jest w tej chwili w ścisłym węźle Prankstersów Idealnych, w wewnętrznym kręgu na dobre wstępujących do *sanghi*.

W Guaymas nad zatoką Jim Fish chce wsiąść. *Wczesny atak paranoi, Jimie Fish?*, i łapie autobus z powrotem do Stanów, porzucając Keseya, Boise'a i Zonkera oraz sprzęt. Ale czy kiedykolwiek było inaczej? Albo jest się w autobusie, albo poza autobusem. Kesey nabierał ducha. Boise trzymał wszystko w garści::: ten oszołom z Nowej Anglii jest *tu*, w tej Krainie Szczura.

– Słuchaj stary... – Boise wskazuje na mijaną budowę. – *Widzisz to?* – jakby mówił „Oto cała sprawa, dokładnie”.

Brygada robotników nakłada tynk na sufit w wykańczonym budynku. Jeden gruby miesza w wannie zaprawę. Jeden chudy czerpie ją z wanny niewielką kielnią i ciska spod ręki w sufit. Troszkę się przylepia – i trzech albo czterech gości, którzy stali na rusztowaniu z surowych desek, rzuca się ją gładzić – ale większość spada na podłogę, więc następnych trzech lub czterech, w kucki, skrobie ją z podłogi i szufluje z powrotem do wanny, a tamten szczapa zaczepia następny kęs szczupłą kielnią i wszyscy znowu gapią się na to, co się wydarzy. Wszyscy kucają naokoło w *huaraches*, tandetnych, płaskich sandałach z plecionki, na górze na rusztowaniu, na dole na podłodze, czekają, żeby zobaczyć, co się wydarzy, jak powiedzie się losowi z tym kęsem niczego podrzucanym w Szczurze Przestworza...

I tak jest wszędzie – cały ten Meksykański Trip –

– Mają takie porzekadło „Hay tiempo – Boise szarpie kierownicą, aby ominąć wózek z lodami na środku drogi – o. Mamy czas”.

20 SEKUND, IDIOTO!

Huaraches, obuwie Szczura. Wszystko synchuje. Meksyk to raj dla Szczura. Ależ oczywiście! To wcale nie jest tandeta – to perfekcja. Tak, jakby wszystkie Rzeczy Szczurze ze wszystkich Krain Szczura w Ameryce, wszystkie drive-iny, osiedla mieszkalnych przyczep, bary mleczne Dairy Queen, minisupermarkety, promenady Sunset Strips, sklepy z akcesoriami samochodowymi, oczyszczalnie szamb, kioski z pamiątkami, snack bary, ratałna sprzedaż mebli, saloniki Davenitera, hoteliki z kuchenkami w numerach, stoiska z książkami na stacjach autobusowych, kafeterie z otworami wrzutowymi na monety do szafy grającej w boksach, betonowe toalety na stacjach benzynowych z lustrem uryny w muszli, toalety w autobusach Greyhound z papierowymi ręcznikami i rzygowinami zwisającymi z czarnych jak hokejowy krążek krawędzi sedesów, sklepy wojskowe z męskimi slipami bikini, regały Super Giant z koszulami z zielonego diagonalu do pary ze spodniami z balonowym tyłkiem dla profesjonalnych roboli, bungalowy za 8000 dolarów z plastikowymi ściankami składanymi jak akordeon i dziecko, które śpi tam w składanej kołysce z plastikowej siatki, piknikowe stoły w jednym kawałku z ławkami ustawione w jadalniach, kanapki Joni-Trot Bar-B-Q z gazowanym napojem owocowym, żaluzje z aluminiowych listewek, aluminiowe pokrycia ścian budynków, letnia kawa „gratis” w porcelanowym kubku z bladobrazową kałużą i kilkoma okruchami popiołu na spodku, kucharz czarnuch z za lady, który kredowatym Kitchy-Brikiem szoruje ruszt do szybkich dań i nie przyjmie zamówienia, dopóki nie skończy, skromne posługaczki w kolejce do taniego lekarza, w sukienkach przyklepionych do siedzeń błyszczących winylowych krzeseł, nie poruszają się swobodnie z obawy, że ktoś im pod nie zajrzy, sportowe kurtki w szkocką kratę z Searsa i czapki z surowego płótna z daszkiem, syntetyczne fartuszki dla kelnerek, co wyglądają jak z mlecznego celofanu, Szczurze lody w tutce, Szczurza woda sodowa, Szczurze kanapki z sałatką mięsną, Szczurze sery, Szczurburgery – tak, jakby wszystkie Szczurze Sprawy ze wszystkich Szczurzyc Krain Ameryki wyruszyły na poszukiwanie swojej ziemi, swego Kanaanu, swego Iz-ra-ela i znalazły to w Meksyku. Tu panuje swoista estetyka Szczura. Tu jest pięknie jak cholera...

Potem dojechali do Mazatlan, pierwszego po drodze ze Stanów kurortu pełną gębą na zachodnim wybrzeżu Meksyku. W Mazatlan wszyscy tripują na ryby. Artystyczne Szczurze sceny rybackie na białych ścianach wzdłuż starych dobrych Avenida del Mar i Paseo Claussen, łukowate pasaże w hotelach, ze wspaniałymi, błyszczącymi marlinami błękitnymi

wiszącymi w łukach i *gringos* w czapkach z daszkiem, którzy przyjechali złapać sobie marlina. Wreszcie muzyka *mariacki*, trąbka ciągle łamie się i spada z nuty, a potem znowu się na nią gramoli. Zonker miał świetny pomysł, żeby pójść do O'Brien's Bar z frontu plaży, za którym z tyłu swego czasu pobiło go trzynastu meksykańskich pedałów. Zonker lubi odwiedzać scenerie swych wcześniejszych klęsk. *Jak również spędza całe godziny na plaży opowiadając, jak to najpaniczniej i najszczerzej boi się ataku rekina w kąpieli... i zdrapuje strupki po ukąszeniach pcheł, aż nogi spływają mu krwią na ten smakowity świat... a potem idzie popływać.*

U O'Briena czai się paranoja. To przerwa w Szczurzym filmie. Jest ciemno i gra meksykański zespół – co dla czujnego Szczura jest sygnałem, że będzie tu za drogo. Szczurze dusze powszechnie lękają się ciemnych, malowniczych restauracyjek, instynktownie uświadamiając sobie, że przyjdzie im drogo zapłacić za tę dętą atmosferę, pewnie z dolara od drinka. U O'Briena było tłoczno, aż nagle w koktajlowym mroku: *headzi*. Banda dzieciaków z chrystusowymi włosami, kościelnymi dzwonekami, koralikami, w kaftanach z koca, z mandalami; krótko mówiąc, *headzi* z Ameryki. Zonker rozpoznaje ich natychmiast. Są nie tylko z Ameryki, ale z San Jose, a paru z nich było na Próbie Kwasu. *Dokładnie to, czego trzeba Ściganemu, żeby spieprzyć cały podstęp z samobójstwem. „Zgadnijcie, kogo widziałem w Meksyku...”* Naturalnie Zonk, znany z upodobania do klęsk, przywołuje ich. Kesey zostaje przedstawiony jako „Joe” i nikt nie zawraca sobie nim głowy, z wyjątkiem jednej śniadej panienki o meksykańskiej urodzie z długimi czarnymi włosami.

– Kiedy się urodziłeś? – pyta Keseya. Nie mówi jak Meksykanka. *Mówi jak Lauren Bacall przez tubę.*

– Jestem Panną. *Nie ma sensu próbować trzy razy, skoro widać, że sztuka uda się za pierwszym.*

– Tak myślałam. Ja jestem Skorpionem.

– Wspaniale.

Czarny Skorpion najwyraźniej dobrze zna Zonka. Zna go od dawna. Ale Zonk to stare dzieje i wychodzi na to, że Zonk czy nie Zonk, ona i Kesey relaksują się pewnej nocy na świeżym powietrzu, na pomoście przy Szczurzej plaży w Mazatlanie, całej w śmieciach i kamieniach, ale fale, wiatr i światła przystani robią swoje, a księżyc bije w coś w rodzaju betonowego filaru, umieszczając ją w mroku, w cieniu, a jego w świetle, oświetlonego księżycem, jakby jakiś projektant nakreślił linię dokładnie pomiędzy ich ciałami. *Black Maria*, postanawia.

Tak więc *Black Maria* dołącza do załogi Ściganego i odjeżdżają do Puerto Vallarta.

Puerto Vallarta nie należy do Krainy Szczura. To Meksyk, cały z książki z obrazkami. Rajsko-niebieska zatoka Bandarias, czysta biała plaża, białe domki w stylu latino na tle dżungli, soczyście surowo zielonej i czystej. Tłuste zielone liście przytulają się do tylnych ścian domków na plaży. Papuzie dźwięki, albo coś koło tego. Pączki i płatki tajemniczych, trujących orchidei i pomarańczy mrugają zza listowia, kiedy się poruszy. Sympatyczna, romantyczna, gotycka dżungla. Zonker targuje się z ugrzecznionym, niewysokim agentem od nieruchomości i dostaje ostatni dom na skraju miasta za 80 dolarów miesięcznie. Czynsz jest niski, ponieważ dżungla jest za blisko jak dla turystów, dżungla i tłumy meksykańskich dzieci, kurcząt i wiejski, śmierdzący nawozem kurz. Boise wraca do Stanów, a Kesey, Zonker i Black Maria wprowadzają się. Mają górną połowę domu, piętro i spiralne schody na dach. Na dachu stoi coś w rodzaju krytej strzechą komórki, najwyższa grzędą w okolicy, idealny punkt obserwacyjny i zaciszna przystań. Kesey postanawia zaryzykować telefon do Stanów, aby dać znać Faye i wszystkim, że ma się dobrze. Idzie do miasteczka i dzwoni do Petera Demmy do księgarni Hip Pocket w Santa Cruz. Chwila metalicznego pobrzękiwania *telefonista senioritas* w centrali. A potem,

– Peter?

Z oddali wielu Szczurzych kilometrów: – Ken! – bardzo zdziwiony, ma się rozumieć...

I tak Kesey pędził czas w przytulnej hacjendzie na skraju Puerto Vallarta, sącząc piwo, paląc liczne jointy i od czasu do czasu zapisując coś w notatniku. Chciał zanotować co nieco z tego wszystkiego i wysłać do Larry'ego McMurtry'ego.

Larry:

– Telefony do Stanów po osiem doliców sztuka, a poza tym, jeśli kiedy chciałem zamierzyć się na kogoś ulubioną kulą literackiego kitu, to najczęściej byłeś to właśnie ty...

Wszystko jakby o Black Marii. Pod wieloma względami była wspaniała. Jest cicha i tak jakby mrocznie piękna. Gotuje. Wygląda po Mex i mówi po Mex. Potrafi nawet kombinować po Mex. Bada burmistrza Puerto Vallarta na okoliczność tego, jak bezpieczny będzie Kesey w tym miasteczku. – *Hay tiempo* – powiada. Ekstradycja trwa całe wieki. Miła wiadomość...

A jednak Black Maria nie jest zupełnym Prankstersem. Chce należeć, chce to robić, ale jakoś *bez wiary*. To jakby meksykańska strona jej blackmaryjnej osoby. Nosi wszystkie oznaki Meksykaństwa – tak wygląda, tak mówi, nawet jej dziadek był Meksykaninem – ale ona nie jest Meksykanką. Pod tym wszystkim, nawet pod tą krwią, jest Carolyn Hannah z San Jose w Kalifornii. Zapisał w swoim notatniku.: *Wyprowadzenie jej ciemnego indiańskiego*

ZOSTAŁO 10 SEKUND, TY CHOLERNY IDIOTO!!!

ciała z indiańskiej ziemi rozcieńczyło indiańską krew rosółem z drobiu z uszkami z macy. Tyle ognia skrywanego przez ciemną i melancholijną krasę tli się właśnie tak głęboko. Ponieważ brak jej wiary. A jednak bardzo jest miło tu na górze, pod strzechą, na grzędzie na szczycie tego ostatniego domu. Jakiś samochód jedzie w górę ulicy. – Wracają Zonker i Black Maria. Spogląda ponad krawędzią na wzbijający kurz samochód, potem pisze w notatniku, to idealny punkt obserwacyjny, pozwala mi widzieć ich, samemu nie będąc widzianym. Wiele spraw... synch.

Zonker i Black Maria jechali drogą rozpraszając dzieci, kurczęta i kurz, a Black Maria wskazała na szczyt domu i powiedziała do Zonkera:

– Patrz, to Kesey. – Potem wychyliła się przez okno i przyjrzała dżungli. – Założę się, że myśli, że go stąd nie widać.

PO HERBACIE. Zonker niesie telegram od Paula Robertsona z San Jose, fatalną wiadomość. To nawet nie jest ostrzeżenie, to

5 SEKUND – ZOSTAŁO 5 SEKUND – NAPRAWDĘ MASZ ZAMIAR SIEDZIEĆ TU, AŻ CIĘ ZMIAŹDŹĄ? jest koniec. PO HERBACIE. To znaczy, okazało się, że fortel z samobójstwem został zdemaskowany i gliny wiedziały, że jest w Puerto Vallarta. *Zdemaskowany?* – do diabła, z samobójczego wpustu zrobiła się jakaś cholerna opera komiczna. Na samym wstępie D_____ dał w d, jak obawiała się Mountain Girl. W poszukiwaniu klifu D_____ dojechał w pobliże Zatoki Humboldta, około czterystu kilometrów na północ od San Francisco, aż do Eureka, niedaleko granicy z Oregonem w krainie sekwoi. Podjeżdżał pod ostatnie wzniesienie, kiedy ciężarówka odmówiła posłuszeństwa. Udał się więc do miasteczka po wóz holowniczy i facet z garażu razem z wozem holowniczym pociągnęli samobójczy pojazd ten ostatni kilometr. Wynajęty, zapłacony i dzięki bardzo. Zawsze miło wynająć kogoś do pomocy w samobójstwie. Następnie D_____ zrzucił charakterystyczne, niebiańsko-niebieskie, wysokie buty Keseya w dół na brzeg – ale zamiast w brzeg, trafił w wodę i buty utonęły bez jednego bąbelka. Dalej, ten cholerny, romantyczny, samobójczy, wyludniony, spieniony klif okazał się tak cholernie wyludniony, że nikt nie zauważył tej ciężarówki przez jakieś dwa tygodnie, pomimo znaczka Ira Sandperl Na Prezydenta na tylnym zderzaku. Najwyraźniej wszyscy dochodzili do wniosku, że ktoś ten rzęch porzucił. Wreszcie 11 lutego zainteresowała się nim policja

powiatu Humboldt. Dalej, ów list samobójczy, który wydawał się tak nieodparcie przekonywający Keseyowi i Mountain Girl, gdy wypalili kilka jointów i odlecieli w pasaże shellejowskiego *Weltschmerzu* – wydzielał aromat wpustu przyprawiający o zawrót głowy nawet proste gliny z Humboldt. Były W nim pewne niekonsekwencje. Jak choćby kawałek o ciężarówce rozbijającej się o sekwoję. Cóż – nawet dając w d_____ D_____ nie bardzo mógł poprosić faceta z holownika, no to, skoro przyciągnął mnie pan aż tutaj, co pan na to, żeby mnie wpakować na jakieś drzewo? Dalej, ten późny, radosny telefon do Paula Demmy do Santa Cruz. Demma naprawdę stracił rezon słysząc Keseya. Mnóstwo ludzi, mnóstwo ludzi, którzy go lubili, szczerze zmartwiło się, że nie żyje. A tu dzwoni do niego – żywy – z wiadomością dla Faye i w ogóle. Była sobota. Następnego wieczoru, w niedzielę 13 lutego, Demma wpadł do meksykańskiej restauracji Manuel's w Santa Cruz i zastał tam swego starego przyjaciela Boba Levy'ego. Dla podtrzymania rozmowy Levy pyta:

– Wiesz coś o Kenie?

– Właśnie do mnie *dzwonił!* – mówi Demma. – Z Puerto Vallarta!

A to ciekawe.

Tak się złożyło, że Levy był reporterem „Register-Pajaronian” z Watsonville, miasteczka w pobliżu Santa Cruz. Następnego popołudnia, w poniedziałek, główny tekst w „Register-Pajaronian” z Watsonville zaczyna się od doniesienia na pięć szpalt:

ZAGINIONY PISARZ ODNAJDUJE SIĘ W MEKSYKU

Następnego dnia, we wtorek, za sprawę wziął się „Mercury” z San Jose, dodając jeszcze trochę czadu w artykule zatytułowanym:

TRUP KESEYA NIEŹLE SIĘ BAWI W PUERTO VALLARTA

2 SEKUNDY, OCH TRUPIE MÓJ, TRUPIE!

TO NIE BLACK MARIA SZSZSZUUUUUUURA NOGAMI

PO SCHODACH NA DWORZE

DRZWI, DURNIU. TO GLINA GRAMOLI SIĘ PO SCHODACH NIKT NA TYM ŚWIECIE NIE WYDAJE TAKICH DŹWIĘKÓW

OSTRY GWIZD TELEFONISTAS

VW WYCOFUJE SIĘ W DÓŁ ULICY

TO NAPRAWDĘ JEST TO, NAPRAWDĘ TO

ŁAP ZA UCIEKINIERSKĄ KURTkę CORNEL WILDE,

GŁUPCZE! NIECH CI ZASKOCZY TEN MÓZG!

RRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRREWREWREWREWREW KRĘCI

SIĘ I W TYCH WIELKICH PIRAMIDALNYCH KOMÓRKACH

PRECENTRALNEJ KORY MÓZGOWEJ UNOSZĄ SIĘ FALUJĄ I PRZEŚLIZGUJĄ
ZWOJOWĄ WARSTWĄ CIARKI I CHICHOTY SYNAPSY JARZĄ SIĘ JAK
PRZYPADKOWE BEATLESOWE LAMPY BŁYSKOWE FIUUUU WYBUCHAJĄCE
GŁUPIO Z SILNICZKA CZŁOWIECZKA STRACIŁEŚ SWÓJ BŁYSK O POTĘŻNY
PRZEŻUWACZU ŚLINIARZU ŚPIEWACZU ŁYKACZU LIZAŃCU GRYZACZU
SSACZU MARSZCZO-BRWIARZU PATRZKU MRUGACZU PODZIWIACZU
KCIUKARZU SZTURCHAŃCZE OBYWAMSIĘ PALCOWNIKU PIERŚCIENIARZU
WNOSIEDŁUBCU WYMACHIEWICZU PIJAKU RAMIONPODNOŚNIKU
CIAŁAZGINACZU BIODROPRZEGUBOWCZE KOLANIARZU ZRYWACZU
BIEGACZU

ZERO::::: OOOOOOOOOOOOOO::::: UCIEKAJ!

Sukinsyn! Bieg wchodzi w końcu, zrywa się, chwyta kurtkę Cornel Wilde, wyskakuje
przez tylne okno, w dół dziurą, po rynnie – hop przez mur, ty draniu, w wiotkość dżungli –

AWWRRRRRAMMMANNNNNNNNNN

ATOCO!

Schyla głowę, ale wszystko widzi

ATOCO!

Tam na górze, w oknie, z którego właśnie wyskoczył BRAZOWO!

Czuje to. To wibracja w parasympatycznym włóknie odśrodkowym z tyłu gałki ocznej,
co mruczy

HRRRRRRRRRRRRRRRAMANNNNNNNNN

Jest ich dwóch jeden brązowy kluchowaty Mex ze spluwą ze złotą nakładką na kolbie
jeden krótko ostrzyżony amerykański łowca głów z FBI patrzą za nim gdy śmiga jak małpa
przez mur i do dżungli brązowy Mex dzierży spluwę ale mózg za tą twarzą zbyt brązowa to
rozsypana się w pył Mex ziemia aby się nią przejmować nie trafiłby nawet w szczającego
psa

GŁĘBIEJ

w to przytulone do siebie listowie z P.V. w rozpryskujące się orchidee i pomarańcze
człowieczek motorek chodzi teraz idealnie w potężnym galopie w głąb meksykańskich
dżungli z książki z obrazkami –

Chwilę później do mieszkania wchodzi Black Maria. Widzi, że nie ma Keseya i nie ma

uciekinierskiej kurtki Cornel Wilde. Znowu ten trip. Cóż, wróci, kiedy będzie gotowy, kiedy się sponiewiera, i przez jakiś czas będzie spokój. Kesey popadł w paranoję jak wszyscy diabli, ale to nie tylko to. On *lubi* grę w Ściganego. Zrywał się do dżungli, stary, i chował tam przez dwa lub trzy dni, palił mnóstwo trawki i w końcu mu przechodziło. To się zaczęło jeszcze przed telegramem. Opracowali całą sygnalizację. A raczej on opracował. Kiedy wody będą czyste, powinna wywiesić na sznurku w tylnym, wychodzącym na dżunglę oknie żółtą koszulę Żonka. Była to żółta koszula w czarno-brązowy deseń, lekko pedalska według Black Marii. Flaga na maszt i wreszcie Kesey włókł się do domu sponiewierany, zgoniony nieomal na śmierć, po dżungli czy po plaży.

A jednak to było miłe. Zwariowane, ale miłe. Nie spotkała jeszcze nikogo o takim magnetyzmie, jak Kesey. Promieniował czymś, czymś w rodzaju mocy. Jego myśli, to, o czym mówił, było bardzo skomplikowane, metafizyczne i tajemnicze, ale manery miał swojskie, niemal jak ze wsi. Nawet kiedy tchnął paranoją, wydawał się absolutnie pewny siebie. To było bardzo dziwne. Potrafił sprawić, że czuła się, jakby należała do czegoś bardzo... Dał jej nawet nowe imię, Black Maria. Była... Black Marią.

Jako dziewczyna w San Jose w Kalifornii czuła się tak, jakby wszystko, czym naprawdę była, przykryto licznymi warstwami gierki, nad którymi nie panowała. Na zewnątrz wszystko było w porządku. Jej rodzice byli nauczycielami, w San Jose żyło się wygodnie i pogodnie na modłę kalifornijskich przedmieść. Ale nikt nawet w połowie nie zrozumie, co to znaczy dorastać w tym kraju. Małe Wyspy Pingwinie pełne dzieci, które bawią się we Władcę Much, świat pigmejskich szczepów, niewidzialny dla isfahańskich oczu dorosłych, te małe diabły, szczepy ogierów, szczepy zboczów, nawet szczepy kapusiów, szczepy latynosów i bezpostaciowa masa reszty beznadziejnych przypadków. Dopóki – w okolicy nie ruszyła scena psychodeliczna, głównie trawka i kwas. Ledwo ruszyła, a nagle najróżniejsi... no tak, *piękni ludzie* zakwitli wprost z tych poliglotów, ludzie, którzy naprawdę mieli w sobie wiele, tylko że tłumili to narzucone im odwieczne, społeczne wyścigi. Naraz odnaleźli się nawzajem.

Pewnej nocy, na fazie, doświadczyła zjednoczenia, Wszystkojedni. W pokoju za nią paliło się światło, biło jej w plecy, rozszczepiało się na promienie i świeciło przed nią na boki, padało na podłogę i ściany szprychami światła rozdzielonymi smugami cienia. Pokój rozpadł się na jej oczach i podzielił dokładnie według wzoru wibrujących wiązek światła. Nagle stało się jasne, z czego składa się ten pokój, jak pasują do siebie jego części, jak pasują do siebie części *wszystkiego*, jakby ktoś rozebrał dla niej indyjski, składany pierścionek. Jasne było, jak *wszystko* pasuje do siebie i świat nie był już podzielony na bezsensowne gierki i kliki. To

tylko tak wyglądało, zanim poznało się klucz. A teraz byli już piękni ludzie, którzy znali klucz, i można było dzielić się tym doświadczeniem.

Matka dała jej pieniądze na drugi semestr na Uniwersytecie San Jose State i choć to na początku zabolę jej matkę, wiedziała, co miała zrobić. Wzięła pieniądze i ruszyła do Meksyku z kilkorgiem pięknej młodzieży. To było trochę bardziej skomplikowane. Znała Żonka z San Jose State i wiedziała, że wybiera się do Meksyku, do Mazatlanu, choć nie wiedziała o numerze z Keseyem, więc ruszyła za Zonkiem, bo jeśli piękni ludzie istnieli naprawdę, Zonk był jednym z nich.

Mazatlan stawał się właśnie ulubionym punktem spotkań acid headów na zachodnim wybrzeżu Meksyku. Jeszcze nie był miejscem dla prawdziwych turystów. Ci generalnie zdążali wzdłuż wybrzeża, aż do Acapulco. Jednocześnie Mazatlan nie był tak nieznośnie *mexical... żalony...* jak prawdziwa Kwasowa Centrala Meksyku, Ajijic nad Jeziorem Chapala. Te biedne, żalony wioski znad Jeziora Chapala, Ajijic, Chapala, Jocotepec, gdzie jezioro wysycha odsłaniając poczciwe błoto ssąco-cmokające, wyściełane liliami, całe w pianie szumowin, a przegrani amerykańscy esteci w sandałach snują się przejęci, czterdziestoosmioletnia cyganerka, podlizująca się młodym headom z nowej generacji wtajemniczonych. Bardzo żalony. To naprawdę przykre, kiedy amerykański luzak powiada, pieprzę to wszystko, zabiera się i zostawia pieprzone ogonowe płetwy i centra handlowe i napaloną na wojnę cywilizację i wyrusza, aby osiedlić się wśród prawdziwych ludzi, wśród wiary typu szczerzej wiary, w kraju, gdzie czuje się Ziemię, w Meksyku, do diabła z kafelkami w łazience – a potem *siedzi* tam, w Meksyku, wśród przegranych metysów w kucki, stary, jak tu szczerze i prawdziwie... i tak żalony, jak w piekle, żalony starzejący się popapraniec, który nie ma już innego wyjścia.

Ale Mazatlan – headzia scena była tam radosna i czujna. Więc zasiadła w Mazatlanie i napisała do matki list o Pięknych Ludziach...

I znalazła Żonka oraz, niespodziewanie, sławnego Kena Keseya i pięknych ludzi. Choć było coś takiego w tych pięknych ludziach... Mianowicie w Merry Pranksters. Słyszała o legendarnych Merry Pranksters, nawet jeszcze w San Jose. Kesey i Zonk mówili o nich bez przerwy, ma się rozumieć. Legendarny Babbs, legendarna Mountain Girl, legendarny Cassady, Hermit, Hassler i cała reszta. Miała pranksterskie imię, Black Maria, ale nie była jeszcze Prankstersem. A także drażniły ją choćby tylko kontury kesejowego świata. Prędzej czy później wróci do tych swoich Prankstersów...

Cóż... wystawić koszulę Zonkera, kiedy wody się oczyszczą. Wzdętą wiatrem, pedalską koszulę Zonkera. Niech sobie trochę posiedzi w tej swojej dzungli. Jeśli lubi zabawę

w Ściganego, dlaczego mu ją psuć.

SZZZZZZZZZZZZWAAAAAAAAAAAAAAP

giętkie, soczyste listowie P.V., Kesey przedziera się przez dżunglę i na drugą stronę drogi –

SAMOCZODY? JAKIŚ MEX I JAKIŚ AMERYKANIN W BLADOBEŻOWYM VW?

nie, tu nie ma żadnych samochodów, stary, i wtedy na drugą stronę drogi i w dół na skalisto-kamienisty brzeg oceanu, serce klekoce bez końca, zapada się w uciekinierską kurtkę Cornel Wilde, nasłuchuje

ŁUUUP!

fale biją o skały, to tylko mały urlopik w malowniczym P.V., gdzie morze bryka o szarej godzinie. Koncentruje się na fali – czyżby chodziło o analogię? – ale to pozbawia falę celu. Przy tej prędkości serce klekoce mu w tachykardii, a fala synchronizuje z czymś jeszcze innym, co ŁUUUPie o skały

BRANNGGGH

dźwięk blaszanych drzwi na drodze, niczym złowieszcze odgłosy blaszanych drzwiczek samochodu w *Hud*, co zawsze sprowadzały tragiczne wydarzenia – jak brązowy Mex i krótko ostrzyżony, *non-iron* Amerykanin tam w górze na drodze, oczy strzelają naokoło, Brązowy Mex sapie *Powiniennem – już – być – po – służbie – senior*. Kesey odwraca się w stronę morza, z kurtki wyjmuje notes. Pokazuje różową okładkę, jakby na dowód artysty bezcelowej fali, co rysuje bałwany fałdka za fałdką, jak Leonardo, który *musiał* być headem, na dowód wszystkich subtelnych instynktów, by tak siedzieć nad wodą i rysować te małe fałdki, kiedy woda wskakuje na plażę, a potem zaczyna toczyć się z powrotem do morza i te subtelne małe fałdki, które pienią się na ołowianej krawędzi wody, wszystkie je narysować, fałdka za fałdką, jak methenaminowy head podłączony do wielkiego Boskiego Wirnika. Fale, fale, wtem

BABUUM!

najpierw – oni do niego STRZELAJĄ. Idą na całość.

OSTRA AKCJA!

mamy spluwy i prawo, tu podpisane na tej kartce, jeden ruch, a rozwalimy ci ten pieprzony łeb, a ty *już się ruszyłeś*, Kesey –

OSTRA AKCJA!

BABUUM!

ale nic się nie dzieje. Cisza, jeśli nie liczyć fal.

TO KOMPLETNA PARANOJA, HONDO

zresztą, dlaczego mieliby wysadzać cię w powietrze z mamucich spluw. To muszą być robotnicy, którzy robią coś z dynamitem. Więc skrada się ku drodze i to rzeczywiście są robotnicy, pocą się i stękają, a zielone liście łopocą na zboczu wzgórza. Usiądzie tu i popatrzy sobie, jak oni wysadzają dynamitem

PEWNIENIE

patrz sobie na dynamitarów, a tymczasem z każdego samochodu *gringos*, co skręca tu z nadbrzeżnej drogi, wychyla się matrona, turystka z kraju Baskina-Robbinsa, i powiada: „Hej, Kochanie, przecież to Ken Kiiziiii...”

Z powrotem do dżungli, Cornelu Wilde. Serce wciąż łomocze na granicy migotania przedśionków, poprzez bujne, cieniste, ociekające wilgocią czeluście dżungli. No tak, proszę pana, popatrzmy no tu, a to co znowu. Szałas o trzech ścianach, coś w rodzaju chatki drwali, z pryczą w środku i małym zapasem mango, papai i jakichś bladych, drobnych owoców. Wyciąga się na pryczy, rozpina rozporek, aby przewietrzyć spocone marakasy, sięga do kurtki, wyjmuje trzy kipy, owija je liściem w stożek i zapala. Obiera owoc, owoc posłusznie cieknie na białą, odkłada go.

PULAPKA NA UCIEKINIERÓW W DŻUNGLI

cudowna, mała, cicha przystań, która wsysa do środka, szałas, prycza, potulny białomleczny owoc do jedzenia, coś w rodzaju jointa, och, gdyby tak znaleźć się z powrotem w krainie Baskina-Robbinsa, tylko raz stanąć twarzą w twarz z niewyczerpanymi, beżowymi kadziami z lodami, trzydziestoma i jedną decyzją co do smaku, szpiczasty rożek, czy raczej kubeczek

PARANOJA!

ale to prawdziwa dżungla, Majorze. Muchy o podwójnych skrzydłach, *Anapholes* o skrzydłach cętkowanych, *Culex tarsalis*, *Phlebotomus*, po którego ukąszeniu zapada się na ośmiodniową gorączkę i orientalne wrzody, zielonogłowe końskie muchy, co roznoszą tularemie, podobnie jak *Loa loa*, roztocza, tse-tse, meksykańskie pchły, pluskwy, tropikalne pchły piaskowe, mrówki aksamitne, wszy łonowe, co pełzają od jaj, przez brzuch, pod ramiona i dalej, aż do rzęs, z elegancką działką meksykańskiego tyfusu, ropne gąsienice, chrząszcze kantarydy, indiańskie pluskwy, kleszcze, świerzbowce dobre na swędzenie i rachityczną kiłę, żeńskie kleszcze z wybrzeża Pacyfiku, które chowają się u nasady włosów na głowie i ssą krew aż po śmiertelne wzdęcie, paraliż zaczyna się od palców stóp, czy dotrze do płuc, zanim sukinsyn, jak wielka, krwawa kiełbasa, odpadnie, worek krwi na malutkich

nózkach, co wiercą się jak włoski na robalach

DDT!

schyla się, wyciąga z kurtki puszkę z DDT i zaczyna posypywać ziemię naokoło pryczy, buduje potężną strefę obronną przed tym drobiazgiem z dżungli – co jest bardzo śmieszne, jeśli się nad tym zastanowić – na czworakach walczy na śmierć i życie z mikroskopijnymi maleństwami, podczas gdy

ONI

okrażają go, aby zamknąć na pięć, osiem, dwadzieścia lat... przycisnęło go wreszcie do muru prawd jego wiary. Wiary w to, że człowiek powinien ruszyć się z bezpiecznego środka ku zewnętrznym skrajom; że to właśnie wyjęty spod prawa bandyta, jeszcze bardziej niż artysta, penetruje granice życia i że – Film::: że stając się totalnie Teraz i poświęcając totalną Uwagę, aż wszystko popłynie razem w *synch*, wobrażając sobie ich wszystkich do Filmu, siłą woli zdeterminuje ów przepływ i opanuje wszelkie dżungle, duże i małe

PRZEDOSTATNI JOINT W CAŁYM MEKSYKU

wyciąga z kieszeni i zapala. *Może dać sobie spokój z trawką na jakiś czas.* Pe-e-e-ownie.

A TERAZ UWIERZ W TEN SWÓJ KIT O ODMIANIE POPRZEZ AKCPETACJĘ. UWIERZ W TO! ALBO BĘDZIE PO TOBIE, NAPRAWDĘ, BĘDZIESZ JAK ŻYWY TRUP, CO CICHNIE PRZEZ WIEKI, AŻ W KOŃCU MILKNIE, JAK GŁOSY MAMROCZĄCE W KATEDRZE!

A teraz, skoro już zwróciłeś na mnie uwagę – jeśli usiądzie w zupełnym bezruchu, gorączka cichnie mu w uszach, może się skoncentrować, poświęcić totalną uwagę, ach, jaki równy, równy, równy ten świat, płynie *teraz*, żadnych przeszłych strachów, żadnych przyszłych koszmarów, tylko *teraz*, *ten* film, wibrujące, równoległe pręty, i *czuje*, jak wpadają w przepływ, jego przepływ, każda mucha, mrówka aksamitna, wszystkie tyfusiaste pchły i wszy, każda pluskwa i kleszcz, każda jaszczurka, kot, palma, cała moc najbardziej starożytnej z palm w niewoli jego woli, a on jest odporny...

22. ;Diablo!

Mountain Girl wytrzymała jakoś razem z Babbsem, Gretch, Walkerem – w imię tej wielkiej idei – całkiem szczerze – ale ilekroć próbowała rachunku sumienia, zawsze wychodził jej Kesey. Mountain Girl była w prawie ósmym miesiącu ciąży. Autobus, Film utknęły w totalnie martwym punkcie, pogrążyły się w bagiennym trzęsawisku. Pewnego dnia

pocztą przysłała paczuszka, z Meksyku, taśma, od Keseya, dla Mountain Girl. Z jego głosem. Prawie nic nie rozumiała z tego, co mówił, tak marne było nagranie – tylko tyle, że był gdzieś w jakiejś dżungli, miał paranoję jak wszyscy diabli i palił mnóstwo trawki.

O DROGI UMARŁY!

Wtedy Babbs postanowił, żeby ruszyć autobusem do Meksyku. Sami mieli lekką paranoję w związku z aferami z powodu Próby Kwasu. Dwa dni po tym, jak rozniosło się, że Kesey jest w Puerto Vallarta, stara dobra kalifornijska prasa zakablowała następną sensację: KUMPLE KESEYA BALANGUJĄ W LOS ANGELES NA LSD – dzwoni na alarm po Próbie w Watts. Ale przede wszystkim nie mogli już wyrobić. Ruszmy z miejsca ten cholerny autobus, głównie o to chodziło.

Mountain Girl musiała przejść jeszcze jedną ciężką próbę. Miała stanąć przed sądem w San Francisco, w rezultacie nalotu na dach oskarżona o posiadanie marihuany. Cały syf, od którego Prankstersi uwolnili się przez lata żmudnej inicjacji, cały ten syf lał się teraz jak kęsy lawy. Musiała tam siedzieć, z brzuchem jak beczka, jak jeniec wojenny w klatce z bambusa, podczas gdy normalny świat wystawiał ją na pokaz jak zdobycz, cmokał, robił wymówki, zrządził, a potem kręcił głową i trochę nad nią popłakał. Znarkotyzowana, uwiedziona i porzucona, biedne, niegodziwe dziecko. Nawet wtedy miała z tego nieco pranksterskiej frajdy, choć żeby jakoś z tego wyjść, musiała zachowywać się dość przyzwoicie i pozwolić im rozegrać ich grę. Fantazja, jaką mieli dla niej, to nowa jutrzienka losu nieszczęsnej dziewczyny, a nie ostra jazda do Meksyku, ale to była ich fantazja.

Mountain Girl stawiała się w sądzie 20 marca, w czerwonej sukience dziesięć centymetrów przed kolano, a było to na długo przedtem, zanim minispódniczki widać było na każdym kroku, i ciężarna jak jasna cholera. Wkroczyła na salę sądową wsparta na ramieniu Cavaliere Hasslera. Hassler był wspaniały od początku do końca całej sprawy. To jemu zawdzięczała psychiczną równowagę. Hassler przyszedł z nią do sądu ubrany w zieloną welurową koszulę, żółte spodnie z elastiku *boucle* i czerwone wysokie buty, a kiedy łąsząc się o jakieś wyciskające łzy kawałki zjawili się reporterzy, wpuścił ich tak rzetelnie, że aż pięknie.

– Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy – powiedział spoglądając spod swych loków Prince Valiant, przejęty jak przewodniczący samorządu studenckiego – aby postawić Carolyn na nogi i wyrwać ją z tego przestępczego życia – jako że Carolyn Adams, rzecz jasna, to była fantazja, z której znał ją Wysoki Sąd. – Zamierzam odegrać w jej życiu rolę mocnej, stabilizującej siły – mówił mieniąc się na żółto i zielono. – Ona miała dotąd błędne poglądy na wiele spraw.

– Moje błędne poglądy mogą dotyczyć także ciebie – powiedziała Mountain Girl. Wszyscy świetnie się bawili.

Wyciskające łzy kawałki to fantazja, jaką mieli dla niej wszyscy w sądzie, w tym także jej adwokat. Tak, jakby przyjrzeliby się jej, zastanowili i hmmmmmmmmmm ta biedna mała uciekinierka, której zawrócono w głowie, dwudziestolatka, dziecko jeszcze niedawno, rozumiecie, od ponad siedmiu miesięcy w ciąży, uwiedziona przez tego demona Keseya, który zostawił ją samą z całą odpowiedzialnością w sprawie o narkotyki, a także porzucił ją z nie narodzonym dzieckiem. Fuuuuuuuujjjj, przyznał oskarżyciel, przyznał adwokat, przyznał Wysoki Sąd. I tak toczyła się gra w Sprawiedliwość. A gdzież był ten demon Kesey, który uciekł tak pośpiesznie, dysząc koksem z każdego nozdrza – wyszło na to, że wszyscy chcieli być dla niej dobrzy, wskazując na naukę, jaka płynie z kesejowej nieszczemności.

Jej adwokat, Steven Dedina, powiedział: – Carolyn nie jest ćpunką, nie jest nałogową narkomanką. Jej jedynym nałogiem jest chroniczne przedawkowanie tęsknoty za osobami, które są z dala od niej. Gdyby nie ten szczególny nałóg, oskarżona nie stałaby tu teraz.

Tak więc 22 marca Mountain Girl została zwolniona z grzywną w kwocie 250 dolarów za posiadanie marihuany. Jeśli jednak Kesey zostawił ją w sytuacji krytycznej, nawet przez milion lat nie zrozumieliby, dlaczego była taka krytyczna.

Na wyprawie do Meksyku autobus okazał się dramatem w najstraszniejszym wydaniu. Mountain Girl, w tak poważnym stanie, ledwie się trzymała i powstrzymywała żółć, kiedy podskakiwali, kołysali się i toczyli przez pustynię. Czuła się jak stukilogramowe jajo. Ale najważniejsze było to, że znowu byli w drodze. Wszystko było lepsze od tego, przez co ostatnio przeszła. A to teraz było czymś naprawdę szczególnym. Co trzydzieści kilometrów wydawało się, że autobus się rozleciał i Babbs pocił się nad nim. Wszystkie wibracje na zewnątrz były złe. Głównie zwłoki. Karłowate kaktusy, brunatny, cuchnący łajnem pył i wzdęte zwłoki; psy, kojoty, pancerniki, jakaś krowa, wszystkie o wzdętych bebechach i martwe, spuchnięte i martwe; Babbs, Gretch, Faye z dziećmi, Walker i Mountain Girl.

Tym razem fantazję tę wymarzył Zonker. Zonker skontaktował się z nimi i Hagen pojechał już jakimś starym samochodem. Teraz zaś autobus zmierzał na sekretną randkę w Mazatlan. Kesey prysnął do Mazatlan po wielkiej trwodze w Puerto Vallarta.

W Puerto Vallarta, nawiasem mówiąc, miał wystarczające powody do obaw. 16 lutego, dwa dni po publikacji artykułu w kalifornijskiej prasie, Szef Arturo Martinez Garza z Mexican Federales zarządził w Puerto Vallarta poszukiwania. Zaczepiali na ulicach wszystkich dziwnie, cyganersko wyglądających Amerykanów itd. Ale Kesey zdążył uciec z

powrotem do Mazatlan. Zonker zaaranżował *rendez-vous* na plaży w Mazatlan, tego-a-tego dnia, o tej-a-tej godzinie.

Babbs poganiał autobus poprzez upstrzony zwłokami horyzont dniem i nocą, zawzięt się, aby zdążyć na czas, a autobus psuł się raz po raz, wszyscy chorowali, nie tylko Mountain Girl; ale gonił, jakby to była sprawa życia i śmierci. I wreszcie Mazatlan, morze, wielki łuk zatoki – udało się. Pod prąd i to obrzydliwy, przerażający prąd, ale *udało się*, doturlali się na umówioną randkę – a tu Keseya ani śladu. Ani Zonkera, ani Hagen. To przesada, konkretna, łatwa do przewidzenia popelina, po tym wszystkim. Trochę ryzykowne było siedzieć tak przy plaży w porażającym autobusowym dziwadle, jakiego Meksyk jeszcze nie widział, ale siedzieli, sponiewierani, i przyglądali się, jak mijają godziny. Robili niesamowite wrażenie na Meksykanach, którzy nigdy czegoś takiego nie widzieli. ¡Diablo!, powtarzali. Kobiety chowały dzieci w spódnicach. Cała banda miejscowych zebrała się wokół autobusu, szczyrzyła fioletowe dziąsła w odrażających, tubylczych uśmiechach i gapiała się na czubków.

Hiiiiiiii! – jakiś stary samochód, bez szyb sukinsyn, przejeżdża obok zwalniając. Twarz w oknie kierowcy uśmiecha się z niedowierzaniem – Hagen. A stara, siwa głowa, co ponad brzegiem okna zerka z tylnego siedzenia, zerka nadzwyczaj ostrożnie – czy to *może* być... Hagen zatrzymuje się i wysiada. Potem nadzwyczaj ostrożnie otwierają się tylne drzwi i próg przekracza jakiś siwowłosy jegomość z głową przechyloną na bok, bije od niego zaskoczenie i trwoga, wcale nie cieszy się z tych Diabło zachwyconych mas.

Ma na sobie tandetną, spraną, spłowiałą, sportową koszulę i spodnie z siedzeniem jak balon. Chodzi jak hulaka z miejskiego teatru. Wygląda o dziesięć albo piętnaście lat starzej, jak poczciwy, stary tatuś-pracusz na trzytygodniowych wczasach w Meksyku. *Ecce Ścigany*.

Ooozeeszzyyy, to jakiś pokręcony absurd, to sekretne *rendez-vous*. Ten autobus świecący Day-Glo na plaży w Mazatlan, masy Diabło pohukujące jak na walce kogutów, Mountain Girl, piękna i pełna, z włosami do pasa, ufarbowanymi na żółto od ostatniej Próby – można było sprzedawać bilety.

Patrzysz na Nowego Superściganego, Mountain Girl: Steve’a Lamba – czterdziestopięcioletniego, siwowłosego dupka. Legalny dowód tożsamości: prawo jazdy Zonkera ze Steve’em Lambrechtem przepisany na Lamba i datę urodzenia zmienioną tak, aby miał lat 45 zamiast 25. Łagodny baranek pomiędzy ludźmi, Steve Lamb, czterdziestopięcioletni reporter, palant i ornitolog – amator, prezenter stacji radiowej KSRO, Potężne 590 na waszych skalach. Z magnetofonem pod pachą, tak jest, proszę pana, do nagrywania głosów ptaszków. A także nigdy nie wiadomo, kiedy zdarzy się coś godnego lokalnych wiadomości, więc pilny reporter jest zawsze w pogotowiu, nawet na wakacjach.

Pocziwy, stary Steve Lamb o łagodnym sposobie bycia poznał sekret niewidzialności, który polega na tym, aby czołgać się koleiną, po samym najohidniejszym dniu tej przepastnej drogi, którą społeczeństwo wykopało dla wszystkich, którzy jak należy lękają się jego potęgi, O Potężne 590.

Choć wydaje się, że może szkoda zachodu, gdy autobus zaczyna świecić w meksykańskiej szarówce. ¡A niech to szlag! ¡Diablo! ¡Cosmo! Weźmy to z byka, tu w krainie Szczura! Wokoło błyskają pranksterskie spojrzenia. Pomalujmy go tak kolorowo i tak jaskrawo, żeby go nie zauważyli! Kesey z Mountain Girl, z Babbsem i Gretch, z Faye i dziećmi stają w Szczurzej panoramie... a z tyłu za tym kręgiem, ze starego samochodu wynurzyła się właśnie drobna dziewczyna o meksykańskiej urodzie, z czarnymi, długimi włosami... Black Maria wpatruje się w morze.

23. Czerwona fala

To ta pieprzona czerwona fala, stary, to od niej wszyscy w Manzanillo są tacy spięci. Tropik, Zwrotnik Raka, 45 stopni w cieniu, powietrze w bezruchu, tłum komarów i ta czerwona fala, co zabija rybę. Tysiące, dziesiątki tysięcy pieprzonej śniętej ryby pływają brzuchami do góry na czerwonej fali. Fetor nie do uwierzenia i coś takiego w powietrzu, co bije z trzewi oceanu, że aż szczypie w oczy. Niektórzy czują to w płucach jak grypę. Nie ma większego nieszczęścia niż czerwona fala, bo my tu w Manzanillo żyjemy z rybołówstwa. Chyba że ci zwariowani Amerykanie. Na domiar złego, tak jakby z niej właśnie się wzięli, z czerwonej fali, ci zwariowani Amerykanie. Plaga cholerna, kręcą się w piekielnym, zakazanym autobusie. Przyjechali na rynek, koło wielkiego drzewa *jaracanda*, w piekielnym autobusie, pomalowanym w zwariowane, fosforyzujące kwiaty cholery, jaskrawsze od czerwonych pąków wielkiego drzewa *jaracanda* w Manzanillo.

CZERWONA FALA!

a stare kobiety i dzieci powiadają ¡Diablo! i żegnają się znakiem krzyża, co zwariowanym Amerykanom wydaje się bardzo śmieszne. Nam jednak nic a nic.

Największy z nich, uśmiechnięty kpiąco od ucha do ucha, o amerykańskich oczach jak żarówki i w kolorowych portkach, przychodzi do nas na targ z jasnowłosą kobietą, którą nazywa Gretch, i ciągnącą się za nimi czeredką jasnowłosych dzieci, rozgląda się wokół wyszczerzony, aż upewni się, że cały świat go widzi, a wtedy wyrzuca w górę swoje małpie ramiona, wywraca oczami i krzyczy:

„¡JEDZENIE! ¡JEDZENIE! ¡ZAPROWADŹCIE MNIE NA ULICĘ JEDZENIA!”

– Ma pan na myśli *targ, senior?*

Wtedy szczerzy zęby w uśmiechu i wpatruje się w biednego mestizo z takim skupieniem, jakby ten właśnie wygłosił najbardziej wnikliwą uwagę w całej historii Meksyku i powiada:

– Taaaak! Taaaak! Właśnie! Właśnie! Właśnie!

I cały świat schodzi im z drogi zdziwiony, kiedy ten dziwaczny pociąg wdziera się na targowisko.

Sporo gadają o tych wariatach. Wielu myśli, że to Niemcy, uciekinierzy z jakiejś mistycznej sekty. Mylą ich dziwny język z niemieckim. Niektórzy uważają ich za ukrywających się amerykańskich gangsterów. Ale mnie się wydaje, że oni wzięli się z czerwonej fali.

¡AGUAJE!

Naprawdę! W głębi oceanu, tam gdzie woda miała kiedyś barwę najgłębszej błękitnej zieleni albo, w najgorszym wypadku, żółtawej zieleni w pobliżu plaży, pojawiły się wielkie, czerwone smugi, jakby ocean przecinał ciągnący się całymi milami kanał, gorący i mętny, gęsty jak śluz. Ryba śnie niemal natychmiast, kiedy się tam dostanie. Widziałem, jak wpadły w to kielbie. Wpływały z wody błękitnozielonej w czerwoną falę i zaraz przewracały się na grzbiet jak sparaliżowane, potem walczyły, aby wrócić do normalnej pozycji, potem miotały się jak zamroczone, potem rzucały się ku powierzchni, tam trzepotały, połyskiwały w słońcu, a wreszcie snęły, znowu brzuchami do góry, sparaliżowane, zanurzały się i w końcu, po jakimś czasie, wypływały z powrotem, na pewno martwe, dołączając do wielkiej, śmierdzącej ławicy śniętych ryb, śniętych krabów, śniętego okonia, kielbia, nicianego śledzia, makreli, krewetki, a nawet *barnakla*, *coquiny*, *sailfisha*, marlina, morświna, żółwia; wielkich glutów cuchnącej, kleistej tkanki unoszącej się przerażająco martwą ławicą na czerwonej fali. Uśmierconej –

– przez co? Przez plankton. Wszyscy wiedzą, że to plankton jest przyczyną czerwonej fali – jeśli można to nazwać przyczyną. Ponieważ plankton jest tam zawsze, miliony niewidocznych żyjątek, tysiące na szklankę wody. To one odbijają błękitną zieleń i nadają oceanowi jego barwę, choć gdzie indziej odbijają czerwień i sprawiają, że Morze Czerwone jest czerwone, bez szkody dla jakichkolwiek zwierząt, Morze Cynobrowe cynobrowe, a Jezioro Krwawe to różanoczerwone mleko siarczane. Ale tu, w sielskiej zatoce Manzanillo Oceanu Spokojnego, mały, niewidoczny... hmm... dinobiczownik, *Gymnodinium brevis*, jedna komórka wszystkiego i dwa bicze, które biją i miotają się dookoła, zaczyna się mnożyć. I nagle wygląda tak, jakby eksplodował, gdyby przyjrzeć mu się pod mikroskopem, tak jak swego czasu robił to Karol Darwin, i dzieli się na dwa dinobiczowniki, a one dzielą się na

cztery i tak dalej, w postępie tak gwałtownym, aż w istocie jest ich dziesięć milionów w szklance wody, a woda robi się czerwona od ich czerwonego pigmentu, który odbija światło, aż w rezultacie miliony tych pieprzonych eksplozji sączą do wody truciznę tak potężną, jak akonityna – ale *dlaczego?* – *dlaczego zaczęło się to właśnie teraz*, ta jadowita eksplozja planktonu w –

– jeden wielki, nieśmiertelny Drobnoustrój Grupowy, długi na dwadzieścia pięć kilometrów i szeroki na pięć, nieśmiertelny, naprawdę. Ten pierwszy mały *Gymnodinium brevis* wciąż jeszcze żyje, równie spokojnie co 128-miliardowy, a czerwona fala dalej się rozszerza. Ponieważ mnożą się poprzez prosty podział komórki. Wielkie marliny zdychają, także morświny, wszystkie morskie stworzenia zdychają i rybacy zdychają, ale *Gymnodinium* jest nieśmiertelny, rodzony brat każdego *Gymnodinium brevis*, jaki kiedykolwiek żył, bez przeszłości, bez przyszłości, tylko Teraz, a w dodatku nieśmiertelne, małe dranie. Żadnej przyczyny, senior, żadnego punktu początkowego w czasie, po prostu punkt, w którym twoja gra skrzyżowała się z 256-oktylionowym *Gymnodinium* i wszystkimi jego przodkami i następcami w poczciwym Manzanillo i poczułeś się nieswojo. Wiemy tylko tyle, że wczoraj ryba była, a dziś ryba jest śnięta, a trujący plankton i zwariowani Amerykanie są żywi, a my jutro musimy znaleźć przyczynę i lekarstwo – chyba że *możliwe* jest, że wczoraj i jutro to tylko jeszcze trochę Teraz, rozciągnięte na dwadzieścia pięć kilometrów wzdłuż i pięć wszerz nieśmiertelnych –

Wtedy, Teraz, Ezaw, Judyta, Bashemath, Reuala, zawieszono w śluzie; co za koszmar. Mountain Girl leży na łóżku w swoim pokoju; gapi się w sufit, oczywiście otynkowany po partacku, i wszyscy tkwią zawieszeni w czterdziestopięciostopniowym śluzie. Ona, Kesey, Faye, ich dzieci, George Walker, nowa laska Black Maria, mają dom przy plaży, nową Szczurzą konstrukcję w stanie surowym, żużlobeton i gips, dziurę da się w tym wydrapać gołymi rękami. W odległości pięćdziesięciu metrów, po drugiej stronie plażowej drogi, Szczurza Buda, czyli była fabryka pokarmu dla psów Purina Chow, *aha*, zamieszкана przez Babbsa, Gretchen Fetchin i dzieci Babbsa, ciekawski budynek, już bez Puriny Chow, w środku błyszczący kafelkami. Wszyscy ugrzęźli jak muchy w czterdziestopięciostopniowym śluzie Manzanillo, gdzie czerwona fala poważnie zasmrodziła okolicę, Hagen z nogą w gipsie, Julius Karpin z Berkeley, Najtwardszy Head Zachodu, z dalszego kręgu Prankstersów, *też* z nogą w gipsie. Wszelako dla tych właśnie powodów wybrali Manzanillo, izolowane, w lecie mało Amerykanów, z dala od turystycznych szlaków, bezpieczna wyspa na pustyni. Ugrzęźli w spiętym mieście, żadnej drogi na północ i żadnej na południe, dziewięć czy dziesięć godzin w piekle autobusem do Guadalajary, jedyna droga z powrotem do reszty

świata; za dnia nie da się wyjść i zająć czymkolwiek z powodu upału, nocą nie da się wyjść z powodu komarów; w dżungli za Szczurzą Budą pienia się kokosowe palmy i najróżniejszy dżunglowy fajans, śwędzący, pełzający, ruchliwy jak zawszona pachwina, egzotyczne robactwo wszelkiego rodzaju, płonący od żadeł, cały w bąblach komarzy raj, gdzie skorpiony znaczną liczbą wyłażą z utartego na pył łajna, podobne do krabów tak samo, jak mendy podobne są do krabów. Sterczeć bez ruchu w tym gównie i głównie czekać, na co, na szmalec przede wszystkim, dzień w dzień u ołtarza Telegrafo na błagalnych modłach o pieniądze ze Stanów; adwokaci Keseya mieli skombinować pieniądze i codziennie ktoś, jak ta laska, którą Kesey poderwał, Black Maria, śmiga do Telegrafo i przedstawiając się pseudonimem pyta o telegrafo od pewnego adwokata z San Francisco albo od adwokata z Mexico City, którego znaleźli prawnicy Keseya ze Stanów, aby wyprostował sprawy z policją meksykańską, nazywał się Estrella, czyli Gwiazda Prawa? Kto to, do cholery, wie z nas zbiegów tu na Diabelskiej Wyspie, zero poczucia czasu, z USA docierają tylko niewiarygodnie złe wiadomości; Ron Boise, który cierpiał na reumatyczne dolegliwości serca, zmarł na jego atak w wieku lat trzydziestu dwóch; Norman Hartweg miał wypadek w drodze na wschód z Marge the Barge i Evanem Engberem i prawie kompletnie sparaliżowany trafił do szpitala w Ann Arbor; rzeczy niewiarygodne, jak z Karmy czasu i śmierci, a tu *nie ma czasu*, tylko śmiertelnie nieruchome teraz rozciągnięte na wieczność wstecz i na wieczność w przód.

Więc Mountain Girl leży na łóżku i gapi się poprzez fale upału unoszące się w czterdziestopięciostopniowym śluzie Manzanillo, nie jest na fazie, może lekko jej odbiło, ale nie na fazie, nie, a nawet jej nie odbiło; to tak, jak z kwasowym zagięciem czasu, jakby ich wszystkich na stałe wtrącono z powrotem do czasu pierwotnego, na stałe; Kesey nigdy nie będzie mógł wrócić, zatrzasnęliby za nim kraty na dobre, co znaczy, że ona także nie będzie mogła wrócić, no bo jak? Z powrotem do bambusowej klatki, żeby nad nią cmokano, prawiono jej kazania i roniono łzy, aż w nich utonie? Żadne z nich nie może wrócić, bo nie ma do czego wracać, teraz wszystko jest tu, w Meksyku, tak jak Kesey przepowiedział wtedy w La Hondzie, a ona zaczęła uczyć się hiszpańskiego, którego jednak nie zna tak naprawdę żadne z nich, z wyjątkiem Black Marii; stale w kokonie, odcięci od zacnych, spiętych *nativos*, tyle że tym razem to Prankstersi są ludem prymitywnym, zmuszeni do odwrotu do własnych zasobów, żyją od nowa życiem człowieka pierwotnego z wędną nadzieją na dostatni cud z poświęcanego Telegrafo, który ewentualnie przerwałby klątwę... sprzed 3000 lat.

Trzy tysiące lat temu Mountain Girl schodzi do wody, cichej wody, na codzienne pranie ubrań, pieluch i wszelkiego bądziwia, co dzień chodzi w falach upału, pod słonym słońcem, poprzez karłowatą trawę i sproszkowane łajno, aby prać odzież w wodach... Nilu, a

nad brzeg rzeki, do kąpieli, przysła córka Faraona, jej pokojowe kroczą za nią brzegiem, a kiedy zobaczyła ową arkę we flagach, wysłała po nią swoją służkę; tak jakby schodząc ku rzece obserwowała samą siebie, dziewicę sprzed 3000 lat, jak schodzi do rzeki w tym samym czasie, gdzieś na... Bliskim Wschodzie, tak się składa, że to zawsze jest Bliski Wschód, ze starej ilustrowanej Biblii, 45 stopni, sitowie i odwieczny koszmar z praniem, do czytania wyłącznie *The Nova Express* Williama Burroughsa, Kesey ma Nietzschego i Dostojewskiego, no i Biblia; każdy przerzuca *The Nova Express* w parę godzin, ale nad Biblią można ślęczyć... i stopniowo, prawie wcale o tym nie wspominając, nie łapiąc fazy nawet, znajdują się w innym wymiarze czasu, biblijny szczep, biblijne kobiety szczepowe myją się w rzece, żyją jak dzieci Izaaka i Rebeki z Pierwszej Księgi, mówią o sobie jak o biblijnych postaciach, każde z nich wybrało sobie postać z Biblii i wcieliło się w nią, *naprawdę*, to jest 3000 lat temu, teraz rozciąga się wstecz w nieskończoność do... samego Genesis, do Ezawa; Kesey to Ezaw, ten kudłaty, a Ezaw był przebiegłym myśliwym, człowiekiem przestroni, a Jakub był człowiekiem skromnym, zamieszkałym w namiocie; 13. Czy wychowywali się tak samo? Opisz ich. – Ezaw był biegłym myśliwym, a Jakub był spokojnym człowiekiem, domatorem; 14. Który z nich był pierworodnym synem? – Ezaw; 15. Czy przywiązywał wagę do swych wrodzonych praw? Dowód? – Sprzedał je, głodny i omdlewający, Jakubowi za miskę plamistej fasoli czy innej strawy. A więc tysiące, dla doczesnej przyjemności, wystawiają na ryzyko swe dusze lub je tracą; 16. Komu sprzedał je i za jaką zapłatę? – Patrz nr 15; 23. Kogo Ezaw wziął sobie za żony? – Judytę i Bashemath z Hittich. Gen. 26:34.; 24. Czy jego rodzice uznali jego wybór? – Nie, martwili się z tego powodu, a Bashemath powiła Reuelę... 3000 lat temu, ponieważ nie ma czasu w tym miejscu, wyłącznie wieczne teraz rozciągnięte do wieczności na cały świat i całe jego dzieje, ponieważ świat szuka swego własnego poziomu, czyli poziomu morza, a wszystkie morskie żywe stworzenia pomrą, tylko *Gymnodinium brevis*, któremu obcy jest czas z wyjątkiem chwili teraz, będzie żył wiecznie, jak usłyszeliśmy od ludzi dawnych. Ziemia jest okrągła, ale powiadam wam...

Kesey leżał w hamaku na podwórku *casa grande*. Black Maria, w obcisłych czarnych spodniach, wciąż pogrążona w myślach, wpatrywała się w morze odwrócona do nich plecami, czym wszyscy czuli się urażeni. Od czasu do czasu chichotali z cicha, od czego oczywiście robiła się jeszcze bardziej nieswoja. Julius i Mike Hagen obaj kazali sobie pomalować gipsowe opatrunki Day-Glo w najbardziej niesamowite i fantastyczne wzory z autobusu. Kesey leży w hamaku i czyta Nietzschego::: kto by pomyślał, że ten stary, wąsaty Walkirian był takim headem, tak za kisiem...

I małe kręgi wewnątrz kręgów. Hagenowi wciąż przydarzały się dotkliwie kontuzje. W Barcelonie miał wypadek motocyklowy, nie zarzucił jazdy i skończył z trwale chromym ramieniem. W Kanadzie raz po raz to samo. A teraz w Meksyku. Ze złamaną nogą w gipsie w Day-Glo poczuł coś... przerażającego... pod nim i wyszedł kleszcza, rozciął gips i znalazł jeszcze dwa, a także ropę sączącą się pod gipsem. Uszczelnił całą sprawę owijając gips taśmą klejącą.

– Dlaczego zakleiłeś tą taśmą cały swój śliczny gips, Mike?

– Szukałem kleszczy.

Parę dni później nie mógł już dojść nawet do Szczurzej Budy. Nie pozostało nic innego, jak poddać się Szczurzej opiece Hospital Civil.

– Julius, daj mi trochę speedu, żebym mógł się dogadać z tymi sukinsynami.

Kesey próbuje go rozweselić zapowiadając, że może sfilmować zbliżający się ślub Mountain Girl i George'a Walkera.

– Słuchajcie! – powiada Hagen. – Może udałoby się nam namówić tego faceta, *mayora*, żeby przeprowadził ceremonię właśnie tu.

Hagen zrywa się i kuśtyka wokół na nodze w gipsie, pstrykając palcami. *Dexedryna zaczyna buzować i laskotać biedaka pod gipsem.*

– Odpieprz się – powiada Mountain Girl.

– Z mnóstwem kwiatów!

– Odpieprz się.

Mountain Girl wygląda jak dorodna, pyszna Amazonka – w bardzo złym humorze, z niesamowitymi żółtymi po ostatniej Próbie Kwasu włosami do pasa, z małym ciemnym krążkiem na czubku, jak mycka, gdzie u korzeni włosy odrastają w swej naturalnej barwie. *Tak jak Mike, tak długo jak to możliwe, bronić się będzie przed znieawidzonym, światowym kitem. Od trzech tygodni wiemy, jak bardzo chciałaby być legalnie zamężna, aby jej dziecko miało cywilne prawa w Meksyku i że od dziewięciu miesięcy wie, kiedy jest ostatni dzwonek na to małżeństwo.*

George, Faye i Zonk wracają z targu z jedzeniem, George ubrany w niebieskie, welurowe spodnie Zonkera i koszulę w szerokie pionowe pasy pomarańcza i bieli od Gretchen Fetchin, buty do kolan, które pomalował w ukośne pomarańczowe i białe paski, a we włosach ma pomarańczowe pędzelki po tlenieniu na Próbę Kwasu. Na ratuszu wszystko przygotowane jest do małżeństwa Panny Carolyn Adams z Panem George'em Walkerem, w Hospital Civil zaś do przyjęcia dziecka.

– i kupimy białe łóżeczko –

– Odpieprz się.

– i będziemy filmować na plaży o zachodzie słońca, z mikrofonami. Babbs może przeciągnąć kabel i głośnik na dwór – i *muzyka* – Gretch może zagrać *marsza weselnego* na organach!

– Odpieprz się – powiada Mountain Girl.

I tak Mountain Girl i George zawarli małżeństwo, po cichu, w miasteczku. A Mountain Girl powiła dziecię w Hospital Civil, zdrową blondyneczkę, którą nazwała Słoneczkiem, Sunshine. Na poziomie morza...

Kesey w la casa grande – w tym domu zawsze kręci się słodki trójkąt, co, biorąc pod uwagę fakt, że mamy cztery sypialnie, skutkuje nieskończonymi wariacjami na temat Faye – ja – George – Mountain Girl.

Mountain Girl piekli się nadal:

– Popatrz tylko na tę ścianę. To straszne. Nie, no poważnie, przypatrz się jej. W pięć minut można wydrapać dziurę na wylot.

– Może poszłabyś i skręciła jointa?

– Czy możemy wypalić go w moim pokoju, żeby nie musiała podskakiwać za każdym razem, kiedy Faye zapuka do drzwi?

– Hmmmmmm...

– Wszystko jedno. To podchwytliwe pytanie. Zresztą, to trzyma mnie w stanie gotowości bojowej.

Humory poprawiają się nieco w czerwono-falowym odrętwieniu. Prankstersi zaczynają robić małe pranksterskie numery. Hagen wrócił z Hospital Civil, utyka, ale kombinuje, ze starym, poczciwym wdziękiem ministranta. Nie ma aparatury stereo, projektorów, taśm wideo, z którymi można by kombinować tu na Diabelskiej Wyspie, ale znajduje największą kombinację, jaka się tam znajduje, i kombinuje z niej pewnego tubylca biedaka – żółwia. Wielkiego, morskiego żółwia, około 25 kilo żywej wagi. Wiele radości z powodu potwora, ale nikt nie wie, co z nim począć, nawet Faye, pionierska żona i mistrzyni kuchni, dietetyk, technik i mechanik. Żaden gar, który ewentualnie mogliby zdobyć, nie wystarczy na coś takiego. Więc wymalowali mu Day-Glo na skorupie wielką czaszkę ze skrzyżowanymi piszczelami i wypuścili z powrotem do morza, z radosną myślą o następnych 200 latach

życia, jakie mu zapewnili. Nikt w kraju boga śmierci Zecotopetla nie wybierze akurat jego na zupełną...

Babbs, po wielu ponurych dniach w reducie Purina Chow, wychodzi z lubieżnym okrzykiem, *Cześć Je-e-e-ed!* do trzyletniego syna Keseya. Tylko Babbsowi w szczycie Be-elzebabsowej formy mogło przyjść do głowy pozdrawiać trzyletnie dziecko takim sprośnym, lubieżnym idiotyzmem.

Przyjechał Page Browning, gotowy do akcji, zachwycony sandałami *huaraches* i całą Szczurzą sprawą. *Huaraches* na każdej stopie w Meksyku! Sam Ze-lota nie wymyśliłby równie piekielnie kłopotliwego wynalazku.

– Oni ich uzależnili od *huaraches*! Nie można w nich biegać, nie można w nich chodzić, nigdy nie pasują, kaleczą stopy. Wszystko, co można w nich robić, to siedzieć w kucki. I w ten właśnie sposób panują nad tym krajem. Uzależnili ich od tego koszmaru! – i tak dalej.

Nagle – zjawia się Sandy Lehmann-Haupt, z powrotem znad skraju, na motocyklu. Przejechał na nim całą drogę z Nowego Jorku, przez połowę USA i przez całą Szczurzą Krainę, dotarł do najdalej wysuniętego na południowy zachód skraju Meksyku, niezły wyczyn, nawet dla Neala Cassady’ego. Kesey przygląda mu się i oczom nie wierzy. Wygląda na silniejszego, zdrowszego, spokojniejszego, bardziej pewnego siebie niż kiedykolwiek przedtem. To budzi złe przeczucia, których nie potrafi nazwać...

Zawinął nawet Bob Stone. Bob Stone ze starych dobrych czasów Perry Lane. Zajechał wypożyczonym u Hertza autem. Przyleciał do Mexico City samolotem, tam pożyczył samochód. Ma zlecenie z „Esquire” na artykuł o Keseyu na Wygnaniu. Ach, więc dawny świat wciąż czeka. Stone, stale przewrażliwiony, widzi FBI i Federales za każdą palmą – albo jakieś inne skorpiony – a jednak, dokładnie w tym samym momencie, rzuca się głową naprzód, jak zwykle, w każdy aferalny chaos, jaki tylko przyśni się któremuś z Prankstersów, krzycząc, słuchajcie, to niebezpieczne, kiedy skacze jaskółką z pierwszego lepszego klifu.

Łykają dexedryne. Stone i Babbs odjeżdżają samochodem Stone’a, na fазie po pigułkach, ruszają w stronę Tepic, w Szczurzy Kraj. Wracają chichocząc i rozprawiając o niesamowitym doświadczeniu z Drogowym Zwierzęciem. Jechali przez cuchnący łajnem pył, od paru dni bez snu na dexedrynowym przelocie, po drodze karłowata trawa i osiołki, aż zapadła noc i zrobiło się naprawdę dziwnie. Stone widzi małe meksykańskie mostki, które zmieniają się w wielkie plamiste jaszczurki *gila monsters* i Babbs także je widzi. Droga staje się najcieńszą z cienkich liną rozciągniętą ponad ziemią niczyją tych potworów, a wtedy nagle w jednej chwili potwory przejmują kontrolę nad drogą! – Na wprost przed nimi

największy potwór drogowy kiedykolwiek widziany przez człowieka, tak ogromny, że usiadł okrakiem na drodze, jak tarantula o trzymetrowych nogach na skrajach drogi, jego ogromne szkaradne ciało i paszcza pośrodku czekają na *zarcie*, a ich samochód sunie ku temu, ani się waży zatrzymać i ani się waży jechać dalej –

– Nie! Nie zbliżaj się do tego! – krzyczy Stone.

– Nie – odpowiada Babbs – nie mamy innego wyjścia. Musimy przez to przejechać.

– *Przez to!!*

– Musimy – mówi Babbs. – W przeciwnym razie nigdy nie posuniemy się do przodu.

Nagle wygląda na to, że najważniejsze w dziejach świata jest to, aby oni posunęli się do przodu.

– Wiem! Ale to jest takie...

– Musimy przez to przejechać! – mówi Babbs. Szykują się na klęskę, na Armageddon, na koniec...

– i przelatują *przez to!* –

– to jakaś pieprzona, wielka maszyna do budowy dróg toczy się szosą z meksykańsko-sandałową prędkością, *mestizos* na jej szczycie spoglądają zdezorientowani w dół na samochód, który właśnie przemknął *pod* nimi dziewięćdziesiątką czy setką...

Stone i Kesey turlają się w stronę Sonory, na poważnej, speedowej fазie. Stone myśli, że siedzi z tyłu za przyciemnioną szybą w taksówce, choć to on prowadzi. Takie to podobne do taksówki! Zabierają chłopaka, Amerykanina, który wraca autostopem do Kalifornii. Mogą zabrać go tylko do Sonory. Jedziemy do Kalifornii, powiada Stone i odpalają.

– Kaliforniiii! – powtarza Kesey jak najciemniejszy wieśniak.

– Aha – potwierdza Stone. – Wiozę tego faceta – to znaczy Keseya – do Kalifornii, żeby zobaczył, jak wschodzi słońce. Jeszcze nigdy nie widział wschodu słońca.

– Ojoj – Kesey na to – wpuszczasz mnie w maliny. Nie ma nic takiego jak wschód słońca.

– Nie wpuszczam cię – mówi Stone. – Słońce wschodzi i zobaczysz to na własne oczy.

– Dość dziwne wydaje się jechać z Keseyem przez pustkowia Meksyku za przyciemnioną szybą taksówki.

– Ojojjoj – powiada Kesey. Chłopak tymczasem milczy jak nieżywy.

– Nie bujam! – mówi Stone. – Popatrz tam w górę. To właśnie jest słońce!

– Aha, aha, Boże, masz rację, to właśnie jest słońce! No tak- Wype-e-e-łnia niebo! Oświe-e-e-etła dolinę! Błysz-sz-sz-sz-czy ponad morzem!

Po paru kilometrach chłopak odzywa się jakby nigdy nic, stara się jak może: –

Słuchajcie, panowie, myślę, że chyba wysiądę w Tepic zamiast w Sonorze. Przypomniałem sobie, że muszę się tam z kimś zobaczyć.

No i wysiada.

Nigdy nie ufaj Prankstersowi!

I Cassady – Cassady przyśmigał na Szczurzy skrawek ziemi w kolejnym pojeździe Cassady’ego, gazu, gazu, gazu z odwieczną prędkością Cassady’ego, z nowym, typowym Ekskalibrem Cassady’ego. Ma dwukilogramowy młot z trzonkiem oklejonym taśmą Day-Glo, który podrzuca od rana do wieczora jak gimnastyczną maczugę, kręci nim w powietrzu i łapie go, kręci podwójne pętle, potrójne, poczwórne, proste, mimośrodowe, potrząsa naokoło ramionami, łokciami, kolanami, stopami w szarpanym rytmie. Tamten Numer i tamta Schizma najwyraźniej już dawno odeszły w niepamięć. Jeśli ktokolwiek może przełamać pieprzoną czerwoną falę i oczyścić śluzowate powietrze, co sący się pośpiesznie wszystkimi kanałami, to właśnie Cassady. Więc palą trochę trawki, wdrapują się na szczyt *la casa grande* i siedzą czujni, podczas gdy Cassady popisuje się i szaleje z młotem na prędkościowym tripie, o 1/30 sekundy zaledwie od Teraz o zmierzchu. Cassady uprawia dziki, amerykański, młociany balet nad brzegiem sadzawki i widzą jego odbicie w wodzie i swoje własne odbicia, które spoglądają w dół na Cassady’ego, ale też w *górze* z sadzawki w idealnym, asymetrycznym playbacku, błyski Day-Glo i zmrok, wywołujące zjawy z przeszłości, księżycowe drzwi, na świat w bezmiernym akcie kontemplacji samego siebie, *Domnu sattva* i *rajas* wszystkie naraz, *fons et origo*, błyskawiczny Film – Teraz

Harry – mokry trzonek!

I Łykułuda zaczyna od nowa wymachiwać skrzydłami jak skórzanymi łopatkowymi zapadkami w karnawałowej grze w koło fortuny, Szczurze ptaszysko, ale zna tę jedyną dziurę w niebie. Kesey w *la casa grande*, gdzie wiatr się zrywa, niebo w chmurach, Łyk macha, a Szczurzy tynk wyklejony jest stronami z komiksu o Marvelu, całymi scenami z dziwacznym doktorem Strange, podwodnym Sub Marinerem, niewiarygodnym olbrzymem Incredible Hulk, fantastyczną czwórką Fantastic Four, człowiekiem-pochodnią Human Torch – Superherosami, krótko mówiąc. Wszyscy headzi przekonani są, że narysowały ich speed-friki, z powodu fosforyzującego poświęcenia ręki dla szczegółów rysunku. Superherosi! Übermenschen! Wydawało się dziwne, że Nietzsche, dziwny odludek w typie Petera Lorre’a, z wąsikami i w surowym, czarnym surducie profesora z Tybingi, mógł być tak blisko istoty rzeczy –

– i Kesey słyszy, jak Bob Stone mówi mu: – Nietzsche jest teraz w Niebie, Ken, i powiada: „Podoba mi się to, co robisz – ale nie czytaj moich książek” –

– a jednak stara poczciwa Walkiria znalazła się na rzeczy. Świat nie jako szereg przyczyn i skutków wiecznie zmierzający przed siebie, ale skończony i stale powtarzający się tak, że wszystko, co kiedykolwiek było i kiedykolwiek będzie, uchwycone *teraz*, w nieskończonym Nawrocie, czeka tylko, aby Superherosi ponownie wynurzyli się na powierzchnię, po czym nastąpi totalne przewartościowanie. I łącząc inspirację Nietzschego z własną, najbardziej aktualną – ideą losu człowieka, który zawsze ogląda własny film i nigdy nie jest w stanie sięgnąć do rajy poza ekranem: tak jak domyślał się Nietzsche, życie jest kręgiem, a więc chodzi o to, by iść, a nie o to, aby dojść. *Żyj chwilą. Wielu zacnych headów tak powiada. Próbowałem. Poświęciłem wiele czasu i energii. Aby przekonać się, że ci zacni headzi padli ofiarą sztuczki – tej prostej sztuczki, że miałem rację co do tego życia chwilą, tyle że nie można dotrzeć do tej chwili!*

A jednak, jak wierzą Prankstersi i liczni im podobni, on wie, że jakoś udało mu się dostrzec wielką wymachującą skrzydłami bestię i znalazł się gdzieś poza tą stroną ekranu i w pobliżu prawdziwej, poczciwej pełnej i czystej istoty rzeczy – w stanie powszechnie uznawanym za oświecenie... przywołując na pamięć:

Noc, wyszedł nad wodę, na fazie po trawce, usiadł, a błysk neonowego znaku – Coca-Cola? – w mieście dotarł przez zatokę, każdy promień światła padał prosto, linia pierwotna, Era Kamienia, linia trawki

CIECIE NA

noc, to samo miejsce, na fazie po kwasie, a promienie dochodzą nie prosto, ale w idealnych półokręgach, linia kwasu, linia tężniejszego, idealny krąg, jak pająki, którym wstrzyknięto kwas, a one tkwały małe, idealnie okrągłe sieci

CIECIE NA

noc, to samo miejsce, na fazie po opium, jedyny raz, kiedy wziął twardy drag, a promienie biegną zaczynając się w kręgach, ale kończąc małymi haczykami, jak haczyk w wodzie na japońskim drzeworycie, jak haczyk w kreskach dziwnego komiksu *The Spirit*, i to była linia przyszłości, zamykająca krąg bez konieczności przebywania za każdym razem całej drogi, docierająca do celu za sprawą znajomości początku podróży

CIECIE NA

noc i elektryczna burza w błyskach meksykańskiego upału, na fazie po kwasie, strzela błyskawica – *tam! – tam!* – i elektryczność płynie przez niego i z niego, jak druga skóra, elektryczny strój, a jeśli kiedykolwiek było teraz, to właśnie – *Teraz!* – i wyrzuca rękę w niebo, aby błyskawica wystrzeliła tam, gdzie pokazuje – *Teraz!* – musimy to zamknąć, tę szczelinę pomiędzy błyskiem a okiem, i *dokonać* tego, owego ponownego wkroczenia w

Teraz... jako Superherosi... otwarci... aż wali się na plażę i Mountain Girl znajduje go, jak łapie się za gardło, krztusi, jakby się udławił piaskiem...

Ponad kwasem. To koniec ich podróży, zamknęli krąg, wszyscy, i albo wynurzą się jako Superherosi, zatrzasną za sobą drzwi i poszybują dziurą w niebie albo błąkać się będą w cyrkowej pętli opóźnienia. To przecież jasne! *Presque vu!* – wielu zacnych headów zdawało sobie z tego sprawę – Paweł, który mówił pierwszym chrześcijanom, którzy złopali wino w imię Ducha Świętego: prędzej czy później Krew musi spłynąć w was *na dobre* – Zaratustra, który mówił swym uczniom: nie można wciąż sięgać po wodę haoma, aby zobaczyć płomienie Vohu Mano, musisz sam stać się tym płomieniem, stary – I Dr Strange, i Sub Mariner, i Incredible Hulk, i Fantastic Four i Human Torch, którzy świrują na Szczurzych ścianach *la casa grande* jak stroboskopowi młociarze Cassady'owie, *fons et origo*::: i albo możesz zatrzymać tę rzecz na stałe w swym wnętrzu, albo już zawsze wspinać się w znoju do wieżyczki obserwacyjnej, za każdym razem po ten jeden krótki rzut oka na horyzont:::

24. Aresztowanie w Meksyku

Hagen, tymczasem, stawał się coraz bardziej... Hagenem. Tym nieodparcie uroczym czarusem... i wygląda na to, że pewna piękna debutantka z Kalifornii uparła się, aby wyruszyć za nim do Meksyku. *Drogi Tato. Nie martw się o mnie. Jestem w Meksyku z pewnymi pięknymi ludźmi...* Tato od razu zwęszył *bitników* i *narkotyki*, ma się rozumieć, i pociągnął za wszystkie sznurki, aby dowiedzieć się, gdzie córa przebywa, i ściągnąć ją z powrotem. To przynajmniej, jak później domyślili się Prankstersi, tłumaczyło tajemniczą klęskę, która spadła na nich w drodze do Guadalajary.

Hagen, Kesey i Ram Rod jechali pewnego wieczoru ciężarówką w kierunku Guadalajary i napotkali blokadę drogi obsadzoną meksykańskimi Federales. Co robić? Zawrócić? Przebić się siłą? Udawać wariatów? Od pewnego czasu wszystko było w takim porządku z miejscowymi stróżami prawa, że czuli się mocni i pewni siebie, więc Kesey zdecydował, aby się zatrzymać i po prostu odegrać stary numer z wciąganiem ich do swojego filmu. Bóg jeden wie, z iloma glinami Prankstersi poradzili sobie dotąd.

Ale, oczywiście, nie potrafili mówić po meksykańsku, więc nie mogli nawet puścić w ruch Filmu z Federales. Federales wywlekli wszystkich trzech i natychmiast przekopali ciężarówkę w poszukiwaniu trawki, którą znaleźli, no i było po herbacie. Na deszczu i w mroku w krainie Szczura. Meksykanie nie czepiają się o trawkę tak bardzo jak gliny w Stanach, ale obowiązuje tam podobne prawo, nie są zachwyceni goszcząc w swym kraju amerykańskich headów, a Kesey był „gorący”, jak to się mówi. Jednym słowem patentowana

popelina.

Owa droga 15 biegła wzdłuż torów kolejowych, które prowadzą od granicy z Gwatemalą. Pomiędzy drogą a torami była kupa kolczastych, ciemnych chaszczy, masa gęstego listowia, zarośli i w ogóle, cierni, ostrych liści. Kesey uśmiecha się smutno i odgrywa wielką scenę no-cóż-macie-nas, panowie, szczerą i bezradną pantomimę, cóż, tak bywa. Federales biorą jego kartę *turista*, która jest lipna. Cóż-jesteście-górami-panowie i powiada, pozwólcie, że oddalę się w krzaki na sekundę, zanim nas zwiążecie. Człowiek musi oddawać wody; wszyscy ludzie są równi, *gringo* i Mex, i każdy inny, kiedy wzywa natura, prawda, panowie? Więc Federales mówią zgoda i Kesey znika w krzakach –

– kątem oka widzi pociąg, jak ostrożnie sunie przez mijankę, z wolna wyłania się zza zakrętu –

– Dupę w troki! Kręci się, kręci! Kesey rzuca się w krzaki ku torom, ciernie i ostre liście orzą mu nogi, światło pociągu potrząsa plamą dziwacznej, chorej, brunatnej żółci na kupie kolczastych chaszczy, przedziera się przez ten syf, wprost ku bocznej ścianie wagonu, wskakuje na złącze między wagonami, chwytając za poręcz drabiny prowadzącej na dach. Deszcz wzmaga się nagłą taflą, wali błyskawica, błyskawicznie oświetla całą scenę i jego postać – Federales dyszą i cwałują przez zarośla jak Meksykanie z filmowej komedii, guziki strzelają im na brzuszyskach, wrzeszczą *jho!* *jpronto!* i wtedy

HRHAAAAAAMMMMMNNNNNNNN

Te sukinsyny *strzelają* do niego! Mama nie pozwala tu palić żadnej trawki! Ostro tu, na skrajach prawd wiary – ciemno – a wtedy Cosmo oświetlił go na chwilę błyskiem błyskawicy – jeszcze dyszą i tupią

HRHAAAAAAMMMMMNNNNNNNN

komediowe, latynoskie gliny – aż pociąg nabiera prędkości, a on leży rozciągnięty na dachu wagonu zmierzającego gdzieś tam, ku czyjemuś Miastu Na Skraju.

Które okazuje się Guadalajara. Nie ma grosza przy duszy, ani trawki, ani niczego. Rusza w stronę – oczywiście – placu z muzyką *mariachi*, kuca w ciemnościach, przemoczony i drżący z zimna. Ciekawe, czy w tym mieście toleruje się włóczędzy *gringo*? O świcie przez park idzie jakiś Meksykanin, nawiązuje rozmowę, mówi po angielsku. Smukły facet około dwudziestki, bardzo przystojny, jak Valentino, o nieomal dziewczęcym wdzięku

¡CIOTA!

proponuje Keseyowi, aby odetchnął u niego w hotelu

¡CIOTA!

a on, sponiewierany i rozdygotany, daje się namówić. Ten hotel to niewiele więcej niż

schronisko, ale jest czysty. Ma tam niewielki schludny pokoik, ten Mario, zaciszną przystań.

– No dalej, prześpij się trochę. Kesey stara się nie ulec sennej fantazji

¡CIOTA W NATARCIU!

ale i tak zasypia, budzi się po dłuższym czasie, zupełnie nietknięty. Mario sam jest splukany, ale wysłał telegram na koszt adresata do Manzanillo, pod nowym pseudo Keseya, Sol Almande, *Salamandra*, rozumiecie – bestia, która żyje w ogniu. Czeka cały dzień i jeszcze jeden, Mario to po prostu uroczy człowiek.

W CO ON GRA?

Do świętego *telegraf o* pomodlić się. Wszyscy pracownicy *telegraf o* w sandałach *huarache* siedzą sobie pod piętrzącymi się w stertach, trzepoczącymi kartkami telegramów. *Hay tiempo*. To kwestia odpowiedniego podejścia, mówi Mario. Idzie na górę do *telegrafo*. Wkrótce sam Szef *Huarache* przetrząsa cały stos w poszukiwaniu wiadomości dla płonącego pana Almande. Ale – nic z tego.

Następnego ranka Kesey decyduje się zaryzykować, idzie do amerykańskiego konsulatu jako biedny, splukany, posiwiwały, wyłysiały Amerykanin na rybach, który wpadł w tarapaty i musi wrócić do Manzanillo. Jakaś urzędniczka, niejaka panna Hitchcock, daje mu 27 pesos na bilet autobusowy trzeciej klasy do Manzanillo. Rusza w drogę, a Mario macha mu słodko na pożegnanie. To był twój zły trip, Kesey, że nie zrozumiałeś, iż ta czysta, skromna, meksykańska serdeczność – to wszystko, o co chodziło Mariowi, po prostu *muy simpatico* istota ludzka. Podróż autobusem była straszna, osiemnaście godzin podskakiwania poprzez krainę Szczura, pół na pół drogą i bezdrożem, kraina Szczura, a jednak tyle otwartych twarzy. Patrzą na ciebie zupełnie jak headzi, totalnie otwarci, chcą znaleźć coś raczej niż schować. Wiele przystanków na siusiu, Kesey przestępuje tylko z nogi na nogę i czeka, aż kierowca ruszy dalej. Jest zarośnięty, głodny i wyschły na wiór. Po jakichś dziesięciu godzinach w drodze zatrzymali się, kierowca idzie na koniec autobusu, przygląda się Keseyowi z szeroko otwartą *sympatico* miną i daje mu sześć pesos, ot tak, bez słowa, co warte jest około 17 centów, ale wystarczy na *tacos*, czy coś podobnego, i idzie z powrotem ku frontowi autobusu. Dziwna kraina, ta kraina Szczura! Oni tu czasami *wiedzą*. To nadzieja! – nie dla niewielu wybranych Superuświadomionych, ale dla mas, których istnienia nikt nie podejrzewa, a które otwierają się i patrzą. Oni czekają, tam w krainie Szczura.

Z powrotem w Manzanillo, z powrotem przyływa adrenalina. Hagen i Ram Rod zapuszkowani w więzieniu. Jak wszędzie w Meksyku w tym więzieniu było ostro i łagodnie zarazem. Było ohydnie brudno, wszędzie wokół roiło się od pluskiew, wszy, skorpionów. Jedzenie również było ohydne. Ale w paczce można było dostać wszystko, czego dusza i

przełyk zapragną, jeśli się zapłaciło, od soczystej *enchilady* po trawkę, speed i kwas. Hagen i Ram Rod byli bez przerwy rozkosznie zaprawieni i nieszczęśni.

W każdym razie Kesey coraz częściej czuł, że to tylko sprawa czasu, żeby go dopadli. I to nie Meksykanów się obawiał. Meksykanie zawsze gotowi byli się dogadać. Chodziło o zelotów ze Stanów. Martwili go łowcy głów z FBI. Wiedział o Mortonie Sobellu, atomowym szpiegu, który nagle pojawił się w pewnym granicznym miasteczku pod opieką pewnego agenta FBI, przekraczając granicę wraz z agentami federalnymi. Jeśli FBI uda się dopaść kogoś w Meksyku, w sensie fizycznym, Meksykanie też włączą się do takiej gry. I gorliwe, napalone na headów gliny z powiatu San Mateo. Wieść niosła, że gliny z San Mateo wybierały się na wakacje do Meksyku tylko po to, żeby zapolować na Keseya i załapać się na następne tłuste nagłówki w gazetach. *La casa grande* i Szczurza Buda robiły się coraz mniej bezpieczne, odkąd pokazał się najpierw jeden, a potem następny head, ze wspaniałym, szerokim, braterskim uśmiechem, dzieciaki z Kalifornii, z Nowego Jorku nawet, które dowiedziały się jakoś, *gdzie jest Kesey*. Zawsze nadciągali tak, jakby Prankstersi siłą rzeczy musieli promienieć radością na ich widok – *my, nieliczni święci, my inicjanci sceny kwasowej* – w uśmiechach przelewających się ponad brzegami dolnych zębów. Rzecz jasna na kwasowej scenie w Stanach było to coś, *wiedzieć, gdzie jest Kesey*. To znaczyło siedzieć w samym środku sprawy. *Taaak – odziałem się tam z Keseyem*. Dalej – różni Prankstersi sprowadzali przyjaciół. W tym, rzecz jasna, panienki. Page zderzył się z wysoką blondynką, dziewczyną w typie Dunki, którą wszyscy nazywali Doris Delay. Zrobiło się jak w La Hondzie, tropikalny aneks, La Honda w Tropiku Raka. Ludzie koczowali i pienili się wszędzie naokoło, w domu, w Szczurzej Budzie, w autobusie. Pewnej nocy dziewczynę imieniem Jeannie ukąsił skorpion. Wszyscy się obudzili, nikt nie wiedział, co robić. Trochę podumali, postanowili pójść z prądem i poszli z powrotem spać. Przeżyła.

Kesey pozwalał na to wszystko. Nikogo nie pogoniono. *Wystawcie to, w co wierzę, na Próbę*. W każdym razie, nie było już mowy o najmniejszej choćby dozie poufności w związku ze Ściganym i jego filmem. Była to już tylko kwestia czasu lub pilności władz... Cała ta sytuacja działała Keseyowi na nerwy, wsiadał do samochodu i jechał nad urwisty brzeg oceanu, palił trawkę i wpatrywał się w fale... tak jak Black Maria, chciałoby się powiedzieć.

Black Maria przeżywała własne, prywatne piekło. A mianowicie była samotna jak diabli. *Samotna?* Można zapytać, jak to możliwe, aby prawdziwie otwarta osoba czuła się samotna wśród tak wielu prawdziwie otwartych osób, które robią tyle rzeczy razem i cały czas są razem na fazie? Czy *Mountain Girl* czuła się kiedyś samotna? Czy *Mountain Girl* czuła się kiedyś zdesperowana? To nie do pomyślenia; *Mountain Girl* była wsynchowana w

całą sprawę. Ona, Black Maria, była prawdopodobnie jedyną osobą w dziejach sprawy, która poczuła się samotna... w hierarchii Prankstersów.

Hierarchii Prankstersów? U Prankstersów miało nie być żadnej hierarchii. Nawet Kesey miał być nie-nawigatorem i nie-nauczycielem. Z całą pewnością wszyscy inni byli sobie równi w tym bractwie, jako że nie było współzawodnictwa, nie było żadnych rozgrywek. Zostawili to za sobą w normalnym świecie... ale... nazywajcie to rozgrywką albo jak wam się podoba. W tej chwili, wśród kobiet, Mountain Girl była pierwsza, najbliższa Keseyowi, Faye była druga, albo może naprawdę było odwrotnie, a Black Maria była może trzecia, ale w gruncie rzeczy tak odległa, że nie miało to znaczenia. Wśród mężczyzn był Babbs, zawsze faworyzowany... i *żadnych rozgrywek...* ale czasami wyglądało to na starą, pocziwą grę w *osobowość...* uroda i stary, dobry *agresywny, bezpośredni* wdzięk, nawet tężyzna fizyczna – wygrywało się na tym tutaj, tak jak wszędzie indziej...

A jednak powoli Black Maria stawała się Pranksterką. Wisiało nad nimi, w powietrzu, to, że była już Pranksterką. Odmieniła bieg prądu i to wcale nie poprzez jego akceptację.

Dziewczyna Page'a, Doris Delay, przechodziła przez to samo. Chciała kogoś o coś spytać, ale jak tu pytać o coś takiego. W końcu podeszła do Sandy'ego Lehmann-Haupta i zapytała: – Co to znaczy – *Nigdy nie ufaj Prankstersowi?*

25. Tajny Agent Numero Uno

Pewnego popołudnia Page wpada do *la casa grande* i mówi:

– Słuchajcie! Jakiś facet po drugiej stronie drogi robi nam zdjęcia!

No pewnie. Jakiś facet zerka ponad krawędzią okna w nie dokończonym domku po drugiej stronie drogi na plaży, jeszcze jednym żużlobetonowym Szczurzym cudzie. Słońce blikuje mu w obiektywie aparatu fotograficznego. Keseyowi bije adrenalina i chce uciekać, ale Page przeskakuje przez drogę i naciera na domek, jakby to on był tu właścicielem, Babbs tuż za nim.

W domku znajdują Meksykanina, ubranego jak biznesmen, w metalicznie połyskującym garniturze i białej koszuli z krawatem. Wygląda na trochę po trzydziestce.

– A ty co tu, do cholery, robisz? – pyta Page.

– Hello, *amigo!* – odpowiada, wygląda całkiem spoko. Mówi po angielsku. – Myślę, że może kupię ten dom. Ta plażaa tutaj, podobaa się waam?

– Taaaak! Taaaak! Właśnie! Właśnie! Właśnie! – mówi Babbs. Babbs szczerzy się w swym bajerancko przyjaznym uśmiechu z tak maksymalną intensywnością, że facetowi na moment znika spoko, ale łapie je z powrotem.

– Ahaa?

– Taaaak! Taaaak! Właśnie! Właśnie! Właśnie!

– Ahaa. Miłoo mii. Lubię drugieej osobyy opinię w takich sprawaach. No too – na razie, *amigos!* – i rusza za próg, jakby się już oddalał.

– Przyślij nam parę zdjęć, jeśli dobrze wyjdą – powiada Babbs.

– Parę zdjęć?

– Taaaak! Taaaak! Właśnie! Właśnie! Właśnie!

– Jakich zdjęć?

– Naszych zdjęć. Lubimy zdjęcia. Mamy ich cały album. Lubimy zdjęcia *nie upozowane*, rozumiesz? Załóżę się, że zrobiłeś parę niezłych.

– Aha. – Meksykanin wygląda, jakby zamyślił się głęboko. – Powieem waam, koleddy, może mi pomożeciee.

– Taaaak! Taaaak! Właśnie! Właśnie! Właśnie!

– Pracuję dla Wywiadu Meksykańskiej Marynarki i może wy pomożeciee... nam. Doniesionoo nam o rosyjskich łodziach podwodnych operujących na tych wodach.

– Łodziach pod-wod-nych! – powtarza Babbs z totalnym bajeranckim zdziwieniem.

Kilku Prankstersów zebrało się przed *la casa grande* i obserwują Babbsa, Page’a i Meksykanina przed Szczurzym domkiem.

– Ahaa – mówi Meksykanin. – Doniesionoo nam, że tee łodziee podwodne przyjeżdżają na brzeg nocami, na tych wodach. Czy zauważyliście takiego coś?

– Za-u-wa-ży-liś-cie!- mówi Babbs. – A jakże, na miły Bóg, *oczywiście!* Powinieneś tu przyjść kiedyś w nocy! Bywa, że jest ich tak cholernie dużo, że sygnalizacja świetlna nie daje człowiekowi zasnąć. Niektóre świecą prosto w okna, mrugają coś zawzięcie, a to jest *poważny szyfr. Poważny szyfr.* Ale my go jeszcze złamiemy. Tęgie głowy pracują nad tym u nas. O, ten gość tutaj – wskazuje na Page’a i terkoce w kółko o niewiarygodnie bezczelnych akcjach rosyjskich łodzi podwodnych na tych wodach – gdy tymczasem drogę przekracza Cassady, podrzuca swój młot, jeden obrót, dwa, trzy, wysoko w powietrzu kreśli nim pętle, chwyta go za plecami itd., ale nie patrzy na nich ani przez chwilę. Cassady ustawia cegłę na płocie jakieś pięć metrów od Meksykanina, ale nic nie mówi, a nawet nie patrzy, potrząsa rękami i nogami to tak, to inaczej, w rytm piosenki swego własnego Joego Cuby. A potem rusza z powrotem na drugą stronę drogi.

– Aha – mówi Meksykanin. – Proszę bardzo, czy mogę spytać o to. Doniesiono nam o jednym z Rusków, który może lądował tu z łodzi podwodnej. Jest wysoki na około metr siedemdziesiąt pięć, jest... muskularny mężczyzna... wygląda około trzydzieści lat... ma... włosy blond, jego włosy jest kręcony i jest trochę łysy na czubku... Nie widzieliście jakiejś

my wiemy, jak się kończy. Sprawiedliwość tryumfuje po radosnej pogoni, a w ostatniej rolce filmu Ścigany gryzie cuchnący łajnem pył, aby pokazać grozę swego ćpuńskiego losu. Jedyne wyjście, to zrobić z tego film pranksterski i wobrazić weń tego drobnego metalizowanego kolesia. Nie ma nikogo, do kogo można by pobiec i powiedzieć: Mamusiu, ten film mnie już nie bawi, jest zbyt *prawdziwy*, Mamusiu. Przyparty do muru prawd swjej wiary, Majorze, lepiej, żebyś w nie wierzył! Bo inaczej zjeżdżaj stąd, byle po cichutku... Rozmowa zesłała na to, jakie widzieli filmy o Ściganym, w których Ścigany zwycięża, i zgadali się o *Casablance* z Humphreym Bogartem. Bogarta ścigali w Casablance na marokańskiej pustyni, prowadził restaurację w czasach II wojny światowej, był zamieszany w sprawy europejskiego ruchu oporu, a pewien typ typu Nazi FBI, czy typu Francja Vichy FBI, w każdym razie typu glina, przychodzi go przesłuchać.

– Po co przyjechałeś do Casablanki? – pyta.

– Z powodu tutejszych wód – odpowiada Bogart.

– Tu nie ma żadnych wód – mówi glina. – Tu jest środek pustyni.

– Naprawdę? – mówi Bogart. – To znaczy, że wprowadzono mnie w błąd.

I o to chodzi! Film! Więc Kesey i Stone jadą z powrotem i przyłączają się do Babbsa i meksykańskiego kolesia w polinezyjskim barze.

Meksykański koleś i Babbs nieźle się zabawili. Na stole stoi sześć czy osiem butelek po piwie, a meksykański koleś ostro się nawalił i zrobił wylewny, gestykuluje z patosem, każe im siadać i ciągnie dalej. Chce wiedzieć, jak Kesey się nazywa, a Kesey mówi, że Sol Almande. Babbs podał mu jakieś lipne nazwisko, a Stone mówi, że jest z magazynu „Esquire”. Koleś bada kupon na wydatki, który Stone dostał z „Esquire’a”, jakby to był jakiś wysoce podejrzany dokument. Potem dziarskim ruchem wrywa z wewnętrznej kieszeni marynarki portfel i otwiera go demonstrując wielką odznakę noszącą numer 1.

– A to co? – pyta Babbs.

– *To!* Jestem *agent numero uno!* –

– Taj-ny A-gent Nu-mer Je-den! – powiada Babbs.

– Taaaak! Taaaak! Właśnie! Właśnie! Właśnie! – mówi Agent Numer Jeden, cofając głowę i patrząc na Babbsa z góry. Wygląda jak skrzyżowanie Zorra z Neronem.

A potem przystępuje do historii swoich słynnych spraw.

– Elizabeth Taylor przyjeżdża do Mexico City? *Si*. To jest moja sprawa. Znam ją bardzo dobrze. *Si*. Przychodzę do niej do hotelu, a tam wszyscy ci ludzie – Uchhhhhh – rozkłada dłonie i wyciąga podbródek poniżej obojczyka, jakby chciał powiedzieć, że wątpliwe jest, aby w ogóle potrafili wyobrazić sobie, ilu tam jest ludzi – wszyscy cii

funkcjonariuszce, od tego, od tamtego, nawet na zewnątrz w korytarzu, a jeden z nich, ten wielki *maricon*, znaczy pedał, mówi do mnie: „Nikommu nie wolno wejść do środka! Nikomuu!”

– Nikomuu, aj – odpowiadam. On jeest wielkii *maricon*. Mówię waam. Oni mają coś takiegoo w wyglądzie, tee *maricons*. Oni mają *cojinas* wielkie jak *habichuellas*, widać to na twarzy, słyhać w głosie... są miękkie jak gównoo, tee *maricons*...

– MARICON! – mówię do niegoo.

– Jegoo głos jest „uuups!”, wieciee?, jak mały ciurek wodyy.

– ZEJDŹ MI Z DROGI, MARICON! – Agent Numer Jeden na wpół zrywa się z krzesła odtwarzając tę scenę, oczy wyskakują mu zza ciemnych okularów, rzucają błyski, jakby go galwanizowano tysiącami woltów.

Potem opada z powrotem na krzesło.

– Noooo taaaaak – mówi bardzo łagodnie i uśmiecha jak ktoś gotowy, aby pogrążyć się we śnie. Z tego, jak to mówi, można wyobrazić sobie owego *maricon*a zdruzgotanego, jak rozpada się na kawałki, zamienia w drobne, galaretowate gluty i otwiera drogę do apartamentów Miss Taylor.

Nie da się już teraz zatrzymać Agenta Numer Jeden. W mózgu bulgoce mu jeden wyczyn za drugim. Zapędzony do kąta jak szczur, poraża ich wzrokiem. Już prawie posiekany na strzępy w strzelaninie, wyciąga rewolwer i oddaje jeden strzał, *jeden strzał, amigo*, i sprawa załatwiona. Te sukinsyny myślą, że go wykiwaaly, gotują się, żeby zrobić swój ruch, a to właśnie on zrobił swój ruch i czeka na nich, jak wiadro u kranu, i tak dalej.

Dziwne jest wszelako, że żadna z tych słynnych spraw nie ma nic wspólnego ze słynnymi osobistościami. Wszystko to sprawy o marihuanę, zazwyczaj z udziałem Amerykanów. Tak jest.

Na koniec wyjmuję swój aparat fotograficzny i każdemu z nich robi zdjęcie.

Kesey powiada:

– Może przyszedłbyś do nas na zabawę jutro wieczorem? Będzie dużo ludzi.

– Do was na zabawę?

– Taaak, wydajemy jutro pożegnalne przyjęcie.

– Pożegnalne?

– Taaak. Wyjeżdżamy z Meksyku, wracamy do Kalifornii, więc wydajemy pożegnalne przyjęcie.

– No to, dzięki, *amigo*. Przyjdę.

I tak rozpoczęła się pierwsza Meksykańska Próba Kwasu.

Agent Numer Jeden nie był zapewne najbardziej rozgarniętym gliną Obu Ameryk, ale ich czas w starym, dobrym Meksyku najwyraźniej się już kończył. Najwyższa pora, żeby zapuścić Film na wszystkich projektorach. I w autobusie. Nowa fantazja polegała na tym, aby wsiąść do autobusu i jechać; włączyć się po Meksyku, dawać Próby Kwasu i być w *autobusie*, pędzić pranksterski film, cały czas z maksymalną prędkością.

Odbyli Próbę Manzanillo na dziedzińcu Szczurzej Budy Babbsa pod auspicjami Purina Chow. Była skromna, wszyscy zabłąkani w tej okolicy headzi byli mile widziani. Oczywiście nie było Grateful Dead, więc dali muzykantom z *combo latino* z polinezyjskiej knajpy dziesięć dolców, żeby przychodzili i grali w swych przerwach w restauracji. Tymczasem sami Prankstersi rozwijali wszystkie fantastyczne zwoje drutu i odlotu, z Gretch na organach, z filmami, światłami i całą resztą. Noc pełna była błysków odległych błyskawic, co było bardzo miłe, pranksterscy muzycy skrzeczeili swoje dziwne, chińskie dźwięki, a elektrony wyły w Szczurzych piekielkach. Ale ani śladu *Tajnego Agenta Numero Uno*.

Kesey faktycznie miał nadzieję, że gość się pojawi. Był wystarczająco zwariowany, aby nadać się do Filmu. Sam w sobie był tworem fantazji. W każdym razie lepiej było go mieć tutaj, żeby sobie zbierał dane do swego bajecznego życiorysu, niż gdyby miał się czaić w kokosowych palmach i kombinować, jak by tu złapać ich w sidła swej najwyższej gliniarskiej fantazji. Cóż, gdyby do tego doszło, pójdą z nim, ale ze świrem i czadem, brzegiem czerwonej fali.

Polinezyjscy grajkowie znowu przyszli i zagrali. Miło było poszaleć w rytm latynoskich synkop. Potem chwila ciszy, a potem ten syf –

¡HOY! ¡PRONTO!

ten piskliwy krzyk z drugiej strony Szczurzej Budy. Gdzie ja już słyszałem ten krzyk, Cosmo?

¡HOY! ¡PRONTO!

I wszyscy kręcą się bezradnie, porażeni, w oczekiwaniu na cios drapieznika. Nie ma jak drapieżne szpony meksykańskiej władzy. Cóż, proszę bardzo – proszę bardzo, popatrzmy na fantazję Federales w takt muzyki *mariacki*, jak łamią się na wysokich nutach i od nowa na nie gramolą, jak dyszą i cwałują ze złotymi kolbami i gwiazdami wyciętymi w zębach

¡HOY! ¡PRONTO! Chodźcie do środka, panowie, tu każdy sam płaci za swój bzik –

– a zza rogu wychodzi jedynie właściciel polinezyjskiego pałacu, wkurzony, ponieważ jego *combo* buja się tu ze świrami, choć dawno minęła ich przerwa, a on ma dość problemów z czerwono-falową depresją bez tych bumelantów i bez tych świrów.

– ¡Hoy! ¡Pronto! – krzyczy. – ¡Pośpieszcie się! ¡Z powrotem do roboty! – zagania ich i pędzi precz z delirium w pałacu Purina Chow.

!HOY!. !PRONTO!

Oddalona błyskawica wybucha jak szalona i to jest dobry znak. Film się kręci.

Nazajutrz Prankstersi odjechali z Manzanillo, bez słowa i bez ruchu ze strony Agenta Numer Jeden, na luzie, w autobusie oraz niewielkiej karawanie aut. Ruszyli do Guadalajary, gdzie w jednej z restauracji dali Próbę Kwasu. Próba trwała dwie noce i każdej nocy szykownie ubrany Mexicano o solidnej talii odzianej w połyskliwą, meksykańską, białą wieczorową koszulę pojawiał się w towarzystwie tancerki *go-go* i zostawali do samego końca, choć nie brali kwasu. Uśmiechali się, tańczyli i wyglądali, jakby się dobrze bawili. Okazało się, że to miejscowy szef detektywów. Żebyśmy nie poczuli się osamotnieni.

Autobus dotoczył się do Aguascalientes, 550 kilometrów na północny zachód od Mexico City, zwarty i gotowy do Prób Kwasu. Aguascalientes leży *in tierras frescas* na wysokości 2000 metrów, późnym latem panuje tam rajski klimat, uroczo dziwaczne miasto, zbudowane ponad rozległym systemem tuneli wydrążonych przez... jakąś nieznaną rasę... Prankstersów sprzed tysiącleci. Nagle Sandy poczuł niezmierny entuzjazm. Zapakował motocykl do autobusu. Dzień po dniu coraz bardziej krzepki, wszystko z powodu meksykańskiej przygody.

– Źródła mineralne! – zawołał Sandy. – Musicie ich spróbować! Ciepła, kojąca kąpiel w mineralnym źródle sącząca późnoletni raj we wszystkie kości – *Przez czystości do boskości*. Aguascalientes, to po to właśnie wszystkie *tierras del fuego* piętrzą się skała na skale, to odrobina Nieba na wysokościach.

Mountain Girl słuchała tego wszystkiego i wiedziała, cóż, jak to się skończy. Utkną w Aguascalientes na resztę dnia. Jeśli było coś, czemu Kesey nie potrafił się oprzeć, to perspektywa długiej, ciepłej kąpieli. Za każdym razem siedział w wannie po godzinie, a tu, w rajskim Aguascalientes, zanosilo się na cztery albo pięć godzin, lekko licząc.

Więc Kesey i liczni Prankstersi poszli i zanurzyli się w ciepłych źródłach po dziurki w nosie. Hagen został wydelegowany, aby zostać i pilnować autobusu oraz całego sprzętu do Prób Kwasu, który był w środku. Sandy pojechał przewietrzyć się na motocyklu.

Niebawem Sandy pojawił się z powrotem w autobusie. Biła od niego siła i światłość. Miał na sobie pomarańczową kurtkę świecąca Day-Glo i mnóstwo Day-Glo na motocyklu, wyglądał zdrowo. Wdrapał się do autobusu, przeszedł do tyłu i zaraz wynurzył się taszcząc wielki Ampex.

– Co ty z tym robisz? – pyta Hagen.

– Potrzebuję czegoś ciężkiego, żeby umieścić z tyłu motoru na próbnej jeździe – powiada Sandy. – Mam zamiar zabrać kupę gratów z powrotem do Nowego Jorku i chcę sprawdzić, jak można manewrować motorem z czymś takim.

– Cóż, no nie wiem – mówi Hagen. – Tu coś nie gra, stary. Sprzęt Pranksterski nie powinien opuszczać autobusu. Sam wiesz, co Wódz mówi na ten temat.

– To wcale nie *opuszcza* autobusu – protestuje Sandy. – Chcę tylko przejechać się z tym parę przecznic, żeby zobaczyć, jak zachowuje się motocykl z obciążeniem.

Przez cały czas Sandy przywiązuje wielką kupę sprzętu do tylnego siedzenia motocykla. To jest takie ciężkie i nieporęczne, że nie wydaje się, aby udało mu się przejechać choćby dziesięć kilometrów.

– Chyba nie powinieneś tego robić – mówi Hagen.

– Zaraz wracam – odpowiada Sandy i odpala, a motor aż przysiada z tyłu.

Mija godzina, dwie, Sandy'ego nie ma. Hagen się niepokoi. A wtedy z kąpieli wraca Kesey. – *Jedziemy!* – mówi. Natychmiast widzi, co jest grane. To ten fatalny Ampex, o który Sandy kłócił się ponad rok temu. Sukinsyn się *zerwał*.

Wskakują do samochodu i ruszają szosą na północ, w stronę Zacatecas. Miał przewagę na starcie, ale daleko nie zajedzie z tak obciążonym tyłkiem. Mkną poprzez skrzyżowania Coca-Coli z Carta Blanca w starym, pocziwym Meksyku, i dalej przez Chicalote, Rincon de Romos i San Francisco, wszędzie zatrzymują się i wrzeszczą do Mex drugstore'owych kowbojów na rogu.

– Hej! Widzieliście szalonego *gringo* na motocyklu, całego na pomarańczowo?

– Nie. – Nie. – Nie. – A to dranie, są zbyt nawaleni w tych swoich sandałach, żeby powiedzieć cokolwiek – i pędzą dalej w cuchnącym łajnem pyle, ale w końcu dają za wygraną i wloką się z powrotem do autobusu.

– Cholera – mówi Mountain Girl. – Ten Ampex to serce Prób Kwasu.

Całe skomplikowane podłączenie instrumentów, regulowane echo, synchroniczność, nagrania do Archiwum – nic z tego nie da się zrobić bez Ampexu. Sandy zabrał Pranksterski Ampex – Prankstersi nie mieli cienia wątpliwości, że sprzęt był Prankstersów. Nie Prankstersa Sandy'ego Lehmana-Haupta, ale Prankstersów. Rodzina Prankstersów, Pranksterski Zakon, wyrzeka się wszelkich więzów z normalnego świata, kontraktów, praw własności i kto jest mi teraz matką, kto bratem? A on powiódł wzrokiem po nich, którzy siedzieli wokół niego, i rzekł: Oto jest moja matka i moi bracia! Albowiem ktokolwiek pełni wolę Bożą, ten jest mi bratem i siostrą, i matką.

Jedynie, co im pozostało, to obraz sukinsyna, jak turla się Meksykańską Autostradą Narodową, morduje się na swoim Suzuki, żeby przywlec... *majątność* z powrotem do Nowego Jorku. Nowy Jork. To po to mu była cała ta para. Dziewięć tysięcy pieprzonych kilometrów na 125-kilogramowym motocyklu, żeby dopaść swoją elektroniczną ruchomość i targać ją z powrotem, jak szalenie świecąc Day-Glo w zachodzącym słońcu na drodze do granicy.

Okolo półtora kilometra stąd Sandy odpoczywał w cieniu wielkiej budy z falistej blachy. Obok w pełnym słońcu – pas startowy lotniska w Aguascalientes i snujący się wokół brunatni Meksykanie w kombinezonach. Sandy dotrzymał słowa, do pewnego momentu, żeby tak powiedzieć. Przejechał parę przecznic, tak jak powiedział. Potem skręcił w prawo i pojechał aż do miejskiego lotniska, zaparkował za tą budą... i czekał... czy Kesey rzeczywiście był aż tak bardzo Teraz, taki z niego mistrz jasnowidzenia, że wystrzelił ową strzałę Zen... czy raczej pozwoli jemu naciągnąć łuk, a sam przyjdzie prosto tutaj i od nowa zagoni go do autobusu, pokazując mu tym samym raz na zawsze, kto ma Moc, kto na zawsze panuje nad jego umysłem...

Dziwne, ale ta paranoja targała nim tylko przez chwilę, kiedy chwytał oddech tam w cieniu. W istocie był dziwnie spokojny, jakby pogoń się już skończyła, a nie właśnie zaczęła. *Udało mu się*. To był jego film. Wciągnął ich do swego scenariusza. Mike Hagen. – Có-ó-ó-ó – powiedział. – No nie wie-e-e-em. Sam wiesz, co Wódz mówi na ten temat. Wiedział. Był w autobusie przez trzy lata. Ta podróż była wyzwoleniem i zniewoleniem, wszystkim naraz, wyzwoleniem, mocą, wolą, najwspanialszą na świecie – tylko *czyją* wolą? Grupowej świadomości? Cóż, to nie z grupową świadomością prowadził senne wojny, to nie grupowa świadomość zakuła go w jarzmo niewoli, to nie osądom absolutnym grupowej świadomości podlegał, oczekując na jedno jedyne tajemnicze słówko, co znaczyłoby, w porządku, Sandy.

Naturalnie nigdy nie zamierzał wlec tego wielkiego Ampexu 4500 kilometrów na motocyklu. Kiedy dotarłby do granicy, od nieustannych wstrząsów zamieniłby się w kupkę błyszczącego złomu, jak tranzystorowe radia z kwasowego wora Paula Fostera. Ale i nad tym pomyślał. W Aguascalientes była agencja 345 Railway Express. Mógł zabrać tam Ampex, wysłać go do Nowego Jorku na koszt odbiorcy i wrócić na motocyklu wolny jak ptak. Co też zrobił.

W rok później rozmawiałem z Sandym w południowej części Central Parku, nad

brzegiem stawu. Wyglądał dobrze, silny, spokojny. Kręcił się z ładną blondynką, którą poznałem. Pracował jako inżynier dźwięku w jakiejś firmie płytowej. Długo rozmawialiśmy o jego przygodach z Prankstersami, aż zapadł zmierzch, porównywaliśmy to, co każdy z nas słyszał ostatnio o Keseyu, zaczynało się ściemniać, więc wstaliśmy i wyszli z parku. I cały czas Sandy mówił ciepło o Keseyu, o całym tym doświadczeniu, bez śladu żalu. Zaczynało się ściemniać, wstaliśmy i wyszli z parku. Już mieliśmy się pożegnać, kiedy Sandy odwrócił się do mnie i powiedział: – Wiesz... ja już zawsze będę w autobusie.

– Leo! Leo! Leo! Przecież jesteś Leo, nieprawdaż? Czyżbyś już mnie nie poznawał? Byliśmy braćmi w Lidze i nadal tak być powinno. Obaj byliśmy wędrowcami w podróży na Wschód.

Prankstersi ruszyli w drogę do Mexico City i okolic, dali parę Prób Kwasu, ale bez specjalnego zapachu. Amerykańscy headzi ze szlaku Ajijic-San Miguel de Allende-Mexico City zbiegli się dumni – *Taaaak* – *W Meksyku nadziałem się na Keseya i Prankstersów i wszyscyśmy przyprawili*. Przyszło kilku Indian i odleciało po cichu.

Tymczasem adwokaci Keseya użerali się z urzędnikami imigracyjnymi w Mexico City w sprawie wizego dla niego, odpowiedniej na dłuższy pobyt, a ci byli, na przemian, życzliwi i mniej życzliwi. A potem już tylko coraz mniej życzliwi. Wyglądało na to, że jeżdżą za nimi tu i tam, za Prankstersami i autobusem, całe samochody pełne porządnie ubranych meksykańskich kolesi. Stone widywał ich częściej niż inni, ale nie przerywał jazdy. Cassady powoził autobusem przez meksykańskie *tierras frias*, teraz z nowym celem przed sobą, który polegał na przejechaniu Meksyku wzdłuż i wszerz bez użycia hamulców i bez zatrzymywania się przed niczym i nikim, zjeżdżaniu raczej na rozsypujące się wśród korzeni zarośli pobocza, niż zatrzymywaniu się przed wozami, samochodami i zwierzętami. Łagodniały mu ruchy, od spazmokinetycznych skurczów w rytm Joego Cuby, tych gwałtownych, prostych linii, w nową linię – ta nowa linia – Kesey widzi, że dzieje się to nawet z odwiecznym Cassadem – ależ oczywiście! – przede wszystkim z nim – z Ognia w Wodę, od Ery Kamienia do Ery Kwasu i na chwilę – *teraz* – Daalej –

Dupę w troki, Kesey! Pora już sprowadzić przyszłość z powrotem do USA, z powrotem do San Francisco i bezczelnie stawić czoło glinom i całej tamtejszej reszcie. Urzędnicy meksykańscy dawali do zrozumienia, że zamierzają go wykopać, może za jakiś miesiąc, pod pretekstem braku wizego. Ale i tak nie mieliby już pożytku ze Szczurzej Krainy.

Naśmiecili się już do oporu na tym bajkowym śmietniku Meksyku. Nachapali się. Mieli już... prawdę mówiąc, Majorze, nie było już źródeł, z których można by się napić, w krainie Szczura.

Obecna fantazja polegała na tym, aby doprowadzić numer z Bandytą do samego końca, aby zostać Ściganym Pranksterem *Extraordinaire* na zgredowskim łonie Baskin – Robbins USA. Nie widzieliście jeszcze Ściganego Prankstera? No to popatrzcie na ten film; wciągnie was natychmiast...

Na swój powrót Kesey wymyślił niezły melodramat. Pomaluj się tak ostro i tak jaskrawo, żeby cię nie zobaczyli. Wykombinował sobie, że wślizgnie się z powrotem zgodnie z zasadą, jakoby najciemniej było pod latarnią. Jeśli narobisz wokół całej sprawy wystarczająco wiele szumu, nigdy się nie domyśla, że to właśnie ty.

Na przekroczenie granicy Kesey wybrał Brownsville w Teksasie. Było to najdalej na wschód wysunięte przejście przez granicę z Meksykiem, prawie nad Zatoką Meksykańską i najmniej prawdopodobne jako ewentualna droga powrotu headów. Większość headów wybierało drogę zachodnią, przez Tijuane, ponieważ wracali do Kalifornii.

Więc założył kowbojski kapelusz i na chwilę przedtem, zanim Posterunek Celny i Imigracyjny Stanów Zjednoczonych w Brownsville zapaskudził krajobraz swym widokiem, wynajął od jakiegoś Meksykanina koślawego białego konia i dosiadł go w swym kowbojskim kapeluszu na zwariowany bakier, grając na gitarze i zamiatając głową na lewo i prawo, jakby był pijany. Przystąpił do przekraczania granicy ślaniając się na starym, białym koniu jako „Śpiewający Jimmy Anglund”.

- Jak długo był pan w Meksyku?
- Cholernie za długo.
- Czy można zobaczyć pańską wizę?
- Nie mam wizy.
- A co się z nią stało?

Wiza – a skąd on miał, do diabła, wiedzieć. Przyjechał wystąpić na koncercie country & western w pieprzonym Matamaros i niech go szlag, tak go tam spili, ci pieprzeni Mexi, ich pieprzone baby i ich *margarity*, obrobili mu zadek na ulicy w Matamaros, zabrali pieniądze i dokumenty, oskubali go, a on załął się jeszcze bardziej i jeszcze bardziej był zalany w tym przeklętym Meksyku, замуrował sobie bebechy terrakotą, on, poczciwy koleś z Boise w Idaho, gdzie właśnie wraca, nigdy więcej Meksyku, nigdy więcej Las Vegas...

- Ma pan jakiś dowód tożsamości?
- Tylko coś takiego... – i pokazuje strażnikowi kartę kredytową Bank of America na

nazwisko James C. Anglund z Las Vegas w Newadzie.

Więc przepuszczają go i rusza drogą drapiąc gitarę i kiwając się na boki na końskim grzbiecie, choć konia zaraz mu odbierają – żeby żadna *choroba* nie prześlizgnęła się przez granicę z krainy Szczura, pan rozumie –

Śpiewający Jimmy Anglund wystawia kciuk na drogę w tumanach kurzu ze swą szczuritarą pod drugą pachą.

26. Gra w policjantów i złodziei

Śpiewający Jimmy

Spłukany, zachrypły i z flegmą

Wciska swoje siwe kłaki

W pyłuchłam brownsvillskiej mżawki

Rusza z kciukiem

W górę brzucha Teksasu włóczykij,

W policjantów i złodziei to gra. Hej! Hej ha!

Sam jak sam superheros,

Kosmosu superstrady autoheros,

Nigdy nie kłamie

Uczciwość ma za przebranie

W policjantów i złodziei to gra. Hej! Hej ha!

Widzicie, glinki?

Błędne gady łowcy głów

To szczuritara moja

mój irchowy kowbojski strój

Pranksterskie czerwone buty

Z Guadalajary

Mój kowbojski kapelusz

Taka sytuacja

W policjantów i złodziei to gra. Hej! Hej ha!

Ja nie jestem Clark Kent

Ja nie jestem Steve Lamb
Okospoko Marynarz jestem kim jestem
W policjantów i złodziei to gra. Hej! Hej ha!

Przyjechało auto
Nie zajechał daleko
W policjantów i złodziei to gra. Hej! Hej ha!

Za kółkiem

W tym zasranym zakurzonym autostopie
Jakiś przewalacz z Missisipi
Z uśmiechem z ebonitu
Pod górkę
Ciężki teren, kilo kitu
W policjantów i złodziei to gra. Hej! Hej ha!

Piakrew

Kosmos Kid

Zbiegł

Znikł

Wśród kawy i spojrzeń jaj sadzonych na autobusowym dworcu *W autobusie!*
W policjantów i złodziei to gra. Hej! Hej ha!

Greyhouna chłodek

Smrodek sików niesamowity

Całą drogę do Salt Lake City

W autobusie

W policjantów i złodziei to gra. Hej! Hej ha!

Ach

Do drugiej klasy przesiadka

Amortyzacja zadka

Przypomina mi
Że eF Bi Aj ma na mnie czaj
Na całość! superhero
W policjantów i złodziei to gra. Hej! Hej ha!
Poleciał
Do San Francisco nocnym lotem
U glin pogotowie?
Bo bohathero w koszuli irchowej?
Napięci do strzału?
Do kowboja w czerwonych kowbojkach?
Kto wie?
Pracz mózgów zawodowy
Ten pranksterski garnitur płomiennej paranoi z Orlonu
Ledwo widzialny
Ten śmieszny kowboj
Serc dobosz
Co maszeruje w nogę z innego koszmaru
W policjantów i złodziei to gra. Hej! Hej ha!

Z lotniska
Ze śmietanką pranksterskiego kisielu w obstawie
Neal i Hugh
Z Day-Glo ludzi Marvela dwóch
Rusza film:
GLINOM ŚWIR
Kit agentom narkotyko
Kit agentom federale
Kit szeryfowi San Mateo
Kit szeryfowi San Francisco
Kit sędziom i ich izbom
My nie będziemy padać ani spadać
My będziemy walczyć do końca
My będziemy kit wam na plażach
My będziemy kit wam na lądowiskach

My będziemy kit wam w polu, na ulicach, na wgórzach
I na drzewie
Czujna opowieść
Niezły film
Na drzewie
Patrzcie jak te skunksy gonione
Solą w rany J. Edgara Hoovera!

Hej! W policjantów i złodziei to gra. Hej! Hej ha!

Kesey melinuje się w domu starego przyjaciela _____ w Palo Alto. Jest w dziwnym stanie umysłu. Teraz gra w gliniarskim filmie, w Grę w policjantów i złodziei, czyli ostatecznie to oni wygrają, ponieważ to ich film – *Mam cię!* Chyba że on zrobi z tego swój film, co jest superryzykowne i wymaga brawury. Tu jestem, chłopcy... W grze w policjantów i złodziei czołgasz się i chowasz w chronicznej tachykardii i podobasz się im w tej pląziej niedoli – więc –

PRZESTAŃ SIĘ CHOWAĆ!

Krótko mówiąc, fantazja teraz to zostać swego rodzaju Pimpernelem w Day-Glo, wychylać się tu i tam, absolutnie publicznie, potem zniknąć, zionąć żywą legendą. Będzie jak filmowy przestępca, który wysyła do policji kwieciste, szyfrowane liściki o dziewczynach do dzieci, które zamierza zgarotować – a następnie garotuje – całemu zaś światu co tydzień dech zapiera kolejna złamana kość gnykowa. Tyle że on nie dusił, on zwyczajnie palił trawkę. Zresztą, kto to wie, tyle czadu narobił w San Francisco...

Dziwny w roli domownika – nie bardzo wiadomo było, o co mu chodzi – Kesey miotał się od paranoi i nadostrożności po niebywałe lekceważenie swego bezpieczeństwa, a stany te następowały po sobie bezładnie. Wstawał koło południa albo pierwszej, jadł coś i szedł do ogródka z tyłu, siadał tam w irchowej koszuli i grał po prankstersku na flecie. Jeśli w ogródku w Palo Alto gra się na czymś dziwniejszym od tranzystorowego radia, to samo to zakrawa na jakąś pieprzoną insurekcję; a co dopiero wielki, muskularny Człowiek Z Gór w irchowej koszuli, na flecie. Do tego wieczorkiem – parę machów tu, parę tam, wszystko się wyjaśnia, Majorze, Kesey i jakiś Pranksters, czy może dwóch, zaczynają nawijać, powoli

Nawijamy

W korę się pukamy

Szczuru-buru

Buru-szczuru

Jaja, malina, urabura

Grzebieńcaści krzykacze! Megamaligna!

Rozwał im bębenki! GLINOM ŚWIR!

do drugiej nad ranem cały dom buzował tyłoma Szczuritarami, nawiedzonymi krzykami, taśmami i tak donośną trawkową euforią, że starczyłoby tego, aby na jakieś piętnaście lat obudzić ze słodkich snów całe Palo Alto – ale potem, ni stąd, ni zowąd, o czwartej albo piątej, Kesey, który zawodził najdłużej, uznawał nagle, że czas na środki najwyższej ostrożności i zniknął w piwnicy w cichym gniazdku w pajęczynach za skrzyniami. Cóż, przynajmniej sukinsyny nie dostaną go klepiąc w ramię w stylu gestapo – *No dobra, Kesey...*

W tamtym filmie – ale potem budził się i prawie natychmiast zapuszczał swój film. Neal, Hugh Romney, Kesey i mały oddział Hell's Angels wyruszyli, aby w sobotę i października wpaść na trzydniowy „trip festival” na San Francisco State College. Ziarno kiedyś posiane... Próby Kwasu zadomowiły się już w studenckim świątku. San Francisco State stało się dla acid headów prawdziwym *universitas*, trochę tak, jak Ohio State dla frików footballu. Wzięli się za tę sprawę, za Próby Kwasu, z żarliwym eklektyzmem.

Alfa

Beta,

Delta w pokerka

Filmy w palarni

Studenteria!

Koraliki, paciorki

Kościelne dzwonki,

Sandały i

Mandale

Psychedelic!

Hell's Angels są dla Ściganego jak zbrojna eskorta. Podoba im się to. Potrafią przekreślić każdego glinę, niech no się zbliży, wszystko jedno, radiowozem czy batalionem. Dla jakichś tajemniczych powodów we wszystkich budynkach na kampusie palą się światła. Festiwal odbywa się w hali gimnastycznej – pełnej rusztowań i ludzi, którzy miotają na sufit filmy i światła z projektorów – Wieże Panowania – i Grateful Dead na estradzie, wszystko z pietyzmem dla oryginalnych prób Kwasu, aż tu nagle

KESEY

będzie tu, będzie nadawał w hali gimnastycznej z kampusowego radiowęzła... pełna

konspira ta fantazja, z Hell's Angels na warcie przed studiem włącznie. Gdyby nie to, że kiedy już przeciągnęli wszystkie druty i zaczęli nawijać, Cassidy zapowiedział w hali przez mikrofon:

KEN KIIII-ZIIII

jest mniej więcej czwarta nad ranem. Kesey ukryty w studiu przemawia przez największą z pranksterskich instalacji, przez cały kampus, aż do hali gimnastycznej. Freewheeling Frank, Hell's Angel na kwasowym przelocie, wbija się do studia i widzi, że na taborecie siedzi Kesey z elektryczną gitarą, cały w przewodach wokół nóg i szyi, łączy gitarę, nawija wiersze do mikrofonu, fosforyzujące światło i napis CISZA: ANTENA wypełniają pokój – *To bóg LSD – Taki odrutowany, że aż strach – Przypomina mi satelitę, co krąży tam po niebie* – po czym Frank rzuca mu się w ramiona, czuje natychmiast falę elektryczności, siada na podłodze i zaczyna grać na organkach, a Kesey nawija dalej do setek przyglądających się wirom smug światła w hali gimnastycznej: – Wy, co stoicie, siedzicie i czołgacie się po podłodze, ten obłąd na kolorowo naokoło was i ponad wami na suficie, to wasz mózg! – i majestatycznie odmaszerowuje ze studia –

Wściekł się, bo nie związał mi umysłu, myśli Frank, tyle milionów umysłów nawiązał, że nie pozostał mu już ani jeden uśmiech.

Ale ani miliony, ani nawet setki nie zostały już w hali gimnastycznej, było tak późno, że skończyło się na grupce źródłowych headów, z których wielu było na takiej fazie, że przywykli do wszelkiego rodzaju zawirowań czasu i przestrzeni. Wszystko było naprawdę, Mani, maya Chohana Mme Bławatskiej, Ken Kesey w głośnikach... W końcu Kesey wyszedł i przeszedł się pomiędzy niedobitkami, ale wszyscy byli totalnie rozproszeni, a on ledwo widzialny w pranksterskim garniturze z płomiennej paranoi z Orlonu...

Mimo wszystko! Wieść już krąży wśród headów w Haight-Ashbury. Kesey wrócił, the Man, Castro, który zdobył dla nich to, co w ogóle mają. Ziarno...

...kiedyś posiane... W Manzanillo w Kraju Szczura i Czerwonej Fali Kesey i Prankstersi byli tak odcięci od świata, że niemal nie docierały do nich wiadomości z San Francisco. Żyli sobie jak na Diabelskiej Wyspie. Mieli ledwie mętne pojęcie o tym, co działo się wśród headów w Haight-Ashbury. Ale teraz jakby wcale nie trzeba było tego szukać. Wali prosto w czoło. Istny karnawał... Wystarczy przejść się do Haight-Ashbury – i Kesey ryzykuje małą wycieczkę... Do diabła, w Haight-Ashbury, muskularny facet w kowbojskich butach i kapeluszu – on... on wygląda *zdrowo*. Gliny skupiły się na nowych *dlugowłosych*, na *bitnikach* – te oszołomy są jakby jeszcze bardziej zwariowane niż tamci, dawni bitnicy z

North Beach. Świecą na niebiesko jak kineskopy w telewizorach. Hippiesy-świrusy... z włosami jak Pan Jezus, mężczyźni z włosami do ramion i brodami po piersi, wszyscy wymizerowani, chudzi i słabosilni jak... gruźlicy! Sierzancie, snują się pod wystawami na Haight Street, tam koło Psychedelic Shop, jakby ktoś wypluł na szybę kupę gruźlików, a oni ściekli na chodnik, wytrzeszczają wielkie gały jak zjawy, gapią się i tyle. I kupa dziwnego fajansu indiańskiego i hinduskiego, haftowane koralikami opaski na głowę, paciorki, kościelne dzwonki – i ci *na żywo*, co paradują Haight Street w tę i we w tę przebrani albo półprzebrani, jak na przykład w liberii odźwiernego z szamerunkiem i w ogóle, ale w dżinsach i butach Modsów... *Gliniarze!* – och, tym dopiero mieszało się w głowach.

Gliniarze na kilometr rozpoznawali pijaków i ćpunów i słyszeli o LSD, ale *to*, co się wydziewało... Headzi mogli robić gliny w konia w ciemno i to było super. Haight-Ashbury zawsze było dzielnicą dzielnych, prostych lokatorów na wzgórzu ponad wejściem do Golden Gate Park od strony Panhandle, gdzie biali i Murzyni w zgodzie mieszkali drzwi w drzwi. Czysze w North Beach szły w górę. Wiele młodych par o cyganerskim zacięciu przenosiło się do Haight-Ashbury. Sprowadziło się trochę bitników weteranów. Kręcili się koło miejsca zwanego Blue Unicom. Ale wszystko dostało kopa po Festiwalu Tripów osiem miesięcy temu. Osem miesięcy! – i nagle było tak, jakby Próby Kwasu zapuściły korzenie i pączkowały ludźmi, którzy żyli Próbami na co dzień, jakby to był kompletny styl życia.

Grateful Dead wprowadzili się do domu w Haight-Ashbury i nie było to już to samo stare mieszkanie razem, gdzie wszyscy tłoczą się w jakimś miejscu. Żyli po prankstersku, jako grupa z imieniem i misją, którą była muzyka i psychodeliczna wizja... Tak jest... Pewien chudy, niemal wklęsły facet nazwiskiem Chet Helms, z *niesamowicie* odłotowymi ciemnoblonde włosami na Jezusa i z brodą fruującymi dookoła niego i okrągłych, drucianych okularków, założył grupę pod nazwą Family Dog. Oni także mieszkali po prankstersku w garażu pod numerem 1090 przy ulicy Page, organizowali rock'n'rolowe tańce wśród masy indiańskich symboli. Brali udział w Trips Festival. Helms był headem, ale bardzo praktycznym headem. Dostrzegł, jak to narasta, wraz z Trips Festival, cała fala. Wystartował z regularnymi Festiwalami Tripów, co tydzień, za biletami, w sali balowej Avalon na rogu Van Ness i Sutter. Bill Graham, impresario Festiwalu Tripów, też się załapał i prowadził akcję Festiwalu Tripów w Fillmore Auditorium, sali tanecznej u zbiegu Fillmore i Geary. Graham i Kesey pożarli się w trakcie Festiwalu Tripów o takie sprawy, jak kto będzie trzymał bramkę, i skończyło się nieciekawą sceną. Graham wyciągnął rękę na zgodę, a Kesey spojrzął i sobie poszedł. Graham przejął jednak w całości formułę Prób Kwasu. Zarówno Fillmore, jak Avalon, robiły pranksterskie Próby Kwasu z całym multimedialnym fajansem, rock'n'rollem,

projekcjami filmów i odlotowymi pokazami świateł, które przypominały intergalaktyczne ameby. Avalon robił to tak samo, ze szczegółami takimi, jak stroboskopy i sekcje sali, gdzie można było bawić się farbami Day-Glo pod ultrafioletową lampą. Wszystko z wyjątkiem tego... czwartego wymiaru... tego Cosmo... tego syndromu trzeciej nad ranem... tego doświadczenia, tego *kairos*... *Wiedzą, gdzie to jest, ale nie wiedzą, co to takiego*... W każdym razie, te tańce były jak wielkie zaproszenie i frontowe drzwi... do Życia.

Nowe komuny także były za kisiem. Tak jak Diggersi, pod wodzą faceta nazwiskiem Emmett Grogan, którego idolem był Kesey. Robili numery. Mieli Układ Odniesienia, wielką ramę wysoką na trzy metry, którą ustawiali na ulicy i namawiali ludzi, aby przez nią przechodzili... – będziemy wszyscy mieli ten sam układ odniesienia. Potem zaczęli rozdawać darmowe jedzenie dla wszystkich, którzy przyszli, headów, pijaczków, dla wszystkich, o czwartej po południu na Panhandle'u w Parku. Jedzenie, które wyprosili u hurtowników, przewalili i tak dalej. To był niezły teatrzyk, jak codziennie chochlowali gulasz z wielkich baniek na mleko... Przy Fulton i Scott stoi wspaniały rozpadający się neogotycki dom, odjazdowy gigant w gruzach, znany jako Ambasada Rosji, The Russian Embassy. Mieszka tam nowa grupa pod nazwą Calliope Company i wodzą aktora Billa Tary. Sporo kolorowych postaci, jak Paul Hawken, Michael Laton, który zawsze nosił ruską, astrachańską czapę, i Jack Fluke, czyli Fart, roześmiany, posiwiaty Irlandczyk z brodą jak airedale terier, w taksjarskiej czapce i wyluzowanych tweedach kupionych w sklepie Slightly Soiled Shop z rzeczami lekko przechodzonymi... wszyscy siedzieli we wspaniałym salonie, pustym, ale w glorii rzeźbionego drewna, czterometrowych sufitów... Jack Fart opowiada o swojej narzeczonej Sandrze, nastolatce, która właśnie ściągnęła z powiatu Bucks w Pensylwanii:

– Wchodzę – głową wskazuje swój pokój na górnym piętrze – a ta, uwaga, ukręciła sobie *taakiego* jointa, jak *cygaro*, stary! – buja się przy radiu i pufa, stary, joint *Corona corona*, bujanie i pufanie – to było *piękne!* Aż mi się przypomniały dawne czasy.

Ba! Ta ezoteryczna nostalgia tamtych pierwszych dni *odkrycia*, pierwszej próby uchylenia owych drzwi umysłu za pomocą marihuany, to, co wyprawia się na tym etapie! – to bujanie się przy radiu – *Wiesz?* – I to jest piękne, te dzieciaki, które ściągają do Haight-Ashbury... po Życie. To karnawał! Ogrody Edenu! Jedna wielka miejska La Honda! Zupełnie otwarcie! Jest wszystko, co trzeba. Pieniądze fruują w powietrzu. Nie ma sprawy. Do licha, w trzy godziny możesz zebrać do kapelusza dziewięć albo dziesięć dolców. Boże, kiedy porządni obywatele widzą kolesia z brodą, w koralikach, kwiatkach i z tabliczką na szyi „*Mój żółdek nie jest tak dumny jak moje serce*”, to im odbija i wciskają ci éwiartki, całe dolary. Rewelacja. A w najgorszym razie zawsze jest jeszcze...

– Czy ktoś chce normalną robotę? – pyta dziewczyna imieniem Jeannie, która mieszka w Ambasadzie.

Zgłasza się Michael Latoń i okazuje się, że Jeannie pracuje co noc trzy, cztery godziny w Topless Shoe Shine, jako pucybut bez stanika w małej pucybudzie na Broadwayu w North Beach, a tam szukają szkekacza na chodnik, żeby naganiał klientów. Michael Latoń bierze tę, tak jest – normalną, robotę i wystaje wieczorami w smokingu i cylindrze i dopada dentystów, którzy rozpełzli się po całym North Beach z tchem zapartym Toplessem. Wchodzą do budy, gramolą się na fotel, stopy stawiają w pucybuckie strzemiona i patrzą, jak cycki Jennie dyndają i podrygują przez dziewięćdziesiąt sekund, kiedy czyści im buty za dwa dolary; wielki, ponury czarnuch stoi obok z ręką na czymś ciężkim, gotowy załatwić tym każdego mądralę i napałę; a wychodząc wszyscy mówią to samo:

– Najśmieszniejsze jest to, że tu naprawdę świetnie czyszczą buty!

– ...no to łyknąłem troszkę kwasu, tak żeby mnie puknęło, wiecie – mówi Michael Latoń – a tu idą dwaj Marines, taki wielki sierżant i jeszcze jeden, z paskami na rękawach, jak stąd dotąd. Ja miałem już wtedy dwa i pół metra wzrostu, a oni byli jak *mrówki*, taki byłem nawalony, krzyczę im prosto w nos: „Jeśli skończą tę wojnę, to wy, koledzy, będziecie bez roboty!” A sierżant powiada „*Taaaaaak?*”, i, stary, jakby się odwróciło – teraz *oni* mają dwa i pół metra, a *ja* nagle jestem mrówką! i...

Istny karnawał! I to nie miało nic wspólnego z polityką, to, o czym opowiadał, to po prostu numeras, ponieważ polityka, Nowa Lewica, ni stąd, ni zowąd wyszła z mody na luzackich szlakach San Francisco, nawet w Berkeley, cytadeli Rewolucji Studenckiej. Pewien koleś, na którego zawsze można było liczyć, że zademonstruje na rzecz robotników w winnicach albo nawet zrobi coś niebezpiecznego, jak robota dla CORE w Missisipi – pojawia się pewnego dnia i od razu wszyscy wiedzą, że został headem. Nosi włosy a la jezuchryste. Ubiera się w kostiumy. Ale przede wszystkim ma teraz bardzo tolerancyjny, a przez to protekcjonalny, stosunek do tych, co nadal walczą starymi polityczno-działkowymi metodami o prawa obywatelskie, z wojną w Wietnamie, z nędzą, o wolność ludów. Widzi, jak nadal tkwią w pułapce starych „gier politycznych”, wbrew woli wspierają tyranów, grając w ich gry i stosując ich taktyki, podczas gdy on, z pomocą psychodelicznych chemikaliów, zwiedza nieskończone regiony ludzkiej świadomości... Paul Hawken z Ambasady właśnie – w roku 1965 był wybitnym działaczem, trykotowe koszulki, dzinsy i budrysówki, szedł w Marszu z Selmy, pracował dla CORE w Missisipi jako fotograf, ryzykował życiem dla zdjęć warunków pracy Murzynów i tak dalej. Teraz nosi wspaniałą huzarską kurtkę ze złotym szamerunkiem. Włosy spadają mu na czoło i kark w niesamowitych, czarnych, mykonoskich kędziorach.

– Rozumiem, że nie jesteś już tak blisko CORE?

Tylko się śmieje.

– A co ze sprawami, z którymi miałeś do czynienia w zeszłym roku?

– Wszystko się pozmieniało. Szkoda, że nie widziałeś, jak szli do Sacramento, studenci z CAL wybierali się z Berkeley do Sacramento i na demonstrację.

– Aha – mówi Tara.

– Wszystko ludzie ze stowarzyszeń studenckich, w sportowych koszulach, ostrzyżeni króciutko na języka, we własnych samochodach i z wymalowanymi transparentami, wiesz, takimi od zawodowego malarza. Było tam mnóstwo szmalu.

– Aha – mówi Tara i wszyscy rozprawiają o *kanalach*. Zrobią to czy tamto wykorzystując *istniejące kanały* albo czegoś tam nie da się zrobić istniejącymi kanałami, wszyscy mówią o kanałach.

– Aha – dodaje Paul – i wymachują pięściami – podnosi pięść i macha nią z zamaszystym bajerem – i powiadają: „Ruszamy do Sacramento na protest, z dziewczynami!”

– Wszystko się pozmieniało. To tylko banda akademikowych aktywistów w mustangach.

Banda akademikowych aktywistów w mustangach! W intelektualno-wtajemniczonym światku Kalifornii trudno o bardziej obraźliwy epitet. *Banda akademikowych aktywistów w mustangach!* Smaczne, co? Och, Mario, Dylanie, Joan Baez, och, Wolności Słowa i Anty-Wietnamie, komu przy zdrowych zmysłach mogło się przyśnić, że do tego dojdzie po dwunastu miesiącach – pozostawieni latoroślom supermarketu i altanki – bandzie akademikowych aktywistów w mustangach – czyli, choć trudno w to uwierzyć, dokładnie tak, jak przepowiedział Kesey *provocateur*, rzępoląc na przeklętych organkach i mówiąc: *Po prostu odejść i powiedzieć a ja to pieprzę...*

Zgredowski luz! Cyganerskie harcerstwo! Wielkie wiece w Berkeley, które ściągały dziesięć tysięcy ludzi, teraz cieszą się z tysiąca. Wszystko się pozmieniało! Nawet sytuacja z czarnymi. Nagle Murzyni znikają z luzackiej sceny, z wyjątkiem paru handlarzy, takich jak Superspade i paru modeli, takich jak Gaylord i Heavy. W Haight-Ashbury tłumaczą to tym, że Murzyni nie przepadają za LSD. Halo z czarnymi zawsze polegało na cnocie znanej jako *cool*, spoko. LSD zaś rozpieprza tę ołowianą tarczę, znaną jako *spoko*, w drebiezgi, otwierasz się bowiem ze wszystkimi kompleksami i całą resztą. Czarnych także nie za bardzo kręci owa *nostalgia za błotem*, którą tak lubi biała młodzież z klasy średniej, ściągająca do Haight-Ashbury, zatłoczone meliny i życie *elementarne*, na podłodze na wyświechtanych materacach, jakich wstydziliby się w najobszerniejszej murzyńskiej norze w Fillmore, chleptanie sodówki i innego chłamu z tej samej butelki, w kółko z ust do ust, bez kompleksu z

powodu starego, dobrego amerykańskiego syndromu hydrauliczno-higienicznego, rozumiecie, nawet luz wobec tych dziwnych, średniowiecznych, robaczywych przypadłości, co połyskują na każdym łonie – *mendy!* – Wiesz, o co chodzi, stary, kiedy nagle przyglądasz się swemu podbrzuszu i widzisz maleńkie *blizny*, tak wyglądają, maleńkie strupki, czy coś takiego, drobniutkie sukinsyny, łapiesz jednego, odrywasz, a to zaczyna *pełzać!* O kurka siwa! Naraz wszystkie pełzają, a ty badasz swój *mons pubis* i jaja, a tam *tętni życiem*. Jak dżungla, w której jeszcze nie byłeś, w twoim własnym kroku, w twoich własnych kłakach, to żyje, jakieś pieprzone bestiarium w rzeczy samej, te małe dranie, jak kraby mięczaki, które mogłyby tańczyć na główce szpilki, dalej je łapiesz, ale, ilekroć spojrzysz, widzisz następne *osiem*, jak pełzną poprzez stepy i sawanny i prawie tracisz wzrok od wpatrywania się w tę małą Afrykę pomiędzy nogami i to jest Czas Szarej Maści, stary, szara maść – jedyne wyjście – ten mały zielony flakonik, stary! Pamiętasz! Itd... *Nostalgia za błotem!*... Samo... Życie... Nawet w takim miejscu jak La Jolla na północy San Diego, w najbardziej szpanerskim wczasowisku na plażach Pacyfiku, T_____, jeden z tej wspaniałej surfowej młodzieży, zjawia się pewnego dnia na trójkołowym motocyklu z bagażnikiem, jakiego używają doręczyciele z drugstore'ów, zajeżdża pod dom, jeden po drugim, młodzieńcy wychodzą i – *częstujcie się!* – koleś ma wszystkie pigułki i kapsułki, jakie sobie zamarzysz, plus trawkę na porcje i... Życie wre. Nawet zdeklarowane klikki surfingowe, jak Pump House Gang, czyli załoga ze stacji pomp, morskie *mysterioso* i w ogóle! – skręcają w samo Życie, część wynosi się z Pump House w górę plaży, dalej od setów surfowych fal, na które dotąd wyczekiwali nieustannie jak frygijscy zakrystianie, na Parking Lot, czyli parking, gdzie siedzą w autach o specjalnych, ametystowo barwionych szybach i odjeżdżają do oporu na słońcu Pacyfiku za tym odlotowym szkłem, gliny zastanawiają się, co oni, do cholery, całymi dniami robią w tych autach zamiast iść na plażę, więc dopadli ich, przeszukali auta, niczego nie znaleźli, ale ostrzegli. – *Wiemy, że wy tu pijecie piwo...* Piwo!... Jeden z szefów Pump House Gang, Artie, spadł do Haight-Ashbury, ponieważ taka teraz moda w podziemnym Życiu liceów w Kalifornii, mimo że nazwa Haight-Ashbury nie padła w prasie... Haight-Ashbury! Orientują się w nowych legendach, z Owsleyem włącznie, znanym teraz jako Biały Królik White Rabbit, paranoiczny geniusz kwasu... Artie spadł do Haight-Ashbury, idzie wzdłuż nie kończących się szeregów wykuszowych okien, slumsy z widokiem na morze, i któż to siedzi na krawężniku Haight, jeśli nie J_____ z dawnych czasów z Pump House, siedzi sobie obok torby na zakupy z Emporium.

– Cześć J_____!

J_____ ledwo rzuca na niego okiem i powiada: – O, cześć Artie, jakby naturalnie

obaj byli w Haight-Ashbury i to od lat, a potem dodaje: – Masz tu działkę – sięga do torby i zwyczajnie ofiarowuje mu całą działkę trawki, za friko, w biały dzień...

Artie sterował do komunalnego mieszkania Anchovy'ego. Anchovy, sam nie będąc surferem mniej znany w czasach surfu, teraz jest pięknym człowiekiem i dobrym pasterzem w Haight-Ashbury dla tamtejszej trzódki z La Jolli. Artie biega po Haight-Ashbury, to... jakiś karnawał! – wszyscy na cudownych zasadach pracują dla Kierownictwa, łykają LSD Owsleya z pudełek po drażetkach Pez, palą trawkę, biorą methedrynę, pieprzą się, dają czadu, gdzie i kiedy mają ochotę, praktycznie na ulicach... Później Anchovy robił love-ins pod nazwą linii lotniczych Trans-Love Airways na uniwersyteckim kampusie w San Diego i wszyscy odlecieli na trawce z najgłośniejszym rock'n'rollem w dziejach, palili trawkę w jakiejś cholerniej *zielonej chmurze*, na miły Bóg, i filmowali to wszystko do *archiwum*, a teraz zawarli sojusz z *prawdziwymi ludźmi*, Dobrymi Ludźmi, bandą motocyklową znaną jako Pallbearers, czyli Żałobnicy Od Trumny, lokalną wersją... Hell's Angels... *ahhhhhhaaa*... Artie opiera się o drzewo i pali lipnego jointa skręconego ze zwykłego tytoniu Bull Durham, bo trzeba *wyglądać*, jakby się pakowało cały czas... ale tak naprawdę, co *za dużo*... Chyba z dziewięć różnych komisariatów przeprowadzało masowe akcje, aby wyprzeć plagę narkotyków ze szkół średnich powiatu San Diego i napadli na slumsy w Tijuanie, jako La Colonia Tijuana znane w podziemnej La Jolli, ponieważ tego lata wielu ludzi z Życia wynajmowało tam wspólnie mieszkania na plaży, i zapudłowali parę dusz z Pump House, ale takie jest Życie, świat podzielony na surferów z głową, czyli headów, i surferów bez głowy. Swoją drogą śmiechu było tyle i jeszcze trochę, te miny gliniarzy, kiedy ujrzeli sufit w La Colonia Tijuana przykryty sklepieniem z koronki poprzetykanych pierścieni z puszek z piwem, bałwaniącej się w takich czujnych, srebrzystych falach nieziemskich refleksów...

Pokolenie W Zawieszeniu! Nie Przegrane, nie Beat, nie Milczące, a nawet nie Dzieci Kwiatów, ale W Zawieszeniu, Pokolenie W Zawieszeniu. Dzieciaki wpadają na lewo i prawo, w górze i w dole wyrzeża, za trawkę i za pierwszym razem wszyscy wychodzą, w zawieszeniu. *Bzdura, zawieszenie!* – wobec zbliżającej się nowej ery, która zbliża się naprawdę, nie ma bowiem takiego ziemskiego sposobu, żeby ją zatrzymać. Jest jak gład sunący z gór – widzisz go, rozprawiasz o nim, wrzeszczysz, mówisz, O zesz ty! ale nie możesz go zatrzymać. Wszystko zależy od tego, którądy to pójdzie. W Haight-Ashbury są dwie drogi. Jedna buddyjska, typu Leary. Są w porządku headzi, jak Michael Owen i Gary Goldhill, którzy chcą tu ruszyć z Ligą Studiów Duchowych, cały ruch pociągnąć w jeden Kościół, zrobić mu halo, a nawet osobowość prawną. I wiele poświęcili dla tego marzenia. Goldhill to piękny head! Jest Anglikiem, pisał scenariusze eksperymentalnych rzeczy dla TV

w Anglii i BBC wysłało go do USA, aby ubiegał się o jakieś poważne stypendium, Guggenheima czy coś takiego, wybrał się na wakacje do Meksyku i w San Miguel de Allende wpadł na jakichś amerykańskich headów, którzy powiedzieli, Stary, musisz tu wrócić na początku pory deszczów i wziąć trochę magicznych grzybków i niech mnie szlag, że wysłali mu telegram gdzieś chyba z Guadalajary: – DESZCZYK SPADŁ GRZYBEK WSTAŁ – on wrócił z ciekawości i wziął te grzybki, tak jak kiedyś Leary, odkrył Kierownictwo i zrezygnował ze wszystkiego, całej gry w BBC TV i poświęcił się... Życiu... Bowen miał mieszkanie z indyjskimi drukowanymi tkaninami na ścianach, z poduszkami na podłodze, indyjskimi ręcznej roboty czajnikami i filiżankami do herbaty oraz trzema małymi kryształami zwisającymi z sufitu na prawie niewidocznych nitkach, chwytającymi światło w locie jak klejnoty, miejsce oczyszczone z wszelkiego chlamu i gadzeterii współczesnej, plastikowej Ameryki, jako że, jak powiedział Leary, dom powinien być miejscem czystym, aby sam Gautama Budda mógł wpaść z 485 roku przed Chrystusem i poczuć się jak w domu. Pewnego dnia na miejscu ulic znowu w pastoralnej czystości musi wyrosnąć trawa, ponieważ życie to syf, uwięzione w złych karmach, nieskończona walka z katastrofą, którą raz na zawsze odparować można wyłącznie poprzez całkowite oczyszczenie duszy, całkowitą bierność, w której staje się *niczym...* innym niż tylko naczyniem *Wszystko...* Wszystkojednego...

...w odróżnieniu od kierunku Keseya, który stał się dominującym stylem życia w Haight-Ashbury... *ponad katastrofę...* jak na przykład łapanie się za wszystko, co się rusza i działa, każdy drut pod prądem, każdą lampę, promień, wolt, decybel, wiązkę, strumień światła i każdy odpal powiewającej narodowymi flagami, neonowej Day-Glo Ameryki i podkreślenie tego do jakichś mistycznych ekstremów prowadzących na zachodni przylądek doświadczenia

—
Ów *Dzień...* nadchodził, ale ruchowi brak było jednego, wspaniałego, charyzmatycznego przywódcy, wizjonera, który potrafiłby ściągnąć wszystko razem. Leary był zbyt stary, zbliżał się do pięćdziesiątki i niejako zbyt odległy, zakopany w Millbrook w stanie Nowy Jork. Jeśli chodzi o Keseya – siedzi w bagnie na wygnaniu w jakichś rojących się od aligatorów meksykańskich ostępach, jak sądzono... A tu Merry Pranksters wracają do San Francisco z Meksyku, własną trasą... Calliope Company daje im na miesiąc zamieszkać w Magazynie na Harriett Street, który Tara chce zamienić w teatr, starym garażu opuszczonego hotelu w Tenderloin, gdzie swego czasu trenował Jack Dempsey w specjalnym amfiteatrze z pochyłą, drewnianą podłogą, obecnie na pastwie robactwa i pijaczków – ale *Kolorowa Moc!* więc wtacza się autobus w Day-Glo i Prankstersi; poczciwi headzi schodzą się w Day-Glo

mrok tego miejsca, jak Telepathic Kid, który odbiera niewypowiedziane komunikaty – *nie mamy łózek* – wspina się po drabinie i zaczyna montować pomosty na stojących tam teatralnych rusztowaniach... w miarę jak zewsząd schodzą się Prankstersi, Hermit – z powrotem z mrocznej przygody w Napa Valley; Stewart Brand i Lois Jennings – z powrotem z południowego zachodu; Paul Foster z powrotem z Indii... wszyscy dołączają do załogi weteranów z Meksyku: Cassidy’ego, Babbsa, Gretch, Mountain Girl, Faye z dziećmi, Ram Roda, Hagena, Page’a, Doris Delay, Zonkera, Black Marii...

...i naraz świta prawda zasadnicza, rozchodzi się po wszystkich tam-tamach Haight-Ashbury: *Kesey też wrócił::: The Man:::*

Takie było tło podziemnego spotkania na szczycie Keseya z Owsleyem. Była to sytuacja tak odlotowa, jak z najśmielszych marzeń. Przede wszystkim – było to w mieszkaniu Margot St. James, które wygląda tak, jakby Margot przeczytała kiedyś historyczną powieść o rzymskich bankietach. Spotkanie zaczynało przekształcać się w debatę. Owsley, Biały Królik, siedział tu – a Kesey, Ścigany, siedział tam. Owsley był ubrany jak head z dobrego domu – długie włosy, koszula do pojedynku z bufiastymi rękawami, kamizela, koraliki, amulety, mandale zwisają mu na piersi, obcisłe spodnie i wysokie buty. Kesey miał na sobie swoją irchową koszulę, obcisłe rude sztruksy i czerwone pranksterskie buty z Guadalajary – i był w krotochwilnym i chichotliwym nastroju. Naokoło razem z Margot stali różni Prankstersi, headzi z Haight-Ashbury, headzi z San Francisco State College, headzi z uniwersytetu z Berkeley i dwóch albo trzech Hell’s Angels, wśród nich Terry Tramp.

Kesey prezentuje swoją teorię o przechodzeniu „ponad kwas”. Znaleźliśmy to, czego szukaliśmy na kwasie, i musimy zacząć robić to bez kwasu; nie ma sensu otwierać drzwi, przechodzić przez nie, a potem wracać i znowu otwierać. Musimy zrobić następny krok... Naturalnie Owsleyowi na myśl o tym lekko odbija. Głos wibruje mu emocją:

– Gówno prawda, Kesey! *To dragi* załatwiają całą sprawę. To tylko dragi, stary. Nic z tego nie wydarzyłoby się, gdyby nie dragi – i tak dalej.

Kesey wciąż przechyla głowę na bok, chichoce jak chłop z głębi kraju i mówi:

– Nie, to nie dragi. W rzeczy samej – chichu, śmichu – mam zamiar namówić wszystkich, żeby zaczęli robić swoje bez dragów – i tak dalej.

Ludzie w pokoju zaczynają śledzić tę wymianę jak mecz tenisa, głowy kręcą się to tu, to tam. Jednemu nieszczęsnemu młodzieńcowi z San Francisco State zdarzyło się popaść w tę obsesję o stopę przed Terryem Trampem. Wciskał się coraz bliżej i kręcił głową, wciskał, aż stanął przed Terryem Trampem i przeciął mu linię wzroku, co jest już wystarczająco groźne,

ale on musiał jeszcze wyjąć papierosa i zapalić, wszystko to praktycznie na nosie Terry'ego Trampa, albo o parę stóp od niego, co dla Terry'ego na to samo wychodzi.

Obłoczek bije z papieroska młodzieńca, Terry Tramp powiada:

– Słuchaj stary, masz papierosa?

Mówi to tonem, który trzeba usłyszeć, żeby w pełni zrozumieć. Jest to patentowany ton uśmiechniętej pogroźki Hell's Angels, trochę jak ton, jakim włamywacz na piętro traktuje stróża: – Chodź no tu, ko-leś... (TO ROZWALĘ CI ŁEB TĄ CEGŁĄ). Mówi to łagodnie, ale wszystko w pokoju zatrzymuje się jak *W samo południe*.

– Słuchaj stary, masz papierosa?

Chłopak czuje w powietrzu aferę. Rejestruje ją od splotu słonecznego po dżdżownicę warg. Ale niezupełnie rozumiał, o co chodzi. Po prostu śpieszy do kieszeni koszuli, wyjmując papierosy, wytrząsa jednego i częstuje Terry'ego Trampa, który bierze go i wkłada do kieszeni. A potem mówi z uśmiechem łagodnie wyszczerzonej pogroźki, która wije mu się z brody:

– Masz jeszcze jednego?

Chłopak mamroce aha, nurkuje do kieszeni, wytrząsa następnego papierosa, Terry Tramp bierze go i wkłada do kieszeni. Chłopak tymczasem sztywnieje, jak królik zmrożony promieniami wzroku pumy. Wie, że czas spadać, ale nie może się ruszyć, porażony na sztywno i zafascynowany zawisłą nad nim destrukcją. Tak, jakby nie pozostało nic innego, jak tylko odgrywać tę sekwencję. Chowa papierosy z powrotem do kieszeni – i dokładnie *wtedy*, rzecz jasna, znowu płynie mleczna atropina:

– Masz jeszcze jednego?

– Aha – i Terry Tramp bierze jeszcze jednego, chłopak chowa papierosy z powrotem do kieszeni, Terry Tramp mówi:

– Masz jeszcze jednego?

– Aha – i Terry Tramp bierze jeszcze jednego, a wszystkie oczy w pokoju wpatrzone są w królika i węża, dech zapiera kolejna złamana kość gnykowa – ile papierosów zostało jeszcze chłopakowi, proszę państwa? Osiem? – dziesięć? – a co potem, jak już nie będzie papierosów.

– *A co powiesz na koszulę?*

– Aha – uff –

– *A co powiesz na buty?*

– Aha – uff –

– *A co powiesz na spodnie?*

– Aha – uff –

– *A teraz SKÓRA, sukinsynu!*

– Moja... skóra!

Twoja własna SKÓRA, sukinsynu! Twój własny ZADEK! Ten ostatni ślad twojego honoru i dumy! AAARRRRRRRRRCZHHHHHHH!!!... I kości mu chrupią jak pieczonemu kurczęciu przepiórki...

Wszyscy w pokoju natychmiast widzą cały film: jak na popisie więziennych brutalni, Terry Tramp powoli odrywa mięso z indyka – fascynujące! – włączcie nas za tydzień na złamanie kolejnej kości gnykowej! –

– aż paru Prankstersów interweniuje, to jeszcze dziecko, Terry, daj mu spokój. Wracamy do debaty Kesey-Owsley.

Nic się przecież nie stało. Nikt nie dostał po głowie. Z pewnością Aniołom zdarzało się zachowywać gorzej. Chłopak nawet wywinął się tego wieczoru z połową paczki papierosów. Ale utknęło to w gardłach. Tak czy inaczej wychodziło na to, że Hell's Angels symbolizują ten aspekt przygód Keseya, który wprawiał luzacki świat w panikę, Aniołowie byli, pieprzeni, zbyt prawdziwi. *Wyjęci spod prawa zbóje?* Oni byli zbójami z wyboru, od samego początku, aż po same Miasto Na Skraju. Daalej! Ludzie czujni, znaczna większość acid headów, dalej bawili się w odwieczną szaradę intelektualistów z klasy średniej. – Oto moje skrzydła! Wolności! Lecimy! – ale chyba nie spodziewacie się, że rzeczywiście rzucę się z tego urwiska, co? To odwieczna gra, w której Clement Attlee, łysy jak Lenin, ruchliwy jak czołg-zabawka, wypowiada walkę na śmierć i życie dokerom Liverpoolu – i umiera pochowany w sztucznych spodniach z modrą szarfą przez pierś i monetami z podobizną Królowej na powiekach. Nawet gdyby chcieli, headom z Haight-Ashbury nigdy nie udałoby się rozciągnąć fantazji aż tam, gdzie byli Hell's Angels. Oficjalnie, publicznie, uznali ich – nagle stali się Nieokrzesanymi Witalnymi Proletami całej sprawy, jako ulubiona mniejszość zastępując czarnuchów. Prywatnie jednak headzi zostali wierni swojej klasie i strachom jej bebeczów... Kłopot z Keseyem polegał na tym, że on to brał serio.

Ale, ale! Podkręmy film. Pewnego popołudnia Kesey pojawia się nagle na zajęciach Eda McClanhana z kreatywnego pisarstwa na Stanford. Wtyka głowę w drzwi, uśmiecha się spod kowbojskiego kapelusza i mówi: – Najlepszego z okazji urodzin, Ed... – To prawda, Ed ma urodziny. Wchodzi Ścigany w irchowej koszuli i czerwonych butach z Guadalajary;

opowiada studentom, dlaczego chce zamienić pisarstwo na bardziej... elektryczne formy... i znika, cholerny Pimpernel.

Potem headzi z Haight-Ashbury odbyli pierwsze, wielkie – „be-in”, Love Festival, 7 października, z okazji pierwszego dnia nielegalności LSD w Kalifornii. Zebrały się tysiące headów w odjazdowych kostiumach, dzwonili dzwoneczkami, śpiewali razem zaklęcia, tańczyli w ekstazie na takim czy innym przelocie i ćwiczyli swój ulubiony satyryczny gest wobec glin, wręczając im kwiaty, nurzając drani w czułych, pachnących owocami płatkach miłości. Chryste, Tom, to była niesamowita sprawa, odjazd totalny, tysiące zakochanych w fazie headów robi wodę z mózgu glinom i wszystkim innym w fieście miłości i euforii. I któż to wyskakuje nagle w samym środku tego wszystkiego, w alei Panhandle w Golden Gate Parku, jak nie Pimpernel w butach Guadalajara i kowbojskim stroju, a kiedy wiadomość na dobre rusza rykoszetem przez tłum – *Kesey tu jest! Tu jest Kesey!* – znika, przeklęty Pimpernel.

Na wszelki wypadek, gdyby uchował się ktoś, do kogo jeszcze nie dotarło, o co tu chodzi, Kesey przeprowadził pewną akcję w prasie. Spotkał się z Donovanem Bessem, reporterem z „Chronicle” z San Francisco, i jako Ścigany opowiedział mu własnymi słowami o ucieczce do Meksyku i swych planach. Artykuł był bomba; „Sekretny wywiad ze Ściganym przez FBI”, przelewało się nagłówkiem przez całą gazetę. Najbardziej poruszyło wyobraźnię zdanie: „Mam zamiar w tym kraju pozostać ściganym, solą w rany J. Edgara Hoovera”.

A potem – to był piękny numer. Wywiad w TV. Ścigany w telewizorze, a wszyscy, eF Bi Ajajaj i reszta, przyglądają się bezradnie, jak pełne oblicze Ściganego Keseya wyświetla się w każdym domu, barze, szpitalu i komisariacie w Bay Area. Na samą myśl robi się pięknie, piękny numer. Ustawili go, a był to szczegółowy i chytry plan, razem z Rogerem Grimsbym, telewizyjną osobistością w San Francisco, w stacji KGO, lokalnym ogniwie sieci ABC. Fantazja ta przewidywała, że Grimsby nagra wywiad z Keseyem w kryjówce w Portrero dzielnicy San Francisco, daleko i od Haight-Ashbury, i od North Beach, a po paru dniach, 20 października w piątek, wsadzi go na antenę. Wszystko udało się jak w marzeniu. Grimsby nagrał wywiad, wszystko było spoko i w piątek po południu oblicze Keseya wyświetla się w każdym domu, barze, szpitalu i komisariacie i wszystko powtarza, osobiście:

– Mam zamiar w tym kraju pozostać ściganym, solą w rany J. Edgara Hoovera...

Patrzcie jak te skunksy gonione

Solą w rany J. Edgara Hoovera!

Hej! W policjantów i złodziei to gra. Hej! Hej ha!

Teraz pozostaje już tylko *grand finale*. Ścigany *Extraordinaire!* W tej fantazji Kesey zaprezentuje się we własnej osobie, z krwi i kości – *Kesey!* – o centymetry zaledwie od największego zgromadzenia glin w historii sceny dragowej, a potem

ZNIKNIE

jak Mandragora. Prankstersi przeprowadzą gigantyczny Festiwal Tripów, Próbę Kwasu wszechczasów, absolutną, w zaduszki Halloween, w największej sali San Francisco, Winterlandzie, dla wszystkich headów z Zachodniego Wybrzeża, od wybrzeża do wybrzeża i od galaktyki do galaktyki. Naturalnie gliny zbiegną się na te odrażające bachanalia rozejrzeć się za Keseyem i innymi przestępcami oraz podejrzanymi typkami. Ależ oczywiście! To integralna część tej fantazji! To będzie bal maskowy, ta Próba. Nikt nie będzie wiedział, który frik jest który. Gdy wybije północ, zamaskowany i przebrany za Superherosa w stylu Captain America z panteonu the Marvel Comics Kesey wyjdzie na estradę i przedstawi swoją wizję przyszłości, drogi „ponad kwasem”. *A to co za apokaliptyk?* – Wtedy zerwie maskę. – *No nie – to Ken Kiii-ziii!* – i kiedy stróże prawa rzucą się na niego, chwyci się liny zwisającej na środku estrady z dachu i wdrapie się, ręka za ręką, nawet bez pomocy nóg, z rozwianą pelerynką, w górę, w górę, w górę przez właz w dachu, gdzie będzie czekać Babbs z helikopterem, Captain Midnight z Marines, i uniosą się w kalifornijski ozon, po raz ostatni spojrzą w dół, na zadarte, księżycowe twarze wszystkich wpuszczonych w kanał, zapędzonych w kozi róg, wyprowadzonych w pole, oszołomionych, zaświrowanych, *kit wam* posterunkowych i gończych psów Taak! Taak! Właśnie! Właśnie! Właśnie!

właśnie właśnie właśnie właśnie jaki równy równy równy równy ten świat dwadzieścia pięć minut po programie Grimsby’ego w TV, w piątek 20 października po południu, Kesey i Hassler wyjeżdżali starą, czerwoną ciężarówką z San Francisco, brzegiem Zatoki autostradą Bayshore w stronę Palo Alto. Obecna fantazja... ten film jest zbyt *prawdziwy*, mamusiu – choć przecież im się udało. Właśnie byli w mieście w kryjówce, oglądali Keseya-Ściganego w TV, to był przepiękny numer. Kit FBI i wszelkim glinom wszem i wobec, jak najbardziej publicznie i dotkliwie. Popołudniowe słońce chyli się nad autostradą Bayshore, a wszystkie masy w czarnych błyszczących butach śmigają w swoich trzystukonnych autach moich marzeń wprost w godzinę szczytu, z autostrady do czekających na nie przegródek z daszkiem. Całkiem spokojna ta godzina szczytu

UDAŁO SIĘ NAM

tysiące aut żeglują opadającą szosą, gładziutko jak tłum Futur-o-matów na dnie słonego jeziora, z tylnymi światłami jak czerwone landrynki... Zrelaksowana ta godzina szczytu i hipnotyczna, jednostajnie brzęczy i mruka jak czerwone landrynki, przez które

świeci słońce, a w czerwonej ciężarówce słońce świeci od strony Keseya, bardzo zrelaksowana, więc zdejmuje czapkę niewidkę – kowbojski kapelusz i ciemne okulary

PATRZCIE JAK TE SKUNKSY GONIONE

SOLA W RANY J. EDGARA HOOVERA

Hassler prowadzi, ledwie zwracając uwagę na auta, które płyną obok w godzinie szczytu, lśniące skorupki z tłumem ogolonych globusików sterczących w środku...

KESEY!

Nagle Hassler widzi, jak z lewej zbliża się samochód napchany lśniącymi, króciutkimi językami, wszystkie wpatrzone w nich – Hasslera i Keseya – a potem przez okno wyskakuje szare ramię z Alumicronu, fechtuje i poganiam: Zjedź na bok – Stop! Jakież miny i bezgłośnie wrzaski w strudze godziny szczytu i portfel dyndający za oknem, macha na nich odznaką

UCIEKAJ! SPADAJ! ZNIKAJ!

Ale nie ma dokąd znikać. W mgnieniu oka wszystko jasne – po pierwsze, pułapka godziny szczytu – a zresztą, ich ciężarówka nie przegoni tamtych. Mają ich na muszce! – Hassler próbuje się wcisnąć pomiędzy samochody i tak ich zgubić, jak w koszykówce, ale nie z tego. Gliny płyną łeb w łeb, robią miny i wymachują, dryfują do tyłu i znowu wyrównują

TAM!

Kesey pokazuje na pobocze na brzegu nasypu, Hassler zjeżdża, zatrzymuje się z piskiem

TRRRRACH!

Kesey skacze w drzwi i rzuca się ponad balustradą, w dół urwiska, w chmurze kurzu...

Hassler siedzi sobie, kiedy tamci zatrzymują się przed nim z poślizgiem, zagradzając mu drogę. Wygląda tak, jakby otworzyło się dwadzieścioro drzwiczek, języki i szaro-Alumicronowe tułowia pryskają na wszystkie strony, przeskakują balustradę –

WSZYSCY W CZARNYCH BŁYSZCZĄCYCH BUTACH

Ktoś każe Hasslerowi wysiąść z szoferki, Hassler wysiada i siada na skraju szosy. Bardzo to dziwne. Wielki rój aut z landrynkowymi ogonami nadal żeglują obok, hipnotycznie. Hassler siada w lotosie, z nogami skrzyżowanymi na asfalcie, patrzy wprost przed siebie. Trzy pary

BŁYSZCZĄCYCH CZARNYCH BUTÓW Z FBI

stoją teraz wokół niego. *Oni wszyscy noszą te błyszczące, czarne buty.* Potem jeden idzie do samochodu, wraca z raketnicą i staje nad nim. Hassler zastanawia się, czy mają zamiar odstrzelić go raketą. Super Day-Glo śmierć. Nić astralna, ciało przyczynowe, ablacja, upaniszady, Krishnamurti, karmiczna powłoka duszy, świadomość nirwany – wszystko to

miesza się jak konserwowy gulasz, a Hassler nie jest nawet na fazie. Po drugiej stronie szosy na skraju zatoki wielkie, tłuste mewy kręcą w powietrzu wielką, dziwną formę litery O, lądują na brzegu poniżej poziomu drogi, mozolą się pod górę, śmiecie sypią się im z dziobów, ale w sumie to ładna forma –

KANAŁ VISITACION

To Kanał Visitacion wybrali, aby rozwiązać swe karmy w... och, byliśmy w takim synchu tego popołudnia... i mewy żerujące na śmieciach u ujścia kanału, co smarują śliskie, tłuste O na niebie, i Hassler uświadamia sobie, że to jego dwudzieste siódme urodziny.

Ślizga się w dół skarpy gryzie kurz jak w westernie majak Kanału rozwija się przed Keseyem w skoku przez płot przeciwozryjny u stóp wału

RI-I-I-I-IP

jakiś palik chwyta go za spodnie w kroku wzdłuż wewnętrznych szwów rozrywa obie nogawki powiewają elegancko jak u kowbojów typu Tańsza Meta którzy biegną i wymachują pomiędzy blokami Visitacion biednego poronionego osiedla mieszkaniowego błotossącego marginesu na ostatnim pieprzonym skrawku ziemi na którym można stawiać domy zanim zanurzą się w szlamie i kompoście biedne dzieci z Kanału Visitacion grają w piłkę na ostatniej ulicy zanim szlam wpadnie w ich grę wymachując gapią się na niego

I TEGO DUCHA, CO DEPCE MI PO PIĘTACH?

jakby cały świat zamienił się w nieskończoną dziecięcą grę w piłkę na granicy szlamu tysiące dzieci Kanału nikną za horyzontem jak w łobuzerskim lejku

I TEN ALUMICRONOWY MAJAK ZA MOIMI PLECAMI? błyszczące, czarne buty, które ryły z tyłu za nim, nieruchomieją w Kanale Visitacion i

MAMCIĘ!

w policjantów i złodziei to gra. Hej! Hej ha!

27. Matura

Trzymali Keseya za trzy sprawy: pierwszy wyrok z powiatu San Mateo za posiadanie marihuany, którego nie odsiedział, zatrzymanie za posiadanie w San Francisco, po którym uciekł do Meksyku, i federalne przestępstwo nielegalnego uchylania się od oskarżenia. Przestępca i zbieg... który, tak jest, na dodatek zamierzał grać na nosie... a jeszcze wszystko to w związku z koksem... no to umarł w butach... Przez trzy dni wozili go w tę i z powrotem pomiędzy powiatowymi i federalnymi sądami i aresztami w Redwood City i San Francisco. Trzeba cudu, żeby chociaż wyciągnąć go za kaucją, natchnienia, wizji:::: hmmm, wizji:::: jakoś sobie poradzimy:::: adwokaci Keseya Pat Hallinan, Brian Rohan i Paul Robertson mają

wizję. Następnego ranka są w sądzie w Redwood City na przesłuchaniu w sprawie kaucji. Ten nowy styl Nowoczesnych Sądów, ten sąd, cały w pięknych klockach z jasnego drewna bez słojów i taki bezpretensjonalny jak... te *mile banki* na przedmieściach. Bardzo tu słonecznie w świetle jarzeniówek. Kesey siedzi za stołem obrony, ubrany w niebieską roboczą koszulę. Robertson stoi i opowiada sędziemu o pewnej wizji pana Keseya, o idei „ponad kwasem”, o natchnieniu, cudzie, świetle, które ujrzał, szczegóły z plaży w Manzanillo nie mają tu znaczenia, nie... tamte światła... W każdym razie... pan Kesey ma pewien plan o wielkim społecznym znaczeniu... Dobrowolnie powrócił z wygnania w zacisznej przystani, naraził się na nieuchronne aresztowanie i uwięzienie po to, aby zwołać wielki zlot wszystkich amatorów LSD, byłych, obecnych i potencjalnych, w celu namówienia ich na ruch ponad ten zgubny nawyk... Robertsonowi buzia się nie zamyka. Wielka przemowa. Kesey siedzi za stołem wyprostowany, miota niebieskie gromy na sędziego. Ale słowa Robertsona są jak mgła. Kesey znika w tej zupie, wynurza się w chmurce, na waszych oczach przechodzi metamorfozę. Odkrył religię, skrucę, odkupienie, błąd, w jakim tkwił, i teraz ma zamiar ogłosić Młodzieży tę smutną prawdę... Faye i dzieci są wśród publiczności. Także wielu z ich dawnych przyjaciół z Perry Lane, Jim i Dorothea Fadiman, Ed McClanahan, Jim Woltman i kilkoro innych... Niektórzy z nich zastawiają swoje domy jako poręczenie kaucji, 35 000 dolarów... Żal i pokuta unoszą się w sali sądowej jak skrzydlate anioły. My, reporterzy, wszyscy skrobiemy zawzięcie... Kesey wstaje twarzą do sędziego, z założonymi rękami, a sędzia prawi mu kazanie... Może sobie być wielkim orłem literatury i romantyczną postacią dla jakiejś pomyłonej młodzieży, ale tu, dla tego sądu, jest dziecinnym dupkiem, wiecznie niedojrzałym egoistą, jakimś... Sędzia leje, leje w gardło jak tran, choć oczywiste jest, że zmierza do oświadczenia, iż w tych okolicznościach, mimo wszystko, zamierza zgodzić się na kaucję... Mimo wszystko Kesey się gotuje... Widać, jak zaciska szczęki i szykuje się, żeby otworzyć usta... Bóg świadkiem, że widzą to Hallinan i Robertson. Przycupnęli za nim jak zbóje. Niech mu się wypśnie choćby jedno słówko, a złapią go za gardło... *Siedź cicho, do jasnej cholery. Nie popsuj teraz wszystkiego. To tylko tran...* Ale sędzia właśnie skończył i jest już po wszystkim. Wychodzi za kaucją z sądu powiatu San Mateo.

Po tym jakby przerwała się tama. FBI odstępuje od federalnego zarzutu o nielegalne uchylanie się od oskarżenia. Nagle nie wydają się zbytnio zainteresowani sprawą, pomimo soli w rany J. Edgara Hoovera i całej reszty. Potem znowu do San Francisco, Kesey staje przed sędzią, ubrany w spłowiała sportową koszulę, robocze spodnie i wysokie buty. Sędzia przygotował sobie niesamowitą mowę, że prasa rozděła tę sprawę ponad wszelkie proporcje, że – jeśli o niego chodzi – jest to pospolita sprawa o narkotyki, że Kesey to nie żaden smok,

tylko zwykły osioł... Kesey chce coś powiedzieć, Hallinan i Rohan czają się z garotą, ale znowu jest po wszystkim i wypuszczają go za kaucją także w San Francisco. To niewiarygodne. Wychodzi już po pięciu dniach.

W San Francisco w areszcie
Zanim wyszedł za kaucją wreszcie
Poznał Kesey o magicznych paznokciach chłopaka
– Poliz sobie – koleś powie
Polizala cała paka
Polizali paznokcie i puścili im klepki
Dwudziestu siedmiu świrów
Odleciało jak pociski
Nike wyszorowanymi ługiem
Betonowymi korytarzami powietrznymi aresztu w San Francisco Bo w swych magicznych paznokciach chłopak miał LSD.

No i –
Opowiedział Kesey tę historię
Reporterom lokalnych dzienników
Co cisnęli się wokół niego w sądzie
Po sesji w sprawie kaucji
By wykazać jak nie mają racji
Ci co narkotyki chcą wyplenić w narodzie
Z glin pomocą aresztów i podobnych trików
Spróbujcie powstrzymać chłopaka o magicznych paznokciach!
A nagłówki na to
ORGIA LSD W ARESZCIE W SAN FRANCISCO!

Ach...
Byli headzi miejscowi co krzyknęli Judasz.
Zdradził dołek z towarem ten Judasz!
Sam przebiegle
Za kaucją z mamra się wywinął

Ledwie a już skrytkę z za paznokci wydał glinom!

Ale prawda jest taka, że
Pocziwe serduszka przedsionkami migocą
Ze strachu przed wibracją szelmą
Kwasowej Matury pokręconej
za którą Kesey i Prankstersi się wezmą
Ich odlotowy Day-Glo ostatni zajazd na Winterland

Jakby, no wiesz,
Że niby
Widzisz, *co się dzieje*:
Dziesięć tysięcy dzieci kwiatów, trawki, kwasu, speedu, pigulek, żółtych kapsulek,
nitrogliceryny,
Dziesięć tysięcy headów, frików, beatów, hipibzików, farbowanych hipilisów toczy się
z grzbietu Haight Street
Brzdąkają dzwoneczkami grzechocą koralikami zioną trawką powłóczą elfimi buciorami
wyroili się plackiem
Przed Prorokiem z powrotem we wnętrznościach Winterlandu.
Cała psychodelia lamentuje w rytm chóralnego brzęku Merry Pranksters bandu!

Żaden problem dla nagłówek Superbohatherosa
Cudownego Cagliostro Elmera Gantry'ego Day-Glo Nerona –

Na najwyższym piętrze ambasady rosyjskiej, w wyjątkowo zapuszczonym, brunatnym pokoju... Wygląda na łatwopalny, albo samowychowowy, następne kasznięcie, być może, i wszystko pójdzie z dymem. Jack Fart siedzi w łóżku, ściślej na materacu na podłodze, plecami oparty o ścianę... nie ma na sobie nic, z wyjątkiem taksjarskiej czapki, siwizny na twarzy i siwizny na piersi *camembert*... do pasa okrywa go brunatny koc... Popatrz na to! Jeśli interesuje cię Kesey. Wielki napis na arkuszu rysunkowego papieru, przybity do ściany:

DROGI KENIE
POZDROWIENIA Z WIĘZIENIA

CHCIELIBY WIEDZIEĆ, CO Z ICH SZMALEM.
MAJĄ PYTAĆ U CIEBIE, U SĘDZIEGO CZY
JESZCZE KOGOŚ INNEGO?

Sandra, dziewczyna z powiatu Bucks, siedzi zwinięta w kłębek w nogach materaca. Bardzo blady, delikatny, nastoletni kłębek. Łatwy kasek, na raz do ust, siedzi pod jedynym w tym pokoju meblem, stojącą lampą z wysięgnikiem, już nie buja się przy radiu, tylko siedzi zwinięta w nastoletni kłębek i słucha, jak Jack opowiada mi o liście:

– Stary, wielu porządnych headów trafiło na policję i do aresztu, kiedy Kesey to powiedział.

– Masz na myśli to, że gliny...

– Dokładnie. Sytuacja była groźna. Bo tu jest sporo kolesi, których Ken Kesey wcale nie zachwyca. Wysłali mu ten list.

Cóż, najwyraźniej go nie wysłali, bo jest tu, na ścianie. Ale myśleli o tym...

Łatwopalne schody skrzypią, do pokoju wchodzi chyłkiem ciemnowłosy drobny facet w koszulce i dżinsach, z okrągłym plastikowym pudełkiem pasty serowej i z nożem w pochwie –

– Jack! – szepce dziko

– jednym z tych długich noży z kupą eleganckiej macicy perłowej na rękojeści, które widuje się w Chinatown w sklepach z pamiątkami.

– Sytuacja była groźna – mówi mi Jack Fart. Nie zwraca uwagi na tego faceta.

– Jack, popatrz tylko – mówi koleś.

– Bardzo fajne, Frenchy – odpowiada Jack.

– Jack... to jest *piękne* – mówi Frenchy.

– Bo jest tu sporo kolesi – powtarza Jack.

– To piękne – powtarza Frenchy. – Jack, nie wiesz, czy gdzieś tu jest morfina?

– Nie – odpowiada Jack i podejmuje wątek: – Bo tu jest sporo kolesi –

– To jest piękna sprawa – mówi Frenchy,

– ...których Ken Kesey wcale nie zachwyca i wysłali mu ten list.

– Jack...

Frenchy kuca na podłodze, otwiera serową pastę, wyciąga nóż z pochwy i pograża ostrze w paście. Cóż za ostrze! Długie na stopę i grawerowane w chińskie demony. Wyciera o język grudki pasty z noża. Sandra siedzi cicho zwinięta w kłębek, buja się przy samym życiu. Jack nawija o perfidii na wysokich stanowiskach...

Nie wiem, o co chodzi z tymi pieniędzmi. Chcieliby wiedzieć, co z ich szmałem. Ale sens jest jasny. Kesey sprzedał się, żeby uniknąć co najmniej pięciu lat wyroku. A teraz to przypieczętuje zwoławszy wszystkie dzieciaki do Winterlandu i każąc im przestać brać LSD... Pieprzony przewał...

Kesey jest, oczywiście, w trudnej sytuacji. Gdyby odwzajemnił się sędziom kazaniami, jak na Superherosa przystało, byłby to zapewne koniec sprawy, a on sam w puszce na ładne parę lat. Z drugiej strony, jeśli rewanżuje się tylko nieodgadnionym, orientalnym spojrzeniem, jak każę obecna fantazja „ponad kwasem”, w Haight-Ashbury wygląda to na totalny przewał...

Wszyscy ci poczciwi headzi... nieźle się bawili... lato euforii, tysiąclecie w rzeczy samej, LSD i setki pięknych ludzi na planie, koniec z małymi gierkami. Będą się rozprzestrzeniać po świecie jak fala i kończyć z picem, topić go w miłości i świadomości i nic ich nie powstrzyma. Muszę to przyznać tym headom. Naprawdę chcą skończyć z małymi gierkami. Ich serca są czyste. Nigdy nie natrafiłem wśród nich na więcej niż jednego albo dwóch cyników czy przewalaczy. Ale teraz, gdy nadeszła ta chwila, wszyscy się zastanawiają... Hm... kto wskaże drogę i zapali światło? I wtedy zaczyna się mała gierka, znana jako polityka... Hm... Ich serca, jak powiedziałem, są czyste! Niemniej jednak Chet Helms i Family Dog mają swoje sprawy, Bill Graham ma swoje, Grateful Dead swoje, Diggersi swoje, Calliope Company swoje, Bowen swoje, nawet Gary Goldhill... Trochę tak, jak w ruchu socjalistycznym w Nowym Jorku po I wojnie światowej – rewolucja wisi na włosku, jak wszyscy wiedzą i są co do tego zgodni, a jednak, Jezu Chryste, każdy i jego brat ma swój manifest, Lovestonici, Socjaliści Dubinskiego, Komunistyczna Partia USA (bolszewicka), Wobblies, wszyscy mają maszyny do pisania oraz powielacze i wszyscy kręcą się jak szaleni i wytrząsają nawzajem nad swoimi błędami w tłumaczeniu Nowiny. Nie żeby headzi w Haight-Ashbury brali się już za łby, ale co począć z Keseyem? Siedzieć z założonymi rękami, a on i Prankstersi niech sobie robią swoje? Niech sobie próbują zniechęcić masy wrażliwych dzieciaków do LSD, jak mówił w gazetach, że zamierza? Albo niech sobie ni stąd, ni zowąd zrobi w Winterlandzie piękne halo i stanie na czele całego ruchu? Polityka, jednym słowem...

A Prankstersi... za jakiś czas... znajduję ich w garażu Caliope przy Harriet Street, starym garażu, byłej fabryce zapiekanecek na dnie starego hotelu. Wyrzeszczam wzrok w obłądnym mroku tego miejsca, na przegniłe drewno i zatęchłe kąty, podarte koce, rusztowania, zdemolowane fotele teatralne i świecący autobus, zwalisty w swoim własnym smarze, gnijące materace, na których ludzie spali pokotem, oraz stację Shella za rogiem, gdzie

wszyscy oddawali mocz, i nie mogłem zrozumieć, z czego niby mieli się tak cieszyć. Nie daje mi to spokoju. Kiedy spoglądam wstecz, widzę, że wszyscy próbowali mi powiedzieć... Hassler tym dyskursem o świecie pełnym gier i próżnego przeciwstawiania się oraz o tym, jak Prankstersi chcieli pokazać światu, jak żyć... z błyskającym futerałem na szczotkę do zębów... Miły z niego gość! Próbował przekazać mi pełen obraz za jednym zamachem. To nie było o policjantach i złodziejach w Meksyku, to było o...

Prankstersi ciągną z daleka... Dawna Schizma zapomniana... Paul Foster wrócił z Indii, wygląda na wycieńczonego, nie ma wąsów ani bokobrodów, głowa ogolona, ale wielki Bóg Wirnik huczy i wierzga... Page opowiada mi o *huaraches*... Mountain Girl, Doris Delay, Hermit, Hell's Angel Freewheeling Frank, Cassady i jego wirujący młot, Babbs, Gretch, George Walker... Zonker wkracza w arabskim zawoju na głowie, jak brat Lawrence'a z Arabii... W końcu zajeżdża Kesey, wychodzi Faye z dziećmi... Ludzie Flagi, autobus świeci, mistyczna mgła unosi się...

Siedzę wśród widowni w studiu programu telewizyjnego Johna Bartholomew Tuckera, w stacji KPIX przy Van Ness Avenue, w mroku z tyłu za czarnymi deklami reflektorów, kamerami, mikrofonami na żurawiach, zwojami kabli... No, będzie wesoło –

NIEBEZPIECZEŃSTWO: LSD

pojawia się wielkimi literami na ekranach monitorów w studiu, wraz z rysunkiem trzech kostek cukru pod spodem... symbolem LSD, rzecz jasna, tak jak cztery ikсы, XXXX, to symbol whiskey, a głos spoza kadru zapowiada:

– ...powieściopisarz Ken Kesey...

Tam w przesmyku, za dżunglą statywów do reflektorów, kabli i całej reszty, w wielkiej plamie światła, na obrotowym fotelu Saarinena z mlecznobiałego włókna szklanego, za którymi przepadają telewizyjne programy z udziałem gości, siedzi Kesey w irchowej koszuli i czerwonych butach z Guadalajary... Tucker, gospodarz programu, wygląda jak absolwent lepszego college'u z kalifornijskiej Ivy League... drugi gość zaś, Frankie Randall, jak ktoś typu Yachtman Las Vegas, jakby zaraz miał opowiedzieć długą historię czegoś bardzo zniechęcającego, co przydarzyło się El Dorado, jego kabrioletowi, na parkingu w L.A. Jak widać, program miał *balans*, jak powiadają... Uderza do głowy, jak sen na jawie... cukierczek dla mózgu... mała pogawędka z Randallem na temat Sali Perskiej, biesiadowania u Sardiego i wylegiwania się na piaskach Malibu.

– No to, dokąd się stąd wybierasz, Frankie!

– No, w przyszłym tygodniu będę nad Jeziorem Tahoe, John! – a potem, poważnie,

przedstawi marszałka seniora psychedelii, który opowie o niebezpieczeństwach LSD i będzie namawiał dzieciaki, aby dały sobie z tym spokój, jakby był eks-komunistą, nawróconym i po powrocie z klasowych walk, z kilkoma podniecającymi opowiadkami, a potem morałem. Właśnie to, co trzeba! Technienie melin ćpunów, a potem zimny prysznic.

– No to, powiedz mi Ken, czy mógłbyś przybliżyć nam, jak to jest na przelocie po LSD?

– Taaak, odlatujesz, że ci się w dyńce nie mieści.

Tuckera zatkało –

– No a teraz zamierzasz zapowiedzieć wszystkim, żeby już tego nie brali, nieprawdaż?

– Zamierzam powiedzieć im, żeby przeszli do następnego etapu.

– Następnego etapu?

– Czas już przejść do następnego etapu rewolucji psychodelicznej. Nie wiem, co to będzie, a przynajmniej nie potrafię tego opisać, ale zdaję sobie sprawę, że osiągnęliśmy pewien punkt i już nie posuwamy się dalej, już nie jesteśmy twórczy i właśnie dlatego musimy przejść do następnego etapu.

Następnego etapu?... i tak dalej... Nie mogą zrozumieć, co, na Boga, mówi ten wielki kowboj... A co z tymi niebezpieczeństwami, stary, tymi *kostkami cukru*, co je tutaj mamy... i tuż przede mną, pośród kabli i reflektorów, jakiś technik i asystentka od produkcji gorączkowo gryzmolą grubym flamastrem na wielkiej suflerskiej planszy i podtykają Tuckerowi i Keseyowi pod nos, ledwie poza polem widzenia kamery –

NIE ZAPOMNIJCIE O NIEBEZPIECZEŃSTWACH LSD! POWIEDZCIE, ŻE LSD JEST NIEBEZPIECZNE – ZWŁASZCZA DLA MŁODZIEŻY!

a Kesey przygląda się im tylko i śle najwspanialszy, najbardziej nieodgadniony uśmiech chłopa z głębi kraju, który na ekranie wygląda, jakby nagle zobaczył starego kumpla, co powiada: A co to za kit, Kiii-ziii...

Później tego samego dnia, znowu na ekranach TV w San Francisco, Kesey, Prankstersi i autobus zajeżdżają do Winterlandu na wizję lokalną przed Kwasową Maturą, Acid Test Graduation... mikrofony TV... Kesey w kombinezonie Człowieka Flagi i ogromnym, słomkowym, kowbojskim kapeluszu...

– Ken! Ken! – Reporter telewizyjny zajmuje pozycję. – Ken, czy zechciałbyś powiedzieć nam o apelu, który ogłosisz młodzieży na Kwasowej Maturze?

Kesey odpowiada:

– Zamierzam powiedzieć im „Nigdy nie ufaj...”

BRAAAAAAAAAANG

Potężny glut sprzężenia wkręca się w mikrofon –

– Zechciałbyś to powtórzyć, Ken?

– Braaaaaaaang – mówi Kesey.

– Cha, cha. No nie, to, co mówiłeś.

– Nigdy nie ufaj Prankstersowi – powtarza Kesey. Cięcie na stadko Ludzi Flag wyskakujących z autobusu...

Nigdy nie ufaj Pranksterowi!... Cholera!... To od nowa wstrząsa całym Haight-Ashbury, nie ma żartów. Od nowa rozpala się paranoja. Gruźliczy headzi ślizgają się w tę i z powrotem wzdłuż wystaw przy Haight Street. Gęgają w kucki po salonach w indyjskim drukowanym kretonie. Cała sprawa skręca w lewo po stachanowsku. Kesey nie ma zboczenia prawicowego, tylko lewicowe. Przewał nie polega na tym, że powie dzieciakom, żeby przestały brać LSD, to tylko przykrywka. Tymczasem on wytnie monstrualny numeras, który rozwali ruch psychodeliczny raz na zawsze... Cóż, acid headzi w Haight-Ashbury pod jednym wszakże względem są jak jedno plemię, to widać. Wszystko to tam-tamy i ploty, uwielbiają to, pływają się w tym jak ryby w podziemnym strumieniu... Pewna niesamowita myśl musuje w tym uniwersalnym mózgu... Kwasowa Matura jest zapowiedziana w Winterlandzie na poniedziałek, 31 października, zaduszki Halloween. Następnego wieczoru w Winterlandzie kalifornijska Partia Demokratyczna odbywa wielki zlot na rzecz gubernatora Browna, który konkuruje z Ronaldem Reaganem. Kesey i Prankstersi robią swoją hecę w Winterlandzie w Halloween, no nie? Żadną – kwasową maturę”, a normalną Próbę Kwasu na niewiarygodną skalę. Elektryczna Oranżada będzie śmigać w powietrzu jak tajfun, buzować we wszystkich żyłach, 6000 headów na totalnym przelocie, rykoszetują o ściany jak piłeczki w elektrycznym golfie... Niebo wali się... Ale to jeszcze nie wszystko. Jeszcze im mało, maniakom! Prankstersi wysmarują DMSO wszystkie drzwi, poręcze, ściany, krzesła, centralne ogrzewanie, krany z wodą, DMSO podrasowanym LSD... Kumasz? DMSO jest bliskie staremu alchemicznemu ideałowi, uniwersalny rozpuszczalnik. Zanurz w DMSO czubek palca, a po półminucie poczujesz je w ustach. Tak szybko przenika skórę i cały system. DMSO z LSD... Co za wizja! Następnego wieczoru cała Partia Demokratyczna Kalifornii się załapie, odbije im kompletnie. Osiem tysięcy rozdętych, tłustożadych Senatorów, Zjazdowiczów, Narodowych Komiteciarzy, Narodowych Komiteciarek, Kongresmenów, sam Gubernator, wyją jak śmiercionośne syreny, fruują naokoło, bulgocą, pryskają, smażą się jak sarta umysłowo chorych naleśników, po czym na cały ruch psychodeliczny runie Głucha Policja wymachując knutami...

Chryste! Ale bigos... Teraz headzi nie wiedzą już, czy Kesey ich sprzedaje, czy wtyka

wielki fajerwerk w uniwersalne dupsko. Są zafascynowani. Wpadają do Magazynu i wpatrują się w mrok. Oczy świecą im w wejściu wątrobową gorączką... Wchodzą do Magazynu, gapią się na autobus, gapią się na Keseya, Mountain Girl, Cassady'ego, Babbsa... Zjawia się cały pluton, grzechocą koraliki, bujają się wokół jak *gauchos*, gapią się na autobus, odjeżdżają „Uaauuuu! Uaauuuuu!” i uśmiechają się do siebie, że to niby takie niesamowite, a nagle wszyscy Prankstersi milkną. – Gliny – mówi Mountain Girl z totalną odrazą. – Skąd wiesz? – Popatrz na ich buty. Noszą sznurowane, wysokie trzewiki jak monterzy linii telefonicznych. – Headzi nie nosiliby takich ciężkich butów – dodaje. Ale tylko na chwilę psują się humory. Prawda jest taka, że Prankstersi idą ostro. Całe miasto mają już w swym filmie, gliniarzy i w ogóle. Kesey jest wszędzie w TV, radio i prasie. Znakomitość, znakomitość doskonała, Poczciwy Ciemny Typ, tchnie wszelkimi tajnymi Ze-lockimi rozkoszami grzechu, ale obiecuje, że będzie grzeczny. Jeździli autobusem po całym mieście, tumaniąc komunalny mózg... Nawet w Fillmore, słynnej czarnej okolicy, głośniki grały rock'n'roll, powiewały amerykańskie flagi, na autobusie wielki napis

KOLOROWA MOC

sunął gettem w plamach wirów Day-Glo. Czarnuchy w Fillmore nie wiedziały, co o tym, do cholery, sądzić. Czy białe friki tak *na serio*, a tylko pomylili się w haśle? Czy to tylko kiiiit – ale kiedy już znajdowali odpowiedź, autobusu dawno nie było. Potem wielki napis

KWASOWA MATURA

trafiał na autobus i ruszał w drogę przez Haight-Ashbury i śródmieście San Francisco, North Beach i Berkeley, reklamując największe na świecie zgromadzenie wszystkich headów. Prankstersi wiszą z każdej dziury.

George Walker na dachu na bębnach, Page na gitarze elektrycznej. Mountain Girl zwisa z tyłu, wybucha słonecznymi błyskami i wrzeszczy na zakłopotane masy w związku z wyścigiem do gubernatorskiego fotela i różnymi przewinami Keseya.

- Kesey na gubernatora!
- Skazaniec z zasadami!
- Jego dorobek świadczy o nim!
- Faworyt idiotów!
- Joint w każdej skrytce!
- Bez koksu ani rusz!

Znowu byli *odporni*. Całe pieprzone miasto grało w ich filmie. A potem...

...Winterland; tak jest... Najtrudniejsze w całej fantazji było, jak zwykle, znalezienie odpowiedniego miejsca. Winterland jest idealny, największy amfiteatr pod dachem w

granicach miasta, sprawna firma, odbywały się tam rewie na lodzie itp. Kierownictwo Winterlandu nie chciało mieć do czynienia bezpośrednio z Keseyem i Prankstersami. Maniacy! kryminaliści... Właśnie po to potrzebny był Bill Graham. Graham i Kesey nie kochali się zbyt, ale Graham zgadza się wystąpić jako producent, impresario, trzeźwa ręka na kierownicy i podpisać kontrakt. Zadanie Grahama to panować nad nową falą. Ale ma to dla niego także estetyczny i moralny sens. Jest wyznawcą, pod całym tym... Hmmm... I Kesey... No cóż... Tak czy owak Hallinan i Rohan opracowują kontrakt pomiędzy Grahamem i Intrepid Trips, Inc. Kontrakt podpisany, depozyt złożony, wszystko zgodnie z prawem i na ostatni guzik.

Dalej, problem z Grateful Dead. Kesey chce, żeby zagrali na Kwasowej Maturze. Mówi, że to podstawowa sprawa. Ale Dead mają umowę na granie na dorocznym zaduszkowym balu kostiumowym w California Hall. Jak na ironię, organizują go dobroczyńcy Prankstersów, Calliope Company, a w ich imieniu sprawę prowadzi impresario nazwiskiem Bob McKendrick. Kesey, McKendrick i parę osób z Calliope Company, Paul Hawken, Michael Laton i Bill Tara, siedzą na górze w mieszkaniu na najwyższym piętrze rachitycznego budynku przy Pine Street, całego w białych listewkach i wykuszowych oknach. Nie ma żadnych sprzętów, tylko materac w dużym pokoju. Słońce razi strasznym blaskiem. Kesey siedzi na materacu, a wszyscy inni kucają na podłodze. Z wyjątkiem McKendricka. On stoi na środku pokoju, jakby tańczył na gorącej płycie. Nosi obcisłe, czarne spodnie, czarne mokasyny z noskiem ze skóry rekina, cienki czarny sweter i rozpiętą pod szyją koszulę... wystroił się jak luzak typu Luzak, krótko mówiąc. Rozpada się w blasku słońca, dwadzieścia siedem części, wszystkie się wiercą.

– Słuchaj, Ken – powiada – ty jesteś wódz, prorok, można powiedzieć, i masz coś ważnego do przekazania, ja to kumam, wiesz? Ja to szanuję... Ale ja muszę o tym myśleć w innych kategoriach. Ja odpowiadam przed wieloma ludźmi i w grze jest sporo pieniędzy.

Dwadzieścia siedem części! – wszystkie się kręcą, czy nikt nie widzi, że w grze w impresaria to podbramkowa sytuacja, te tańce w California Hall. Kesey siedzi i przekonuje go, zastanawia się, ile to jeszcze potrwa, zanim zrozumie, o co chodzi. – Do diabła, stary! Połącz siły z Prankster sami. Przenieś swoją akcję do Winterlandu, zostań współorganizatorem. Jeśli nie i tak wszyscy Ludzie pójdą do Winterlandu, a on i jego California Hall i tak padnie. McKendrick wychodzi z siebie. Czarne spodnie błyszczą w słońcu. I tak, i tak węszy katastrofę. Złóżcie mnie z powrotem razem! Wszyscy się gapią. Razi ich tu słońce i mają krótki wzrok! Zatrzymuje się. Zgadza. Wycofuje się z California Hall i uwalnia Deadów, młócka, rozsypka –

– proch i pył, i odlotowe kawałki, mruczanki. Headzi zaczynają mruczeć o Keseyu, że idzie na siłę. *Kesey idzie na siłę*. Grateful Dead... Nieźle sobie radzili! Od czasów Prób Kwasu stali się *kimś*, pionierami nowej muzyki, acid rocka, a firmy płytowe zaczynają węszyć za::::: hmmmmmmmm::::: *nową sprawą*? Hak im w smak. Teraz wszystko i wszyscy są w jednym worku, w Winterlandzie.

Piątek wieczór, więc Prankstersi postanawiają wpaść do Fillmore. No bo to piątek wieczór. Kesey, Cassady, Babbs, Page, około tuzina ludzi, wszyscy w kombinezonach Ludzi Flag, Cassady podrzuca swój młot. Okolice Fillmore to istny teatrzyk dziwów natury. Sala leży w samym środku murzyńskich slumsów, na rogu Fillmore i Geary, jest piątek wieczór, na ulicach mnóstwo młodych czarnych w kapeluszach Stingy-Brim ze sztywnym rondem, jak zwykle na ulicach w piątek wieczór, stare Murzynki robią zakupy na weekend, sklepy z gorzałą, drugstore'y, auta obok siebie o centrymetry, wszędzie czarne twarze. A tu, w samym środku, białe friki. W psychodelicznych przebraniach, gulgocią i gęgają w stronę Fillmore – Kolorowa Moc! Mają coś takiego, nie ma sprawy. Kesey i Prankstersi wchodzą schodami do sali, która mieści się na drugim piętrze. Kesey rozmawia ze sprzedawcą i z kontrolerem biletów. Poważna konferencja. Kontroler idzie na górę. Wraca... jakby bardzo złe wibracje... Nie mogą wejść, jeśli nie kupią biletów... Graham... złe wibracje, pieprzona zniewaga, w gruncie rzeczy. Prankstersi wracają na ulicę, aby się namyślić. Przy tylnym wejściu jest wysoki płot z siatki, a za nim chrupie coś nawiedzony, policyjny pies... Graham... Cassady idzie... po kilku minutach jest z powrotem.

– Wpadłem na Billa Grahama – powiada. – Wyszedł na ulicę sprawdzić rowki w oponach, czy nie wbiły się w nie jakieś grosze. Ja mówię, „Bill...”, a on mówi, „Słuchaj, Neal, należymy do dwóch różnych światów. Ty jesteś hipi, a ja jestem zgred. *Zgred*”. O, tak mi pokazał – i Cassady robi w powietrzu kwadrat z kciuków i palców wskazujących. – „Ty jesteś hipi, a ja jestem zgred”, powiada, „Ja wysiadłem z tego metra w 1955, a ty ciągle w nim siedzisz. Należymy do dwóch różnych światów. Ty jesteś hipi, a ja jestem zgred, mówię ci, Wodzu – zwraca się do Keseya – poczułem bardzo negatywne uczucia. Pamiętałem, co powiedziałaś kiedyś o negatywnych uczuciach, a miałem kilka bardzo negatywnych uczuć”. Kesey śmieje się, ale –

Całą sobotę Prankstersi pracują jak szaleni. Przygotowują mnóstwo najróżniejszego sprzętu, mikrofonów, punktowców, wzmacniaczy, kolumn głośnikowych, stroboskopów, nawet elektroniczny syntezator, cały fajans, który mieli na Próbach Kwasu, i jeszcze trochę. Do Winterlandu mogą wejść i montować się dopiero w niedzielę, ponieważ w sobotę jest tam jakaś impreza. W każdym razie, pracują jak w zaprzęgu w sobotę i do rana w niedzielę... O

piątej rano w niedzielę wpadło gównem w wentylator. Rohana, adwokata Keseya, budzi telefon... To Graham, bardzo wzburzony, wyjaśnia milion rzeczy na kilometr na minutę.

W biurze Grahama w Fillmore odbywa się małe zebranko. Odbywa się całą noc. Graham walczy z wieloma negatywnymi uczuciami. On też zna ten termin. Na pamięć – Chet Heim też go zna i Grateful Dead i Quicksilver Messenger Service i wielu innych:::: jest tu trzy czwarte Branży, mówi Graham, pełno ich, wiszą na ścianach... Wszyscy mają straszny problem. Czy faktycznie pozwolimy na to Keseyowi? Na taką popelinę? Isć::: *ponad kwas*, cokolwiek to może oznaczać, a z czego, niezależnie od tego, co to jest, dla nikogo tutaj nie wyniknie nic dobrego... Przećwiczyli wszystkie wersje, przewał, wcisk na siłę, to jak Kesey przycisnął McKendricka, to DMSO... DMSO! Oczywiście! Chryste, Bill, czy ty tego nie widzisz... Gniotą na Grahama, żeby się wycofał z tego układu. Złapali mnie za wszystkie odnoża, dzikie holownicze ciężarówki śpieszą w cztery strony róży wiatrów... Im więcej mówią, tym pilniej trzeba *zrobić coś*, bo inaczej po co siedzieliśmy tu całą noc... Nadzieja rodzi się w ciepłku pod pachami... Helms wszystko rozumiał. Kesey ma militarną mentalność. Myśli kategoriami gradientu mocy. Udaje pustynnego lisa – nęci przeciwnika na własny teren, wycofuje się oświadczając, że wrócił, aby powstrzymać młodzież od brania kwasu, a kiedy już spędzi te tysiące normalnych ludzi, wtedy zaprawi ich kwasem. Kesey rozgrywa taktyczną partię fałszu i obłudy i tak dalej... No i Dead... Dlaczego mielibyśmy dla Keseya kiepski sobie układy, na które pracowaliśmy tak ciężko? Jak powiada felietonista Ralph Gleason... Kesey zamierza rozwalić nam całą nową scenę z San Francisco. I Graham... Wpadłem na ulicy na Cassady'ego. Wymachuje na mnie młotem, jakby miał zamiar utracić mi łeb, jeśli nie pójdę mu na rękę... Wiele negatywnych uczuć. Kesey to Elmer Gantry, mówi Graham... Oczywiście! Elmer Gantry, ten ewangeliczny demagog... Tak czy siak, popelina... Jeśli rozwali, to rozwali nam wszystkim. Jeśli mu się uda, przejmie cały ruch psychodeliczny i poprowadzi go ku sprawom typu Elmer Gantry, Ojciec Niebieski, Tatko Grace, Cagliostro, czeluść szarlatanerii, młocia teokracja, fosforyzujące faszystowskie fandango, Król Herod kulawi nam Dzieci Kwiaty, O Rujo i Korupcjo, W-ark, Z-grzyt, Elmer Gantry Cagliostro Day-Glo Neron... Zatrzymać Keseya...

Krótko mówiąc, Graham wycofuje się z interesu i nie będzie żadnej Kwasowej Matury w Winterlandzie.

Później, po południu w Magazynie – Chryste, ależ tu ponuro! To miejsce zawsze jest jak rzeźnia, rzecz jasna, ale teraz czad dzisiejszej popeliny wzbiera jak ściek. Robactwo znowu bierze górę... Mandy! Gołębki pchły! Karaluchy! Szczury! Świerzb! Liszaje! Tryper!

Hemoroidy! Opryszczka! Unoszą się spomiędzy śmieci jak czyraki... Faye, Mountain Girl, Babbs, Gretch, Black Maria, Page, Doris Delay, Stewart Brand, Lois, Hermit, Roy Seburn, Gut eks-Hell's Angel, brat Keseya Chuck, Zonker – wszyscy kręcą się hałasując w mroku, ale już nie są Ludźmi Flagami, kostiumy zniknęły, jakby wojna się skończyła... Zbierają się w krąg składanych krzeseł i starych foteli teatralnych po jednej stronie autobusu... KWASOWA MATURA... Transparent wciąż jeszcze rozpięty na całym boku... Cóż, cholera... Kesey, znowu w irchowej koszuli, wchodzi pomiędzy nich, niosąc wielki, klubowy fotel – wypchany drobnym pierzem! – na głowie – stawia go na podłodze plecami do autobusu, siada – w tym liniejącym fotelu – a pranksterski krąg rozwija się przed nim. Kesey patrzy w notatnik z grzbietem na spiralcie i zaczyna mówić tak cicho, że zrazu prawie go nie słyszę... o tym, co właśnie się stało... o Dannym Rifkinie i paru innych, którzy zjawili się, żeby powiedzieć, że wycofują się z fantazji Winterlandu.

– Niewiele trzeba było, żeby przekonać się, że nie zmienią zdania – powiada. – Nie zmienią, bo powsadzali w to zbyt dużo pieniędzy... Kiedy sobie poszli, położyłem się, wszystko przemyślałem i uświadomiłem sobie, że wszystko, czego nam potrzeba, mamy tutaj...

TUTAJ?

– ...w tym magazynie i że to właśnie tutaj to zrobimy. Tu odbędziemy Maturę i to będzie nasz układ. Jest trochę ludzi, z którymi chcemy się zbliżyć, przyjdą i będzie lepiej, niż byłoby w Winterlandzie...

GWIZD

– ...Tu jesteśmy u siebie i możemy robić, co chcemy, na własny szczerot, i nie musimy już więcej politykować ani iść na kompromisy. Zrobimy to po swojemu i zostaniemy Superherosami Zatoki i Okolic...

OSTATNIA DZIURA W NIEBIE

– ...Nie wyszło nam między innymi dlatego, że nasz plan był zbyt wielki, zbyt ekscytujący i wszyscy się przestraszyli. Wszyscy chcą być orłami, ale nie chcą zachowywać się jak orły, więc będziemy musieli zrobić to sami. Próbowaliśmy, ale nie byli zainteresowani... Więc ograniczymy się do swoich ludzi, zrobimy imprezę zamkniętą, tak zamkniętą, jak to tylko możliwe. To są ludzie, od których niesie się, jeśli mają coś do powiedzenia, potrafią mówić wprost, będzie się od nich niosło i nic tego nie zatrzyma. I to jest właśnie zasadnicza fantazja. Wprowadzamy się tu ze wszystkim, do Szczurzej Budy.

DO SZCZURZEJ BUDY

A wtedy Kesey podnosi głos i zaczyna rozdzielać zadania: Page odpowiada za budowę

sceny i widowni. Roy Seburn za udekorowanie tego miejsca mnóstwem zwisających szmat. Faye i Gretch za jedzenie i napoje. Hermit zalepi wszystkie dziury w ścianach. Zonk zajmie się listą gości...

TYCH NIEWIELU!

Fantazja polega na tym, żeby zestawić listę zaproszonych i skontaktować się z nimi wszystkimi, wszem i wobec, zaraz, dziś po południu i w nocy, przez telefon, posłańca, wszystko jedno, i wszyscy zaczynają zastanawiać się nad ludźmi wystarczająco bliskimi

TEJ POKRĘCONEJ AFERY

aby ich zaprosić na ostatni zajazd... Cóż za pomysł!...

CZY PAMIĘTACIE

wszystkich Prankstersów, którzy zniknęli z horyzontu, tak jak June the Goon, Marge the Barge, Zmysłowa X, Anonimowa, Norman Hartweg –

– Trzeba wynająć karetkę, żeby przywieźć go z Ann Arbor! Chryste, te wszystkie wspomnienia... ci ludzie z Perry Lane... Sandy Lehmann-Haupt –

PONIEWAŻ, MIMO WSZYSTKO, BYŁ TU, KIEDY

kisiel bito na pianę –

– Hugh Romney!

– Bonnie Jean!

I Paul Sawyer z Rachel Rightbred... i wszyscy dzicy, nawiedzeni ludzie, którzy wsiedli do autobusu na jego złotej trasie, wszystko jedno kiedy i dokąd –

– Mary Microgram!

– Mały facet, który pisał poemat o trawce! – i zapisują go –

– Ten gość z uszami, to *dziwadło!* – mówi Babbs – i zapisują go –

– Para z Portland! – i zapisują ją –

– Śliczny indiański chłopak z Haight Street! – i zapisują go –

– Szalony Chemik!

NO WŁAŚNIE! O CHOLERA, A PAMIĘTACIE

– Big Nig!

KOPSNIJCIE NA CZYNSZ

– Culley!

– Owsley!

PRZEŻYŁEM

– Tamten facet z więzienia!

– Dziewczyna Kogo To Obchodzi!

R-A-A-A-A-AY

– Ray!

– Pancho Pillow!

– J. Edgar Hoover! – i zapisują go –

PATRZCIE JAK TE SKUNKSY GONIONE

– Gaylord!

– Jim Fish!

– Agent Numero Uno!

¡MARICONES!

– Cosmo!

Cos-mo

O cholera, a cóż to za prąd, jak eony temu w La Hondzie, po tamtej stronie długiego, szerokiego, uładzonego i Szczurzego, wszystko bieży z powrotem rozlane i spienione jak grzbiet fali, gdyby tak udało się dosiąść jej i pędzić i pędzić i pędzić i pędzić tu w mroku i zmusić do odwrotu małe mendy w kombinezonach płetwonurków sześć małych opasek z syntetycznej gumy po jednej na każdą nóżkę mendy pełzającej wokół zakamuflowanej jak mały strupek na mózgu, pieprzone zarobaczenie popeliną, posępna myśl, zbrylona gdzieś w każdym mózgu, dopóki Page nie wydobyl jej poprzez euforię zabiedzanej, samo-lipnej fiesty na zewnątrz i na głos w parszywym rynsztoku, Magazynie, na odwieczny głos z kanału w samochodowym warsztacie, że niby mi tu nie wciskać kitu:

– No i super. To największy brandzel w dziejach.

No i hak wam w smak! Następnego wieczoru, w Halloween, o magicznej, z dawna oczekiwanej godzinie... Z trudem wierzę własnym oczom, Prankstersi tak odmienili to miejsce. Trzeba im to oddać, musieli napracować się jak woły. To wciąż jest jak zaraza wśród budowli, rozumiecie, Magazyn, ale w powietrzu unosi się jakaś werwa, jakiś Szczurzy splendor. Najwspanialszy jest wielki, pomarańczowo-biały spadochron, coś ogromnego, sam jedwab bez linek i całej reszty, czubkiem przyczepiony do sufitu i zbałwaniony po jego najdalsze skraje niczym majestatyczny baldachim prosto z pohulanki u Ludwika XV na trawniku w wersalskiej Orangerie. Połyskuje! *Grand luxe!* Okazuje się, że to dokładnie taki sam spadochron, jakich używają astronauta wracając do atmosfery przy wodowaniu... Hmmmmmm... Tak jest... Niezły widok! Prankstersi od nowa zamienili się w Ludzi Flagi, w kombinezonach w amerykański sztandar. Mountain Girl zasiadła od strony Szóstej Ulicy w kombinezonie z flagi, sprawdza gości z listą zaproszonych, wywieszoną na drzwiach w rękopisie Boga Wirnika Paula Fostera. Mountain Girl rozpina kombinezon. – Nie damy się

namierzyć – i przystawia Sunshine do piersi, podczas gdy ci nieliczni... ci wierni... ci liczni!... przechodzą obok w podskokach... Mają twarze wymalowane w zwoje Art Nouveau, mają wymalowane napoleońskie kapelusze, wymalowane maski, dziwacznie ufarbowane włosy, haftowane chińskie pizamy, ubrania z amerykańskiej flagi, przezroczysty polietylen Flasha Gordona, plastik Saran Wrap do pakowania w supermarketach, drukowane indyjskie narzuty, kozackie kurtki, kozuszki bez rękawów, lamówki, szamerunki, burbońskie hafty poncza sarongi sari opaski na czoło wstążki kokardki kamizelki surduty księżę sutanny sędziowskie i akademickie togi paski szlaczki poły rzemyki buty Nargila buty harem buty Mexicali buty Durango buty elfie buty rycerze buty modsie buty Day-Glo gumki Wellington Flagellation koraliki medaliony amulety totemy polerowane kości gołębie czaszki szkielety nietoperzy żabie tułowia psie kości udowe piszczele lemura rzepki kojota... Cyrk jak sto diabłów, krótko mówiąc, cała karnawałowa różnorodność, *panoptikum*. Zajeżdżają Hell's Angels w swych barwach, kurtki z trupimi insygniami, pełna gala, brody uczesane i przyszywane, Terry Tramp, Pete Rajdowiec, Ralph z Oakland oraz ich kobitki... minispódniczki i malinowe rajstopy... Czekoladowy George... Chaos! Sraniewbanię! Czekoladowy George nie widzi swego nazwiska na liście, a jego dziewczyna powtarza w kółko: – O co chodzi, George, nie możemy wejść do środka? – aż Mountain Girl wybucha bajeranckim śmiechem i zagarnia ich do środka. Jakiś dzieciak około dziesięciu lat wyskakuje z drzwi na Szóstą Ulicę i krzyczy: – Kto tu pali trawkę? – najbardziej apodyktycznym głosem, jaki kiedykolwiek słyszałeś... agresywny, mały czort. W środku urządzili nawet żłobek i stale przeganiają stamtąd Hermita. Kesey stoi z boku w kombinezonie Człowieka Flagi, rozgląda się, niewiele mówi, słucha wielkiego Anioła z Oakland, ubranego w koszulę w groszki i krawat w groszki pod anielską kurtką. – Założyłem koszulę i krawat, Ken, wobec tego, że dziś Halloween – rock'n'roll gra z głośników, które są wszędzie, po bokach, na suficie, na samym szczycie baldachimu nawet... mikrofony, kamery filmowe, telewizyjne... Tak jest... Ci Nieliczni i ci Wierni! – wszystko jedno, wiadomość o imprezie w parszywym, starym Magazynie rozeszła się po mieście jako elegancka pogłoska. Której trudno się oprzeć, rzecz jasna... Trzy stacje telewizyjne mają tam swoje ekipy, są cztery stacje radiowe z mikrofonami i magnetofonami. Pisarz Herbert Gold z uśmiechem po goleniu. Córka Ingrid Bergman Pia Lindstrom... Och, słodki ciosie adrenaliny! To właśnie tu się rozgrywa! Cóż to – czy to możliwe – *nowa fala*?... Gdzie? Oto wkracza korespondent z San Francisco największego w Stanach żurnalu „Women's Wear Daily”, Albert Morch, hałaśliwy, niewysoki typ z rolleflexem na szyi... Catherine Milinaire z „Vogue” z miniaturowym aparatem fotograficznym w wieczorowej torebce z metalowych łusek stoi pomiędzy Aniołami, headami i Pokoleniem W Zawieszeniu jak księżniczka Bulfinch... Larry

Dietz, dziennikarz z Los Angeles... I ja... Kesey rozgląda się, nic nie mówi i... zastanawia się... Hmmmmmm... Ci Nieliczni i ci Wierni i cały ten wielki świat. To regularna balanga i bardzo dobrze. Ale, kurka siwa! To kostiumy nie na zaduszkowy bal Halloween, a na wyzwolenie martwych dusz... kościelne szaty, w gruncie rzeczy...

Czyżbyśmy oślepli?... Eucharystia... Konsekracja... Komunia... Cóż... Na estradę gramolą się The Anonymous Artists of America... Jak odlotowa feeria ze *Snu nocy letniej*, romantyczne koszule i długie szaty w fosforyzujących pastelach, jakich świat jeszcze nie widział, maski Day-Glo biją sprzed instrumentów. Nagle salę zalewa muzyka z miliona głośników... sopranowym tornadem... totalnie elektryczna, plus elektroniczny syntezator Buchli, który wyje jak logiczny lunatyk...

Na sam środek, pod ten wielki spadochronowy baldachim i światła reflektorów, szybują poprzez ten parszywy dywan... Doris Delay z Prankstersów w kombinezonie Ludzi Flag i Terry Tramp z Hell's Angels w kapeluszu jak rura do piecyka, w ciemnych okularach, z anielską brodą, w wielkim swetrze w brązowo-czarne pasy jak u szopa, anielskiej kurtce bez rękawów z trupią czaszką, dzinsach i wysokich motocyklowych butach... Chryste, ale macie debiutancki bal, Doris Delay i Terry Trampie... tupią i wymachują ramionami w regularnym korowodzie... po wariacku oficjalnym. Tańczą tak przez jakąś minutę, a potem inni wypadają, jak burza, pary w fantazyjnych przebraniach acid headów, tańczą rock'n'rolla, tyle że do utraty zmysłów, skaczą, wymachują ramionami w powietrzu, odrzucają głowy do tyłu, wirują i lewitują... w stanie... ekstazy... Gary Goldhill przygląda się z boku. Ubrany w wielką lakowo-czerwoną chińską kurtkę od pizamy z wyhaftowanym złotym smokiem. Magazyn go przeraża... Pleśń!... Obłęd!... Przyjaciele czy duchy? Cóż – Ziemia może być Niebem i Piekłem, więc podejmuje stanowczą decyzję... sięga do kieszeni spodni i przetyka działkę...

Już wybuchają w tłumie rozanielone uśmiechy... Wniebowzięta błogość o wilgotnych wargach... Błyszczą, z szeroko otwartymi oczami jak plastikowe węzełki. Telepathic Kid jest na takiej fazie, szczerzy się taki wilgotny i taki błyszczący, że wygląda jak jeden wielki psychiczny orgazm, który szykuje się, aby rozwinąć się z łusek w... błotną lilię... i jakiś blondynek w białej kurtce typu Nehru i z wielkim srebrnym brelokiem zwisającym na piersi, klęczy przed rock'n'rollowym zespołem z rękami złożonymi jak do modlitwy i uśmiechem takiej nieskalanej kwasowej błogości na twarzy, że aż zęby mu skwierczą... garnek pełen gotujących się pereł... Prankstersi, Babbs, Gretch, Page i inni ruszyli na estradę, zelektryfikowani i zaczęli emitować najbardziej szaleńczo głośną chińską muzykę science fiction i podkręcać elektroniczny syntezator Buchli, aż wślizgnął się do najmniej obliczalnego dźwiękowego kąta, w ostatni zakręt labiryntu lutowanego obwodu, i wydawał czysto

topologicznie odmierzone wrzaski. Najwyższy Czas plus solidna instalacja, ta maszyna. Kesey nadal stoi z boku, w cieniu, przy... Centrum Panowania, tyle że już bez kombinezonu Człowieka Flagi, z nagą piersią, ubrany tylko w białe rajtuzy, białą pelerynkę zawiązaną na szyi i czerwono-biało-niebieską szarfę na ukos przez pierś. To... Captain America! The Flash! Captain Marvel! Superheros, jednym słowem...

W tym szczycie szaleństwa nagle gasną światła, cichną dźwięki, wszystko to zastępuje jeden reflektor punktowy, który bije na środek podłogi. Tam w górze, na belkach konstrukcji dachu, światła obsługuje brat Keseya, Chuck. W ciemności słychać głosy Babbsa i Hasslera przy mikrofonach, jak nawijają błaznując: – Sądziysz, że usuną się ze środka, jeśli ich poprosimy, Hassler?... – Jasne, usuną się ze środka, prędzej, niż zdążysz poprosić, żeby usunęli się ze środka... Ale oni tylko się kłębią, złapani w blackout. Babbs mówi: – Jeśli nie usuną się ze środka, to znaczy, że to banda dupków... No cóż, spróbujmy bezpośrednich metod! Wszyscy usuwają się z eliptycznego kręgu światła reflektora, w który z ciemności wkracza Kesey. A jednak zdjął pelerynkę i szarfę. Co za dużo, to niezdrowo, wydaje się. Nosi tylko białe baletowe rajtuzy i swą zapaśniczą muskulaturę. Para krótkich kalesonek przebija przez trykoty – szczegół najzupełniej na miejscu... tu w Szczurzej Budzie... Podnosi do ust mikrofon. Kesey w rajtuzach, z płamą światła przed sobą i headami stłoczonymi w ciemnościach wokół jasnej pętli... Niezłe i bardzo teatralne... w dziwnie dziwny sposób. Niektórzy headzi natychmiast zorientowali się, o co chodzi. W milczeniu zaczynają rzucać różne rzeczy w płamę światła, kostki cukru, kapsułki, bibułki do papierosów, parę jointów, koraliki, amulety, opaski na czoło, wszystkie maskotki i totemy psychedelii w strudze światła. To jest... ołtarz... Kesey zaczyna mówić do mikrofonu, po wiejsku cedząc słowa...

– Kiedy byliśmy w Meksyku, wiele dowiedzieliśmy się o falach. Spędziliśmy tam sześć miesięcy studiując fale. Fale czuje się nawet po ciemku...

To oddalenie, ten głos, i co to w ogóle jest? Jak dotąd – zabawa, szaleństwo. Nagle wszystko znalazło się na zupełnie innym poziomie... swego rodzaju... nie całkiem zrozumiałym. Ekipy TV próbują precyzyjnie się w pobliże i zająć dobre pozycje. Czy teraz powie młodzieży, żeby dała spokój LSD?... Po to przecież tu jesteśmy... *Fale?*

– Wierzę, że człowiek się zmienia... radykalnie i zasadniczo... Fale wzbierają i za każdym razem są silniejsze. Zmienia się nasza koncepcja rzeczywistości. Coś takiego dzieje się tu, w San Francisco... Wierzę, że mamy do czynienia z całkiem nowym pokoleniem młodzieży. Oni nawet chodzą inaczej... Słychać to w ich muzyce... Kiedyś grało się... życie – śmierć, życie – śmierć... a teraz... śmierć – życie... śmierć – życie...

Kamerzyści z TV próbują wręczyć mikrofony headom w pobliżu Keseya. Proszą o ich potrzymanie bliżej niego, aby lepiej zbierały jego słowa. Na wpół błagają, na wpół wydają polecenia scenicznym szeptem. Headzi są oburzeni. Tylko się im przyglądają. Kesey śle w ich stronę parę wrzutów... Te sukinsyny i to ich... *ustawianie się*... chcą was tylko przez chwilę wykorzystać... Są jak dziura w moście, jak dęte szmery w sercu, są jak – ekipy TV też się wkurzają. Aroganckie, zaćpane smarkacze!... Istny wrzód na dupie, ta robota w Mieście Na Skraju. Jest robota – źle, nie ma – jeszcze gorzej... szykuje się wielka afera...

– ...Od roku jesteśmy w Ogrodach Edenu. Bramy do nich otworzył kwas. To Ogrody Edenu, Niewinność i niezła balanga. Kwas otwiera bramę, wchodzi się i zostaje na jakiś czas...

I dokładnie w tym momencie – o tajemnico synchu! Tak jest. – Przez wejście od Szóstej Ulicy wkraczają cztery granatowe postaci policjantów. Gliny! Gliny!, rozlega się po ciemku w tłumie... Jeszcze jeden monstrualny nalot, aby dopełnić miary popeliny! Gorączkowe zamieszanie w ciemności, ciała obijają się o ściany garażu jak gigantyczne, wystrojone szczury w poszukiwaniu dziur... Wynoście się stąd, do cholery!... To Pokolenie W Zawieszeniu, rzecz jasna, te dzieciaki zwolnione warunkowo i kategorycznie ostrzeżone, żeby unikały kontaktów z notorycznymi narkomanami... nieomal przekopują się przez betonową podłogę... Czterej policjanci nadal idą wolnym krokiem, spoglądają to tu, to tam. Cassady przy mikrofonie, daleko za Keseyem, na scenie w rzeczy samej, zaczyna nawijać o wkraczających glinach:

– Czterech stróżów prawa jak na obstalunek, rozumiecie, szukają pereł wśród wieprzy...

– Tu są gliny? – pyta Kesey. Wydaje się zdziwiony.

– Gliny z samej gliny...

– Oni także pojawiają się falami – powiada Kesey – to także powtarzający się schemat... Taaa!...

Tymczasem gliny zatrzymały się w mroku na granicy tłumy i rozglądają wokoło.

– Są gliny i są policjanci – mówi Kesey. – Glina powiada: „Nie wolno ci. Zakazane i tyle”. Policjant powiada: „Wolno ci, ale jeśli przesadzisz, zrobisz sobie krzywdę”. Policjant to podwójna linia na środku szosy. Tylko że w nas, w środku.

Nagle zapala się punktowiec, łapiąc Cassady’ego w mały stożek światła. – To tak jak Ken kiedyś powiedział – mówi Cassady. – Jeśli przez dwadzieścia lat nie zwracać uwagi na gliniarza, to potem już go tam nie ma...

– Hau! – Hau! – Hau! – To Hell’s Angels w kącie – czterej gliniarze zakończyli

inspekcję zgromadzenia i zaczęli zawracać ku wyjściu. Cassidy wciąż nawija:

– Tak jest! Przemoc, rozumiecie... Tu nie będzie żadnej przemocy. Gdybyśmy tu chcieli przemocy, jest tu paru koleś, co mogliby nam to zabezpieczyć...

– Hau! – Hau! – Taaak! – Taaajeest! – *Dobry glina, to martwy glina!*

– *Dobry glina, to martwy glina!*

Ale gliny po prostu wychodzą, kołysząc się tym samym wolnym krokiem, przenikając pomiędzy Hell's Angels, jakby ich tam wcale nie było. Gliny sobie poszły, ale znowu zepsuły nastrój. Kesey próbuje go odbudować tym samym łagodnym tonem, ale ciężko mu idzie. Dzieli się wizją, wizją drogi Ponad Kwasmem, jak zobaczył linie światła po drugiej stronie zatoki w Manzanillo, linię trawki...

– ...a właśnie wypaliłem trochę trwaki, Acapulco Gold, w istocie rzeczy...

W tłumie wybuchają okrzyki, Acapulco Gold! Cholera, jesteśmy ezoterycznymi headami i znamy się na marihuanowej śmietance. Ale siła siada. Kesey brnie poprzez wizję: linia kwasu, krąg domagający się dopełnienia, małe światełka po drugiej stronie zatoki... Metafory, alegorie, mózgi lasują się na prawo i lewo... Ten rock'n'roll, szal, kamery telewizyjne, mrok, gliny, a teraz... *to...* Wciąż przeskakuje rykoszetem z poziomu na poziom. Cholera! Co ten Kesey... *wyprawia...* W końcu linia z haczykiem – zamyka krąg nie wypełniając go. Opowiada im o wszystkim, ale – co ten...

– Przechodziliśmy przez bramę, zostawali jakiś czas, a potem z powrotem przechodzili przez tę samą bramę. Ale dopóki nie wybierzemy się aż tam... a potem jeszcze dalej... dopóty nie dotrzemy donikąd, nie doświadczymy niczego nowego...

Czują się nieswojo, wtykają koszule za paski i wyciągają je na wierzch, zbyt wiele dziur w tym balonie, mózgi się lasują... a pieprzeni szakale z TV dźgają naokoło mikrofonami, jakby nagrywali scenę wieszania się Lenny'ego Bruce'a –

– Sprawdźmy, na czym stoimy. Odwróćmy to. Zatańczmy na tym.

Światła zapalają się z powrotem, z powrotem gra muzyka, wraca kolor, wszyscy od nowa zaczynają wirować jak bąki. Goldhill już odleciał. Muzyka płynie przez jego zwoje nerwowe jak fala ulgi... Miłość! Chwała, chwała! Światłość! Hell's Angels znowu przytupują, wszyscy tańczą. Ale to nie trwa długo. Kesey wchodzi w środek tłumy. Ludzie otaczają go zewsząd. Muzyka ustaje. Kesey spogląda nieco szklistym wzrokiem, ale brnie dalej, jakby zawziął się, aby wziąć się z całą tą popeliną za bary i osadzić ją na jej miejscu. Trzyma kawałek lodu. Całuje go, wkłada do ust, odłamuje kawałek i podaje Cassidy'emu. Cassidy całuje go, a potem wciera w swą nagą pierś. Lód... Kamerzyści telewizyjni i reporterzy radiowi próbują się wcisnąć. Odpychają ich z powrotem. Wszystko kołysze się wzdłuż i na

boki. Kesey i Cassidy siedzą na podłodze nad lodową komunią. Prankstersi i kilkoro innych headów siadają w krąg z Keseyem i Cassadym... pozycja lotosu... Siada z nimi Gary Goldhill. Jest gotowy. Chłopak ze skwierczącymi zębami siada zaprawiony... pozycja lotosu... Pręży sztywny grzbiet w kurtce a la Nehru. Jest wniebowzięty. Garnek pereł gotuje się, gotuje. Wszyscy biorą się za ręce i zamykają oczy – komunijny krąg... Zaciskają oczy coraz mocniej w oczekiwaniu na... energię. Nadchodzi! Nadchodzi! Wysoki, przenikliwy dźwięk unosi się z kręgu... Słyszycie!... Dziwne... Połowa przyglądających się traci rezon, jest *zażenowana*. A to co, zabawa Halloween, czy jakiś seans spirytystyczny i Zakon Świętych Oszolomów? Chryste... Albert Morch z „Women’s Wear Daily” mówi do Catherine Millinaire: – Słuchaj! Kiedy poznałem cię wczoraj wieczorem, nie wiedziałem, że jesteś córką Księcia Bedfordu!... Mamy nową religię! Aniołowie się niecierpliwią. Stoją wokół na skraju kręgu. – Hej! Dawać muzykę!... Ci w kręgu, Kesey, Cassidy i reszta – zaczynają nawijać. Chłopak z gotującymi się zębami słyszy ten głos. Wciąż zaciska powieki. Uśmiecha się i promienieje. – Martwa zięba, wyboista droga i martwa zięba. – Mówi głosem na granicy delirium i szłochu... albo jakby w każdej chwili miał wybuchnąć obłąkanym, rechotliwym śmiechem... – Martwa zięba, wyboista droga, leży w pyle, *pomyłka... to jakaś pomyłka*, ale to nie jest ważne... Mylić się nie jest rzeczą *ważną*... Ważny jest kontekst, w którym się pomyliło... Wyboista droga, martwa zięba i cztery stacje benzynowe, białe i sterylne, gdzie dolewają paliwa w ogonowe płetwy tłuszciochom w słonecznych okularach, którzy nie widzą wyboistej drogi i martwej zięby...

Goldhill siedzi urzeczony... Fale energii emanują zewsząd... Jak... czarne duchy!... Kesey & Cassidy – co oni kombinują z jego umysłem... Chcą mnie *dorwać*, złapać w Wielką Zasadzkę – po co? Dla idei? Objawienia? Miłości? Uczucia? Przemiany – w co? Czy też dla

WPUSTU

Oni wpuszczają go w kanał! Robią go w konia! Ale – *idea*, na którą czekamy – on ją *czuje*, fizycznie, jak przepływa... Zagląda daleko w głąb, aby ją opisać

PRESQUE VU!

To jakaś masowa, demoniczna halucynacja! Rozgląda się wokół... Wszystko kołysze się w przód, w tył i na boki...

CYRK ALBO PIEKŁO

Otoczają go torturowani i przeklęci, dusze martwe raz na zawsze... Podnosi się w promieniach chińskich fajerwerków z pizamy w smoki i rusza do wyjścia na Szóstą Ulicę... Martwi i Przeklęci! Twarze!

HELL’S ANGELS

Hell’s Angels tłoczą się w prowadzącym do wyjścia korytarzu, gotowi do

MASAKRY

Zawraca w tłum, pogrąża się w zawirowanie czasu... Jakby jego życie było nieskończoną pętlą taśmy... Czarne duchy wciąż bulgocą z najdawniejszych jam z lukrecjowym detergentem

ŁAP

To! Hare Krishna Hare Krishna Krishna Krishna Hare Hare Hare Rama Hare Rama Rama Rama Hare Hare i kiedy tak zawodzi, staje się... Krishna!... Chrystusem!... Bogiem... I wyskakuje z zawirowania czasu wprost w srebrną mgłę... Uniwersalnej Świadomości...

– Prawie się nam udało – mówi Kesey, po raz pierwszy otwierając oczy. – Mało brakowało. Za dużo tu hałasu... – Ale tylko tak jakby chmura przepłynęła obok.

Ludzie kłębią się dookoła, zaczynają wychodzić. Są zamroczeni i zmieszani. A to ci zabawa... Aniołowie zaczynają wychodzić, ekipy telewizyjne, Herbert Gold mają już dość... Albert Morch... Zbliża się trzecia... Ludzie gapią się na estradę, ale nic nie wskazuje na to, żeby miała jeszcze być muzyka. To już koniec? Czy jesteście w autobusie?... W kisielu?

Kesey nie daje za wygraną. Światła znowu gasną. Teraz to już totalny skręt. To zupełnie inna... sprawa... Kesey przechodzi na drugą stronę i siada na podłodze. Bije w niego światło reflektora. Prankstersi schodzą się z całego garażu: Mountain Girl, Hermit, Babbs, Gretch, Doris Delay, Page, Hassler, Cassady, Black Maria, Zonker, Gut, George Walker, Ram Rod, Stewart Brand, Lois Jennings, wszyscy kierują się w stronę Keseya. Hassler trzyma w ręku mikrofon i zaczyna mówić w ciemności:

– Wszyscy, którzy jesteście z nami, wszyscy, którzy jesteście razem z nami w naszej sprawie, chodźcie bliżej. Jeśli nie należycie do sprawy, jeśli nie jesteście z nami, idźcie do domu. Chodźcie bliżej i włączcie się w sprawę, albo wyjdźcie, ponieważ... nadszedł już czas...

Sraniewbanię! Ci, co wobec obrotu wydarzeń tej nocy czuli się trochę nieswojo, teraz totalnie wymiękli. Ludzie ruszają do wyjścia na Szóstą Ulicę, wymachują ramionami, coś mamrocą. Prankstersi tymczasem ciągną bliżej do Keseya, wymijają ludzi, przechodzą ponad nimi, potem zasiadają, gnieźdzą się kręgiem wokół niego. Poprzez mrok zbliżają się inni ku stożkowi światła padającemu na głowę i kark Keseya. Wygląda na zmieszanego. Podnosi wzrok ku światłu. W ręku trzyma mikrofon.

Robi gest, jakby chciał powiedzieć – przepuście ich –

– Znam tych ludzi – powiada – to moi znajomi.

Oto cała Alegoria... Żywy obraz Doliny... Najbliższy krąg ciśnie się wokół niego, dalej zewnętrzny krąg Prankstersów. Dalej parę osób ze starej załogi z Perry Lane. Dalej różni

headzi, którzy tkwią po uszy w kisielu, jak Goldhill i Chłopak O Gotujących Się Zębach, dalej kręgi, kręgi, miary wiary... oraz trochę takich, co kłębią się przy ścianach, ludzi całkiem bez wiary, po prostu zbyt rozproszonych lub zbyt ciekawych, aby wyjść. Na końcu Cassady przechodzi ponad siedzącymi postaciami skurczonymi w kucki, w lotosie, kieruje się w stronę wewnętrznego kręgu... Kesey podnosi głowę i patrzy na niego, wygląda, jakby zakręciło mu się w głowie, zrobiło mu się słabo... Głowa mu opada...

– Żegnaj, Neal – mówi. Wygląda, jakby miał zemdleć. Cassady przysuwa się bliżej. Kesey garbi się nad mikrofonem.

– Powiadają: „Przypatrzcie mu się – temu obiecującemu pisarzowi... niegdyś otaczały go tysiące... a teraz tylko ta garstka”... Ale mógłbym –

– porzuca jednak tę myśl. Jest ciemno i cicho, tylko ta jedna mała plama światła na Keseyu...

– Zawołajcie Faye i dzieci. – Cisza. Potem szelest Faye, jak przeciska się przez gąszcz ludzi, prowadząc córeczkę Shannon i starszego synka Zane’a, z młodszym Jedem na rękę. Siedzieli w kąciku dla dzieci koło wyjścia na Szóstą Ulicę. Jedno z nich płacze, jakby krzyczało. Nie słychać nic więcej, to niesamowite... Faye z dziećmi, Mountain Girl z Sunshine i wszyscy Prankstersi ciasnym pierścieniem z Keseyem. Wszyscy trzymają się za ręce i zamknęli oczy. A potem znowu ten krzyk

ARCHETYP! MOC UMYŚLU!

Wtedy odzywa się głos z jednej z grup przy ścianach, głos jakiejś dziewczyny, spondej jak u medium znad spirytystycznego spodka:

– Dziec-ko-pła-cze-Zrób-cie-coś-z tym-naj-pierw –

Kesey milczy. Mocno zacisnął powieki. Z kręgu unosi się wysoki, przenikliwy dźwięk, z którym przeplata się krzyk dziecka. *Fantastyczne skrzywienie mocy umysłowej* – Goldhill rejestruje tę energię

SĄ PRAWIE

Ale dziewczyna z drugiego końca nie ustępuje: – Zrób-cie – coś – z tym – dziec-kiem – Dziec-ko – płą-cze – Nic – in-nego – się – nie – dzie-je – Dziec-ko – płą-cze – i – nikt – nie – re-a-gu-je –

MAŁO BRAKOWAŁO – PRESQUE VU

– Dla-cze-go – płą-cze – to – dziec-ko – Czy – to – ni-ko-go – nie – ob-cho-dzi? –

WCZUJ SIĘ! NA POZIOMIE WIBRACJI!

Kesey podnosi wzrok. Światło bije mu w twarz. Prankstersi puszczejają ręce. Odzywa się muzyka. Anonimowi Artyści Ameryki grają rock’n’rollowa wersję marsza *Pomp and*

Circumstance z perkusyjnymi ozdobnikami...

KWASOWA MATURA

Zostało już tylko około pięćdziesięciu osób. Światła rozjaśniły się trochę na scenie, ale reszta garażu jest ciemna. Cassady stoi na estradzie przed mikrofonem. Ubrany tylko w zwisające z bioder szorty khaki i uczniowski biret taki, w jakim odbiera się świadectwa maturalne. W jednej ręce ma całą stertę dyplomów. Spięty jak motocykl, wierzga, szarpie, drga, podskakuje w kolanach, łokciach, głowie... Puścił się w porażający słowotok. Anonimowi Artyści Ameryki nadal kotłują z tyłu. Za każdym razem, kiedy drobna blondynka za perkusją rażno wali w bęben, Cassady sztywnieje w spazmatycznym odruchu, jakby ktoś kopnął go w zadek. Gada coś, wręcza świadectwa Kwasowej Matury. A jednak to dochodzi do skutku... teraz... kiedy? Która to, do diabła, godzina? Pięta rano, czy... kto to wie, do cholery... Kesey pogrąża się w wielkim, klubowym fotelu w mroku. Niektórzy z... *maturzystów* są obecni, głównie Prankstersi. Zakładają czarne peleryny i togi, wskakują na estradę i odbierają od Cassady'ego dyplomy... skręcone zwoje, dzieła Paula Fostera i Boga Wirnika...

Gut Hell's Angel wydaje okrzyk i wykonuje taniec radości, kiedy wywołują jego imię. Wielu absolwentów nie ma. Dziewczyny Kogo To Obchodzi...

– Dziewczyna Kogo To Obchodzi – mówi Cassady. – Cóż, Dziewczyna Kogo To Obchodzi nie mogła być z nami dziś wieczór, rozumiecie, musiała stawić się na próbę chóru w worku owsa dwustu świetnych głosów idealnie zestrojonych, wykrzykujących imię kowboja znanego jako Ray, rozumiecie, także nie mógł być z nami – ojoj – zniknął w fabryce plastrów z opatrunkiem Band-Aid, gdzie preparatem A-200 szoruje sedesy w wychodkach...

...a bębny warczą, a Cassady sztywnieje, podskakuje i miotają nim drgawki, a Prankstersi się cisną, Hassler, Babbs, Zonker, Hermit, Mountain Girl, Gretch, Paul Foster, Black Maria, Page, Walker, Hagen, Doris Delay, Roy Seburn, fruną w tę i z powrotem w czarnych togach... absolwenci, promowani... ku czemuś tam, na horyzoncie... a tu świt przedziera się szparami w drzwiach garażu za estradą. Zimne, cholerne, srebrne smużki... i rozjaśnia się w garażu karaluszy, pomarańczowy mrok, cicho jak makiem zasiał, cały świat zastygł jakby w... pleksiglasie. I wpełza żar dnia i podnosi się z tego czadu, piżma i Szczurzych, tłustych plam – oto idą pewniaki, roztocza, mendy, pchły, muszki owocówki, gąsienice, zbożowe wołki, wszystkie mikroby i cały larwi szlam – i zaczynają wić się, pełzać, jątrzyć, roić się, kurczyć i skwierczeć. Normalny świat wciąga powietrze, kaszle, zatyka usta, spaghetti więźnie w krtaniach i trzepoce w panice...

Headzi w San Francisco przeżyli dwa lub trzy dni w pośmiertnym szoku po załamaniu się pranksterskiej fantazji w Winterlandzie i po dziwnej nocy w garażu. Tu i tam uderzono się w piersi... Och, czyżbyśmy poddali się Lękowi i Wątpliwości, co nie przystoi dobrym headom, a zatem przeszkodzili dzielnemu koleśowi, aby zrobił swoje... Ale, jak powiadało wielu, Kesey chciał nam wykręcić odlotowy numer albo nas przewalić, więc może to i lepiej. A potem ów komunalny rozum, nie chcąc być przeciwko odlotowym numerom, pozostał przy teorii przewału. Kesey przewalał od samego początku, żeby nie pójść do pierdła. To załatwiało także coś innego, kłopotliwą sprawę... *dopalania*, która zawsze tak rajcowała Prankstersów, grę w odrywanie się od ziemi z czterystoma mechanicznymi końmi, w powiewanie amerykańskimi flagami, w Day-Glo, grę w mówienie właśnie, właśnie, tę straszną grę w neon, grę w... *superherosa*, zakręconą i spiętą i wzmocnioną w elektropastelowo-chromowym blasku. To nie Budda, ani przez chwilę. Życie to syf, mówił Budda, niewola złej karmy, a satori jest bierne, to tylko leżenie bykiem, odlot i zachwyty nad Superumysłem i nie mieszajcie do tego Teddy'ego Roosevelta. Łaska mieszka w dalekim kraju, który nazywa się Indie... Och, sztuka życia w Indiach, bracia... I co z tego, że nie mają kanalizacji, a ulice są brudne, skoro opanowali sztukę życia...

Prankstersi wynieśli wszystkie śmieci z garażu, zanim z powrotem wprowadziła się tam Calliope Company, zwalili je na kupę na opuszczonym parkingu obok, a potem wyruszyli do starego domu Babbsa, Spread, w Santa Cruz. Śmieci Prankstersów leżały sobie na parkingu, wielka, dziwaczna kupa części i fragmentów kostiumów, masek, kawałków drewna zamalowanych farbą Day-Glo i zwariowanych transparentów wymalowanych Day-Glo na wielkich wstęgach pergaminu, co wiły się jak szalone całymi dniami, a nocami... świeciły... Plama na honorze Harriet Street. Sąsiedzi, przedsiębiorczy Japończycy i inni, choć niezbyt hołubieni przez los, mieli swą dumę, więc sformowali delegację na Ratusz, aby wymóc na nim czystość swojej parafii. Urząd Burmistrza dostrzegł w tym przykład sąsiedzkiej dumy, która ożywia Miasto, bo skoro udało się wpoić tego zacnego obywatelskiego ducha nawet w okolicy tak marnej jak Tenderloin... Tak więc Burmistrz zapowiedział jak najdalej idącą współpracę i zrobiła się z tego regularna ceremonia, zjawili się oficjele wraz z sanepidem i telewizyjnymi ekipami. I Miasto rzuciło się, aby połączyć siły z poczciwymi mieszkańcami Harriet Street w ceremonialnej destrukcji dziwacznej kupy śmieci. – *Bóg jeden wiedział, jakie obląkane, zdegenerowane generacje pijaczków* złożyły się na to, że nieomal opanowali tę biedną, zapomnianą ulicę, jak zgnilizna w dżungli. Farba Day-Glo prychała i skwierczała aż do końca...

Calliope Company zorganizowała w garażu Próbę Kwasu, a Cassady, krążąc po San

Francisco w swym najnowszym samochodzie, jakoś się o tym dowiedział i zjawił się tam tego wieczoru. Wszedł wejściem od Harriett Street, oznaczonym teraz numerem 69 zgodnie z aktualnym poczuciem humoru, wierzgał i podrygiwał z najwyższą prędkością w rytm niewidocznego Joego Cuby... Żeglował na speedzie, czego obecna tam trzydziestka lub czterdziestka headów domyśliła się z tego, że miał rozbiegane oczy, tik tak tok tok tak tok tak tok tik tik tik tik tik tak tok tak tok tik tik tik tik tik tok tak tok tak tok tak – albo może tak bardzo zadziwiła go ta Próba Kwasu. Żadnych świateł, za wyjątkiem niemrawej i płynnej projekcji, żadnych hałasów, za wyjątkiem stereo grającego słodko... *a to co, do cholery...* sitar? sitar? sitar?... Garaż był wyszorowany, cnotliwy i czysty, na ścianach wisiały zasłony w najbardziej stosownym gatunku, indyjskie, drukowane narzuty, o subtelnym i zawiłym rysunku z czysto roślinnych, makrobiotycznych barwników. Parę kryształów w powietrzu chwytało promienie światła, jeden po drugim, jak... klejnoty... A wszyscy poczciwi headzi rozproszeni w najgłębszym milczeniu, siedzieli oparci o ścianę albo wyciągnięci, każdy rajcował się jakąś własną, prywatną, wewnętrzną sprawą, naczynia Buddy, owego Wszystko jednego proszonego gościa, a Budda mógłby wejść tam w każdej chwili i czuć się jak w domu, 485 lat p.n.e. lub zaraz teraz, ten...

...pieprzony żółtek... Cassady własnym oczom nie wierzy... Nawija kilometr na minutę, ale nikt go nie przyswaja. Gapią się tylko wielkimi ametystowymi oczami pełnymi tolerancji i współczucia, kiedy jego oczy podrygują, a ramiona podskakują i kluczą...

– Hej! Nie macie ochoty czegoś *zrobić* – ruszyć się, rozumiecie – zakręcić –

Oni gapią się na niego tylko, ciche dzieci z fiołkowymi, świetlistymi klejnotami, uśmiechnięte jak banda pokręconych zakonnic, pełne spokoju, tolerancji i współczucia... kiedy on odwraca się potrząsając głową i ramionami i wierzgając, i wymachując znika z powrotem na Harriet Street.

O Chryste, jeszcze jedno dziewczę w dychawicy i oparach bólu odkrycia. Ma oczy otwarte jak kwiatki powoju, wargi wilgotne i błyszczące, uśmiecha się jak zakonnica w transie, zęby zaczynają jej skwierczeć... siedź tam, w swojej piersiowej klatce. Sterczy twarzą w twarz z tobą, z każdym i mówi w ekstazie odkrywcy –

– Ja – ja – ja – ja – *wszystko rozumiem!* My – wszyscy tu jesteśmy – prawda? Wszyscy jesteśmy tutaj! Jesteśmy – tu-u-u-u-taj! – i kreśli krąg ręką wyciągniętą po kosmos Fantazji w-stanie-narodzin... który, w rzeczy samej, jest tylko miejscem zwanym Stodołą w Scotts Valley, piętnaście kilometrów od Santa Cruz. Stodoła jest pierwszym nocnym klubem psychodelicznym w Santa Cruz, faktycznie wielką stodołą, kiedyś zamienioną na teatr, a teraz

na nocny klub psychodeliczny, prowadzony przez Leona Taboory'ego, pierwszego i ostatniego w Scotts Valley, który musi wysłuchiwać zarządzenia w kościele, miejscowych stróżów prawa, społeczeństwa miasta i lokalnej gazety, ale mniejsza z tym. Dla tej miłej panią jest to pierwszy przebłysk Niebios, w przelocie na LSD, jej pierwszej w życiu kapsułce –

– Ja – wszystko rozumiem! Wszyscy jesteśmy tu-u-u-u-utaj i możemy wszystko, co tylko zechcemy!

– zwierza się Doris Delay i Zonkerowi. Doris, jak stara, poczciwa, miłosierna weteranka, powiada: – Tak jest. Wszyscy tu jesteśmy, wszystko jest w porządku i czujesz się świetnie.

Dziewczę osuwa się na składane krzesło koło Doris i obrzuca ją spojrzeniem z rodzaju „wydajesz mi się podejrzana...”

– Stadium paranoi – mówi Doris do Zonkera. – Lubię opowiadać tę historię –

– ...ponieważ się zaprawiłam.

– Tak, wiem – powiada Doris. – Opowiadać tę starą, starą historię – historię o miłości i chwale, co właśnie po raz pierwszy rozgrywa się w waszej okolicy, w Scott Valley...

Około osiemdziesięciu miejscowych headów, luźnej wiary, miłośników jazzu itp. słucha tam jazzowego tria pod nazwą The New Dimensions, Dave'a Molinarię, Andrew Shushkoffa i niskiego, krępego gościa, który gra na basie. Niski gość ma czapkę sportowego typu, zakłada ją do gry na basie, jego znak firmowy, rozumiecie, i wielkie, kubańskie, wypukłe okulary słoneczne, choć jest ciemno, jak należy w nocnym klubie, z wyjątkiem projekcji świetlnych, które sprawiają, że jest... psychodelicznie... ach ummmmmmm... a on miesi, poklepuje i peszy ten bas jak za najlepszych dni Slama Stewarta. The New Dimensions – *Nowe Wymiary* – to dopiero żart. Ken Kesey i Merry Pranksters nie mogą powstrzymać się od uśmiechu. Siedzą z boku Stodoły czekając na swoją kolej na estradzie, przygotowują instrumenty, elektryczne gitary i basy, organy Hammonda Gretch, bębny Walkera i przekłętą, połyskującą kupę kabli, wskaźników, wzmacniaczy, głośników, słuchawek, mikrofonów – raz dwa, raz dwa – Nowe Wymiary... Taaaak. To trio trąci wspomnieniem z późnych lat czterdziestych i wczesnych pięćdziesiątych, kiedy jazz był jakby *ostateczną formą*, czujną i tak piękną. Molinari – a może to Shushkoff? – leci *riff* jak wszyscy diabli – O Chryste, pamiętacie? – na fortepianie, z głową zwieszoną w sam środek najistotniejszych głębi czujnej duszy tego wszystkiego. To takie... cóż, nostalgiczne... Scotts Valley odkrywa powojenną Amerykę czujnych ludzi...

Prankstersi porozwieszali swoje głośniki naokoło stodoły i Babbs próbuje właśnie

sprawdzić mikrofony, wpatrzony w podskakującą na skali wskazówkę... Babbs ma na sobie maskę ducha Day-Glo, która świeci w mroku, jak również koszulkę z napisem „Czary-mary” i spodnie w różnokolorowe paski, dmucha w mikrofony, potem trochę mruczy i obserwuje wskazówki, potem trochę wyje, potem trochę zawodzi, to ładne, więc próbuje lalania, to jeszcze ładniejsze i wkrótce wyje i kwili razem z New Dimensions, a jego głos płynie poprzez ich dźwięki jak zaprawiona zjawa na falach eteru. Kesey siedzi na składanym krześle w Centrum Panowania i sprawdza słuchawki. Cassady ma Szczuritare, teraz już pomalowaną na nieskończenie wiele kolorów i zupełnie pozbawioną strun. Doris Delay odgrywa uprzejmą ciotkę dla oddalonej dziewczyny, która wszystko rozumie...

New Dimension kończą swój set, wściekli jak wszyscy diabli, rzecz jasna. Co to za... *świr* tak wyl przez cały czas, do ciężkiej cholery... Wszyscy trzej energicznie podchodzą do najbardziej podejrzanych, to znaczy Prankstersów. Prowadzi krępy facet w czapce i słonecznych okularach. Zbliża się do Babbsa i pyta:

– No to niby jak, kto to wszystko robił...

– Robił co? – odpowiada Babbs?

– Wolnego, stary, nie wciskaj mi tu tego kitu z robił-co. Dobrze wiesz robił-co, stary.

No to niby...

– Czy ktoś coś robił?

– No nie, powaga... stary! No wiesz... to... *daje w dupę!*

– Aha, chodzi ci o ten *dziwny dźwięki* Wydaje mi się, że to sprzężenie.

– Akurat! Sprzężenie!

– Taak! Taak! Właśnie! Właśnie! Właśnie! – To taka salonowa zabawa... można go załatwić jednym palcem. – Niski facet dostaje szału. Szuka słów na wyrażenie najwyższego obrzydzenia.

– Stary, to jest, wiesz, takie wpięzanie się komuś w set – to jest takie – ZGREDOWSKIE!

Proszę bardzo! Wykrztusił! Najgorszą ze znanych sobie obelg! Potem tylko potop – Kesey wkracza jako rozjemca:

– On nie działał *przeciwko* wam – próbował grać z wami.

Niski facet wpatruje się w Keseya, ale nic nie mówi. Krzyczy tylko raz jeszcze w pustkę:

– To jest, stary, takie ZGREDOWSKIE!

– Taak! Taak! Właśnie! Właśnie! Właśnie! – mówi Babbs. – O, tu jest gość, co to zrobił! – i wskazuje na Cool Breeze, który siedzi przy małym stoliku ze świeczką, zgarbiony

nad kartką papieru, pochłonięty jakimś gęstym rysunkiem jak po speedzie.

– Oto on! – woła Cassidy, podłączając się do sprawy. – Trzeba mieć serce zjawy, żeby złapać Cool Breeze, zdajesz sobie sprawę – itd. itp., kit, jednym słowem, nigdy nie ufaj Prankstersowi... I New Dimensions idą sobie, oburzeni...

Odmawiają dalszego grania i zaczynają pakować instrumenty, czym wprawiają Taboory'ego, menedżera Stodoły, w kłopot. Nie może się zdecydować, do kogo mieć pretensję. Kesey to gigant... z drugiej strony New Dimensions dobrze grają... Ale jest już za późno. New Dimensions odmaszerowują, wypinając się na całą sytuację. Prankstersi szykują się do swego setu. Wbijają się w słuchawki. Słuchawki są podłączone do kamery pogłosowej. Tak więc Prankstersi nie słyszą tego, co właśnie grają, lecz to, co grali sekundę temu. Grają każdy sam ze sobą, łamią wszystkie klasyczne progresje i tylko oni sami słyszą pełną... orkiestrację, symfonię w korach swych mózgów, muzykę Prankstersów... ach ummmmm... Tylko że dzieciaki w Stodole nie wiedzą, co jest grane... To jakaś *popelina*... Prankstersi zakładają słuchawki i chwytają za instrumenty, Kesey na gitarze elektrycznej, Page na gitarze elektrycznej, także Hassler, Babbs na elektrycznym basie, Gretch na elektrycznych organach, George Walker na bębnach. Wyglądają, jakby byli gotowi do jazdy, ale nic się nie dzieje. Czekają... na... *energię*... aby się spiętrzyła, spłynęła z trzaskiem w słuchawki... spontaniczny wybuch... ale nic się nie dzieje. Ktoś coś zaczyna, a nikt inny nie potrafi tego podchwycić i prędko staje się jasne, że żaden z tych ludzi, którzy wyglądają jak wariaci, niczego nie zagra na swym instrumencie, z wyjątkiem perkusisty... i wcale nie grają *utworów*, kombinują coś w trakcie grania... lider, muskularny facet, śpiewa:

– To... drogowa mapa!... którą trzeba było wydać, co pokazuje, jak dojechać na skraj czasu... na koniu, który fruwa w wolframowej czerwieni...

A facet na basie, w masce, śpiewa: – ...potoki wrzasku na plaży w bombowych nalotach krwawych tęczy... Jest ciemno i tracę wzrok...

No tak... dzieciaki zaczynają się wynosić... co to za afera...

Babbs beka do mikrofonu. Ktoś reaguje śmiechem. Ale czy to jest sztuka? Kesey szczeka jak pies. George Walker mówi do swojego mikrofonu: – Gdzieś tu jest pies? Słyszałem... *psa!*... tu pod nogami!

Utknęli. Hassler zaczyna zawodzić do mikrofonu, który jest podłączony tylko do słuchawek... Tylko Prankstersi słyszą:

– Zacznijmy tak, jak na początku... kiedy zaczynaliśmy... Róbmy tak, jak *robiliśmy*... kiedy zaczynaliśmy... Na samym początku... na samym początku... – Zawodzi w sieć wewnętrznego kosmosu.

Totalne bagno i krach... Dzieciaki wychodzą stadami... Zostali tylko Prankstersi... Atmosfera totalnej nudy... To... dużo... za dużo... dla zwykłych śmiertelników –

Nawet Prankstersi się zrywają... wycofują z głównej sali, schodzą na dół... Hagen kręci głową. – To jakaś stypa... To zgłiszcza mrocznych godzin przed świtem... Black Maria znajduje w jakiejś kanciapie materac i kładzie się... Cassady, wcale nie na fazie – zupełnie bez fazy w istocie rzeczy – proponuje jakiejś dziewczynie, że odwiezie ją do domu... Teraz to już tylko Kesey na elektrycznej gitarze i Babbs na elektrycznej basówce, oni i ich słuchawki, które z regulowanym opóźnieniem zbierają dźwięki ich instrumentów i ich pieśni... Sam Taboory, manedżer, nie może już tego znieść... – Dobrze zatrzaskajcie drzwi wychodząc – mówi Keseyowi i oddala się... Wszystkie światła już pogaszone, świecą tylko blade wskaźniki w Pranksterskim Centrum Panowania... Kesey i Babbs zamknęli oczy, brzdąkają z wolna... sami pośrodku przestronnych ciemności stodoły... Cały świat kurczy się, zbliża, zagłębia i wpelza do środka słuchawek, odbija się rykoszetem od regulowanego echa o późnej godzinie, a Kesey śpiewa ponad gitarą, co brzęczy i dygoce:

– ...i co jakiś czas słysząc ją, jak wydmuchuje kółka dymu naokoło chmury i próbuje zasnurować swój bucik...

I Babbs: – ...a ta wiadomość rusza z miejsca i troszeczkę się przebija, ale – staje –

I Kesey: – Nie jest całkiem łatwo grać na igle do podskórnych zastrzyków jak na wiolonczeli skamieniałym nietoperzem jak smyczkiem...

I Babbs: – Tak, nie jest łatwo pracować w takich materiałach i powstrzymać się od uśmiechów, co spadają ci z kolan...

I Kesey: – ...a żołnierze myślą o tych marnych pchłach...

I – ...latryny brodzą z powrotem aż po moje kolana...

– Osiądnijmy więc w tej walącej się klatce na ludzi i pomyślmy o tym, czego dokonaliśmy...

– ...Tak... tam w Missisipi, ta dziwka, którą bzykaliśmy na bawełnianym polu...

– A jednak wciąż... chcesz złapać pierwsze metro do Nieba...

– Jeśli załatwię sobie nową wagę, zabiorę się z trzeciej szyny... – co mówiąc wstał, zebrało mu się na wymioty i spojrzał na szynę, na iskry oraz długie, włochate nitki śliny o różnych smakach ciemnego, jelitowego brązu...

– ...a zęby wypadały mu tuzinami, a Hitler i jego robaczywi kuzyni zaczęli rosnąć w tej piwnicy jak nowa krzyżówka kukurydzy, a kruki nawet go nie tknęły...

– ...a dalej na szynie stary Druh Wierny wytarł nos w ubranie swego wuja...

– Wziąłem trochę pseulobiny i jeden długi szwindel...

- PRZEWALILIŚMY!
- ...Dziesięć tysięcy razy albo więcej...
- PRZEWALILIŚMY!
- ...tak strasznie, że straciliśmy rachubę...
- PRZEWALILIŚMY!
- ...i to wtedy, kiedy zaczynałeś myśleć: „Może wyjdę na swoje”...
- PRZEWALILIŚMY!
- ...ale to wcale nie koniec...
- PRZEWALILIŚMY!
- ...gdybyśmy mogli pozbyć się kuponów, zawałających towary...
- PRZEWALILIŚMY!
- ...dziesięć milionów razy albo więcej...
- PRZEWALILIŚMY!
- ...było idealnie, więc o co jeszcze chodzi?...
- PRZEWALILIŚMY!
- ...idealnie?...
- PRZEWALILIŚMY!

Epilog

Trzy tygodnie później, 30 listopada, Kesey stanął przed sądem w San Francisco za posiadanie marihuany – sprawa nalotu na dach. Skończyło się niejednomyślnym werdyktem 8 do 4 na jego niekorzyść. Ponowna rozprawa w kwietniu również skończyła się niejednomyślnie, tym razem 11 do 1. Zamiast sądzić go jeszcze raz, oskarżenie przyjęło przyznanie się *nolo contendere* do łagodniejszej winy „świadomego przebywania w miejscu, gdzie przechowywano marihuanę”. Dostał trzy miesiące. W maju przegrał apelację w pierwszej sprawie z oskarżenia powiatu San Mateo o posiadanie marihuany – po nalocie na La Hondę. Wyrok opiewał na sześć miesięcy powiatowego obozu pracy, 1500 dolarów grzywny i trzy lata dozoru sądowego. Zezwolono mu na równoczesne odbycie drugiej kary, tamtych trzech miesięcy.

Przed odsiadką Kesey wsiadł do autobusu i ruszył do rodzinnego miasta, Springfield w stanie Oregon, z Faye, dziećmi i Ram Rodem na pokładzie. Prankstersi się rozpierzchli. George Walker i Cassady byli w Meksyku. Mountain Girl z córeczką Sunshine przyłączyła się do załogi Grateful Dead. Black Maria i Paul Foster pojechali do Hog Farm, komuny Hugh Romneya w pobliżu Los Angeles. Babbs i Gretch pojechali do San Francisco. Tak samo jak

Hermit.

W czerwcu Kesey zaczął odsiadywać wyrok w obozie pracy, który leżał ledwie parę kilometrów od jego dawnego domu w La Hondzie. Pracował w warsztacie krawieckim. Wypuszczono go w listopadzie, po odsiedzeniu pięciu miesięcy. Wrócił do Oregonu i wraz z Faye założyli dom w szopie na farmie jego brata Chucka, na końcu zwirowej drogi na południe od Springfield. Szopę nazwano Domem Kosmicznego Grzejnika, od gazowego grzejnika w środku, z którego – kiedy był zapalony – wydobywał się płomień jak z odrzutowca.

W lutym, przy torach kolejowych za miastem San Miguel de Allende w Meksyku, znaleziono ciało Neala Cassady'ego. Miejscowi Amerykanie mówili, że śmigał z najwyższą prędkością przez dwa tygodnie, pewnej nocy oddalił się po torach i po prostu wysiadło mu serce. Inni mówili, że był przygnębiony, czuł, że się starzeje, przechodził długą depresję i popełnił błąd pijąc alkohol jako dodatek do barbituranów. Jego ciało spalono.

Wiosną różni Prankstersi... Babbs i Gretch, George Walker, Mike Hagen, Hassler, Black Maria... zaczęli od czasu do czasu przemykać do Oregonu. Kesey znowu pisał, pracował nad powieścią. Autobus parkował obok Domu Kosmicznego Grzejnika.

Od Autora

Oto kilka uwag na marginesie pracy nad tą książką... Staralem się nie tylko opowiedzieć, co robili Prankstersi, ale odtworzyć tamtą atmosferę mentalną lub jej subiektywną rzeczywistość. Nie sądzę, że bez tego można zrozumieć ich przygody. Wszystkie zapisane tu zdarzenia, szczegóły i dialogi albo widziałem i słyszałem osobiście, albo opowiedzieli mi je ludzie, którzy brali w nich udział, bądź też były zarejestrowane na taśmach, kliszy filmowej lub zapisane. Miałem szczęście skorzystać z pomocy wielu niezwykle utalentowanych i wymownych osób; przede wszystkim samego Kena Keseya. Prankstersi utrwalili wiele ze swej własnej historii w Archiwum Prankstersów w postaci taśm, dzienników, listów, fotografii i 40 godzin filmu z wyprawy autobusem. Kesey pozwolił mi na czerpanie przy pisaniu rozdziałów poświęconych ucieczce do Meksyku ze swych listów do Larry'ego McMurtry'ego. Wiele z dialogów i tekstu kursywą w Rozdziałach 21 i 23 to cytaty z tych listów.

Jak próbowałem pokazać, wydarzenia opisane w tej książce dla wszystkich Prankstersów były zarówno grupową przygodą, jak i osobistą eksploracją. Wielu osiągnęło wspaniały wgląd w istotę rzeczy w obu tych aspektach. Zwłaszcza mam na myśli rozmowy z Mountain Girl, Hasslerem, Black Marią, Stewartem Brandem, Kenem Babbsem, Page'em

Browningiem, Mike'em Hagenem, Doris Delay, Hugh Romneyem, Zonkerem, George'em Walkerem i Nealem Cassadym. Wyjątkowo rozległe i szczegółowo o swoich pranksterskich czasach opowiedział mi Sandy Lehmann-Haupt.

Poza Keseyem w pranksterskiej sadze udział wzięło wielu znakomitych pisarzy. Swoje doświadczenia całą serią taśm skwitował na mój użytek dramaturg Norman Hartweg. Ed McClanahan dostarczył mi informacji o różnych fazach pranksterskiej przygody, a Robert Stone wiele opowiedział o dniach spędzonych przez Keseya na ucieczce w Meksyku.

Hunter Thompson udostępnił mi kilka taśm, które nagrał w trakcie pracy nad książką *Hell's Angels*. Pomocne okazały się także fragmenty samej książki, traktujące o Prankstersach i Aniołach.

Miałem także szczęście trafić na ludzi takich, jak Clair Brush, która w trzech tysiącach słów opisała mi swoje doświadczenia z Próby Kwasu w Watts. Wiele z nich cytuję opisując tę Próbę. Z wielu osób, z którymi rozmawiałem lub korespondowałem, szczególnie pragnę wspomnieć Vica Lovella, Paula Sawyera, Paula Krassnera, Pata Hallinana, Briana Rohana, Paula Robertsona, Jerry'ego Garcię, Gary'ego Goldhilla, Michaela Bowena, Anne Severson, Paula Hawkena, Billa Tarę, Michaela Latona, Jacka the Fluke'a, Billa Grahama, Johna Bartholomew Tuckera, Rogera Grimsby'ego, Marshalla Efrona, Robina White'a, Larry'ego McMurtry'ego, Larry'ego Schillera, Donovaną Bessa, Carla Lehmann-Haupta i pana Freda Keseya z małżonką.